



A D A.

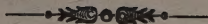
A D A.

**SCENY I CHARAKTERY
Z ŻYCIA POWSZEDNIEGO.**

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Tom I.

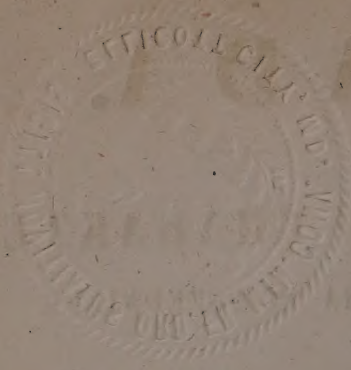


WILNO.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

1878.

Printed in Poland



Дозволено Цензурою. — Варшава, 11-го Января
1878 года.

ВИЛЬНА. Въ Типографіи п. ф. Осипа Завадзкаго.
(Запковъй переулкъ, N. 149).

Po szerokim, piaszczystym, młodej brzoza-
z obu stron wysadzonym gościńcu, który wśród
zarośli polkami przerzynanych się rozkłada — ma-
łym truchtem ciągnął się z wolna koczobryk bar-
dzo porządny, czterema dobrymi i tłustymi szka-
pami zaprzężony.

Był to piękny dzień wiosenny, powóz więc był
spuszczony, a w nim widać było prosto siedzą-
cego, zamyszonego wielce mężczyznę, który z cy-
buszka z bursztynem i fajki tureckiej, starannie
przykrytej, dymek wysysał. Poznać w nim było
łatwo, po tém czémś co po sobie zawsze służba
wojskowa na człowieku zostawia, że był dawniej
żołnierzem. Razem też widać w nim było, że na
tych czasach, w których żył młodością jeszcze i
życiem pełnem — zegar jego się zatrzymał. Strój
i fizygnomia były nie dzisiejsze. Czapeczka z da-

szkiem która mu głowę okrywała, miała krój militarny, choć bez żadnej oznaki; taratanka z niskim kołnierzem stojącym, którą z pod płaszcza z peleryną widać było, zapięta na wszystkie pętle i guziki, jak mundur wyglądała. Z boku przy niej na aksamicie bajorkami srebrnymi szyty, nieco zużyty już, wisiał kapciuch z tytuniem i srebrna przy nim przetyczka. Ale nadewszystko dawniejsze czasy znać było na czerstwój jeszcze twarzy, już nieco zmarszczkami poprzerzynanej, którą zdobiły bakenbardy w pół księżycy zaokrąglone i wąsik czarno i sztywnie wypomadowany. Prawie nieostrzeżony mały kolczyk złoty miał w jedném uchu.

Wyraz twarzy był poważny, surowy niemal, a mimo to dobroć dający odgadnąć i serce. Surowość była tu raczej maską przybraną, która miała bronić od ludzi, aby nazbyt nie korzystali z tego serca, co się za nią ukryć starało. Po żołniersku siedząc o swój sile, nie przygarbiony—jadący patrzył nie widząc na krzaki, i dumał... Był tak zamyślony głęboko, że zapomniał, wedle zwyczaju, napominać woźnicę, aby to tego, to drugiego konia ściągnął i do spełniania sumieniejszego obowiązków napędził. Szymek też woźnica, korzystając snadź z pańskiej zadumy, również się pograżył w rozmyślaniach, lejce puścił wolno, batog oparł na rękę i nie bardzo droge

wybierał. Koła parę razy zupełnie niepotrzebnie trafiły na kamienie, koczobryk podskoczył nieco, ale ani pan, ani Szymek, nie zdawali się uważać na to.... Wyrostek Iwaś, siedzący na koźle obok woźnicy, jeszcze mniej sobie sprawy zdawał z podróży, i okolica go, ani widok, śnadź wcale nie obchodziły, spał bowiem w najlepsze...

Chwilami tylko, gdy mu głowa niewygodnie na bok opadła, lub o ramię Szymka potrafiła, budził się, wyprostowywał, chrząkał i wnet potem usypiał na nowo....

Po bokach szerokiego gościńca z jednej strony trochę starszy, ale wyniszczony i miejscami powypalany las widać było, z drugiej krzaki, a że okolicą jak na dłoni płaską przejeżdżali, z za tych zarośli dalej nie postrzedz nie było można. Gdzie niegdzie tylko wśród nich sterczało większe, stare drzewo, pomnik na cmentarzu dawnego boru wyciętego w pień, który od korzeni odpuścił.... Wyrostki te nowe, pokolenie młode, znać było, że na wieki krzakami przy ziemi zostaną i w drzewa się nigdy nie podniosą, — tak jak wiele plemion, po których przeszedł topór i płomień dziejowy....

Szymek dał zamyśliwszy się koniom przejść z truchta na stępie i wlekli się tak po piasku.... Konie widocznie już wytrawne i rozumne, nie zwolniły nagle biegu, przejście to do stępi było wy-

rachowane, stopniowane, nieznaczące.... Czuły one, że popełniały przestępstwo, ale ważyły się na nie czując instynktowo, że pan i woźnica albo spać, lub o czém inném, nie o nich myśleć musieli....

Na gościńcu pusto było... słońce z wolna podnosiło się w górę i zaczynało dopiekać.... Na chwilę ocucił się podróżny, obejrzał, poszukał oczyma wiorsty na gościńcu i zadumał znowu....

Poczekawszy odezwał się głosem jakby komenderował jeszcze:

— Na dziesiątej wiorście, w lewo, gdzie dwór będzie widać z dachem czerwonym.... Słyszysz!

Szymek dał znak życia, Iwaś drgnął, i na głos ten konie znowu ruszyły truchtem, jakby się go ulękły, ale wkrótce w ten sam co wprzód sposób, nader umiejętnie zaczęły zwalniać kroku i przechodzić do wygodniejszej stępi....

Jechali tak do dziesiątej wiorsty. Szymek, choć zamyślony, nie prześlepił drogi w lewo i zawrócił....

Trudno bo ją było pominąć, a nie znający okolicy mógł wziąć za gościniec drugi, tak wspaniale się prezentowała. Las starszy skończył się był o pół wiorsty wprzód, zaczęły uprawne pola, a środkiem ich wyprostowana szła owa droga, sadzona drzewy, starannie poprzywiązywanemi, z mostami budowanemi trwale i porządnie, a nawet z pe-

wném na elegancyę baczeniem. Z dala, w końcu wysadzanéj téj alei, w której połowie młode drzewa spotykały się ze starą lipową cienistą ulicą—widać było obszerne zabudowania dworu, który na pański zakrawał. Panował nad niemi wysoki dach czerwony, niby pałacyku, około którego grupowały się w pozornym nieładzie budynki dosyć pokazne, poprzegradzane drzewy staremi i zielonością. Wśród niej oko rozpoznawało i świerki i liściaste kłęby kasztanów, topoli, i gdzie niegdzie pnie brzóz wysmukłych białe. Wieś musiała się z tyłu ukrywać, bo jéj ztąd widać nie było—z rozległości zabudowań wnosić się dawało, że mogła być wielką. Oprócz samego dworu, pomniejszych oficynki, dworki, chatki białe, wychylały się z bujnej otaczającej je zieloności, jak z koszyka....

Podróżny tak znowu zadumał się, że i na zagasłą fajkę, z której pykał dymu wspomnienia, nie zważał, i na dwór też oczu nie zwrócił. Szymek za to orzeźwiał przypatrując się miejscu, do którego dążyli, a którego nie znał pono jeszcze. Czynić musiał wnioski, jak tu konie w stajni, a on na folwarku będzie przyjętym—boć różnie się to trafia i koniom i furmanom. .. Iwaś w błogiéj drzemce był zawsze pogrążony, i dopiero dojechawszy do alei lipowéj, Szymek pochylił się i żwawo go napomniał, że dwór już blisko i czas przetrzeć oczy.

Jakoż Iwaś uznał słuszość przestrogi, otrząsł się, czapkę zdjął nieco, poprawił włosów, surdut ociągnął, kołnierz wyprostował, i już wcale ochoty do snu nie okazywał.... Podróżny tylko choć się już do celu zbliżać zdawali, nie wyszedł z głębokiego swego zamyślenia....

Wtém alea lipowa się skończyła, i niedaleko ukazało ogromne podwórze, otoczone ogrodzeniem w słupach murowanych... z bramą w pośrodku, która prowadziła do dworu. Szymek nie mający żadnej specjalnej instrukcyi i wnioskując własnym rozumem, iż pan major, którego wiózł, nigdzie indziej prócz dworu zmierzać nie może, wprost się skierował na bramę. Stała przy niej ładna, dziukiem winem okryta chatka odźwiernego, i wychodzący z niej staruszek już się zabierał wrota otwierać, gdy nagle, jakby przebudzony major, chwycił gwałtownie za ramię Szymka, i krzyknął przerażony, a gniewny:

— Trutniu jakiś! nawracaj! na folwark!

A że konie się nie łatwo dały wstrzymać i z pod samych wrot odwrócić, major uderzył woźnicę po ramieniu, w największym gniewie, powtarzając:

— Nawracaj skurczypa! do kroćset batalionów....

Szymkowi tego było za' wiele, czuł się pokrzywdzonym na honorze, zatrzymał konie i zamiast je zwrócić, sam się obrócił ku panu.

— Przecie mi pan major nie mówił, dokąd mamy zajechać — zkądże ja to miał wiedzieć? Jużci my po folwarkach nie zwykli?... zawołał Szymek.

— Nawracaj! prędej! będziesz ty mi rezonował! powstając w koczobryku wołał rozogniony coraz bardziej major — nawracaj!

Gniew ten wywołać musiało i to, że odźwierny stał patrząc u wrot, i że w ganku pałacyku ukazało się kilka osób ciekawie się przypatrujących bryczce stojącej przed bramą.

Pomimo połajania, Szymek czując się niewinnym i w swém prawie, nawracając ust nie zamknął.

— Ja niewinien przecie — czemuż jaśnie pan zawczasu mnie nie mówił, że nie do dworu jedziemy.... Ja nie wiem gdzie tu folwark....

Podróżny zaciął usta.

— W prawo — zawołał, ukazując drogę — w prawo — i milczeć. Winien, nie winien.... komendy słuchać i usta stulić! Słyszysz!

Szymek milcząc zawrócił się w prawo. W ganku tymczasem ten cały zatarg i krętanina musiały zwrócić uwagę służby, bo się jój coraz tam więcej zbierało. Odźwierny zobaczywszy, że bryczka wzięła się na prawo, powrócił do swój chatki.

Major jechał rozbudzony, ale podrażniony, fajkę rzucił w nogi, kapciuch schował prędko do kie-

szeni płaszcza, otrząsł się z pyłu.... i milczący patrzył wyglądając folwarku.

Droga pomiędzy klombami wiodąca ku niemu, cienista, jak w parku starannie utrzymana, po bokach miała małe dworki z ogródkami.... Czuć tu było i dobry byt, i ład wielki, i porządek surowo trzymany, co się u nas rzadko na wsi zdarza. Nigdzie połamanego płotu, odartego drzewa, zdeptanej murawy. Na podziw jakoś wyglądało wszystko po wojskowemu wymusztrowane.

Folwark, do którego jechali, już widać było, na tle także starych drzew, niby porządny dworek szlachecki, z dziedzińczykiem tak samo jak pałac ogrodzonym. Tu tylko ani chatki, ani odźwiernego nie znaleźli, i już Iwaś się zbierał z koźła skoczyć, aby zamknięte otwierać wrota, gdy z dworu, w szarój kurtce wybiegł chłopak i uprzedził go. Z nim razem dwa psy gończe prześliczne, lśniące, wesołe, a przy nich wyżeł, szczekając śpieszyły do bramy....

W chwilę potem major stał w ganku i miał zapytać o pana.... gdy drzwi lewe w sieni otwarły się, i z nich szybkim krokiem wybiegł niemłody mężczyzna, z otwartymi rękami, rozjaśnioną twarzą, na powitanie.

— Major!!

— Pułkowniku kochany — tak — to ja!

Padli sobie w objęcia, tak serdecznie, tak niemal namiętnie się całując, że długo żaden nie odezwał się słowa. Uścisk ten milczący powtórzył się razy kilka, a gdy dwaj towarzysze broni podnieśli głowy, w oczach ich nie żołnierskie łzy widać było...

Pułkownik ów, który wyszedł na spotkanie majora, był jakby z jednej z nim rodziny pochodził, do niego podobny. Nie rysami i nie twarzą, raczej postawą i rycerskimi ruchami starego wojaka. Trzymał się też bardzo prosto, mimo siwiuteńkich włosów, miał siwe pół księżycowe bakembardy, wąsik czarno umalowany, chustkę na wysokiej duszce — białą, i — może nawet kolczyk w uchu.

Dwie te twarze różne w sobie, widomie czas jakiś w jednej formie ugniatane służbą, nabrały pewnego familijnego podobieństwa... Ale pułkownik nieco był starszy, twarz jego więcej była wypogodzona i uspokojona, oczy jego niebieskie śmiały się, gdy majora czarne trochę niecierpliwie na świat patrzyły.

Po uścisku i ucałowaniu, wzięli się za ręce, a pułkownik rzuciwszy, słowo: — Konie do stajni, rzeczy do gościnnego pokoju, wprowadził gościa do domu.

W ślicznym pokoju bawialnym, do którego weszli, wnet było można poznać starego kawalera, lubiącego porządek i czystość człowieka... Po-

cząwszy od wyfroterowanej jak szkło posadzki, do firanek jak śnieg białych, wszystko było świeże, nigdzie pyłku, i każdy sprzęt, każda drobnostka miała tu swe wyznaczone miejsce, jak żołnierz w szeregu. Na ścianach piękne, wielkie litografie z Verneta, wystawiały sceny wojskowe i śmierć księcia Józefa, kilka portretów sztychowanych generałów i wojskowych towarzyszyło im. Przez drzwi na pół otwarte widać było obok gabinet z biurkiem, równie starannie uporządkowany...

— Ani ty mi mów, majorze kochany, żeś do mnie przyjechał... zawołał śmiejąc się gospodarz. Wiem czemum to winien... wiem! Dawnom się spodziewałem skorzystać z tego, że syn wziął dzierżawę w naszym sąsiedztwie... Byłeś u syna.

— Nie byłem u syna — odparł nieco zmieszany major — daję ci słowo i żołnierskiem słowem mogę ci zaręczyć, że na ten raz więcej dla zobaczenia się z wami niż z synem przyjechałem... Chciałem cię uścisnąć, widzieć i nagadać się. Słowo daję!

Pułkownik Brandys uścisnął przybyłego milczący.

— Bóg zapłać! ale mi tego nie wybijesz z głowy, żebyś dla mnie odbył podróż.

— Słowo...

— No, to wierzę... i tém jestem wdzięczniejszy. Siadaj, stary kolego, ochoczo zawołał gospo-

darz: siadaj, rozgość się, jesteś jak w domu u mnie. Widzisz... sam jestem... i czém chata bogata, tém rada...

Przybyły pan major, Piotr Jazyga, poprawił włosów pół siwych na łysinie, bo miał zwyczaj ją zakrywać po staremu temi, co mu z tyłu głowy pozostawały, potarł czoło nieco zafrasowane, i z wolna siadł w fotelu.

Gospodarz wołał już o śniadanie i krzątał się około przyjęcia.

— Daj pokój tym kłopotom o mnie — odezwał się Jazyga — my się nagadamy, a na noc pojedę do syna...

— Żeby mnie przekonać, żeś przyjechał do mnie i dla mnie, *Sacré matin!* rozśmiał się pułkownik, ponownie ściskając przyjaciela. Syn się wami nacieszyć będzie miał dosyć czasu — a ja — dalipan, dziś przynajmniej nie puszczę. Ileż to lat, ile lat — teśmy się nie widzieli!

— Ile lat, westchnął major — nie liczymy lepiej.. *labuntur anni...* Co robić, byle serca nienaruszone niemi zostały...

— A! mój Pietrze — przerwał Brandys — ileżem to ja razy, ile razy was wspominał, wzdychał do téj chwili, gdy uścisnę. Szczególniej gdy szczęśliwy traf do nas tu syna twego sprowadził... na widok jego o małym się nie rozpłakał, tak mi was przypomniał... Dopytywałem go ciągle, czy też

do nas nie zawitacie? Filut chłopak, bo mi zawsze powtarzał, że lubicie swój kąt, że się wam z niego ciężko oddalić... i że się nie bardzo odwiedzin spodziewa...

— I nie kłamał, słowo daję — począł major. — Ja tam nie bardzo się spodziewałem być u was. W istocie wrosłem w swoją skorupę, po co się włóczyć po świecie?... człowiek dożywa resztek, nie spodziewa się niczego, mało ku czemu tęskni... Ot, jednak — choć uścisnąć was, a pożegnać się z wami zapragnąłem.

— Na cóż u licha żegnać?

— Bona stary, czuję się starym — rzekł major wzdychając. Nie mierzcie sobą losów moich... Wyście swobodni, szczęśliwi, nie związani niczem — ja byłem szczęśliwy póki żyła moja droga Anusia... syna się dochowałem... niebardzo mu już potrzebny jestem...

— Ze złego tonu śpiewasz! pfe! przerwał pułkownik; ja tego słuchać nie chcę. Póki człowiek żyje, ma obowiązki być żwawym, żywym i ochotnym do końca...

Wniesiono śniadanie, które chłopak, stół ode drzwi wzięwszy, starannie wśród pokoju zastawił. Brandys chwycił za flaszkę...

— Napijemy się wódki — aby tę tęsknicę przepędzić? rzekł podnosząc w jednej ręce karafkę, w drugiej kieliszek. — Starka czy kimel? no?

Major się zawahał...

— Starka! mamy przedziwną! jak oliwa!— dodał pułkownik... Ja nią tylko takich gości jak ty przyjmuję, bo ją mam z łaski méj dobrodziejki, i nadużywać nie chcę. Zobaczysz! istny eliksyr długiego życia. W ręce twoje...

Wstał Jazyga, napili się po kieliszku, a że po drodze głód dokuczał, wzięto się do wędlin, masła i przekąsek ochoczo...

Brandys téż miał apetyt wyśmienity, odpowiadający wesołości, która się malowała na jego twarzy... Major był milczący, odpowiadał półsłowami, i choć widzenie dawnego kolegi widocznie budziło w nim radość, przesuwwały się po niej jakby chmury jakiejś wewnętrznej troski, którą pragnął ukryć w sobie. Zamyślenie to, jakie go w drodze trapiło, wracało przy śniadaniu, co nie uszło oka wesołego pułkownika.

— Zmęczony być musisz drogą, odezwał się wreszcie, bo nie przypuszczam, żebyś miał troskę jaką, a coś mi wyglądasz chmurno...

Jazyga razem westchnął i uśmiechnął się, ruszając ramionami...

— Jakżebym troski nie miał, mając syna— mój drogi pułkowniku! Najlepszy, najpocziwszy w świecie chłopiec, ale to młode. Znamy co młodość, i jak to trudno to morze nawalne bez szwanku przepłynąć. Więc choć mi mój pocziwy, kochany

Robert najmniejszego powodu nie daje do niepokoju o niego — ale, serce ojcowskie...

— Zlitujże się — począł Brandys — serce ojcowskie! Co ty mówisz! chyba wątroba, jeśli na nią chorujesz; to złoty chłopiec! to wzór dla młodzieży... Jakąż troskę możesz mieć o niego? My tu go często widzimy, sąsiadujemy z nim, wiemy najlepiej jak siedzi i co robi... A! to kochać się w tym twoim Robercie! Słowo daję — winszować ci...

Nie wiedzieć dla czego, gdy pułkownik mówił, że go tu często widują, po twarzy majora przesunęła się chmura, mimowolnie usta zaciął, ale jakby się wydać lękał z tém, co go tknęło, wnet przymuszonym śmiechem i wesołą twarzą zaczął dziękować...

— Bóg zapłać za dobre słowo — rzekł — wiecie, że ojca nie tak nie uszczęśliwia jak pochwała dziecięcia. Tak jest... mam wszelkie powody cieszyć się moim pocziwym chłopcem — ale..

Tu się zaciął major, zaczął sobie chleb smarować i posypywać serem niepotrzebnie... zwiesił głowę, umilkł.

— No — co za ale? — spytał Brandys.

Jak gdyby o wyrzeczoném — ale — już zapomniał major, oczy podniósłszy zdumione tylko, nic nie odpowiedział.

— Nie ma żadnego ale — dokończył Brandys, — żadnego ale, żadnej, najmniejszej płochy, zachcianek.... mówię ci — wzór dla młodzieży...

Zamilkli. Śniadanie się skończyło, i obaj usiedli w krzesłach, zamiast fajek zapaliwszy cygara. Rozmowa o synu Jazygi zdawała się wyczerpaną; przy cygarach zaczęli obaj przypominać dawne czasy... służbę w wojsku Napoleona, potem w wojsku polskim pod wielkim księciem... Było to źródło nieskończonych reminiscencyj, zapytań, odpowiedzi, wykrzykników, podziwień: Umarł — ożenił się — zginął... Z kolei wywoływali tak duchy i cienie towarzyszków broni, których najrozmaitsze spotkały losy... Jedni się bez wieści rozpierchli po świecie, drudzy poodmieniali do niepoznania... dla jednych los był opiekunem i powynosił ich wysoko, drugich strącił tak nisko, że litość obudzali... Wielu z tych co najpiękniejsze nadzieje czynili o sobie, zawiodło je okrutnie; inni, po których nic sobie nie obiecywano, wyszli tam, gdzie nie marzyli. Któż w Zajączku, przyjacielu gorącego, demokratycznego Kollataja, mógł przewidywać księcia namiestnika?... Tak było i z wielu innymi...

— Mój drogi — odezwał się Brandys — a mógłbym ja, doszedłszy do stopnia jaki w wojsku miałem, przewidywać kiedy, że skończę tu w Ruszkowie, jako rządcą mojej drogiej panny Pretwiczowny?...

Prawda, że mnie z nią dalekie jakieś łączyło pokrewieństwo, ale gdy przypadkiem się z nią spotkał i poznał w Warszawie, ani mi było w głowie, że mnie na generalnego swojego plenipotentą i rządcę wykieruje. Przyznam ci się, że nawet wcale do tych funkcji nie czułem w sobie usposobienia. Tymczasem ta, naówczas młoda dziewczynka, bystrzejsze miała oko odemnie: poznała w starym wojskowym przyszłego hreczkosieja... Cha! cha! ale ba!! Jest też to niepospolita kobieta! Takię drugieję może na świecie nie ma....

Słuchając tych pochwał, major czegoś się coraz bardziej zadumywał, cygaro począł gryźć, w okno zapatrzył, i znowu chmury mū się po czole błąkać zaczęły.

Tymczasem Brandys, gdy raz wpadł na ten przedmiot, dla obcych wcale nie zajmujący, trudno mu się już było oderwać od niego, i nie bardzo zważając na pewny rodzaj roztargnienia, które major okazywał, mówił dalej:

— Ty jēj nie znasz, tēj mojej dobrodziejki?

Major głową potrząsł.

— Przecież ci syn musiał mówić, bo tu u nas bywa — ciągnął dalej pułkownik, — i co najlepiej dowodzi ile ten chłopiec wart, nasza panna — a o to u niej nie łatwo — bardzo go lubi! Powiadam ci, bardzo cenl....

Major zawsze roztargniony, tylko głową ruszył i nic nie odpowiedział. Brandys, ożywiając się ciągle, dalej opowiadał wesoło:

— Syn ci nie mógł jednak wielu rzeczy ciekawych opowiedzieć, których się dowiesz odemnie. Rozumie się *sub rosa*, — między nami. Znasz jég historyę? To bo coś osobliwego i ta kobieta, i jég życie....

Major z zaciekawieniem, ale razem zakłopotany zwrócił oczy na opowiadającego, cygaro mu zagasło. Wzięto się do zapalenia go na nowo, to nieco rozmowę przerwało, lecz pułkownik był przejęty swoim ulubionym przedmiotem — i nie dał zbić się z toru....

— O tak — dodał — tak — jest to ze wszech względów historia ciekawa.... można powiedzieć — zagadkowa. Wystaw sobie pannę piękną, bo słowo ci daję, choć nieco zimną się wydaje i surową, a nieprzystępną, ale piękną jest i ujmującą gdy chce.... wystaw sobie osobę rodu znakomitego.... Wiesz czém byli Pretwicze niegdyś!

Tu przerwał sobie Brandys, aby podnieść sławę zapomnianego imienia.

— Pretwicze! dziś to tam mało kto o tém i wie, ale lat temu trzysta liczyli się do najznakomitszych w Rzeczypospolitéj. Było przecie przysłowie: — Za pana Pretwicza, spała od Tatar granica. .. Ha! Toć to niewiele jest w kraju rodzin,

coby jak Zawisze i Pretwicze dostąpili téj sławy, by w ludowych ustach się unieśmiertelnili! Ha!

— Wystawże sobie — mówił dalej — pannę młodą jeszcze, piękną, z takim imieniem, a dziś i bardzo bogatą, która ani chce słyszeć, żeby kiedy za mąż iść miała. He?

Major milczał.

— Nie myśli za mąż iść? wyjąknął po długim przestanku — a — a to bardzo rozumna — słowo daje....

— Albo — albo — odparł Brandys... — nie jest to bez przyczyny....

Tu zniżył głos i z krzesłem się przysunął do kolegi, szepcząc coraz ciszej.

— Nie każdy to wiedzieć może i powinien.... Matka mojej dobrodziejki była w małżeństwie naj-nieszczęśliwszą w świecie kobietą. Między nami mówiąc, nieboszczyk Pretwicz, za którego bogata Boguszanka za mąż z miłości poszła, a kochała go do szaleństwa — choć to był ojciec mojej dobrodziejki, nie mogę inaczej wyrazić się o nim — był to łotr z pod ciemnej gwiazdy. Szuler, pijak, rozpustnik.... Najmilszy z ludzi przytém, słodki, dowcipny, miły, choć go do rany przyłożyć na pozór, ale mu ani zaufać, ani na serce jego rachować, ani srom w nim obudzić nie było podobna. Dosyc powiedzieć, że ta kobieta żyjąc z nim, czyścić, jeśli nie piekło miała na ziemi.... Zagryzł

ją, zameczył, zdradzał, nadużywał, a ona kochała go do końca.... Szczęściem go chorobsko jakieś obrzydłe wzięło, gdy już z żony ledwie cień pozostał, a z majątku ruiny.... gdy ta kochająca kobieta.... musiała się już brzydzić człowiekiem bez czci i wiary.... Po zmarłym jeszcze trzeba było długie lata oczyszczać każde miejsce, którego tylko dotknął stopą.... Dziecko od najpierwszych lat łączy matki liczyło, męczarni tych było świadkiem mimowolnym. Niepodobna było nic ukryć przed żywego umysłu wyrostkiem.... domysłującym się łatwo.... a nieboszczka ukrywać się ze swą niedolą i siły nie miała. Ten widok i doznane w kolebce niemal wrażenia, sceny okropne.... wraziły się głęboko w umysł mojej panny, — po-przysięgła sobie, że nigdy za męża nie pójdzie....

Major słuchał chciwie, twarz mu się rozjaśniała widocznie....

— A! żebym ci ja chciał i mógł opisać, co się to z téj kobiety wyrobiło — mówił Brandys — skutkiem tego postanowienia!! Inna — mój Boże — zagryzłaby się, skwaśniała, a zresztą i słowaby nie mogła i nie umiała dotrzymać. — A ta!!

Uśmiechnął się major....

— Przecież nie jest jeszcze tak stara — wtrącił — choć mi syn mówił, że się sama ciągle starą panną nazywać lubi. Ktoż wie, czy jój później i za późno nie przyjdzie fantazya....

— O! nie! żywo przerwał Brandys, że nie to nie. Ja ją znam. To charakter żelazny.... Ba! ba! Gdy z téj ruiny, w jakiej nieboszczyk nas zostawił, z latami, przy oszczędności i ładzie fortuna się podniosła, oczyściła i znowu stała wcale pańska.... mieliśmy bez liku konkurentów. Dalipan i takich, którychby inna nie odrzuciła; że o innych nie wspomnę, dwu wołyńskich goluteńkich książąt czy kniaziów, ale tak wyedukowanych.... bo to tam ich zawczasu na myśliwców posagowych uspasabiają — powiadam ci.... *sacré matin!* — jak królewicze! Ani patrzeć na nich nie chciała.... Co ona ich tu wymiotła i jakich!! Teraz też wiedzą, że próżnoby tu się kuslli, żaden ani zajrzy....

Ustał nieco pułkownik, bo i jemu cygaro zgaśło, zapalił je prędko, i nie dając zmienić przedmiotu rozmowy, kończył uparcie o swój pani.

— Kobieta wyjątkowa, powiadam ci....

— Wiele ma lat? przerwał major....

Brandys głową pokiwał.... Zdawało mu się nieprzyzwoitém zdradzać najdrażliwszą z niewieścich tajemnic swój pani.

— Co tam lata — rzekł porywczo — metryka głupstwo.... Zobaczysz.... wygląda młodo, a rozum — rozum nas wszystkich starych zakasuje.... Prawda, w ogóle niewiasty, wiesz — włosy mają długie, mówi przysłowie — a rozumu niewiele; a no, gdy się rozumna niewiasta uda, żaden jéj

z nas nie dorówna; bo będzie miała rozum mężki, a uczucie kobiece, którego nikt z nas mieć nie może. Dwie te potęgi gdy się trafem zejdą z sobą.... stanowią olbrzymią....

— I — powiadasz, że się schodzą? spytał nieco szydersko major.

— A, powiadam! powiadam! bo przykład mam przed oczyma! gorąco odparł pułkownik.... Może się to trafiać bardzo rzadko — nie przeczę — ale się trafia.

Major dziwnie kręcił ustami.

— Nie będę się z tobą sprzeczał — rzekł zimno — ale mnie się zdaje, kochany pułkowniku, iż z uwielbienia dla swój pani wpadasz w teorię, niedającą się usprawiedliwić.... Rozum gdy się z uczuciem spotyka, jedno z dwojga, albo je zje, albo się da spoić, i tak z nim jak z Samsonem.... Za późno potem odrasta mu siła, i po to tylko, aby jój użył — na gruzy....

Westchnął major, ciągnąc mocno dym ze znowu przygasającego cygara. Machnął ręką. Pułkownik był niemal urażony....

— A ja ci powiadam -- odparł, — że są wypadki, iż rozum się żeni z uczuciem i małżeństwo bywa zgodne!

— Wówczas kobieta bywa taka rozumna — szepnął z cicha z między zębów major, iż przestaje być niebezpieczną, i zapomina być kobietą....

Brandys aż się porwał z krzesła.

— Widzisz, kochany panie Pietrze — zawołał — widzisz, że nie znasz mojej pani, to ci tę herezyę wyrzeczoną przebaczam. Gdybyś ją poznał....

Major tak spuścił głowę i zatopił ją w ramionach, tak się zgarbił, iż mu nawet twarzy widać nie było. Zmilkzał zupełnie....

— At! co to gadać o tém — wciąż mówił Brandys — są wyjątkowe istoty, a jedną z nich niezaprzeczenie jest moja dobrodziejka.... Ma wdzięk niewiasty, a rozum mężki i naukę.... Czego ona nie umie? czém się ona nie zajmowała??

— Widzisz, kochany pułkowniku — bez urazy, bez urazy — rzekł cicho głowę podnosząc major. Wiedziałem o tém od mojego syna, który, jak wy, z wielkiem jest uwielbieniem dla tych fantazyj.... A to są, nie więcej jak kobiece fantazyje.... Chwyta z kolei dla rozrywki, dziś filozofię, jutro botanikę, pojutrze astronomię — na ostatku muzykę, chemię, nie wiem już tam co.... Wszystko to.... zabawki.... zabawki:...

— Bez urazy.... pułkowniku, dodał major — ot, prawimy sobie tak o kobietach w ogóle, ujmy jéj to nie czyni. Ja lubię kobiety, które kobietami po prostu, jak Bóg przykazał, być umieją. Nie dziwujcie mi się, że oponuję....

Nachmurzył się Brandys.

— Czegożbym się miał obrażać? rzekł: najprzód wy jój nie znacie, powtórę wyjątkowe istoty wzbudzają zawsze niewiarę w swą egzystencję u tych, co sami się nie przekonali, że są cuda.... Naostatek, po cobym miał tać? z pewnego względu macie słusność, choć w istocie, sięgnąwszy do głębi — nie! Zapewne, że kobieta, której przeznaczenie zostało zwichnięte, musi szukać dla umysłu zajęcia, pokarmu.... Jeśli umysł jest żywy, pokarm się wyczerpuje, musi przechodzić do innego.... Nie przeczę, że to są, jak ty mówisz, zabawki, ale uczciwe, potrzebne i — w końcu podnoszące i kształcące....

Z kolei major zamilkł — potrząsł tylko głową.

— Nie mamy się o co sprzeczać — dokończył Brandys — opowiadam ci na co patrzę z uwielbieniem.... Charakter, umysł, wola.... a przytém serce! serce!!

Major podniósł oczy, w których znowu zdało się pułkownikowi, że wyczytał niedowierzenie.

— A no, tak — serce! serce! powtórzył — ale serce rozumne!! Wydaje się zimną, często surową, ale umie być dobroczynną sposobem wyrozumowanym, tak że żaden jój uczynek dobry nie idzie marnie....

Rozśmiawszy się dodał Brandys:

— To prawda, że ona się do serca i uczucia

nie przyzna nigdy — zawsze niby czyni wszystko z obowiązku — a no — znamy się na tém!!

Chociaż już major Jazyga wcale nie podsycał rozmowy, która zdawała mu się być niezbyt miłą, pułkownik nie przestał rozwodzić się z pochwałami swój dobrodziejki. Było w nich jawnie dużo przesady, nadto uniesienie i serce poczciwego Brandysa zbyt wielki może udział w nich miało. A że w początkach major objawił jakby sceptyczne usposobienie, Brandys tém mocniej nalegał, dowodził i nastawał....

— Najwięcej mnie to dziwi—odezwał się w końcu, że wy, kochany majorze, coście od syna pewnie wiele dobrego o nią słyszeć musieli, bo twój Robert jest, jak my wszyscy, z wielkim dla niej uwielbieniem -- że wy — wy — jakoś mi się zdradzacie z pewną... jakby to nazwać... gorzej niż obojętnością dla méj dobrodziejki... Przez samą wdzięczność powinniście ją na niewidziane wielbić — bo dziwnie jest łaskawa dla waszego syna....

Słyszając ten zarzut major się podniósł i gorąco zaprotestował.

— Ale — kochany pułkowniku — cóż ci się marzy?... Zkąd, dla czego, miałbym ja mieć jakieś uprzedzenie przeciwko osobie tak powszechnie szanowanój, gdy zwłaszcza jeszcze i wy dla niej ma-

cie tak gorące przywiązanie — i dla Roberta jest... tak łaskawą?

Ostatnie wyrazy wymówione były takim tonem dziwnym, że Brandys aż spójrzał zdziwiony na kolegę i — zamilkł.

Milczeli jakiś czas oba.... zdawało się, że zaczęną mówić o czém inném, gdy śmiejąc się z przymusem Major Jazyga wtrącił:

— A już to powiem ci, pułkowniku, że choć nadzwyczaj jestem wdzięczen waszój pani, że pocziwego Roberta, tak przyjmuje dobrze — ale — nie jestem ja temu bardzo rad.

— Co? dla czego? krzyknął Brandys.

— Bo, bo widzisz — wolałbym, żeby więcej pilnował gospodarstwa, i w te górne strefy towarzyskie, do których nie jest stworzony, nie zaglądał. Słuchaj — syn to mój jedyny — chciałbym go widzieć.... szczęśliwym. Nic więcej. Rozumie się pocziwym naprzód — bo na tém tylko prawdziwe się szczęście opiera. Więcej dla niego nie chcę nic. Nie dałem mu umyślnie wysokiej nauki, bo to męczeństwo jest.... Chciałem, by był rozsądny, pojętny, praktyczny. Nauka pali człowieka i rodzi sceptycyzm.... suchoty moralne, lub pragnienie nienasycone wiedzy.... Po co mu to? Nie pragnę dla niego bogactw, bo te psują i niepokoją człowieka.... Jest to ogień, który ogrzewa, ale i parzy, i pali. Nie starałem się dlań o stosunki

nad naszą sferę, bo te częściej niewolnikiem robią niż podnoszą, a niekiedy upadlają. Skromne dla niego miałem i mam życzenia — chcę by w umiarkowanej atmosferze pozostał.... ot, tak, pocziwym wiejskim szlachcicem, szczęśliwym mężem i ojcem rodziny.... Nic więcej.

Pułkownik słuchał z natężoną uwagą.

— A cóż mu bywanie u nas i towarzystwo naszej dobrodziejki szkodzić może? zapytał.

— Ja nie mówię, by szkodziło — rzekł major — zrozumiej mnie. Dom to pański, osoba niepospolita, — mogąca na młodego chłopaka wpływ wywierać.... A tu o nauce, o książkach, o kwestyach nierozwikłanych nieustannie, słyszę, mowa — od tego mu się w głowie może zakręcić.... Po co to? po co?

Ruszył ramionami Brandys.

Major mówił dalej:

— Ty wiesz pułkowniku, ja panów nie lubię — i pańskiego świata.

— Tak, wiem o tém — odezwał się Brandys. — Nie masz słuszności — są panowie różni, w czambuł wszystkich tak potępiać niepodobna, a towarzystwo ich jest najmilszém w świecie....

Skrzywił się Jazyga.

— Tak! tak! dodał — bardzo miłe — ale się w niem człowiek rozpieszcza, uczy się próżnowania, mięknie.... Potém mu nic nie smakuje....

— Widzę tylko — rzekł chmurząc się trochę Brandys, że z miłości dla syna wpadasz w dziwactwo, kochany majorze.... Jak cię kocham.... Wolałbym na twém miejscu lepsze dla niego towarzystwo, niż zabawę na folwarku z dziewczętami, lub po jarmarkach z drobnią szlachtą.... przy ponczyku i kartach....

— O! o to jestem spokojny! rozśmiał się major.— Robert nie ma do anderaczków najmniejszego pociągu, ani do kart i butelki.... a.... towarzystwo gładkie.... nadto mu się uśmiecha....

— E! dziwaczysz, słowo daję! zawołał pułkownik.... Co u kata! my ci go nie popsujemy!!

— Gadało się to tak, aby gadać — zakończył major; wyciągnąłś mnie sam nie wiem jak na to....

Milcząc przeszedł się major po pokoju parę razy pósepnym, stanął potem przed starym kolegą, który z podziwieniem postrzegł, że miał oczy zwilżone.

— Daruj ty mi pułkowniku — rzekł głosem, w którym czuć było poruszenie — daruj mi, że ja starym obyczajem serce moje całe odkrywam przed tobą aż do głębi, która się tobie wydaje dziwactwem, a jest dla jedynego dziecka miłości pełna. Mam go jednego, nim i w nim żyję! Być może, iż się troszczę zbytnio.... ale wszystko mnie

przestrasza.... Chciałbym go widzieć szczęśliwym....

Pułkownik ścisnął mu ręce z uczuciem.

— Kochany mój majorze — szczęśliwym chcesz go mieć — ale po swojemu....

Jazyga się zamyślił.

— Tak, może to być, rzekł; ale jakże ty chcesz, bym inaczej patrzył ino przez własne oczy i serce? Ja szczęście dla niego pojąłem w warunkach, które mi się ze stanem jego i położeniem zdają najzgodniejsze.... Inaczej nie umiem. Znasz francuzkie przysłowie.... *La plus belle femme....*

Rozśmieli się i tak rozmowa, ku końcowi rozrzewnieniem i łzami zwilżona, zamknęła się niby żartobliwym zwrotem. Pułkownika jednak uderzyło to, że major lękał się o syna, i że mu się z tego zwierzał. Choć to było niby przypadkowe wygadanie się — coś więcej pod niem można się było domyślać.

Zdaje się, że major także począł się obawiać czy za nadto się z myślą jakąś nie zdradził, bo zagadał zbyt porywczo o koniach i psach, i z nie-naturalném zajęciem wychwalać począł psy widziane w ganku. Mowa jego była pośpieszna, niemal gorączkowa, a ile razy pułkownik otworzył usta, jakby obawiając się powrotu rozmowy do pierwsze-

go przedmiotu, natychmiast zagadywał o koniach, polowaniu i t. p.

Przeszło tak dosyć czasu, i ani się spostrzegli, gdy od koni przeszedłszy do dawniej służby, do anegdot z SASKiego placu i Belwederu, przepapłali godzin parę. Obiad u panny Pretwiczówny jadano około drugiej; pułkownik chodził do stołu do pałacu.... Zdawało mu się najnaturalniejszém w świecie zaprowadzić z sobą majora, zaprezentować go pani domu, jak to zwykle ze swými gośćmi czynił, którzy od niej byli mile widziani. W tém życiu wiejskiem każdy nowo przybywający, przynosił z sobą żywiół jakiś świeży do rozmowy, lub sam w sobie stawał się przedmiotem ciekawym i był pożądanym. Pułkownik nie wspomniał nawet koledze o tém.... zdawało mu się to zupełnie w porządku.... Spójrzanie na zegarek przypomniało Brandysowi tę obiadową godzinę.

— Wiesz co! przerwał nagle — a możebyśmy, uprzedzając godzinę obiadu, poszli teraz do pałacu?

— Do pałacu! rzucając się odparł major: do pałacu? my! a to po co?

— A no — na obiad!

— Jak to! to ty nie jadasz u siebie w domu?

Brandys zamilkł zafrasowany.

— Zmiłuj się — jakże chcesz! po cobym miał dla siebie jednego kazać gotować? U nas to jest zwyczajem, że ktokolwiek przyjeżdża, idzie ze

mną do mojej dobrodziejki. Jam tu jak gospodarz, a ona.... ona! jest samą uprzejmością.... słowo ci daję.

Major stał jak osłupiały.

— Człowiecze! zawołał... ale ja za żadne skarby świata towarzyszyć ci nie będę! To nie może być! Głodny nie jestem. Posiedzę tu, popalę cygaro, dasz mi gazetę, będę czekał na ciebie.... a że nie pójdę do pałacu — to — jak mnie żywego widzisz....

— Ale dla czegoż?

— Nie mogę! nie chcę! Zresztą nie mam się w co ubrać. Nie mam z sobą nic oprócz tej taratki. Za nic w świecie, za nic w świecie!

Brandys stał okrutnie zakłopotany i pokręcał wąsa....

— Proszę cię! na taratatkę u nas nikt w świecie nie zważa. Ja za ciebie przeproszę i winę wezmę na siebie....

— Nie mogę! nie pójdę! daruj! to niepodobieństwo! powtarzał major....

— Jestem pewien, że moja pani wie już o waszém przybyciu — dodał pułkownik, nazwisko wasze jej powie, że jesteście ojcem pana Roberta, będzie wam to miała za złe.... Zlituj się.... W dodatku pogniewa się na mnie....

— Nie mogę! nie mam fraka! nie mogę! powtarzał coraz mocniej zaniepokojony major, który zdawał się już szukać czapki i chcieć uciekać.

Pułkownikowi nie pozostawało już nic nad to, by kazał obiad przynieść do folwarku. Lecz ile razy się to trafiało, panna Ada zawsze czyniła mu wymówki, wprowadzała ją to w najgorszy humor.... Brandys tém się więcej lękał tego, że szło o Jazygę ojca, którego syn, jak mówił, był w wielkich łaskach u dobrodziejki.

Major domysławiając się może, iż pułkownikowi stał się kłopotliwym gościem, zbliżył się do niego, z uśmiechem.

— Kochany pułkowniku, rzekł: wiesz co najlepiej będzie? Ja teraz do syna pojedę.... Puść mnie, jutro wieczorem się zapraszam na herbatę. Juściż samowar masz u siebie....

— Ale nie — nie! — zastępując drogę począł pułkownik — ja cię ubłagam — nie będziesz się upierał.... Taratotka na wsi to jak frak w mieście.... poznasz moją panią — idzie mi o to.... Naówczas lepiej ją ocenisz.... Majorze! zaklinam! na dawną przyjaźń i koleżeństwo! proszę! uczynże to dla mnie!

Major całował, mruszał, wymawiał się, ale stał upornie przy swoim.

— Słowo daję — nie mogę! nie mogę!

Jeszcze się tak certowali, a Jazyga coraz bliżej drzwi popychał gospodarza, dążąc do nich, gdy te się otworzyły i niespodziane zjawisko ukazało się na progu.

Była to — kobieta....

Z pierwszego na nią spojrzenia przerażony major odgadł w niej panią domu.... Z opisów syna tak ją sobie właśnie wystawiał.

Trudno było wiek jój oznaczyć. Nie była ani bardzo młodziuchna, ani wcale stara, — średnich lat też dać się jój nie godziło. Miała w sobie tę młodość przechowaną, skamieniałą, którą dają pewne temperamenta i charaktery. Słusznego dosyć wzrostu, pełnych kształtów, zręczna i gibka, postawę miała pańską, śmiałe ruchy, coś w twarzy nakazującego i nie dającego sobie rozkazywać.... Widać w niej było okolicznościami zawczasu wyswobodzoną niewiastę, nawykłą używać swój woli, panować nad sobą i drugimi. Wyras ogólny całej osoby obudzał poszanowanie, ale zarazem pewną trwogę, pomimo że jój nie zbywało na niewieścim wdzięku. Twarz biała i rumiana, zdrowiem jaśniejąca, z ciemnymi, zuchwale niemal patrzącymi oczyma, z czołem podniesioném, składała się z rysów klassycznie pięknych, ale nie mających na pierwszy rzut oka tego, co się indywidualną fizyognomią nazywa. Była to piękność owój muzy starożytniej, która się tysiąc razy

powtarza i nie zdaje się mówić nic — ale u panny Ady ten chłód klassyczny, przy bliższém wpatrzeniu się, gdy się ożywiła, zapomniała trochę, okazywał się przybrany. Oswobodzona z pęt, które sama wkładała na siebie, zmieniała zupełnie twarz, mówiły oczy, śmiały się usta — oblicze stawało się może mniej piękném, ale ożłocóném promieniem myśli i ciepłem uczucia. W pospolitych momentach nie bywała taką panna Ada — lecz ci, co z nią żyli, znali tę metarmozozę i kochali ją więcéj zmienioną niż powszednią.

W ogóle jako kobieta nie mogła starych kawalerów nie zachwycać! Rączka, nóżka, przepyszne włosy, białe zęby perłowe, płeć prześliczna, czyniły z niéj istotę już pod plastycznym względem wyjątkową. Dodawszy wyraz twarzy, wzrok prześzywający, czoło myślące, to coś w ustach, co znamionuje, że one mówić umieją i uśmiechać się wdzięcznie.... niepodobna było ominąć ją bez pokłonu. Piękna kobieta, w której oczach błyska iskra intelligencyi, jest niezawodnie najidealniejszą na ziemi istotą. Dla tego malując aniołów, przybierają ich w dziewicze postaci.

Wprawdzie panna Ada, mimo swéj znakomitéj piękności, nie miała wyrazu łagodnego anioła, — można ją chyba było postawić w obrazie jako tego z mieczem ognistym, co stoi u bram zamkniętego raju; — ale była uroczyście piękną, i major prze-

straszony, osłupiał zarazem zobaczywszy ją przed sobą.

Ubrana była po domowemu, bardzo skromnie, w czarną suknię pod szyję, z białym kołnierzykiem, ale ten strój nadzwyczaj prosty, niepojętą tajemnicą niewieścią był zarazem pełen elegancji, smaku, kroju tak szczególnego, iż artyści zdradzał rękę. Widać było z niego, że panna Ada nie lubiła się stroić, ale się lubiła ubierać, jak przystało kobiecie — że chciała być piękną, ufając w to, iż piękność jój nie potrzebowała być podnoszoną sztucznie, tylko właściwie uwydatnioną. Od trzewiczka począwszy do rękawiczki wszystko było harmonijnie dobrane, świeże, ładne. Nic krzyczącego nie psuło téj prostoty ubrania, bo torebka u boku, zegarek i łańcuszek były z oksydowanego srebra.... Parasolik, który trzymała w ręku, miał takąż rączkę, przedziwnie wyrzeźbioną, prawdziwe arcydzieło sztuki.

Zawahała się chwilkę u progu. Pułkownik usłyszawszy szelest jój sukni i domyśliwszy się snadź, rzucił majora i podbiegł ku pani.

Twarz jego malowała to poszanowanie, admiracyę, ubóztwienie niemal, jakim pałał dla kuzynki dobrodziejki. Skoczył na jój spotkanie, a major, którego pierwszą było myślą schronić się do sąsiedniego gabinetu, zmieszał się, zawahał i

ani postrzegł, jak go zaprezentowano, jak się uklonił i — został pochwycony.

— Ja właśnie dla pana majora zachodzę tu, wracając z przechadzki gospodarskiej, odezwała się miłym, ale dosyć silnym głosem pani domu. Dowiedziałem się o przybyciu pana do pułkownika, i choć wiedziałam, że on mnie wyręczy i zaprosi go do mnie, wolałam to uczynić sama. Godzina obiadowa się zbliża, zabieram panów z sobą...

Spojrzała na majora, który stał jak na mękach, pot mu na czoło występował, usta się krzywiły.

— Pani dobrodziejko — odezwał się płacząc, niewymownie, — za ten zaszczyt i łaskę jestem wdzięczny — ale.... pani przebaczy.... Jestem w drodze, po podróznemu, i nie śmiałbym się tak zaprezentować.... Będę miał to szczęście później...

— Ale cóż znowu? kto tam na to uważa?... Proszę pana! Gniewałabym się gdybyś mnie pan wziął za jakąś trywialną formalistkę.... wymagającą stroju, rękawiczek!! Pułkowniku! zaświadczyć za mnie! Jestem stara panna.... wieśniaczka.... u mnie ceremonij żadnych nie ma.... Wymówek nie przyjmuję.... Podaj mi pan rękę panie majorze, służę panu....

Jazyga zagadnięty tak nakazująco przez kobietę, choćby był wolał stokroć iść na obwach choćby najsurowszy, rękę podał i milczący, zmieszany poszedł jak na stracenie. Panna Ada zdawała się

w wybornym humorze, swobodną, i zręcznie bardzo bawiła gościa, niekiedy ukradkiem mierząc go wzrokiem, jak gdyby zbadać go chciała....

Pułkownik szedł obok w odsiecz, posiłkując przyjaciela, którego przykre położenie aż nadto jawne było. Przejście z folwarku pana rządcy do pałacu było przez część parku otaczającego.... utrzymanego z wielkiem staraniem, ułożonego ze smakiem. W rysunku i ugrupowaniu klombów, major gdyby się był znał na tém, poznałby wykształcony smak artystyczny.... Drzewa barwą swych liści i kształtami składały malownicze wiązanki, wśród których zaledwie zaaklimatyzowane, rzadkie i osobliwe widać było krzewy. Niektóre z nich właśnie żywemi zakwitały barwami...

To co się nazywało pałacem, nie miało może prawa do tego imienia, chyba rozległością swoją. Był to raczej ogromny *cottage* angielski, poobwieszany winem dzikiem, klematysami, wijącemi się różami i bujnemi roślinami, stare dość opinającemi ściany. Ginęła niemal niesmaczna architektura budowy pod tém żywym przykryciem.... Wydawało się to jeśli nie pięknie, to malowniczo bardzo, fantastycznie.. oryginalnie. Gdzieniegdzie z pośrodku liści wychylał się biały wazon kształtów szczególnych i przerywał jednostajność zieleni.... Pałac budowany nieumiejętnie, przybudowywany, poprawiany, nieregularny, ratował się tém, że

pretensyi mieć nie mógł do żadnej architektury. Ręka nowój dziedziczki odświeżyła go tylko i starała się trwałym uczynić. Dawne okna pozmieniano na jednoszybowe, dach kolorową okryto dachówką.... słupy nieforemne zastąpiono wyrzeźbionemi kunsztownie.... Pomimo to, ozdoby były tak umiarkowanie rozrzucone, tak prawie skromne, iż nie raziły tą zalotnością niewczesną, jaką ma często architektura młodych budowniczych i świeżo zbogaconych panów. Pałac z pewnych względów strojem przypominał swą panią: miał sukienkę bardzo prostą, ale wytwornego kroju.

Było to zresztą cechą wszystkiego co otaczało pannę Adę; widocznie unikała narzucania się oczom, jaskrawości, krzyku — powaga i spokój panowały wszędzie. Może tylko pamięć o utrzymaniu tego charakteru wszędzie, we wszystkiém, w najmniejszym kątku, nadto była widoczna. Idąc, dziedziczka swobodną rozmową starała się towarzyszącego jój, zrezygnowanego już majora, rozruszać, spoufalić, ośmielić. Pokazywała mu niektóre drzewa, mówiła o gospodarstwie, zapytywała go o okolicę, w której mieszka i t. p.

Zamiast wniśćcia przez główny ganek od dziedzińca i bramy, w której tego ranka Szymek się tak z panem swym spierał, pani domu poprowadziła majora przez ogród ku południowej stronie. Tu całą niemal ścianę pałacową zakrywała przy-

budówka szklana, rodzaj oranżeryi, zimowego ogrodu, z którego teraz drzewa już były powynoszone, okna odjęte i zastąpione okryciem z płótna szarego zwilżanego kilka razy na dzień, aby tu chłód utrzymać. Ztąd wprost wchodziło się do obszernego, nieco ciemnego i trochę niskiego salonu, zastawionego staremi, a raczej starożytnemi meblami. Fantastycznie przybrany, miał to do siebie, że był oryginalny. Można się zeń było domyślać, że między innemi upodobaniami dziedziczki był i *bric à brac*.... Rzeźbione sprzęty, zwierciadła weneckie, delfty, japońskie naczynia, laki i porcellany—wszystko co tu nagromadzone było, z wielkim smakiem ułożyła zapewne sama, unikając zbytniej symetryi. Rozległość sali nie dawała jój zbytniem napchaniem przypominać magazynu. Był to jakby motyw do ładnego obrazka z XVII wieku....

W salonie oczekiwało kilka osób.... gdyż obiadowa godzina je tu zgromadziła....

Major w pierwszej chwili zaledwie mógł nazwiska i fizyognomie połapać przy wzajemném prezentowaniu.

Pierwszą, która wyszła naprzeciw pani, była panienka młodziuchna, ładna, zręczna, ale widocznie onieśmielona, strwożona, jakby zahukana. Oglądała się ciągle niby przestraszona, wahała ma-

jąc przemówić, rumieniła, i żal jęj musiało być patrzącym, tak się męczyła niepewnością na każdym słowie i kroku.

Ta nieśmiałość dziecinna nadawała panience szczególny wdzięk i budziła politowanie. Spojrzawszy, z jaką pokorą przystąpiła do nadchodzącej panny Ady, jakim ona ją surowém i badawczém zmierzyła okiem — dawało się to wytłómaczyć. Mimo całej dobroci, znać było w stosunku tych dwóch kobiet różnicę jakąś charakterów, która im zbliżyć się do siebie nie dawała.... Panna mogła mieć lat około dwudziestu, zachowawszy piętnastoletnie rumieńce i nieśmiałość; miała śliczne niebieskie oczy, orzechowej barwy włosy, brwi ciemne, płeć do zbytku białą, którą co chwila krew płomieniami zalewała.... Z całą swą świeżością, wdziękiem, wyrazem niezmiernej dobroci i łagodności, panienska przy pani domu wyglądała na nieco pospolitą, choć nierównie od niej sympatyczniejszą. Widać w niej było kobietę w całym, najpełniejszym wyrazu tego znaczeniu. Była to daleka uboga krewna panny Ady, panna Karolina Horodzka, którą kuzynka zwała pospolicie Sensytywą.... Należy też wiedzieć, że Ada uczyniła sobie z tego zadanie, aby u Karusi tę chorobliwą wrażliwość i czułość przygłuszyć, zahartować, zniszczyć. Uważała to za obowiązek. Czy zręcznie się do tego brała — nie wiemy; lecz walka zdawa-

ła się sensytywę więcej rozdrażniać niż ukajać, a niesłuchanie ją męczyła.

Karusia byłaby się pewnie wyrzekła wszystkich przyjemności i korzyści pobytu u bogatjej kuzynki, uciekłaby od niej — ale uciec gdzie nie miała. Kochała ją, szanowała, wielbiła, widziała w niej ideał niedościgniony — lecz było to dla niej bóstwo.... którego wóz ciężki codzien jej żelaznemi koły na wpół przerzynał serce.

W najszlachetniejszym celu, panna Ada upierała się z Karusi uczynić istotę sobie podobną, kierującą się czystym rozumem, broniącą wrażeniom, niedostępną czułościom i sentymentalizmowi, zimną, praktyczną, panią siebie. Biedna sensytywa, najmocniej pragnąc stać się do tego wzoru, jaki miała przed oczyma, podobną — w końcu powiedzieć sobie musiała, że to jest nad jej siły. Życie jej było cichą męczarnią — płakiwała po nocach, ale w dzień starała się uśmiechać i udawała jak mogła kamienną.... Kilka razy spłonawszy i szepnawszy coś gospodyni domu, Karusia żywo się usunęła na stronę. W sam czas, gdyż na powitanie szedł dostojny, niedawno przybyły gość, ksiądz kanonik (i przyszły infułat....) Otto hrabia de Bello.

Niepodobna go pominąć zbywając lekko, był to bowiem i w domu panny Ady, i w okolicy, i w pro-

wineyi znany i wysoko szacowany człowiek.... Zaslugiwał na ten szacunek najzupełniej, a sympatya pani domu dla niego tłómaczyła się podobieństwem charakterów i pojęć w obojgu.

Postać ta nie potrzebowała badania i wpatrywania się, tak była wyrazista, nacechowana i charakterystyczna. Słusznego wzrostu, silnej budowy, ks. kanonik Otto blady był, chudy, i na twarzy nosił piętno surowości niezblaganiej, którą się odznaczał. Nie był to zły człowiek, owszem litościwy i miłosierny; w spełnianiu obowiązków posuwający się do ofiar największych — lecz w tém co czynił nie było tego czego żądał apostoł — miłości.... Było to chodzące prawo, Nielitościwe, nie-dające się rozbroić, zimne i wszelkiemu uczuciu, słabości, zapomnieniu się nieprzyjazne. Nie niósł z sobą przebaczenia i pociechy — ale groźbę, postrach i wyroki żelazne....

Pomimo to w kanoniku na pierwsze wejrzenie każdy poznał człowieka wychowania wyższego, nawykłego do salonów, obracającego się w towarzystwie wyborowém. Długi pobyt we Francyi, potem w Rzymie, uczynił go nieco obcym stosunkom, a nadewszystko duchowi kraju, który miłością grzeszył i miłością nawykł być rozgrzeszany.... Ks. Otto był nadzwyczaj delikatny, ugrzecznony, mówił wszystkimi możliwemi językami, pisał niemi doskonale, słynął z nauki i erudycji,

dał się nawet poznać kilku rozprawami polemicznymi w przeglądach i dziennikach.

W pewnych kołach, bardzo szerokich była to powaga i wyrocznia, była potęga, której się z trudnością mógł kto opierać. Wielka ogląda światowa nie przeszkadzała kanonikowi okazywać niekiedy delikatnie, że czuł i znał siłę swoją, którą zlewał zresztą ze źródłem, z jakiego pochodziła.

Znany z prawości, nieskazitelności i niezłomnego charakteru, ks. Otto de Bello był — potrzeba to wyznać — kapłanem z powołania, przekonania i bez żadnych widoków światowych. Był to żołnierz wierny sztandarowi, przywiązany do niego, gotów dlań poświęcić wszystko; lecz — mówiono sobie, że w istocie rycerzem był raczej, niż kapłanem.

Wedle pojęć naszych starych, kapłaństwo było nadewszystko powołaniem miłosierdzia i miłości, władzą rozgrzeszającą i pocieszającą, szafarstwem balsamu dla Samarytanów tego świata.... Ks. Otto de Bello pojmował je zupełnie inaczej, jako straż księgi prawa, jako czuwanie nad tém, aby o niém nie zapomniano, jako dzierżenie miecza i chłosty.... Nie trafiło się nigdy, aby przy całej swój nauce i gorliwości ks. kanonik kogo nawrócił, — ale wymieniano osoby, co surowością jego zrażone, odepchnięte, poszły się zrozpaczone błakać na bezdroża.

Gdy ktoś raz mu o podobnym wspomniał wypadku, kanonik z krwią zimną odpowiedział: „Tém lepiej gdy się owce parszywe wydziela ze stada.... Czasy się zmieniły, surowym być trzeba.“

Wedle tych zasad kierował się kapłan surowy, któremu zresztą, oprócz téj niezbląganéj surowości, nie zarzucić nie było można. Nikt gorliwiej nad niego nie zbierał składek na szpitale, zakłady dla sierot i ubogich, na wydawnictwa budujące i t. p. Nie mógł mu nikt najmniejszej zadać słabostki. Surowy dla drugich, był ostrzejszym jeszcze dla siebie....

Otaczało go też powszechne uwielbienie. Panna Ada dzieliła je z innemi; i była jedną z posłusznych, a najmiłszych ks. de Bello klientek. Ile razy potrzeba było ofiary, a z innych źródeł nie mógł jéj wydobyć kanonik, udawał się tutaj, i dość było słowa, napomknienia, aby natychmiast spełniono jego życzenie. On też zarówno pannę Adę wynosił jako wzór niewiast, jako istotę wyjątkową.... którą niemal do ubłogosławienia podnosił.

Częsty gość w tym domu, poradnik sumienia — dla jednéj może panny Ady był cokolwieczek pozbłażającym. Zamykał oczy na fantazyje i słabości panny Pretwiczówny. Ubolewał nad tém, że je miała — przebaczał.... Rzucanie się na różne drogi badań naukowych, czasem nie zupełnie się

z ortodoksyą dających pogodzić, — tłumaczył ks. Otto próżnią w życiu panny Ady, pozbawionej rodziny.... która ją zmuszała do szukania pokarmu, zajęcia, roztargnienia. Mówiono powszechnie, chociaż rzecz była niedowiedziona, iż celem było ks. kanonika Ottona skłonić pannę Adę, która wcale za mąż iść nie miała i głośno się z tém oświadczała, do przekazania całego ogromnego majątku na kościół i jakiś instytut zakonno-dobroczynny, o którym bliższych szczegółów dowiedzieć się nie było można. Było to wielce prawdopodobnem. Tymczasem jednak piękna Ada, pomimo pobożności swój, mieszała dziwnie świeckie fantazyje, — artystyczne, niby naukowe i t. p.

Parę razy jeździła za granicę słuchać różnych kursów, których prelegenci stali na indeksie — czytywała Renan'a i Strauss'a.... Wszystko to jęj uchodziło....

Przywitanie z ks. kanonikiem, którego gospodyni w rękę pocałowała, było pełne pokory i uprzejmości zarazem.... Ks. Otto z ukosa spojrział na pułkownika i przywitał go uśmiechem, w którym czuć było co najmniej obojętność i nieufność — nie bardzo też mile popatrzał na majora.... Dawni wojskowi, ludzie indyferentyzmem zarażeni — nie byli mu do smaku. Pułkownik skutkiem wpływu ks. Ottona dawnoby był może wyleciał i został zastąpiony przez innego ściślej or-

todoksyjnego rządce; ale — panna Ada silnie obstawiała przy nim — i o to rozbiły się starania dyrektora sumienia, który stanowczy opór spotkawszy, zaraz się cofnął....

W obejściu się salonowém, powszedniém kanonika można się było domyślać surowości jego, ale się ona nie objawiała zbyt wyraziście. Mówił o rzeczach obojętnych, unikał kwestyj drażliwych, często milczał gdy je rzucano.... Można było sądzić czasem, że nie chce rozrzucać pereł.... *inter*... jak to tam stoi w przysłowiu.

I tego dnia nader miłym i łaskawym okazał się ks. kanonik, prawie wesołym, choć aż dwóch sceptyków w towarzystwie mogło mu je zatruć.

Za kanonikiem z dala stała figura podrzędna, widać domownik, trochę dziwnie ubrany i oryginalnie wyglądający. Był to mężczyzna lat średnich, blady, twarzy jakby nalanéj, z oczyma zmęczonemi, zadumany, roztargniony, w aksamitnym surduciku i takiéjże reszcie ubrania.... Włosy w wielkim nieładzie wznosiły mu się nad czołem.... Artystą go czuć było o staję, i w istocie poświęcał się temu zawodowi.... Lecz nie-szczęśliwa to była istota ze wszech miar: Pan Bóg mu dał poczucie piękna, intelligencyę, ochotę do pracy, zdolność pojmovania wszystkiego, a odmówił władzy — tworzenia i wcielenia swych myśli.... Zwał się Mirosław Oblęcki. Uczeń nie

wiem ilu szkół, przez długi pobyt w Rzymie i za granicą, po wszystkich galeryach, p. Mirosław zdawało się, że się potrafi wykształcić na znakomitego artystę.... W istocie nabrał wiadomości, wyrobił smak, sąd zdrowy, ale dłoń jego pozostała bezpłodną. Był w stanie okazać wady każdego utworu cudzego, poddać najsprawiedliwszój krytyce arcydzieło, unosić się uwielbieniem i szaleństwem dla wielkich mistrzów i ich kreacyj — był w stanie nareszcie obmyślić choćby Kaulbachowską kartę olbrzymią, zachowując wszystkie prawa i warunki, jakich wymaga sztuka, — ale — gdy przyszło do wykonania — rozbijał się o nie. Rysunek był nierówny, koloryt dziwaczny.... Nigdy nie nabrał manieri żadnej, techniki niczyjej, próbował wszystkich, próbował wiecznie, i choć siwiał już trochę, został studentem na zawsze.... Mistrz gdy mówił, za stalugą był bazgraczem....

P. Mirosław pojmował piękności wszelkie od Perugina poczynawszy do Carrachów i Corregia, dobywał z każdego płótna co w nie włożyło natchnienie, unosił się czasem nad Bellinim, jutro nad Boucher'em i Watteau; — gdy przyszło do wyboru szkoły, stylu — był bezsilny.

Dręczył się tém i walczył. Właśnie smutne jego położenie skłoniło litościwą pannę Adę do dania mu roboty.... Wynajdowała różne ornamentacyjne w domu zajęcia, w bibliotece porządkowanie, re-

stauracye starych obrazów, w których Mirosław był mistrzem, aby mu dać przytułek, chleb, a dla siebie mieć w rozprawach o sztuce bardzo miłego interlokutora....

Oblęcki jako sędzia piękna, jako estetyk i znawca w istocie był znakomitym, — rozmowa jego nauczająca, pomysły, jakie rzucał, genialne.... Panna Ada to się z nim sprzeczała, to od niego uczyła, a że napadały na nią całomiesięczne artystyczne miłośnictwa i gorączki, był jój w domu potrzebny.... Miała dlań prawie takie [względy, jakie się ma dla nieszczęśliwych, dla chorych i kalek. Takim się jój wydawał ten człowiek, co śnił arcydzieła a tworzyć ich nie był w stanie, zrodzony na męczarnie Tantala, — który, mimo jawnej nieudolności swój, wyrzec się nie chciał kunsztu i miłował go miłością wielką, serdeczną, ofiarną.

Było to zresztą ciche, spokojne, łagodne, w pożyciu niezawadne stworzenie.... nie potrzebujące wiele.... Całe dni gotów był spędzać nad sztychami i rysunkami, lub nad kartonami swemi. Gdy mu myśl jaka dopiekle tak, że się wreszcie ważył na przeniesienie, jój na papier, zamykał się na klucz, nie jadł, nie wychodził, nikogo nie puszczal do siebie — rozogniał się, palił, zdało mu się, że zwycięży ten czar, to zaklęcie co go czyni bezsilnym.... Trwało to zwykle aż do ukończenia kartonu.... Stawał potem Mirosław przed nim,

patrzył... myślał, czasem mu się łyzy z oczu rzuciły, i — z wściekłością biegł karton szarpać w kawałki, rznąć i palić, by śladu po nim nie pozostało... Po takim paroksyzmie leżał chory i potrzebował długiego czasu, aby znowu przyjść do siebie. Wielokrotne próby takie czyniły go w końcu coraz mniej śmiałym, nie ważył się na te próby co go tyle kosztowały... Niekiedy miesiące całe nosił się z myślą. Milczeć o niej nie umiał, na chwilę się oderwać nie mógł... rozpowiadał najobojętniejszym swe pomysły, konstrukcyę olbrzymich obrazów, charaktery osób, aż do kolorytu i obmyślanęj techniki... i wszystko, wszystko to szło marnie, gdy przyszło myśli dać ciało!

W domu swęj dobrodziejki, której był wielbi-cielem, Mirosław zajmował stanowisko bardzo maluczkie — krył się za innymi, nie powołany nie odzywał się. Przychodził na obiady i wieczerze, resztę czasu spędzał na przechadzkach, w bibliotece lub w swém atelier w oficynie, w którym największy nieład panował...

Ponieważ gospodyni bywała niekiedy i muzykalna, a muzyka poważna, religijna czasami ją do egzaltacyi nawet rozmarzała — dom miał też muzyki reprezentanta w starym Czechu, przez długi pobyt w kraju zupełnie spolszczałym, z długimi siwymi włosami i poważną fizyognomią, noszącym tytuł dyrektora, panu Wacławie Ruba-

czku.... Ten także z dala stawał, mówił niewiele, i powołany tylko służył do rozwikływania kwestyj muzycznych, do towarzyszenia na organach w kaplicy w czasie Mszy Świętej, a czasem do odegrania jakiego nowego utworu, którego wielki rozgłos obudzał w pannie Adzie ciekawość. Dyrektor Rubaczek był człeczek chytry, milczący, mimo wieku mający wiele, nie bardzo zalecających go, nawyknień—słowem jako człowiek wcale był nie osobliwy, ale jako muzyk nie miał równego. Czytał partytury z biegłością zadziwiającą, pisał piękne kościelne pieśni, był kontrapunkcista doskonały, znawca gruntowny, a nawet wcale niepospolity fortepianista. I skrzypce mu nie były obce. Wprawdzie posztywniały mu już palce nieco, ale umysł został żywy.... Surowy sędzia, Rubaczek na nową szkołę trząsł głową i ruszał ramionami, a panna Ada podzielała zdanie jego o niej. Muzyka kościelna była dlań niemal jedyną uznaną muzyką, figle wirtuozów jak łamane sztuki budziły w nim pogardę, jak nadużycie i świętokradztwo....

Rubaczek miał już lat przeszło pięćdziesiąt. Zawcześnie zestarzał, bo się nie szanował; pił, gdy mógł począwszy od wina do siwuchy, co napadł; pracą się brzydził, i z siwemi włosy był najśmieszniejszym, a najgorętszym wielbicielem płci choćby nie pięknej zresztą, byle młodej.

To mu odejmowało wszelki szacunek i konsyderacyę gospodyni, która dla dworu swojego była bardzo surowa. Parę razy Rubaczek dostał był odprawę za różne folwarczne awanturki, ale wyprosić się umiał, a nie było ktoby go u organów zastąpił.... Miano tylko na niego oko, i pułkownik desyć po żołniersku z nim postępował....

Niby sekretarz, na wpół bibliotekarz, stał jeszcze dalej w kątku, czarno ubrany, we fraku, z miną obudzającą politowanie. Zwał się Bonifacy Musiatowski. Był on niegdyś professorem podobno języka łacińskiego, urzędnikiem, jakiś czas próbował nowicyatu u Kapucynów, którego nie mógł wytrzymać, nareszcie musiał tu szukać przytułku. Musiatowski był także niemłodym człowiekiem, chudy, długi i noszący piętno sarkastyczne tych ludzi co się mają za geniusze, przez świat nieuznane, pokrzywdzone.... Z twarzą męczennika, kwaśny, pogardliwy, milczący, Musiatowski patrzył na świat z góry. Gdy znalazł sympatycznego słuchacza, chętnie o tém mówił, coby to on mógł, coby pisał, coby robił — gdyby ludzie tego byli warci. Krytyk surowy, wszystkich wielkich poetów odsądzał od czci i wiary.... Nie było dlań książki, którąby czytania mienił godną.

— Śmiecie — głupstwo — galimatias! odzywał się rzuciwszy okiem.

Musiatowski marzył, fajkę palił, rozmiłowany

w sobie, sobą się samym karmił — a że pannie Adzie był posłuszny, pisał wyraźnie, bez omyłek, zawsze się znalazł gdy był potrzebny i obowiązki swe pełnił dosyć pilnie, z obawy aby się go nie pozbyto (znając surowość swój pani) — utrzymywał się na swém stanowisku. Zrzekł był się zupełnie wszelkiej nadziei i przyszłości, coś jednak pisał czasami, ale nikomu się z tego nie zwierzał. Posądzano go o nedorzeczne pamiętniki własnego życia.

Musiatowski nadto był dumny, aby we dworze z kimkolwiek przestawał; malarza nazywał waryatem, a Rubaczka po prostu łajdakiem. Rzadko mówili z sobą; i w ogóle mało się odzywał ów geniusz niepoznany.... Gdy nową jaka książka wielkiego rozgłosu się ukazała, a posłyszał o niej, wykradał ją zwykle z biblioteki, szedł z nią na miejsce samotne i tam napawał się szyderstwami, które w nim obudzała.... Śmiał się, skakał, rzucał ją, chwycił, pluł, zżymał się, wreszcie odnosił, i nigdy nie był weselszym, niż gdy się przekonał, że sławione arcydzieło funta kłaków nie było warte.

Panna Ada знаła to jego usposobienie, i czasami bawić się niém próbowała, wywołując jego zdanie. Przychodziło to z trudnością. Musiatowski był zamknięty w sobie; niekiedy jednak rozdrażniony, rzucił słów kilka. Budziły one więcej lito-

ści niż śmiechu. Z tego co się niegdyś uczył, zostało mu jedno — łacina, którą gruntowniej umiał. Z téj był pyszny, i człowiek, co tego języka nie umiał, nie u niego nie ważył....

Taki był skład dworu pani Ady, nad którym ona despotyczną rozciągała władzę, ale razem i macierzyńską opiekę....

Już prowadzona przez ks. kanonika do sali, gospodyni w towarzystwie panny Karoliny, majora i pułkownika, miała się skierować ku jadalnemu pokojowi, będąc pewna, że jak tylko wybiła godzina, obiad musiał być gotów, gdy z drugiej strony otwarły się drzwi, i wszedł niemi z twarzą wesolą bardzo piękny młody mężczyzna.

Z poufałego tego wnijscia, śmiałego przestąpienia progu i wyrazu młodej twarzy, wnosić było można, że był tu powszednim gościem, spodziewającym się dobrego przyjęcia. Spojrzenie rzucone na salę i widok majora, który drgnął cały zobaczywszy wchodzącego, — wprawiły go w zdumienie, prawie w osłupienie.

Uśmiech gospodyni wesoly, ocucił go z niego. Gość zdawał się chwilę wahać kogo ma wprzód przywitać, szybko skłonił się pannie Adzie, i rzucił ojcu w objęcia. Był to Robert Jazyga....

Majorowi łyzy w oczach stanęły, całował syna, słowa nie mogąc przemówić — patrzył nań napatrzeć się nie mogąc. Widok téj sceny poruszył

wszystkich, nawet na twarzy gospodyni widać było pewne, wnet poskromione wrażenie.... Rozjaśnionej fizyognomii majora nikt się dziwić nie mógł, bo w istocie mógł się synem pocieszyć i uradować, tak był nie tylko piękny, ale od razu pociągający ku sobie wyrazem otwartym, szlachetnym, niemal dziecięcą prostotą....

Powiedzieliśmy już, że był to piękny chłopak; lecz piękność jego nie była z rodzaju tych, które się w salonach najczęściej trafiać zwykły. Robert był opalony, zdrowy, przy rysach regularnych i dziwnie miłych, miał w sobie chłopską świeżość; nic rozmarzonego, nic sentymentalnego w nim się nie przebijało — było to życie, rade z siebie, rozwinięte w pełni, nie zwichnięte niczem, była to piękność zdrowa i silna, — a przytém, choć oczom nie zbywało na intelligencyi, czołu na roztropności, całemu wyrazowi na swobodzie jaką daje łatwość pojęcia i porozumienia się ze światem — wyraz twarzy odznaczał się jakąś młodzieńczą naiwnością, jakby przedłużoną i zapożyczoną z dzieciennego wieku. Wesoły spokój ópromieniał te lica, przypominające niby twarz młodego Fauna, niby jakiegoś ubóztwionego młodziana, który nie potrzebował nigdy walczyć z życiem, tylko mu się uśmiechać.

Tak wyglądał ten ukochany Robert, słuszny, gibki, szerokich ramion a niezbyt rozrosły, zrę-

czny, ciemnego wlosa, ciemno-modrych oczu, z ustami różowemi, zawsze się nieco uśmiechającemi, około których wąsik z jednej strony, z drugiej świeżo zapuszczona miękka bródka się zwijała.... Oprócz księdza kanonika Ottona, który bardzo zimno głową mu skinął, wszyscy go powitali serdecznie, a gospodyni domu z widoczną poufałą uprzejmością.

— A prawda? spytała podając mu rękę i pokazując białe ząbki — żem panu zaproszeniem mojem miłą sprawiła niespodziankę? Proszę mi za nią pięknie podziękować....

Robert pocałował ją w rękę z uczuciem poszanowania i podziękował wejrzeniem.... Potem zwrócił się ku ojcu, który chciwie nań oczekiwał, choć tylko co z uścisku mu się wyrwał.

Już miano do stołu iść, gdy nadeszła ostatnia do dworu panny Ady należąca, krewna jej, — rezydentka, zapewne najmniej czterdziestoletnia.... panna Hortensya Trocka....

Szła z wielką powagą, krokiem wyrachowanym, z miną skwaszoną, opięta, ubrana z widoczném staraniem o to, aby strój powagi dodawał i uwydatniał arystokratyczne jej pochodzenie. Twarz żółkła, nieładna, trochę już pomarszczona, zdawała się przejęta tą żółcią, jaka z całej jej postaci się sączyła. Wzrok miała zatruty, uśmiech szyderski, czoło chmurne i na widok jej chciało

się uciekać, tak razila nagromadzoną w sobie złośliwością — niechęcią — zgryźliwością.

Była to także jedna z tych istot do szpitala przeznaczonych, nieznosnych, które panna Ada trzymała dla tego, że niktby ich znieść i wytrzymać nie mógł. Uboga krewna, nie mogąca znieść ani ubóstwa swego, ani sprzeczności, w jakiej ją z niem stawilo znakomite pochodzenie i urodzenie z jakiejś księżniczki, — byłaby zatrula każdy dom, gdyby tu zimna krew, wielki takt, cierpliwość chłodna i niewyczerpana, nareszcie nawyknięcie nie czyniły jej — znośną. Ada wielu rzeczy nie widziała, nie chciała słyszeć wielu, na wiele pytań nie odpowiadała — i zawsze równie uprzejmie obchodziła się z nieszczęśliwą.... Wsunawszy się do salonu, z gniewem za to, że się opóźniła (przypisywała to niesłusznie umyślnie zaniechaniu), panna Hortensya przywitała kuzynkę niechętnie, nie spojrzała prawie na nikogo, i z francuzką rozmową zwróciła się do ks. kanonika, który z wielką attencją zbliżył się do niej. Szanował w niej nieszczęśliwe dziecko wielkiej rodziny (o tej wielkości mówiła ona ciągle) — a razem nadzwyczaj przykładną pobożność i wielką uległość dla władzy duchownej.

Z wejrzeń, które cały teraz zebrany dwór panny Pretwiczówny rzucał na siebie, widać było, że ta garstka ludzi zmuszonych żyć z sobą — była

w rozstroju i zwadzie; — nikt nie przemówił do nikogo, wszyscy zdawali się unikać otarcia jedni o drugich. Jedynym węzłem, co łączył tę zbieraną drużynę, była pani domu ze swą królewską postawą, nakazującym wzrokiem, przed którym chyliło się i milkło wszystko posłuszne.... Jeden pan Mirosław Oblęcki, zatopiony zapewne w jakimś zadaniu artystyczném, na nikogo nie patrzył — i zdawał się obcym temu co go otaczało....

Pani domu szepnąwszy coś do ucha majorowi, który się skłonił, podała rękę kanonikowi — i wszyscy się posunęli ku jadalnej sali.

Francuzkie przysłowie, często przerabiane mówi: — powiedz mi z kim przestajesz, powiem ci kto jesteś. Z równą słusnością możnaby to zastosować do domu i mieszkania. Powiedz mi jak mieszkasz, — powiem ci kto jesteś.

Nie zawsze człowiek wolen jest wybrać sobie schronienie, często się mieści w opustoszałej skorupce po dawnym jéj dziedzicu, — ale zawsze niemal urządzić się może, stosownie dó charakteru swego i smaku. Mimowolnie w tém czém się człowiek otacza, odciska się jego usposobienie, gusta — on cały. Czytać tylko umieć trzeba.

Tak też w domu, nazwiéjmy go pałacikiem, panny Pretwiczówny, którego ona ani budowała,

ani przebudowywała nawet. Samo wewnętrzne przyozdobienie, urządzenie znamionowało energiczny charakter, który, umiając się zastosować do miejscowych warunków, potrafił w danych ramach wszystko przetworzyć po swojemu. Dawni dziedzice byliby nie poznali starego dworu.... Wszystko w nim było obrachowane praktycznie, wygodnie, trwale, a w dodatku tak ozdobnie, aby okał gdzie nie razła dysharmonia linii lub koloru, zestawienie rzeczy, które od siebie dzielą wieki, i które razem iść nigdy nie mogą.

Artystę razem i umysł chłódny a praktyczny czytać było można z fizyognomii tego domu. Rzadko się to łączy z sobą; a tu stanowiło jak najspójniejszą całość. Nie było nieładu artystycznego nigdzie, czystość hollenderska, porządek do drobnostkowości posunięty — a dobór najmniejszego sprzątku przekonywał, że szczegół żaden nie był obojętny....

Jak sala bawialna tak jadalny pokój przybrany był po pańsku, ani jaskrawo, ani błyszcząco. Na ścianach nieuniknione rodzinne stare portrety, po rogach dwa przepyszne bufety na wzór starych szaf gdańskich, przy oknach kwiatów wiele.... Wszystko to w stylu surowym trzymane, pańsko się wydawało.... W jednym z tych bufetów z za szkła patrzyły stare pułary, roztruchany, kubki, półmiski i misterne roboty złotnicze, które nie-

boszczka matka panny Ady, cudem pocalała, wykupując z zastawu.... bo je mąż wszystkie był porozpraszał....

Nad drzwiami jako supraporty widać było wyborne hollenderskie obrazy, przedstawiające owoce, kwiaty i zwierzyinę.... Stół i krzesła nawet do bufetów zastosowane były, a porcellana saska, na której obiad był podany, należała do najpiękniejszych z czasów Marcoliniego.

Major, nie nawykły do takich występów, od śmierci żony zakopany na wsi, żyjący skromnie, po kawalersku, po żołniersku, jadający sam na rogu stoliczka pokrytego grubą serwetką, widocznie był pańskością tego domu i stołu zafrasowany.

Jak się on tu znalazł ze swą taratatką trochę wyszarzaną, z trochę zapylonym kołnierzykiem, niby jednym z dworaków téj dumnej pani — sam nie wiedział; obwiniął o to w duszy trochę Roberta — to znowu Brandysa....

Sam też sobie wyrzucał, że wpadł na tę — galere!.... Była to dla niego galera istotnie.... Przyjęcie uprzejme, grzeczność pani, życzliwość jej dla syna, widoczne względy, jakie mu okazywano — nie mogły zniszczyć wrażenia, że był.... niby dworakiem u wielkiej pani, która raczyła dać mu miejsce u stołu, i gotowa była myśleć, iż mu tém honor i łaskę czyniła....

Twarze, po których spoglądał, wydawały mu się wszystkie napiętnowane niewolnictwem, subordynacją, upokorzeniem. Z wyjątkiem kanonika i kwaśnej panny Hortensyi, zachowujących pewny pozór niezawisłości, wszystko to byli — poddani panny Ady. A wśród tych — poddanych *glebae adscripti*, major z oburzeniem w duszy widział syna swego, uśmiechniętego, wesołego, dźwigającego te dworactwa kajdany.... jakby mu one nie ciążyły. To go gniewało.... I myślał brwi marszcząc mimowolnie: *Sacré nom!*.... (oba oni z pułkownikiem z wojska francuzkiego to *sacré* powynosili) — nie mógłby u siebie zjeść krupniku i pójść swobodnie z wyżłem? trzeba mu tu tém zatrutém powietrzem oddychać. Tymczasem Robert, nad którego losem się tak ojciec użalał, twarz miał najszczęśliwszego z ludzi, usta mu się śmiały, obracał się swobodnie, był tu jak w domu!

Oczyrna zdawał się tylko ojcu zadawać pytanie: — A co? nie miałem słuszności chwalić się tą znajomością i tém towarzystwem?...

Z drugiej strony pułkownik Brandys, z uwielbieniem będący dla dziedziczki, dla swój dobrodziejki, — patrzył ukradkiem na majora, oczekując na to jak się nawróci, jak mu się czoło rozjaśni.... jak padnie na twarz przed bóztwem jego.

Gospodyni domu była w istocie ujmująca, a nade wszystko niezrównanej zręczności i talentu w speł-

nianiu swych obowiązków. Nie zapominała o nikim, słyszała wszystko — prowadziła na raz trzy rozmowy różne, pamiętała o gościach swych, nie zaniedbywała nikogo, i starała się, aby obiad, który był bardzo wytworny, smakował im wszystkim. Pułkownik miał nadzór nad butelkami.... Usługa cicha, wprawna, szła z czarodziejską regularnością. Ale major — major wolałby być, jak sobie mówił w duszy, śmierdzącą jajecznicę w karczmie, niż te pulpety. Mało też jadł, trochę dla tego, że się wewnątrz burzył, po części, że mu wytworny stół nie smakował i wydawał się zagadkowym. Major potrzebował wiedzieć co je — zamaskowane mięsa, poprzestrajane ryby, tajemnicze siekaniny, sosy nieznanego pochodzenia — wstrętliwe mu były....

Jazyga nie był dawniej tak zadowolony i zarzewiały, nie miał w sercu téj nieprzyjaźni i wstrętu do wszystkiego co pańskie. Same stosunki dawne wojskowe zbliżały go do wielu znakomych domów, szczycił się koleżeństwem i przyjaźnią generała hrabiego Wincentego i zjadał u niego obiady najdoskonalsze w Warszawie; — ale, ale — od ożenienia swego nauczył się nienawidzić arystokracji i stał zapalonym demokratą. Nieboszczka żona pana majora Jazygi, była uboga, ale hrabianka O.... a rodziła się z litewskiej kniaziówny. Gdy ją pokochał i zyskał jój serce, — ro-

dzina, która piękną sierotę znakomitego rodu daleko świetniej wydać za mąż się spodziewała — stanęła murem przeciwko niemu. Musiał walczyć, musiał żonę przyszlą i siebie na najboleśniejsze narażać sceny, musiał niemal gwałtem ją zdobywać.... Gdy nareszcie małżeństwo to przyszło do skutku, rodzina pani Jazygowój wyrzekła się jój zupełnie, zerwała wszelkie stosunki, znać jój ani widzieć więcej nie chciała. Biedna kobieta męczyła się tém i gryzła, usiłowała przełamać te niechęci, i to jój — jak mówił major — zgon przyspieszyło. Przywiązanie do żony zrodziło potem tę nienawiść do świata, z którego ona wyszła, do wszystkich form jego i zasad.... Dla tego pragnął syna wychować i zachować w innej atmosferze, która mu się zdawała zdrowszą; dla tego nie chciał dlań nawet świetnego wychowania, aby smaku w towarzystwie wykwinniejszém nie nabrał....

A teraz — los — dziwny jakiś szyderski traf — nadał, że właśnie w te sidła, których się tak major obawiał dla Roberta, wpadł on nieświadom niebezpieczeństwa, i lubował sobie w tém.... Major obwiniał najwięcej samego siebie.... Wypłynęło to ze zbytniej troskliwości i obrachowania.

Gdy chłopak dorósł, Jazyga sobie powiedział:

— Niepodobna go tak trzymać przyszytym do mojej kapoty. Trzeba, żeby chłopiec wcześniej

nauczył się mieć swoją wolę i sam sobą kierował. Będę naglądał jak to iść będzie; nim zamknę powieki, mam czas sprostować, gdyby krzywą, niewłaściwą poszedł drogą.

Oddać mu jedynę wioski, jaką miał w Grodzieńskim, nie mógł pan major. Nie chciał być, choćby u najlepszego w świecie syna, na łasce.... Mógł mu, wedle swęj myśli, wziąć dzierżawę blisko.... Ale to znowu sprzeciwiało się zasadzie i rachunkowi.

— Jak będzie mi pod nosem siedział, mimowolnie się wtrączę..... nie dam mu swobody, której potrzebuje....

Trafiła się dzierżawa w Brzeskiem około Ruszkowa, a w Ruszkowie siedział stary pułkownik, kolega; majorowi zdawało się, że nic lepszego uczynić nie może, niż wziąć dla Roberta Zahaje, i polecić go opiece starego towarzysza broni....

Brandys ucieszony synem przyjaciela, wprowadził go do domu swęj dobrodziejki. Panna Ada, choć dla nięj Robert był zbyt prostodusznym, aby się nim wielce zabawić mogła, przez jakąś fantazyę niewytlómaczoną zajęła się nim dziwnie....

Zdawała się jakiś nowy nieznany typ badać w nim, — bawiła się tą jego naiwnością, która nie była pozbawiona intelligencyi.... Traktowała go wprawdzie trochę jak dziecko i studenta.... ale widać było, że się jęj podobał....

Robert był z nią równego prawie wieku — niepojętém się to zdawało pannie Adzie, że ojciec potrafił go tak z przedłużoną tą młodością zachować prostodusznym, nieświadomym świata.... najwinnym, niemal dziecinny. Ona, co miała czas, zawczasie dojrzawszy, przejść już przez wszystkie fazy niedowiarstwa, sceptycyzmu, obojętności, znudzenia, co się potrzebowała ratować przeciw przesytowi życia to podbudzającemi, to uśmierzającemi duchowemi lekami, zdumiona była świeżością tego umysłu i uczucia, spokojem téj duszy, zdrowiem tego umysłu i serca, niezwichniętego niczem....

Nie uszło to oczu zazdrosnych dworu panny Ady, że ten *simplex servus Dei*, jak się szydersko o nim wyrażał ks. kanonik — umiał sobie zaskarbić łaski tak wielkie.... Kłóciła się o to aż do zapalczywych gniewów i dąsów panna Hortensya, śmiał się z tego sarkastycznie ks. Otto, panna Ada zupełnie obojętnie znosiła, i gniewy i szyderstwa, a nie odstręczało jéj to wcale. Ruszano ramionami.

— To przejdzie! mówił kanonik narzekającéj zawsze na tę, „*lubie*” pannie Hortensyi....

Tymczasem wcale to nie przechodziło. Ada wzięła na siebie dopełnienie umyślnie zaniedbanego wychowania Roberta. Zaczęła go w rozmowach

najprzód pobudzać i zaostrzać ciekawość do nauki, do czytania, potem mu narzucać niemal książki.

Robert miał umysł otwarty. Pannie Adzie podobало się bardzo (jakby eksperyment fizyczny robiła) — śledzić w nim rozwijanie się myśli, wrażenia czytać.... rodzące się pojęcia. Śmiała się czasem z dziwnych wniosków, niektóre prostowała, niekiedy zdumiona była błyskami budzącej się inteligencji....

Chłopak, który wiedzony ręką téj troskliwej przewodniczki nowe zdobywał, w nowe wchodził światy — powziął ku niej jakąś cześć, wdzięczność, uczucie głębokie, niemal synowskie....

Gdziekolwiek się zrodzi podobne, jest w prawie natury, że im jest szersze i głębsze, tém pewniej obudza wzajemne. Ada macierzyńskim jakimś sercem przywiązała się do niego.... Nie kryła się z tém, że ją wielce interesował. Czasem za ucznia tego była dumną, — lecz dla niej była to — zabawka, eksperyment tylko — roztargnienie może....

Major nie mylił się też wcale, uważając dom ten za niebezpieczny dla syna. — Wpływ tego towarzystwa zachwiał zupełnie dawnemi usposobieniami Roberta.... Gospodarstwo, konie, myśliwstwo znacznie dlań zubożetniały.... Niekiedy po kilka godzin się zaczytywał i po całych dniach rozprawiał z panną Pretwiczówną. Nie zrażało go

to nawet, że zarówno przyjaciel domu ks. kanonik, jak kuzynka pani, panna Hortensya, przyjmowali go zimno, niekiedy z dosyć jawnemi wstrętami.... Nie narażał się im, było mu to zresztą obojętne....

Za krzywe wejrzenia i szorstkie czasem nauki ks. kanonika, płaciła nietylko dobroć pani samój, ale — może chciały przynajmniej zapłacić, rumieniące się co chwila lica panny Karoliny, która najniewinniej w świecie uczucia swój opiekunki dla pana Roberta podzielała....

Byli z nią w przyjaźni braterskiej. Karusia spoglądając nań oblewała się rumieńcami, podając mu rękę drżała, gdy była zmuszona rozpocząć z nim rozmowę, z radości słów jej brakło. Robert też okazywał jej serdeczne współczucie. Czasem nawet przykro mu było widzieć nadto surowe z nią obchodzenie się Ady, która, jak Roberta wykrzesywała, tak Karusię przerabiać usiłowała z sensytywy na chłodniutką, rozumną istotę.

Z młodym Jazygą szło jako tako, ale Karusia — wyplakiwała oczy, a zmienić się nie umiała — co niecierpliwiło bardzo mistrzynię. Kochała ona ją, i dla tego właśnie usiłowała uzbroić do życia.... przewidując z tej czułości zbytniej najnieszczęśliwsze skutki.

Zasadą ciągle tu głoszoną w Ruszkowie, którą i ks. kanonik Otto popierał jako życia regułę,

było: nie dać się rządzić uczuciom, iść za obowiązками, być panem siebie. Miłość, nienawiść, gniew były tu potępione, i panna Ada doskonały z siebie przykład dawała. Nie gniewało jęj nigdy jawnie nic — z zimną krwią karała przewinienia i uchybienia przeciw sobie, nie poruszając się wcale.... Broniła się tak samo wszelkiej tkliwości zbytnej i przywiązaniu.... Spełniała obowiązki dobroczynne, nie dając zadrgać sercu.... Zawsze pani siebie, jednostajna, z pogodą na twarzy, poruszała się tylko, gdy ją albo kwestya sztuki, naukowa, lub polemika religijna dotknęła żywiej.... I w tych razach, jak skoro poczuła się nieco wzruszoną, natychmiast starała równowagę odzyskać. Słowem był to wzór — niewiasty, jak Loto-wa żona w słup obróconej, zastyglęj, ale pięknej i wprawiającęj w zdumienie....

Major u stołu siedział prawie milczący, na zapytania odpowiadał to pół uśmiechami, to pół słowy — nawet pułkownik i wino, które mu dolewał, nie mogli go rozchmurzyć. Gospodyni domu postrzegłszy to, z wielką zręcznością, nie zapominając o nim nadto, umiała mu zostawić swobodę dumania i milczenia....

Różne tymczasem myśli przewijały się po głowie Jazygi. Między innemi wyrzucał sobie bardzo, że postąpił porywczo i nietrafnie, nadto się wyśpowiadałszy przed pułkownikiem ze swego wstępu

do tego domu i obawy o syna.... Trudno to teraz było załatać. Zawczasu tylko obiecywał sobie major z synem być ostrożniejszy i nie wygadać się z tém przed nim, a użyć innych środków do odciążenia go od Ruszkowa....

Wiedział, że najgorszym sposobem oparcia się wpływowi takiemu, było jawne wystąpienie przeciwko niemu, które ku obronie i odporowi całe siły zgromadzić mogło. Lepiej było partyzancką, podjazdową wojną zwalczyć się starać nieprzyjaciela, niż wszystko ważyć na niepewne jednej bitwy losy.

Wśród tych rozmyślań majora, niekiedy uśmiechającego się, aby nie dać poznać co się w jego duszy działo — piękna gospodyni domu starała się gości swych zabawić....

Kanonik naprowadzony przez nią na najulubieńszy sobie przedmiot opowiadań o Rzymie — w téj chwili głosem stłumionym, słodkim, z dziwną płynnością wymowy, jakby nie raz pierwszy powtarzał rzecz na pamięć wyuczoną, opowiadał pannie Hortensyi o wielkości kopuły i dachu Świętego Piotra, o olbrzymich oknach czoła świątyni, przez których rozmiary ona się mniejszą wydaje.... Panna Hortensya która już nieraz o tych oknach, o obelisku i o wodotryskach, i o gwardyi szwajcarskiej w średniowiecznych strojach, słyszała z ust kanonika—

nastawiała jednak pilnego ucha, sznurując zbłądłe usta....

Żal było pannie Adzie opuszczonego od wszystkich Mirosława, zapytała go ze współczuciem, czy karton postępuje?

— O! jeszcze wczoraj go podarłem w kawałki i spaliłem w piecu! odparł cicho Oblęcki i westchnął.

— Zawsze więc to samo! pokręcając główką odezwała się gospodyni.

— Tak już będzie ze mną do końca — dodał smutnie — a chyba i po końcu.... Dano mi wieczne pragnienie — nie mogę się skarżyć, są co i tego nie mają.

— Ale bo pan jesteś zbyt surowy, grożąc odparła gospodyni. Artysta sam nie ma prawa być sędzią dzieła swojego. Dla czegoż nie chcesz nigdy ani dać spojrzeć?

Mirosław się zarumienił i gorączkowo poprawiając włosy, zakończył:

— Przepraszam panią — ojciec ma nad dziećciem prawo życia i śmierci.... Nikt, nikt lepszym nie jest sędzią, niż twórca dzieła....

— Mylisz się pan; są po większej części zaślepieni artyści. Jedni zbyt swe dzieła miłują, drudzy.... straciwszy przez pracę uczucie wartości ich — znużeni, zbyt je lekko cenią....

Mirosław spuścił na piersi głowę.

— Nie — mój karton, jak zwykle, nie nie był wart. Chwilę, zdawało mi się.... byłem z części jego bardzo szczęśliwy.... ale w końcu!! A! nie....

— Chciałbyś pan koniecznie stworzyć arcydzieło! z wymówką rzekła gospodyni.

— Tak jest! podchwycił artysta gorąco, podnosząc ku niej oczy błyszczące i jakby łzami zwilżone — tak jest. Mierności świat pełen cały, mierności i oklepane formy nas zalewają. Arcydzieło! nie — na to potrzeba Michała Anioła i Rafaela, i chwili natchnienia, i Fornariny i Colonne może — i wieku XVI, i słońca nie naszego — ale — gdyby to choć była rzecz oryginalnie brzydka, szkaradna, choć samoistnie chybiona! Niestety! była to jedna z tych bitew jakich tysiące namalowali ci, co żadnej w życiu nie widzieli!! Jak ja!!

Spuścił głowę, rozmowa się przerwała, bo panna Ada zwróciła się już do Rubaczka, trochę namarszczywszy brew. Ton łagodny, jakim mówiła do Mirosława, zmienił się w zimniejszy, niemal surowy....

— A cóż ten Psalm? będę ja go kiedy miała ułożony jak prosiłam, na organ solo...?

Błada twarz muzyka trochę się zarumieniła i zabełkotał niewyraźnie:

— Prawie gotów — przepiszę tylko....

— Prawda, że piękny, że majestatyczny, że w swój prostocie więcej mówi niż wasza nowa muzyka przeładowana, która chce wszystko wypowiedzieć, a nic nie umie?

Rubaczek zaprotestował po cichu.

— Naszą — !! ale ja się do niej nie przyznaje....

— Przepraszam.... masz pan słuszność — a cóż to sławione Requiem....?

— Doskonałe do przedstawienia w Operze.... ale nie w kościele....

Rozśmiała się potakująco gospodyni i spojrzała na Musiatowskiego....

— Czytałeś pan nowe poezye Słowackiego? zapytała go szydersko. Nie znalazłam ich w bibliotece, i domyśliłam się, że je wzięłeś.

— Odniosłem! wybełkotał sekretarz — leżą.... Mówiąc to mimowolnie się zżymnął.

— Wielki poeta! na przekorę z uśmiechem dała Ada.

Musiatowski spojrzał okiem zaczerwienioném z oburzenia, krew mu biła do głowy....

Mruknął pod nosem:

— Pani nowój muzyki nie lubi i nie gustuje w niej — toć podobna poezya dla wirtuozów.... Grają rymy i słowa.... ale....

Ręką zamachnął, umilkł i do talerza powrócił.

Nie chcąc się z nim w dalszą wdawać rozprawę, zwróciła się Ada, po cichu coś szepecząc do panny Karoliny. Sensytywa się oblała ponsowym rumieńcem... i widać było jak zadrżała cała. Przymuszony uśmiech łzawy przeleciał po jej ustach, nie odpowiedziała nic — kolój przyszła na pana Roberta, który z ojcem rozmawiał oczyma....

— Przeczytałeś pan Figuiet'a, którego panu dała? spytała go jakby egzaminowała studenta.

Robert głowę skłonił potakująco, a Ada obróciła się do majora....

— Syna panu bałamucę i od gospodarstwa i myślowstwa odrywam — rzekła na pół figlarnie.

Major zarumienił się niemal jak panna Karolina, tylko że był opalony, mniej to było widoczne....

— Pani dobrodziejko!... wybąknął nie chcąc dziękować, nie śmiejąc się opierać i tłumaczyć. Dopiero po chwili zebrał się na nieśmiałą odpowiedź, na którą Ada się oczekiwać zdawała.

— Nie chciałem syna mojego uczynić uczonym.... Człowiek się tak na książkach rozpija, jak na wódce.... Słowo daję. Dosyć mu przy katechizmie mieć otwartą głowę.

Dosłyszawszy to ks. Otto, przerwał opowiadanie o Rzymie, nastawił ucha i nie mógł się powstrzymać, aby się nie wmieszał do rozmowy.

— Jakże mnie niewymownie cieszy — rzekł wśród powszechnego milczenia, — że słyszę z ust szanownego majora zdanie tak zdrowe, któreby złotemi głoskami należało wypisać tam, gdzie je najwięcej ojców i młodzieży czytać może.... Tak jest — uczoność ani do zbawienia, ani do szczęścia ziemskiego nie jest potrzebna. Często się staje zawadą do obojga....

Major skłonił głowę; gospodyni domu, mimo głębokiego szacunku dla księdza kanonika, dziwnie usta zacięła.

— Ksiądz prałat pozwoli — rzekła — że ja po kobiecemu trochę, nieśmiało zaprotestuję .. Kościół zawsze szerzył oświatę, on ją rozlał po świecie — od niego mamy wskrzeszone nauki — on związał tradycje pogańskiego świata z nauką Chrystusa.... Kościół....

Kanonik przybrał uroczystą, niemal groźną minę; popatrzał z natężeniem na gospodynię, oczyma wyrażając jakby zdumienie wielkie z danego zgorszenia....

— I kościół też dalej chce przewodniczyć oświeceniu, nauce, aby za granice jej zakreślone nie przeszła — rzekł zimno, głosem wyroczni, z wldoczném wymaganiem, aby się na tém niewłaściwy spór zakończył.

Jakoż gospodyni pokręciwszy główką, minę

nastroiła jakąś na pół posłuszną, pół zbuntowaną i zamysłona — zamilkła....

Pułkownik, który dotąd się nie odzywał, chrząknął i na intencję majora pół głosem dodał....

— Kochany Robert umie wszystko pogodzić, bo to i gospodarz co się zowie, i myśliwy doskonały, i do książek rwie się, a pamięć ma.... niech pani nasza dobrodziejka poświadczy.

Rumieniec przeszedł teraz na twarz pochwalonego Roberta, a Ada obracając się do majora, poczęła z cicha:

— W istocie — nieraz się musiałam zdumieć nadzwyczajnej pamięci pana Roberta.... nawet w takich rzeczach, które mało go mogły interesować....

Jazyga stary ciągle uśmiechami odpowiadał. Kanonik dalej prowadził opowiadanie o Rzymie, a Rubaczek po cichu jątrzył i drażnił Mirosława conceptami, których nikt nie słyszał, prócz umęczonego przezeń malarza. Ten zaś tak był nawykły do zaczepek i obojętny na nie, iż mu one najmniejszego nie czyniły wrażenia....

— Ten obiad chyba się nigdy nie skończy — odezwała się z cicha panna Karolina do Roberta. Nie znajdujesz go pan nieznośnie długim?....

— A! ja — nie — szepnął Robert. Proszę pani, mam tak miłą sąsiadkę — (tu rumieniec wypłynął

znowu), — naprzeciw widzę ojca, którego tak dawno pragnął, i w dodatku chwałą mnie jeszcze....

— To właśnie najprzykrzejsze... szepnęła Sensytywa.... to okropne.... Gdy gania i łaja, można płakać przynajmniej, a za pochwały — wstydić się trzeba i.... męczyć.

Robert spojrzał ku niej.... Siedziała biedna zmęczona, nie wiedząc w którą stronę się zwrócić.... Na Adę, która ciągle ją musztrowała, nie mogła, na pannę Hortensyę, której wzrok przebił ją i ranił, nie śmiała, na mężczyzn nie miała zwyczaju.... Kanonika się obawiała.... Patrzała na talerz biedna....

— A! jak gorąco! szeptała cicho....

Obiad powolnie podawany, a z zasady, ciągnął się w istocie długo, lecz nareszcie wety się zbliżały. Powiedzieliśmy: z zasady, gdyż gospodyni domu i w tém miała pewne higieniczne wyrachowania i stałe prawa.... Stół podlegał systematowi pewnemu.... Nie przyznawała się do tego, że jeść lubiła smaczno.... Posty zachowywano surowo i to w oczach kanonika okupowało wymysły i delikatesy, które jadł i on, nie wiedząc pewnie czém się żywi. Dla niego było to obojętném.... Zbyt był zaprzątnięty ważniejszymi sprawami, aby go odżywianie się obchodziło....

Panna Hortensya tylko, która szukała pretekstów do sporu z kochaną kuzynką, i z tego stołu wytwornego robiła jój grzech wielki. Kilka razy na przekorę usiłowała kanonika wciągnąć w tę polemikę gastronomiczną, będąc pewna, że będzie ją popierał.

Ks. Otto zmilczał i odmówił mieszania się w rzecz błahą. Miał on wiele pobłażania dla słabości panny Ady, i więcéj jój pozwalał niż innym penitentom.... Miał zapewne słuszne ku temu pobudki....

Panna Hortensya tak téj, jak innych powolności kanonika zrozumieć nie mogła, miała mu je prawie za złe — lecz pokłócona ze wszystkimi na świecie, narażania mu się unikała....

Obiad skończył się szczęściem dla panny Karoliny, i krzesła ruszyły się nareszcie, czemu i major był niezmiernie rad, gdyż miał zamiar zaraz po kawie wymknąć się nieznacznie, choćby nawet na pułkownika nie czekając, na syna skinąć i z nim razem uciekać do Zahajów.

Rachował na to, że pułkownik będzie zajęty gośćmi, ale ten go z oka nie spuszczał, a gospodyni również pilno śledziła każdy ruch jego. Nie mogła sobie wytłómaczyć kwaśnego i skłopotanego wyrazu twarzy majora, który ją nieco niepokoił. Przechodzono do bawialnego salonu, zkąd na czarną kawę miano się udać pod werandę, z zimowego ogrodu zrobioną przed domem, gdy Bran-

dys, jakby dla ubezpieczenia się, że mu przyjaciel nie uciecze, wziął go pod rękę....

— Pod werandą u nas się pali. Jest to dozwolone — rzekł, — mam doskonałe cygara....

Major blagająco nań wejrzał....

— Ale ja muszę do Zahajów.

— Co za mus! syna przecież tu masz! Ja cię nie puszczę.... Czasu dosyć.... dzień długi....

— Ale—

— Chodź — powtórzył pułkownik....

Wszyscy szli pod ten namiot, w którym podano już kawę i likwory.... Gospodyni sama zbliżyła się do Jazygi, prosząc go, aby cygaro palił, i zapewniając, że zapach ten bardzo lubi....

Skinęła w tém na Roberta, który posłuszny poszedł za nią natychmiast, a za nim powlokły się oczy strapionego ojca....

— Czy ojciec pański zawsze jest tak milczący i.... smutny? spytała go Ada.

— A! nie — odparł Robert — ale mi się zdaje, że bardzo odwykł od towarzystwa.... zasiedział się w samotności....

— Tak, to być może — żywo dodała gospodyni — człowiek robi sobie bardzo łatwo nałogi ze wszystkiego.... Samotność jest rzeczą miłą, ale niebezpieczną. Bez ludzi żyć nie można i nie godzi się....

Robert słuchał z jakimś namaszczeniem.

— Długo tu major zabawi? pytała.

— Ja nic nie wiem jeszcze — rzekł Robert....

— Radabym go mieć u siebie przed wyjazdem....
Pułkownik mój pocziwy odżywi się wspomnieniami.

Popatrzała na wychowanka swego piękna pani.

— Nie chcę pana buntować przeciwko władzy rodzicielskiej — odezwała się z uśmiechem — lecz, jako dobrze panu życząca.... przyjaciółka.... chcę go przestrzedz, abyś zbyt *à la lettre* nie brał troskliwych ostróg majora.... On byłby rad z pana Roberta, nie mogąc żołnierza, zrobić hreczkosieja, myśliwca i — próżniaka! Jest to rodzaj pieśzczoty! Ja to rozumiem.... ale się pan nie pieść. Pracuj!

Robert jasnym okiem spojrzał ku niej. Było w tym wejrzeniu tyle poszanowania, uwielbienia prawie, iż piękna pani tym śmielej ciągnęła dalej.

— Mnie pana szkoda na takie zadomowienie. Doprawdy, choćym go trochę pobuntowała, na sumieniu mieć nie będę. Ojciec czyni to w najlepszej wierze i intencji.... z miłości wielkiej.... ale nie ma słuszności....

Nie gniewaj się pan, że przeciw niemu mówię.... obowiązkiem człowieka jest kształcić się, oświecać, podnosić, uczyć, pracować — choćby cierpieć, a starać się wzlecieć wysoko....

Szanuję bardzo ks. kanonika.... Naturalnie, publicznie, u stołu nie mógł się inaczej odezwać; ale on sam przecie uczonym jest głęboko i naukę cenić umie....

Robert słuchał jak student.... Z dala patrzący na cichą rozmowę tę z synem swym, major bladł i cygaro rozgryzał, żuł, gasił, tak go ona zdawała się niepokoić.

— A! pani—odezwał się w końcu Robert — z jej ust każde słowo....

Ada się uśmiechnęła....

— Cóż znowu! komplement! gdy ja mówię tak seryo — z obowiązku....

— Nie komplement — zaparł się Robert — a! do prawdy — nie.... Ja pani już tyle winienem, tak mi się otwarły oczy, tyle zajmujących widoków, na które byłem ślepy, stanęło teraz przedemną.... Jestem taki szczęśliwy!

Gospodyni spojrzała nań, mierząc go oczyma zimnemi, w których jednak coś jakby niepokój się ukrywał....

— Wierz mi, panie Robercie, że ja panu dobrze życzę....

Powiedziała to też chłodno, i jakby przypomniawszy sobie, że ta rozmowa na uboczu może ojcu być zagadkową, skinęła na Roberta, aby z nią razem podeszedł ku niemu.

— Prosiłam syna pańskiego, i wymogłam na nim słowo — rzekła, — że mi tu pana majora przywiezie....

— Ja, pani dobrodziejko — przebaknął węża kręcąc Jazyga — ja bo rychło bardzo muszę powracać do domu.... Gospodarstwo....

— Nie uciecze — przerwała gospodyni.... Wiesz pan, panie majorze, że my jesteśmy z sobą skolidaceni....? O! ja bardzo lubię genealogie rodzinne i znam swoją na pamięć.

Major spojrzał oczyma zdziwionemi.

— Tak jest — powiem panu zaraz.... Matka moja z domu była Boguszanka, a rodziła się z kniaziowny O..., z której siostry urodzona jest żona pańska. Widzisz pan, że nie daremnie roszczę sobie pewne prawa do jego życzliwości....

Major był całkowicie tém — jak później mówił — z siodła wysadzony. Począł coś bełkotać niezrozumiałego. Ada mówiła spokojnie....

— Przyjedziecie panowie do mnie na obiad z synem we środę — nie znoszę sprzeciwiania się, jestem uparta.... Podała rękę majorowi, który jeszcze nie mogąc przyjść do siebie, ścisnął ją już nic nie odpowiadając.... A że cygaro mu zagasło wśród tych tarapatów, które przebywał, skinęła gospodyni na pułkownika, aby koledze ogniem się przysłużył....

W ciągu czarnej kawy towarzystwo się znacznie zmniejszyło, — uciekł najprzód Musiatowski do ogrodu i tam, sam z sobą, w ulicy chodząc, rozmawiał i śmiał się. Rubaczek wymknął się do oficyn także; został tylko Mirosław Oblęcki, który już dobrze nie wiedział gdzie był i myślał o jakimś kartonie.

Z dala panna Karolina, kryjąc się w cień, rzucała oczyma nieśmiało po towarzystwie, a wylekniiony jej wzrok zatrzymywał się czasami na Mirosławie, na Adzie. Zdawało się, że chce odgadnąć o czém mówili z sobą.

Na boku, z widocznie znudzonym twarzy wyrazem, ks. kanonik Otto skazany na towarzystwo panny Hortensyi, znosił je z religijną rezygnacją. Zasypywała go pytaniami, zarówno pragnąc pozyskać, jak pochwalić się z tém, iż była przez niego zaszczycona długą i poufną rozmową.

Zbliżyła się nareszcie ku niemu, spoglądając krzywo, złośliwie na kuzynkę, w czasie gdy z młodym Jazygą rozmawiała.

— Uważa ks. prałat, jaką nasza kochana Ada zawsze ma słabość dla tego młodego.... przepraszam.... drągała....

Ruszyła ramionami.

— Jest to dla mnie niewytłómaczone: — kobieta tak wykształcona, tak rozumna, a to chłopak

nieokrzesany, prosty.... bez manieri nawet i z dziwnie zaniedbaném wychowaniem.

Ks. Otto pomyślał chwilę, uśmiechnął się niby łagodnie.

— Ja się temu nie dziwuję, rzekł. Zaczyna nasza panna Ada spełnia gorliwie tę missyę, na którą się skazała, być wszędzie i dla wszystkich przewodniczką, mistrzynią, zapominając tylko o sobie. Właśnie dla tego, że to chłopak zaniedbany....

— Ale ma słabość — *je vous donne ma parole*, — ma do niego śmieszłą słabość — dodała Hortensya. Zwracałam nieraz na to jój uwagę, mając to sobie za obowiązek.... Odemnie ona nic nie przyjmie. Zbývá milczeniem. Ks. prałat powinienby ją uczynić ostrożną. Chłopak młody.... najniewinniej może mu się zawrócić głowa....

— O! o! o! rzekł ks. kanonik — tak dalece znowu! nie sędzę. Znasz pani najlepij swą kuzynkę. Ma ona oko przenikliwe, samaby najprzód dojrzała niebezpieczeństwa.... To jój sprawia roz-targnienie.... dać trzeba pokój....

— Niech i tak będzie — poddaje się wyrokowi ks. prałata — niby wesoło i obojętnie odpowiedziała kwaśna panna Hortensya; — co do mnie.... nie wydaje mi się to zajęcie ani przyzwoitém, ani potrzebném, ani pożyteczném.... Z tego chłopaka

nic nigdy nie będzie. *Entre nous soit dit*, głupowaty jest, ograniczony — naiwny jak dziecko.

— Może właśnie zacna nasza Ada chce w nim rozbudzić intelligencyę, trochę zawsze szydersko rzekł ks. prałat, tak, że wyrazy jego dwoiście mogła tłómaczyć słuchająca.

— Może, ale to stracone zachody — odrzekła panna Hortensya. W jego wieku już się nic nie budzi oprócz namiętności, które najprędzj poruścić można, nie mając wcale zamiaru. Na to przecie rozumna Ada winnaby zwrócić baczenie. Ale że sama jest zimna jak lód, zdaje jój się....

Nie dokończyła; ks. Otto oglądał się poważnie, spoglądając to na gospodynię, to na mówiącą.

— Tego chłodu, który jój pani zarzucasz — rzekł, — winszować należy w jój położeniu. Jest to prawdziwa *gratia status* — i poprawił się zaraz prałat tłómaczeniem francuzkiem — a panna Hortensya pośpieszyła mu przerwać:

— Rozumiem....

Cichym szeptem dokończyła coś jeszcze uśmiechając się złośliwie stara panna, a prałatowi mimowolnie także usta się do uśmiechu skrzywiły. Westchnął.

— Jestem o nią spokojny — dodał — cel jój życia wyższy zabezpiecza ją od wielu grożących innym ostateczności. Ten cel ma zawsze na ser-

cu.... Niepodobna zresztą wymagać, aby jakiéś w życiu nie szukała rozrywki....

— A! ma ich aż nadto moja kochana Ada, rzekła śmiejąc się kuzynka. Czyż nie dosyć jéj tego pół-waryata malarza, który nigdy nie ani narysować, ani odmalować nie potrafi? Ma muzyka, którego upiera się trzymać, choć tylko zgorszenie daje we dworze; a na ostatku i monomana tego Musiatowskiego. Dołożywszy jeszcze sensytywę i—mnie, bo muszę się zaliczyć do orszaku królowej, czyżby już tego nie stało?

Zwróciła oczy na ks. prałata, który milczał bawiając się fręzlami swojego czarnego pasa....

Zbliżyła się potem znowu ku uchu księdza kanonika....

— Ta biedna Karusia.... niech ks. prałat spojrzy, jak oczkiem goni to za pięknym Robertem, to za Mirosławem.... Albo się bardzo mylę, albo i ona jest jego lalkowatą pięknością zachwycona. Ile razy do niej przemówi, rumieni się, mało jéj krew nie tryśnie z twarzy.

— O! toby było daleko prawdopodobniejsze i niebezpieczniejsze nad interesowanie się nim naszą drogięj pani — odparł kanonik....

— No — ja za nic nie ręczę! tajemniczo palec kładąc na ustach dokończyła panna Hortensya....

Gdy się ta rozmowa toczyła, major nareszcie zebrał się na odwagę pożegnania gospodyni, która go raz jeszcze zaprosiła najuprzejmiej na obiad, razem z synem. Usłyszawszy to panna Hortensya, wyraziste spojrzenie skierowała na księdza— jak gdyby mu powiedzieć chciała, — A cóż? nie mówiłam. Ks. Otto wstał, z daleka się kłaniając; Żegnali się wszyscy. Panna Karolina z dala, spłoszona, ukłonem prędkim i niezręcznym oddała pożegnanie Robertowi....

Major z synem i pułkownikiem zszedł wprost z ganku tąż samą drogą, którą się tu dostał z folwarku, pośpieszając napowrot. Dobywszy się na powietrze — z tego towarzystwa, które mu ciążyło i było nieznośném,— odetchnął wolniej; twarz mu się aż rozpogodziła.

— Robercie, rzekł na ucho — jadę do ciebie — każ konie zaprzęgać.... potrzebuję spocząć.... Jedźmy zaraz....

Robert żwawo przodem pośpieszył, aby spełnić ojca rozkazy....

Wioska Zahaje, granicząca z Ruszkowem, należała do pana Wrotyńskiego, jednego z tych magnatów, których imienia przed laty kilkudziesięciu nikt nie słyszał, bo naówczas ojciec jeszcze skromną nader rozpoczynał karierę, która mu miała dać ogromną fortunę. Stary Wrotyński, ofi-

cyalista najprzód, potem dzierżawca, przedsiębiorca, handlarz, podradowicz — gdy raz począł grosz robić i dobił się początkowych kilkudziesiąt tysięcy, na coraz większą skalę obracając niemi, doszedł do kolosalnej fortuny. Syn był jednak i — wzorem wielu innych, przedzierzgnawszy się na pana, powoli tracił to, co ojciec zarabiał w pocie czoła. Nie gospodarował już sam wcale, w interesie się nie wdawał, trzymał drogiego plenipotentę, majątki puszczone były dzierżawą, a p. Wrotyński, należący już do najwykwintniejszego świata, pracowicie zacierał ślady pochodzenia skromnego, tworzył sobie genealogię i pilno się starał ożenić z mitrą jaką, ażeby otrzymać prawo obywatelstwa w tych sferach, do których już *de facto* należał....

Zahaje tym sposobem dostały się na lat dwanaście panu Robertowi Jazydze. Był to majątek najprzód fundamentalnie zrujnowany, gdy stary Wrotyński kupił go za bezcen, potem nieco podłatanym, puszczone dzierżawą, i naostatek dźwignięty już przez młodego, dzielnego pana Roberta....

Warunki gospodarskie złe nie były — coś na tém zrobić się dawało, lecz chyba kawaler mógł tu znieść pobyt.... który wcale nie był przyjemny. Nad tém stary Jazyga, ani młody nie myślał wiele. Młodemu człowiekowi, aby dach, aby kąt, aby warsztat do pracy....

Od lat wielu nikt tu nie mieszkał oprócz ekonomów; rodzaj chaty czy nędznego dworku, składał całe pomieszkание dzierżawcy. Zabudowania były w najnędzniejszym stanie. Wrotyńscy żadnych na to nakładów czynić nie chcieli. Robert musiał popodpierać, połatać, gdzie zaciekało poprzykrywać i biedę klepać dalej. Dworek pokryto gontami, pobielono, umyto, okna nowe wstawiono, ogródek oczyszczono nieco z chwastów.... i — żyć było jużcić można.

Lecz, żyło się bardzo po kawalersku.... Jedna izba trochę większa była od rzadkich gości. Nie przyjeżdżało tu ich też wiele. Czasem zawitał pułkownik na chwilę, czasem który sąsiad od drugiej między, pan Zarznicki lub Posepalski. Robert nie szukał towarzystwa, a to, które miał, starczyło mu.... Najlepij lubił jeździć do Ruszkowa.... i z tém się nie tał. Mówiono nań z przekąsem, że na panicza chorować zaczyna. Doszło go to, bo mu wąsaty weredyk Zarznicki wręcz powiedział. Robert śmiejąc się uściskał go — nie wzięwszy do serca.

Nad wieczór już, a wieczór był wiosenny tak cudowny, że nawet w Zahajach, przy śpiewie słowików i kwitnących czeremchach, wesoło było i miło, — dojechali ojciec i syn, milczący w czasie drogi, do dworku.

Tu Robert zeskoczył pierwszy z bryczki, odkrył

głowę i z poszanowaniem ojca powitawszy, poprowadził go do — swój chaty....

Major posępny, jeszcze wydychać nie mógł Ruskowa, i ściskając syna z czułością, przemyslał tylko jak mu tu, ostrożnie, bacznie, rozumnie — dać antidotum przeciw wpływom tego dworu panny Ady.

Oprócz innych wstrętów i obaw, major przypatrzywszy się składowi osób, stanowiących otoczenie panny Pretwiczówny — oburzał się w duchu na rolę, jaką syn miał grać wśród tych kaleków, i zbieraną z całego świata drużynę fantastycznych rezydentów.

Nie podobało mu się tu wszystko i wszyscy z wyjątkiem jednego może pułkownika, a i tego znajdował zmienionym na niekorzyść, spętanym niewolnikiem. Fizyognomia i postawa ks. prałata przypomniła mu jakiegoś tradycyjnego jezuitę.... ten postrach wolnomyślnych.... panna Hortensya wydała mu się złośliwą i przewrotną intrygantką, jaką była w istocie, — Musiatowski pół waryatem, malarz upośledzonym umysłowo, muzyk włóczęgą.... Nawet panna Karolina niepokoiła go swemi rumieńcami — i nieśmiałością. Bał się i téj dla syna.... lękał się w ogóle atmosfery, nałogu oddychania nią, dworactwa upokarzającego....

Wolałby był i łacniej przebaczył największą nie-

dorzecznosc młodzieńczą Robertowi, niż to rozmówanie się we dworze staréj panny....

Robert nietylko się nie domyślał tych w ojcu usposobień, ale był najpewniejszym, że mu pochwali jego postępowanie; dumny był łaską panny Ady, spodziewał się, iż ojciec za tryumf to będzie uważał. W istocie dla niego, prostaczka, była to idealna kobieta, coś tak wspaniałego, wielkiego, doskonałego, iż się ku niéj z trwogą i drżeniem zbliżać należało. Nigdy się nie domyślał, iżby go upokarzać mogło to, że się do jéj zaciągnął orszaku.... Czekał nawet przez całą drogę tego ojcowskiego słowa, a milczenie przypisał znużeniu i — przytomności sług.... Szymka i Iwasia.... Ale żeby też jedno słowo rzekł major o rozumie pani, o piękności, o jéj uprzejmości i dobroci.... Zdziwiło go, że milczał tak uparcie. Postanowił czekać, nie wywołując....

Przyjechawszy do Zahajów, major począł od rozglądania się w synowskiém gospodarstwie. Prosto z bryczki poszli patrzeć jak Robert wszystko poprawiał niewielkim kosztem, jak utrzymać umiał w porządku. Major zajrzał do stajni, do obory, do owczarni — i cieszył się niezmiernie, ściskając syna przy każdej podanej zręczności....

Robert był uradowany, bo mu pochwała ojca stała za największą w świecie nagrodę.... Tymczasem przygotowywano skromną wieczerzę, i gdy

po małej wyćieczce ku bliższym polom, żeby zobaczyć pszenicę, wrócili do chaty, gdzie już Iwaś z pomocą miejscowego Wojtka do stołu nakrył.... krupniczek z półgęska przyniesiono.

Zapach jego rozradował majora.... Po wódce znowu syna uściskał, zasiadając do fajansowego talerza prostego, z którego owa polewka się kurzyła....

— Otoż to mi kuchnia! to mi życie! zawołał wesoło major. Wierzaj mi Robciu — po dniu pracy, krupnik swój własny, na prostej misce — to stokroć lepsze, zdrowsze, smaczniejsze, niż pulpety magnatów, ich wykwinny stół, który gębę psuje, ich grymasy nieszczerze i wszystkie te formy komedyanckie, któremi się oni na okpiwanie świata przybierają!

Na ten wykrzyknik, Robert zdumiony, milczeniem tylko odpowiedział.

Major ciągnął dalej:

— Powiem ci szczerze, żem się zmęczył straszliwie tém łaskawém przyjęciem waszój heroiny! Pułkownikowi tego darować nie mogę, że mnie na to naraził! A mnie to po co? na co? po jakiego licha? Ja z tym ich światem dawno rozbrat wziąłem, i wracać doń nie myślę.

Spojrzał na syna, który z wolna jadł swój krupnik, i z uwagą wielką ojcu patrzył w oczy, — odezwąć się nie śmiejąc. Ojciec też dlań był wyro-

cznia; nawykł go słuchać przez miłość, a czuł zawsze taką wyższość nad sobą, że sprzeciwić mu się miałby być za zbrodnię.

Tym razem wyrazy ojcowskie dziwnie przykro mu zabrzmiały w uszach, zmartwiły go. Pomyślał w duchu, że ojciec w zasadzie, jak zawsze tak i teraz, słuszość mieć musi — ależ w tym świecie zepsutym, który wyklinał, panna Ada była wyjątkiem. Nosila może jego kajdany — nie było to jej winą, — umysłem przechodziła o wiele istoty składające te sfery.... Radby był, choć nieśmiało, powiedzieć myśl tę ojcu — ale — jak tu do tego przystąpić było?

Major tymczasem, gdy mu się raz usta otworzyły, ciągnął dalej:

— Dla waszeci panie Robercie, to jest do karku uciążliwe sąsiedztwo....

— A! proszę ojca! rozśmiał się Robert: dla mnie to dom bardzo przyjemny.

— Przyjemny? przyjemny? podchwycił major — ale wstydź się! Co tam być może miłego!... Panna, nie przeczę, rozumną być może bardzo, ale też widać i zarozumiałą. Gra sobie rolę królowej *au petit pied*! A dwór! z wyjątkiem pułkownika, który mi wygląda jak lew, co mu obcięto pazury — dwór! A toć szpital waryatów....

Robert aż pobladł — źle mu się i przykro zrobiło, łyżkę położył na talerzu, ręce skrzyżował na

piersi. Wystąpienie ojcowskie było tak stanowcze, decydujące, że pocziwemu dziecku przeciwnemu walczyć zdawało się niepodobieństwem — posmutniał.

Major postrzegł się, że znowu bodaj za porywco i za daleko zaszedł, i pogniewał się sam na siebie; uśmiechem więc łagodnym pokrywając co czuł, dodał:

— Żal mi pocziwego pułkownika — no — i ciebie.... Ty tam słyszysz często bywasz?

Zarumienił się Robert.

— W istocie, panna Ada na mnie bardzo łaskawa.... bywam często, i jestem przekonany, że gdyby kochany ojciec zbliżył się, chciał wejrzeć — przekonałby się, iż wszystko to w Ruszkowie daleko lepsze, niż się na pierwszy rzut oka wydaje.

Major usta wykrzywił, chleba posolonego mocno ugryzł kawał i głową trząsł jedząc.

— A! wy, młodzi — rzekł miarkując się — wy młodzi, aby wam dystrakcyja.... Może też i ładny buziak téj rumieniającej się panienki, co się za słup chowała.

— Ale! nie! nie! przerwał Robert bynajmniej niezmieszany, co było najlepszym dowodem, że się nie poczuwał do winy — ale.... nie!

— Panna ładna! wtrącił major....

— I bardzo dobra, miła panienka — rzekł obo-

jętnie Robert — przecież ja się nie zadurzę tak łatwo....

— A! mój Robciu — zawołał ojciec — zakochaj się w poczciwój, ładnej dziewczynie naszego stanu i obyczaju, choćby grosza nie miała, nie powiem ci nic — pobłogosławię. Może nawetby czas o gnieździe pomyśleć.

— O! proszę ojca! czego się mam śpieszyć? mnie nie pilno — odparł Robert żywo. Przyznaję się kochanemu ojcu, do płochych miłostek nie jestem skłonny, a od towarzyszkii życia — całego życia — wymagam wiele. Powiedziałem sobie, że się nie ożenię, nie znalazłszy czego pragnę.

Major wása pokręcił — posmutniał. Spojrzał na syna.

— Juścić ja cię gwałtem żenić nie myślę, rzekł — lecz gdyby ci się co trafiło, zawczasu sobie projektowałem zamienić się z tobą i sięść tu na dzierzawie w Zahajach, a tobie oddać dziedziczne Żabliszki.... Tu z żoną nie ma sposobu w téj chacie mieszkać....

— Ale też o żonie nie ma mowy! rzekł trochę smutno Robert.

Jakiś czas milczeli. Iwaś przyniósł zrazy z bu-raczkami, — wzięli się do jedzenia. Gospodarz ojcu wina dolewał, major pił, smakowało mu wszystko.

— Powiadam ci, że nie ma jak ta nasza dostat-

nia kuchnia szlachecka.... Nie trzeba sobie tylko
gęby psuć na francuzkiéj....

— Ja nie bardzo zważam co jem — odezwał się
Robert roztargniony.

— Wam młodym jeszcze wszystko smakuje,
mówił major — tak samo i z towarzystwem.... Nie-
stety! my starzy, nauczeni doświadczeniem, cośmy
i od niejednej potrawy i od niejednego człowieka
mieli niestrawność — strzeżemy się.... tego co
zdradziło!

Westchnął.

Po krótkim milczeniu Robert nabrał odwagi i
bąknął:

— Przyznam się ojcu, że byłem pewien prawie,
iż mu się Ruszków podoba, a na nieszczęście, wi-
dząc, stało się przeciwnie??

— Ale ty powinienesz być z góry wiedzieć mój
drogi, odparł major, że mi się nic co śmierdzi
państwem podobać nie może. Słyszałeś przecie co
miałem do przecierpienia z pańską rodziną twojej
świętej, anielskiej matki. Odtąd między nimi a
mną obrus rozerznięty....

— Są przecie wyjątki — szepnął Robert.

— Wolę ich nie szukać i nie rachować na nic.
Na loteryę nie stawiam nigdy — zawołał major, —
a z dobrego serca ojcowskiego życzyłbym ci też
na wyjątki w życiu nie rachować nigdy — jak
ja....

Zmilkzał Robert. Był to koniec wieczerzy, przeproszać zaczął, że na prędcę więcej zrobić nie umiano, i z szafy podał deser skromny....

— Jabym się był wyśmienicie krupnikiem kontentował — rozśmiał się major, klepiąc po ramieniu syna. Dajże ty mi pokój.

Deseru nie chcąc jeść, zapalił stary Jazyga cygaro, a że wieczór wiosenny był śliczny, słowiki śpiewały, w powietrzu unosiła się ta woń naszej wioski, jaką żadna w świecie wieś już dziś równać się jój nie może.... wyszli się na ławkę przed dworek.... Cisza tego skromnego zakątka, w istocie dnia tego zdawała się przychodzić w pomoc argumentom majora za miernością, za szlachecką zagrodą ubogą.

Nie mogło nic być mniej pojętném nad Zahaje.... i tu przecie pewne chwile i dni miały urok niewypowiedziany — urok i złudzenie tego pokoju, którego dusza ludzka tak pragnie łakomie, bo nigdzie go znaleźć nie może.... Zmierzchało dobrze.... oba napawali się tą ciszą, ale — jak to bywa na świecie, gdy się czego używa z rozkoszą, pewnie coś wytrąci czarę. Na drodze Robert z przykrością posłyszał brzęczenie upręży i turkot wózka.... był prawie pewien, że chyba do niego ktoś w téj spóźnionej i niewłaściwej porze podąża. Lecz — któżby to mógł być taki?....

Zmarszczył się i major.

— Co u licha? gość po nocy?

— Nie rozumiem — odpowiedział wstając gospodarz — i postąpił kroków kilka.

W istocie bryczka się zatrzymała u zamkniętych wrót, i nim je otwarto, mężczyzna z niej wysiadł, z fajeczką w ustach.

Był to sąsiadł Zarznicki.

— Przepraszam, jak Boga mego kocham, że nie w porę, jak *piła w kredę* tu włożę — ale, słowo daję, pana Roberta nigdy w domu, wiecznie w Ruszkowie. Kiedy człek przyjedzie, spyta: Gdzie pan? W Ruszkowie. Dokąd pan pojechał? Do Ruszkowa. Więc mając interes, choć po nocy przybyłem, aby raz zastać. Myślę sobie: toć może u panny Pretwiczówny nie nocuje.

Począł się Zarznicki śmiać z konceptu. Robert stał zaczerwieniony i pomieszany; major się ruszył z ławy, rad, że mu może przybędzie pomocnik do obalania murów téj twierdzy, której syn bronił.

Robert przedstawił ojcu gościa....

Szlachcic wąsaty, przysadzisty, szeroki w plecach i w ogóle z brzuchem dobrym, zażywny, z twarzą, na której więcej było brodawek niż charakteru, przylgnął zaraz do majora, z sympatją jaką u nas wszyscy mieli dla wojskowych, zwłaszcza starego autoramentu.

— O! my pana majora dobrodzieja — jak Boga kocham — znamy! znamy! Szczycimy się nim. Jestem prawdziwie szczęśliwy, iż mam ten.... honor.... że dziś.... mogę.... to jest.... zaszczycony....

Splątał się z wielkiego wzruszenia Zarznicki, ale rękę majora tak ścisnął.... iż stary aż syknął....

Siedli na ławce, kazano robić herbatę.... Zarznicki potrzebował się wytłómaczyć, iż tak napadł na pana Roberta, i w niebytności jego, ojca za to przeproszał.

— A, nie ma za co, odparł major — przyznam się acanu dobrodziejowi, choć przy pierwszej znajomości, że ja w ogóle panów i pańskich dworów nie lubię. Panowie mi kością w gardle siedli. Mój syn to tam dla mojego pułkownika, kolegi bywa....

— Ale — ale! — rzekł poufale, także nie zważając na pierwszą znajomość i klepiąc go po kolanie Zarznicki — młodemu, mosanie, pachnie zawsze spódniczka.... Panny są ładne....

— On do tego nie skory — rzekł ojciec.

— Z cicha pęk! rozśmiał się Zarznicki — jak to może być.... Skończenie świata by nastąpiło, gdyby młodzi obojętni się stali dla kobiet!! Ja w to nie wierzę....

— I panny w Ruszkowie tak znowu mi się nie wydają niebezpieczne — rzekł major.

— Ja je tam mało znam, wysokie progi na moje nogi — odezwał się Zarznicki, za pozwoleniem majora, fajkę nakładając z jego kapciucha, — widuję z daleka tylko; ale królowa sama — bo my ją tu nazywamy królową — co się zowie kobieta.... Panna kuzynka.... jak różyczka; tylko ten dyabeł panna Hortensya — jak grzech śmiertelny....

Miał ten zły zwyczaj Zarznicki, że się sam zawsze pierwszy śmiał ze swoich conceptów, i teraz wybuchnął, major mu dopomógł. Tymczasem i Robert powrócił.

Rachując na pomoc sąsiada, major rad był rozmowę naprowadzić na Ruszków, bo ciągle miał na sercu, aby do niego syna zniechęcić. Odezwał się więc:

— A my tu o paniach ruszkowskich gadamy....

— Ja chwale! chwale! zawołał Zarznicki: piękne panny z wyjątkiem panny Hortensyi, bo tę ekscypuję — i rzekam się jęj na rzecz ks. kanonika Ottona....

Znowu tedy śmiał się serdecznie sąsiad. Robertowi rozmowa ta niemiłą była, więc stał milczący, i ani śmiechowi, ani jęj nie dopomagał.

Zarznicki nań spoglądał badająco.

— Panowie byli dziś w Ruszkowie? spytał.

— A! byliśmy — odezwał się major. Ja zjechałem do starego kolegi, i wciągnięto mnie... do pałacu.

— Bo, nie można powiedzieć — przerwał szlachcic — trzeba oddać sprawiedliwość pannie Pretwiczównie — wielka pani, sawantka, arystokratka, ale nie jest dumna i każdego przyjmuje grzecznie.... Tylko to ta jej uprzejmość królewska, mospanie — dodał Zarznicki — pańska.... trzyma człowieka zawsze w przyzwoitej odległości od siebie.... I — do kaduka, z pozwoleniem, nie wytrzyma żeby każdemu jakiś nauki nie dała....

Major śmiał się patrząc na syna, który stał z ustami zaciętymi, widocznie dając poznać, że mu rozmowa była nieprzyjemna. Postrzegł to może Zarznicki i umilkł.... Staremu Jazydze nadto to było na rękę, ażeby dopuścić tak łatwo zmianę przedmiotu.

— Pierwszy raz w życiu miałem dziś szczęście — odezwał się — oglądać oblicze sławniej panny Ady; ale znajduję, że szanowny sąsiad masz słusność....

— Ja, panie dobrodzieju — zawołał uradowany pochwałą Zarznicki — ja — nie chwając się — na ludziach znam się troszynę. Wszyscy mi to przyznają. A mam ten szkaradny zwyczaj, że co myślę to i mówię....

Począł się śmiać, zawtórował mu major.

— Zwyczaj to wyśmienity, rzekł — trzymaj się go pan; prawda, że to czasem na chwilę kłopotu przyczyni, ale życie z tém lżejsze. Zrzuci się z serca co na niém leżało — i — kwita.

— A tak! jak Boga mego kocham — począł Zarznicki. Wracając do Ruszkowa....

— Herbatę podano — proszę — przerwał Robert, nie rad, że ojcu potakując utwierdza go w zdaniu Zarznicki. Sądził, że tém przerwie poczetą rzecz o Ruszkowie, ale uparty sąsiad, kończył idąc:

— Wracając do Ruszkowa — to mości dobrodzieju — arka Noego. Co ta tam znudzona panna nzbierała zwierząt wszelkiego rodzaju! Począwszy od tego żółtego Jezuity, ks. Ottona...

— Czyż Jezuita? spytał major.

— A jużci-ć! dosyć nań spojrzeć — mówił Zarznicki.... Filut, bo tak jest pocziwy i surowy dla siebie, że gdyby człowiek chciał, to mu nic zarzucić nie podobna.... A pod tą skórką baranią!! ho! ho! ho....

— Przecież sam pan powiadasz, iż mu nic zarzucić nie można — wtrącił Robert.

— Sam to powiadam, bo co prawda to prawda — ale Jezuita, śmierdzi mi.

Major wnet dodał:

— O i mnie....

— Tych ludzi przez skórę czuć....

Robert zajął się herbatą, milczał.

Zarznicki z zapalem dalej ciągnął:

— Panna Hortensya! O! to — panie dopiero.... jaszczureczka.... Znają tu ją ludzie.... Prawdzi-

wię świętą trzeba być jak ta panna Ada, żeby z nią wyżyć.

— Dziękuję panu choć za to przyznanie, wtrącił Robert żywo — iż panna Ada ma cierpliwość świętą w istocie.... a przepraszam, iż wtrącę słowo.... Być może, iż dwór jój dziwnie złożony, że to ludzie kalecy i niezdarni — ale któżby im dał przytułek, gdyby nie ona?

— Ani słowa — zawołał Zarznicki, — tylko dodajmy, że jak są panie co się bawią pieskami i papugami, tak ona ludźmi.... Ot co!....

Major go uściskał.

— Dalipan kochany sąsiedzie, jasno widzisz i masz słuszość.

Robert zmilczał, postanowił i ojcu się nie sprzeciwić i Zarznickiego nie jątrzyć — ale poczuł, że głowa go boli — i było mu dziwnie ciężko na sercu.

— Ja ich tam *praeter propter* wszystkich znam, ciągnął dalej szlachcic popijając herbatę, do której mu major rumu dolał. — O pannie Karolinie nic nie powiem złego.... Mnie się zdaje, że biedna sierota, musztrowana tam, poszłaby za Murzyna, aby się z pod téj opieki dobroczynnej wyzwolić.... A no — dalej — Musiatowski sekretarz, półgłówek — tylko że nie fiksat.... Ten muzyk, to łotr, pijak i zły tak, że pokąsałby człowieka gdyby mu się w czem sprzeciwić. W końcu malarz, co nie nie maluje.... Jak mego Boga kocham....

— Ale pan ich odmalowałeś! zawołał major....

— Z tym malarzem ja sam miałem historię— odezwał się Zarznicki. Prosi mnie pani prezesowa, która się nie zna z Pretwiczówną: „Słyszałam, że ona tam trzyma nadwornego malarza, a WPan go znasz, trzeba mi do kaplicy Matki Bożkiej— zrób to, żeby mi wymalował.” A trzeba wiedzieć, żem się ja z tym Oblęckim poznał osobliwym sposobem. Mam u siebie stare smarowidło, nie malowidło, na desce dębowej.... które jakiś bazgrała, niezdara, namazał przed trzystu może laty. Ma to wyobrażać niby Familię Świętą. Ja to za drzwiami trzymam, bo to stary grat, ale że po ojcu, dziadzie, pradziadzie, że to tam do tego przylgnęło niejedno westchnienie babki, a może łaza jaka przyszła — szanuję. Ktoś tedy w Ruszkowie o starym obrazie na złotém tle powiedział. Jednego ranka zjawia się nieuczesany, słowo daję, roztargniony, nie umiejący gadać pan Oblęcki, prosząc, abym ja mu obraz pokazał. A, z duszy, serca,... Wynieśli go do bawialnego pokoju.... patrząc — osłupiał, mruczy coś pod nosem, ręce składa.... w zachwycenie wpadł. A to, powiadam państwu — smarowidło nie malowidło.... Dopierom zrozumiał, jaki to znawca — ale cóż — chwali — milczę.... Musiałem obraz pozwolić do Ruszkowa.... nosili się, oglądali, byliby kupili, ale — ja takich rzeczy nie sprzedaję... Paskudny

jest — to prawda — a dla mnie droższy od złota, tylko że patrzeć na niego nie mogę.... taki brzydki.... Ale to — *intra parentheses*. Oblęcki mnie pokochał, upoiłem go razy kilka, aż śpiewał.... *Gaudemus* i drugą studencką.... *Meum est propositum in taberna mori*.... Musiałem się jęj dla jego miłości nauczyć. Gdy mnie prezesowa zagadnęła o obraz, myślę sobie: — pięknie on ci go namaluje! Ano — co mnie do tego! Piszę do Oblęckiego: przyjedź na ponczyk.... zrobię ci rzymski.... będziemy przy nim śpiewali. Stawi się. Gdy podpisał — ja występuję z propozycją. Wiedziałem, że się boi i nie lubi malować, choć to jego professya. Zbladł, począł się wymawiać. Ja nalegam, przycisnąłem go, dał słowo.... Trzy miesiące słychu o nim nie było — dowiadywałem się, mówili, że zamknięty siedzi.... Począłem go listami napominać.... Naostatek obiecuje mi, że obraz przywiezie. Naznaczyłem dzień, czekam.... Przybył.... Na bryczce z nim paczka zabita.... on blady, jak z krzyża zdjęty.... ledwie go odchuchał ponczem. Jest obraz? Westchnął — jest.... Ciekawość mnie wzięła.... żeby też to zobaczyć.... Jużemy podpili nieco. — Pokaż — powiadam. — Zgoda! Posłałem po obcęgi, zaraz zdjęliśmy wieko.... Byłem okrutnie ciekawy tego bohoma — a no — zdziwiłem się. Obraz mi się wydał piękny, tylko osobliwa rzecz, przypominał bardzo

mój stary... Nie śmiałem mu tego powiedzieć.... Pochwalilem. Patrząc, mój Obłęcki stoi przed swoim obrazem, stoi, oczy mu słupem się postawiły — jakby zdrewniał cały.... Myślałem, że go poncz znudził. Co tobie? trącam. Gdzie! ani mnie widzi, załamał ręce i poczyną sam do siebie....

— „Nie poczciwy zuchwalcze! tobie to ideały malować! Świętokradzco.... tobie! Śmiałeś się porwać na to, co najwznioślejszego ma ziemia i niebios....

„Ty! żabo.... ty....”

Schwycił się za włosy, i jak ryknie, jak wyrznie obcęgami w obraz, jak go pocznie na kawały drzeć. Furyat się z niego zrobił, myślałem, że go związać przyjdzie.... Nimem przyskoczył, już było po wszystkiem, kawałki płótna powrzucał w ogień.... pieniądze, które mu zapłaciłem, natychmiast na stół cisnął i nie rychło go uspokoiłem.... Płakał, upił się i zasnął szczęśliwie.

Nazajutrz zbudziwszy się, przeprosił mnie, i w najlepszym humorze w świetle do Ruszkowa powrócił, nie chcąc za nie drugiego obrazu malować. A mnie wystrychnął na dudka, bo mi prezesowa wierzyć nie chciała, gdym jój to opowiedział. Cóż? nie waryat?....

Długie nieco opowiadanie Zarznickiego prawdziwą uczyniło majorowi przyjemność. Ożywiła się rozmowa, ciągle obracając około Ruszkowa. Trwa-

ło to do północy prawie, ale majowa noc — żał się spać kłaść, nikt o śnie nie pomyślał. Zarznicki w końcu wystąpił z prośbą do Roberta, aby mu dwadzieścia korcy owsa pożyczył, które oddać miał gdy stertę zwiezie i namłóci. Naturalnie nie odmówiono mu, i około dwunastój pozbył się Robert sąsiada, a ojcu pokoju swojego i łóżka ustąpiwszy, sam się na kanapie przespać położył.

Charakteru Roberta łatwo się już domyślić z tego cośmy mówili o nim. Nie zbywało mu na energii względem obcych ludzi; ojca tak kochał, iż w obec niego był bezsilny. Bolało go jednak, iż bronić nie umiał i nie mógł tego co szanował. Panna Ada była dlań ideałem niewiasty, nie rozumiano jój, spotwarzano. Robert się czuł winnym, że w obronie stanąć nie umiał. Wyrzucał to sobie niemal jak podłość.

Przez całą noc pół śpiąc, pół marząc, kłócił się z ludźmi i z sobą; zdało mu się, że z poszanowaniem tłómaczy ją przed ojcem. Męczył się czując, że mu to przychodzi trudno, że co czuje, wyrazić nie umie.

Major także niewiele spał i niespokojnie — usiłował samego siebie uspokoić, a kochanego Roberta oczyścić we własnych oczach. Jużciż niebezpieczeństwa nie było, ażeby się miał zakochać?... Od jeżdżenia częstszego do Ruszkowa można go było powstrzymać refleksją, że synowi starego

wojaka nie przystało być rezydentem i dworakiem dziwaczki.... i na równi u niej stać z półwaryatami....

Panny Ady nie rozumiał jeszcze major.... Widział ją oczyma tłumu, sądził z powierzchowności.... czy sprawiedliwie? spytał sam siebie....

Przywiązanie do syna i rodzicielskie ocenienie jego czystej duszy, wprawiało majora w największą niepewność. Juściż — mówił sobie — kiedy ten pocziwy mój Robert szanuje ją i czuje w niej cnotę i rozum -- jakżeby on się ze swym instynktem mógł omylić?

Słowem, bił się major myślami, a przeklinał dzień i godzinę, gdy dla Roberta wziął Zahaje. Teraz, w tej trwodze innego nie było ratunku, tylko to co major w drodze z Ruszkowa do Zahajów wymyślił: — Robertowi oddać dziedziczne Żabliszki, a samemu sięść w Zahajach....

Było to największą ofiarą jaką serce ojcowskie mogło uczynić dla jedynego dziecięcia.... W Żabliszkach otaczały go wspomnienia szczęścia, tu się przechadzał jeszcze cień ukochanej żony, tu na cmentarzu złożył jej zwłoki i sam chciał przy nich spoczywać. Oddalić się z Żabliszek było to powoli zamierać z tęsknoty i wyrzec się jedynych pociech, jakie miał major na świecie. Ale matka tam, z niebios patrząc.... zdawała mu się szep-

tać:— Poświęć siebie dla dziecka naszego!! Gotów był na to Jazyga.

Do tego wszakże trzeba było pretekstu jakiegoś, pozoru, usprawiedliwienia. Musiał nad tém myśleć.....

Drugim lekarstwem mogło być ożenienie Roberta.... lecz możnaż było go gwałtem żenić, namawiać, i z obawy urojonego niebezpieczeństwa, narażić go na istotne i nie cofnione nieszczęście.

Skończył na tém major, że się sam wyłajał. Co to znowu! rzekł, nie ma nic— a ja się duszę lichowię czém. Roberta poproszę, żeby rzadziej bywał— i kwita. Chłopiec posłuszny.... Nie ma się czém tak zagryzać!! tfu!

Nazajutrz rano, major wymógł to na sobie, żeby być w dobrym humorze.... Robert był pochmurny.... Nie było najmniejszej o Ruszkowie wzmianki, bo stary Jazyga umyślnie jój unikał. Pojechali konno na pola, do lasu, oglądali całe gospodarstwo, założoną pasiekę, którą Jazyga lubił bardzo— owce. Obiad prosty, z ulubionych potraw majora złożony, smakował mu na podziw. Dzieńby cały był zszedł bardzo dobrze i wesoło, gdyby przyjazd pułkownika po obiedzie nie-zwrócił mimowolnie myśli na Ruszków.

Brandys; chcąc się nacieszyć dawnym towarzyszem broni, nieproszony się przywłókł, w wyśmie-

nitym też humorze, z pełną głową wspomnień, które potrzebował wyładować.

Na wstępie ukłony obu Jazygom oddał od panny Ady, i przypomnienie dnia, którego się jój obiecali na obiad....

Major pochmurniał.... wkrótce jednak jakoś poczęli o starych dziejach i oba poweseleli przy kieliszku wina....

Robert musiał na jakąś godzinę pójść przypilnować mycia owiec, starzy zostali sami.

— Spodziewam się— odezwał Brandys,— że przebywszy kilka godzin z moją dobrodziejką, pozbyłeś się uprzedzeń, jakie przeciw niej mieć mogłeś....

— Ale — ja bo żadnych nie miałem — rzekł major. Nie rozumiałeś mnie, nie lubię panów w ogóle....

— I liczysz ją do nich?....

— Niepodobna jój do naszego szlacheckiego włączyć świata.

— Ale i w pańskim jójby było ciasno — odezwał się pułkownik. Powiem ci jedno, co cię może z nią pogodzi....

Znasz i wiesz jakie ma kolligacye, stosunki najświetniejsze. Majątek i wykształcenie ciągną ku niej arystokrację naszą. Gdybyś ty widział i słyszał, jak się ona z nią obchodzi!!

Major podniósł głowę....

— Tak ich traktuje — mówił pułkownik, — że żaden ani żadna tygodnia tu nie wytrwa. Znasz panów naszych, wszystko to gładkie, lśniące, świecące a wiatrem podszyte.... Gadać umieją, rzadko myśleć. Wszystko wiedzą, — nie zgłębia i nie uczą się nic. Zdaje im się, że jak ród i majątek mają z łaski bożej, tak rozum i naukę powinni mieć nie pracując na nie.... Z nią nikt z nich próby nie wytrzyma. Powiadam ci, że nieraz aż pożałowałem skonfundowanych, gdy sobie wzięła za zadanie dowieść im, że są nieuki i próżniaki.

Taka to ona — dodał Brandys....

Zmilczał major....

— Nie podobała ci się? spytał pułkownik.

— Sam widzisz, że jój nie znam — odparł Jazyga.... Być może, iż panów nie lubi i zna ich — ale i ona też dyable pańską ma minę.

— Taka kobieta — odezwał się z zapalem pułkownik — musi czuć wysoką godność swoją, i ma prawo z góry trochę na świat patrzeć. My co ją widzimy codzień, co wiemy o jój dobrych uczynkach.... nam zdaje się tego za mało.... Ona jest godna!!

Pułkownik w uniesieniu wyrazu nie znalazł na oddanie myśli swojej....

Major się uśmiechnął.

— Lepšej szkoły niż ten dom dla twojego syna.... nie znajdziesz na całym świecie.

Jazyga drgnął.

— Dajmy temu pokój — rzekł. Ja mojego Roberta tak kocham.... że się dlań wszystkiego boję.

— Nawet tego co dlań zbawienne! — rzekł śmiejąc się pułkownik.

Wtém major zagadał o gospodarstwie syna, potem o wczorajszej bytności pociesznego Zarznickiego, i szczęśliwie sprowadził starego towarzysza na przedmiot inny, chociaż pułkownik tak był swą panią i jój doskonałościami przejęty, że nieustannie do niój wracał.

— Między nami mówiąc, dodał w końcu — bo to tego w złą godzinę powtarzać nie trzeba, aby się nie ziściło — jedno złe tylko u nas.... ten poczciwy i zacny ks. Otto, który moją dobrodziejkę bałamuci, ciągnąc ją, aby co ma, wszystko poświęciła interesom kościoła! Zganić tego nie można — pewnie — westchnął — ale ja sobie coś innego marzyłem przecie i dla niój i dla nas. Taką kobietą, żeby też sobie mężczyzny jój godnego nie znalazła i żeby też nie mogła być szczęśliwą! Toby także Panu Bogu poszło na chwałę, zdaje mi się — ale z każdym dniem będzie trudniejsza, ideały rosną i ona sama też potężnieje duchem, do pary jój trudno znaleźć będzie człowieka.... Za tём pójdzie znaczna majątność, powiększona oszczędnością, na klasztory, kościoły i dobroczynne instytucye.

— A! cóż w tém złego? zapytał major.

Pułkownik głową pokręcił.

— Mój drogi, rzekł, patrzymy na to ciągle w co się podobne obracają fundacye. Cel założycieli albo niedobrze zrozumiany, albo z czasem zmieniony.... a ludzie słabi.... W rękach rodziny pocziwój majątek krajowi pożyteczniejszy.... Zresztą, nie tyle mi idzie o niego co o nią.... Miałaby życie ot tak — marnie, rozrywając się to tém to owém, spędzić — nie doznawszy co powinien człowiek przejść, przeboleć nawet i przemarzyć!.... Co to jest los starój panny, choćby nawet tak niezależnej jak ona? Kobieta z charakterem.... z energią, — z pogodném czołem znosi wszystko, radaby nas przekonać, że szczęśliwa.... a no! a no! nie oszuka mnie przynajmniej.

— Cóż to, ks. Otto ma na nią wpływ tak wielki? zapytał major.

Pułkownik Brandys ramionami poruszył.

— Ksiądz zacny i zręczny.... Wpływ istotnie ma, bo i zdolności po temu. Człowiek niepospolity, ale nie z tego świata. Co dlań jedna taka kobieta i jój losy — jemu który ma na oku sprawy ludzkości i kościoła?? Poświęciłby ją, siebie i wiele w dodatku, aby swoją myśl przywieść do skutku....

A co do wpływu jego? Ha — mówił pułkownik —

znam dobrze moją dobrodziejkę, jednak w tém, i w wielu innych rzeczach, nie rozumiem jój.

Gdy ks. Otto w imię idei, którą ona przyjęła, przemawia, wpływ ma ogromny — w innych rzeczach, z poszanowaniem mu się uchyla, zbywa milczeniem i żadna siła jój z własnego toru nie sprowadzi. — E! *Hic mulier!* któż powie, że znał kobietę — ?

W sprawach majątkowych, gawędził dalej pułkownik, paląc cygaro — mieliśmy nadzwyczajne szczęście. Za życia nieboszczki starój pani, ledwie że się majątek dawał utrzymać, pannie naszej wiodło się nadzwyczajnie. My cośmy zaczęli obarczeni długami, oczyszciliśmy majątek.... Składamy kapitały, choć.... choć ksiądz kanonik nas tego podrzyna....

— Na to nieżałuje widać? wtrącił major.

— Ona nie żałuje na nic co się z jój przekonaniem zgadza — rzekł Brandys; — ale niechże jój kto spróbuje swoje narzucić!! Ale! Ale! ma fantazye.... Na książki, na ryciny, któremi choć w piecu palić — gotowa dać grosz ostatni; a przyjedzie kto za składką jakąś natarczywie się jój domagając — odmówi. Nazajutrz takiemu co zdaje się nie wart pomocy, sypnie.... Kto to tam wie co w niej gra. Zdaje się, że nad wszystko słabą być nie chce, ani za taką poczytaną.

— Pycha — rzekł major.

— Trudno jój mieć za złe — broni się. Słabe istoty świat opanowuje, a ona niczyjém narzędziem być nie chce....

Na tych wyznaniach, z których Jazyga niewiele się zbudował i nauczył, upłynęło godzin parę. Robert powrócił od owiec. Przy nim i ojciec był weselszy. Już samo patrzanie na jedynaka wprawiło go w humor dobry.

— Żeby to tylko szczęśliwe być mogło! myślał....

Lecz wież kto w świecie, gdzie jego szczęście mieszka, zkad w niego piorun uderzy? Tego co się nazywa szczęściem, ani przewidzieć, ani zgutować sobie nie można. Co miało dać je, przynosi męczarnie; czego się człowiek lękał i unikał, to mu z sobą pociechę niesie.... Major tych wielkich prawd nie wiedział; zdawało mu się, że przyszłością i losami, jak pułkiem kawaleryi, komenderować można!

Jak cały dom panny Ady Pretwiczówny, tak jój własny pokój, ten, w którym w odosobnieniu sama z sobą przebywała — był z wielką starannością, smakiem i dość oryginalnie urządzone. W tym pokoju nie zwykła była nikogo, prócz najpoufalszych osób przyjmować. Nie lubiła gdy się jój tu kto gwałtem wcisnął, jak często panna Hortensya, i wyprowadzała do gabinetu, w którym zwykła była przyjmować. Można było sądzić, iż się lęka, aby

tu — tajemnicy jój życia nie pochwyciono.... Lecz w życiu panny Ady byłaż jaka tajemnica? Całe ono stało otworem, odkryte, jawne.... i najpodejrzliwszy umysł żadnej w niém nie mógł wyszukać zagadki.

Pokój ten — który zwała swoją celą.... niewielki był, miał dwa okna od ogrodu, przez które zieloność tylko i parę dalszych widoków parku oko chwycić mogło.

Jak wszędzie koło niój, tak i tu nie brakło książek. Dużo ich leżało porozrzucanych na kanapie, stoliku, po półkach — w szafce starój, misternemi okrytėj rzezbami, stał wybór ulubieńców panny Ady....

Były tam i arcydzieła, i książki, które się do nich nie lieżą, ale dla niój urok jakiś miały. Obok Biblii stał Montagne; obok Homera Shakespeare; parę tomów Wiktora Hugo'na, Pascal, Schopenhauer i De Maistre.... Obok Swedenborga, było coś Hegla.... Słowem najdziwaczniejsza mieszanina. Gęsta firanka osłaniała dzieł tytuły, a klucz od szafki był pod zamkiem. Czy wszystko to czytała panna Ada, trudno powiedzieć; lecz wszystko czytać próbowała — to pewna. Przychodziły jój snadź fantazyje sceptycyzmu, dla utwierdzenia się w wierze, i chwile pragnień ekstatycznych, dla obronienia się sceptycyzmowi....

Umysł czy podleciał wysoko czy nie, ale rozwijał skrzydła.... W szafce ten wybór leżał bez porządku, w książkach sterczały zakładki, inne leżały rozłożone, jakby je kiedyś znowu wziąć miała i czytać dalej od tego miejsca na którym opuściła ją cierpliwość i usposobienie się zmieniło.... W istocie, ktoby był uważnie wpatrzył się w tę szafę wewnątrz — możeby tego umysłu chciwego, niezaspokojonego, spragnionego choć część tajemnicy pochwyił....

Na szafie z książkami piękne starożytne popiersie Sokratesa, uśmiechało się łagodnym sceptycyzmem — zdając się mówić: *Nosce te ipsum*, to jest.... Wiedz, że nic nie wiesz....

Naprzeciw szafy, w największym światła blasku, w przepysznych weneckich ramach starych rzeźbionych, wisiał portret wyobrażający kobietę w średnim wieku, piękną, smutnie uśmiechnioną, z twarzą zbolalą, z oczyma wypłakanymi.... Typ to był arystokratyczny, wątpliwy, delikatny, pieszczony.... któremu w cieplarni jak kwiatkowi pielęgnowanemu mogło być znośnie — na świecie zwyciędnąć on musiał.... Los tej kobiety czytał się w jej twarzy.... Było to dziecko, które jastrzębie szpony losu chwyciły, zakrwawiły i zgnioty.... Na czole marzenie szczęścia, w oczach pragnienie kochania, w całej postawie widoma chęć podobania się i zasłużenia na pieszczoty....

Była to ta matka Ady, której los nieszczęśliwy oddziaływał na całe córki życie i uczynił ją żołnierzem zbrojnym, stojącym na straży własnego serca. Śliczna była, pociągająca, idealna ze swym naiwnym uśmiechem dziecięcym ta kobieta, choć do koła uśmiechu ból już wyorał zmarszczek parę.... Malowano ją w tym wieku, gdy już przecierpiała wiele, a kochała jeszcze....

Stanąwszy przed tym obrazem motyla, który opalił skrzydła — niepodobna się było oprzeć uczuciu litości niezmiernéj. Czyniła wrażenie kogoś, co się cofając stoi nad krawędzią przepaści... Ten obraz nieszczęśliwej matki, który codzień miała Ada przed oczyma, utwierdzał ją i utrzymywał w postanowieniu — aby panią siebie być się starała....

— „Rozum, nie uczucie, rządzić życiem powinien,” mówiła patrząc na wizerunek matki. Wiekuiście — *memento*.... uśmiechało się z różowych ust jego....

Daléj wisiał ulubiony pannie Adzie obraz Madonny ze szkoły Bernarda Luini'ego, może nawet samego tego mistrza, niepośledniejszy od fresków jego — mający coś w sobie Leonardowskiego, a miększego i przejętego uczuciem niewymowném. Na obrazie tym wielki niewieściego ideału malarz, umiał połączyć niewysłowiony spokój z cierpieniem,

rozkosz z boleścią — oboje tak złane i tak dźwigane, jak duszom ubłogosławionym przystało.

Obrazu tego panna Ada nie chciała dać do kaplicy, za świętokradztwo poczytywała powiesić go w salonie i oczom profanom odsłonić — za wielką łaskę pokazywała go wybranym.... Oblęcki w osobnym pokoju trzy razy go próbował kopiować, trzy płótna zepsuł, włosów sobie nadarł — zrozpaczył i porzucił. Czasem na pół godziny wpuszczała go tu panna Ada, aby się duchem mógł pomodlić przed tą Madonną.

Mirosław patrzył, płakał i wściekał się....

Widział uchybienia w rysunku na tém arcydziele, ubóstwo kolorytu, techniki nieśmiałość i dziecinne wykończenie — ale razem z tém wszystkiém było to arcydzieło.... Mieszkał duch jakiś w tém wątlém, bladawém płótnie.... Z niego byłby się mógł nauczyć Oblęcki, że umiejętność i technika są to tylko narzędzia, któremi niewidzialne tchnienie obraca, że oboje mieć można i nie umieć ich użyć, a bez obojga nawet są mistrze. Ale Oblęcki nie rozumował — cierpiał i bił się z sobą.

W pośrodku pokoju ogromny stół pokryty gobelinowym ciemnym kobiercem, zastawiony był fraszkami i pamiątkami. Nie było między niemi ani jednej któraby wartości artystycznej nie miała — i to ten stół odróżniało od wielu innych, wśród

których dysharmonijna jakaś nuta krzyczy, i psuje melodyę linii i barwy.... Czuć było artystkę w tym stoliku, co najpospolitsze sprzęty codziennego użytku dobrać umiała tak, aby je pokochać można.

Wpółśród porozkładanych, na wpół porozcinanych książek, listów, rysunków i papierów, spora księga na klucz zamknięta, z nieco zużytymi okładkami, które długiego jęj i częstego używania dowodziły, uderzała najbardziej. Oprawna w brunatną skórę ze srebrnemi klamrami, miała na wierzchu cyfrę właścicielki, z ręcznie związaną, i łaciński ów napis znany: *Nulla dies sine linea*.

Można się w niej było domyślić łatwo dziennika.... Nieraz ciekawe oko padło na tę księgę, nieraz może usiłowano w nią zajrzeć, nęciła ona pannę Hortensyę, która mawiała w duchu, że dałaby rok życia, gdyby mogła jedną przeczytać stronę — ale nikt a nikt dotąd — oprócz téj co się codziennie na tych kartach spowiadała sama przed sobą, nie podkraść się do nich.... Książka zawsze zamknięta na klucz, umyślnie zrobiony tak, aby jęj żaden inny nie mógł otworzyć, otwierała się raz wieczorem tylko — i zamykała starannie....

Leżała zawsze na stole, jakby na pokusę tym co do pokoju czasem byli wpuszczani — lecz ilekroć panna Hortensya, lub ktokolwiek inny objawił życzenie choćby rzucenia okiem na nią, wła-

ścicielka odpowiadała takiem wejrzeniem milczącym, iż prośby powtórzyć nie śmiano....

— To są rachunki moje — mówiła zimno.

— Rachunki sumienia? pytała szydersko panna Trocka.

— Tak, sumienia i bielizny razem, figlarnie odpowiadała Ada....

W tę księgę tajemniczą, dla czegożbyśmy my nie mieli zajrzeć prawa? Parę kart z niej da najlepsze charakteru właścicielki wyobrażenie....

„Kwietnia. — Biedna, dobra matko, na której obrazie tylko co spoczęły oczy moje — powiedz ty mi: jesteś kontenta z dziecięcia?? Patrz jak ja walczę mężnie, jak cierpię wesoło — i jak strasznie już jestem znużona.

„Liczę lata.... nie wiem ile ich jeszcze przeżyję — a życie się wydaje tak długiem! Czemu? Nie wiem....

„Tworzę sobie coraz nowe zajęcia, duszy niemi zapełnić nie mogę.... Nauka.... kończy się zawsze jakąś ścianą, po za którą przebić się niepodobna.... Sztuka ma skrzydła co podnoszą na chwilę, ale nie niosą daleko. Ikarowe to są skrzydła.... Życiu potrzeba celu.... Maż cel inny życie, nad ten, byśmy wyrosli komuś na pożarcie? ludziom, losom, wilkom, zwątpieniu? ja nie

wiem.... Wszystko się przecie kiedyś skończyć musi.... To pociesza.

„Widzisz kochana mamo — jak mężnie broni się córka twoja wszelkiemu w świecie kochaniū.... Jak skoro czuję, że się węzeł jakiś zadzierzgnąć może, rwę go nielitościwą ręką.... Boli — ale z własnej woli. Tak lepiej....

„A! ale cóż za szare mroki! Goethe wołał u mierzając: Światła, więcej światła! — i ja mam ochotę zawołać życiu mojemu: Światła! ciepła!!

....„Ten pan Robert Jazyga, to prawdziwa dla mnie zagadka.... Nie wiem czy coś podobnego, w drugim egzemplarzu wydała typografia świata naszego.... Uniknął w swoim rodzaju.... Najdziwniejsza dziecięca prostota i naiwność, a umysł tak otwarty, że wszystko zrozumie i pojmuje....

„Zkąd mu się bierze ta wesołość? czy on smutków życia, kirów jego i żaloby nie widzi?? Nie rozumiem. Czasem mi się chce mu oczy otworzyć; lecz na cóż budzić dziecko w kolebce śpiące, które śni i marzy o aniołach? Nie byłoby to okrucieństwem?

„Bóg mu dał taką śliczną powierzchowność.... Nieraz szukam w nim wady jak w obrazie, zimnym okiem rysownika.... Niestety! może gdybym tę piętę Achillesową znalazła, cały on inaczejby mi się wydawał.... a — dojrzeć jej nie mogę.... Jak wiele pięknych kobiet, co mają anielską postać, a

pod nią próżnię.... myślałem, że to taki Antinous, którego tworząc natura zmogła się na ciało, wyczerpała i zapomniała tchnąć w niego ducha....

„Myślałam długo, że tak jest, ale się omyliłam.... Jest w nim iskierka boża, tylko forma i barwa w jakiej się objawia, różna od pospolitych.... Robię sobie z niego przedmiot studyów ciekawy....

„Zkąd temu umysłowi zdolność pojęcia bez chciwości pojmwania?? Bawi go wszystko, nie goni za niczém.... bawią go rzeczy — dziecinne ... złote obłoki, zapachy kwiatów, gwary wieczoru, — równo obraz stary i dzieciak wiejski odrapany a malowniczy.... Słucha z równem zajęciem rozprawy filozoficznej i sonaty, i dywagacyj Oblęckiego i nauk księdza Ottona....

„Próbowałam go książkami. Każda go zajmuje zarówno.... Jest jakby człowiek głodny, któremu każdy pokarm smakuje, a żaden nie szkodzi....

„Czasem jak dzieciębym go kochać rada.... jak wychowanka — ale kochać — o! obroń mnie matko moja — kochać to niewola, kochać to poddać się, a ja muszę być swobodna i — tak jak jestem....

„Wyrzec się wielu życia — ciekawości, aby ich nie opłacać cierpieniem.... muszę.... Ezy matki jeszcze mi przed oczyma stoją. Mówiła mi zawsze: Wszelka miłość to niewola.... bądź wolną.... Tak lepiej.

Czasem mnie szatan nęci do tych „ciekawości” życia, których ja nigdy okiem nie tknęłam ni usty.... Czasem pragnęłabym cierpieć, aby być kobietą, aby znać wszystko ludzkie, potem dreszcz mnie przebiega, trwoga.... i odpycham pokusę....

„Są wyższe cele.... są nadludzkie biesiady myśli i ducha. Tak, a na dnie ich wszystkich — nicłość, milczenie.... grób, przepaść czy ta ściana, po za którą dostać się nie można....

....„Ks. kanonik Otto jest człowiekiem uwielbienia, podziwu godnym, żyje dla idei.... Wszystkó cielesne, słabe, znikome zrzucił, zaparł się tego.... Uczucie wyrwał z piersi, zastąpił je — obowiązkiem.... Jakżebym pragnęła mu być podobną! To mój cel, dążenie.... to będzie chluba moja, gdy téj doskonałości doścignę. Umie być dobrym, nie będąc miękkim.... Surowy jest, bardzo nawet, lecz takim być musi — prawo ustępstw nie zna.... żelazne jest.... Nic go nie rozculi nigdy.... Z zimną krwią patrzy na kary, które spotykają występnych, utrzymując, że są potrzebne dla przykładu. Jest przeciw wszelkiej tolerancyi, nazywając ją grzeszném pobłażaniem grzechowi.... Wiem, że się wyrzekł zupełnie synowca, który na uniwersytecie poszedł drogą fałszywą.... Wymówił mu dom, pomoc wszelką — powiedział, że nie ma z nim i nie chce mieć nic wspólnego. Co za moc duszy! Nie ma na świecie nikogo, oprócz

niego. Ksiądz nie powinien mieć rodziny, rzekł mi, gdy nad nim ubolewała. Ośmieliłam się uczynić mu uwagę, że opuszczony tak młodzieniec, może zostawiony sam sobie — zwichnąć się i zgiąć. Westchnął. Będzie, to rzekł, kara za lekko-myślność, z jaką przylgnął do nowych światełek, starą rzucając pochodnię....

„Nie tai się z tém ks. Otto, że pragnie wysokich stopni w hierarchii, i że się wszelkimi środkami godziwemi starać będzie o nie. Czuję się na siłach być kościołowi pożytecznym, mówił, dla czegożbym nie miał się dobijać miejsca w szeregu, z którego pocisk skuteczniej rzucić mogę?

„Słucham go czasem z uwielbieniem, z zachwytem, niekiedy z trwogą.... Niepospolity to człowiek — oprzeć się mu niepodobna. Gdyby jutro najdroższa sercu jego istota, jako ofiara dla jego idei była potrzebna — nie wahałby się na śmierć jój skazać....

„Nie wiem — grzech to może!! czasem ta surowość wątpliwości we mnie obudza.... Ewangelia inne na mnie czyni wrażenie. Mówiłam mu o tém. Odpowiedział mi, że my świeccy ludzie ani jój czytać nie umiemy, ani możemy zrozumieć.... Skłaniam głowę — ale duch mój, jak naciśnięta sprężyna rwie się ku górze.... Czynię ofiarę ducha i rozumu.... A! gdyby ofiara ta była możli-

wa! Stłumić ich objawy w mocy naszej, zabronić im w sobie się poruszać, niepodobna....

„Zdaje się, że ks. Otto ma mi prawie za złe moją słabostkę dla tego dzieciaka Roberta.... Wczoraj szydersko mnie zapytywał, com w nim tak ciekawego odkryła? Dał mi do zrozumienia, że moje artystyczne fantazyje mogą mi dla saméj piękności kształtów i idealnego pozoru — zamknąć oczy na nicość tego ładnego parobczaka....?

„Nie odpowiedziałam nic — bo to już było trochę za wiele; na przekór tylko księdzu, byłam dla chłopca jeszcze bardziej niż zwykle uprzejma.

„Ks. Otto ma passyę wszystkiém i wszystkimi kierować.... Ja nie wiem czy człowiek wzięty w takie leszczotki miałby już jaką z cnoty zasługę, z dobrego, które czyni — chwałę?? chybaby mu się zaliczyła pokora i posłuszeństwo!!

„Duch mój buntuje się niekiedy! To źle, bo tak samo jak się opiera nauczycielowi, mógłby się mnie saméj oprzeć, stawić i unieść mnie jak koń rozbujany.... Ja chcę być panią siebie.

„To rzecz szczególną, jak ja się wiele uczę z tego egzemplarza człowieka.... Nie ma ogłady towarzyskiej; formy jego instynktowe, nieuczone, coś surowego w nim jest, a mimo to wiele wdzięku, nigdy nic chybionego, niezręcznego, niesmacznego....

„Wszystko go dziwi.... wszystko bawi.... a każdą rzecz ten umysł tak łatwo przyswaja. Jestem pewna, że gdyby ojciec dał mu być wychowanie inne, byłby to....

„Zapędziłam się — któż wie? byłby to może tak pospolity, salonowy człowieczek jak ci wszyscy, których mam w ohydzie.... Ma teraz to do siebie, że do innych nie jest podobny, obraca się swobodnie, sobą jest....

„Przyznam się, że mnie tak bawi jak żadna przez mikroskop widziana tkanka roślinna lub wody kropelka.... W swoim rodzaju fenomen....

„Tak jak jest.... może póki nie zestarzeje i nie spowszednieje, nie zrobi się do drugich podobnym — bawi mnie, powtarzam, bardzo.... A tak łatwy jest w życiu, dobry.... I — dziwna rzecz, kocha cały świat, a miłość mu ta nic a nic nie szkodzi!

„Niedawno, nie zastawszy mnie w domu, siadł w ogrodzie na trawie i pozciągał do siebie dzieci ogrodnika.... Zastałam go gdy mu te brudasy ręce zasmolone na szyi wieszały, a on śmiał się i tak był z nich szczęśliwy.... Z Oblęckim biednym w największej przyjaźni, z Musiatowskim obchodzi się jak z chorym, kochają go wszyscy....

„Boję się tylko o Karolinę, żeby ta nie zanadto w nim miała upodobania. Widzę jak ukradkiem na niego spoziera. Karczę ją wzrokiem, czerwieni się, ale nie poprawia. Jednym jedna panna Hortensya

go nie cierpi, zdaje mi się, że sama nie wie dla czego.... ot tak. Jój żółć potrzebuje się wylewać na kogoś, choćby na mnie.

„Raz, gdy mu ze straszną, złośliwością przycięła i wyszła, chcąc złagodzić ranę, naganiałam to głośno. .. Chłopak się zaczerwienił i złożył ręce.

— „A! proszę pani — to nic nie jest ... panna Hortensya jest osobą bardzo dobrą.... a że czasem trochę się na mnie niecierpliwi — cóż to szkodzi?....

„Nie umiał się nawet rozgniewać. Kanonik nie raz mu dał uczuć ostro, że go lekceważy, a jednak jest dla niego z poszanowaniem największym. I ma tę tajemnicę wesela niepojętą dla mnie. Zawsze wesół, uśmiech i piosenka na ustach. Kanonik nie bez celu utrzymuje, iż to jest znamię ludzi upośledzonych.... ale on wcale upośledzony nie jest....

„Jak on czuje piękno w sztuce — choć o niej wyobrażenia nie ma!

„Byłam zdumiona w istocie, gdym mu na próbę pokazywała mój historyczny zbiór dzieł włoskich szkół. Nie mówiłam nic umyślnie. Przyszliśmy do manierystów, co tyle mają wdzięku, a tak mało myśli, do tych Corregiów i consortes, którzy mi przypominają obrazami swemi arye z fioryturami.... Stał zimny.... Spytałam go — jak mu się to podoba? odpowiedział mi, że Madonna Luiniego

włecć stokroć warta, niż Noc Corregia, że takich pasterzy i takich wywdzięczonych aniołów nie ma na ziemi ani w niebie.

„Słuchałam zdumiona.

„Od czasu jak bywa u mnie, z samych rozmów, z kilku książek, nadzwyczajne uczynił postępy. To mnie przywiązuje do niego.... Patrzę, śledzę jak posiane ziarno kiełkuje, podrasta, zieleni się, na pączek wzbiera i wykwita....

„Jestem dlań jakby matką....

....„Ta niecznośna Hortensya.... Potrzebuję całej mocy nad sobą, aby ją znieść — i nie stać się opryskliwą.... Nienawiść i gniew — równie jest rzeczą niebezpieczną i upokarzającą jak miłość. Nie mogę, nie powinnam jej nienawidzić — toby było słabością. A czasem, czasem mnie przyprawia do niecierpliwości....

„Takiego zajadłego prześladowania, jakiego się ona dopuszcza nad biednym Robertem, żadnaby gospodyni w domu swoim nie zniosła. A jak on to łagodnie umie przyjmować!... Nigdy mu się nie zmarszczy czoło, nigdy najmniejszej gniewu oznaki. W chwili gdy ta go kąsa, on jej z uśmiechem kłębek podejmuje. To ją w większy jeszcze gniew wprawia....

„Ośmieliła mi się dawać przestrogi za moje zbyt poufale obchodzenie się z nim.... Miałam tyle mocy nad sobą, że nic a nic nie odpowiedziałam.

Obawiałam się wybuchnąć. Zdaje się, że zrozumiała to, i że pragnęła, postanowiła mnie do gniewu pobudzić — a to ję się nie udało....

„Jeden poczciwy pułkownik bierze moją stronę.... Właśnie dla tego, że Hortensya i kanonik prześladują mnie tą słabością — nie ustąpię....

....„Przez dwa dni — dziś już trzeci, nie było Roberta.... Czułam, że mi jest w domu potrzebny, co najmniej jak Oblęcki, Rubaczek i Musiatowski.... Może nawet ta naiwna dusza dziecięca żywiej mnie niż ci kalecy moi obchodzi.... Cóż w tém złego? Nie kocham go przecie — bawię się nim.... Mam może nawet trochę zasługi, że mu się u mnie głowa otwiera, umysł rozjaśnia....

„Dziwne chłopię.... Ale cóż się mu stało, że go nie ma? Trzeci dzień! Gdybym się posłała dowiedzieć, dałoby to kochanej Hortensyi pobudkę do przycinków — nie chcę ję tém uszczęśliwić....

....„Był chory pan Robert.... zaziębił się. Ale cóż takiej silnej młodości jak jego zaszkodzić może? Jedno co jego ojciec umiał doskonale wychowując jedynaka, to, że go zahartował i oszczędził mu przez to wiele w życiu zawad i nieprzyjemności. Przez czas tego, niezdrowia czytał książki, które mu dałam.... Słuchałam egzaminu. Pojętny dziwnie.... a nic go nie nęci tak, tak bardzo, aby się żywego życia wyrzekł dla nauki i rozmyślania.

— „Ja czytam chętnie, zajmuje mnie to mocno, powiedział mi — ale gdy słyszę śmiechy dzieci, rżenie koni, szczekanie psów, gwar powszedniego życia — jeszcze mnie to więcej porywa i ciągnie.... Ja stworzony jestem do czynnego życia.

„Zrobiłam mu uwagę, że dla tego rdzewieć nie trzeba....

„Jak on umie słuchać, gdy mu się co mówi! Lubię mu dawać nauki, zwraca naówczas te duże swe, jasne oczy na mnie, wlepia je we mnie — czasem ten wzrok aż mi jest przykry. Miałyżby oczy ludzkie siłę tę fascynacyjną, którą wzrokowi bazyliuszka przypisywano w wiekach średnich?

„To pewna, że w oczach być musi jakaś magnetyczna potęga....

„Przypadkiem się zgadło o tém przy kanoniku, który utrzymuje, że ta siła jest — nieczysta.... że jest czysto-cielesna i zwierzęca....

„Nie wiem? Dla czegoż budzi nie zmysły, ale myśli?

„Ta sama trafność sądu, jakićj dał dowody oglądając artystyczne dzieła, zdumiała mnie, gdym zażądała sprawozdania z tego co czytał. Następczam mu lekkie czytanie, aby go zachęcić do niego. Dałam mu Wiktora Hugo'na, Sand i Ducange'a.... Powiedział mi, że ostatniego nie mógł czytać po pierwszych. Był ciekawy Rousseau. Dałam mu go — nie podobał mu się. O wielbionym

niegdyś stanie natury, wyraził się bardzo trafnie, że to był stan na pół zwierzęcy.

„Tysiące takich drobnostek w rozmowie — zaciekawiają....

„Gdybym mogła Karolinę gdzie na czas jakiś wysłać.... Biedne dziewczę może się rozkochać.... chociaż on^o ją jak siostrę traktuje.... Karolina musi być nieszczęśliwa. Głowa rozmarzona, przy pierwszej zręczności padnie ofiarą. Oblewam ją jak umiem i mogę zimną wodą, nic nie pomaga.... Hortensya z oka jęj nie spuszcza.... to mnie ubezpiecza....

....„Potrzebowałam gwałtownie jakiegoś zajęcia.... Objechałam gospodarstwo, wstąpiłam do mojego domu przytułku i ochronki.... Powiada mi siostra Aniela, że wiele matek nie umie oceniać dobrodziejstwa, jakiem są dla nich ochrony.... Nie umieją, nie mogą się na kilkanaście godzin od dzieci oderwać. Niosą je z sobą, aby patrzeć na nie, aby głos ich słyszeć. Przecież żadna z nich lepiej czuwać nie może nad dzieckiem nad ochroniarkę. Taka miłość macierzyńska jest bezrozumna, bo każda miłość bezrozumną być musi. Do domu Przytułku Starców i Kalek, ani napędzić. Mają wszystkie wygody.... wolą głód nad tę — jak ją nazywają — niewolę. Dziady włóczyć się potrzebują, choćby po słocie i bez chleba.... Co to za nieokrzesianie, co za nałogi szkaradne!...

„Spotkałam na drodze starego Matyasza i poła-
jałam go, czemu nie siedzi w przytułku.

— „A, proszę jaśnie pani — odparł — albo to ja
co przewinił, żeby mnie na klucz zamykano?....
Już wolę spać na deszczu, byle na boży świat pa-
trzeć i swobodnie powietrzem oddychać.... W przy-
tułku ani się rozśmiać, ani zagadać....

„Dziwni ludzie. Co tu poradzić na to! Matki
tego nie rozumieją, jakiem dobrodziejstwem ochro-
na, wołają by dzieci z psami i kurami cały dzień
w podwórku siedziały....

„Ekonomowa w Hraźni straciła męża. Jest już
temu trzy miesiące; zastałam ją jeszcze zapłaka-
ną, we łzach i kontemplacyi nad starą czapką
nieboszczyka.... Doktor mi mówił, że ten żal
niebezpiecznie wpływa na jęj zdrowie; starałam
się ją zgromić i dowieść, że takie przywiązanie
do istoty śmiertelnęj jest grzeszne.... że tak się
kochać nie godzi.... Położenia jęj śmierć ta ani
pogorszyła, ani zmieniła....

— „Paniusiu moja, rzekła z płaczu się zacho-
dząc — jeśli to grzech, niech ja idę do piekła, a
kochać mojego biednego przestać nie mogę.

„Zupełny szal.... Żal mi jęj — ale to słabość
niedarowana....

„Jak można się tak przywiązywać do mężczy-
zny!! Nie rozumiem....

„Z tą miłością spotykam się na każdym kroku—
wstręt we mnie obudza. Jest to przyczyna wszystkich
nieszczęść na świecie....

Jeżeli już koniecznie ludzie się żenić mają, po-
winni jak Hernhuci losami sobie brać żony. Mał-
żeństwo powinno być spełnieniem obowiązku, a
nie romansem. Naówczas i téj chorobliwej miło-
ściby nie było, i wieleby się cierpień z rozmarze-
nia niepotrzebnego wynikających uniknęło....

....„Patrzę znowu na obraz méj matki, patrzę
na nią i przypominam jój życie, ilekroć ciężar
mojego czuć mi się daje. Przecież ja szczęśliwsza
jestem od niéj — pani własnéj woli, spokojna....
Nie brak mi nic, mogę nawet fantazyom moim
dogodzić.... Cóż więcéj potrzeba?

„Dziś przyszły mi sztychy, których tak bardzo
pragnęłam. Weigel w Lipsku choć drogo, potra-
fił mi dostarczyć wszystko niemal co było zapisa-
ne.... Z razu ucieszyłam się niezmiernie.... „Oble-
cki, który rozpakowywał, zdawał mi się nad wy-
raz wszelki niezręczny i rozlazły.... Godzinę mo-
że trwało napawanie się....

„Umyślnie zwracałam na siebie uwagę, do wie-
czoru wyczerpało się zajęcie — wróciła ta nuda i
czczość, która mnie męczy — czczość — *voilà le*
mot, czczość. Jestem jak ci chorzy na nienasyco-
ny głód, którzy jedzą nieustannie, a nigdy najeść

się nie mogą. Zkąd to pragnienie? którego nic nie zaspakaja?

„Muszę coraz nowych szukać pokarmów....

„Ksiądz Otto w religii każe mi szukać pociechy..... Znalazłam ją w niej nieraz, i jest to jedyna skuteczna — ale na każdej karcie ksiąg świętych spotykam.... kochaj bliźniego, a ja — kochać nie mogę.... Spełniam względem niego obowiązki... po cóż tu serce?....

....„Zdaje mi się to dziwném w moim wychowawcu, że wcale bałamut nie jest.... Umyślniem się dowiadywać starała o to. Pułkownik mi mówi, że w zapusty bywał na zabawach w sąsiedztwie, że ze wszystkimi pannami chychotał, tańcował, że się bardzo podobał, że go kokietowały, a wyszedł z téj gorącej łaźni zapustnej — nie zajmwszy się nikim....

„Umyślnie o to potrąciłam w rozmowie — żartem się go zapytując, czy serca nie zgubił? Zarumienił się i milczał długo, zapewniwszy mnie, iż wcale nie myśli niém rozporządzać....

— „Ja bo — rzekł, choć sam niewiele wart jestem, a mam tę wadę, że wymagam dużo! dużo!

„Byłam ciekawa ideału jego.— To się nie daje określić, ani zregulować rzekł — ja sam nie wiem czegobym wymagał, jak się ta doskonałość nazywa, ale tegom pewien, że gdy ją spotkam, poznam

ją po rąbku sukni, po szmerze jój chodu, po cie-
niu, który rzuci za sobą, po woni jój włosów....

„Śmiałam się z téj improwizacyi, i pożartowa-
łam trochę z niego. Spoważniawszy najuroczyściej
mnie zapewniał, że wcale o ożenieniu nie myśli.
Tak lepiej. .. ożenienieby go uczyniło natychmiast
powszednim człowiekiem....

„Jest to rzecz dziwna, jaki urok ma młodość i
dziewictwo.... jak ludzie wprzężeni do pługa,
brzydą, głupieją, maleją. Jestem pewna, że ten
pan Robert w rok po ożenieniu będzie takim szla-
chcicem nieznośnym, jak Zarzniccy i Posępalscy....

„Poezya, we wszystkiém trwa tylko ile mło-
dość.... A! nie trzeba starzeć nigdy.... to zbrzy-
dza.... a brzydota, choćby charakterystyczna, jest
wstrętliwa.... Ale czyż ja mam prawo o poezyi
mówić i sztuce? gdy oboje na pół przynajmniej
z uczucia płyną??

„Mam prawo.... Jestem widzem spokojnym sce-
ny świata. Siedzę w mojej łoży wygodnie. Któż
mi zabroni aktorom przyklasnąć lub z nich szy-
dzić.... Gdyby mi widowisko i sąd o niem miał
być wzbroniony — to już chyba do klasztoru.

„Ks. Otto mówił mi kilka razy, że ja jestem
na ksienie stworzona....

„Z tém jednak poczekać trzeba.... Nie miałam
życia, tylko jego widowisko — niechże posiedzę
w méj łoży....

.....„Odczytuję mój dziennik i mam ochotę powydziierać karty z niego.... Tyle sprzeczności w nim — może we mnie samój? Taka jeszcze nierówność usposobienia, niedogaszzone uczuć szczątki. Bronię się im, a opanowują mnie podstępnie, nieznanie.

„Toż samo jest z zasadami i ideami ks. Ottona. Nie zawsze umiem się zgodzić z niemi. Wieczny jakiś bunt we mnie.... Zawsze czegoś zakazanego się zachciewa. To słabość natury ludzkiej, którą przecież należy zwyciężyć....

„Miłość się mści na mnie, że jój nie chcę serca otworzyć....

„Zmysły moje są jeszcze nadto wrażliwe, wiosna każda napełnia mnie jakimś niepokojem, jak gdybym była głupią brzozą, która ma puścić liście zielone....

„Te zapachy wiosny, te pieśni w powietrzu, ten ruch wszędzie budzący do nowego życia, do nowej śmierci — działa nieznosnie na człowieka, niepokoi go. Potrzeba się wyzwolić z tych więzów natury, to niewola. Jak może być, aby na istotę rozumną, miało prawo działać powietrze, pokarmy, słońce? Mnie to gniewa.... Dawniej, o ile sobie przypominam, pory roku nie czyniły na mnie tego wrażenia — były mi obojętne; dla czegoż teraz, gdy jestem starsza, pozwalają sobie panować nademną? Trzeba się z tego wyzwolić. Co to mnie

ma obchodzić, że słowiki śpiewają ślubne piosenki, że rozkwitają rozkoszą jakąś drzewa, że ten świat złudzeń i znikomości, na którym nic nie trwa, odegrywa wiekującą scenę młodości chwilowej, kończącej się zniszczeniem i śmiercią...? Umyślniem wyszła do ogrodu narazić się, nastreścić na te wrażenia, aby mózgi walczyć z nimi i zwyciężyć je.

„Wróciłam z bolem głowy i niewysłowioną tęsknotą.

„Ten widok najweselszych nawet godów świata jest bolesny.... Wszystko się pożera, zabija, karci życiem, przeradza, ginie.... Nie nie trwa.... I tak się to powtarza jedno, jedno, do nieskończoności.... zawsze okrutnie jedno....

„Trzeba być zupełnie zamkniętym w sobie i te rażniejszości, aby znieść życie.... Myślę, że ci prości ludzie co nie rozumują, nie badają, a tak sobie żyją tylko, trochę po zwierzęcemu, są bydlęcami najszczęśliwsi.... Nie widzą jak się śmierć zbliża, używają każdej chwili nie zatruwając jej sobie jutrem....

„Nie mi dziś nie smakowało....

„Rubaczek grał na organach szkaradnie.... Obłącki czasem ma takie osobliwe o sztuce pojęcia, że w każdym obrazie, w każdej szkole widzi jakąś nową stronę objawu piękna.... Zachwyca się dziś Fra Angelikiem, a jutro Vernet'em.... W najszka-

radniejszej bazgraninie szuka czegoś odznaczającego się, jakiegoś myśli, — i znajduje ją. Zgromiłam go za to, że nawet u Laïresse'a coś pochwalili.... Pułkownik mnie dziś nawet znudził swą pokorą i uwielbieniem dla mnie. Wolałabym, żeby mnie był połażał.... Hortensya widząc mnie, jak ona powiada, w złym humorze, była słodka, nie-naturalna, a w téj dobroci jéj czuć było litość. Nie cierpię litości. Przecież jestem zupełnie szczęśliwa.... chociaż dziś głowa mnie boli. Kanonik chciał mi zrobić z tego skrupuł, że czytam Montaigne'a.... Na to jedno nie pozwolę, aby mi, jak pensyonarce, wyznaczano lekturę.... Takiego despotyzmu znieść nie mogę. Chcę panować sama nad sobą, nie życzę sobie, by drudzy panowali nademną....

„Są takie dni w życiu nieznośne, długie i nie-przeżyte. Robert przyjechał i z kwadrans w ganku się śmiał rozmawiając z Karoliną, którą uszczęśliwił. Gdy wszedł, dałam mu poznać, że mi się to nie podobało. Karolina jest dziecinna, ograniczona, sentymentalna do śmieszności; gdyby nie była sierotą, pozbyłabym się jéj z domu, tak mnie niecierpliwi. Jeśli nie mówi, to patrzy patetycznie.... oczy pełne łez i rumieniec na zawołanie....

„Wczoraj ten ból głowy musiał mnie też dla drugich uczynić nieznośną.... Robert bardzo prędko

wyjechał, gdy właśnie miałam go połajawszy, rozpocząć rozmowę. Jego naiwność jest czasem dla mnie lekarstwem, nawet na taki ból głowy....

„Dziś rano przysłał się spytać o moje zdrowie, sam nie przyjechał.... Pułkownik mi mówił, że ma jakieś zajęcie pilne około gospodarstwa.... Ma być bardzo szczęśliwym i dobrym gospodarzem.... Lubi lasy i pola, sam mi to mówił; lubi wiosnę, której ja nie cierpię... .

„Wiosna jest przesadą.... ludzie sobie wmówili, że to ładne i wesołe.... Wolę jesień, wolę zimę, więcej obie mają tego spokoju, którego dusza pragnie. Cicho, zimno, ciemno.... nie jestże to naturalniejsze nad ten ruch gorączkowy, bezrozumny i bez celu. Żyć, rosnać, aby się dać zjeść.... Czyż warto?... Ale patrzeć z dala na to widowisko, nie biorąc w niem czynnego udziału — to właśnie życie moje. Innego nie pragnę.... W tłum się wmieszać i cisnąć z nim razem do publicznego źródła??”

.

Było zwyczajem w Ruszkowie, że choćby tu księżę przyjechał udzielny, nic się nie zmieniało w powszednim porządku domowym, stół był zawsze jeden, wyjąwszy dni świąteczne, tradycyjnymi u nas zwyczajami odznaczone. Kuchnia, piwnica,

ogród dostarczały materiałów do programu, nie troszcząc się o gości.... Panna Ada stała przy tém jak przy zasadzie, i gniewała się nawet, jeśli kucharz własnym pomysłem, dla gości coś przyczynił. Zaproszenie więc majora na obiad nie pociągnęło za sobą żadnych przygotowań.

Gospodyni tak samo nie ubierała się nigdy dla gości, ale według swój fantazyi, czasem wytworzyć, niekiedy z zaniedbaniem pozorném, zawsze z wielkim wdziękiem. Lubiała być piękną.... i była nią, bo wiek najmniejszego śladu nie wycisnął na nią. Nie miała téż jeszcze lat trzydziestu. Charakter tylko energiczny, samoistny nadawał całej twarzy i postawie coś pańskiego, trochę sztywnego — oznajmującego, że ciągle pilnowała siebie i pamiętała o sobie.

Zdziwiło to niepomału wszystkich, że tego dnia, gdy się majora z synem spodziewała, panna Pretwiczówna, wstała raniiej, sama kazała odświeżyć bukiety i od niechcenia, napomniała kredencarza, że srebra wystawniejsze są do używania, a nie do chowania ich w szafie, że od czasu do czasu przewietrzać je trzeba. W salonach znalazła niedosyć porządku, poprawiono kilka rzeczy, przedstawiono małe sprzęty. Ludzie, co jak panna Hortensya, na wszystko mają oko, wnet postrzegli tę nieznaczną zmianę, i wnioski z niej sobie ciągnęli. Zawołano piwniczego, co się też niezmiernie

trafiało rzadko, i sama pani kazała mu dać parę butelek starego węgryna, — który ludzie starzy lubią. Było to niesłychaną dystynkcyą dla gościa — jakiej sobie nie przypominano.

Mówiliśmy już, że cały ten dwór panny Pretwiczówny był z sobą w niesnaskach i kłótni. Wyjątek stanowił tylko Musiatowski, na którego panna Hortensya, choć go waryatem nazywała, dosyć była łaskawa. Nosił jej plotki i pomagał do wyśmiewania reszty.

Musiatowski, któremu świat i jego geniusze wydawały się tak śmiesznymi i nikczemnymi, który nie mając przed kim się wylewać z goryczą, jaka w nim wzbierała, chodził czasem po ogrodzie, głośno rozmawiając sam z sobą i śmiejąc się do rozpuku, — wkładał się też niekiedy do pokoju panny Hortensyi dzielić z nią swojami obserwacyami. Udawało mu się czasem coś podpatrzeć w istocie, częściej wymyślał coś niedorzecznego na swoich towarzyszach, a był tak poufale z panną Hortensyą, że przed nią nawet na samą panią domu niekiedy coś szepnął. Nikogo pocziwa panna Hortensya w duszy tak nienawidziła jak tej kuzynki, z której łaski żyła... W jej oczach była to istota pełna egoizmu, dumy, fantazyi, zarozumiała i bezrozumna. Nic jej bardziej gniewać nie mogło, niż ta cześć powszechna i korzenie się przed Adą — które dwór cały wyznawał.

Appartement od dawna zajmowany przez pannę Trocką, wybrany był jak najstaranniej i jeden z najwygodniejszych w pałacu.... Oprócz saloniku, miała pokój sypialny, gabinet i mieszkanie dla służącój, istnėj męczennicy.... dosyć często zmienianej, bo żadna przy niej długo wytrzymać nie mogła. Panna Hortensya, skutkiem ciągłych starań o to, jak najpiękniejsze stare meble zgromadziła dla przybrania swojego saloniku, a że miała wiele, ocalonych z rozbicia fortuny rodziców, kosztownych fraszek, porcellany, szkła, puharów, zegarów.... ubierało to bardzo pokaźnie jēj mieszkanie. Mała pensya, którą pobierała od rodziny, dary panny Ady, skąpstwo niezmierne dozwalały jēj i ubierać się i występować daleko piękniej, niż na rezydentkę przystało. Miała i klejnocików trochę, i łańcuchy, i pierścienie, a choć wszystko to nosiło cechę nie nową — tém więcej oczy zwracało. Panna Hortensya lubiła opowiadać, że dziadek jēj za zegarek swojego czasu dwieście dukatów zapłacił, że za łańcuch dał stopięćdziesiąt, że soliter, który nosiła na palcu, był nieocenioną pamiątką po wojewodzie, ofiarowaną mu przez Augusta II i t. p.

Pokoik panny Hortensyi w istocie zajmujący był temi szczątkami przeszłości. Komódki wykładane mozaiką drewnianą, stoliczki z bronzami, zegar *boule*, szafa rzeźbiona i markieterią ozdobiona,

zapełniały wszystkie kątki. Największą dumą jednak napełniała ją szyta na aksamicie portyera z herbami, wypłowiała, która bez potrzeby rozwieszona była na ścianię, niby okrywając drzwi,— a tych tam wcale nie było. Wskazywać ją mogła właścicielka jako robotę swój babki, z domu księżniczki Massalskiej. Druga ściana obita była makatą wystawiającą historję Dafny w laur przemienionej, szarą, spłowiałą, ale przepyszne go rysunku. Kawałek ten gobelinu także na seciny dukatów był ceniony....

W tym przybytku dawnych pamiątek, nieszczęśliwa, skwaśniała, zjedzona niechęcią ku całemu światu, pędziła dni swe żółcią zatrute panna Hortensya.... Najmilszém jój zajęciem była rozległa korespondencya, którą pilnie prowadziła z rozgałęzioną niezmiernie rodziną, pełna dowcipu złośliwego i ucinków.... Téj korespondencyi poświęcała znaczną część dnia, chociaż nie zawsze na swe listy otrzymywała odpowiedzi.

I tego ranka, ubrana siedziała u biurka, zawzięcie zapisując już trzecią ćwiartkę bujnym swym charakterem — gdy ktoś odkaszlnął za progiem. Poznała głos Musiatowskiego, i odwróciwszy głowę, zawołała:

— Proszę.

Z uśmiechem na ustach wsunął się niezgrabny drągal, przechylony jak zawsze, tak, że jedno ra-

mię wydawało się wyższe od drugiego, i mnąc czapkę w rękę — począł powtarzać od progu.

— Nie przeszkadzam! nie przeszkadzam!

— Ale mi WPan nie przeszkadzasz, protektorsko odezwała się składając papier panna Hortensya. Spojrzała mu w oczy, i cicho dodała:

— Cóż tam nowego?

— Cha! cha! zaśmiał się, ręką usta przysłaniając Musiatowski, a potem palcami wskazując w stronę pokojów głównych panny Ady — wielkie przygotowania na przyjęcie wielkich gości. Jak Boga kocham!...

— Jakich gości? WPan wiesz, że u nas i dla króla się przygotowań nie czyni — odezwała się Hortensya.

— Tak, ale dla ojca pana Roberta!!

Musiatowski wargi wydał, oczy wytrzeszczył, rękę jedną podniósł do góry.... Ho! ho! to figura — jak się okazuje!

Po cichu kilka kroków ku biurku się zbliżył, widząc, że panna Hortensya słucha go z uwagą, natężoną.

— Sama pani kazała kredencarzowi srebra wielkie... przewietrzyć — ogrodnikowi kwiaty odświeżyć, a Zamszyńskiemu dać starego węgrzyna, którego i my też — ekstra święconego, powąchamy....

— Któż ci to mówił?? spytała panna.

— A no — cały dwór już o tém mówi, boć to przecie coś znaczy. Pani dobrodziejka najlepiej to wie. Czyż to bez kozery?

Panna Hortensya sama nie chcąc ciągnąć wniosków, życzyła sobie dowiedzieć się, jakie *vox publica* z tego czyniła.... prognostyki....

— Jakaż to ma być — kozera? zapytała mierząc go oczyma.

— Cha! cha! i śmiejąc się szepnął Musiatowski — alboż to ja pani mam tłómaczyć? pani, której oczko wszystko widzi, uszko wszystko słyszy, a rozum wszystko.... pojmuje....

— A jakże to pan Musiatowski tłómaczy? nalegała panna.

— Musiatowski, jaki on tam jest to jest w sobie — i jak tam go potomność osądzi.... ale tu, w Ruszkowie, robak mizerny, gryzipiórek lichy, — czyż takiemu nędznemu Musiatowskiemu godzi się oczy podnosić na to, co czynią bogowie!.... Ja — nie wiem nic....

Wstała od biurka panna Hortensya zamyślona....

— Cóż więcéj? zapytała.

— Nic.... tylko że we dworze, na sygnał dany, jakby się nie wiem kogo spodziewano, taki ruch.... Rozumie pani.... Cóż to za figura ten pan major? Bohater jaki?

— Nie słyszałam, żeby się czém tak nadzwyczajnie odznaczył — odezwała się złośliwie, ramio-

nami poruszając panna Hortensya; — wiem tylko, że to ojciec pana Roberta....

Powiedziała to z wielką seryą, Musiatowski na nią spojrzał, skrzywił się jak do śmiechu, gębę oburącz zatulił, ale wnet, niby sobie przypomniawszy *decorum* należne, wyprostował się i komicznie poważną przybrał postawę.

Panna Hortensya chodziła po pokoju, pół roztargniona, pół zamyślona.... Sekretarz głową trząsł smutnie, nie mówiąc słowa....

Po długim przestanku, ni z tego, ni z owego, jak gdyby kiwanie głową coś wypowiedziało, jakby się mówiący milczeniem porozumieli, Musiatowski zawołał:

— Tak — tak — zobaczy pani!! zobaczy.... Nie unikniemy tego.... słowo daję!

I spuściwszy oczy, czapkę pomiętą wyprostował, skłonił się żywo i wyszedł. Przeprowadziła go oczyma do drzwi panna Hortensya — rozmyślając pewnie nad tém co jój zwiastował. List rzuciła do szuflady, którą zamknęła, wzięła narzutkę jakby chciała wyjść z pokoju — lecz gdy kroki z dala się słyszeć dały, wstrzymała się.

Z kapeluszem w ręku, z ładnym bardzo brewiarzykiem, pełnym jedwabnych szytych zakładek, w rękawiczkach czarnych przestębnowanych liliowym jedwabiem, wszedł zamaszysto i poufale ks. kanonik.

— Przychodzę pannę kasztelankę pożegnać (tak ją przez grzeczność tytułował, choć ojciec był tylko kasztelanicem) — muszę jechać do Brześcia....

— Jak to? bez obiadu?

— Na obiad niepodobna mi czekać, prosiłem o śniadanie — jadę dla dyrygowania rekolekcyami naszych duchownych.... a to jest ważniejsza misja, niż inne, rzekł ks. prałat....

— I tak — od uroczystości naszój, hrabia ucieka? (Wywzajemniając się kasztelanka, nie zapomniała o tytule hrabiego)....

— Od jakiej uroczystości?

— A dziś! dziś przecież.... *tout est sur pied*, aby godnie przyjąć ojca pana Roberta.... dodała panna Hortensya z szyderstwem.

Ksiądz się zmarszczył....

— Rzeczywiście, zaczęła zbliżając się panna Hortensya i głos zniżając — nasza biedna Ada od rana słyszę — *contre tous ses us et coutumes*, lata, napędza i dysponuje....

Położyła palec wyschły na nosie....

— Tak, tak, mówiła — nie trzeba zasypiać. Księżę prałacie dobrodziej — bo jest, jest i nie omyliłam się w méj dyagnozie, rzeczywiste jest niebezpieczeństwo!.... Ta stała okryta heroina nasza, której żaden pocisk dotąd nie dotknął, która wyśmiała, wzgardziła księciem C.... — która poroz-

pędzała tak miłych, przyzwoitych, urodzonych wysoko, wychowanych świetnie jak Władzio, Artur, Wiktor.... *tutti quanti*, — ta amazonka, co się zaklinała, że mężczyzny żadnego w świecie znać nie chce — ta.... nasza droga Ada.... została zwyciężona przez — ładnego parobczaka. *Ce que c'est que de nous! Hélas!*

Załamala ręce — kanonik milczał.

— A nie jest to tylko przywidzenie? spytał.

— Albo ja nie mam najmniejszej znajomości niewieściego serca, choć jedno z nich w sobie noszę — pośpieszyła panna — albo są oznaki, które wątpić nie dbzwalają, że się coś nadzwyczajnego gotuje.... Przewrot! metamorfoza! Ona sobie może z tego sama nie zdaje sprawy.... ale się kocha.... kocha się.... Im upartszą jest i samotniejszą być nawykła, tém niebezpieczeństwo większe....

Milczeć i puścić jój cugle.... no to zajdzie aż do ołtarza.... Sprzeciwić się.... jeszcze gorzej.... na przekor gotowa postąpić. Słowem.... *c'est grave*.

Kanonik nie okazując najmniejszej zmiany na twarzy, stał posepny....

— Należy — szepnął — obserwować najprzód — i faktu być pewnym. *Nous aviserons*.

— A tak — żywo pośpieszyła Hortensya. Gdyby nieszczęśliwa Ada miała popaść w tę haniebną niewolę, naówczas wszystkie wielkie, święte po-

mysły księdza hrabiego.... wszystko to co z jój pomocą miało się spełnić — przepadło.... To sobie z góry powiedzieć trzeba....

— Ażeby panna Ada miała tak lekkomyślnie sobą rozporządzać i kłamstwo zadać całemu życiu — nie — to niepodobna! rzekł kanonik — *Après tout*, zostawiam panią na straży....

Skłonił się z lekka, panna Hortensya pośpieszyła go w rękę ucałować.... i szepcząc mu coś jeszcze, przeprowadziła aż na ganeczek, który z jój mieszkania wyprowadzał do ogrodu....

Tu, choć ks. Otto się oddalił, jakiś czas wstrzymywała się, oczyma dokoła wodząc. Stary Habicht, ogrodnik jeszcze z czasów matki dziedziczki, który nazwisko tylko nosił niemieckie — w niezmiernie długim surducie, pończochach i trzewikach, w czarnej mycce na łysój głowie, zbliżał się, niosąc bukiet ogromny w rękę, ku domowi. Był to człek powolny, dobrego zawsze humoru, rodzaj filozofa, wielce poważny.... i z wyjątkiem panny Ady, mało tu na kogo uważający. Pannę Hortensyę zobaczywszy stojącą w ganku, dotknął zaledwie ręką czapeczki.... i szedł dalej.

— Komuż to pan Habicht taki śliczny bukiet niesie? zapytała.

Stary stanął i popatrzał na nią.

— A jak się pani zdaje? Dla kogożbym to ja

ściął najpiękniejsze moje kwiaty, i to jeszcze najpierwsze, z których nasienie najlepsze? he?

— Alboż ja wiem? Pan Habicht może się kocha?

Ogrodnik nie był żonaty.... Uśmiechnął się....

— Powiem pani jedno— począł z powagą— oto, gdybym się zakochał na stare lata— a to się też trafia— czy pani myśli, że taki bukiet dałbym mojej pannie? Nigdy w świecie....

Tylko dziedziczka ma prawo życia i śmierci nad temi poddanemi swemi. Kazano bukiet przynieść— słucham. Nie dałem go robić Kondratowi, boby mi pokaleczył moje wychowanki.

Westchnął....

— A cóż to się stało Adzie, że takie popełnia okrucieństwo? spytała panna.

Ogrodnik z wolna oczy podniósł.

— Masz pani słuszość—rzekł—okrucieństwo.... Jestem u niej w służbie od czasu jak objęła majątek— wie pani, wie?— zostawiała mi zawsze swobodę dawania lub oszczędzania kwiatów—dziś—kazała!! słyszy pani! kazała!!

To mówiąc zdjął aksamitną czapeczkę, skłonił się, minę zrobił dziwną i odszedł ku werandzie pałacowej, przypatrując się swym kwiatom.

Małeńka ta pozornie okoliczność, tak potwierdzała postrzeżenia których pannie Hortensyi udzielił Musiatowski, że po krótkim namyśle, wróciła do swojego pokoju i niezwłocznie się ubierać za-

częła.... To co słyszała i widziała, oddziało na-
wet na zwykły strój starój panny; chociaż nie-
cierpiała Ady i rada się jój była sprzeciwiać, na
ten raz uznała za właściwe ubrać się wykwintniej,
aby okazać, że jój myśl odgadła. Było w tém i
trochę szyderstwa, i odrobinę złości, i może trochę
miłości własnej.

Ubierała się panna Hortensya zawsze czarno i
poważnie, lecz strój ten małemi dodatkami, dawał
się urozmaicać i zmieniał charakter.... Narzuciła
na ramiona koronkową przepyszną staroświecką
chustkę, na szyję wzięła łańcuch kosztowny, a do
boku przypięła emaliowany i kameryzowany zega-
reczek, arcydzieło kunsztu paryżkiego, bardzo
pięknie zachowane.... Wszystko to zwykło było
występować tylko w święto, była więc pewna, że
Ada postrzeże to nadzwyczajne ubranie — i zrozu-
mie je.

Nie czekając zwykłej godziny, wyszła z książką
w rękę na pokoje — i siadła niby czytać u okna.
W istocie było to jój stanowisko obserwacyjne,
z którego Adę wychodzącą ze swych pokoiów i
każdy jój ruch mogła widzieć wygodnie.

Gospodyni zwykle wychodziła dosyć późno. Z ra-
na przechadzała się po ogrodzie, pracowała w swo-
im pokoju, siedziała w bibliotece. Tego dnia, nie
omyliła się przebiegła kuzynka, Ada wyszła wcze-
śniej, widocznie ożywiona bardziej niż zwykle,

z różą we włosach, a choć suknię miała czarną, poznała panna Hortensya, że była nowa.... W całym stroju widać było staranie wielkie o elegancję....

Jeszcze niepostrzeżona, bo ją część firanki zasłaniała — widziała panna Hortensya, jak Ada pilném okiem rzuciła po pokojach, zbliżyła się do bukietu Habichta i poprawiła go, przesunęła kilka mebli — przełożyła kilka albumów, i dopiero zbliżywszy się ku sali — dostrzegła siedzącą, w czytaniu zatopioną kuzynkę. Nim się odezwała Ada, zmierzyła ją okiem i zobaczyła w ubraniu odmianę: rumieniec jój na twarz wystąpił. Z pozorną obojętnością zbliżyła się do siedzącej — zaczęła się jój przyglądać bacznie — i odezwała po chwili.

— Widzę *que vous avez fait des frais de toilette pour le major*, jestem ci za to wdzięczną, obcy zupełnie człowiek.... trzeba żeby nas nie wziął za ba i bardzo....

Hortensya oczy podniosła nie wiedząc co odpowiedzieć; spodziewała się nadąsania....

— Sama nie wiem zkad mi przyszło to włożyć — dodała syczącym głosem. Czasem te pamiątki dawnego lepszego bytu potrzebuję dobyć, aby się nimi pocieszyć w smutnej terażniejszości. Pozwól i mnie mieć czasem fantazyę!

— A! czyż ja ci ich zabraniam! odezwała się

Ada śmiejąc. *Je suis de bonne composition*, mam sama tych fantazyj do zbytku....

Oczyrna powiodła po salonie.... jakby się pytała sama siebie — czy to dosyć pięknie i dystygowanie wygląda?

Hortensya siedziała milcząca....

Wtém drzwi się otworzyły i wypadła, nie spodiewając się tu tych pań zastać, Karolina.... Zawałała się trochę w progu. Ubrana była biało, świeżo, i to ją czyniło jeszcze młodszą. Oczyrna trochę przestraszonymi powiodłszy po salonie, chciała się cofnąć....

— Karusiu! czegoż chcesz? mów? zawołała Ada....

— A — nie — myślałam.... ale nic — nic.... Chciała się wymknąć nazad co prędzej, aby uniknąć niezbędnego kazania, gdy Ada zawołała ją, wpatrując się w ubranie.

— Moje serce, ustrój się jak chcesz — ale, zmiłuj się — nie tak.... nie tak.... bijąco w oczy.... Masz minę jakbyś na bal jechała.... Biała suknia! proszę cię....

Karusia zarumieniała się.

— Ale.... cóż mam włożyć? doprawdy....

— Co chcesz.... co chcesz.... tylko nie tę przy całej swój prostocie tak pretensjonalną sukienkę.

Dziewczę zarumieniało się, i wyszło nie mówiąc słowa.

— Nie chcę znowu — szepnęła Ada, — aby myśleli żeśmy się do nich postroili....

— Tak — rzekła śmiejąc się Hortensya — nie trzeba się zdradzać. Postroiliśmy się, ale to powinno być — tajemnicą!! Karusia była naiwną... my, starsze....

Nie dokończyła, Ada nie dosłuchawszy też ruszyła ramionami, zbliżyła się do fortepianu Erarda i poczęła na nim powoli prawą ręką grać chorał jakiś....

W chwilę potém zadzwoniła — wszedł lokaj....

— Czy u pułkownika nie ma gości? zapytała.

Słyszac to Hortensya zagryzła usta.

— Tylko co, zdaje się, przyjechali panowie z Zahajów.

Chorał grała dalej, przyłożywszy rękę drugą.... Było to coś z Paulusa Mendelsohn'a.... grała, ale domyślić się było łatwo, że uchem usiłowała pochwycić szmer daleki.... że czekała....

Spojrzała na zegar.... Była już godzina blizka obiadowej.... Można się było gości spodziewać co chwila....

— Kanonik odjechał? zapytała panny Hortensyi.

— Zdaje mi się — mówił mi, że musi jechać dla rekolekcyj. Nie można go było nawet na obiad powstrzymać.... Na chwilę zaszedł do mnie — smutny był jakiś.

— Jadąc na rekolekcyę — cicho odezwała się Ada, ciągle powoli grając chorał, — zresztą kiedyż kanonik jest wesoły?

— Tak, ale tym razem — dziwnie był posepny....

Nie odpowiadała Ada, w ganku od ogrodu dały się słyszeć głosy, porzuciła fortepian i poważnym krokiem poszła naprzeciw gości.

W istocie oni to byli. Major we fraku, w białej chustce wysoko zawiązaną z paradnym węzłem, w rękawiczkach, z włosami staranniejszymi niż kiedy sprowadzonymi na łysinę i nieznacznie zlepionymi nad czołem tak, aby nie wróciły do naturalnego położenia. Pułkownik w taratatce, ale także z chustką białą na szyi, na ostatek Robert we fraku, dla ojca włożonym, zresztą bardzo po prostu przystrojony i swobodny mimo tego ubrania niezwykłego. Na nim zawsze jakoś wszystko leżało doskonale i było mu do twarzy.... Ada to pierwsza postrzegła....

Major, wewnątrz mocno utrapiony, usiłował humor dobry, żołnierski udawać, dość niezręcznie. Tego dnia, na przekór ubraniu, wyszwarcowanemu wąsikowi, okrytej łysinie, starszym się wydawał niż kiedy. Twarz miał bladą, zmarszczki na niej zarysowały się widoczniej, troska go wewnętrzna przygniatała.

Z galanterią dawnych czasów i temi ruchami trochę wyuczonymi, które niegdyś stanowiły cechę

dobrego tonu, major się zbliżył do gospodyni.... Na ustach miał pochwałę pięknego parku, którego część właśnie obchodzili z pułkownikiem....

— Tak, panie majorze — odpowiedziała Ada — nie jest on brzydki, ale wiele lasów i łąk naszych piękniejsze są od niego.... choć koło nich nikt nie pracował. Tu nadto widać sztukę....

— A w dawnych ogrodach, jak w Wersalu, widać ją było tylko — rzekł major — i miało to swoją piękność i majestat.

— Tak, ale to były inne ogrody — odparła Ada, — ogrody sztuki — my niby naturze zostawujemy swobodę, tylko ją poprawiając trochę. To się nam rzadko udaje....

Proszono siedzieć, wyszła panna Hortensya na ganek, i zbliżyła się do Roberta, aby go ukąsić jak zwykle. Chłopak wesoło wstał na przywitanie jej....

— Cieszysz się pan z gościa — rzekła — i musisz nie bardzo być rad dzisiejszemu zaproszeniu Ady — wolelibyście być sami z sobą....

Z razu Robert nie wiedział co odpowiedzieć.... odprowadziła go na stronę, śledząc każdy ruch jego oczu, często zwracających się niespokojnie ku Adzie... Nie czekając już odpowiedzi na pytanie, panna Trocka poczęła trochę szydersko zaczepiać chłopaka, który wesoło jej się odcinał, gdy zarumieniona weszła po cichu Karusia, w sukien-

ce ciemnej liliowej, nader skromnej. Robert sądząc, że się uwolni od prześladowczyni, zbliżył się do niej, ale tak była zmieszana, że nie chcąc jej się naprzykrzać, cofnął po kilku słowach.

Ponieważ godzina obiadowa się zbliżała, dwór też ściagać zaczął na pokoje. Wszedł najpierwszy, ciekawy Musiatowski, w ciemnym kącie się lokując, po nim Oblęcki, któremu się zdało, że się opóźnił, i wbiegłszy pośpiesznie, odetchnął dopiero, gdy zobaczył, że jeszcze u stołu nie siedziano.

Nieszczęśliwy artysta, do wszystkich dolegliwości i męczarni, jakich doznawał, walcząc z nieudolnością swoją — w czasie pobytu w Ruszkowie nabył choroby, z której nigdy się już nie miał uleczyć! Nikt pono w świecie domyślić się tego nie mógł — tak mu się przynajmniej zdawało.... zakochany był w pannie Karolinie.... zakochany śmiertelnie, a do miłości człowieka przyłączyło się uwielbienie artysty dla ślicznych rysów, dla nieporównanej świeżości i przezroczystości kolorytu.... Pożerał ją oczyma, rysował ją, malował, — darł potem i palił te próby.... Przerazało go to, że mógł ktoś podpatrzeć, odgadnąć, domyślić się jego rozmiłowania.... któreby go okryło śmiesznością.

Choć uboga, panna Karolina była kuzynką pani domu, a wdzięk jej i młodość czyż nie były skar-

bami, na-które zuchwałem wejrzeć okiem godziłoż się takiemu jak on robakowi?

Jak Musiatowski się przeceniał, tak biedny Oblęcki w pojęciu własném nie miał najmniejszej wartości.... Jakże mu było pomyśleć nawet o takim bóstwie? Oczy jego mimowolnie zwracały się na nią, a dreszcz go przebiegał, gdy przypuścił, że albo ludzie go zgadną, albo ona się domysli.... To czyniło Oblęckiego jeszcze trwożliwszym i bardziej roztargnionym.... a zarazem nieszczęśliwym. W ciągu pobytu w Ruszkowie, który się już liczył na lata, zaledwie parę razy kilka słów się ośmielił przemówić do pięknej panny, która będąc jak on trwożliwą, ledwie mu też na nie odpowiedzieć umiała. Na ostatek nieco podchmielony wsunął się Rubaczek i dał nurka gdzieś za szafę. Oba- wiał się, aby oko gospodyni nie wyczytało z jego twarzy, iż już z rana Bachusowi składał ofiary....

Ada w dosyć ożywioną rozmowę o ogólnych sprawach gospodarstwa krajowego, kredytu i t. p., wciągnęła majora. Po trosze dopomagał pułkownik.

Jazyga był niezmiernie zdziwiony, słysząc kobietę tak rozprawiającą ze znajomością zupełną rzeczy, o tém co mu się zdawało dla niej niedostępném.... Po raz pierwszy zaimponowała mu. Major niegdyś czytał Smitha, później innych ekonomistów, zdawało mu się, że w téj gałęzi dotrzymać może nawet hrabiemu Skarbkowi — tymcza-

sem ze zdumieniem przekonywał się, że panna Ada już znała nowsze dzieła, teorye, i mówiła o nich wchodząc w szczegóły, dowodzące, że studyowała je pracowicie....

Popatrzał na nią milczący — uśmiechnęła się.

— Widzę, że pan major trochę się dziwisz, że ja śmiem tak poważnych dotykać przedmiotów — niewłaściwych dla kobiety. Ja to panu wytłómaczę. Próżnować nie lubię i nie mogę.... ciekawość mnie prowadzi.... Nie mam nic do roboty.... zająć się czémś potrzeba....

Jazyga głowę skłonił w milczeniu. Oznajmiono do stołu, major poprowadził gospodynię, posadzono go przy niej. Była dlań nadzwyczaj uprzejma dnia tego, zaniedbując Roberta.... Pilnowała tylko oczyma, ażeby go sobie Karolina nie chwyciła, ale Sensytywa była smutna, zamyślona i oczu podnieść nie śmiała. Za to panna Hortensya wtrącała się do rozmowy nieznosnie, usiłowała bawić majora, nie dawała kuzynce swobodnie się z nim rozmówić. Jazyga wzięty tak we dwa ognie, palił się jak na ruszcie, podołać usiłując rozerwaną rozmowę, a w duszy pragnąc, ażeby się to utrapienie jak najprędzej skończyło....

Jawném było, że panna Ada usiłowała sobie pozyskać grzecznością starego majora, była dlań wyjątkowo uprzejma i miła. Nie mógł jój za to nie być wdzięczen, lecz im bliżej ją poznawał i wyżej

umysł jój i naukę oceniał, tém większa go opanowywała trwoga.

W duszy ciągle powtarzał sobie:

— Trzeba ztąd Roberta wyciągnąć.... kobieta niebezpieczna.... Uchowaj Boże nieszczęścia.... przepadł chłopiec, poszedłby pod żelazny pantofel.... Strzeż Boże....

A że w czasie pobytu w Zahajach przekonał się, iż Robert miał nietylko szacunek, ale admiracyę dla panny Ady — niepokoił się coraz bardziej.

— Dyabeł nie śpi — mówił w duchu. Choć nie ma dotąd podobieństwa, aby taka arystokratka miała mojego poczciwego symplicyusza pokochać — ale — a nuż?? Weźmie go od razu, zrobi z nim co zechce.... Nie! trzeba z chłopcem uciekać.... Bezpieczniej to niż się narazić na nieszczęście....

To go utwierdzało w postanowieniu niezmienném przeniesienia syna do Żabliszek, a osiądzenia samemu w Zahajach.... Za pretekst mogła między innemi służyć chęć zbliżenia się do starego kolegi, a razem przygotowania Roberta do gospodarstwa na majątku, który miał odziedziczyć.

Szepnął o tém już był, przygotowując grę Robertowi — a tego dnia myśl swą odkrył pułkownikowi, uprowadziwszy go na stronę.

— Drogi mój, stary przyjacielu — rzekł do niego — tęskno mi ku tobie. — Ot, myślę sobie, nie-

wiele nam już lat zostało.... Oddam Żabliszki Robertowi, niech on gospodaruje na ojcowiznie, a ja się do Zahajów przeniosę. To dopiero będziemy się zagadywać o dawnych czasach!...

Uściskał go za to pułkownik, myśl mu się zdawała przedziwną — chociaż dodał, że i Roberta im żal będzie.

Po obiedzie towarzystwo się ugrupowało inaczej, majora zabrała panna Hortensya, opowiadając mu, z okazji łańcucha, o świetności swego rodu.... Pułkownik zbliżył się do drogiéj pani. Właśnie wypadł jakiś interes, o którym potrzebował jéj dać wiedzieć. Ada była szczególnie roz-targniona i ledwie go słuchała....

— Jakże się pani mój poczciwy major podobał? spytał po cichu pułkownik.

— Bardzo.... Wy jesteście oba typami swojej epoki, która już znikła i w kilku zaledwie reprezentantach pozostała....

Major wszakże innym jest jeszcze.... różnym od ciebie, kochany pułkowniku.... a nie mniej sympatycznym człowiekiem. Co za macierzyńskie niemal przywiązanie do syna!...

— To prawda! zawołał pułkownik. Żyje nim tylko, myśli o nim.... Wie pani co? Z początku dziedziczny majątek w Grodzieńskim zostawił był sobie — teraz, żeby syna zupełnie już wyemancypować — chce mu rezygnować dziedzictwo.... a

— sam się na dzierżawę przenieść do Zahajów. Zda-
je mi się, że radby go ożenić!

Mówił to, nie otrzymując odpowiedzi długo, i
w końcu spojrzał na stojącą przed sobą Adę. Ude-
rzyła go bladość jęj twarzy, jakieś pomieszanie,
zmiana rysów, coś jakby nagle, niespodziane, za-
silne, aby skrytę być mogło, wrażenie.... Zmiar-
kowawszy, że troskliwy pułkownik przypatruje
się jęj niespokojnie, panna Pretwiczówna przeło-
żyła rękę do twarzy....

— Okrutnie mnie zęb zabolął — rzekła — ale już
przechodzi....

— Wody może?

— Nic — nic — proszę cię, nic — to w chwili
ustanie.... Mnie się to trafia — ja to znam, ból
gwałtowny bardzo, ale krótki.... Już go nie ma.

Jakoż wkrótce twarz jęj odzyskała wyraz spo-
kójny.

— W istocie, seryo — major ma taki zamiar?
odezwwała się wracając do rozmowy.

— Mówił mi o tęg jako o rzeczy postanowio-
nej....

— Będziemy mieli miłego bardzo sąsiada, chłó-
dno poczęła panna Ada.... pan się szczególniej
cieszyć tęg możesz.... ale dla Roberta.... ja nie
wiem czy to dobrze, że ojciec go tak rychło chce
żenić....

Robert jest jeszcze tak dziecinny niemal, tak szczęśliwie młody, tak mu dobrze z tą jego młodością, że nie godziłoby się zawczasu mu więzów narzucać.... Po chwili milczenia, Ada dodała:

— Tak mi się zdaje.... Pułkownik, który kochasz pana Roberta, powinienbyś tę uwagę uczynić majorowi. Tu u nas nie ma dlań niebezpieczeństwa, bo wątpię żeby się w Karusi zakochał, w sąsiedztwie panien mało — a w Grodzieńskim pewnie pochwycą biedaka i zakują. Żał mi go. Ojciec ze zbytnej miłości.... trochę jest zaślepiony.

Zwróciła się raz jeszcze ku pułkownikowi i dodała: Pułkownik mu to powinienbyś wyperswadować.

Gdy odeszła, Brandys, który stał w miejscu nieporuszony, postrzegł, że z niezwykłą żywością i pośpiechem podążyła wprost do Roberta rozmawiającego z Oblękim.... W kilku słowach wmieszała się do ich rozmowy — i bardzo zręcznie pod pozorem przechadzki po salonie, uprowadziła młodego Jazygę za sobą.

Był w najlepszym humorze. Uprzejmość okazana jego ojcu napełniała go najżywszą wdzięcznością; wzmogło to jeszcze nadzwyczaj uwielbienie dla Ady; w oczach, w ruchach chłopaka malowało się ono aż nadto wyraziście. Ona sama nie

mogła się nie poznać na uczuciu, jakie natchnęła; wiedziała, że ma moc nad nim....

Jak tylko od malarza odeszli, Robert nie zważając na to, że na nich patrzano, schylił się do ucałowania jęj ręki, podanéj mu tym razem niechętnie i z pewnym oporem i wahaniem....

— A, pozwólże mi pani sobie podziękować, rzekł, za takie łaskawe przyjęcie mojego ojca! Nie prawdaż pani? nie jestże to najlepszy z ludzi?....

Ada uśmiechnęła się.

— Po cóż mi pan dziękujesz? — odpowiedziała chłodno. Poznanie go sprawiło mi prawdziwą przyjemność. To ja wdzięczna jestem za tę miłą chwilę.... Ojciec pański nietylko dobrym, ale rozumnym jest człowiekiem.... Jednakże panie Robertcie — będę musiała mieć żal do niego.

— Jakto? za co? podchwycił zdumiony chłopak....

Rozmawiając wyszli nieznacznie do przyległego małego saloniku, gdzie ich nawet wejrzenie chciwe panny Hortensyi ścigać nie mogło.

Ada była dziwnie usposobiona — wzięła za rękę Roberta i spojrzała mu w oczy....

— Czy to prawda, że mi pana chcą odebrać i przenieść gdzieś w Grodzieńskie?

Pytanie było rzucone z taką życzliwością szczerą, z takim zapomnieniem się, że słuchając go

Robert zadrżał cały..... Dziwne uczucie niewysłowionej rozkoszy przejęło go i odebrało mu mowę....

— Czyż to prawda? powtórzyła Ada.... I w tejże chwili, jak gdyby postrzegła, iż się zapomniała — z lekka rękę usunęła, spuściła oczy.... zamilkła jakby zawstydzona sama przed sobą.

— Ojciec mi żartem coś o tém raz wspomniał — rzekł Robert. Myśl to tak na wiatr rzucona, a dla mnie, choć kocham nasze Żabliszki, pustoby tam było — i nieznośnie....

A! nie — nie — ja tu zostanę....

— Wyperswadujże to pan ojcu — już z powagą i chłodem mówiła cicho pani domu. Może w tém jest trochę egoizmu, bo my tu pana wszyscy kochamy — lecz, zdaje mi się, że.... lepiejby było, gdybyś pan tu został.

Pułkownik mi napomknął o jakichś dalszych projektach — dodała z uśmiechem, odzyskując panowanie nad sobą — chcą pana ożenić! spętać tak młodo! Nie czynże téj niedorzeczności. Buntuję pana przeciwko ojcu — to niegodziwie — prawda? — ale ja panu dobrze życzę — wierz mi....

Nim zmieszany tą drugą przestrogą miał czas na nią odpowiedzieć Robert, Ada już z nim i z twarzą uspokojoną przeszła do głównego salonu, zagadując o czém inném.

Pierwsze wejrzenie, które ją w progu spotkało, było.... panny Hortensyi. Wpilo się ono w Adę,

jakby dobyć z niej chciało podejrzaną tajemnicę. Roberta wzrok spotkał oczy ojca niespokojne. Gospodyni domu uśmiechała się tak obojętna, tak chłodna, jak gdyby tylko co nie popełniła — tego co sama sobie w duchu, jako zapomnienie się kompromitujące, wyrzucała srodze. Przecież czuła, że gdyby wróciła znowu ta chwila i to uczucie, które jęj towarzyszyło, byłaby znowu.... postąpiła tak samo — byłaby powiedziała też słowa....

Co się działo z pocziwym, prostodusznym Robertem — trudno opisać.... Czcil on tę idealną niewiastę, ale mu na myśl nie przyszło nigdy, ażeby on dla niej był i mógł być czém inném, niż pokornym uczniem i sługą. Podnieść ku niej oczu nie śmiał....

Po raz pierwszy dotknięcie jęj ręki, dźwięk poruszonego głosu, wyrazy, któremi się odezwiała do niego — wprawiły go w jakiś szal, który sobie wyrzucał jako zuchwalstwo — a.... jednak się czuł tą chwilką przelotną jakby zbliżonym, jakby podniesionym do niej. Z głową, w której myśli się pomieszały, wirowały, — z sercem bijącym, szczęśliwy jak nigdy w życiu nie był, wsunął się za nią do salonu.

W duchu powtarzał sobie:

— „To nie może być! to był sen! a! nie — nie godzi się nawet marzyć o tém....” Ktoby był zajrzał w duszę kobiety, ujrzałby w niej także, dzi-

wny natłok najsprzeczniejszych zgryzot, radości, sromu i poruszenia.... Wstydziła się sama siebie i oburzała na ten wstyd niepotrzebny. „Nic się przecie nie stało.... Uważam go jak dziecko.... mówiłam z powagą.... Serce mi biło — bom na ślepego ojca się gniewała trochę!.... Nic więcéj....”

Po obiedzie rozmowa stała się ogólniejszą, a w godzinę potém obaj Jazygowie pożegnali panią domu....

Ada zostawszy sama z Hortensyą, bo Sensytywa natychmiast uciekła do swojego pokoiku, poczęła się przechadzać po salonie.

Kuzynka była w swym humorze najmocniéj szczypiącym, podrażniona i rozmarzona.... Spoglądała na Adę, uśmiechając się szydersko....

— Wiesz, co mi major mówił? odezwała się — jesteśmy zagrożeni podwójną klęską. Możemy stracić tego przystojnego chłopca, na którego choć popatrzeć jest miło, i zyskać majora w sąsiedztwo, który — bądź co bądź, nie wiem jak walczył pod Lipskiem i Budziszynem — ale nudny jest i śmieszny.

Przygotowana niéco do podobniéj zaczepki, Ada z zimną krwią odwróciła się do Hortensyi.

— Doprawdy? spytała....

— Sam major mi o tém mówił.... dodała żywo złośliwie śmiejąc się Hortensya. Podobnoby chciał

syna ożenić. Nie można dosyć zawczasu zabezpieczyć się, by ród panów Jazygów nie wygasł.... Tu u nas — nie ma dla niego partyi, chce go więc wyprawić na Litwę.... aby szukał sobie towarzyszek życia, znającą się na urządzaniu wędlin i robieniu serów....

— Major jest człowiek rozsądny, i nie tak mi się wydał nudnym jak tobie—odpowiedziała Ada.... Dla nas nie byłby on ciężarem, bo to towarzystwo dla pułkownika głównie, a radabym żeby mój Brandys miał starego towarzysza broni do gawędki....

— Co? i Robertaby ci nie żal było?.... załamując ręce krzyknęła Hortensya: pięknego Roberta! Przyznaj się....

— Owszem, przyznaję ci się chętnie, żałoby mi go było, szczególnie gdyby go ojciec ożenił po swojemu.... to jest spętał i uczynił pospolitym hreczkosiejem.

— A czémże on jest dzisiaj? zapytała Hortensya.

— Dzisiaj — jest jeszcze może niczém, ale to pączek, z którego się wcale ładny kwiat rozwinąć może!

— Co za poetyczne porównanie! Natchnione—mówiła śmiejąc się panna,—jeszcze jak żyję nie słyszałam, aby kto dwudziestokilkoletniego mężczyznę porównywał do pączka!...

Ada ramionami ruszyła....

— Ja ci się przyznam, poczęła spojrzawszy na nią Hortensya — że mnie nawet żal będzie Roberta. Wśród naszej pustyni — był to jakiś resurs.... Zbolałe oczy patrzeniem na Musiatowskich, Rubaczków i Oblęckich, mogły spocząć przynajmniej na kształtnej figurze młodego parobczaka. Bo — dodała — juściż to nic nie jest dotąd więcej, ten twój pączek — tylko rumiany i zdrowy parobek....

Gdy oczy podniosła dokończywszy tego frazesu panna Hortensya — postrzegła, że Ada wolnym posuwając się krokiem, była już w drugim pokoju, i wcale jej słuchać się nie zdawała.... Był to rodzaj wzgardy — który najmocniej gniewał i oburzał Hortensyę; nie mogła tego darować kuzynce, że zbywając ją milczeniem, gniewać się nawet, ani z nią sprzeczać nie chciała.... Wolałaby była najostrzejsze wyrazy nad tę pogardliwą obojętność i milczenie....

Ile razy w ten sposób się skończyła ich rozmowa, a kończyła się bardzo często podobnie, panna Hortensya biegła do swojego pokoju, poprzysięgając zemstę i długo potem nie mogąc się uspokoić....

Drzwi się zamknęły za Adą wchodzącą do swojego mieszkania, a panna Hortensya długo na nich wzrok rozogniony zatrzymawszy — z usty zacłętymi.... wstała i wróciła drżąc z tłumionego gniewu — do siebie.

Przez całą drogę do Zahajów, major fajkę palił i milczał. Parę razy Robert mu wskazał na polach rozmaite fenomena gospodarskie, zwracając na nie uwagę; stary Jazyga jakoś się nimi nie zajmował, zamruczał coś tylko i tak dojechali do dworku.

Tu zrzucając frak i białą chustkę, dwie rzeczy, którymi się brzydził — Jazyga odetchnął szczęśliwszy, siadł w oknie, które wychodziło na lichy ogródek, złożony z bzów, drzewek wiśniowych, agrestów, porzeczek i innych krzewów, i zdawał się teraz dopiero być w swoim żywiole....

— Gadaj sobie co chcesz, odezwał się do syna, nie ma to jak nasze swobodne, proste szlacheckie życie bez fraka, białych krawatów, woskowanych posadzek, galonowanych lokajów i tego sztucznego przyrządu, który mi zawsze teatru przypomina. Mnie staremu już w tych kajdanach salonowych wytrwać trudno....

Robert pocałował w ramię ojca.

— Jakże mi przykro, że odwiedziny u mnie, kochanego ojca zmusiły do tego... występowania w Ruszkowie, z krawatem białym....

— Ale to nie ty jesteś tego przyczyną, tylko ten pocziwy, a dla mnie niezrozumiały pułkownik! Jak on może wytrwać w tém życiu! nie pojmuje. Od rana, *tirè à quatre epingles*, zawsze na roz-

kazy.... zmuszony być gotowym — chwili spokoju.... najmniejszej swobody....

— A — jakże było w wojsku, kochany ojcze? spytał Robert.

— Ba! w wojsku! uśmiechnął się stary — to co innego, tam był cel.... a może, może też że się było młodszym, i nie tyle dyscyplina wojskowa ciążyła.

— Może też i mnie dla tego wcale nie wydaje się przykrém bywanie w Ruszkowie.

Na tę odpowiedź, major nic nie rzekłszy, wyjrzał oknem tylko i zadumał się. Unikał widocznie i rozmowy z synem o tém, i drażnienia go sprzeciwianiem się.

Było z razu zapowiedziano, że major ma zabić dni kilka; przeciągnęło się jednak więcej tygodnia. Pułkownik zaprosił na słomki, czy na głuszce; Zarznicki, który miał sobie za obowiązek też ufetować starego żołnierza, zaprosił na obiadek kawalerski. Niepodobienstwem odmówić było, zwłaszcza gdy za warunek położył, że wszyscy w surdutach być mają. Zaprosił dla towarzystwa kilku sąsiadów, między innemi Posepalskiego, a ten podpiwszy nieco, wyściskał majora i wymógł, że też jego ubogą chatą nie wzgardzi. Trzeba więc było jechać do Posepalskich, poznać jego żonę, synka i dwie córki. Kraśne panny wychowane w domu, wesołe, naiwne.... zresztą dla

Roberta nie będące niebezpiecznemi. Postrzegł to zaraz ojciec, że sobie syn na towarzystwie Ruszkowskiém smak popsuł, i do tego tonu wiejsko-szlacheckiego nastroić się nie mógł. Rozmawiał wesoło i żartował z panienkami, lecz widać było, że przy całej jego dobroci — do rozmilowania się w tém towarzystwie przyjść nie mógł.

Tu go troszyne prześladowano Ruszkowem, panną Karoliną — z czego Robert śmiał się tylko....

Idąc w ślady za Zarznickim i Posepalskim, a nie chcąc gorszym być od nich, pan Dorega trzeci sąsiad, gwałtem usiłował majora pociągnąć do siebie, ale dzień wyjazdu był naznaczony — z największym trudem przyszło się wytłómaczyć i wyprosić.... Dorega się niemal pogniewał, lecz major jechać postanowił, i czuł się temi przyjęciami serdecznemi znużony. Nawykły do samotności, do milczenia, do książek i przechadzek z myślami, męczył się towarzystwem hałaśliwém, choć sympatyczném zresztą.

Na ostatku trzeba było pułkownika pożegnać. Major miał w myśli tylko wpaść i nie dając się zaciągnąć do pałacu, uciekać — ale — był na obiad proszony, nie wypadało więc tak zniknąć, nie dawszy znaku życia.... Major czuł to dobrze.... Jakoż pułkownik na chwilę nie wątpił, iż pójda się pożegnać, i major przyznał, że należało to uczynić.

Godzina była między obiadem i herbatą — zdało mu się, że nie bawiąc długo wymknie się. Przybywszy na pokoje, gdzie zastał pannę Adę i Hortensyę, Jazyga chciał uchodzić, — gdy go niemal gwałtem piękna gospodyni zatrzymała na herbatę. Księżyc świecił, w domu przecie nic tak pilnego nie było do roboty.... Majorowi język się splątał, nikt mu nie pomagał, milczenie wzięto za przyzwolenie — i mimo woli pozostał.

Znowu gospodyni ze szczególnemi dla starego wojskowego była względami, mówiła mu o tych czasach, bitwach, wypadkach, których on był świadkiem, wśród których spędził najlepszą część swojego męskiego wieku — potrafiła go tém ożywić, wyciągnąć na opowiadania, i razem okazała taką zadziwiającą znajomość historyi, najdrobniejszych szczegółów, charakterów, iż major powtórę już zdumieć się musiał — zkąd ona to wie?

Jakiś cień poważnego smutku leżał tego dnia na spokojném zawsze obliczu gospodyni — odzywała się mało, słuchała z zajęciem, umiejętnie tylko poddawała majorowi przedmioty do rozmów i potrafiła go tak rozruszać, że trochę o swych uprzedzeniach zapomniał.

Herbatę podano na werandzie, aby mężczyźni cygara palić mogli, wieczór był prześliczny, z parku zawiewały wonie wiosenne, powietrze przejęte było wyziewami zmieszanemi kwiatów, drzew, tra-

wy, wód parujących.... ziemi dyszącej ciepłem.... Od wsi zalatywały zmieszane gwary tysięcznej pieśni życia.... ze śmiechów, świergotania, szmerów, okrzyków i gwarów złożonej.... Po nad tém wszystkiém biały ogromny księżyc podnosił się z twarzą swą zimną i tajemniczą, niby stróż podglądający nocne sprawowanie się ziemi. Wszystko to razem składało się na fantastyczny obraz— który widziany sto razy, zawsze porusza i budzi....

Gdy się herbata kończyła, towarzystwo przyniej zebrałe, które w początku nie było spójne— i nie umiało się jakoś połączyć, spoglądając na siebie nieufnie— uległo nie wiem jakiemu dobremu wpływowi gospodyni, księżycą czy humoru majora, i bawiło się jakby jedna zgodna rodzina....

Oblecki miał odwagę przemówić coś do panny Karoliny, która— obejrzawszy się na Adę— ośmieliła mu się odpowiedzieć. Rubaczek próbował rozmawiać z Musiatowskim, panna Hortensya zaczęła pułkownika, Robert z za krzesła ojca wpatrywał się w Adę, a ta cała była w opowiadaniu majora.

Najdziwniejszy był skutek téj chwili przelotnej na pannie Hortensyi, która na krótko wprawdzie, zrzekła się złośliwości i mówiła o wspomnieniach młodości, lepszych czasów.

Gdy przyszło się rozstawać, a major wstał i ruszyli się wszyscy, żał było każdemu, iż wieczór ten się kończył.... Ada prosiła majora grzecznie, by odwiedzając te strony, nie zapominał o Ruszkowie. Na folwarku u rządcy — pułkownika — czekała jeszcze Jazygę butelka strzemienna starego węgrzyna, którą ściskając się i popłakując wypito do lagru.... powtarzając przysłowie stare, że lagier zębów nie wybija.... Żegnano się stokrotnie, po polsku, w pokoju, na progu, we drzwiach, w sieni, w ganku, na wschodkach, u bryczki, na bryczce.... i potem jeszcze rękami i czapkami.

Myliłby się jednak ktoby wniósł z tego, że stary major Jazyga, dał się rozczulić i zmienił swe przekonania. Stary coraz mniej mówił wprawdzie, z synem już nawet wcale o Ruszkowie rozmowy nie wszczynał — lecz w głębi duszy z czém tu przybył, z tém odjeżdżał, utwierdziwszy się tylko w swém zdaniu, że Roberta ztąd wyciągnąć potrzeba. Nadzwyczaj uprzejme przyjęcie mądrej panny (jak ją nazywał) napełniało go trwogą. Zrazem wyrachował, że na syna dorosłego działać władzą ojcowską, rozkazem, byłoby nedorzecznoscą. Postanowił zrećźnie wyciągnąć ztąd Roberta, a choć mu się pobyt w Zahajach wcale nie uśmiechał — trwał w myśli wypuszczenia Żabliszek, a wyniesienia się samemu na dzierżawę....

Było to tajemnicą wszystko.... Robert nie wie-

dział o niczém, mógł nawet sądzić, iż ojciec myśl tę zarzucił, bo jój więcéj już nie podniósł. Tak samo się i pułkownikowi zdawało.

Gdy przyszło do rozstania się z ojcem, Robert, który do niego był serdecznie, po dziecinnemu przywiązany — tak uczuł, że mu jego dworek opustoszeje, tak to dał widzieć, że tém majora rozczulił.... W końcu, nie mogąc się tak pożegnać z nim — odprowadził do blizkiego miasteczka jeszcze.... a i tu obu im trudno się było z sobą rozłączyć. Stary miał na oczach łzy.... zdawało mu się teraz, że chcąc synowi dać swobodę, chybił, siebie i jego skazując na tęsknoty i trwogi.... Tyle ich mił rozdzielało! Listy są tak mało mówiące! Życie tak krótkie — chwile tak niepowrotne.... Jazyga żałował, że przy takiém pocziwém dziecku nie osiadł — ot tak, jak gracyalista.... oddając mu wszystko....

Gdy nareszcie przyszło się rozjechać — major nie bez myśli, przypomniał Robertowi:

— Słuchajże-no—na Ś-ty Piotr.... bądź co bądź, będę się ciebie spodziewał. Choć to dla gospodarzy bardzo gorący czas, rób sobie co chcesz, choćby ekonom miał co zgnoić, zaniedbać, a bodaj skraść, wybierz się tak, abyś u mnie — a prawdę powiedziawszy, u siebie w Żabliżkach dłużej zabawił. Proszę cię.... Zatęsknię się po tobie.... Przyjedź na dłużej.

Uściskali się raz, drugi, Robert jeszcze go raz w rękę, ojciec jeszcze raz w głowę pocałował. Konie ruszyły. Młody Jazyga pod wrażeniem smutném wrócił do dworku, gdzie mu wszystko, aż do kupki rozsypanego na stole tytoniu — ojca przypominało....

Na tę tęsknotę innéj rady nie było — sięść na koń i w pole.... Tak też uczynił.

Major tymczasem chmurny, zadumany, z Szymkiem i Iwasiem powracał wypasionemi dobrze przez te dni spoczynku końmi, do domu.... Przez całą drogę, Szymek nie mógł się temu wydziwić. Major, który lubił komenderować: — A chłasnij de resza.... a nie zrywaj dyszlowych i t. p., — nie patrzył na konie, nie odezwał się ani razu. Szymek drzemał, Iwaś spał, konie znowu z klusa na trucht, z truchta na stępie przechodziły bezkarne, ani bąknął Jazyga. Zaciekawiony tém Szymek podglądał, sądząc, że zmęczony śpi stary, a ile razy się obejrzał, znajdował oczy majora przymrużone nieco, nieruchomie wlepione w dal — patrzące gdzieś.... jakby nic nie widziały....

— Musi-ć chyba nie zdrów! skonkludował Szymek.

Tak dociągali do Żabliszek.

Folwark to był w Grodzieńskim, a choć w téj stronie są i dobre majątki, Żabliszki do bardzo urodzajnych zaliczyć się nie mogły.... Piasek i

głina przemagały. Rozległość majątku była znaczna, lasy piękne i niezniszczone, a że i ojciec majora pilnym był gospodarzem, i on sam z żółnierską regularnością gospodarzył, Żabliszki poprawiały się co rok i stawały coraz cenniejsze. Pomnażano inwentarz, rolę zasilano.... kopano rowy, zalewano łąki.... a w sąsiedztwie major uchodził za bardzo majątnego człowieka. Był nim w istocie, ale na przekór innym, gdy drudzy się z zamożnością chwalili — on się z nią tał. Człowiek był dobry, przyjacielski, uczynny wedle możliwości; kochając jednak nadewszystko syna i pracując dla niego, skrzętny był do zbytku niemal — chcąc mu jak najwięcej zostawić. Tał się dla tego z kapitałami, aby ich nie pożyczać.... Robertowi chciał koniecznie, oprócz doskonale zagospodarowanej wioski, zabudowań takich, by pół wieku poprawek nie potrzebowały, zostawić jeszcze spory kapitał. Szło mu i o to, aby się chłopiec żeniąc, na grosz nie potrzebował oglądać.

Dla siebie poczciwy major nie potrzebował wiele, żył niezmiernie oszczędnie, skąpo prawie; wszystkie jego — myśli — prace.... miały cel jeden — dziecko jedyne, ukochane.... Co się tylko robiło w Żabliszkach, było dla Roberta. Można sobie wystawić, co to serce ojcowskie kosztować musiało rozstanie z dzieciąciem, wysłanie go daleko od siebie. Jazyga raz wyrozumowawszy, że

to jest potrzebne, aby młodzieńca, dając mu wolę, wypróbować, jak jęj użyje — spełnił ofiarę z mężstwem. Teraz — przekonywał się — niestety — że Robert, nie będąc nic winien, idąc za najszlachetniejszymi popędami, wpadł w położenie, z którego ratować go należało.... Najmocniej więc postanowił sobie, Żabliszki mu wypuścić, a samemu sięść już na Zahajach.... Do téj myśli dodatkowo łączyły się inne....

Sąsiedztwo było śliczne, major postanowił trochę bliżej mu się przypatrzeć i dopomódz losowi, wybierając sam dla syna przyszłą żonę, a sztucznie potem, nieznacznie zbliżając go ku niej.

Po żołniersku trochę — chciał komenderować zawsze, a choć w komendzie miłość pocziwa była hasłem — nie czuł major, że życie władać sobą nie daje, że młodość musi mieć swobodę serca, woli i sympatyj, dla obcych niezrozumiałej.... Zdało mu się, że nikt dla Roberta szczęścia lepszego nie wymyśli niż on, lepszej żony nie znajdzie, doli pomyślniejszej nie zgotuje....

Z temi stałemi postanowieniami zbliżył się do swych Żabliszek major, a że je kochał tak jak Roberta prawie, gdy z dala ukazał się dwór na pagórku, czystociuchny i ładny, brzoza i świerkami otoczony, zabudowania murowane i okazałsze niemal od niego, wioska ze swemi krzyżami, kamieniami, chatkami i ogrodami; drewniany ko-

ściołek czarny.... rzeczulka w dolinie, łąki zielone i krajobraz ów nadniemeński, tęskny a śliczny jak młode dziewczę — łązy mu się w oczach zakręciły.

Mimowolnie krzyżykiem go świętym przeżegnał. Było to nad wieczór....

Po wczorajszym deszczu, który obmył drzewa, odświeżył łąki, orzeźwił pola, zieleniało wszystko dziwną barwą, złociło się, świeciło — jakby na przybycie gospodarza. Rzeczulka wśród kamieni przerzynała się z jakimś niezwykłym, dziecinnym pośpiechem, figlując, połyskując, szumiąc, jak gdyby w lecie nie wysychała; niebo było lazururowe z białymi chmurkami, pozłacane gdzieniegdzie.... z dala sine bory nawet mgłą się przysłoniły, która im miękką barwę nadawała....

Krajobraz był wdzięczny.... serce się uradowało majorowi. Jakby dla ożywienia go wszystko w téj godzinie wesoło ku wiosce wracało, pastuszkowie kłaniali mu się uśmiechając, gospodarze podnosili czapki, a zniżali głowy, bydełko podskakiwało, stada owiec rozbrykane poprzedzały go na drodze, kobiety w białych rańtuchach stawały, aby go przywitać. Szymek i Iwaś mrugali z kozła do znajomych; konie nawet, które w ciągu podróży miały skłonność do wolnego kroku, teraz go aż do zbytku przyspieszały, rażno prychając.

I majorowi jakoś w duszy zrobiło się weselę, powiedział sobie: — Przy pomocy bożej — jakoś to będzie!

Co się niezmiernie rzadko wydarza, po powrocie z długiej podróży, nie nastroczyło się nic, za coby połajac należało, pogniewać się było można. Przykładny porządek panował wszędzie. Ogrodzenia około łąk, które wyjeżdżając kazał poprawić, stały odnowione, nigdzie bydła w szkodzie, a stary odświeżony dworek tak mu się już z dala uśmiechał!!

W tym domku on przeżył i najśłodsze i najboleśniejsze życia chwile, tu on zdobytą z trudem, ukochaną przywiózł żonę, tu mu się ten jednak urodził, tu spędził dzieciństwo — tu umarła mu jego jedyna — i ztąd ją na cmentarz pod kościółek wyniesiono.... Wszystkie sceny te przebiegły przed jego oczyma, nim się znalazł w dziecińcu, nim stanął przed gankiem, gdzie nań wyprostowany po wojskowemu czekał ekonom pan Burakowski, niegdyś towarzysz Roberta zabaw dziecięcych, syn starego ekonoma....

— No — co dobrego u was, panie Erneście? spytał wesoło major.

— Dzięki Bogu, wszystko w porządku, odparł w rękę go jak ojca całując młody chłopak. Nowego tak dalece nie ma nic. Bułana miała źrebieniczego, klaczka z łysiną. Sianokos na błocie za-

częty.... Zboże wygląda dobrze... owsy tylko słabe na pagórkach....

Tak mówiąc weszli do dworku. Domyśli się każdy, że u dawnego wojskowego i dom po wojskowemu był utrzymany, nadzwyczaj czysto i w porządku, którego pilnował sam właściciel. Dwór niewielki był, ale ta holenderska czystość dodawała mu wdzięku.... W sieniach trochę myśliwskich wisiało przyborów, salonik ze staroświecka umeblowany, był jasny i wesoły. Stał w nim jeszcze fortepian nieboszczki, w którym popękały struny, pożółkły klawisze, nikt go nie otwierał, ale tknąć go i ruszyć z miejsca nie dawał major. Na głównej ścianie, tiulem okryty widać było portret kobiety pięknej bardzo, sentymentalnie wspartej na ręku, zamysłonej.... Obok niej złamana kolumna, bluszczem okryta, przed nią rozłożona książka i bukiet na niej. Malowanie to nosiło wybitnie cechę swojego czasu, choćby go wysoko podniesione na grzebieniu włosy, suknia z rękawkami krótkimi a buchastemi, i krótkim stanem nie dawały poznać na pierwsze wejrzenie. Śliczna twarz napiętnowana była smutkiem.... Drzwi szklane z salonu, prawidłowo wychodziły na ogród cienisty, w którym tuż stała lipa stara, okrągłą otoczona ławą. W dal ciągnęły się uliczki proste.... i kwatery bez pretensyi, tak jak to dawniej bywało. Pokój majora, ubrany był pamiątkami wojskowemi i bronią....

Kilka litografij przypominało towarzyszków broni i dowódców.... W ścisłym porządku stały tu fajki, kije, wisiały czapki i kapelusze.... U kominka, który major lubił, na wszelki wypadek leżał zapas drewek olchowych. Każda rzecz nietknięta czekała na jego przybycie.... i major ucieszył się znajdując na swém miejscu przedmioty, do których nawykł; smakowało mu nawet powietrze dworku, właściwy mu zapach.... bo każdy dom ma woń swoją, którą się czuje najlepiej gdy się do niej powraca.... W sypialnym pokoju zapach tytoniu i drewek z koszyka mieszał się razem.... Major czuł, że tu mu było najmiléj, najlepiej. Przyszło na myśl, że dla Roberta trzeba będzie Żabliszki porzucić — westchnął — dla syna i ta ofiara nie była trudna.

Jazyga, któremu tu tak było dobrze, jak u Boga za piecem — sam się tak wyrażał — nie wiele dotąd z sąsiedztwem obcował. Z początku ludzie znając jego zamożność, garnęli się do niego, sądząc, że czasem z niej korzystać będą mogli — gdy się potem okazało, iż był nadspodzianie nieużyty, trochę się usunęli. Oddalenie Roberta z okolicy wzięto też jako obrazę.... Tłómaczono to sobie, że w sąsiedztwie major dla syna nie widział chyba partyi — i umyślnie go w świat wyprawił. Stosunki ze współobywatelami nie będąc złe, ściśle bardzo nie były. Jazyga domator, najlepiej lubił siedzieć u siebie w Żabliszkach. Spotykano się

w kościele, na jarmarkach; rzadko kto go odwiedzał, rzadziej on u kogo bywał.

Teraz to niewygodne było dla majora. Chciał dla syna wybór uczynić, a nie wiedział jak do niego przystąpić. Nagle tak zmienić tryb i obyczaj życia, było i niewłaściwie i różnie być mogło tłómaczone. Co tu począć?

W najpoufalszych stosunkach był dotąd Jazyga z panem Olbrachtem Erdziwiłłem, czystej krwi Litwinem, — starym kawalerem; jowialistą, który nie tylko Żabliszki, ale całe sąsiedztwo swym humorem ożywiał. Jeden z professorów grodzieńskiego gimnazjum, który czasem w tę okolicę w czasie wakacyj zaglądał, zwał Erdziwiłła synem Epikura. Trzeba to było brać w najlepszym znaczeniu.

Nikt nigdy pana sędziego granicznego, był bowiem raz Erdziwiłł sędzią granicznym i tytuł mu ten został na zawsze — nikt go smutnym nie widział. Wszystko cokolwiek go spotkało, przyjmował jeśli nie uśmiechem, to czołem tak pogodnym, że się o niego najgroźniejsze rozbijały fale. Erdziwiłł miał dziesięć chat, wioszczynę biedną, dworek pozał się Boże, dochód szczupły, starczyło mu to; gdy zabrakło czego, obchodził się nie skarżąc, często śmiejąc się z niedostatku. W gościnie bawić lubił, bo ludzi potrzebował — ale od nikogo nie nigdy na zawinięcie palca nie przyjął.

— Widzisz acindziej, bratku (takie było jego przysłowie) — gdybym od waści prezent wziął, musiałbym cię odprezentować, a nie mam czém.... Dajże ty mi pokój. Jeździł Erdziwiłł kałamaszką, znanemi dwoma końmi staremi, z których się sam wyśmiewał, bo były kaleki.... Mały, trochę otyły, ale ruchawy i zręczny, sędzia miał lat pięćdziesiąt, łysinę, duże oczy niebieskie siedzące na wierzchu, i wąs zawieszisty, z którym się pieścić lubił. Dykteryjek, anegdot, starych dowcipów, pogadanek zapasy miał nieprzebrane. Pomawiano go, że niekiedy kłamał, on sam przyznawał się tylko do tego, że bajeczki układał. Nie ma w tém nic złego.... Koncepta jego, choć dowcipne i ostre, były tego rodzaju, że nikomu nie szkodziły, honoru niczyjego nie tykały.... Żartował ze słabości ludzkich — nie sięgał w stosunki, których nie godziło się odsłaniać. Lubiono go powszechnie. Był to gość pożądaný wszędzie i witany radośnie. Stary kawaler, choć mu się gęsto siwy włos przerzucał w pozostałych na czuprynie i wąsach, dla kobiet był galant, nadskakujący i wielbiciel wdzięków tak zapalczywy, że je często widział tam, gdzie ich nie było.

W sąsiedztwie, nie zważając na to, jak kto z kim był, Erdziwiłł bywał wszędzie, a częściej się do pojednania zwaśnionych przyłożył, niż do zajęcia niechęci. Bywał też i u majora,

którego wielkim zwał się zawsze — wielbicielem. Jazyga go lubił, przyjmował i nieraz w najposępniejszym będąc humorze, winien mu był, że się rozchmurzył i poweselał. Jedyne to był, można powiedzieć, przyjaciel szczerzy Jazygi. Wioszczyzna Erdziwiłła leżała o milę od Żabliszek, — spotykali się więc często, choć sędziego w domu zastać było wielkiem szczęściem. Jeśli się to trafiło, przyjmował u siebie sercem całym, bez występu, najczęściej nalewkami, wędliną, serem, masłem — ale z prostotą, z gościnnością ujmującą.

Sędzia, choć na pozór małego znaczenia człeczek, miał wpływ większy niż się zdawało. Swatał, bratał, zbliżał, i w wielu razach, gdy nikt nie umiał ciężkiej sprawy załatwić, on — żartując i baraszkując — potrafił.

W drodze już major myśląc o tém jak się wziąć do trudnego dzieła, przypomniał Erdziwiłła. Nigdy on nikogo nie zdradził, można z nim było mówić otwarcie....

Drugiego dnia odpocząwszy w domu, na trzeci, choć wiosenny ciepły deszczyk przekrapiał, pojechał Jazyga do Swantyszek. Tak się zwała wioseczka pana Erdziwiłła. Może temu deszczykowi, co go od podróży nie wstrzymał, winien był, że sędziego w domu zastał....

Dworek był o dwóch słupkach, maluśki, dość chędogi, z izdebką gościnną na górze; cały w ka-

sztanach, jak gniazdo wśród gałęzi. Posadzone niegdyś zbyt blisko domu, rozrosłszy się ścisnęły go tak, że się na nim prawie pokładły. Ciemno od nich było we wnętrzu, radzono je pościć lub poprzycinać, ale Erdziwiłł nie chciał pozwolić.

— Albo to im jak mnie życie nie miłe! Ani zetnę, ani przytnę.... Po mnie kto tu będzie, niech sobie robi co chce — a póki mnie, póty moim starym przyjaciółom nic się nie stanie....

Gdy bryczka stanęła przed kasztanami, sędzia w ganku stał bez surduta.... Zobaczywszy majora, ręce szeroko otworzył....

— A witajże! Kiedyż z powrotem?... Miły gościu!....

I tak objętego uściskiem wprowadził do ciemnej izby bawialnej, w której pierwszym przedmiotem, jaki się na oko nawijał, była wisząca na ścianie hiszpańska gitara. Ściany ubrane były w litografie francuzkie, przedstawiające piękne kobiety, trochę dawniej daty.... wykrygowane, uśmiechnięte.... w różnych strojach, właściwych narodowościom. Pod gitarą stała sofa wygodna, przed nią stół duży.... Na kominie zegar stary z kolumnkami alabastrowymi, miał na wierzchu amorka strzelającego z łuku.... Biednemu amatorowi jedno skrzydło się dawno odłamało, i łuk pozostał bez strzały. Nie było więc

niebezpieczeństwa ażeby kogo mógł zranić. zegarek cichym szeptem dowodził, że pełnił swój obowiązek. Drzwi do dalszego mieszkania zamknięte nie dozwalały ciekawemu oku sięgnąć dalej....

Erdziwiłł posadził gościa na kanapie, sam naciągając letni przydziewek.

— Kawy czy herbaty? spytał.

— Co chcesz i co wolisz — jam stary żołnierz, co na placu to nieprzyjaciół — odparł major.

Sędzia klasnął w ręce, i w téjże chwili wbiegła młoda, świeżo przystrojona służąca, z figlarnemi oczkami, twarzą zarumienioną i uśmiechniętą.

— Prędziusieńko kawy — a dobrój! zawołał sędzia.... Spojrzawszy lękliwie na majora, znikła piękna służąca.

W kącie stała szafeczka, którą sam gospodarz otworzył, i wyjął z niéj sucharki i czarnawczyckie czy ludzkie obwarzanki, które postawił na stole razem ze starą blaszaną cukiernicą.

— Zapalże fajkę i rozgość się — rzekł do majora.... Mnie do was tęskno było.... Ilem razy jechał około osieroconych Żabliszek, pytałem:

— „Jest pan?“

— „Nie ma,....“

— No, cóż słyhać? syn zdrów — jak mu się powodzi?

— Doskonale.

— Nie ożenił się? spytał sędzia.

— A! dzięki Bogu, nie — rzekł major. Przyznam ci się, że tak *ex promptu* i bez mojej wiadomości nie życzyłbym sobie ożenienia — choć — pono czas.

— I bardzo! zawołał Erdziwiłł, — wiesz przysłowie — bratku?

— Któżby go nie znał! ale przysłowia są często tylko świadectwem przesądów.... odezwał się major. — Jednemu służy to, drugiemu co innego.

— A cóżby waszemu Robertowi służyć mogło — wcześniej czy późno? spytał sędzia....

Major ruszył ramionami, nie chciał się tak od razu wydać z myślą.

— Jakże wy sądzicie?

— A jużby czas — słowo daję, bratku. Późne ożenienia to często — *tarde venientibus ossa*. Nie ożenił się człek za młodu, potem chwyta co z brzegu.... aby sam nie został....

— Nie byłbym przeciwko temu....

— To go ożenimy! jak po maśle pójdzie — zawołał sędzia — a może już co napatrzył?

— Sądzę, że nie, nie kryłby się przedemną... Nie bardzo jest kochliwy....

— A! to źle! to źle! z miną niby zafrasowaną odparł gospodarz. Młody człowiek musi się wykochać porządnie nim się ożeni, jak mu się kochania zostanie dużo.... gotów się bałamucić *post*.... a z tém — lichu!

Śmieli się oba....

— Cóż w sąsiedztwie słyhać? wtrącił major.

— Jak mak siał, cichusieńko! począł Erdziwiłł. Tak przykładnej, spokojnej wiosny nie pamiętam. Zwykle w téj porze nowe życie wchodzi w ludzi, kochają się mocniej, kłóćą zapalczywiej.... handlują gwałtowniej — tego roku ani się co ruszyło.... Żaden majątku nie sprzedaje, córki nie wydaje i za łby się nie wodzą.

— Na przednówku — co za dziwo! odparł major.

— Ale bo głodu u nas nie ma — mówił sędzia — dostatek szlachecki wszędzie, tylko bratku, dawniej fantazyi zabrakło!.... Ziewamy.... Ja tu jeden wesół na całą okolicę; gdybym ich nie rozruszał, pospaliby się....

I szła tak rozmowa o tém i owém aż do przyniesienia kawy, którą piękna dziewczyna postawiwszy na stole, zbyt prędko uciekła, jakby się oczu obcych wstydziła.... Przy kawie major westchnął.

— A co myślisz — sędzio? — rzekł — poddałeś mi ideę niezgorszą! Trzebaby Roberta ożenić. Wypuszczę mu Żabliszki.... niech życie zaczyna; bylebym dla niego znalazł stosowną, stanem równą, miłą i dobrą dziewczynę.... O posag mi nie chodzi....

— Jeżeli ci o posag nie idzie — podchwycił Er-

dziwił — taką mu wyszukamy, że — klękajcie narody! Zobaczysz — ale — gdy seryo tak myślisz....

— Mówię ci — seryo.... dodał major....

— Milczmyż z tém — cyt! — chytro, mudro.... inaczéj się nie uda....

Erdziwił wása pokręcił — i zamyślił się.

— Syna trzeba sprowadzić....

— Przyjedzie do mnie na Ś-ty Piotr.... odpowiedział Jazyga; tymczasem gdyby się co upatrzyło.... nie źleby było....

— Czy chcesz sam wybierać i dopiero na upatrzonogo syna puścić? rozśmiał się gospodarz.... E? bratku? e?

Major schwytyany na uczynku zārumienił się. A jużciż ja mu narzucać nie będę — ale — ale czworo oczu więcéj widzi!

— Gdzie tam — bratku! nieprawda, jako żywo — odparł Erdziwił. Wierz mi, gdy idzie o żonę, tylko ten widzi co ją bierze....

— Ale miłość i fantazyja ślepe są!

— Gdzie tam! Inaczéj one patrzą — a no doskonale widzą to, czego my postrzedz nie możemy. Dodam ci jeszcze: syn twój niekochliwy, sam mówiłeś, jak się ożeni nie bardzo kochając — bieda będzie.... Trzeba, żeby się okrutnie rozmiłował....

Jazyga zmilczał smutnie jakoś.

— Więc cóż? rzekł — puścić go tak na los szczęścia? a nuż....

— Myślisz, że gdy ty mu z chłodną krwią dobierzesz parę, to ci się lepiej uda, niż losowi i Panu Bogu? bratku?

Zadumał się major....

— Powiadam ci, narzucać mu nie będę, a naraić się nie waham.... To co innego.

— A no? rajmy! zawołał wesoło zacierając ręce sędzia....

— Ja myślę inaczej — powoli ozwał się Jazyga. Dawno sąsiadów nie odwiedzałem, trochę się ich zaniedbało, — do Ś-go Piotra mam czas, objechałbym dawnych znajomych i.... możeby co w oko wpadło.

— Myśl niezgorsza — rzekł sędzia — gotowem ci służyć, aby było czworo oczu, jak chciałeś. Ale czy moje się liczyć mogą? bratku? he?

Major go uściskał....

— Dokądże pojedziemy? zapytał, znasz lepiej niż ja okolicę....

— Zaraz! stukając się w czoło, począł Erdziwiłł. *Ab Jove principium*. Marszałek....

— Ale ba! wysokie progi....

— Tyle po nich ludzi przeszło od czasu gdy marszałkuje, że się dużo starły.... Dawniej był to majątny bardzo pan, a dziś, gdyby nie marszałkowstwo, które wierzycieli trzyma w przyzwoitem oddaleniu — kto wie coby było.... Powiat go objadł okrutnie, i marszałkówny są dwie na wyda-

niu.... Obie piękne, i wychowane jak nie można lepiej, po francuzku *expedite*, śpiewają, grają i malują. Sam na oczy moje widziałem takiego Achilleśa w kasku, kredą, przez pannę Julię....

— Dałbyś mi pokój — to nie dla Roberta — zawołał major — pretensyi wiele, majątku nic.... Ja żony i gospodyni potrzebuję nie artystki....

Rozśmiał się Erdziwiłł.

— Słowo ci daję, minąć marszałkówien nie mogłem....

— Cóż dalej?

— Dalej.... Prezesówna jedna, *solo*, panna bogata, ojciec skąpy, matka dewotka. Wychowanie na pensyi.... zdaje mi się, że u Wizytek w Wilnie.... Więcej nic nie wiem.... Syn prezesa utracyusz.... bo to zawsze ojcom skąpym przypada....

— Notujmy prezesównę.... ale — matka dewotka.... rzekł major....

— To prawda, i ojciec — ciężki! Wiesz co? ja mówię, bratku, nie notujmy prezesówny, chceszli słuchać méj rady.

— Nie notujmy. . .

— Zatem, ciągnął Erdziwiłł, ze trzech panien, nie mamy jednej. Wszystko plewy....

Pomyślał nieco....

— Zaczniemy od drugiego końca — rzekł. Znasz Parniewiczów?

Major głową potrząsnął.

— Dzierżawą trzymają Hajdę.... ludzie nie majątni, w dorobku, córek dwie, jedna dorosła.... Cudo piękności! mówię ci, bratku.... modlić się jak do obrazu.... Zachwycająca.... Oficer jeden w łeb sobie strzelił z miłości....

— A! dziękuję ci! żywo przerwał major. Taka piękność to największe nieszczęście — kogo uszczęśliwi, ten przez całe życie będzie musiał przed nią na kolanach dziękować.... Nie chcę!

— Widzisz! bratku — jak to nam dwu trudno wyszukać — odezwał się sędzia — a ja ci ręczę, że Robert sam, gdybyśmy mu wolę dali, znalazłby sobie łatwiuteńko.... Słuchajże — a panny Surymowny nie chcesz?

Surym był blizkim sąsiadem Żabliszek i kilka razy o łąki miał z nim spory major....

— Zośka Surymówna ładna dziewczyna, gospodyni doskonała.... wesół, rumiana.... i chłopcy się koło niej kręcą okrutnie, co dowodzi, że czegoś warta.... Mówiono mi, że z Baranowiczem była zaręczona; ale się rozeszło z powodu ojca....

Major głową pokręcił ani odtrącając, ani przyjmując....

— Chłopcy się kręcą! powtórzył parę razy.... Nie chciałbym, aby Robert po drugich brał co już inni zbrakowali.... Zresztą z Surymem jestem na bakier....

— A! tobysmy polatali — rzekł Erdziwiłł; tylko mi na myśl przychodzi, że Zośka taka gospodyni, że podobno nad gospodarstwo nic nie zna i nic nie lubi.... Dobra to rzecz taka żona — ale Robertowi stanie na klucznice — a jak nie będzie miał do kogo zagadać w domu?....

— No — dajmy pokój Surymównie — odezwał się major. W istocie — tak nam starym wybierać, ciężka sprawa....

Sędzia się złośliwie uśmiechnął i pocałował w ramię majora.

— Kochany majorze, bratku — odezwał się: mnie się widzi, sprowadź ty tu Roberta, puśćmy go między ludzi, niech sobie sam szuka.... Będziemy mieli oko, a ojciec ma prawo wyrzec zawczesne *veto*.... Jak my mu bogdanę wybierzemy, to się na nic nie zda.... Dla siebiebym może potrafił....

Jazyga nie odpowiadał, posmutniał jakoś.

— Bieda z dziećmi! westchnął.

— I dla tego ja wolałem ich nie mieć i nie żenić się, rzekł wesoło sędzia. Myślisz, że mnie nie kusiło! ale ba — bratku — do dziś dnia! Wiesz, wdówka jest tu jedna.... jabłuszko, śliczności.... bezdzietna i ma pięć chat w posagu.... Sama mi mówiła, że poszłaby za mnie.... Przejrzałem się w zwierciadle — nie ma sposobu.... Na łysinie mojej najmniejszy przydatek byłby widoczny....

A pokusa tak mi się śmieje białemi zębami.... Musiałem dać sobie słowo, że ją będę omijał....

Erdziwił potarł czuprynę i wąsy, nalał sobie zimnej kawy i zapił sprawę. Major zbity z tropu, zadumał się i już nie wznowił rozmowy....

— Żart żartem, odezwał się wąsy ociężając sędzia — choć się nam pierwsza registratura panien nie powiodła, ja wolnym czasem, skupiwszy ducha, pomyślę jeszcze.... ty majorze ze swjej strony upatruj.... A nuż? bratku — może się co i znajdzie; — ale ci powiadam, Robertowi byłoby daleko łatwiej wyszukać niż nam dwom.... Na to młodości potrzeba!

Zaczynało w ocienionym kasztanami pokoju coraz być ciemniej, wstał major, aby pożegnać gospodarza, zapraszając go do siebie.... Wyszli oba na ganek.... i Jazyga do Żabliszek odjechał, przez całą drogę rozmyślając nad tém, jak wyjść z trudnego zadania.

Mała próbka na wspólny z sędzią zrobiona, okazała mu, jakie go tu miały spotkać zawikłane kwestye.... Wszędzie było coś odstręczającego, a nie tak dalece nie ciągnęło. Major w wyborze dla syna musiał być niezmiernie ostrożny.... Zostawić zaś wybór losowi i sercu lękał się, i za nic w świecie nie mógł dozwolić, ażeby Robert bałamucił się dłużej w Ruszkowie.

— Lepiej niech się żeni z kim chce.... bodaj z najuboższą córką leśniczego, — niżby miał, uchowaj Boże, popaść w niewolę takiej damy, co by nim potem pomiatała! Za nic w świecie, nie dozwolę na to!

Wzdrygnął się Jazyga na myśl samą.

— Ożeni się czy nie — przynajmniej go do Żabliszek przeniosę, i odetchnę lżej, gdy tu będzie...

Ze smutkiem więc wysiadł do swojego dworku major, którego ściany mu co chwila przypominały, że go miał opuścić.

Do Ś-go Piotra kawał było czasu.... a nuż Robert jeszcze się tam więcej zbliży, spoufali i zwiąże?? A przed Ś-ym Piotrem go wyciągnąć z domu sposobu nie było, więc niepokojąc się i gryząc, musiał major przeczekać. Nie wyrzekł się wszakże myśli rozpatrzenia w pannach. Próba na prędce zrobiona z Erdziwiłłem, ani wyczerpała zapasu panien w sąsiedztwie, ani mu się zdała przekonywającą. Należało się zbliżyć i przypatrzeć samemu, bo sąd zaoczny, niewiele wart. Major więc postanowił sobie, szukać zręczności, aby nieznacznie zbliżyć się do sąsiadów, pewny, że poczciwa szlachta go nie odtrąci.... I tak rozmyślając a układając uspokoił się trochę.... Był też spokojny o to, że wybrana przez niego i Roberta panna, odmówić im nie może, bo którażby mogła i chciała takiego chłopca odtrącić? Major kochając syna,

nie przypuszczał nawet ażeby się znalazła na świecie kobieta, któraby innego nad niego przenieść mogła — a toczy chyba oczu nie miała! To nie może być! mówił w duchu, i zakończył: — Z bożą pomocą, jakoś to będzie!

Bytność majora w Ruszkowie nie pozostała bez skutków. Ze sposobu jakim był przyjęty, z krótkiej rozmowy na osobności z p. Robertem, z różnych pomniejszych oznak, ludzie zaczęli wyciągać rozmaite wnioski. Niektórzy bojaźliwsi, zostawiali je przy sobie; inni, których interesom zagrażała zmiana stanu i bytu panny Ady, zaczęli się niepokoić, szeptać i myśleć o środkach zapobieżenia temu co im się zdawało zagrażać.

Być może, iż bystre oko Ady dostrzegło pewnych oznak tego niepokoju — może też ona sama ulękła się siebie i uczuła jakieś niebezpieczeństwo. ... następnych dni otaczający ujrzeni ją inną niż od dawna widywali. Stan to był, do którego nieraz już wracała i wychodziła z niego, stan rozgorączkowania jakiegoś, w który wpadłszy szukała gwałtownie pochłaniającego zajęcia, celu w życiu — czegoś, coby ją oderwało od rzeczywistości.

Z rana zawołano Oblęckiego, — panna Pretwiczówna była już w bibliotece, w której się piękny zbiór jej sztychów znajdował. Siedziała z brwią na-

marszczoną nad rozłożonemi tekami. ... w złym humorze. ... groźna i straszna.

— Zbiór sztychów jest tak ułożony, zawołała, że ja w nim nie znaleźć, nie studyować nie mogę. Nigdzie na świecie, oprócz u kolekcyonistów co dla rylca zbierają ryciny, nie znajdziesz pan tak poukładanych, według sztycharzy. ... Mnie ci panowie nie obchodzą, ale szkoły, kompozycye, myśl. Sztychy powinny być według mistrzów i szkół poukładane. ... Sztycharz jest tłumaczem, któż bibliotekęby uporządkował dając im przed autorami pierwszeństwo?!

— Ale — pani — odezwał się nieśmiało strwożony Oblęcki — pani pozwoli sobie przypomnieć, że wolą jej było własną, aby na wzór innych zbiorów. ...

— To być może, odparła żywo Ada, ale pan jako artysta, powinienesz mnie był zreflektować, naprowadzić. Było to ślepe naśladownictwo. Każdy zbiór winien być układany według celu, do którego służy, wedle myśli tego, co go używa. ... ja się wcale nie interesuję sztycharstwem. Tu wszystko w bezładzie i zamieszaniu, ...

— Więc ja się natychmiast wezmę do nowego rozkładu — rzekł Oblęcki przysuwając się ku tekcom. ...

— Tak! i to będzie rok, ja nie wiem, co naj-

mniej kilka trwało miesiące, a tymczasem, pan wiesz.... mnie odejdzie ochota od tych studyów....

— Czy ja winien jestem? wybąknął Oblęcki.

— Ani ja — odezwała się chmurno panna Ada;— pan jesteś winien — boś powinien był obstać przy innym porządku, racjonalniejszym.... A teraz....

— Ja będę siedział dzień i noc — jeśli pani każe.... będę śpieszył — rzekł Oblęcki.

— Dajże mi pan pokój z tą swoją gotowością do ofiary! W nocy siedzieć nie można, bo ja światła do biblioteki wносить nie dozwolę....

To mówiąc wstała panna Ada i zaczęła się żywo przechadzać po pięknym gmachu biblioteki. Była to w istocie sala może w całym pałacu najwspanialsza, na dwa piętra wysoka, otoczona balkonem do koła, a w środku zawierająca w ogromnych niskich szafach, ów zbiór rycin, jakiego może w kraju drugiego nie było.

Kilkadziesiąt tysięcy wielkim kosztem nabytych najrzadszych sztychów, rysunków, zbiorów rycin z galeryj różnych, rzadkości i osobliwości przepłacyanych, składało się na tę kolekcję, którą po kilkakroć namiętnie panna Ada dopełniać się starała.

Ta miłość i zapal do sztuki przychodziły jój nagle, namiętnie, trwały czasem kilka tygodni, i odchodziły tak niespodzianie, jak przyszły. Z dnia na dzień, obojętniała zupełnie i nie zaglądała potem

do swego zbioru długo, aż jakieś przypomnienie, fantazyja, znowu ją ku niemu zwróciły. Tak było i teraz właśnie.

Oblęcki stał zmartwiony, nie wiedząc co począć.... Panna Ada jakby zapomniawszy o nim, parę razy przebiegłszy salę, którą oczyma roztargnionemi mierzyła, nie mówiąc już nic, oddaliła się. Malarz został nie wiedząc na pewno, czy miał się wziąć do nowego układu.... czy czekać stanowczych rozkazów.

Z biblioteki poszła do ogrodu i oranżeryi, z której kwiaty były powynoszone.... Upodobanie wrzadkich roślinach, tak samo jak wrycinach, napadało ją paroksyzmami i odstępowało.... Stary Habicht przechadzał się pomiędzy wazonami, które zawsze równą kochał miłością, gdy ujrzał wpadającą nagle panią, oczyma niespokojnemi przeglądającą drzewa, krzewy i nagromadzone osobliwości, posprowadżane z Gandawy i Erfurtu. Nawykły był do téj obcesowej miłości i fantazyi panny Ady, i uchyliwszy czapeczki śpieszył na jój spotkanie.

I tu nie znajdowała ona nic po swój myśli.

— Proszę cię, panie Habicht, spytała: czy tego roku nic nowego nie zapisaliście od van Houten'a? Jakże można zaniedbać tak zbiory nasze? Pan wiesz, że co nie postępuje, to upada. Nawet nasiona dojrzewające w naszym klimacie i w naszej niedołężnej hodowli, przeradzają się, maleją....

— Nie miałem rozkazów od pani! rzekł spokojnie Habicht.

— A czyż na to moich, wyraźnych trzeba rozkazów? odparła dosyć kwaśno piękna panna, chodząc żywo pomiędzy doniczkami, które suknią obalała, a w ślad za nią spokojnie kroczący Habicht flegmatycznie podnosił. — Pan masz przecie upoważnienie....

— W tym roku — dodała — wszystko mi się mizerniejsze wydaje — a tak pospolite, znane.... Wszakże to już po wszystkich szlacheckich dworach i plebaniach tego pełno.... Portulaków nie cierpię.... A! lilie! ale zawsze też same....

Wszystko jedno a jedno.... żadnej nowości. Można zbrzydzić sobie kwiaty....

Habicht milczał uparcie. Stary, doświadczony człek, wiedział bardzo dobrze, iż odpowiadanie drażniło, i że słuszności mieć nie będzie....

Odwróciła się ku niemu Ada, i spostrzegła na starój jego twarzy łagodny wyraz jakby politowania. Rumieniec oblał ją; nie mówiąc słowa, przesunęła się dalej i żywym krokiem skierowała ku parkowi.

W dwóch kieszeniach miała, wychodząc wzięte, dwa tomy.... nowości. Jeden z nich był książką pseudo-filozoficzną, jakich francuzka literatura mnóstwo wydaje, drugi nową powieścią pani Sand. Wyjęła najprzód filozofię i kartki jēj zaczęła prze-

wracać niecierpliwie, zatrzymując się na niektórych, potem wprędce, z niechęcią je rzucając, by przejść do innych....

Usiadła na ławce.... chciała się zmusić do czytania — zaczęła od pierwszej karty. Usiłowanie było daremne — książka była jedną z tych, w których umysł żywszy i logiczny może śmiało kilkadziesiąt kartek ominać, wiedząc z góry drogę, jaką autor będzie prowadził, nieskończenie kołując, aby dojść do tego, co by się lepiej w kilkunastu wyrazach powiedzieć dało.... Czytanie — stało się niemożliwem.... Rzuciła na kolana po jakimś czasie książkę i zatopiła się w myślach — dla kogo ona pisana być mogła? Dla tych co nic a nic nie umieli była za rozumną; dla tych co umieli coś — nie przynosiła nic nowego. Tytuł i imię autora zawiodły.... Z westchnieniem jeszcze raz obejrzawszy spis rozdziałów, który stał za książką całą — położyła ją na ławce.

Kolój przyszła na powieść. Tu czar pięknego stylu i formy — wykonanie szczegółów stanowiły wartość całą. Z pierwszych zarysów wątek można było odganać — lecz za urokiem słowa.... można przynajmniej iść było bez znudzenia.... Było to coś nakształt muzyki.... która robi wrażenie, choć myśli określonej, jasnej wydobyć z niej niepodobna.... Heroina powieści obdarzona była przez autorkę energicznym charakterem, podobą

się to przecie Adzie — lecz ona najlepszym sędzią być mogła tego charakteru skutków w zetknięciu się ze światem i oddziaływania zewnętrznych wpływów na duszę. Jakkolwiek pozorną logiką przyodziane fakta, które wychodziły z ram i warunków powszedniego życia — wydały jój się nieprawdopodobnemi. Ada brzydziła się wszystkiem co było jaskrawe, krzykliwe, teatralne; znajdowała, że przyzwolci ludzie — *ne cassent les vitres jamais*, i że cierpiąc najmocniej, można i powinnością jest nie krzyczeć. Krzyk zwabia tłum i wywołuje szyderstwa, nie umniejszając bólu — nie lecząc choroby....

Wkrótce też heroina i powieść zniecierpliwiły ją. Z niechęcią, raz jeszcze zawiedziona, wsunęła książkę do kieszeni i zapatrzyła się na drzewa, na krajobraz — na zielone gąszcze co ją otaczały, w których mnóstwo ptastwa świergotało....

Wzrok jój błdził jakby szukając, dopraszając się zajęcia — myśli, lekarstwa. Ta czczość życia, której doświadczała czasami, ciążyła jój dnia tego całém brzemieniem nicości, ciemności. Brak było powietrza piersi do oddychania, myśl nie miała się gdzie obracać, szła i powracała, nie znalazłszy drogi, nie mając pobudki by iść dalej.

Przebiegła tą myślą rozmaite przedmioty, żaden jój ku sobie nie pociągał — gniewała się na siebie....

W tym stanie rozdrażnienia będąc, usłyszała skrzypienie lakierowanych trzewików, po których poznała łatwo zbliżanie się ks. kanonika.... Gdyby była mogła, uciekłaby, aby w téj właśnie chwili nie zostać do rozmowy zmuszona; ale kanonik już był o kilka kroków, widział ją i zmierzał ku niéj. Szybko tylko filozoficzny tomik wsunęła do kieszonki, i czekała.

Coś jéj mówiło, że ks. hrabia de Bello, nie bez celu ścigał ją do ogrodu.... że potrzebował rozmówić się z nią na osobności. Twarz jego smutna, surowa, namarszczona, troskę jakąś zdradzała. Zbliżając się jednak, złagodził swe oblicze, i uprzejmie, dobrotliwie powitał wpatrując się z ojcowską pieczołowitością w twarz Ady, która egzaminem tym zaniepokojona zarumieniła się....

Kanonik przysiadł na ławce....

— Darujesz mi, kochana pani.... Jako troskliwy ojciec duchowny — szukałem jéj, przeczuwając w duszy, że możesz potrzebować słowa otuchy i orzeźwienia.... Od dni kilku jesteś jakby cierpiąca.

Ada zamilkła z razu, myśląc czy się przyznać ma, czy zamilczeć. Duma ją skłoniła do nietajenia się ze stanem, który ks. kanonik tak dobrze odgadnąć umiał.

— Cierpiąca? o! mój ojcie, odpowiedziała z wolna spokojnie z pół uśmiechem bolesnym — cierpiąca? a kiedyż człowiek nie cierpi? W mojem położeniu

życie jest nieustanną walką, a walka musi być zmieszana z boleścią.

— Tak — odparł kanonik — ale ją tryumf osładza. Najpiękniejszém zwycięstwem jest to, które człowiek odnosi sam nad sobą.

— Trwa ono chwilę tylko — odezwała się Ada — bo walka ze śmiercią się dopiero kończy....

Pomilczawszy czas jakiś, kanonik popatrzał na Adę i począł:

— Mówmy szczerze, droga pani — mówmy jak najotwarciéj. Zdaje mi się, że ta walka i cierpienie wzmogły się może jakimś uczuciem, które się niepotrzebnie wplątało.... i zatruwa ci chwilę....

Ada zarumieniła się.

— Uczuciem? jakimże?

— Jest to uczucie naturalne, na pozór niewinne.... którem częstokroć człowiek jest kuszony — rzekł kanonik, — które mu się wydaje nie tylko nie grzeszném — ale błogosławioném.... Będę otwarty jak dyrektor sumienia, jak lekarz duszy.... Każdój innnej niewieście, w którejby się ono obudziło, powiedziałbym: — Idź za niem, niech kościół je pobłogosławi, niech się spełni przeznaczenie twoje. Naszój Adzie, która jest wyjątkową istotą wśród płci swojej, której przeznaczenie jest wyższe, świętsze, wznioślejsze — powiem — otrząśnij się z tego co cię gwałtem ściąga w błoto ziemi, w kurzawę pospolitego tłumu....

— Ojczy mój — odparła jakby urażona Ada — nie wiem z kąd ta myśl ci się narzuciła.... Mogłazem ja mojem postępowaniem ją wywołać? To niepodobieństwo! Mylicie się mój ojczy — szczęściem dla mnie — na ten raz troskliwość wasza niebezpieczeństwo urojone dojrzała — nie ma go.... Posadzacie mnie chyba o jakieś przywiązanie, o rodzącą się namiętność.... ale ja nic podobnego nie mam sobie do wyrzucenia! Nie! nie!

Mówiła gorąco, lice się jēj paliło, kanonik bacznie się wpatrywał.

— Dziecię moje — odezwał się — bo mi cię wolno nazywać tém imieniem.... Lekarzowi mówić może chory, iż zdrów jest, — cóż potém, gdy symptomy słabości zdradzają? Tak jest z tobą. Sama nie wiesz o stanie swoim, heroicznie się mu bronisz.... walczysz — zaprzeczasz własnemu sercu — nie wierzysz w chorobę.... a ona tobą owłada, ona ci grozi, obejmuje.... Jesteś nad brzegiem przepaści!

— Przepaści! krzyknęła panna Pretwiczówna — uóój ojczy! na Boga — ja? Jakież pojęcie macie o mnie?

— A! nie ma może na świecie kobiety, o którójbym większe miał pojęcie, którąbym cenił wyżej — lecz są chwile w życiu, w których i święci upadają.... Ratunkiem naówczas jedynym, gdy pokusa jest nad siły — ucieczka — oderwanie się....

Ada wstała porywczo, z pokornéj penitentki przed chwilą, zmieniając się w niewiastę obrażoną. Usta jéj drżały, chciała mówić, powstrzymywała się, była rozgniewana i czuła, że się gniewać na duchownego nie miała prawa....

— Proszę mi tę zagadkę wytłómaczyć na Boga! zawołała głosem poruszonym.... Dla mnie to wszystko jest niezrozumiałe, i dotyka mnie tém mocniej, że się czuję całkiem niewinną.... Mówmy jasno, księże kanoniku, co — a raczej kto mi grozi tym upadkiem — mnie! mnie!

Z dumą ręką wskazała na piersi, uśmiechnęła się pogardliwie i powtórzyła: — mnie!

— Moje dziecko — to co dla ciebie ja zowie upadkiem — dla innéj osoby byłoby ratunkiem.... Ja mierzę cię miarą wyjątkową, mówiłem już....

— Lecz, na Boga — słowo téj zagadki! księże kanoniku — słowo zagadki! Co? kto, gdzie mi grozi?... Proszę mówić jasno i bez oszczędzania mnie.

Prałat nie mógł już się wycofać.

— Jawném to jest dla wszystkich co cię otaczają, dla mnie też — iż masz wyraźną słabość, niewytłómaczoną skłonność, pociąg — może poczynającą się miłość dla tego.... nieszczęśliwego Roberta.

— Ja? miłość? dla Roberta? dla tego na pół dziecka? Kanoniku! godziż się to coś podobnego po-

wiedzieć? Jestże on parą stosowną dla mnie? śmiejąc się dziwnie, smutnie odparła Ada. — Ale to jest — przepraszam najdziksze w świecie przywidzenie!...

Nie wolno mi więc zbliżyć się, przemówić, życziwą być komuś, abym natychmiast nie była posądzona o namietność! Jestem tak skłonna do zakochania? Widzieliżeście kiedy co podobnego we mnie?....

Prawdziwie — mogłam się takich posądzeń spodziewać od wszystkich w świecie — tylko nie od was księżę kanoniku — co znacie życie moje!...

Kanonik słuchał i milczał, zimny, a co dziwniej, jakby wcale nie przekonany.

— Jeżeli się omylił, odezwał z pewnym rodzajem przekąsu — bardzo się cieszyć z tego będę, przeproszę.... upokorzę się; lecz zdaje mi się, że pomimo téj gorącej protestacyi, jam się nie omylił, a piękna, dobra, zacna penitentka moja myli się sama, nie znając stanu serca swojego....

Ada poruszyła się w miejscu, jakby ją pocisk dotknął jakiś, krew biła jęj do głowy....

— Nie jesteśmy przy konfessyonalu, księżę kanoniku, rzekła — ja w téj chwili penitentką nie jestem, ale pełną szacunku służącą księdza hrabiego, która się czuje obrażoną posądzeniem, bo ono nie tylko nie ma najmniejszej podstawy — ale — jest śmieszne....

Kanonikowi twarz się pofałdowała, brwi zgięły, marszczki wystąpiły na czoło, twarz zwykle zastygła skrzywiła się namiętnie prawie.... To zepchnięcie go z konfessyonału na salonową posadzkę — było wypowiedzeniem posłuszeństwa.... Milczał zbierając się na odpowiedź.

— Jak tylko schodzimy na ten grunt.... rzekł zimno — nie pozostaje mi nic, tylko najpokorniej przeprosić i zamilczeć.

— O! to nie dosyć! zawołała Ada — ja chcę i mam prawo wiedzieć, co dało powód do posądzenia, wyroku i przestrogi....

— Suknia moja — zdaje mi się — uwalnia od tłumaczeń podobnych.... Bóg nam zsyła natchnienia.... jeżeli zaślepieni ludzie ich nie przyjmują — tém gorzej dla nich. Godność kapłańska nie dozwala się uniewinniać; kto nas odtrąca.... zostawiamy go siłom własnym i jego przeznaczeniu....

To mówiąc powstał z wolna, jakby chciał odchodzić, ale po ruchach opieszających znać było że się spodziewał, iż go powstrzymają — że Ada przelekła nareszcie upokorzy się, przeprosi....

Omylił się jednak: duma kobiety czującej się niewinną zarazem i zagrożoną rodzajem niewoli, obudziła się w niej zbyt żywo....

Kanonik skłonił się, panna zdala oddała mu ukłon, z widocznym wyrazem boleści i gniewu.... Odejść ją w tém usposobieniu zagrażało przyszłym

stosunkom. Kanonik widział, że trzeba było tę scenę do łagodniejszego sprowadzić zakończenia, i rzekł głosem spokojnym:

— Jeślim się pani naraził — proszę wierzyć, że pobudki miałem najczystsze, natchnione dla niej miłością chrześcijańską, troskliwością ojcowską....

— Tak, i podejrzliwością prawdziwie niemilosierzną — upokarzającą mnie, oburzającą — zawołała Ada nie mogąc się uspokoić.... Więc przez tyle lat, patrząc na moje postępowanie, ksiądz kanonik nie nabrał dotąd zaufania w mym charakterze?... Przychodzi mi zrozpaczyć, abym je kiedy zdobyć mogła....

Ton ten pozostawiał księdzu tylko dwie ostateczności: albo odwołanie i przeproszenie za to, co się ośmielił powiedzieć, lub wystąpienie z piorunami, grozą, wymową. Cofnąć się nie dozwalało mu usposobienie, nawyknięcie, zasady; zmarszczył więc brwi mocniej jeszcze i wystąpił podnosząc rękę do góry, jakby istotnie gromił penitentkę u konfessyonału:

— Nieopatrzna, nieszczęśliwa, zaślepiona, biedna niewiasto.... twój gniew dowodzi przeciwko tobie — żem ja miał słuszość, że cię niewidzialnymi pęty objęła namiętność, dla której gotowa jesteś odepchnąć niewygodnego doradcę sumienia, starego przyjaciela, wiernego sługę.... Sądziysz, że się usta moje zmażą pochlebstwem i fałszem? Nigdy....

Ide ztąd, bom tu niepotrzebny — bo nie chcę być świadkiem jak kłamstwo zadasz życiu całemu.... a jeśli ze łzami i skruczą mnie powołasz — przyjdę.... niestety! po czasie może dla ratunku....

To mówiąc kanonik zwrócił się żywo, w najmocniejszém przekonaniu, że zostanie odwołany, zaklęty, przeproszony, i że w skutek tego Robertowi drzwi się zamkną. Stało się czego nie mógł przewidzieć.... Postąpiwszy kilka kroków prędko, zwolnił chodu, ciągle nasłuchując. — Panowało milczenie. Ada upadła na ławkę, twarz wparła na rękach, patrzała oczyma zaognionemi w dal.... potrzebowała ochłonać z gniewu i wzruszenia.... Oburzona była tak na kanonika, iż nłe wahała się z nim choćby zerwać... Przez myśl jój przeszło — sprowadzić ubożuchnego księżynę jako kapelana i doradcę sumienia — i nie dać nad sobą więcéj przewodzić....

Tymczasem zawiedziony i mocno tém zmieszany ks. de Bello, kroczył ulicą, myśląc co pocznie? Ze stosunkami, jakie miał z tym domem, łączyły się zbyt ważne i wielkie interesa, by się mógł wyrzec ich łatwo. Potrzeba było, nie dając ranie się zaognić, goić ją natychmiast. Jak? nie wiedział sam. Instynktem raczél niż wyrozumowaniem skierował się ku mieszkaniu panny Hortensyi.... Zastukał do jój drzwi, gdy, jak zwykle, siedziała przy korespondencyi; poznała go po owém skrzypieniu trze-

wików i wybiegła. Dość było spójrzenia na twarz kanonika, by się domyślić, że nie był w zwykłym stanie ducha. Oprócz tego panna Hortensya wiedziała, iż zamierzał otwarcie się rozmówić z panną Adą.

— Co się stało? zawołała całując go w rękę.

Kanonik padł na fotel.

— Stało się czego nikt w świecie przewidzieć nie mógł — stało się, że ja rozgniewałem zamiast upamiętać, że rozstaliśmy się tak, jakbym tu więcej nie miał powrócić, póki mnie nie powoła.... A nie powoła mnie ani rychło, ani łatwo.

Ksiądz westchnął spuszczać głowę, a Hortensya ręce załamała.

— Boże mój miłosierny! Ta kobieta.... straciła już wszelkie.... wszelką.... Co począć? Mamże iść do niej? mam ją próbować opamiętać, choćbym się narazić miała? Idę....

Zdawał się się namyślać kanonik.

— Nie — odezwał się — nie. Przy najlepszych chęciach — najmniejsza niezręczność, jedno słowo, mogłoby pogorszyć stan ten jeszcze. Trzeba ją zostawić własnemu sumieniu. Ja spełniłem powinność. Pani tu zostajesz na straży.... Oko potrzeba mieć na wszystko.... Nie rozpaczam jeszcze, lecz wyznaję, takięj zapamiętałości i uporu się nie spodziewałem....

— Uporu!... rozśmiała się szydersko panna Hortensya — to chyba ks. kanonik jeden w swém anielskiém sercu nie poczuł tego, że to jest w całym świecie najupartsza, najprzekorniejsza kobieta... przy całej swój dobroci, doskonałości... i świętości — poprawiła panna Trocka.

Po tym ustępie — milczenie nastąpiło; kanonik był jakby wysilony i znużony; panna Hortensya, która sama się leczyła wodą pomarańczową, podała mu szklankę napoju nią zaprawnego...

Zaczęto ciszej i spokojniej roztrząsać co czynić wypadało, jak dalej postępować i doprowadzić do zgody, o którąby duchowny nie potrzebował prosić. Panna Hortensya podjęła się pośrednictwa, zaręczając najuroczyściej, że zachowa zimną krew i złośliwością zbytnią nie podrażni Ady. Kanonik musiał natychmiast wyjeżdżać — aby okazać, że nie uległ i folgować nie mógł...

Gdy godzina obiadowa nadeszła, i wszyscy już byli zgromadzeni na pokojach, naostatku wyszła ze swego apartamentu Ada, na pozór uspokojona zupełnie, z twarzą wypogodzoną. Krok jej jednak żywszy był, niż zwykle i ruchy niecierpliwe choć hamowane. Zbliżyła się do Hortensyi... która trwożliwie niemal spojrzawszy na nią, nie wiedziała o czém mówić.

— Kanonik? zapytała gospodyni.

— Kanonik wyjechał przed chwilą — odpowiedziała panna Hortensya, udając nieświadomą; kazał mi przeprosić, że bez pożegnania, musiał dla spełnienia jakichś pilnych obowiązków.... jechać do Brześcia.

Nie odpowiedziała na to nic Ada — zasiadano do stołu — zwróciła się do Oblęckiego.

— Przepraszam pana Mirosława — rzekła — żem wyszła zapomniawszy mu powiedzieć, że — sztychów może nie trzeba układać na nowo. Rozmyślałam się.... Zbyt wiele pracy około tego, a któż wie czy ja mieć będę czas z niej korzystać? Być bardzo może, iż tego roku wyjadę na czas dłuższy — za granicę...

Pułkownik, który o tém dotąd nie słyszał, niepokojnie podniósł oczy z talerza i spojrzał na panią.

— A — toby może należało się do tego przygotować? odezwał się cicho.

— Ale nie, pułkowniku — nie ma jeszcze nic pewnego! Wiesz, że ja jestem samowolna i kapryśna.... Zresztą czyż u ciebie nie jest zawsze wszystko w gotowości? Proszę cię, żadnych przygotowań. Sama nie wiem co zrobię. Znasz mnie.

Zwróciła się ku Oblęckiemu, który miał twarz zmienioną....

— Ale ja — ja już wszystko poprzewracałem — i — rozpocząłem — rzekł nieśmiało.

Ada pomyślała.

— No — to kończ pan, jeśli tak jest. Chciałam mu pracy oszczędzić dla mojego kaprysu.

— A! to żadna praca! to największa rozkosz dla mnie — rzekł artysta.... Jestem szczęśliwy, mogąc znowu przebiedz oczyma te skarby....

— Tak — szepnęła gospodyni — dobrześ powiedział: jesteś szczęśliwy, szczęśliwszy może, niż ci się zdaje.... Masz w życiu cel jeden, masz wielką miłość sztuki.... masz nieustanne pragnienie.... Możeż człowiek żądać więcej? Jestże co okropniejszego, niż zamierać bez pragnienia, bez celu i bez przywiązania do niczego!

Wyrazy te wyrwały się jój jakby mimowolnie, a gdy przebrzmiały, sama się trochę ich zarumieniła i obróciła je w żart. Oskarżony o szczęśliwość Oblęcki, oczy zwrócił ukradkiem na pannę Karolinę, potem spuścił je na sztukemięsa i zadumał się....

Panna Hortensya śledziła każdy ruch i słowo kuzynki, napróżno w nich szukając zgryzoty sumienia z powodu zerwania z kanonikiem. Zdawało się dla niej niepojętém, że Ada tak lekko to brać się zdawała. Była ożywiona, niemal wesola, chwilami szyderska. Gdy od stołu wstali, wyszła z Karoliną i kuzynką pod werandę, nie unikając oczu, zaczęła rozmowę o ogrodzie, o rzeczach obo-

Jętnych — słowem zgryzota sumienia wcale się nie objawiła.

— Komedyantka doskonała! mówiła sobie w duchu panna Hortensya.... Na największą i najstraszniejszą jednak dnia tego próbę, wystawiło pannę Adę przybycie po południu Roberta....

Przyjechał on, nie wiedząc o niczem, nie domyślając się niczego, z tym złotym humorem młodości, z tą swą prostotą czasem do ślepoty posuniętą, która mu szczególny powab nadawała.... Gospodyni go przyjęła, bez najmniejszej zmiany w obojętności z nim, z uprzejmością zwykłą, może nawet umyślnie spotęgowaną, i ze swobodą umysłu zupełną.

— Gdzieżeś pan bywał, co porabiał od wyjazdu ojca, żeś o Ruszkowie zapomniał? odezwiała się wesoło....

— A! pani — gospodarstwo temu winne, uśmiechając się rzekł Robert. W czasie pobytu ojca musiałem je trochę zaniedbać, znalazły się tysiące rzeczy do zrobienia.... drobnych kłopotów.... poprawek.... Nie mogłem się ruszyć, a mnie tak było tęskno osieroconemu.... tak pusto w domu — że rad byłbym się wyrwał z niego....

— Bardzo z pana przykładowy gospodarz! pochwalila Ada....

— A cóżbym ja na świecie mógł innego robić,

jeżeli nie hreczkę siać? odparł Robert — nie umiem więcej nic — i na nic się nie zdałem....

— Co za skromność! złośliwie syknęła panna Hortensya.

Robert spojrzał ku niej łagodnie i bez urazy.

— Niech pani wierzy, że się do tego poczuwam co mówię! odpowiedział.

— A to źle — przerwała Ada — mężczyzna powinien wysoko patrzeć i sięgać....

Te dwuznaczne wyrazy, wywołały niezmiernie zdziwione spojrzenie Hortensyi na gospodynię — minkę osobliwą i potrząśnienie głową.

Robert na to odpowiedział:

— Komu starczą siły, zapewne — ja nie czuję się godnym niczego więcej nad to, co jest mojem przeznaczeniem. I sieję i siać będę hreczkę....

— To przynajmniej pszenicę! wtrącił pułkownik....

Rozśmiano się.

— Ja mam o panu daleko lepszą opinię — dodała Ada; — brak panu tylko woli i ochoty.... Czy to nasze rodzime lenistwo? przyznaj się....

— A może — zawsze wesoło mówił Jazyga, — ja nie wiem....

— Jabyś sądziła, że to ono się w tę pokorę obszywa, mówiła Ada — porachuj się pan z sumieniem....

Robert ramionami ruszył — ona ciągnęła dalej:

— Pan nie jesteś leniwy do ruchu, do pracy ręcznej, do myśliwstwa, do konia — ale masz rodzimy też wstręt do innego trudu....

— Bom się do niego nie wdroył za młodu — rzekł Robert.

— Co to jest — za młodu — jak gdybyś pan już młodym nie był? zaprzeczyła gospodyni.

— Tak bardzo młodym nie jestem — odezwał się Robert; o! ho! wcale.... wcale....

Pułkownik począł się śmiać do rozpuku i pocałował go....

— Doskonały jesteś — mój drogi sensacie....

Rozśmiała się Ada, zniecierpliwiła tą lekką rozmową wesołą Hortensya. Nie mogła sobie wytłómaczyć tego, jak po scenie z kanonikiem, tegoż samego dnia Ada mogła być tak zupełnie swobodna i uśmiechnięta.

W chwilę potem złożyło się tak, że towarzystwo zostawiwszy pod werandą, panna Ada rozmawiając z Robertem wyprowadziła go do sali przyległej, i chodząc po niej długo z nim, do nadzwyczajnego stopnia zniecierpliwiła pannę Hortensyę.

Kuzynka siedząc na balkonie, przez okno widziała ruchy, uśmiechy, całą mimikę poufałej konwersacyi, mimo największego nateżenia słuchu, nie mogąc z niej pochwycić ani jednego słowa.

Skazana była na domysły najdziwaczniejsze, a że Ada nie mogła nie wiedzieć, że na nią oczy Hortensyi są zwrócone, nie mówiąc o pannie Karolinie i pułkowniku, w duszy nazywała ją — bezwstydną. Robert wydał się jój uszczęśliwionym, ożywionym, rozmarzonym — mógłżeby takim być, gdyby go oczy i wyrazy Ady w ten stan ekstatyczny nie wprowadziły?

— A! myślała kuzynka — tak więc już stoją rzeczy! zaszliśmy tak daleko! tak daleko, że najgorętsze ostrzeżenia tylko pobudzają do coraz wyraźniejszego naigrawania się z tego co ludzie pomysła! Brawując więc umyślnie, z zamiarem.... brawuje popisując się ze swoją słabością bezwstydnie.... A! tego już nadto! tego nadto....

Rozmowa trwała jeszcze w salonie, przerywana niekiedy uśmiechami i głośniejszemi wykrzyknikami Roberta, gdy panna Hortensya, złożywszy robotę, którą zwykła była mieć zawsze w ręku nigdy w niej nie czyniąc postępu — wyszła z werandy, mijając Adę oświadczyła jój, że ją boli głowa, prosząc o przysłanie herbaty do pokoju, i pośpieszyła do swój korespondencyi. Była ona pilna i musiała być obszerna, bo panna Hortensya powiedziała sobie, że miałyby na sumieniu, gdyby familii nie dała znać o wypadku przybierającym coraz większe znaczenie.... Oprócz tego kanonikowi pilno jój było dać wiedzieć, jak ten dzień

upłynął weśolo, który winien był zejść we łzach i pokucie....

Panna Ada, chociaż zostawiona sama sobie, nie była pozbawiona krewnych, dalszej i bliższej rodziny, na której (dowiedziona rzecz) bogatym nigdy nie zbywa. Jedna okoliczność trzymała tych krewnych w oddaleniu. Po śmierci matki Ady, rozeszła się była wieść, nie bez podstawy, iż sierota została bez majątku, zrujnowana bez ratunku... Familia zastraszona tém — nie zgłaszała się wcale, zamilkła, odsunęła się, aby nie być powołaną na pomoc.... Niektórzy jéj członkowie, wezwani do rady, pod rozmaitemi pozorami wymówili się od spełnienia obowiązków. Gdy później, dzięki szczęśliwemu losowi, pracy, oszczędności ogromna fortuna Pretwiczów, jakby cudem oczyszczona została, gdy zasłyszano, że sierota była bogatą dziewczką, rodzina zaczęła mieć zgryzoty sumienia. Uczuła, że przecież nie godziło się nieszczęśliwej pozostawiać tak samą.... na łup ludzi niedobrych....

Zaczęto się przysuwać z wolna do Ruszkowa, a każdy przybywał z takim sercem rozczuloném, z takim przywiązaniem tkliwém, z taką boleścią, że wprzód służyć nie mógł, gdy miał najgorętsze chęci — iż można było sądzić, że w nich staropolskie tradycye rodziny i domu nie zgasły.

Ada przyjmowała tych zbiegów nader uprzejmie,

grzecznie, lecz tak chłodno jakby jój zupełnie byli obcy. Nie czyniła im wymówek najmniejszych, nie dając też nadziei, aby na nowo bliższe, serdeczniejsze zawiązać się mogły węzły. Niektórzy kuzynowie, a liczba ogólna rozmaicie spokrewnionych była wcale nie mała — próbowali — chociażby dyspensa miała być potrzebna... zbliżyć się zakonchaniem. Starsze panie jechały w swaty. Wszystko to spełzło na niczém, i w końcu pogniwano się na niewdzięczną.

Z bogatymi krewnymi, jak wiadomo, nigdy się nie zrywa; stosunki więc, acz bardzo mdłe, kruche i nie podsycane niczém, trwały zawsze. Pisywano do siebie, przyjeżdżano czasami, bywały próby prezentów i grzeczności, na które wzajem odpowiadała Ada — nie mogąc nigdy zapomnieć, że w chwili katastrofy, wtenczas kiedy potrzebowała ręki od serca, podali jój ją obcy nie swoi.

Rodzina panny Ady, przekonywając się i upewniwszy, że panna, nauczona matki przykładem za mąż iść nie myśli — żywiła nadzieję, że kto wie, może po niej kiedyś dziedziczyć. Naówczas to dano jój pannę Karolinę... aby przecież miała towarzyszkę; wsunęła się panna Hortensya dla dozoru.... Oprócz tego często zgłaszano się o pomoc do bogatěj dziedziczki Ruszkowa, która rzadko jój odmawiała.

Wpływ ks. kanonika i pogłoski jakoby cały ma-

jątek miała przeznaczyć na instytutu dobroczynne, strwożył był nieco rodzinę — panna Hortensya uspakajała tém, iż w żadnym razie całego spadku nie odda na fundacye.... Co do możliwego zamążpójścia panny Ady, którego się obawiano z razu, — po upływie pewnego czasu ustąpiła trwoga, nastąpiła pewność, iż to być nie może. Nawykła być panią w domu, piękna Ada głośno mówiła i dowodziła całém postępowaniem, że wcale nie myśli zmienić téj swobody na niewolę.

Teraz nagle mieniła się rzeczy postać. Panna Hortensya aż do sceny z kanonikiem — powątpiewała, choć dokuczać miała sobie za obowiązek; wypadek tego ranku przeraził ją, napomniął — napędził ażeby dała znać rodzinie co się tu gotowało....

Mógł przecie ktoś przybyć, spróbować upamiętać, oddziałać, wyperswadować. Szczególniej rachowała kuzynka na panią szambelanową Orczyńską, osobę bardzo poważną, przyrodnią siostrę nieboszczki matki Ady, która wprowadzie mało się z siostrzenicą komunikowała, lecz wiekiem, położeniem, stosunkami, znaczeniem mogła mieć pewną powagę i wpływ może. Pani szambelanowa owdowiała, bezdzietna, miała dożywocie znaczne, które jój dozwalało żyć w Warszawie wygodnie i dostatnio, przyjmować w swym domu najlepsze towarzystwo, raz w rok regularnie jeździć do Karl-

sbadu i od rana do nocy grać w wista lub preferansa....

Osoba była najmilszego w świecie charakteru, nadzwyczaj pobłażająca, przebacząca wszystkim wszystko, byle jój nie mącono pokoju, lubiąca dobrze zjeść, zabawiać się wesoło i wszystkich mieć przyjaciółmi. Oprócz wista i preferansa lubiła swatać bardzo. Nie można było zliczyć, ile nieszczęśliwych małżeństw sklejonych pracowicie miała na sumieniu.

Rodzina bliższa i dalsza skupiała się około téj dobrej szambelanowej, która wprowadzie nikomu nic nie dawała, bo sama potrzebowała wiele, ale uprzejmą była, gościnną, pomagała stotunkami chętnie, ścisła serdecznie — i charakterem miłym, w świecie sobie zyskała niemałą wzięłość. Wiadomo było, iż szambelanowa rachowała dla swych różnych kuzynów na spadek po pannie Adzie — którą nawet parę razy posądzano o suchoty, aby tém wrażeniem oczekiwanie skrócić. Korrespondowano z Ruszkowem, pani Orczyńska pochlebiała sobie, iż miała najwięcej miru u siostrzenicy, a że ta szanowała staruszkę i grzecznie na listy odpowiadała — i panna Hortensya była przekonania tego, że ciocia nie jest bez wpływu.... Należało najprzód szambelanową uprzedzić, która mogła najłatwiej rozbudzić resztę rodziny....

Jeżeli postanowienie niewychodzenia za mąż zo-

stało zmienione, dla czegoż nie mieli choć próbować korzystać z tego dalecy kuzynowie i protegowani szambelanowej?

Panna Hortensya wbiegłszy do swojego pokoju, natychmiast zajęła się przygotowaniem do korespondencyj. Pierwszą z nich wystosowała do kanonika, ażeby mu odmalować jak się tu stan rzeczy pogorszył; drugą rozpoczęła do szambelanowej, a ta musiała być obszerna, przekonywająca i nagła. Po dzisiejszém wystąpieniu Ady, kuzynka widziała niebezpieczeństwo tak wielkie, iż ani chwili nie było do stracenia....

Musiała działać, gdyż i jej własny interes ją do tego pobudzał — z Robertem była źle, dokuczała mu wielce, mogła się więc spodziewać, że w tym domu nie wybędzie.... A cóż to miał być za dom, gdyby istotnie Ada wyszła za majorowicza?? Dreszcz przebiegał na myśl o tém....

Ostateczny upadek — mezalians, okropności! Major z białą chustką na wysokięj duszce i włosami zlepienymi na łysinie, może nawet z fajeczką w ustach.... u kochanej synowej!! Któż mógł zresztą wiedzieć, jaka tam po za nim szaraczkowa, kapotowa, bezrękawiczna, kozłowobutna stała rodzina, która mogła spać jak szarańcza na Ruszków!!

Należało co rychlęj zwołać pospolite ruszenie i

nieszczęśliwą, nieopatrzną wstrzymać nad brzegiem téj przepaści.

Panna Hortensya siadła do listów z twarzą niezwykłemi rumieńcami zapaloną.... Ćwiartkę po ćwiartce odrzucała zapisane, rozgorączkowując się coraz bardziej, i pisanem spotęgowując w sobie uczucie niebezpieczeństwa.... Pod temi wrażeniami wylęgle listy były coraz głośnieję bijące na trwogę.... Rodzina zagrożona infamią, majątek rozszarpaniem — nieszczęśliwa Ada przyszłością najczarniejszą.... Robert odmalowany został w kolorach najstraszniejszych, jako nieokrzesany parobczak, który nie oprócz jakiegś tam gminnej świeżości i młodości nie miał za sobą, który za ledwie czytać i pisać umiał.... Dodatki, insynua-cye, dwuznaczniki, domysły barwy dodawały obrazowi.... Dorozumiewała się panna Hortensya intrygi.... oskarżała Adę o namiętność niemal wstydliwą.... Przesady było więcej niż prawdy — szło o utrzymanie pożądanego efektu, i korespondentka wołała za wiele zrobić niż za mało.... Dobrze już było późno, gdy pisać skończyła. Czoło jęj palało, ręce drżały ze znużenia, ostatnia ćwiartka padła na stos papieru zapisanego, gdy z za drzwi usłyszała głos Ady....

— Zobaczyłam światło w oknie — chciałam się dowiedzieć o twoją głowę.... Ada weszła spokojna, uśmiechnięta. Hortensya stała przerażona....

Listy leżały kupą na stole, nie mogła ich nie widzieć i nie domyślać się.... Pobladło lice kuzynki, która zapobiegając zbliżeniu się do stolika, wyszła do progu zapewnić, iż ból głowy przechodzi.

— A któż z bolem głowy pisze.... i to jeszcze tyle!! rozśmiała się Ada, z której oczu wnieść mogła Hortensya, że została odgadnięta. Ada nie zdawała się jednak przywiązywać żadnej wagi do listów, pogardliwie popatrzała na nie, dała dobranoc — i krokiem poważnym, przez ogród nazad skierowała się ku swemu mieszkaniu.

— Masz tobie!! szepnęła Hortensya — nie ma wątpliwości, że się teraz domyśli z kąd padł cios.... Mniejsza o to — mam obowiązek.... a wypowie mi dom.... musi mnie wziąć szambelanowa! Choćbym zresztą osiąść miała w miasteczku.... Żeby na to patrzała z zimną krwią i założonemi rękami.... byłabym najnikczemniejszą istotą, niegodną tego imienia, które noszę....

To mówiąc panna Hortensya siadła mężnie do kopertowania.... Nazajutrz szły na pocztę....

W rozmowie z Robertem, dowiedziała się panna Ada, iż na Ś-ty Piotr miał ojca odwiedzić.... Przeciwno temu nic nie można mówić było.... Spełniał obowiązek.

— Długoż pan tam myślisz zabawić? zapytała na pozór obojętnie.

— Prawdziwie, trudno mi to oznaczyć! rzekł Robert.— Będę się śpieszył z powrotem, bo choć mi z ojcem najchętniej i najmiliej, ale tu.... (zaciął się — i dodał) obowiązki, gospodarstwo....

Ada spojrzała nań i spytała kiedy wyjeżdża?

— Chcę być najpóźniej w wigilię Ś-go Piotra, muszę więc trochę wcześniej ztąd wyjechać....

— Nie chcesz pan jakich książek na drogę, żeby mu one nas.... przypominały?

— A! na to niepotrzeba mi książek — odezwał się Robert ośmielając — i bez nich Ruszków mi nie wyjdzie z pamięci. Znalazłem tu, u pani takie przyjęcie, na które anim zasłużył, anim się go mógł spodziewać.... Znam nadto przestrzeń, jaka dzieli mnie niedouczzonego hreczkosieja od tych stref, w których pani mieszkać nawykła.... trzeba było jój dobroci, aby mnie tolerować i nie śmiać się z mojego zacofania.... a tak być wyrozumiałą dla mnie....

Skromność, z jaką się wyrażał, musiała bardzo przyjemnie zabrzmieć w uchu i sercu panny Ady, bo się jakby z radości zarumieniła i spojrzała nań bardzo łaskawie.

— Nie czyni bo się tak nadto maluczkim i pokornym, rzekła — cenią się w ludziach równie przymioty serca jak umysłu, a umysł pan masz

otwarty, pojętny.... dla którego dostępne jest wszystko co zechcesz.

— Jeżeli trochę przejrzałem — odezwał się Robert — tom winien pani. Dobry mój ojciec, choć sam się bawi książkami, mnie chciał ustrzedz od nich jak od trucizny.... Za młodszych lat rwałem się do nich, — powtarzał mi, że mojem powołaniem na zagonie pracować....

— Ale to jedno drugiemu nie przeszkadza, rzekła Ada — wierz mi pan.

— I ja tak myślę.

— Przyjedźże pan po książki, a ja dla niego wybór zrobię, i przyłączę coś ciekawego dla ojca, który widzę, że się ekonomią polityczną zabawia.

Robert podziękował....

Kilka razy wymieniali spojrzenia znaczące, chłopcu różne myśli przychodziły do głowy, ale je odpędzał. Co się działo w sercu panny, nikt w świecie, i ona sama nie wiedziała. Usiłowała wmówić w siebie, że interesowanie się młodym Robertem było przyjaźnią czysto-duchową, rodzajem eksperymentu — wychowaniem — ale, nigdy w świecie, niczem czulszém, ani w gwałtowniejsze uczucie mogącém się przerodzić.

Ada nawykła była tak studyować siebie jak ludzi, rozbierała więc każde własne wrażenie i poddawała je ściślej analizie, ale sama o tém nie wiedząc, była dla siebie pobłażająca. Zamykała oczy

na wiele fenomenów, któreby ją w kim innym uderzały. Tak naprzykład nie widziała w tém nie zdrożnego i dziwnego, że gdy się spodziewała przybycia Roberta, niespokojniejszą była niż zwykle, że poznawała turkot jego bryczki, głos i śmiech jego w sieni, że serce jój biło naówczas, ręce drżały i śpieszyła naprzeciw niemu.... Nie raziło jój to, że gdy długo nie przyjeżdżał, tęskniła i wyglądała go, szukając środków aby go ściągnąć, że nawet gdy milczeli, a ona tylko nań patrzeć mogła z daleka, dawało jój to błogi spokój jakiś, że naostatek była najwyraźniej zazdrosną o niego... i ukradkowe spojrzenie Karoliny nań, jego przemówienie do niój, gniewało ją. Wszystko to szło na karb niewinnego przywiązania prawie macierzyńskiego.

Myśl ta, że miał wyjechać na Ś ty Piotr zbliżający się, do ojca — napełniła ją smutkiem. Musiała wyznać przed sobą, iż jój go żal było, i że gdyby pobieżny ów plan ojca wypuszczenia mu Żabliszek przyszedł do skutku, byłoby jój bardzo puśto; a czczość życia, na którą narzekała, znacznieby się zwiększyła — byłaby może nie do zniesienia.

Trochę ją to czasem gniewało, że ten chłopak nieznaczący, skromny, pospolity.... zajął tak wiele miejsca w jój sercu i życiu.... Nazywała to sama słabością, a natury jój — nie chciała bliżej

rozbierać. Juściż się w nim nie kocham — mówiła sama do siebie, toby było — śmiesznie. Śmieszność zresztą zniosłabym — lecz...., lecz.... to jest niepodobieństwem.... toby nie miało sensu.... Posaanowiłam nie iść za mąż i słowa tego dotrzymam.... a przyjaciela przecież mieć wolno....

W tym rodzaju rozliczne waryacye na ten temat pisały się w dzienniku i roily wieczorami. Na czas oddalenia się Roberta, panna Ada przedsięwzięła studia nad sztuką, które ją miały pochłonać i być na wiekiustą czezość lekarstwem. Lubila nauki, zajmowała się niemi chętnie, jednak nie jój tak nie zaprzętało jak kunszt, jego dzieje i w ogóle wszystkie objawy piękna.... Oblęcki przygotowywał na nowo układający się zbiór, wedle szkół i mistrzów. Scroux d'Agincourt już leżał rozłożony w bibliotece — ale panna Ada znajdowała go niedostatecznym. Miała słuszość, doskonały jako przypomnienie, nie starczył do głębszych studyów.... Niekiedy domyślała się nawet téj prawdy, że pomniki sztuki nigdzie i w żaden sposób inaczej się nie dają zrozumieć i zbadać, tylko tam gdzie się urodziły, w związku z krajem i dziejami, na których urosły. Kto nie był w klasztorze Ś-go Marka we Florencyi, ten nigdy nie zrozumie Fra Angelica, ani Rafaela bez fresków watykańskich, ani Giotta bez kapliczki Ś-ój Maryi na Piaskach....

Robert przybył na pożegnanie — czekały na niego książki. Tego dnia panna Ada, jakby się lękała czegoś, jakby coś przeczuwała, była poruszona, była czulsza prawie dla niego, niż kiedykolwiek. Wyprawiała go w podróż dowiadując się sama i przez pułkownika czy mu czego nie brakło, czémby mu służyć mogła? Panna Hortensya z daleka się przysłuchując, bladła z gniewu i oburzenia, powtarzała: — Bezwstydna.

Ada czyniła to tak naturalnie, jawnie, nie przypuszczając nawet, aby w tém co zdrożnego być miało, iż rozbrajała tém najzłośliwszych — oprócz panny Hortensyi.

Przed samém pożegnaniem nareszcie, pod pozorem książki, wprowadziła go do drugiego pokoju, i tam oddając mu ją, wzięła go za rękę, głosem znizonym powtarzając parę razy:

— Powracaj pan, powracaj proszę, masz we mnie siostrę przywiązaną.

Wyrazy te wymówiła głosem, który Roberta wzruszył, wzburzył — pocałował ją w rękę jakoś namiętnie, gorączkowo... ale nim się mógł odezwać, Ada skinąwszy mu głową przyjaźnie, zamiast do salonu powrócić, poszła się zamknąć w swoim pokoju.

Robert wyszedł się sam pożegnać z towarzystwem w salonie, z panną Karoliną, której kłę-

buszki pospadały, robota się splątała i oczy niemal zasłży łzami, z pułkownikiem, który mu dawał polecenia do ojca, na ostatek z panną Hortensyą, która żegnając go syknęła:

— Nie wątpię, że pan nam prędko powrócisz? Nie prawdaż?

Patrzała mu w oczy tak jakby go wzrokiem bazyliuszka zabić chciała.... Miała plan osnuty nawet — rozmówić się z nim.... obszerniej; lecz przytomność pułkownika nie dopuściła....

Nazajutrz wyjechał Robert z uczuciem dziwném. Zawsze dotąd śpieszył się do Żabliszek, serce mu biło do ojca i domu, pędził ludzi i konie, tym razem niemal ze smutkiem oglądał się ku Ruszkowu.

Panna Ada mogła się łudzić naturą swych uczuć dla niego, on już wiedział doskonale co się z nim działo. Ostatnie pożegnanie było dlań rewelacją — kochał. Tak jest, kochał się szalenie, gwałtownie, — kochał tak, że miłości téj miało stać na życie całe.... Wiedział, że to do niczego nie prowadzi, że ona miała postanowienie nigdy nie wychodzić za mąż, że nie był jéj godzien, że ten ideał na tak wysokim stał piedestale, iż sięgnąć doń było niedarowaném zuchwalstwem. Wszystko to jednak nie przeszkadzało mu się kochać — i uczuciem tém być szczęśliwym.

Była dlań — jak powiedziała — siostrą; mógłże on pragnąć więcej? nie byłoż to najwyższém szczęściem, jakiego w życiu można było dostąpić?

W młodej głowie wiązało się z tém, że miał pozostać wiernym téj miłości do zgonu, służyć jój — nie żenić się nigdy, cały się jój poświęcić... Mężenina nie szły dalej, i to już wiele!!

Robert się nie śpieszył do Żabliszek, lecz służba jego, rodem ztamtąd.... leciała, nie dosypiając na noclegach, nie dając koniom dobrze popaść, wyszukując dróg najbliższych, tak, że prędzej stanął, niż się spodziewał. Gdy wyjechali z lasu, chłopak się ku niemu z kozła odwrócił, klaskając w dłonie:

— Panie! Żabliszki! niech pan patrzy — dali Bóg, wioska nasza!

I jemu uderzyło serce — okolica to była, w której całą swą przy ojcu młodość przepędził, zasiana wspomnieniami.... której kamień każdy, ruczaj, drzewo było mu znane.... Na chwile zapomniał i on o całym świecie — widział już niemal ojca, który nań czekał, ludzi co go witać mieli — swoje pokoiki dawne studenckie — i tyle twarzy tak dobrze znajomych, tyle pocziwych wyciągniętych ku sobie dłoni.

Chłopakowi na koźle usta się nie zamykały.

— O! proszę panicza — Antonowi chatę nową pobudowali.... Widzi pan tam stary pasiecznik

idzie ze wsi ... to on.... Oho grusza przy podwórku. Tomasza obaliła się....

I kłaniali się przechodzącym i uśmiechali do naddrożnych kamieni....

Te litewskie kamienie, które się przed lat tysiącami przytoczyły tu z falami morza, co je porzuciwszy uciekło, są tu jakby pomnikami dawniej epoki. Któż nie zna tych omszonych staruszków? rzadko ręka ludzka śmie poruszyć większe głazy.... Modliła się im stara Litwa jak bogom.... Na niektórych sterczą teraz krzyżyki żelazne i pobożne ręce obsadziły je jodłami i jałowcami. W pośrodku Żabliszek stał właśnie kamień taki... a przy nim bryczka Roberta spotkała majora, który przecuciem jakiéś wyszedł naprzeciw nadziei synowi — choć tego dnia nie powinien był liczyć na niego. Robert skoczył ku ojcu i ścisnąć się zaczęli. Na pierwsze skinienie konie i ludzie pośpieszyli do dworu. Ojciec z synem szli pieszo — oba rozczuleni, przejęci jakby się nie widzieli od wieków. Robert ukłony najprzód oddawał od pułkownika, od panny Ady, na co stary nie odpowiedział nic — potem mówiono o drodze, potem major począł pokazywać co nowego przybyło, pokopane rowy, osuszone łąki, pozasiewane pola, zbudowaną jeszcze jedną nadetatewą szopę, na nowo wyrestaurowaną karczemkę....

Tak doszli do wrót dziedzińca, gdzie pocziwy Ernest Burakowski oczekiwał czerwony z radości, śmiejąc się na widok panicza i przyjaciela... Swawolili niegdyś razem na tym dziedzińcu i byli jak dwaj bracia....

W ganku stał Łukasz, kucharz i faworyt pana, z powitaniem także, i cała czeladź rada paniczowi, którego wszyscy kochali jak major. Kłaniano mu się do kolan, a przypatrywano — czy wyrósł, czy nie zmizerniał.... jak wygląda.... Jeszcze się ta niemal familijna scena nie skończyła, bo — po staremu domownicy rodzinę niejako składali — gdy Erdziwił przypadkiem, a nie bardzo w porę nadjechał, dzielić radość ogólną.

— O tom spadł szczęśliwie, bratku! zawołał. Co to jest przecucie pasożyta! gdzie gody tam i ja.... a toć tu gody jak na powrót syna marnotrawnego, i major jeśli nie zabije tłustego barana — to choć kapłona.... pewnie.

— Ale ja nie zasługuję na nazwisko marnotrawnego! rozśmiał się Robert, — to obraza!!

— Zasługujesz! marnujesz najpiękniejsze lata do kochania — i nie kochasz się, ani żenisz....

Zarumienił się Robert....

— Już my tu ci w téj zatwardziałości grzesznój długo pozostać nie damy! śmiał się sędzia — panny wszystkie na ciebie czekają, będziesz musiał wybierać....

— A! będzie na to czasu! szepnął Robert.

— Właśnie czas.... odparł uparty Erdziwił.

Major tylko z ukosa poglądał na rozmawiających.

Przybycie sąsiada na rękę było może ojcu i synowi, gdyż obaj czuli się sam na sam, nie jak niegdyś bywało, swobodni — ale skrępowani tém co mieli w sobie. Robert obawiał się, aby nie żądano przesiedlenia się do Żabliszek.... ojciec nie wiedział jak o to zagać sprawę, a pilno mu było.... Jeden drugiego lękał się i rad był zwlec stanowczą rozmowę. Major odkładał ją w duchu do — stalszego jakiegoś projektu, jeśliby jedna z panien upatrzonych w oko wpadła....

Erdziwił będąc wtajemniczony, gotował tym czasem grunt.... i potraçał ciągle o ten przedmiot. Obaj oni uradzili byli, ażeby dla ożywienia sąsiedzkich stosunków, trochę ostygłych, objechać szlachtę przed Ś-ym Piotrem -- i -- choć się na imieniny nigdy prosić nie zwykło, napomknąć, że syna się spodziewa major, którego by rad łasce współobywateli polecić.

Gruchnęła tedy wieść do koła — że major na Ś-ty Piotr będzie w domu (zazwyczaj wyjeżdżał do miasta) i że radby był sąsiadom. Ci na to jak na lato! imieniny! wysmienita rzecz, a jeszcze wlecie, w piękny czas, i w domu wdowca, gdzie kobiet nie ma, a po obiedzie nawet surduty pozrzu-

cać można. Zarzucają Amerykanom, że najmiléj im tam, gdzie nogi na stolik założyć mogą — u nas najswobodniéj gdzie bez fraka przyjechać, a bez surduta chodzić można. Przytém majora dom słynął z tego, że choć zbytku w nim nie było, ale dostatek wielki, gościnność nie mniejsza i wszystko od chleba począwszy — choć oblizuj palce.... Wybierało się więc sąsiedztwo tłumnie do Żabliszek, co późniéj dać miało assumpt majorowi z synem do objazdu sąsiadów dla podziękowania. Robertowi szepnął tego dnia Erdziwiłł zaraz, że na Ś-ty Piotr massa się gości wybiera.... Trochę to było dziwne — lecz cieszył się tém syn, że ojca szanowano.... Dzień ten w Żabliszkach pamiętny, bo się do niego od wigilii przyspasabiano, począł się od Mszy Ś-téj w kościółku....

Major poszedł na grób żony się pomodlić.... ukląkł na nim z synem razem, i na chwilę zasmucony wyszedł ztąd milczący. Lecz na drodze już do dworu zaczęli się spotykać z nadjeżdżającymi sąsiadami, z których najdalsi przybywali pierwsi, z obawy aby się nie opóźnili. Sypały się powinszowania i uściski, humory stroiły do dnia i uroczystości. Erdziwiłł od rana już zabawiał się w ganku. W salce stało śniadanie nieustające dla nadciągających, obiad miał być w wyporzządzonym na ten dzień magazynie gdzie nakryto zawczasu. Groźne chmury chodzące po niebie, nie dozwoliły go przy-

gotować w ogródku. Magazyn był tak porządnym i tak wyświeżonym, że gdyby nie brak okien, w istocie starczyłby za salon jadalny. Marszałek powiatu, zaszczycił także Żabliszki obecnością swoją, był i Surym, byli i inni dalsi i bliżsi.... Wszystkich oczy z ciekawością się zwracały na pięknego Roberta, który między młodzieżą miejscową prym trzymał. Nikt mu ani wdziękiem postaci, ani u przejmomością, żywością umysłu, serdecznością wobec się nie sprostował. Wiedzano też, że oprócz Żabliszek weźmie po ojcu dobrze nabitą szkatułę, i ci co mieli córki na wydaniu szczególniejszemu okazali się grzeczni. Marszałek nawet długą prowadził rozmowę, trzymając ręce w kieszeniach i opatrując indywiduum, jakby przyjmował rekruta. Chłopak mu się podobał dosyć.... tak dalece, iż go zaprosił, aby dom jego odwiedził.... Inni też ubolewali nad tem, iż wyniosłszy się z okolicy, pozabawił ją orzeźwiającego żywiołu.... Dwóch dawnych towarzyszy szkolnych Roberta witało go ze szczególnem zajęciem, niejaki Dryja i Sobotkowski — równego z nim wieku, oba nie żonaci i wesołe chłopaki.

Był z nimi niegdyś Robert na zupełnej stopie poufałości — przystąpili więc do niego jak do starego znajomego bez ceremonii; — ale po wymianie słów niewielu, zdumiał się przybyły jak jakoś język ich brzmiał mu dysharmonicznie, obco, i jak mu się

strasznie wydali.... gburowatymi.... Był to skutek przebywania w Ruszkowie i zaszłój w nim samym zmiany, którój nie poczuł, aż teraz, gdy ją mógł wymierzyć porównaniem. Nawzajem Robert się im zdał paniczkiowatym, jak nie był nigdy.... Patrzali na siebie ze zdumieniem — nie oziębiło to przyjaźni, ale nastrój do jednego tonu był trudny....

— Cożes ty się tam nie ożenił? he? nie kochał przynajmniej? spytał Dryja klepiąc go po ramieniu....

— Dotąd, nie — rzekł Robert — a wy?

— Dryja się kocha w pannie Zofii.... wiesz?... szepnął pół głosem Sobotkowski.

— A on w młodszój marszałkównie! do drugiego ucha nachylając się szepnął Dryja....

— Pleciesz !!

— Panien mamy ładnych huk.... dodał wesoło Sobotkowski — kawalerów brak — tylko wybieraj....

Robert udawał wesołego — ale mu było jakoś dziwnie.

— Długo ty tu zabawisz? spytał Dryja.

— Pewno nie bardzo, bo wiecie jaki czas gorący, a ja mam gospodarstwo na głowie.

— A ! głupstwo — krzyknął Sobotkowski — a od czegoż ekonom ! Za cóżbyśmy ich płacili, gdybyśmy jeszcze musieli sami być niewolnikami? Ja.... sobie z gospodarstwa nic nie robię.

— I ja niewiele — potwierdził Dryja.... no, jużciż najrzej potrzeba, ani słowa.... ale u nas jak raz machina nakręcona, samo jakoś idzie.

— Otoż bo widzicie, że u mnie machinę tę nakręcać jeszcze potrzeba.... rzekł Robert — dla tego ja tam niezbędny.

— No — ale zawsze.... zabawisz z nami.... rzekł Sobotkowski. Ażebyś też nie był u mnie, dawnego kolegi.... tobym cię z kretesem przeklął.

— I jabym z przyjaźni skwitował! dodał Dryja.... o tém nie ma i mowy....

Gdy Roberta odwołano, spojrzeli po sobie.

— Wiesz, strasznie mi paniczykowato wygląda Robcio — rzekł Sobotkowski, — zmienił się mocno.... Słyszałem, że go tam do pańskich domów wciągają. Chłopak ładny.... Posmutniał, nie swój.

— W istocie trochę rezonu stracił — rzekł Dryja — ale kto to może wiedzieć od czego! Chłopak dobry z kośćcami....

— Słyszałem z boku, że się major wygadał, jakoby mu chciał puścić Żabliszki — pewnie go ożenią.

— Z kim myślisz?

— A kto to wiedzieć może! Marszałek bardzo mu się uśmiecha.

Sobotkowski, który w istocie miał na jedną z córek marszałka widoki, minę zrobił osobiwą.

— Gdyby o starszą się chciał starać, zrobiłby mi łaskę, boby do młodszej utorował drogę — odezwał się, — a młodszej nie wydadzą przed starszą....

— To mu podbij bębenka....

W istocie tego dnia młodzi i starzy, jakby się zmówili, czy coś przeczuwali, wszyscy myśli matrymonialne poddawali Robertowi, który je z zakłopotaną miną przyjmował, zaręczając, że jeszcze się stanem kawalerskim nie nacieszył.

Erdziwiłła, który się do innych przyłączył poddając mu myśl o ożenieniu, zbił Robert tém, że sam on dobrego nie dał mu przykładu, choć dawno czas było.

— Al to wcale co innego, bratku — odpowiedział Erdziwiłł. Widzisz acindziej — ja jestem z natury bałamut, czekam, znając siebie, aż się ustatkuję. Ty zaś już jesteś gotów, *paratus ad matrimonium*, boś bardzo porządny chłopiec.

Śmieli się wszyscy z niezgorszego tłómaczenia.... Obiad był, jak zwykle z piramidą, galaretami i toastami. Marszałek sam wniósł zdrowie solenizanta, na które gospodarz odpowiedział zaraz toastem na cześć głowy obywatelstwa.... Wyrażenie było nieco hyperboliczne, bo pocziwy marszałek sam nie miał tego co miał reprezentować, ale że powiat karmił i poił od lat wielu — to mu wszyscy przyznawali. Wypito i zdrowie konsolacyi majora, to jest pana Roberta, i mnogie inne, tak, że od stołu

wstając, wszyscy byli dobrze podchmieleni, serdeczni — uściskom nie było miary i zgoda panowała między powietnikami najprzykładniejsza.

Robert, który musiał ojca zastępować, dolewać, prosić, zyskał sobie serca wszystkich swą uprzejmością. Ile go to podczaszowstwo kosztowało — nie dał poznać po sobie. Staremu obyczajowi w starym domu szlacheckim, potrzeba było być posłusznym. Major sam chętnie spełniał parę kieliszków węgrzyna, ale się zalewać nie lubił — na syna więc zdał owo «przymuszanie,» które jest poczytywane za oznakę prawdziwej gościnności — i Robert jak umiał i mógł, zmuszał....

Obiad skończył się o zmroku, a że się niebo ku zachodowi wyjaśniło, wyszli wszyscy z cygarami na dziedziniec i do ogrodu. Niewielu się powymykało do domów, inni pozostali na gawędkę, herbatę i wiścika, który trwał niemal do rana.... Stopniowo przerzedzało się jednak, i gdy świtać miało, ostatni gość odjechał.... Major fajkę palił w ganku zamyślony....

— Dobry to lud — rzekł zamyślony — no — ale — prawdą a Bogiem....

Nie dokończył, spojrzał tylko na syna, który się uśmiechał.

— Hałasować lubią strasznie — dodał po chwili...

Znowu nastąpiło milczenie.... i dodatek:

— Ale dobre, serdeczne ludziska! Gdyby im Pan Bóg dał tyle głowy co mają serca.... nie przedziwniejszego nad nichby nie było. Jakże ci się podobało sąsiedztwo? dodał major.

— Słowo w słowo tak jak ojcu....

— Za tę grzeczność, którą nam wyświadczyli zjeżdżając się tu — a prawdę rzekłszy, ja na nią nie bardzo zasłużyłem, bo mało gdzie bywam — musimy się wywdzięczyć.... Trzeba konie zawczasu przygotować do objechania sąsiadów. Rozumie się, że ty ze mną — rzekł spoglądając synowi w oczy major. Prędzej, później, a mnie się zdaje, że nawet prędko bardzo, w Żabliszkach ci się trzeba będzie lokować — zatém.... pokumać się nie zawadzi.

Robert zmilczał.

— Ja trwam w téj myśli, żebyś się ty tu prze-
niósł....

— A mnieby boleśnie było ojca ztąd rugować — odpowiedział Robert — nie zgodziłbym się nigdy na to z dobrej woli, bo toby było ofiarą, daleko nawet cięższą dla kochanego ojca, niż się zdaje....

— Ofiara dla ciebie, moje dziecko, nie może mi być ciężką, ale słodką, rzekł ojciec — wierz mi....

— A dla mnie ona byłaby brzemieniem na sercu — odezwał się Robert.

— Tymczasem omyłkę, którą ja popełniłem, mówił major, w jakikolwiek sposób należy naprawić. Zdawało mi się — kalkulowałem.... no — słowem,

chybiłem tém, żem cię tak daleko od siebie odsunął. Tęskno mi samemu, niepokoję się.... Chciałbym cię mieć bliżej. Trzeba będzie, jeśli się inaczej nie da, z lichem odstąpić komu Zahaje — a inaczej się urządzić....

— Ojciec kochany wie, że kontrakt dzierżawy subarendować nie pozwala — odezwał się Robert.

— Ekonoma posadzimy — gotowem dać Burańskiego.

— Ernest dobry człowiek, ale na tamtém gospodarstwie rady sobie nie da....

— O! o! nie święci garnki lepią. Parę bąków strzeli i połapie się potem. Choćbyśmy jaki tysiąc stracili — bierz go lichem....

Nie stawało argumentów Robertowi, zamilkł trochę lecz oko ojca łatwo mogło dojrzeć, że nowe projekta nie były mu po myśli. Tém mocniej przy nich chciał obstawać, biorąc to za oznakę, że Robert istotnie — zaplątał się w Ruszkowie.

Rozeszli się o białym dniu.... powarzeni. — Trzeciego dnia major zapowiedział, że po rannym obiedzie pojedą do marszałka, który na wsi przebywał. Owdowiały, pierwszy urzędnik powiatowy, miał, jak wiadomo, dwie córki wielce utalentowane, o których już Robert wiedział. Widywał je dziećmi jeszcze....

Dom głowy obywatelstwa, jak ona sama silił się na to, aby się wydawać bardzo pańsko i arystokra-

tycznie. Wysiłek to był dla skromnych oczu szlachty aż nadto wystarczający do dania wyobrażenia wielkiego o dostatkach i wykwinnym guście czci-
godnego urzędnika. Przyjmował w nim nieraz wy-
sokich dygnitarzy z gubernii — i było po pańsku
jak należy; ale — wszystko to widziane z bliska
czuć było tandetą. Nie brakło żadnej rzeczy, któ-
rej wymaga obyczaj, począwszy od szampana do li-
beryi, ale szampan był krajowej fabryki, a liberya
nicowana i farbowana. Urzędowanie rujnowało,
nie można było zejść z tej stopy, na jaką się raz
weszło, reprezentując powiat.... Wszystko więc
na oko się utrzymywało — z wielkim trudem —
i do czasu.

W rezydencji był rodzaj pałacyku przy starym
ogrodzie.... a gdy Jazygowie nadjechali, rodzaj
kamerdynera nieogolonego poszedł ich zameldować,
prowadząc do salonu. Tu nie było nikogo oprócz
otwartego fortepianu, nut w nieładzie i mocno wy-
szarzanych krzeseł obitych niby aksamitem — ale
łatanych....

Nie dając się długo rozpatrywać tu gościom,
wszedł marszałek z powitaniem narzekając na za-
jęcie, które go i na wsi ścigało.... Serdecznym
był bardzo.... Zaledwie usiadłszy, zerwał się
zaraz przeprasząc, że ma słówko do powiedzenia
sekretnarzowi i absentował się na chwilę. W są-

siednich pokojach słyhać było szepty i jakby stłumione śmieszki kobiece.

Marszałek wrócił kończąc rozpoczętą rozmowę o niedoborach i gościńcach; potem mówiono o nadziejach urodzajów tegorocznych, i o gradzie, który miejscami szkody porobił... Zaczynano już kwestyę assekuracyi od gradobicia — gdy drzwi się otwarły i siostra marszałka pani Czepińska, w paradnej chustce, spiętej broszą niepospolitą wielkości, weszła poprzedzając dwie piękne panny, z żywymi oczyma, z wesołemi twarzyczkami podobne do siebie i jednakowo ubrane...

Były to panny Liza i Minia marszałkówny. Pomimo nieodłącznego od pierwszego powitania rumieńca dziedzicznego, zakłopotania pewnego, wzrok obu siostr padł ciekawie najprzód na Roberta, potem dopiero na łysinę majora i białą jego chustkę z fontaziem.

Z przybyciem pań rozmowa oczywiście nowy obrot wziąć musiała, który jęj nadała słynąca ze świadomości świata i jego obyczajów pułkownikowa Czepińska. Ponieważ zaś marszałek musiał kwestyę assekuracyi od gradobicia przedyskutować z panem majorem na osobności, Robert wydany został na łup niewlastom.

Pułkownikową miał oko w oko naprzeciw siebie, a pannę Lizę obok, Minia kryła się trochę za siostrę, niekiedy wynurzając się z za jęj ramienia,

aby ukradkiem rzucić wzrok śmiejący się na Roberta.

Obie panny były w humorze wesołym, do wybuchnienia ze śmiechu skłonny, co tworzyło wybitną sprzeczność z pułkownikową tonem surowym, mową napuszoną i postawą wykrygowaną. Pani Czepińska zawsze się trzymała w tém usposobieniu, aby niém hamować panny, zbyt usposobione do chychotania....

Wypytywano Roberta o towarzystwo, jakie miał w tych stronach, w których przebywał, o jego zajęcia — czy lubił muzykę, czy tańczono w Zapusty, czy bywały bale i t. p. Młody Jazyga musiał oświadczyć, że mało gdzie bywał, zajmował się gospodarstwem, i lubił samotność. Pani Czepińska w części to pochwalając, znajdowała, że młodość ma swoje prawa i że zabawa dla niéj prawie koniecznością jest.... w dobrém towarzystwie. Panna Liza wmieszała się opowiadając o balu u ojca ostatnim i jak się doskonale bawiono; potem o Zapustach u państwa Wymierskich, które były bardzo świetne.... Wśród opowiadania Minia kilka razy parsknęła śmiechem, do którego żadnej jawnej nie było przyczyny, co zgorszyło niezmiernie pułkownikową. Za trzecim podobnym paroksyzmem uciekła za drzwi i nie powróciła aż przeszedł....

Jak potem do tego przyszło, iż Robert zniewolony był prosić, aby panny zagrały, jak się one nie-

zmiernie wymawiały rozstrojeniem fortepianu, jak pułkownikowa skłoniła je do zagrania na cztery ręce uwertury z Freischütza.... tego opowiadać nie będziemy. Dom rozległ się muzyką, rozgłosną, którą wszyscy admirować musieli. Po uwerturze, śpiewała Liza piosnkę francuzką: «L'Ange blanc....» Minia piosnkę Moniuszki — a Robert zmuszony był przez pułkownikową do pochwał nadzwyczajnych, z których się wywiązał z ręcznie. Pani Czepińska upewniała go po cichu, iż talent Lizy zdumiewał wszystkich wirtuozów; że Minia, gdyby mogła jeszcze brać lekcye, śpiewałaby jak Catalani....

Nastąpiła przepysznie podana, na mocno zużytem srebro herbata. Nadszedł na nią w vice-mundurze, ogolony ładnie sekretarz z czubem starannie do góry podczesany. Dosyć wzgardliwie patrzył nań panny, chociaż miał gruby łańcuch u zegarka i wielki pierścień na palcu.... Nie mówiono do niego, tylko go raz marszałek sam zagadnął.... Przy nalewaniu herbaty, każda potracona filiżanka, pośliznięty imbryczek.... wywoływały znowu tłumione panien uśmiechy. Marszałek się oglądał oczyma wskazując majorowi te wyśmienite swoje chychotki, z których jedną nawet za twarz uszczypnął. Pułkownikowa wejrzeniem dała mu poznać, iż te czułości przy obcych były trywialne. Sekretarz cały był w swój herbacie i prostowaniu się

po każdym nachyleniu, które mu poważniejszą jeszcze, urzędową nadawało postać....

Od dawna tak okropnej herbaty nie pił Robert, lecz nie dał tego poznać po sobie. Major zręczniejszy upewnił skosztowawszy, że ona mu sen odbiera, i wymówił się od spełnienia tego kielicha mikstury.

Razem z herbatą skończyły się odwiedziny, a marszałek odprowadzając gości, prosił ich, aby o nim nie zapominali....

Gdy bryczka była już za bramą, major spojrzał na syna badawczym wzrokiem....

— Hm? jakże ci się podobało? chcę mówić podobały? spytał....

Robert zrobił minę wątpliwą.

— Dobre panny.... wesołe — mówił major, — pułkownikowa, co je wychowała, osoba szanowna.... ale herbata była niech ją kaci!

Robert śmiechem wybuchnął....

— Panny ładne? nie prawdaż? poprawił się ojciec — hm? cóż?

— A ładne....

— I muzykalne.... myślałem, że cała orkiestra gdy poczęły....

Po rzuconych kilku pytaniach, przekonać się mógł pułkownik, iż zbytniego zajęcia nie obudziły marszałkówny.... i zamilkł. Dojechali do Żabli-szek posepni oba i zmęczeni.

Nazajutrz dla odmiany wypadało jechać do Surymów, aby, jak mówił major, nie sądzono, że same matadory tylko rewizytują. Surym był o mie-dzę, niemający szlachetka, zgryźliwe człeczę, bo nawet z Jazygą się kilka razy zadzierał. Oboje państwo nie mieli pretensyi do żadnych występów i roli, żyli po gospodarsku, skromnie — i piękną swą Zosię wychowali na gosposię, bo i matka była zawołaną gospodynią. Gdy z południa zajechali do dworku w Annopolu, bo wioska od imienia pani była tak przechrzczona (dawniej zwała się pono Świninem, co niedobrze brzmiało), zdało się w początku, iż nikogo w nim nie zastali. Żywěj duszy też nie było w dziedzińcu.

Prawda, iż słońce dopiekało okrutnie. Surym się położył był zdrzemnąć, sama pani była na ogrodach, a Zosia przy niej. Służba się też jakoś porozwlekała i pochowała.

Na progu chodziły dwie kury, prowadząc nader ożywioną rozmowę z kogutem, który siedział na poręczy ławy. Na przyzbie stary pies, podniósł głowę, szczechnął i spełniwszy obowiązek, spał dalej. Nikogo....

Major stał w niepewności co tu począć, gdy z za płota wyrzało coś, krzyknęło, pierzchnęło, i w kilka minut, przecierając oczy wysunął się zaspany Surym, mruczając, i począł narzekać, witając, na żonę i służbę. Utrzymywał, że tylko co się odrobinkę, krztę zdrzemnął.... bo miał ból głowy....

Bez dalszej ceremonii spędziwszy koguta, Surym i sam siadł i gości tymczasowo umieścił na ławie w ganku. Stało się to tak na pozór przypadkowo, lecz było konieczne, bo w bawialnym pokoju leżały motki, które, trzeba było dać czas uprzątnąć i trochę izbę uczynić podobną do ludzi.... Z wolna gospodarz, gdy mu zaspanie przechodziło, stawał się więcej ożywiony i humor mu powracał.... Już się uśmiechał, gdy drzwi się otwarły, i w nich ukazała się Jejmość otyła, w czepku ze wstążkami obfitemi....

— Upadam do nóg pana majora.... a czemu Jegomość nie poprosisz do pokoju, taż to spiekota aż strach!....

Odezwała się Surymowa i wszyscy ruszyli do bawialni ze staroświecka przybraną niewykwintnie.... Mebelki były perkalem pokryte, a jedyną ozdobą zegar na kominie stary bronzowy i dwa naczynia przy nim z porcellany bezimienną. Za panią Surymową ukazała się niewykwintnie ubrana panienka, powinienbym raczej powiedzieć pan-

na, gdyż mimo bardzo młodego wieku, rozkwitła, była potężnie.... Krew z mlekiem! lica rumiane, rumiane rączki, a wzrostem przechodziła ojca i matkę. Wiejskie powietrze, nabiał, ruch i swoboda umysłu dały się jej tak szczęśliwie rozwinąć. Dziewoja była krasna, z twarzą spokojną, z wyrazem łagodnym i flegmatycznym.... Rodzice chlubi byli córką, i w istocie mieli czém, bo nie świeższego, bujniejszego, piękniejszego nawet w swoim rodzaju, widzieć nie było można nad Zośkę Surymównę. Na czole tylko brakło tego co myśl cechuje, w oczach płomyka, w całym wyrazie rozbudzenia duszy.... Zdawała się jakby uśpiona łagodnie.... Tylko co powróciwszy z ogrodu, spoglądała z trwogą na swoje ręce, nieco ziemią powalane, które schowała pod fartuszek. Bieg śpieszny zarumienił ją mocniej jeszcze.... i pierś poruszała się żywo — włosy obfite nieco się porzrzucały; lecz — dosyć je było dłonią przygładzić, Zosia nie czuła potrzeby żadnej elegancyi. Wiedziała, że jej zawsze było ładnie....

Major przedstawił syna, którego pani domu przypominała sobie studentem. Naówczas Zośka jeszcze była małym dzieckiem, które biegało boso.... Robert pamiętał puciołowatą jej twarzyczkę, która się mało zmieniła; stała się tylko poważniejszą nieco....

Wszyscy usiedli, a panna Zofia poszła się za-

jąc przyjęciem. Była ona prawą ręką matki, o czém po wyjściu jój nie omieszkala powiedzieć pani Surymowa.

— A już to, proszę pana majora, będzie gospodyni, jakiej ze świecą szukać i nie znaleźć. Gdyby nie ona, jabym sobie rady nie dała.... Wstanie do dnia, cały boży dzień na nogach, nie dośpi, nie doje, o wszystkiém pamięta.... Mogę się pochwalić tém dzieckiem, bo jest czém....

— Pani to dobrodziejka ja, na swój wzór i podobieństwo, wychowałaś — grzecznie odezwał się major.

— O! już to prawda! rzekł Surym.

Przy całej prostocie przyjęcie tu było lepsze, niż u marszałka, kawa doskonała, sucharki dobre, śmietanka zawieszista. Przyniosła ją służąca z głową obwiązaną chustką i bosemi nogami włożonemi w trzewiki na prędcę.... ale pić było można. Surym do kawy proponował maliniak — niepodobna było odmówić, bo go panna Zofia robiła. Chwalono wielce, Zosia była uśmiechnięta i naiwnie opowiadała, jak to się taki wyśmienity maliniak robi. Widać było, że niepospolitą do tajemnicy wyrobu wagę przywiązywała....

Surymowa zaręczała, że tak ona wszystko na palcach umie, nawet to czego jój nie uczyła — nie wiedzieć zkąd.... a ciasta wielkanocne!! o mój Boże....

Pochwały niezbyt Zosię zawstydzwały, przyjmowała je skromnie, ale nie protestując.... Ojciec dodał:

— Prawda, mości tego, na klawikordzie nie brzdąka, głów nie rysuje kredami i po francuzku nie parluje — ale kto ją weźmie, skarb będzie miał....

I w głowę ją pocałował....

Spojrzawszy w okno, wyjść musiała panna Zofia, gdyż podobno krowy popędzono do obory, przy których dojeniu być musiała. Matka jej nie wstrzymywała. Rozmawiano dobrą godzinę o tém i owém, i już Jazygowie odjeżdżać musieli, gdy panna Zofia z kluczami w ręku powróciła, niosąc z sobą świeży zapach obory, który nie raził nikogo. Żegnano się zatóm serdecznie, i wszyscy wyprowadzali majora na ganek, a pocziwa Surymowa wesoło z niego podżartowywała.... Dostało się parę razy i Robertowi, boć gości należało w dobrym humorze utrzymać.

Zosia z daleka dyg zrobiła, nie bardzo się płoniąc. Gdy na gościniec wyjechali:

— A co? zapytał Jazyga — jak ci się podobali Surymowie?

— Przyznam się ojcu, rzekł Robert — że wiejską ich prostotę stokroć wolę, niż połowiczną cywilizację i niedoszłe państwo marszałka....

— No — a Zośka? rozśmiał się major; dziewczyna jak malina.... choć się wody napij.

— Ani słowa, odezwał się syn: będzie to dobra gospodyni.... bardzo dobra gospodyni.... choć....

— A tak — prochu nie wymyślił, ale do czego to się kobiecie zdało, kiedy ona i strzelać nie potrzebuje? — dodał major.... Zośka jest tak na swém miejscu.... jak nie można lepiej.... Takimi były babki nasze, pracowite, mężne, wytrwałe, prawdziwe żony żołnierzy.... A wierz mi, gdy potrzeba było — serca ich nieraz podyktowały głowie to, czego się najrozumniejszy człowiek nie domyślił. E! mospanie!! nie ma to jak takie Zośki....

Spojrzał na syna: — He?

Robert siedział nie przecząc ani potakując...

— Wam dziś popsutym po trosze, czego innego potrzeba — mówił dalej — niewiasty wedle pani Sand, albo tam jakiegoś wzoru, który naśladować, monstra się tworzą, ni do życia, ni do uciechy, ni do pracy!! Wiek nasz i przez to przejść musi, nim trafi na formułę kobiety, któraby ani w słup nie strzeliła, ani marnie przy ziemi przysiadła....

Zamyślił się major długo....

Zbliżali się do ganku w Żabliszkach, gdy się odwrócił i zapytał:

— Zośka ci się nie podobała? he?

— Bardzo— tylko ojciec wie, ja— ani się kochać, ani żenić nie myślę tak skoro—mam czas....

— Byle potém nie było po czasie! zamruczał major chmurno....

I wysiedli oba....

Koniec Tomu I-go.



A D A.

A D A.

**SCENY I CHARAKTERY
Z ŻYCIA POWSZEDNIEGO.**

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Tom II.



WILNO.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

1878.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 11-го Января
1878 года.

ВИЛЬНА. Въ Типографіи п. ф. Осипа Завадзкаго.
(Завковъ перулокъ, N. 149).

Zmierzchało, światła jeszcze nie podano do salonu, i w mroku ze staroświecka umeblowany pokój spory, który pełnił funkcyę salonowe, wydawał się dziwacznie. Prędzej na tém zyskiwał niż tracił. Światło padające z za firanek gdzieś z lekka zarysowywało wygodne krzesła, których niekształtne linie ginęły utopione w ciemnościach. Odbijało się ono w dużém zwierciadle na ścianie i dawało mu fantastyczne rozmiary, bo ramy ginęły w mroku.... Koniec szklanego pajaka u sufitu świecił resztką szlifowanych szkieł, które go przyozdabiały, a zadanych mu przez czas szczerb widać nie było.... Tak samo ludzaco przedstawiały się stare szafeczki i biurka, w których brakło nie jednego bronzu kawałka, i stara berżerka w kątku ze stoliczkiem na cienkich nóżkach powyginanych, które pod spodem koszycek obejmowały.... Na

ostatek kilka portretów na ścianach, na których migało odbite od zwierciadła słabiuchne światelko uchodzącego dnia, przybierało bardzo uroczysty pozór. Można je wziąć było za arcydzieła Lampich i Bacciarellich, choć tylko z ich szkoły pochodziły.... Nie opodał od okna, przy stoliku, na którym stał dzwonek, leżała chustka, tabakierka i na pół wysunięte z futerału złote okulary — siedziała kobieta nie młoda, co po przygarbieniu poznać było można tylko, strój jój bowiem, bardzo elegancki i wyszukany, mógłby z dała dać ją wziąć za osobę w średnim wieku. Przed nią leżał także rozłożony list z kilku składający się ćwiartek, którego zapewne ciemność doczytać nie dozwalała. Cisza panowała w domu, zegar tylko ukryty gdzieś w tych cieniach, z wolna, metodycznie, nielitościwie, nudząco wystukiwał krok każdy czasu....

Kobieta siedziała zamysłona, niekiedy oglądając się ku drzwiom, jakby się czyjgoś przyjścia spodziewała i doczekać nie mogła.... Spuszczała potem głowę zamysłona i poruszała się niecierpliwie, szepejąc coś sama do siebie.

Upłynęła tak dobra chwila czasu w samotności, aż ze drzwi wiodących w głąb mieszkań, weszła szeleszcząc suknią jedwabną druga kobieta, wysoka, sztywna, chuda, której krok żwawy przekonywał, że była w sile wieku. Rysów jój mrok nie dawał rozróżnić, widać było tylko twarz dłu-

gą, chudą, otoczoną lokami, które nawet po nocy wydawały się przyprawnemi.

— A! cóż to tak, paniuńcie zostawili samą w ciemnościach! — zawołała przyspieszając chodu. Mój Boże — że też pani nie zadzwoniła!

— Niech-no sobie Mikołaj odpocznie.... odezwała się w krześle siedząca.... nim pan Karol nadejdzie, będzie dosyć czasu na podanie światła....

Tu przerwawszy nieco, staruszka wnet ciągnęła dalej podnosząc głowę ku przybyłej. Promyk światła z okna padający na jęj twarz, dał widzieć głowę uśmiechniętej staruszki, jakaby Denner lubił malować, pomarszczonęj a jeszcze zachowującej ślady wielkiej piękności, której lata całkiem zniszczyć nie mogły. Pomimo wieku było wiele życia w tęg maseczce ruchawęj, która się porysowała fałdami mnogimi, nadto może śmiejąc się i płacząc na przemiany, a nie umięjąc być spokojną.

Jeszcze i teraz drgały w nięj wszystkie muskuły, biegały oczka czarne nie zagasłe i usta się mówiąc sznurowały, aby uśmieszek wdzięcznym uczynić. Siwe loki ładnie ułożone z obu stron twarzy, dobrze jęj przystawały.... Czarny czepek odbijał harmonijnie na srebrnych włosach, i cały strój z niewieściem poczuciem piękna był dobrany....

— Moja Dyakowska kochana — no co też ty mówisz na ten list Hortensyi? Ja jeszcze po nim do siebie przyjść nie mogę. Ktoby się to spodziewał! Piorun z jasnego nieba! Osoba tak przyzwolita, rozumna, energiczna! z takim mocnym postanowieniem niewychodzenia za mąż! Nagle — proszę cię — jeden prosty rumiany chłopak, bez edukacyi, bez imienia... Żeby tak na siebie, na wszelkie względy się zaślepić! Powiadam ci — niepojęta rzecz!

— Czyż paniuńcia nie wie, słodziuchnym, zacukrowanym głosem, odparła panna Dyakowska — że kochanęj pannie Hortensyi czasem się przywидуje....

— Ale — proszę cię! szczegóły! fakta! I to co się ze czcigodnym kanonikiem stało — i te pożegnania — te przyjmowania ojca, nie będące we zwyczaju — ekstraordynaryjne. Nie, tym razem to nie żadna imaginacya — ale istotne niebezpieczeństwo....

— Na to nie ma rady, jeśli to prawda! szepnęła panna Dyakowska.

— O! przepraszam cię — przepraszam! Może się znaleźć rada.... ciągnęła dalej staruszka. Trzeba znać naturę ludzką, to się na to poradzić może....

Ja mam myśl.... myśl doskonałą....

Nie pójdę za radą Hortensyi, ażeby familia miała występować, brać ją w kuratelę, reflektować!!

Toby był sposób jedyny rozgniewać ją i przyspieszyć rozwiązanie. My powinniśmy udawać, że nie wiemy nic — a występować chyba w ostateczności.... Na to zawsze czas....

Ja znam pocziwą Adę — ja zawsze się lękałam jakiegoś podobnego końca.... *un coup de tête*. Znudzila się, to nic innego tylko nudy, zmęczenie.... Chce się zmienić jedną biedę na drugą, bo na świecie tak zawsze, człowiek mienia siekierkę na kijek.... a w końcu!!

Staruszka przerwała i żywo poczęła wnet mówić do stojącej i słuchającej z uwagą panny Dyakowskiej:

— Jestem pewna, że gdyby teraz, korzystając z jej znudzenia, przyzwoity człowiek się trafił, dobrze wychowany, wykształcony.... sprytny — wnetby parobczaka swego odepchnęła...

Wielkie dziwo, że sama jedna na wsi, otoczona koczokodanami, przystojnego chłopca sobie wybrała! Ale Ada ma gust i ma rozum, jak tylko mieć będzie w czém zrobić wybór, ręczę ci, głowę daje — da odprawę parobczakowi....

Więc myślą moją jest posłać tam pana Karola....

Panna Dyakowska stała milcząca; nie rychło wyrwało jej się, nieoznaczonego wyrazu i znaczenia: — Aa!!

— Tak jest, pana Karola — śmiejąc się ze swéj myśli szczęśliwéj mówiła daléj staruszka — pana Karola!!...

Tylko — naturalnie, Karol zajedzie do kuzynki przypadkiem i zabawi czując się nieco chorym.... Za skutek ręczę.... Karol.... przyznam ci się, że kazałam go dziś prosić, żeby przyszedł *entre chien et loup*, nim moi partnerowie i goście się poschodzą.... I dotąd go nie ma....

Co mówisz? spytała stara.

Panna Dyakowska poprawiała długie loki *a l'anglaise*, nie mówiąc nic, a zapytanie było wywołaniem jéj zdania.

— Siadajże, moja Dyakowska, pochylając się ku niéj dodała stara — siadaj i mów, ty jesteś *de bon conseil!* ho! ho!

Tęskno jakoś zadźwięczał głos panny, która siadła po cichu, i ręką chwyciła coś na stoliku bezmyślnie.

— Pani szambelanowa wie, że ja — zawsze nie-miłe prawdy mówię. Takie jest moje nieszczęśliwe usposobienie, taki wzrok kaleki, że zawsze widzę złą stronę tylko, jak niektórzy ludzie co wszystkie kolory widzą szaro.

— Otoż to właśnie naprawia mi czasem moje zdanie, rzekła staruszka, bom ja za nadto zwykła widzieć różowo. Co mówisz?

— A! jeszcze nic — odezwała się Dyakowska, ale powiem coś — niedobrego. Nikt więcéj nie ubolewa nad stanem pana Karola nademnie.... ale to człowiek zgubiony, na majątku, na zdrowiu, na duchu.... Jakaż nadzieja, żeby on przyniósł z sobą szczęście pannie Adzie? To drugi tom nieboszczyka jéj ojca....

— A! kochanie, kochanie! co też ty gadasz, moja Dyakosiu! przerwała uderzając w stoliczek stara, aż okulary upadły, które podniosła panna. Nie ma między nimi najmniejszego podobieństwa! Nieboszczyk Pretwicz był prosty rozpustnik, najmilszy w świecie bałamut, zepsuty do szpiku.... lekkomyślny,— bez głowy, bez dowcipu, bez nauki, a Karol....

— A pan Karol ma naukę, dowcip, rozum — prawda paniuńciu, ale nie ma statku.... w nic nie wierzy, z siebie i z ludzi i z cnoty i z honoru i ze wszystkiego się śmieje.... Jest to chodzące widmo, człowiek co się przeżył! zawołała Dyakowska.

— O! ty moja, rozumna! przerozumna główko! Jak to ty umiesz charakteryzować! rozśmiała się stara. No, dajmy na to, wszystko jak mówisz. Czego temu człowiekowi brak? Woli. Niech się ożeni z taką kobietą energiczną jak Ada, ona z niego zrobi, z tego, jak ty mówisz widma i upiöra, żywego i — zobaczysz jakiego człowieka!

— Tak — mogłoby to być — ale mogłoby też być, że pan Karolby nie uległ, i że oboje byliby najnieszczęśliwsi.... i mogłoby być, że onby opanował żonę nie ona jego.... Naostatek czy pani myśli, że on się jój potrafi podobać....

— Potrafi!! — zawołała staruszka — o! co za to, to ręczę.... Ona go widziała tylko raz, pobieżnie, dawno i uczynił na niéj wrażenie.... Ale naówczas Karolowi co innego było w głowie — teraz....

— Tak — teraz szepnęła panna Dyakowska — zrobi co mu kto podyktuje, bo już sam nie wie co ma robić....

Gdy panna domawiała tych wyrazów, przez nieszczelne drzwi pokazała się najprzód w salonie smuga ostrego światła, zapowiadająca, że lampy niesiono, potem lokaj jeden otworzył je, a drugi w dwu rękach wniósł ostrożnie dwie lampy z zielonemi daszkami. Światło, które z niemi weszło do salonu, cały mu jego wdzięk o mroku odebrało.... Był zwiędły, wyszarzany i świecił tylko resztkami dawnych dostatków.... Krzesła okrutnie wysiedziane, kanapa spłowieła, ramy zwierciadeł i obrazów poczerniałe były — smutek starości wiał z każdego kąta. Śmiała się jedna tu twarz ożywiona staruszki.... a naprzeciw niéj siedząca panna Dyakowska, blada, przekwitła piękność, chwytiała za serce wyrazem bólu, jaki się w całym jój obliczu malował.

Gdy służby weszli — przestano mówić. Lampy stanęły na stoliku i kolumnie w kątku, a w rogu salonu ukazał się zielony stolik do gry, na którym już dawniej położone czekały dwie talie kart nierozpieczętowane i marki na miseczkach. Stolik ten, ilekroć się gra skończyła, zaopatrywano na nowo, a kamerdyner, który dochód z kart miał przekazany, pilnował, aby zawsze świeże były.

Służący wyszli — a staruszka, która miała czas pomyśleć — cicho się odezwała:

— Bądź co bądź, z Karolem pomówię. Ma się co stać, niech przynajmniej ktoś z rodziny skorzysta....

Jakby na zawołanie chód się dał słyszeć w przedpokoju. I z chodu można poznać człowieka.... Ktoś ten przybywał z wolna, jakby mu wcale nie było pilno, jakby rad był nie przyjść wcale — stanął w przedpokoju i stał nadto długo — czy rozmawiał z kamerdynerem, czy włosy zaczesywał przed zwierciadłem, czy pył otrzepywał z sukni.... Staruszka niecierpliwie na drzwi patrzyła, a te się otworzyć nie mogły.... Szedł ten ktoś znów nie śpiesząc, rękę już położył na klamce i drzwi nie miał ochoty czy siły odemknąć — naostatek uchylił je, i majestatycznie wtoczył się znudzonym jakimś posuwistym chodem, do salonu. Stanął przed staruszką, skłonił się, coś poprawił w ubra-

niu, przypomniał ukłon pannie Dyakowskiej — i pozostał tak — czekając na to co mu powie starszka, która z wyrazem żywego zajęcia podniosła oczy i głowę ku niemu....

Słówek tylko o tym przychodniu. Był to oczekiwany pan Karol, mężczyzna mogący mieć lat około trzydziestu, wyglądający staro choć był młody — ale zmieniający się łatwo, tak, że jednej godziny bywał naprzemiany i młodym i niemal zgrzybiałym. Czynił wrażenie pięknej, kosztownej chustki jedwabnej, którąby ręka jakaś złośliwa zmieła, potargała, zszyfonowała bez litości. Bardzo piękny mężczyzna, miał twarz rozumem promieniącą, ale widać było, że ten rozum w nim chodził jak sprężyna w zegarze, której nic nie wstrzymuje.... Zegar ten potrzebował gwałtownie zegarmistrza.

Jak młodość i starość, tak w obliczu pana Karola były wszelkie możebne wyrazy smutku, radości, gniewu, szyderstwa, obojętności pomieszane z sobą. Powiecie, że to jest niepodobieństwem? Było to coś nieustannie mieniacego się, drgającego, niestałego.... dziwaczного... Oczy się śmiały, a usta płakały i na przemiany.... Zdawało się to męczyć — miał postawę znużonego i znużonego. Ubranie na nim świeże było, a już obciążeniem się z nim zniszczone, — strój niestarannie włożony. Krawat uciekał w lewo, kamizelka roz-

pięła się nad miarę, z rękawów od koszuli jeden się schował, drugi wyglądał. Na butach lakierowanych były ślady przyschłego błota, z kieszeni wywieszona groziła wypadnięciem chustka. Litość obudzała ta postać zaniedbana jakby z desperacyi.... czy z zobojętnienia na wszystko.... Oczywiście potoczył po saloniku i zwrócił je na staruszkę....

— Co mi babcia każe? odezwał się głosem, w którym czuć było ziewanie. Prawda? stawilem się na godzinę?

— Prawie! odparła staruszka.

Pan Karol dobył z wolna zegarek z kieszeni, popatrzał nań, przyłożył do ucha i chowając go nazad, rzekł flegmatycznie.

— Zapomniałem nakręcić....

W téj chwili panna Dyakowska wstała, i nie mówiąc, parę krzeseł ustawiwszy na swych miejscach, wysunęła się z salonu. Staruszka wskazała siedzenie panu Karolowi.

— Kazałam cię prosić, bo mam pomówić o bardzo, bardzo ważnej sprawie. Gdybyś ty mnie tylko słuchać raczył, nie myśląc o czém inném.

Rozśmiał się siadając pan Karol, wygodnie usadowił, kapelusz wziął w ręce obie i rzekł:

— No, cóż babunia powie? Założę się, że znowu nieszczęśliwego rozbitka swatać będzie!

Uśmiech żartobliwy przebiegł po ustach szambelanowój....

— O! ty! ty! domysłny człecze! szepnęła.... A gdyby i tak było! Dziś mam coś ekstraordynaryjnego, a jeśli pan Karol zechce i weźmie to seryo...

— To się ożeni, babciu! dokończył Karol. Tak— to rzecz wiadoma! A potem.... Żona nieszczęśliwa będzie, on ditto.... Poważnią się, rozejdą i będą znowu świat przeklinali i ludzi!

— To bo nieszczęście, że ty nie masz wiary w nic i do niczego ochoty! westchnęła szambelanova.

— Największa w świecie prawda babciu — rzekł pan Karol zimno, — tak dalece, że nawet w łeb sobie strzelić nie potrafię....

— E! nie plotłbyś — mówmy seryo....

— Słucham, zawsze to rozerwie na chwilę.... dodał Karol.

— Połóż najprzód kapelusz, potem weź ten list i przeczytaj go sam, bo mnie oczy bołą, — gdy go skończysz, będziemy mówili....

Podawała mu list, który on wziął do rąk.

— O! o! trzy ćwiartki! słowo daję.

— Szeroko pisane.

— Charakter panny Hortensyi.

— Ale przeczytaj.

— Cóż to być może? szepnął Karol, i poszedł ku lampie....

Gdy oczy jego przebiegać zaczęły pismo, starszka wlepiła w niego ciekawe, badające wejrzenie, jakby wrażenie, które list robi, odgadnąć chciała. Na twarzy pana Karola nie odbiło się nic. Czytał żywo przerzucając kartki, czytał długo dosyć, doszedł do końca, odwrócił się do starszki i spytał jęj:

— Zatem? co? Nie rozumiem.

— Jakże ty rozumny człowiecze nie rozumiesz tego, że Ada się nudzi, że bierze pierwszego z brzegu, bo nie ma wyboru — i tego, że gdybyś ty tam był, łatwobys odsadził chłopaka.... a....

— A! a! i ożenił się z Adą!!

Pan Karol począł się śmiać, śmiał i śmiejąc padł na krzeselko, nie mogąc się pohamować. Szambelanowa patrzyła nań urażona razem i zmartwiona....

— Cóż tak śmiesznego?

— Babciu kochana! W najszcześniejszym nawet razie, o! cóżbyto było za małżeństwo! Onaby ze mnie lokaja zrobiła; a jabym uciekł z pod jęj feruły piechotą....

— Wszystko to ci się tak zdaje! Ty potrzebujesz kogoś coby tobą kierował, ja ci to szczerze i otwarcie mówię, a to jest jedyna kobieta, któ-

rójbyś panowania nad sobą nie potrzebował się wstydzć.

Spoważniał pan Karol.

— Słuchaj! gusta macie jedne. Ona lubi sztukę, ty przecie i malujesz i z gliny lepisz; ona czytać lubi, tyś wszystko przeczytał co tylko mogłeś; ona lubi muzykę, tyś znawca i wirtuoz.... Będziecie mogli bredzić o filozofii, o astronomii, nie wiem tam o czém, bo ty to wszystko umiesz.

— Nie, babciu — ja tego wszystkiego liźnałem, pokosztowałem i wyplunałem. Na prawdę umiem mało, leniuch ze mnie.... odezwał się Karol. Zdażę mi się, że nawet w tych rzeczach pannie Adzie bym nie sprostał.... bo ona na seryo, słyszę, uczona....

— Ach! na seryo! to dla niej są rozrywki! Biedna śmiertelnie się nudzi! Nie chciała dotąd iść za mąż, wiesz z jakiego powodu.... zmieniła zdanie.... Ty jeden mógłbyś z tego korzystać....

— Nie — odparł pan Karol. Babcia po staroświecku wierzyś w to, że charaktery podobne najlepiej się z sobą godzą. Największy fałsz w świecie. Właśnie najsprzeczniejsze się pociągają. Pannie Adzie trzeba takiego naiwnego chłopaka.... a mnie....

— Pleciesz — przerwała szambelanowa. Ale — słuchajże — cóż ci to szkodzi jaki tydzień spędzić

w Ruszkowie? Spróbuj. Nie — to nie.... Czemuż nie spróbować. A! a gdybyś mnie chciał słuchać?

— Pojechać do Ruszkowa! dla czegoż nie! z najmilszą chęcią, babciu kochana. Pojadę, posiedzę nawet dopóki mnie nie wypędzą, albo się sam nie znudzę.... Tylko....

Pan Karol jedną ręką na drugiej pokazał jakby liczył pieniądze i ruszył ramionami. Szambelanova się skrzywiła.

— A, na to ja ci nie poradzę, rzekła. — znasz moje położenie, jestem biedna dożywotniczka.... ledwie się schodzą końce.... Nawykłam do wygódek....

— Nie, babciu kochana — toby wszystko niczém było — ale....

Odwrócił się ku zielonemu stolikowi, staruszka się rozśmiała.

— Niepocziwy, będziesz ty mi to wypominał! Toć jedyna moja rozrywka.... a ogrywają mnie, to prawda....

— Stary generał.... rzekł Karol.... podgląda w karty, szachruje — radcą.... liczy nie wiedzieć po jakiemu, — nie ręczę i za hrabiego....

— Ten się zgrywa regularnie....

— Wie, babcia — na téj grze podobno generał i kamerdyner cioei wychodzi najlepiej....

— No — ja ci dać na drogę nie mogę, ale — nie maszże sposobu? spytała babcia. Bo tak mi się

chce ciebie koniecznie tam wyprawić, tém bardziej, że ów — parobczak, jak go zowie Hortensya, właśnie na Ś-ty Piotr do ojca pojechał, i miał czas jakiś zabawić.

— Rozerwałbym się — odparł Karol — w mieście ku latu nudy plekielne.... Nikogo nie ma oprócz pocziwego proletaryatu, który śmieszny jest jak maryonетки — ale na długą metę!

Skrzywił usta.

— Nie maszże przyjaciela, coby ci pożyczył?

— A! babciu droga! przyjaciół do ostatniom wypompował — *à blanc* — nie ma co, o nich mówić. Nieprzyjaciele nawet już są zużytkowani.... Słowem nie mam się gdzie obrócić.

— Żebyś na parę set rubli kredytu nie miał!! Cóż znowu!....

— Ani na parę set złotych! zawołał Karol.

— Ale w mieście żyjesz, toż i to przecie kosztuje? spytała babka.

— A! to jest zupełnie co innego, rzekł pan Karol. Kredyt żywego grosza, o tém ani myśleć, ale kredyt jadła, napoju, sukni.... o! tego mi na długo stanie. Najprzód jestem z tymi panami w największej w świecie przyjaźni, *amis cochons!* Gdy mi są potrzebni, łechcę ich miłość własną, i ten środek nigdy nie chybi. Potém człowiek, któremu grubo winienem, lęka się zerwać ze mną, abym go nie porzucił i nie — świsnął. Babciu — co się

tycze życia w mieście, teorię i praktykę doprowadziłem do prawdziwego mistrzostwa — na niczem mi nie zbywa — ale pieniędzy.... Nawet *argent de poche*....

Zamilkł....

— Gdybym mogła, pożyczylabym ci, to jest dałabym — odezwiała się szambelanowa — ale.... nie mam. Jak myślisz, ileby ci potrzeba?

Jak iskrą elektryczną tém pytaniem ożywiony, drgnął pan Karol.

— Ale ba! rzekł — otoż to, że wiele. Pojechać tam i wydać się z tém, żem zrujnowany, kawaler *de bona fortuna*, to się na nic nie zdało. Z dala tak ja zawsze mogę uchodzić za dziedzica Zawiechowa i Tatarki *cum attinentiis*, choć w Zawiechowie Żyd gospodaruje, a Tatarkę mi zasekwestrowano.... Kto tam o tém wie!....

— No — ale przecież? — spytała stara — jak ci się zdaje? ile?

Pan Karol pomyślał.

— Podróż pocztą.... mała rzecz, ale na miejscu służba.... wydatki nieprzewidziane.... Dom za-
możny. To i owoby się kupić musiało na drogę....
Parę tysięcy złotych w kieszeni mieć, to już nie-
uchronne, nieodbite....

Staruszka się wzięła za głowę.

— Zmituj się!

Gdy się ta narada toczyła i szambelanowa rzecz może miała jakieś słowo stanowcze, drzwi szeroko się otwarły, i codzienny gość do wiścika, wszedł generał — siwy, piękny, słusznego wzrostu mężczyzna, w złotych okularach, ze wstążeczkami u fraka, z miną wesołą i ruchami nader wyszukanymi....

— Pani szambelanowej dobrodziejki nóżki całuję!.... Jakże zdrowieczko?...

Pana Karola dobrodzieja....

I śmiał się — nie wiedząc czego....

Jeszcze mu na pytanie czasu nie miano odpowiedzieć, gdy drugi partner, radca, niskiego wzrostu, z dużymi bakenbardami, łysy, sapiący, namarszczony wtoczył się do salonu. Była to *hora canonica*, o której się gra wieczorna zwykła była poczynąć, a moc nałogu była taka, że szambelanowa, zapomniawszy już Karola, zadzwoniła o światło.... bo ostatni partner, hrabia musiał nadejść lada chwila. Nigdy nie chybiał....

Kamerdyner, dla którego głos dzwonka był zrozumiały, wprost już do światła poszedł, a radca za ledwie się przywitawszy, pociągnął do tego kąta, w którym tak miłe spędzał godziny. Szambelanowa nie potrzebując pomocy, wstała z krzesła, wyprostowała się nieco, i także zmierzała już ku zielonemu stolikowi, gdy hrabia się ukazał.

Ten czuł, że się opóźnił, pośpiesznym krokiem podszedł — niespokojny czy go kto nie ubiegł. Mężczyzna był niemłody, siwy, z ruchami gorączkowymi, poznać po nim było łatwo, że się przy kratkach klócić musiał, a z surowego wyrazu, że grę brał bardzo seryo.... Zaledwie się przywitawszy, dążył na miejsce....

— O małym się nie spóźnił, rzekł — ale teraz wszystkie zegary powaryowały! Nie ma ani zegarmistrzów, ani porządku.... tandeta.... ludzie — rzeczy — wszystko tandeta.

— Siadajmy, nie ma co tracić czasu — odezwał się generał, który już karty z zawinięcia dobywał, tasował i pilno mu było rozebrać je, aby wiedzieć gdzie siądzie. Miejsca przy stoliku tygodniami, miejscami były jedne fatalne, drugie szczęśliwe.... dobijano się o niektóre — krzywiono się na inne.... Z chciwością każdy spójrzał na wybraną kartę — pani szambelanowa, prawem gospodyni i niewiasty, pierwsza sobie miejsce wybrała. Ale nim siadła, skinęła na Karola, który stał zadumany, i szepnęła mu do ucha:

— Przyjdź-no jutro....

Właśnie w tym momencie panna Dyakowska wsunęła się z drugiego pokoju, gdyż miała się zająć herbatą, do której współcześnie na dalszym stoliku czyniono przygotowania.

Pan Karol rzucił na nią okiem, które spotkało wejrzenie na niego skierowane, i zbliżył się poufale do panny, jak do starój dobrej znajomój.

W oczach panny Dyakowskiej malowało się chłodne jakieś politowanie....

— Czy pani i mnie da herbaty, jeżeli na nią zostanę?— spytał Karol.

— Mogę to uczynić — odezwała się panna, — chociaż wątpię, aby panu nasza herbata smakowała....

— Dla czego?....

— Pan z pewnością do innój przywykłeś.

— Być może, ale teraz odwykam od wielu rzeczy — rzekł Karol — pani to wiadomo.... Moje zapusty skończone, posypałem głowę popiołem i post zacząłem....

— Gdyby pokutę — wtrąciła panna....

— Nie, szanowna pani, dodał śmiejąc się weselej: gdyby nawet pokutę, nie pomoże mi nic. Sam wiem, że jestem zgubiony....

Tu pochylił się ku pannie Dyakowskiej.

— Pani wiesz o projekcie? bo jakżeby babcia przed panią sekret miała? Oryginalny—podoba mi się dla tego, że i dobrego serca babci dowodzi, i jest.... do niczego niepodobny!! Ja lubiłem zawsze grać i stawiać....

— Staw pan.... rzekła panna zajmując się herbatą.

— Ba! nie mam już nawet na kartę.... a babcia.... przy najlepszych chęciach....

— A! ani myśleć, najlepiej znam stan kassy szambelanowej, bo ją trzymam; o tém nie ma co i myśleć.... Ale—dodała śmiejąc się dziwnie, sztydersko jakoś panna Dyakowska—ukłoń mi się pan pięknie, uśmiechniej—a ja—może sposób znajdę....

To mówiąc spójrzała nań oczyma, w których była i litość, i nie wiem jakie jeszcze uczucie. Pan Karol drgnął i cofnął się nieco.

— Jakiż sposób? spytał....

— Ile panu potrzeba?

Zawahał się z odpowiedzią—jakby mu teraz dopiero się wstyd zrobiło....

— A! co tam! rzekł....

— Ja panu pożyczę moich własnych—chłodno rzekła panna.

— Tak, tylko trzeba, byś pani wiedziała, że ja nigdy nie oddaję—rozśmiał się w żart to obracając Karol.

— Zdaje mi się, iż mnie pan nie posądzasz, aby to było dla mnie tajemnicą—obojętnie odrzekła panna Dyakowska....

Karol zmieszał się jakoś; mimo całego cynizmu, do którego przywykł, w téj chwili przykro mu się zrobiło. Traktowany był jak żebrak niemal.... Rumieniec na twarz mu wybiegł i zniknął. Możeby nie czekając na herbatę wysunął się z salonu, gdy-

by mu w téj chwili nie podano filiżanki, przy której siadł mieszając bezmyślnie łyżeczką....

Panna Dyakowska, nie patrząc na niego, roznosiła inne filiżanki, i nie zdawała się uważać jak tego zobojętniałego człowieka dotknęła swą ofiarą.... Pytał się siebie co to być mogło.... próba — zemsta — obelga czy — przyjaźń??

Znał pannę od lat przeszło dziesięciu.... Był czas — że się do niej uśmiechał, że lubił z nią żartować, znajdował ją rozumną i miłą.... Ona od tego czasu pozostała zawsze jednostajna — on miał się czas zmienić wielce.... Smutna ta blada twarz, chłodna, zajmowała go teraz jak jakiś sfinks nieodgadniony....

Dopijał prędko swój herbaty, gdy parę znajomych weszło do salonu, pozdrowić szambelanową, która choć gry nie opuściła, przyjęła ich grzecznie i poczęła o nowiny pytać. Pan Karol korzystał z tego, i niepostrzeżony wymknął się, chociaż w progu spotkał jeszcze wzrok panny, od którego tém prędzej umknął jeszcze. Wydał mu się szyderskim.... Nazajutrz przed dwunastą, posłuszny pan Karol znowu był w tym samym salonie, który po dniu jeszcze się smutniejszy, bardziej zabrukany wydawał. Przez wieczór i noc miał czas dobrze się rozmyślić nad projektem babuni.... Nie przypuszczał nigdy, aby mogła znaleźć się na świecie kobieta rozumna, któraby go sobie za towarzysza żywota

wybrać miała — wyobrażenie o Adzie robił sobie wielkie, nadziei więc najmniejszej — ale — ciekawość go brała.... Nie miał na świecie nic do roboty, oprócz wywijania się wierzyicielom, i różnym niewygodnym stosunkom z płcią oboją, w mieście było nudno. Kosztem babci, albo czyimkolwiek bądź pojechać na wieś, do domu, w którym wedle wszelkiego prawdopodobieństwa stół musiał być dobry i gawędka przyjemna — uśmiechało mu się.

Ciekawy był i tój Ady, którą raz widział w życiu, a o której dziwy prawiono, i tego jój ulubieńca, i sąsiedztwa....

Wszystko więc mówiło za tą podróżą. Gdy wszedł do salonu, szambelanową zastał u stolika nad marmurem, przypadkowém écarté z hrabią.

Skończono partyę; hrabia, widocznie wprzód ostrzeżony — natychmiast panią pożegnał i oddalił się. Zostali sam na sam.

— Cóż? rozmyślałeś się?

— Nie było o czém myśleć, babciu. Że ona się we mnie nie zakocha, to rzecz pewna.... Przyznam się, że gdyby się dopuściła takiej niedoręczności, straciłbym o niej dobrą opinię. Że ja się nie zakocham, to też pewna; gdyż jestem już w tój porze życia, kiedy panny dojrzałe nie czynią na nas wrażenia — ale wyrostki.

Babcia się oburzyła.

— Pleciesz.... paskudny.

— Prawdę mówię — ale — to nie przeszkadza, żebym nie miał pojechać — rzekł Karol. Babcia co wszystko wie, i to wiedzieć powinna, czy panna Ada ma dobrego kucharza....

— Doskonałego! potwierdziła stara, stół ma być wykwinny.

— A zatém — doskonale! jadę, jadę — o to tylko idzie, z kąd dostanę pieniędzy....

Staruszka zakłopotana zrobiła minkę — osobliwą.

— Gdybyś też obiecał — nie — ale bez obietnicy postarał mi się oddać....

— Wie babcia, to nadzwyczaj będzie trudno.... rzekł Karol — ja jestem człowiek otwarty. Zkądże ja i kiedy mogę to zapłacić? Nawet nie mam tego w mojej naturze, ażebym dostawszy pieniądze, długi płacił....

— Bo, bo.... widzisz — szepnęła babcia — to są pieniądze — nie moje....

— Czyjeż? spytał pan Karol.

— Ta pocziwa, dobra moja Dyakowska, złote serce — ona mi sama zaproponowała. Nie ma wiele.

Skrzywił się pan Karol.

— Tych pieniędzy ja nie wezmę! zawołał — dziękuję. To być nie może... Jestem utracyusz, lekomyślny.... ale — nie — nie mogę. Sama ta myśl panny Dyakowskiej, która mnie dobrze zna — jest.... jest ja nie wiem.... Nie! to się nie godzi!!

Staruszka zarumieniła się.

— Gdybyś wiedział jak mi o to bardzo idzie, żebyś tam pojechał! Choćby tylko dla przekonania się o prawdziwym stanie rzeczy. Na pisanie Hortensyi spuścić się nie można. Jój się przywiduje.... Kto wie? może ona wcale nie myśli wychodzić za mąż.

Tu spuściła oczy babcia.

— A — gdyby — gdyby — gdyby to była, tak sobie, jakaś przemijająca fantazyja.... proszę cię — co nam do tego!

Rozśmiał się Karol.

— Oczywiście — nie powinniśmy w takim razie przeszkadzać, bo kto z nas, babciu, nie miał fantazyj?

Staruszka go uderzyła chustką po rękach.

— A! ty, ty, niepocziwy!

— A osoba, która ma fantazyje — dodał Karol — dla rodziny jest zawsze naówczas czulszą.... Nie prawdaż?

Staruszka zamysliła się nieco.

— Wiesz co? — No to jedź już z temi pieniędzmi Dyakowskiéj, ja jój dam skrypt na siebie.... i — zapłacę.... Trzeba coś zrobić dla swoich.... Gdyby mnie ten generał tak nie ogrywał!

— A na cóż babcia gra?

— Jak ty się mnie o to pytać możesz? ty? spytała staruszka — ty co znasz co są nałogi i coś połowę majątku puścił w karty?

— Niestety! babciu, dla tego, rzekł z miną poważną Karol, obowiązkiem jest moim nieszczęśliwą dołą moją stawić jako przykład okropny! Teraz młodzi starszych uczyć są obowiązani....

Zaczęła się niby śmiać szambelanowa, i z wolna dobywszy z pod chustki zwitek przygotowany — wcisnęła go do rąk Karolowi. Zawahał się on z początku, wstyd mu się trochę zrobiło.

— Z warunkiem, że pannie Dyakowskiej....

— Dam skrypt, bądź spokojny — odezwała się babcia. A teraz jeszcze warunek odemnie. Jedź mi zaraz. Jeżeli dwa dni zostaniesz w mieście, to stracisz pieniądze....

— A! babciu....

— Daj mi słowo honoru!

— Strasznie wyszarzane.... nie mogę....

— Powiedz, że pojedziesz — jak mnie kochasz....

Karol rękę położył na piersiach.

— Niech się babcia nie obawia. Największą assekuracją jest to, że moim własnym interesem jest wyjechać ztąd. Pył, nuda i gorąco.... Spotykam się co dzień, a to z krawcem, któremu muszę czapkować, to z szewcem, którego częstuję cygarem.... to z restauratorem, którego przyjacielem być muszę — a tak — wolny jak ptaszek, ulecę na tych skrzydłach w światy marzeń i nadziei.... do młodości zgasłej światów.... odrodzić się w powietrzu wonią wsi naszej przejętém! A!...

Mówił to tak pociesznie a seryo, że babcia się serdecznie uśmieła. Nie uważali oboje, iż z za drzwi niekiedy ukazywała się i nikła twarz blada panny Dyakowskiej — jakby ona tam na posłuchach stała.

Karol wstał.

— A zatém kiedy w podróż?

— Po jutrze najnie—za—wo—dniój! uroczyscie to przyrzekam.... Prosiłbym tylko o tajemnicę, ażeby partnerowie babci o tém nie wiedzieli. Nigdy nie można obrachować, jakie ludzie mają stosunki. Mógłby który z nich co bąknąć, i doszłoby do jednego z tych czujnych opiekunów, którzy radzi są zawsze mnie mieć na oku. Niegrzeczny jaki, mógłby położyć — veto....

— Ale ja nie powiem nikomu w świecie.

— Babcia — wytrzyma?

— Przynajmniej do wyjazdu twojego.... który nastąpi po jutrze — tak?

— Tak — pojutrze....

— Czekażże! Na tém nie dosyć — ja dziś, zaraz, muszę list Dyakowskiej podyktować do Hortensyi!

— Babciu! ażeby mnie wzięła w swe szpony!!

— Nie — w opiekę.

— To wychodzi na jedno. Zmiłowania, babciu droga! litości....

— Słuchajże.... Nie ominiesz jój bądź co bądź; lepiej więc, aby o tobie wiedziała wcześniej. Bądź pewien, że ci się przyda....

— Niestety! z takim sprzymierzeńcem odezwał się Karol — wyprawy się wyrzec można. Byłem z nią raz przez trzy dni, gdy odwiedzała rodzinę.... Kuzynka to nasza, osoba szanowna, ale ja ją liczę — do harpij....

— Jednak widzisz, że gdyby nie ona, niebyśmy się nie dowiedzieli — i —

— Jabym nie mógł wyjechać — prawda! rzekł Karol ze skrucą.

— Oznajmić panie Hortensyi o przybyciu twojem — koniecznie potrzeba.

Skłonił głowę z rezygnacją pan Karol.... i zabierał się do wyjścia....

— Przyjdźże na pożegnanie! zawołała za nim staruszka.... koniecznie....

Przechodząc przez przedpokój spotkał pannę Dyakowską, która pozdrowiwszy go z daleka wejrzeniem, skryła się prędko. Karolowi widok jój sprawił niemal wyrzut sumienia — zarumienił się jak student i wyszedł prędko. W progu przyszło mu na myśl cały ten nedorzeczny projekt porzucić.... pieniądze odesłać babce, nie pokazywać się więcej i zostać na bruku, mimo gorąca, pyłu i nudy. Nim doszedł do mieszkania trzy razy zmieniał postanowienie — o cóż chodziło? Szambelanowa miała za

niego zapłacić? A jednak ta podróż kosztem i pieniędzmi ubogiej panny Dyakowskiej — upakarzała go dziwnie i humor mu odbierała.

Cały dzień chodził zwarzony — nie swój, a że to usposobienie było mu niezwykajne, przyjaciele i znajomi domyślali się czegoś groźnego.... dopytywali go.... Karol ruszał ramionami i za podejrzenia się gniewał. Drugi dzień już był do zniesienia łatwiejszy, — ludzie podobni panu Karolowi czują silnie wrażenia, ale ich długo nie zatrzymują w sobie. Pozbywają się wszelkiej zgryzoty, stawiając przeciw niej świeższe wrażenia inne — lub zamordowując ją argumentami, które jak opium u chorych, stoją zawsze w pogotowiu....

Podróż była stanowczo zapowiedziana, służącemu wydano rozkazy, przy drzwiach zamkniętych pakowano tlomoki.... Wieczorem poszedł się Karol pożegnać i jak zawsze, zastał szambelanową przegrywającą i zmartwioną, hrabiego klóćącego się o re-nons z radcą, generała zajętego obliczaniem punktów, a pannę Dyakowską robieniem herbaty. Ta się jednak wkrótce wymknęła i nie pokazała więcej.

Gdy robr się skończył, szambelanowa wstała się rozprostować, jak mówiła — i podeszła do Karola.

— Jedziesz?

— Przyszedłem się właśnie pożegnać! rzekł Karol.

— A zatém, po staremu, niech Pan Bóg błogosławi....

Karol się skrzywił.

— Nadto mam o nim dobre wyobrażenie, rzekł, ażebym przypuszczał że w téj sprawie udział brać zechce....

— Pleciesz! syknęła staruszka — wiesz, że ja tego nie lubię.

— Milczę — i żegnam — dodał Karol — bo nie chcę przeszkadzać.... i życzę szczęścia do wista.

Babka go w głowę pocałowała.

— Napisz przynajmniej co się tam dziać będzie....

— Ja! pisać! zakrzyknął Karol z oburzeniem — a od czegoż panna Hortensya?

Zajrzyjmy raz jeszcze do dziennika panny Ady, która od niejakiego czasu więcej zapisuje papieru niż zwykle.

— «Waham się jeszcze czy jechać? dokąd? czy lato całe i jesień przesiedzieć w Ruszkowie? Doktor mi powiada, że ja żadnych wód nie potrzebuję, tylko ruchu, powietrza i — rozrywki.

«Przedziwny! — Gdyby mi mógł dać receptę na to co dla mnie ma być rozrywką? Wszystko nudzi, a nie nie rozrywa. To nawet co wczoraj było zajmującym, dziś już jest nudnym, co wczoraj smakowało, nazajutrz obrzydliwem się staje.

«Jest-li to w ludzkiej naturze, czy moja jest tak popsuta? Stan to zdrowia czy chorobliwy? O to się doktora pytać próżno.... On bierze za puls i czyta z niego jak krew płynie, a duszy co tę krew popędza, wstrzymuje — co w nią ogień wlewa, co jój życie odbiera — duszy oczy doktora nie widzą.... Na duszne choroby niema lekarstwa....

«Zawszem sądziła, że praca leczy, ale trzeba żeby ona była przymusową, ja jestem nadto rozpieszczoną, abym się do niej przynagliła. Trafiam na trudność, jak płynąca woda na kamienie, ale nie mam siły rozprysnąć się i przeskoczyć progu, wracam nazad, rozlewam się po łące.... i z tego się robi nudne błoto, w którym ja grzęznę....

«Gdyby mnie co do pracy zmusiło?? Wola. Usiłuję ją mieć, potem sobie mówię: — Po co? czy to warto wysilać się, aby zabić godzinę życia, którą się i tak przemęczy....

«Nikomu potrzebna nie jestem — nikt się mną nie interesuje, ja mało kim. Ci ludzie są mi potrzebni jak sprzęty, do których nawykłam — nie więcej. Nie wiem czy kogo tak kocham jak moją Madonnę Luiniego....

«Zatém w sztuceby może trzeba szukać ratunku?? Tak, gdybym ja sama artystką być mogła i umiała.... Czuć sztukę, to nie starczy; trzeba by umieć tworzyć — toby cel dało życiu i pochłonięłoby mnie całą.... Za późno! za późno!

«Aby wejść na tę drogę, trzeba było całego zapалу dni pierwszych młodości — dziś byłabym może jak Oblęcki, który nie wie czy ma paść na kolana przed Angelikiem, czy przed Vernetem — i czy ma malować ideały, czy zabłocone buty.... (Napoléon Delaroche'a).

...«Z nudów poszłam dziś odwiedzić moją dawną garderobianę, pocziwą kochaną Kasię, a dziś leśniczynę Rybacką.... Tak mi jój żal! Było jój u mnie dobrze — dzieliłam się z nią wszystkiém com miała — często nawet myślałam, którą się z nikim dzielić nie zwykłam.... Miała wszystkie wygody życia — zapewnienie przyszłości.... czego jój brakło? nie wiem. Dziewczyna rozumna, lubiła czytać, sama się wykształciła niepospolicie. Cieszyłam się nią — przywiązałam się do niej. Jednego poranku przyszła mnie uściskać za kolana.... Oczy miała zapłakane.... Żal jój było mnie opuszczać.... żal — a jednak mówiła, że musi. Najdziwniejsza myśl — chciała wyjść za mąż, wyjść za mąż na to, aby żyć w ubogim domku, na biednej strawie, walcząc z tysiącami troskami; dla czego? — bo chciała być ze swoim Stasiem! Pragnęłam przynajmniej zobaczyć tego szczęśliwego człowieka, co mojej Kasi zawrócić tak umiał głowę. Wyobrażałam sobie, że był jój wart.... Opisywała mi go tak idealnie! Kazałam mu przyjść. Co za rozczarowanie!

«Prosty jakiś pocziwy chłopak, który nawet po-

prawnie się wyrazić nie umiał.... Kasia stokroć rozumniejsza i uczęszsza od niego, ładna, nie uboga.... i rzucała wszystko, aby mu się poświęcić!

«Napróżnom ją starała się odwieść od tego poświęcenia — płakała, mdlała — ale chciała mieć swojego Stasia? Nie mogłam wreszcie i nie miałam prawa sprzeciwiać się jej postanowieniu. Wyposażyłam ją — sprawiłam wesele.... Parę razy była u mnie; z téj elegantki, jaką była, zrobiła się pospolitą kobieciną — ale — powiada mi, że jest szczęśliwa, choć się na tysiąc kłopotów uskarża.... Ze swojego Stasia zawsze jest bardzo kontenta....

«Zapragnęłam choć raz widzieć, jak to ich szczęście wygląda. Chodzę doskonale i z upodobaniem; wzięłam z sobą dwa moje psy podwórzowe, Tyrana i Łyskę, które będąc wezwane do towarzyszenia mi, mało z radości nie poszalały. Gryzły się za szyje, jakby jeden drugiego chciał odpędzić — i sam tylko zostać na straży. Potém się zaczęły wyścigać — słowem, humor do zazdrości. Państwo Rybaccy mieszkają w lesie — dobry kawałek drogi, ale ja znam okolicę doskonale. Dworek leśniczego nie osobiłwie wygląda, ale drzewa szumią w koło.

Nie dochodząc, już widok mnie przerażający uderzył — moja poczeiwa Kasia, z zakasanemi rękami, stojąca nad balią i piorąca sama bieliznę. Mój Boże! do tegoż doszło, że to biedactwo musi się zamećzać taką robotą! Poznała mnie z daleka,

krzyknęła, i otarłszy ręce, wybiegła.... Twarz rumiana znowu, oczy śmiejące się — zdrowa, wesółła.... Nie mogłam tego pojąć....

— «Proszę cię, zawołałam — możeż to być, ażebyś ty była zmuszona sama taką robotę podejmować! To okropnie!

— A! pani moja droga, odpowiedziała, więcéj ze swawoli niż z potrzeby się to stało.... Człowiek się czémś zająć musi. Mam jedną gospodynię i małe dziewczątko sierotę.... Stara poszła po ziele dla krowy i chlewa, dziewczyninę posłałam po jagody.... a sama stanęłam do balii. Najlepsza bielizna gdy ja sama ją wypiorę....

«Byłam niezmiernie zdumiona. Śmiejąc się, ścierając ławy i stoły wprowadziła mnie do dworku.... Jedna izba trochę porządniejsza, ale i w téj razem wiktuały, książki, strzelby męża, kołowrotek, pończocha.... krosienka, a na stole deska do prasowania.

Wszystko to posprzątała, aby mnie — wielkiego gościa — przyjąć....

— «Ale Kasiu kochana — rzekłam — ty, coś miała pokoik tak śliczny, caceczko, coś tak lubiła elegancję, jakże ty tu wyżyć możesz w téj prostéj chacie?

— «A! pani droga! odpowiedziała — gdyby nie to, że mi ciebie żal — nigdy nie byłam szczęśliwsza.... Człowiekowi tak mało potrzeba! Mojego często

w domu nie ma, to sobie o nim myślę, to dla niego przygotowuję wszystko, aby miał co lubi, gdy będzie z powrotem.... roboty mnóstwo, czas pędzi jak strzała — a wieczorem siadamy i — ani się nagadać.... A! mój Stach! mój Stach! żeby pani wiedziała — co to za człowiek.... Nie pozorny on to prawda, mówić nawet ładnie nie umie, ale co to za serce.... a nawet rozum jaki, choć cicho siedzi i chowa się prawie. A za mnie toby się dał zabić....

— «Spodziewam się — odpowiedziałam, bo tyś się dla niego zabiła....

«Nie dała mi dokończyć.

— «A! co też pani mówi. Czyż mogłam kiedy być szczęśliwsza?

Wtém z drugiej izdebki dał się słyszeć pieskliwy płacz dziecka, Kasia porzuciła mnie i pobiegła.... Słyszałam pocałunki i śmiechy, aż za chwilę wyszła jakby tryumfująca, niosąc na ręku rumianego chłopaka, tak brzydkiego jak jój Stach.... Koniecznie mi wmówić chciała, całując go, ściskając, że był najśliczniejszy, a ten się odemnie odwracał i bronił, aby mnie wrękę nie pocałować, czego matka wymagała. Oczy się jój iskrzyły, gdy patrzała na dziecię, pierś drżała, cała była w niém, zapomniała o mnie, o świecie całym.... Żal mi się jój zrobiło — litość uczułam w sercu. Biedna, nieszczęśliwa istota!

«Chłopak dał się posadzić na ziemi i zabawić kłębuszkiem włóczki, został bez trwogi ze mną sam, choć ja nie miałam się odwagi do niego przybliżyć. Kasia poszła tymczasem po mleko dla mnie i chleb razowy....

«Jakie u niej wszystko ubogie, proste — czyste wprawdzie — ale biedni być muszą, gdy ich na nic lepszego nie stało. Cóż potem za los być może tego ukochanego dziecka! takie samo życie trosk, ubóstwa i pracy — jestże się czém cieszyć? Gdy wróciła, ośmieliłam się jęj spytać — czy im na czém nie zbywa?....

«Rozśmiała się całując mnie w rękę....

— «Ależ pani widzi! Dostatek mamy dzięki Bogu, że nam drudzy zazdroszczą.... Dwie krowy! proszę pani.... masło i sery sprzedają — ogród doskonały! Wieprzaków parę możemy wykarmić, drobiu trochę jest.... O mój Boże! karaj tak do wieku! Grosika na czarną godzinę powoli się coś zbiera! Com miała z łaski pani sukien, bielizny, wyprawy to mi na całe życie starczy.... czegoż tu już więcej zapragnąć? chyba aby Pan Bóg Stachowi i mnie zdrowie dawał, i żeby się dziecina (bez uroku) chowała, szczęśliwie....

«A mówiąc to, była jakby rozpromieniona. Chciała mnie oprowadzać po tém swojém gospodarstwie i dostatkach — ledwie się jęj wymówić mogła.

«Niepojęta rzecz.... jak ta Kasia będąc szczęśliwą spowszedniała, zwieśniała. Ją dawniej można było choć do salonu wprowadzić, — teraz — praczka! Ale rumiana, śmiejąca się i tak jęj z tém dobrze, że to usta zamyka....

«Bardzo była szczęśliwa, że ją odwiedziła; ciągle mnie sama całowała po rękach i chciała chłopca zmusić, ale się uparł, aż się na niego pogniwała. Chłopiec się rozbeczał, musiała go tulić i całować.... Patrzałam na to osłupiała.... jakbym na świat weszła inny. Metamorfoza Kasi była i jest dla mnie niepojęta....

«Zdaje mi się, że wieśniała krew jakaś, mimo wykształcenia, odezwała się w niej o swoje prawa — i wróciła do dawnego stanu. Czytałam gdzieś, że z Egiptu przysłani do Paryża na wychowanie młodzi ludzie, choć najświetniejsze tam odebrali wychowanie, gdy do domu powrócą, zapominają wszystkiego i dzieczej. Tak się z moją Kasią stało....

«Jednak opowiadała mi, że wieczorami mężowi czytuje, że się jęj Stach ponauczał wierszy na pamięć.... Jak to z sobą pogodzić?

«Wszystko zresztą mniej więcej sobie tłómaczę, jedną tylko rzeczy nie mogę.... Tak jęj było u mnie dobrze, tak swobodnie, wygodnie.... a wołała dla tego swego Stacha iść pod ubogą strzechę,

znosić ciężką pracę, jeść chleb razowy.... i śmieje się i mówi, że szczęśliwa!! Niepojęta rzecz....

«Jeszcześmy rozmawiały, gdy w podwórzu dało się słyszeć wesołe świstanie. Ktoś wygwizdywał piosenkę.

«Kasia się rzuciła do drzwi, wołając:

— «Mój Stach....

«Świstanie ustało... poszedł się ogarnąć i w krótko miałam szczęście oglądać tego człowieka....

«Naprawdę się go starała wciągnąć w rozmowę.... ledwie umiał usta otworzyć, a taki był śmieszny, bo mu się chłopak naparł na ręce, więc stał przedemną piastując go, a dzieciak go za wąsy targał.... nie dawał mu mówić, kazał się całować....

«Nie wiem z jakim uczuciem opuściłam chatę.... Zmierzchać zaczynało.... Kasia prawie mi do nóg padała i łzy miała w oczach, pocziwe dziecko! Koniecznie i on i ona chcieli, aby mnie pan Rybacki, wzięwszy strzelbę, choć przez las przeprowadził.

«Naprawdę się wymawiała, że mam psy z sobą, musiałam przyjąć towarzystwo pana leśniczego, który za mną postępował. Przez samą grzeczność musiałam go bawić rozmową. Trudność była wielka; dopiero gdy wpadła na lasy i zaczęła pytać o nie, ożywił się i stał po swojemu wymowny. Kocha się tak w lesie jak w swój żonie; mówi, że

w poluby żyć nie mógł. Powiedziałam mu, aby sobie Kasi dał przeczytać Mickiewicza opis litewskiej puszczy....

«Wróciłam do domu dosyć późno — tak, że już pułkownik był niespokojny, a Hortensya zła.... Nie mi się przecie nie stało....

«Kasia jest dla mnie psychologiczną zagadką, nie rozumiem jój, ani tego jój szczęścia.... Dziwnie — dziwnie! Gdym jój pytała, czy się nie nudzi na téj pustyni? zrobiła wielkie, wielkie oczy....

— «A! proszę pani, abo to ja mam czas się nudzić!!

«Tak — a ja — tyle, tyle mam na to czasu! niestety.... Zapomnijmy o Kasi.

... «O panu Robercie ani słychem.... Pytałam się pułkownika, czy nie miał wiadomości od dawnego kòlegi? Odpowiedział mi, że major pisać nie lubi.

«Muszę się przyznać do tego, że mi tego Roberta brak. Jest to rzecz trochę upokarzająca. Są rzeczy niezrozumiałe. Zajmował mnie tą swą naiwnością, dziewiczą, tą pokorą — może sympatją, jaką czuł dla mnie, a która była widoczna....

«Człowiek jest słaby.... wdzięcznym być musi — gdy go kto — kocha....

«Użyłam tylko może niewłaściwego wyrazu, bo on mnie szanuje — no, nie wiem tam co jeszcze, może na to nie ma wyrazu, ale on jest chłodny,

pomiarkowany.... i — oprócz ojca, wątpię by kochał kogo. Ma słuszość, każda miłość to niewola.... A! ta Kasia!... Gdym go żegnała — widziałam wzruszonym nieco — zmieszany był może.... Ja więc jeszcze. Zrobiłam bo sobie niepotrzebny nałóg z tego człowieka. Brak mi go wszędzie, pusto, wszyscy mnie niecierpliwą, zdaje mi się, że ciągle czegoś niedostaje w domu.... Gniewam się i przemódz nie mogę....

«Gdy się schwytam na takiej słabości, oburza mnie to.... Jestem pewna, że on tam się w najlepsze bawi z sąsiadkami ojca, i o Ruszkowie, o mnie zupełnie zapomniał. Jakież mam prawo do jego pamięci? chyba jako troskliwa nauczycielka, co mu się starała rozpowijać głowę!....

«A? jestem przekonana, że ten chłopak, w innych życia warunkach, byłby niepospolitym człowiekiem.... Pojęcie tak cudownie łatwe, — że nie nadto ma przeładowaną głowę myślami cudzemi, czasem mu jego własne przychodzą, którym się zdumiewać trzeba.... Uczy się łatwo — pamięta — i każda go rzecz tak zajmuje, zapala, porywa.... właśnie tak jak trzeba, aby być panem téj rzeczy.

«Pokazało się, żem dając mu książki na drogę, przez jakieś niepojęte roztargnienie wsunęła mu Gautier'a Włochy.... Jemu to na nic nie potrzebne, a mnie było niezmiernie. Miałam wielką ochotę napisać do niego kilka słów, aby mi tę książkę

odesłał. Jest tam opis kościoła Ś-go Marka w Wenecyi, który arcydziełem nazwać można. Ale nawet adresu nie mam, a pułkownika o to pytać nie chciałam, mógłby nie wiedzieć co sobie pomyśleć. Przy tém, pisać do niego, choćby tych słów kilka — zawszeby to było uderzało. Biedna Hortensya, która mnie tak śledzi, zobaczywszy koperty, byłaby chyba zemdląła ze wzruszenia

«Gniewać mnie zaczyna, ta troskliwa Hortensyi opleka. Co ona sobie myśli? Zdaje się być pewna, że jestem zakochana w Robercie, i że łamiąc wszystkie postanowienia moje, gotowam się wydać za niego!

«A! naówczas padłyby wszystkie nadzieje i rachuby familii, która spodziewa się dziedziczyć po mnie. Takie stare panny zwykle dostają kaszlu i umierają z suchot. A ja wcale dotąd nie kaszlę i do téj romantycznój słabości nie zdaję się mieć usposobienia. Co za szkoda!! takby to im było na rękę....

....«Oblęcki wyprosił u mnie żebym mu pozwoliła malować portret Karusi, z której chce zrobić — myślałam, że pękne ze śmiechu — Madonnę. Pocziwa ta Sensytywa, najmniej idealna z istot, bo jedną tylko świeżość płci ma idealną — Madonną! Trzeba na to Oblęckiego, zakochanego, aby wpaść na myśl podobną. Opierałam się jak mogłam, Karusia także zakrzyknęła, ale jednak jój

to pochlebiło, jego robiło szczęśliwym — zgodziłam się, z warunkiem że posiedzenia odbywać się będą w salonie.

«Oblęcki tedy rozpoczął swą Madonnę. Patrząc na rozpoczętą robotę jego — wydziwić się jęj nie mogłam. Ten człowiek ma talent istotny, któremu tylko czegoś, dla mnie nieokreślonego braknie, aby się mógł w pełni objawić.

«Oślupiałam niemal. W istocie zrobił z Karusi Madonnę — podobną do nięj, a inną, tę samą a nieskończenie od Sensytywy idealniejszą. Dobył z tych rysów nieśmiertelny typ, którego one były chybionym wyrazem.

«Cóż z tego? początek jest śliczny, kończąc portret zepsuje go, zrozpaczy i zniszczy.... Bóg mu dał widzenie piękna, a nie dał siły wypowiedzenia go....

«Wszyscyśmy zdziwieni tym portretem.... Karusia chodzi zamyślona przyglądać mu się, jakby rozumiała, że taką być mogła — a nigdy nie będzie.

«Oblęcki na chwilę szczęśliwy — rozpromieniony. Całował mnie po rękach za to, żem pozwoliła. Powiedziałam mu wręcz: Początek jest śliczny, bądź pan ostrożny, abyś dzieła rąk własnych nie zniszczył.... Zostaw lepiej szkic....

«Upaął się kończyć.... Madonna staje się panną Karoliną coraz bardziej....

.... Hortensya chodzi koło mnie, wzdychając nad tém, że od tak dawna nie było u nas kanonika. Udaje przedemną, że nie wie o niczém, chociaż widzę aż nadto z jój oczu, że doskonale jest uwiadomiona. Chce mnie widocznie skłonić do tego, abym upokorzona prosiła o przebaczenie i powołała księdza hrabiego do Ruszkowa. Tego ja nie uczynię: musiałabym się poddać jego władzy. Podzielałam i dzielę wiele przekonań jego, byłam mu posłuszna, gdy o wyższe chodziło cele — lecz zostać niewolnicą ślepą nie mogę. Chcę widzieć gdzie idę, iść o mocy własnej i odpowiadać za uczynki moje przed Bogiem.... Zakonnica mnie uczynić chcieli, zwalniając tylko od klauzury — nie mam do tego stanu powołania.

„Jeżeli kanonik sam przyjedzie, rozważywszy jak sobie postąpił niewłaściwie — nie powiem słowa, będziemy w zgodzie; lecz o zgodę prosić — nie mogę.

„Hortensya cierpi na jego oddaleniu, był to jój najlepszy powiernik, pewna jestem, że pisuje do niego i donosi mu o wszystkiém. Właśnie ta okoliczność, że ma jednym listem więcej do pisania, powinna by ją pogodzić z tym stanem rzeczy. Sądzę, że gdyby nie pisała tych listów, umarłaby biedna. Stało się to dla niej potrzebą, nałogiem, koniecznością.... Żyje tą swą korespondencyą.

„Przebaczam jój to wszystko — jest nieszczęśli-

wa, nie ma domu, nie ma bliższej rodziny, — a duszę jój Bóg dał niespokojną, umysł niecierpliwy. Cierpi.

„Czasem mi dzikie myśli przychodzą, lękam się sama zostać z czasem taką panną Hortensyą.... Ale i Kasiąbym być nie chciała.

„Jestże środek między tém dwojgiem??

....„Śmieszna rzecz.... Spojrzałam dziś w kalendarz!! Liczyłam dni, które upłynęły od Ś-go Piotra.... Robert nie powraca, brak mi go jak szafki w pokoju wziętej do reperacyi przez stolarza. Kąt próżny, oczy na nim spoczywać przywykły. Nic — nic więcej — ale brak....

„Śmieszne! tak się do kogoś obcego przyzwyczaić. Gniewam się na siebie. Obiecywał mi powrócić rychło, ale pułkownik mówił mi znowu, że ojciec chce go koniecznie osiedlić w tych Żabłiskach.... Dla czego? aby co prędzej zabił w nim młodość i zakuł go w niewolę, aby z niego zrobił najpospolitszą w świecie istotę.

„Ale to się u nich szczęściem nazywa!

„Więc mogłoby tak być, żeby go ojciec tam zatrzymał i nie dał mu tu wrócić wcale? Gniewałabym się. Ta stara szlachta trzyma się zawsze starego systemu despotycznego rozporządzania dziećmi.... Tak bywało dawniej: syn stał u progu, póki mu ojciec usiąść przy sobie nie dozwolił, choć miał może siwiejące włosy. Major, jako stary woj-

skowy, musi być skłonny do rozporządzania się jakby jeszcze komenderował batalionem. I biedne dziecko padnie ofiarą tego despotyzmu.

„Ale to być nie może — aby nie wrócił, a jeśli przyjedzie, zbuntuję go trochę.... bo mi żal go, będzie zgubiony. Idzie mi o niego samego! Takie zdolności.... tyle szczęśliwych usposobień, i wszystko to miałoby pójść marnie, dla tego, aby pozyskać parafiańskie, nudne szczęście z krupnikiem i sztuką mięsa....

„Przypuszczam, że trzy dni był w drodze, że trzy napowrót potrzebował — że cztery zabawił u ojca.... Czyż nie dosyć? Jużby powinien być z powrotem. Może powrócił i nie przyjeżdża?

„Ale zdaje mi się, że to nie może być. Nadto pocziwy chłopak ma dla mnie.... szacunku.... sympatyj. Ja pierwsza otworzyłam mu oczy na światy myśli, na niebiosą sztuki....

„Byłby niewdzięczny dla nauczycielki....

„Niewdzięczność!... wszak-ci to najnaturalniejsze uczucie, którego się zawsze spodziewać należy. Człowiek, któremu się uczyniło dobrze, mści się za to upokorzenie. Przypomina sobie, że był sam bezsilny, że potrzebował pomocy.... Tak mówią głębcy moralisci, i dla tego — niewdzięczności zawsze się trzeba spodziewać....

.....„Oblecki podarł Madonnę, ja to przewidywałam. Chodzi i rozpacza. Od dwóch dni nie poka-

zywał się u stołu. Karusia jest zmieszana i niemal także łzawa....

„Robiłam postrzeżenia nad tą naturą Sensytywy. Widoczna w niej jest potrzeba (słabość — choroba) kochania. Póki był Robert, rzucała nań takie wejrzenia, żem się obawiała, aby się w chłopcu pożar nie zajął — szczęściem jakoś nie widział ich, czy nie zrozumiał. Teraz Oblęcki poruszył czule jój serce, ma litość nad nim, a to uczucie graniczy już z czulszém jeszcze.... Oblęcki się w niej kocha.... Trzeba wszelkiemi możliwemi sposobami rozerwać to póki pora....

„Mirośław sam nie ma z czego żyć, i nigdy nie będzie czém inném, chyba dobrym restauratorem, gdy u nas nie ma czego restaurować.... Karusia, choćbym ją wyposażyla, niewiele mieć może. Oboje w najwyższym stopniu niepraktyczni.... jutro głód. Miłość ta nie wytrzyma pierwszej próby ostrzejszej.... Przyszłość byłaby okropną. Lecz jakże mam poradzić na to? Odprawić Mirośława — umrze z głodu, lub się biedak zwała; Karusia nie ma domu, jest sierotą, a do klasztoru wstąpić nie chce. Namawiałam ją; mówi, że nie czuje powołania. A! ma powołanie najwidoczniejsze być nieszczęśliwą!! To jój nie mienie. Z Oblęckim czy z kim innym, los ten ją spotka, i wszystkie usiłowania moje będą próżne....

„Mówiłam o tém z pułkownikiem. Mój zacny,

godny stary Brandys, ma czasem pomysły, które mu serce dyktuje — zadziwiające.... Gdym mu poufnie się zwierzyła co myślę o Karusi i Oblęckim, rzekł mi:

— „Wie pani co? może się mylę, ale mnie się zdaje, że gdyby Oblęcki miał na sumieniu los ukochanej istoty, gdyby był zmuszony do pracy porządnej i systematycznej — możeby to jedno zwróciło jego fantazyę, a dało talentowi siłę..

Przyznaje się, że to mnie uderzyło, chociaż pułkownik bardzo się mylić może, a ja téj biednej Sensytywy na taką niebezpieczną próbę wystawićbym nie chciała....

....„Hortensya od dni kilku jest dziwnie jakoś niespokojna, jakby się czegoś spodziewała. Nie umie tego w sobie ukryć.... Chodzi, wygląda przez okna, a gdy jęj pytam, odpowiada:

— „Ale nie — cóżby być mogło?

„Coś jednak jest niechybnie, znam ją dobrze. Spodziewa się kanonika? Coś wie i kryje się z czémś, nie mogę odgadnąć co mi grozi. Nadto jest szczęśliwa, ażeby to nie miał być figiel jakiś dla mnie.

„Tym swym niezwyčajnym stanem rozdrażnienia, wprowadziła i mnie w jakiś niepokój, który mnie męczy.

„Ma talent prawdziwy, nawet gdy na pozór nic nie robi, przyprowadzać mnie do niecierpliwości....

....„Pod pozorem książki mi potrzebnej, prosiłam pułkownika, aby posłał się dowiedzieć do Zahajów, czy ten nieszczęsny Robert nie wrócił?

„Cały dzień chodziłam potem jak panna Hortensya, czekając na odpowiedź pułkownika, i śmiałam się sama z siebie.... Po obiedzie zaturkotało, jak dziecko pobiegłam do okna, sądząc, że Robert przybywa. Ekwipaż i konie nieznajome.... jakiś gość z daleka.... Hortensya stała w płomieniach....

„Oznajmiono mi przybycie przejeżdżającego tedy do dóbr swoich kuzyna, pana Karola....

„Widziałam go raz kiedyś — nie pamiętam nawet jakie na mnie wówczas zrobił wrażenie. Słyszałam potem o nim wiele, miał się bardzo rzucać po świecie, tracić, grać, żyć, ale go chwalono jako niezmiernie zdolnego szalawile.

„Nowy więc przedmiot do studyów mi się nastręcza, to przerwie nudy.... *Have!*”

Wieczorem dnia tego o którym powyższy urywek dziennika wspomina, nadjechał pan Karol do Ruszkowa.... Ada wyszła naprzeciw niemu do salonu z tą swobodą, jaka ją zawsze cechowała, przyjmując kuzyna. Jedno spojrzenie na niego, dołączone do tego co dawniej o nim słyszała, starczyło, aby wiedziała już z jakim rodzajem człowieka ma do czynienia....

Pan Karol ani umiał, ani mógł, ani zamierzał być kim innym niż sobą. Nie zmienił ani tonu,

ani sposobu obejścia się. Miał wszystkie możliwe wady, ale kłamać się wzdrygał....

Powitał dosyć oryginalnie.

— Wiem, rzekł, że przybywam za późno i że powinienem był pani złożyć moje uszanowanie albo bardzo od dawna, lub już nie prezentować się wcale.... Tymczasem przemogły okoliczności, chęć poznania pani.... i oto jestem....

— Lepiej późno niż nigdy! odpowiedziała Ada.... Karol się rozśmiał.

— Gdyby to prawda była.... ale zdaje się być przeciwnie, w razach wielu....

Spytała się go piękna gospodyni, czy daleko ma do tych dóbr, do których jechał? Pan Karol się zmieszał nieco, ale że istotnie majątek gdzieś miał zasekwestrowany o mil dwanaście — przyznał się do jego położenia.... Był nawet tak otwarty, że od razu powiedział, iż go jedzie od wierzycieli ratować. Ta szczerłość stała się w tym razie niezręcznością. Adzie na myśl przyszło, że kuzynek przybył może w celu wezwania jój kapitałów na ratunek. Udała, że nie dosłyszała, ale to zrobiło złe wrażenie.

Pan Karol tak był wesół, iż je wkrótce rozproszył. Poszedł się przywitać z panną Hortensyą, zaprezentował się Sensytywie i zapoznał z przybyłym pułkownikiem. Ruszków mu się podobał niezmiernie.

— We wszystkiém tu — odezwał się — czuć widać artystkę.... Pani nią być musisz.... Słyszałem o tém — ale na miejscu przekonywam się, że mówiono za mało....

— A pan lubisz sztukę? spytała Ada.

— A! pani, zawołał Karol — jak do innych rzeczy tak i do niéj, mimo wielkiéj miłości szczęścia nie miałem.... Jestem niedoszłym malarzem, skonfundowanym rzeźbiarzem.... a całe życie i we wszystkiém — partaczem....

— Odjęło to panu smak do dzieł artystycznych? czy nie? spytała Ada.

— Bynajmniej — zatrulo mi tylko lubowanie się niemi, bo jak sztylet w serce za każdém dziełem godzi mi w pierś ta myśl: Czemu to nie ty stworzyłeś?

— To egoizm... odezwała się Ada — dosyć żeby piękno istniało — nie idzie o to kto jego twórcą, całej sztuki twórcą jest — ludzkość....

Karol skłonił głowę.... Zaintrygował go jakiś obraz, począł mu się przypatrywać. Panna Hortensya tę zbyt naprężoną wysoko rozmowę przerywała zapytaniem, czy pan Karol nie widział kogo z familii?

— Ostatnią widziałem panią szambelanową, która jest w jak najlepszym zdrowiu, gra w wista jak zawsze; na partnerach jéj nie zbywa, i prze-

grywa codziennie regularnie z nadzieją nigdy się nie spełniającą, odegrania się jutro.

— Ale to życie najszcześniejsze w świecie, odezwiała się Ada, jeśli wist ją zajmuje....

— Ja także utrzymuję, iż szambelanowa jest szczęśliwa.... a jój humor tego dowodzi....

Wrażenie, jakie tego dnia uczynił pan Karol, nie było ani złe, ani dobre.... Wesole jego opowiadania, ucinki, żarty z samego siebie, wywoływały czasem blady uśmiech na usta gospodyni. Siedziała jednak zamyślona, i po jakimś czasie, dała mu zabawiać pannę Hortensyę, zaledwie nań zwracając uwagę.

Wydał się jój — pospolitym....

Gdy wieczorem pułkownik go odprowadził do mieszkania, które dlań było przeznaczone, pozostała w pokoju Hortensya pośpieszyła do Ady z pochwałami dla gościa.

— Co też to za miły humor! jaki dowcip! i jakie doskonałe maniery! Po naszym zwykłym towarzystwie, wydał mi się jak jakiś przysmak paryzki po razowym chlebie....

Ada milczała.

— Nie znajdujesz? spytała natarczywa kuzynka.

— Bardzo jest miły, odparła gospodyni — ale — typ to salonowy, zwyczajny, który mnie nie zachwyca....

— A! cóż ciebie zachwyca? szepnęła Hortensya.

— To prawda — nie mam daru zachwycać się, i zazdroszczę go szczerze tym wszystkim, którzy go w podziale dostali, — odpowiedziała Ada. Ale — cożem winna, że mnie taką Pan Bóg stworzył! Ja na tém najgorzej wychodzę...

— Przyznaj jednak — poczęła uparta panna Hortensya — *il est très comme il faut*.

— Nie przeczę....

— I bardzo przystojny mężczyzna?

— A! nie przeczę i temu....

— W dodatku artysta....

— Jak Oblęcki — niestety!

Hortensya poprawiła mitenki.

— Zna się na obrazach niepospolicie.... Gdyś mu kazała przynieść twoją madonnę.... zachwycał się....

— Tak, lecz wyznał, że właśnie tych szkół starych, w których jest duch i myśl, nie uznaje jako sztuki skończonej, tylko jako niemowlęce jej wyrazy.... a....

Tu przerwała sobie Ada, przypomniawszy, że mówi do Hortensyi, którą sztuka niecierpliwiła....

— Zdaje mi się — dodała panna Trocka — że gdy go bliżej poznasz, oddasz mu sprawiedliwość.

— Myślisz, że on... prędko podchwyciła Ada, że on tu.... zabawi?

Bystrém wejrzeniem zmierzyła ją Hortensya.

— Ja nie wiem nic — sędzę, że to zależeć będzie od ciebie....

Ada zamilkła.

— Jedzie ratować majątek, niepodobna go wstrzymać, mógłby ponieść na tém szkodę.

Panna Trocka zakąsiła wargi i dała dobranoc.

Nazajutrz pan Karol rano poznał się i poprzyjaźnił z pułkownikiem, do którego poszedł w odwiedziny. Brandys był nim zachwycony. W dziedzińcu spotkał się z Oblęckim, którego poznał wczoraj u stołu; zaszedł do jego pracowni, w której nic nie było, oprócz olbrzymiej oślej głowy nad łóżkiem węglem narysowanej. P. Mirośław w przystępie fantazyi jakiśś zrobił ją podobną do siebie.... Był to wyrok, który ferował. Tu zaczęli mówić o sztuce zapalczywie. Oblęckiego też p. Karol wprowadził w zachwycenie.... Jak dwaj starzy dobrzy przyjaciele poszli wprost ztąd do biblioteki i zanurzyli się w sztychach....

Ztąd ich na śniadanie wywołano. O wszystkich tych wyprawach pana Karola, Hortensya była już zawiadomiona, i oznajmiła o nich Adzie. Karol gdzie stąpił, serca zdobywał. Przy śniadaniu rozmowa szła nadzwyczaj żywo, najmniej do niej jednak mieszała się Ada, choć ją grzeczny Karol ciągle wyzywał. Posępna jakaś wstała dnia tego.

Gość potrafił nawet ośmielić, rozgadać i rozśmieszyć Sensytywę, dla której był z niezwykłą grzecznością. Panna Karolina nawykła do tego, że na nią mało zwracano uwagi, była zakłopotana temi szczególnemi względami, jakie jęj okazywał pan Karol — lecz nie gniewała się za nie. Miał ten talent, że nawet nieśmiałość jęj rozproszył i wprowadził ją w usposobienie wesołe....

Umiał także zyskać sobie Rubaczka.... i grzeczny był nawet dla Musiatowskiego. Wszystko to przychodziło mu łatwo — nie kosztowało go nic.... a wielka wprawa życia, dozwalała mu do każdego odezwać się z jego tonu... i w myśl jego....

Zdaje się, że pan Karol, czy instrukcje miał takie, czy sam sobie to ułożył, a chciał gospodyni przypodobać się szczególnież wyznawaniem swęj wielkież miłości dla sztuki. Tęgo dnia jednak Ada nie dała się wciągnąć w żadną rozprawę dłuższą, i była jakby tym artyzmem ciągle występującym, znudzona.

Z dała, w milczeniu czyniła nad kuzynem postrzeżenia, które w końcu wprowadziły pana Karola w zakłopotanie pewne. Czuł się egzaminowanym, badanym.... odjęło mu to nieco śmiałości.... Po śniadaniu poszedł oglądać park z panną Hortensyą i Karoliną, do których się Oblęcki przyłączył; gospodyni wymówiła się zajęciem.

Do stołu przyszła trochę rozjaśniona, powiedziaławszy sobie, że nie godzi się być zbyt okrutną dla biednego człowieka. Pan Karol przestał mówić o sztuce; mówił o ludziach i nie oszczędzał ich.... Ada kilka razy rozśmiała się szczerze....

— To smutna, odezwała się do niego, że gdy w naszych oczach drudzy się tak śmiesznie wydają, my też musimy równie dla nich być śmieszni.

— Kompensacya! rzekł Karol — musimy się na tym smutnym świecie bawić choć kosztem bliźnich....

— Czyż pan znajdujesz świat smutnym? pan? zapytała Ada....

— Właśnie ja — mój śmiech jest z rozpaczny.... A nic nie można wziąć na seryo na tym padole! rzekł Karol....

— Nic na seryo? spytała gospodyni.

Karol już jakoś nie wiedział co odpowiedzieć, kilka tak razy zapędziwszy się zbytnio, splątał i nie powiodło mu się.

W ogólności czuł się w obec Ady nie swoim: kobieta ta imponowała mu dziwnie, mieszała go; zdawało się czasami, jakby zaglądała w duszę i dobywała z jęj głębin... łachmany, które tam zostały zmarnowane lata. Ile razy bardzo puszczał cugle swęj wesołości, ostudzała go swą powagą; gdy próbował być poważniejszym, ona żartobliwy ton przybierała....

Karol jednak dawał sobie rady jak mógł, ale obecna rozmowie panna Hortensya doprowadzona była do ostatecznego gniewu, który zaledwie pohamować była w stanie. Ruchy jój, wejrzenia, konwulsyjne drgania zdradzały usposobienie, które ją nareszcie wyгнаło z pokoju do listów. Wieczorem było trochę muzyki....

Rubaczek grał coś z Mendelsohna; okazało się, że panu Karolowi i muzyka obcą nie była, co zdziwiło nieco Adę. Chciała, ażeby coś grał....

— Proszę mi darować, szepnął Karol: ja jestem jak ten nieszczęśliwy Oblęcki, o wszystkiém mówić umiem, a nic robić nie potrafię. Gram jednego mazurka Chopina znośnie.... i — więcój nic....

— Zagrajże go....

Zmuszony siadł pan Karol i grał owego jednego z pierwszych mazura Chopina, z którego Kalkbrenner tak nieszczęśliwie napisał waryacje. Grał go dobrze — lecz tak jak go wszyscy grający nieźle wygrywają. Rubaczek wywdzięczając się chwalił, panna Ada milczała....

— To najpiękniejsze, żeś pan był posłuszny i zagrał — rzekła mu.

— Ofiara miłości własnej — odparł śmiejąc się Karol, — do której mnie pani nie sądziłaś zdolnym....

— Zawsze najtrudniejsza z ofiar — ale pan grasz go bardzo — przyzwolicie.

Uklonił się obżałowany.

Tak go jednak bawienie gospodyni znużyło, że jak tylko mógł, zwrócił się ku Oblęckiemu i przy nim długo pozostał. Potém przysiadł się do panny Karoliny i ciągle wywoływał jój rumieńce.... bo się wstydziła tego pierwszeństwa, jakie jój dawał. Panna Hortensya znajdowała też to w najwyższym stopniu nieprzyzwoitém, i zabierała się mu uczynić uwagę, ale przystąpić do niego nie miała sposobu.

Po długich strategicznych poruszeniach, panna Trocka znalazła się wreszcie z Karolem na werandzie.

— Panie Karolu! co pan najlepszego robisz! Ta biedna Karusia spali się od rumieńców.... zlituj się.... U nas nikt na nią nie patrzy, ona zwykle siedzi w kątku! Dajże jój pokój!

— Dla czego? spytał Karol.

— To nieprzyzwoicie....

Gość się rozśmiał.

— Wie kuzynka — to bardzo ładne dziewczę...

— Ale gąska....

— A cóż to szkodzi? spytał Karol, to właśnie ją czyni taką uroczą....

Zzymnęła się stara panna.

— Przyznam się, żem się większego taktu spodziewała....

— A cóżem popełnił? pytał chłodno wzięty na konfessatę.

— Ja nie wiem.... ale spójrz pan na Adę.

Przez cały dzień jest jakby podrażniona, nie swoja.... Nie umiesz się jój przypodobać.

— Daję słowo, że próbowałem — odparł Karol. Zajeżdżałem ze wszystkich stron.... niepodobieństwo. Zdaje się, że musi być przeciw mnie uprzedzona.... walczyć z tém trudno.

— O! tylko się proszę nie zrażać! Trzeba chcieć — mieć wolę.... a wszystko będzie dobrze....

Pan Karol ziewnął nieprzyzwolcie; Hortensya coś mu szeptać poczęła, wysłuchiwał cierpliwie.

— Wiesz kuzynko, rzekł po chwili, nie trzeba sobie nadaremnych czynić złudzeń.... Ja z góry wiedziałem, że się podobać nie potrafię.... na wylot mnie przenika, aż mi się zimno robi.

— Ona w początkach z każdym jest tak surowa.... ale to przechodzi. Ja ją znam.... Cierpliwości.... znajdź pan jakiś powód — *acceptable*, do zatrzymania się dłużej....

— Jakież? na przykład?

— Mogłbyś sobie... nogę wywichnąć?

— A! rozśmiał się Karol.... ale — jeżeli doktor nadejdzie....

Panna Hortensya szepnęła mu, że z doktorem Wellerem jest jak najlepiej, i że mogłaby go uprzedzić.

— Na to się nie zgadzam! zawołał Karol — doktorby się śmiał i paplał, byłbym skompromitowany. Jeśli będzie potrzeba, znajdziemy pretekst inny, ale daj mi się pani rozpatrzyć lepiej.... i rachować z siłami....

Narada na werandzie zamknęła się głośniejszą rozmową, która tajemniczą miała osłonić....

Myliła się jednak i panna Hortensya i Karol, jeśli sądzili, że nie zostali odgadnięci. Bystre oko Ady dojrzało wszystko, domyśliło się uknutój intrygi, która w niej politowanie wzbudzała. Przeczowała, że list panny Trockiej sprowadził tu owego kuzyna.... Nie chciała okazać oburzenia, ale postanowiła zmieszać im szyki chłodném przyjęciem, któreby odebrało ochotę do dłuższego pobytu.

Czyniła to z tém silniejszą wolą, że co moment spodziewała się powrotu Roberta, a nie chciała, aby Karol się z nim stykał. Czy się lękała, aby go swym cynizmem dowcipnym nie popsuł, czy wolała nie mieć świadków.... trudno zgadnąć.

Przeczuwać mogła, że ten naiwny Robert wyda się zepsutemu Warszawiakowi bardzo pospolitą istotą — bolał ją ten sąd zawczasu.... Jedném słowem w ciągu tego dnia przybyły mógł się dowodnie przekonać, że choć przyjęcie było nader grzeczne i uprzejme, było zarazem ostróżne i chłodne.... Nie zapraszano go wcale.... bawiono umiar-

kowanie, unikano szczególnież wszystkiego coby pobyt przedłużać mogło. Pan Karol objawił ochotę studyowania sztychów — ale się okazało, że zbiór był tak obfity, iżby — zbyt wiele wymagał czasu.... Sam Oblęcki uczynił tę uwagę.... a w dodatku, był nieuporządkowany. Półkownik, który w prostocie ducha, nadzwyczaj pana Karola polubił, dostał ostrzeżenie na ucho, ażeby.... był z nim oględny.... bo ma wadę wyśmiewać wszystko. Brandys uczuł się jak zimną wodą oblany i — cofnął się nieco....

Dnia tego smutna odeszła do siebie panna Hortensya — głowa ją bolała. Karol, ten Karol, na którym tyle pokładano nadziei — zawiódł, nie odpowiedział zaufaniu — okazał się niezręczny!! Co tu począć było?

Siadła z lamentem gorzkim donieść o tém szambelanowój.

Z Żabliszek ani się wyrwać było Robertowi; ile razy przebąknął o tém ojeu, major się niecierpliwił.

— Ale co cię tam korci do tych Zahajów.... Daj bo pokój! Jeszczem się tobą nie mógł nacieszyć, nie nagadaliśmy się, tysiąc rzeczy jest do rozważenia, — a ty mi się rwiesz, jakby cię tam co ciągnęło....

Roberta ciągnęło w istocie — ale składał swą niecierpliwość na siano, na blizkie żniwa i na gwałtowną potrzebę dozoru gospodarstwa w czas tak gorący.

— Niech tam.... kaczki zdepczą to gospodarstwo, co mi ma syna odbierać — mówił major.... No — to zgnoją! i cóż?

— Inwentarza nie będzie czém przezimować.... mówił Robert....

— To dam tysiąc złotych na kupno siana, przecie mnie to nie zrukuje.... Kat je bierz....

Milczał więc Robert chodząc posępnie. Po dwu nieudanych próbach u marszałka i Surymów, major z Erdziwillem, zrobiwszy przegląd sąsiedztwa, raz jeszcze, wybrali dalszy nieco dom, poprzyjaźniony, a nawet skolligacony z Jazygami, państwa Ochmańskich.... Było do Tarajewa, gdzie mieszkali, tęgie trzy mile, nie litewskie — ale prawie ukraińskie, w połowie piasku, na pół takich grobelek, po których żebyś z doktorem do chorego jechał, pośpieszyć niepodobna...

Z Ochmańskich nikogo na Ś-ty Piotr nie było w Żabliszkach, bo on sam dawno z łóżka nie wstawał.... Kiedyś nogę mu jedną odjęło i z lewej strony w twarzy miał drganie.... Leżał nieboraczysko, a żona się sama musiała krzątać około domu, gospodarstwa i dzieci. Za wzór też stawiono ją w okolicy żony, matki i gospodyni, bo skarga

nigdy z ust jój nie wyszła, a miała dużo do zniesienia. Rodzina się składała z dwojga dzieci, dorosłej córki panny Leokady i dziesięcioletniego syna, który się do szkół wybierał. Tarajewo było dobrą wioską, i gospodarstwo dzięki czujności pani Ochmańskiej szło dobrze; ale choroba, którą mąż był dotknięty, truła wszystko. Z natury żywy i niecierpliwy, pan Jędrzej Ochmański nie umiał się zgodzić z wolą Bożą i położeniem swoim, żyzmał się, stękał, narzekał i żonie spokoju nie dawał, choć potem, pomiarkowawszy się, czule ją za to przepraszał.

Z dala stary dworzec w Tarajewie może pięknieć się obiecywał, niż był w istocie. Był to jeden z bardzo u nas rzadkich domów odwiecznych murowanych, niegdyś zapewne zameczek, którego wałów ledwie ślad pozostał.... Z komnat jego przerobione pokoje, zastosowane później do potrzeb domowych, zachowały ten charakter odwiecznej budowy, który nie był wygodny dla mieszkańców, ale ciekawy dla obcych. Okna miał nieregularne i małe, mury niezwykłej grubości, drzwi ciasne, a i rozporządzenie dziwaczne. Do tego wszystkiego potrzeba było przywyknąć. Stare drzewa otaczały go do koła, z baszty narożnej zrobiony lamus, z drugiej kaplica, bardzo poważnie go przyozdabiały. Z dala też dojeżdżając, Robert, który tu nigdy pono nie był jeszcze, powziął wyobrażenie

wielkie o Ochmańskich... Z blizka daleko skromniej się to przedstawiało.... Wyszedł naprzeciw gościom służka w szaraczkowym surduciku, włożonym na prędcę — i wnet ich do bawialni wprowadził, w której jeszcze nie było nikogo. Sprzęt w niej stary, utrzymany troskliwie nie miał innego wdzięku nad ten, jaki wiek nadaje.... Od dawna snadź nie tu nie przybywało — wszystko było dziadowskie, ojcowskie lub starsze jeszcze.... i niewykwintne. Lecz czyściuchno utrzymana salka sklepiona, ze swemi wązkiemi okienkami wgłębionemi, przy których z obu stron były siedzenia deskami pokryte, kwiatkami i firankami odżywiona, w których niewieścią rękę czuć było, miłe czyniła wrażenie.

Pierwszy który wyszedł do gości, był dziesięcioletni chłopak, syn gospodarza, wesoły i ciekawy Moduś... który poznał majora — bo go już gdzieś widział. Ten całując go w rękę starym obyczajem, zapewnił, że matka natychmiast służyć będzie. Ponieważ wysłanie Modusia do gości wydało się zapewne niedostatecznem, wybiegła po nim, także uprzedzając i zwiastując matkę, panna Leokadya....

Nie było to jedno z tych niewieścich zjawisk olśniewających i zdumiewających urodą a blaskiem — ale skromna piękność wiejska, która jednak po wpatrzeniu się w nią, zdumieć mogła

rysami zarówno jak wyrazem twarzy, idealnej niemal czystości i spokoju. Piękność ta była jakby przysłoniona i utajona pod skromnością dziecięcą, zdawała się nie wiedzieć o sobie.... Dopiero gdy zbliżywszy się do majora podniosła spuszczone dotąd powieki, długimi ciemnymi rzęsy obszyte, a z pod nich czarne, wielkie, jakby we łzach utopione pokazały się oczy, gdy się jej małe usta otwarły i ożywiły lice swym ruchem — gdy się z nich dał słyszeć głos sympatyczny, słodki.... panna Leokadya objawiła się im choć w części — czém była. Trochę pomieszana, z dziecięcą niezgrabnością nie bez wdzięku, poczęła krzesła posuwać.... zapraszać — i nie śmiejąc spojrzeć na Roberta, przyjęła jego zaprezentowanie przez ojca.

Trochę smutku widać było na twarzyczce, który się aż nadto smutnem położeniem rodziny tłómaczył.

— A jakże się ma ojciec pani? spytał major.

— Zawsze jednakowo, westchnęła panna Leokadya — nie może się z łóżka poruszyć — doktorowie obiecują co lato.... ale się jakoś nie polepsza.

— Ale widzieć pana Jędrzeja będziemy mogli? zapytał major.

— Ja sędzę — odezwała się panna, — ojciec wdzięczny jest bardzo gdy go kto odwiedzi, mama także, bo jego to cokolwiek rozrywa....

Nareszcie nadeszła pani Ochmańska, osoba w średnim wieku, z twarzą niegdyś piękną, dziś zmęczoną i wymizerowaną, której usiłowała nadać wyraz niby wesoły. Lecz czoło jej nawykłe się marszczyć, nie mogło się wypogodzić i koło ust pozostał wyraz boleści.... Major pośpieszył ku niej, całując z uszanowaniem podaną mu rękę.

— Nie mogłem się wstrzymać, abym syna kochanym kuzynowstwu nie przywiózł i nie zaprezentował — rzekł. Choć mieszkamy nie tak bardzo daleko od siebie, choć nas krew łączy, jakoś okoliczności zrzędziły, żeśmy — to jest ja — poprawił się — zaniedbałem Tarajewo. Przyjeżdżam prosić o przebaczenie. A no — trudno państwu się narzucać.... kiedy mój dobry, poczciwy Jędrzej chory.... Chorym gościu na nic.

— O — przeciwnie — pośpieszyła sama pani. Jędrzej tylko że się ruszyć nie może — a zresztą nie jest źle i gościom rad. Ja także.... Pozwólcie abym mu o was oznajmiła....

I wyszła pani Ochmańska spojrzawszy na córkę, która znowu majora poprosiła siedzieć i szukała zapewne przedmiotu do rozmowy, cała zaturbowana.... Nieśmiało mierzyła oczyma to ojca, to syna. Moduś stał oparty o krzesło, ręce zawieszwszy na poręczy i uśmiechał się do obu, rozpoczynając tém znajomość poufałą.

— Chodzisz już do szkoły? spytał go major...

Panna Leokadya odpowiedziała za brata, że się dopiero przygotowuje — i że za rok ma pójść do drugiej klasy.

Chłopak to głową potwierdził.

— A masz ochotę do nauki? pytał major.

Panna Leokadya w odpowiedzi nie mogła brata zastąpić, popatrzała na niego żartobliwie, dzieciak się zarumienił, oczy schował, ale zebrawszy się na odwagę, rzekł w końcu:

— A jakże....

Uśmiech siostry niekoniecznie to potwierdzał, a figlarne oczy chłopaka, więcej zdolności do swawoli niż do książki obiecywały.

W czasie tego małego epizodu, Robert się przypatrywał pannie, która mu nieco Karolinę — Sensytywę przypominała, więcej ruchami i fiołkową skromnością swą, niż twarzą.... Z twarzy była piękniejsza daleko, a Robert, którego artystyczny smak wykształcił się na dziełach sztuki w Ruszkowie, z przyjemnością poglądał na regularny profil i na wyraz całego oblicza, które mimo młodości swój i świeżości, już taką było powagą okryte.... nieprzybraną, naturalną.

Nie patrząc na nią prawie — zobaczył, że miała rzęsy śliczne, ząbki perłowe, że ręce jój na kolanach złożone były kształtów najwytworniejszych, że — piękność to była w całym znaczeniu wyrazu,

choć na pierwsze wejrzenie nią się nie wydawała. Szukał wady jakiegś — nie znalazł. Wyrażała się z prostotą i naturalnością, a wdziękiem razem.... Raziła go tylko jakimś chłodem nie młodzieńczym, jakimś zawczesnem znużeniem. Było w niej coś smutnego.... Nie długo mógł postrzeżenia te robić, bo gospodyni weszła, zapraszając do męża.... Przez wąskie drzwi i pokój przechodni, w którym stało łóżko syna, po wschodkach weszli do jasnej, ale firanką zieloną przyćmionej, izby chorego.

Pan Jędrzej leżał na łóżku, z brodą zarosłą, żółtą, z wyrazem cierpienia w twarzy wychudłej, któremu drganie nerwowe jednego policzka dodawało coś nieprzyjemnego dla patrzących — otoczony był wszystkiem czego mógł zapotrzebować, aby ciągle o pomoc wołać nie był zmuszony. Na stołeczkach stały flaszki, napój, lekarstwo, książka do nabożeństwa, różaniec, klapka na muchy, mnóstwo drobnostek... W głowach wisiał stary obraz Matki Bożkiej.... Pomimo otwartego w części okna, czuć było w pokoju jakąś woń szpitalną — ziółka i leki — chorobę.... Smutno tu było, a rodzina co się ciągle widokiem téj niedoli karmić musiała, wesołą być nie mogła.

Jędrzej oble ręce wyciągnawszy witał krewniaka.
— O! o! panie Piotrze — cięży na was grzech.... dawno, dawno należało mnie odwiedzić! Ale trudno o to prosić — bo u mnie i ze mną niewesoło.

Bóg ci zapłacić, żeś choć teraz sobie starego przypomniał.

— Syna wam przywiozłem — odezwał się major....

— Cożeś się za ślicznego chłopca dochował! zawołał rękami wskazując siedzenia stary. Siadajcie! A słyszałem, że kawaler kędyś daleko, aż w Brzeskiem trzyma dzierżawę....

— Tak jest — odparł major — Zahaje.

— Wiem, wiem — znam ja te Zahaje — niezły majątek — począł chory — ta to koło Ruszkowa Pretwiczów. Ja to dawniej w tamtych stronach gościłem nieraz — miałem stosunki i rodzinę. I tego niepocziwego rozpustnika Pretwicza, co żonę zgubił, że się mało nie zagryzła.... znałem też. O! lotra był kawał!

Stary lubił mówić, bo często zbyt długo milczeć był zmuszony, ciągnął więc dalej:

— Mówili mi, że córka po nim została, także jakaś osobliwego nabożeństwa istota — co za mąż iść nie chce i różne ma wybryki.

Robert zczerwienił się niezmiernie, i nie mogąc wytrzymać, przerwał z cicha:

— Ja mam przyjemność znać pannę Adę, i mój ojciec także ją poznał — ale — muszę przyznać, iż mam dla niej największy szacunek i nie widziałem w jej postępowaniu nic takiego....

Major się skrzywił nieco — a gospodarz się poprawił:

— A może to ją ludziska ogadały....

Lękając się może, aby Robert w pochwały zbytnie i namiętną nie wdał się obronę, sam major zabrał głos.

— A byłem i ja tam, choć nie po dobrej woli, rzekł. Trzeba wiedzieć, że najlepszy mój przyjaciel, towarzysz broni — pocziwy, zacny Brandys — ale i wy go bo znacie....

— Znałem go! a jakże! potwierdził chory.

— Otoż Brandys — *quo titulo* nie wiem, podobno z pokrewieństwa dalekiego — przyjął u niej obowiązki rządcy i plenipotentą. Wpadłem do niego i dostałem się na dwór Jaśnie Wielmożnej Pretwiczówny....

Bardzo to pochwalam, że mój drogi Robert jój broni i chwali, bywał u niej w domu, życzliwie przyjmowany, jest racya. Ale — prawdą a Bogiem, co ty powiedziałaś o niej ze słuchu, panie Jędrzeju, nie jest także bez podstawy. Vox populi, vox Dei.

Robert się zmieszał, spuścił oczy, milczał, bo jakże miał z ojcem w obcym domu spór wieść? a major korzystając z téj bezbronności syna, namyślnie może — otwarcie się poczał wywnętrzać ze zdaniem o panie Adzie.

— Panna rozumna, przystojna — mówił dalej — pięknie wychowana, ani słowa. Nie przeczę.... Pogadawszy z nią widać kobietę do absolutnych rządów przywykłą, która wyrzekłszy się małżeństwa.... szuka sobie zabawy i rozrywki.... jak umie. Prawda, że innaby trzymała małpy i papugi; ta zbyt rozumna na to, ale trzyma muzykantów, malarza.... kuzynki różne i cały dwór.... całą gotownię na posługi jejmości....

Bawi się dziś ogrodem, jutro malowaniem, to nabóżnictwem — to książkami.... Nie naszych obyczajów i nie naszego świata kobieta... Temu i acindziej, panie Robercie, choć jej wielki admira-
rator nie zaprzeczysz....

Zwrócił się ku synowi, który z głową spuszczo-
ną siedział posępny. Nie śmiał już ojcu zaprze-
czać, a zdanie to o Adzie bolało go....

— Nikt jej nie rozumie — mówił w duchu....

Stary pan Jędrzej musiał być zaciekawiony
wzmianką o Pretwiczównie, bo oczyma wodząc po
ojcu i synu, badać się ich chcieć zdawał.

— Historye! odezwał się — a to ciekawa rzecz —
dalipan.... Więc widać, że majątek uratowała...?

Robert uczuł się choć na to pytanie do odpo-
wiedzi upoważniony, bo znał lepiej od ojca stan
majątkowy Ady.

— Nietylko go oczyściła z długów, rzekł, ale
znacznie pomnożyła....

— To była i tak pańska fortuna.... wzięli ją po Boguszach.... rzekł chory.

— Wszystko to ona winna nie sobie — rzekł major — ale pocziwemu Brandysowi, który zaprowadził oszczędności, gospodarstwo.... no — i poszczęściło mu się....

— Ba! ba! przebaknął Ochmański ręką wychudłą w powietrzu wywijając — to bardzo bogata być musi.... a dla czegoż za mąż iść nie chce...?

Major zrzekając się już odpowiedzi, zdał ją na syna i spojrzał nań, jakby mu wskazywał:

— Mów.

— O ile wiem, odezwał się nieśmiało Robert, zraził ją nieszczęśliwy los matki, na który patrzała. To było przyczyną postanowienia.... iż za mąż nigdy nie pójdzie.

Pokiwał głową chory, a major się począł złośliwie uśmiechać. Obejrzał się jednak, chcąc odezwać, czy nie było kobiet i chłopaka, przy którychby się wahał tak dobitnie myśl swą wyrazić.

Zobaczywszy dopiero, że ich nie ma — odezwał się głosem stłumionym:

— Słuchacie i wierzycie! Nie idzie za mąż najprzód, że się jój chce rozkazywać, a mężowiby zawsze trochę się submittować musiała... to pierwsza przyczyna. Powtóre nie trafiła na swego — a na ostatek — nie jest stara — jeszcze jój inna fantazya przyjść może....

— Aby tylko nie jaka.... hm! chrząknął Ochmański i ręką wywinął w powietrzu.... hm! coś to wszystko dziwnie mi wygląda....

Robert siedział jak na mękach, nie śmiejąc podnieść oczu, lękając się, aby go postawa i twarz nie zdradziły, nie wiedząc co robić, a prosząc Boga, aby ta niefortunna rozmowa jak najprędzej się skończyła.

Zdaje się, że major właśnie był jej rad i przedłużał. Czy że sam na sam z synem podjąć mu ją było trudno, a przy obcym śmieliej się spodziewał wygadać — czy że milczenie mu już zbyt dokuczyło — począł natychmiast:

— Brandys, który formalnie jest w uwielbieniu dla swój pani — wciągnął mnie do niej. Dwa razy tam byłem na obiedzie i mogłem się dobrze przypatrzeć. Jeżeli jej w istocie kiedy po innych fantazjach przyjdzie ostatnią wydać się za męża — nie winszuję temu kogo uszczęśliwi!...

Panna piękna i rozumna — nie stara — ale nawykła do samowoli, i mąż tam smutną będzie grał rolę, której i nieprzyjacielowi nie życzę....

Nie jestem ja — dodał major — za tém, aby kobieta zahukaną niewolnicą być miała. Tego u nas, chwała Bogu, nie widać dawno. Lecz głowa domu, męczyzna ma swe prawa.... jak go pod pantofel wpakują — nie wart funta kłaków....

— Masz słuszość majorze — odezwał się chory — święta prawda! Z takiej kobiety co do panowania nawykła, dobra żona być nie może. Mąż u niej będzie pierwszym sługą....

— Gorzej, dodał major — a no spodziewam się, że u nas o takiego nie łatwo będzie, coby się dla jój tam milionów w niewolę zaprzedał! Miałbym go za — cztery litery!

Wszystko to mówił tak gorąco major, iż Robert nie mógł się od téj myśli powstrzymać, że to było na jego intencję powiedziane.

Przykra ta rozmowa przeciągnęłaby się może, gdyby sama pani nie przyszła oznajmić, że herbatę podano, i prosić na nią gości. Stary pan Jędrzej, któremu pozostać w samotności było przykro — ozwał się:

— Jejmościuniu moja, daj panu Piotrowi tu herbatę, my ze starym pogawędzimy.

Robert z przyjemnością wstał z krzesła i poszedł za gospodynią do bawialni. Tu panna Leokadya gospodarzyła.... Odetchnął swobodniej — ale rozmowa, którą prowadzić musiał, wzburzony i zgryziony, nie poszła tak łatwo. Przedmiotu do niej trudno znaleźć było, choć sama pani go szukała. Spytała Roberta o okolicę, w której mieszkał, o gospodarstwo, i szczęściem gospodarstwo to uratowało go. Pani Jędrzejowa sama w Tarajewie gospodarzyć była zmuszona, zajmowało więc

ją i rozumiała je dobrze.... Panna Leokadya, która z drugiej strony stołu, naprzeciw Roberta usiadła, mało się do rozmowy téj mieszała. Matka jednak widocznie chciała, aby w niéj udział wzięła, bo kilka razy się ku niéj zwracała.

Tym sposobem, gdy pani Ochmańska wyszła niosąc coś mężowi, Robert i śliczna panna zmuszeni byli ciągnąć dalej sami — poczętą rzecz gospodarską. Leokadya nie miała przesadzonej bojaźliwości Sensytywy, raz przemógłszy trudne poznanie się pierwsze, zaczynała być coraz śmielsza. Robertowi podobała się jéj naturalność i prostota.... Kilka razy spojrzeli sobie w oczy i — jakby ten wzrok im coś powiedział — poczęli być coraz odważniejsi....

Na zapytanie Jazygi, panna mu odpowiedziała, jak żyli cicho, samotnie i jak jéj z témby dobrze było, gdyby nie słabość ojca.

— A do zabaw pani nie tęskni? spytał gość....

— Ja do nich nie przywykłam... i mnie wszystko bawi — rzekła Leokadya. A! gdyby ojciec był zdrow tylko, czegooby żądać więcej! Zajęcia mamy dużo.... nudzić się czasu nie ma.... Ja po kilka godzin na dzień ojcu czytuję gazety i książki.... trochę mamie w gospodarstwie pomagam.... tak miło czas schodzi....

— A czytanie to nie męczy pani? zapytał Robert.

— Nie a nic — owszem, zajmuje mnie — mówiła Leokadya. Nawykłam do głośnego czytania.... Sta-

ramy się, żeby ojcu na tém nie zbywało, bo czémżebyśmy go zabawili? Rzadko kto do nas przyjedzie — bo to nikomu nie miło — na chorego patrzeć....

— Muzyką się pani nie zajmuje?

— A! nie! choć bardzo ją lubię — odpowiedziała panna. Czasu na nią mało, dom szczupły, a choremu ojcu przykreby było granie. On tego nie znosi. — A pan?

— Ja także lubię muzykę, ale jój nie umiem — rzekł Robert.... Gospodarstwo też na nią czasu niewiele zostawia....

— Ma pan sąsiedztwo?

— Jeden szczególnie dom, w którym nieco bywam częściej.... krótko odpowiedział Robert.

Mówiono potem o sąsiedztwie Żabliszek.... a panna Leokadya z wielkim taktem i delikatnością unikała wszystkiego coby choć najlżej drasnąć kogoś mogło. W każdym znajdowała coś do pochwalenia.

Siedzieli tak sam na sam, wcale już nie ciężąc sobie wzajemnie, gdy — *Deus ex machina*, zjawił się we drzwiach wędrowny Erdziwił. Czy wiedział o wycieczce majora i w sukurs mu przybywał, czy go traf tu jakiś przypędził — dosyć, że znalazłszy pannę Leokadyę z Robertem samych w bawialni — w progu stanął.

— A! a! gość nie w porę gorzej od Tatar! rzekł — dalipan nie przeszkadzam! Miałbym na sumieniu, tak ślicznie państwo, jak para gołębi gruchaliście że grzechby śmiertelny był im przerywać.

Leokadya zerwała się zarumieniona, lecz rozśmiała się wesoło, zapraszając Erdziwiłła.

— Chodź pan — pomożesz nam do rozmowy!

— Ale gdzie zaś! z miną filuterną odparł przybyły. Tam gdzie dwoje młodych ludzi z sobą rozmawia, gdyby anioł się na jasnych skrzydłach z Nieba spuścił — byłby natrętem.... Mówcie sobie dalej — ja ruszam do pana Jędrzeja.... Wszak tędy droga?

Wskazał na drzwi, — gdy wtém nadeszła Ochmańska.

— A! sędzia! Oto gość!

— Widzi pani! gość — prawda — ale w złą godzinę.... Tak mi tu ślicznie ta para turkawek gruchała.... a ja wlażłem....

Rozśmiała się smutnie pani Jędrzejowa.

— Pan Robert pierwszy raz dziś u nas, rzekła — to nowa znajomość....

— Otoż właśnie... najgorzej, żem przeszkodził, bo pierwsze spotkanie zawsze najważniejsze....

Uśmiechali się wszyscy, Robert najmniej, bo go te żarty ostudziły, i przypomniały mu, ażeby był ostrożny. Erdziwiłł zdawał się go chcieć umyślnie na drogę prowadzić i dać też pannie do myślenia....

Pani Ochmańska wyszła z nim do męża. Leokadya została znowu z Robertem — nie przerażona wcale żartami sędziego. Robert tylko siedział zastygły i sztywny. Spojrzała nań kilka razy ukradkiem, jawnie, przemówili coś — nie szło owo gruchanie.... Zaledwie słów starczyło na to, ażeby milczenie nie stało się przykrém....

Nadbiegł braciszek, który się przybliżył do Roberta, spowiadając mu się z tego, że już z fuzyi strzelał, i dwa razy sam na kucyku jeździł. Wdała się w to siostra — i znowu wesoło mówić zaczęli.... Chłopak był wielkiego animuszu do strzelby i apetytu do konia.... Wzdychał do tego, żeby nie na kucyku, ale na dużym mógł jeździć — prędzej... Zaręczał, że dubeltówkę udźwignie i pilniejsze mu to było daleko, niż wstąpienie do klasy drugiej, którą rad był, razem ze wszystkimi innemi, co najprędzej przestąpić....

Z tych zachcianek śmiała się panna Leokadya, a Robert się im trochę sprzeciwiał. Dość, że śmiało się i hałasowano, aż w pokoju chorego poruszyły się krzesła, słyhać było pożegnania, i Robert się też ruszył do chorego.... W istocie major zbyt długą nie chcąc go męczyć rozmową, a mając kawał drogi do domu, choć go bardzo na noc proszono, wybierał się do Żabliszek. A że i Erdziwiłłowi w tę stronę jechać wypadało — zapraszał go na

jedną bryczkę, aby droga przy gawędzie krótszą się wydała.

Przy pożegnaniach proszono bardzo, aby Jazygowie o Tarajewie nie zapominali, panna Leokadya spokojném, przyjazném wejrzeniem pożegnała Roberta, uczepił się go braciszek wiodąc aż na ganek.... Tu konie stały już, Erdziwił siadł z majorem, Robert na przedzie i ruszyli.

Sędzia czy namówiony, czy z własnego usposobienia, od wrot począwszy począł prześladować młodego Jazygę panną Leokadyą.

— Widziałem jakieś acindziej do niej słodkie oczy robił, schwytałem was na uczynku. Ona też nie była od tego.... Gruchaliście ślicznie....

— Ale pierwszy raz ją widziałem!

— A cóż to ma do tego! Miłość się zapala od jednej oczu iskierki — lub od razu albo nigdy. I nie ma się czego wstydzić! jak Bóg miły, bratku.... Panna dobrze urodzona, piękna jak bogini.... dobra, poczciwa.... a o posagu ja coś powiedzieć mogę.... Sto tysięcy złotych, jak lodu! Wyprawa.... stosowna.... Czegoż chcieć!!

Major spoglądał tylko na syna, pykając z fajki, którą za wrotami zapalił,— oko jego śledziło wyraz twarzy Roberta.... Robert się śmiał swobodnie.

— Będzie na to czas! mówił.

— Otoż bo nie — pannę ci z przed nosa uchwycą.

Owoc dojrzały — posag w gotówce.... Nie ma się co ociągać, trzeba dobijać targu....

— Cóż ty na to? bąknął pół żartem major — he?

— Prawda, że acindziej, panie majorze, pobłogosławiłbyś bez wahania! wtrącił nie dając czasu na odpowiedź Robertowi Erdziwiłł.

— Ja?! z duszy i serca! choć dziś! Dom znam.... matka najzaczniejsza kobieta — a córka to jój obraz żywy. Z duszy i serca....

— No — ot i rzecz skończona. Zawracajmy konie, a do jutra zapijemy zrekowiny — zawołał Erdziwiłł....

W żarty to obracając, Robert się śmiał, lecz na duszy mu było okrutnie ciężko....

— Cóż ty na to? powtórzył major.

— Kochany sędzio — odezwał się młody Jazyga — może to dawniej się tak ludzie brali.... ale my dziś dużo mniej śmieli jesteśmy.... Rozpatrujemy się — wahamy.... Ja zaś, szczególnieć.... nie mam wcale ochoty iść tak prędko do ołtarza....

— Oj to źle! przerwał sędzia.... musisz się po liberbaronowsku bałamucić, a to licha warto.

— Ja? ja? zaprotestował Robert....

— Ja go też bronić muszę, bo ci słowo daję, że się najprzykładniej prowadzi, a na folwarku trzyma takie koczkodany....

— O! o! pfe! i to źle — i to nie dobrze — wołał Erdziwiłł. A to z waćpana pociechy nie będzie.

Młody — nie umizga się, pije kiepsko.... w karty nie gra.... żadnego pojedynku nie miał, cóż? na Kapucyna się kieruje....

Major się śmiał, a Erdziwiłł z ogniem mówił ciągle....

— Człowiek człowiekiem... *homo sum*.... wiesz, co mówi rzymski poeta? Ja tych cnot nadzwyczajnych nie lubię, bo to potem najczęściej pęka jak bomba — co sobie leży jak niewinniutki kawał zarzewiałego żelaza — nagle — brzdęk!... i krew się leje... i ludzi potłukła.... i ruiny po niej....

Sędzia mówiąc spowaźniał, Robert sposepniał...

— Wszak pan tego nie mówisz seryo? zapytał.

— Bierz kochanku, bratku, jako chcesz — dodał sędzia. — Jestem przyjacielem twojego ojca, życzę ci jak najlepiej. Żal mi twój młodości — czas zaczynać żyć....

— Ja dopiero się uczę do życia — rzekł Robert skromnie.

— *Usus te plura docebit*, tu teorye nic potem! wyrwał się Erdziwiłł. Żeń się bratku.... to cię najlepiej rozumu nauczy....

Ojciec jak w tęczę patrzył w syna, którego zmęczenie widoczne, naostatek w nim wzbudziło litość. Łokciem nieznacznie trącił sędziego, aby dał pokój i — urwano.... sprowadzając to na żarty....

Robertowi jednak humor popsuł sędzia tak, że aż do miejsca, w którym Erdziwiłł miał wysiąść,

nie prawie nie mówił. Gdy przyszło się rozstawać, stary kawaler chwycił za rękę Roberta....

— Serce, bratku — nie gniewaj się na mnie! Dalibóg choć zbredzę co, to z dobrego serca... Ja was obu kocham.... Robert go uścisnął — zostali z ojcem sami. Major wzdychał fajkę paląc.... w końcu rzekł:

— To pocziwe człeczysko ten sędzia — czasem papla nadto — ale zabawny.... Nadokuczał ci dzisiaj.... Hm — a tóć się ja zapomniał spytać — jak ci się tam podobało? cóż? Leokadya?

— Miła panienska.... ludzie zacni.... rzekł obojętnie Robert.

— Mówiliście z sobą?

— Dosyć długo....

— Roztropna? nie prawdaż?

— Bardzo....

Lakoniczne te odpowiedzi nie zdawały się zaspokajać majora, który ciężko wzdychał.

— Ja tyle tylko powiem, że takiójbym sobie synowój życzył jak ona.... Nic ująć, nie dodać....

Ciągłe te przymówki w końcu niemal zmusiły Roberta do wytłómaczenia się otwartzego. Pocałował ojca w ramię.

— Ojczy drogi — kochasz mnie trochę? rzekł z wyrazem dziecinnym.

— A! Robciu! potrzebaż ci to mówić! Nad życie!

— Tyś pociecha moja, tyś oczu moich żrenica.... I począł go ścisnąć gwałtownie.— Co ci jest?

— Jeśli mnie kochasz, ojcze — na teraz, dajmy ożenieniu pokój. Zmuszając mnie do posłuszeństwa, uczyniłbyś mnie nieszczęśliwym.... Nie mam do małżeństwa ochoty.

Major zdumiony, zasmucony, fajkę od ust odjąwszy, z głową zwieszoną — nie odzywał się słowa.

— Ja, rzekł zimno — zmuszać cię nie myślę, to pewna. Nie żęń się kiedy nie chcesz, nie narzucę ci żony; ale jedno ci powiem Robciu, i — jak cię kocham, od tego nie odstąpię. Gdybyś chciał się żenić niedorzecznie, przeciw mojemu przekonaniu — musisz czekać aż ja umrę; bo — pókim żyw, nie pozwolę.

I powoli — stanowczo, powtórzył:

— Pókim żyw — nie pozwolę.

— Żenić się też wcale nie myślę — odparł Robert.

— Zatém nie mamy o czém mówić. Zgoda. Pamiętaj tylko com powiedział. Znasz mnie, słowo u mnie rzecz święta. Nie powiem go bez rozmysłu, ale wyrzekłszy — jak Bóg miły — dotrzymam....

Można się było domyślić do czego to zmierzało z dala.... Robert pocałował w ramię ojca. Dojeżdżali do Żabliszek — obaj smutni i milczący....

Przy wieczerzy prawie nie mówili z sobą. Major wyszedł z fajką na ganek, Robert mu towarzyszył.

— Miałem intencję — odezwał się ojciec, — obwieść cię po całym sąsiedztwie, abys się w pannach rozpatrzył. Przyznaję, że cię myślałem żenić — ale gdy tak stanowczo objawiłeś mi twój wstręt do małżeństwa, po co mam i ciebie i siebie męczyć, i ludziom dawać niepotrzebnie do myślenia? Dajmy temu pokój.

— Mnieby do Zahajów wracać potrzeba — odezwał się Robert....

— A! do tych Zahajów! — krzyknął gwałtownie stary żołnierz — no — to jedź. Nie będę cię wstrzymywał — co robić! Nie wiem co cię tam ciągnie — ale — ciągnie.

— Gospodarstwo....

Major odwrócił się, splunął i zaczął coś nucić.... Robert nie śmiał się już odzywać.

Rozeszli się tak po niemém pożegnaniu. Syn w swym pokoju chodził długo, myślał, wzdychał.... widać było po nim okrutną walkę. Ojca kochał, a musiał mu się narażać. Siła niezwyciężona, potężna ciągnęła go wistocie — tam, tam! — gdzie go niewysłowione wiązało uczucie.... Rozumiał dobrze, iż było bez nadziei, że się do niego przyznać nie mógł, że ono go okrywało śmiesznością — zwyciężyć się przecież nie mógł, nie chciał. Z tą walką,

niepewnością, rozpaczą było mu dobrze; — gdyby mu je odjęto — żyćby nie mógł.

Młodość Roberta pod czujném ojca okiem spłynęła w dziewiczej nieświadomości świata. Ojciec ustrzegł go od zepsucia.... ale nie mógł zapobiedz, by młodzieńcze serce nie zapragnęło poezyi życia. Ogień, który drudzy gaszą w rynsztokach za młodu, zachował cały, niewygasły, ku ideałom nim strzelając. Pierwszą kobietą godną tego imienia, do której mógł się przybliżyć — była Ada; pierwsza jego miłość obudziła się dla niej — spóźniona, lecz tém silniejsza. Spotęgowała się w niej wszystkie duszy, serca i młodości pragnienia.... Miała też siłę olbrzymią, i musiała tym niepojętym magnetyzmem działać nawet na tak ostygłą istotę jak była Ada. Są w życiu tajemnice.... Pierwsze uczucie ma moc, której późniejsze nie mają. Dla tego ono prawie zawsze jest zwyciężkie.

Robert wychowany był w obrzydzeniu lekko-myślnych miłostek.... nie spowszedniała mu kobieta — nie zwałała się miłość, ani zwątpił o jej niebiańskiem znaczeniu i charakterze.... Cóż dziwnego, że rzucone żarzewie taki w nim pożar rozpaliło — tak pochłonęło całego?

Traf zrządził, że ta pierwsza miłość musiała go związać z istotą zimną, rozbrataną ze światem, która się wyrzekła uczucia — przyjąć go nie mogła — a samém swém położeniem stała tak daleko

od niego, iż ku niej sięgnąć było zuchwalstwem. Robert widział to jasno, ale rozpaczliwe uczucie było jeszcze dla spragnionego serca błogosławieństwem....

— Skończy się to jakąś katastrofą — mówił sobie — niech się kończy jak chce, ale niech trwa.... Ja nie wyznam jej nigdy, że ją kocham; za cóżby mnie miała odtrącić? Jest dla mnie dobrą.... Ona chce może, abym ją tak kochał z milczeniem i pokorą niewolnika.... Będę ją kochał jak każe — ale kochać ją muszę....

Miłość ta zamknięta w sobie, nie mogąca się wylać, objawić, poskarżyć, tém była dla niego straszniejsza. Był to ten ogień ukryty, co wyżera wnętrza ziemi, aż — dnia jednego — otchłani się otworzy i skorupa zwęglona w nią zapadnie....

Nazajutrz nie śmiał Robert mówić o wyjeździe; ojciec chodził smutny jak noc — patrzył w okna, nie śmiejąc spojrzeć na syna.... Łzy mu się chwilami w oczach kręciły. Trwało to z małemi zmianami dni parę, gdy major raz wpatrzywszy się w Roberta, dostrzegł bardzo wyraźną zmianę na jego twarzy. Znikały z niej rumieńce, oczy mu wpadły, blady był. Spytał go, czy nie chory? Robert zaprzeczył temu.... Ojcowskie oko widziało jasno — syn cierpiał.... Nie mógł tego znieść major — sam wspomniał mu o wyjeździe.

— Kiedy ty chcesz do tych Zahajów jechać?

— Czekam aż mi ojciec pozwoli....

— A! na Boga! ja ci nie bronię przecie. Jeśli masz potrzebę — jedź....

Spójrzał, rumieniec wytrysnął na twarz Roberta; stary się odwrócił żywo, i zimno rzekł odchodząc:

— Zadysponuj konie.... ja cię choć o parę mil przeprowadzę....

Natychmiast wydane były rozkazy — orzeźwiał Robert tak widocznie, iż ojciec się tém niemal więcej niż zmizerowaniem przeraził. Według przyrzeczenia trzy mile przeprowadzał go major do pasu, nie śmiejąc już ani słówka bąknąć, ani żadnej dać przestrogi, ani napomknąć.... o niczem. Dopiero gdy się już rozstawać mieli, ściskając go, niespokojny major powtórzył:

— Robciu — serce moje — pamiętaj o tém cośmy mówili powracając z Tarajewa.... Do niczego w świecie zmuszać cię nie będę.... ale — niech Bóg nas od tego strzeże i uchowa — gdybyś przeciw mojemu przekonaniu postąpić chciał, pomyślał o czémś, co by ci życie zawiązać mogło, uczynić nie-szczęśliwym — nie pozwolę!! Jam stary — jam żył — ja znam świat — ty masz złudzenia młodości.... Ja chcę, ja muszę cię widzieć szczęśliwym!

Począł go niemal płacząc ściskać major, a gdy się ze swych objęć wyrwali, oba podobno łzy mieli

w oczach.... Z popasu Robert dnem i nocą pośpieszył do Zahajów. Ludzie byli przekonani, że tak niespokojny był o swe gospodarstwo.

Pan Karol siedział w Ruszkowie z ręką na temblaku—cierpiał mocno z powodu nieostróżnego uderzenia się o drzwi.... Chciano sprowadzić doktora Wellera, lecz się wyprosił od tego, zaręczając, że sam jest po trosze lekarzem i że się arniką i homeopatyą wykuruje....

Ada w kilka dni po jego przybyciu, gdy się umiał jakoś wybornie wcielić w towarzystwo jój i domowników, mogła go prawie nie widzieć i nie wiedzieć o nim. Nie zawadzał jój na pozór wcale, bo go ignorowała, chociaż nie chybiała mu bynajmniej—ale ją niecierpliwił straszliwie. Rada się go była pozbyć—nie wiedziała sposobu....

Zręczny bardzo pan Karol starał się stać niewidocznym prawie—zabawiał się z pułkownikiem, z Oblęckim, z Musiatowskim nawet.... z Habichtem w ogrodzie—czytał u siebie książki, prześadywał dużo w bibliotece, czasem godzinami rozmawiał po cichu z panną Karoliną—a ó wyjeździe mowy nie było.

Gospodyni też nie okazywała, by się go pozbyć chciała, dowodziła mu tylko, pokazując się rzadko, rozmawiając z nim niewiele, iż jój był najzupełniej

obojętny. Karol właśnie może tę obojętność tak wyrazistą, po swojemu brał za dowód, że się go obawiała.

Siedział, aby się pomścić; siedział, aby się doczekać Roberta i — przeszkadzać. Byłoby go to bawiło.... Nigdy w życiu, w najlepszych towarzystwach nie trafiało mu się być tak sponiewieranym — bywał nienawidzony, nigdy traktowany tak jakby nie nie znaczył i nie istniał. To miłość własną jego oburzało do najwyższego stopnia. Dowcip, nauka, talenta, zręczność — w oczach téj kobiety, okazującój mu grzeczną, ale największą pogardę, nie znaczyły nic. Było za co pogniewać się i zemsty zapragnąć.

Czuł to, że mści się samém siedzeniem w Ruszkowie, z kąd go z tą ręką na temblaku, nie można było wypędzić — a obiecywał sobie jak najdłużej ją na nim nosić.

I on już niecierpliwił się, że Robert nie przyjeżdża.

Do siedzenia upartego i to się przyczyniało może, iż pan Karol — w najdziwniejszy sposób zajął się panną Karoliną. Czy go pociągnęła młodość, świeżość, skromność, nieśmiałość, czy fantazya zepsutego człowieka, któremu się zachciewa nagle przedmiotu wczoraj pogardzanego — któż to zrozumie?

Ani sam przed sobą, ani przed nikim się z tém nie wydał, ani przyznał sobie, że go mocno zajmowała — lecz ten dowcipniś i szyderca, przy krosienkach małowównój i trwożliwój panienki, z przyjemnością całe przesiadywał godziny. Nikt go nie posądzał o skłonność, bo się jój domyślić, przypuścić było trudno.

Ada obawiała się tylko, żeby z niej nie szydził. Panna Hortensya była pewna, że to są żarty.... a może chęć obudzenia zazdrości w gospodyni. Śmiał się z siebie, ruszając ramionami pan Karol — gdy wieczorami powracając do mieszkania, przynosił kwiatek ukradziony z bukietu Sensytywy.... i składał go na stoliku z uszanowaniem.....

— Wracam do błogich czasów studenckich! mówił sobie. Sam siebie nie poznaję. Jednak gdybym się raz zakochał na prawdę — byłoby to niedarowane głupstwo. Ale to, szczęściem, być nie może....

Z każdym dniem rosła niespokojność gospodyni: Robert mógł nadjechać! Na ten powrot czekała tak długo, a zatruć miała go przytomność tego nieznośnego szydercy....

Chwila, do której biło jój serce — choć się do tego nie przyznawała nawet przed swoim dziennikiem — ta chwila, której łaknęła — mogła się zmienić w najutrapieńszą męczarnię. W końcu na myśl przyszło pannie Adzie, że ten uparty kuzynek, siedzący załogą, mógł w ten sposób wyczekiwać na

jakaś pomoc pieniężną dla swych interesów. Znała go dosyć z tego co słyszała o nim, aby go o to módz posądzić.

Jednego dnia zręcznie się starała wybadać Hortensyę, zawsze ją posądzając o współnictwo....

Na pierwszą, daleką jeszcze o tém wzmiankę — panna Trocka zakrzyknęła oburzona! Nie godziło się go o to posądzać nawet, był to najbezinteresowniejszy w świecie człowiek.

Panna Pretwiczówna zdecydowana już była wykupić się z téj niewoli.

Krok to był wszakże niezręczny — panna Hortensya musiała o nim zawiadomić pana Karola, który tém większą zemstę poprzysiągł — i siedział. Nie było ani nadziei, ani sposobu pozbycia go się. Wprawdzie dokuczliwy nie był, ale już sama przytomność jego starczyła do popsucia humoru — gdy on przeciwnie udawał, że był w najlepszym.

Wszystko się tak składało przeciwko woli Ady, a z jój charakteru wypływało, że się tém mocniej upierała, nie chcąc uledeć naciskowi, jaki czuła dookoła — Hortensya i Karol już ją dostatecznie męczyli, Robert nie przybywał, ale jednego rana zadzwoniono na mszę ranną w kaplicy.

Zdziwiła się gospodyni, posyłając zapytać jaki ksiądz ze mszą przybył? Trafiło się często, iż zajeżdżali tu zakonnicy z pobliskich klasztorów. Słuchający przybył z oznajmieniem, iż ksiądz kanonik

de Bello przyjechał. Zdziwiło to nieco Adę, — ale wybrała się na mszę. Jak za dawnych czasów, ksiądz wyszedł przed ołtarz, kapliczka była pełna. Tryumfująca i wesola rzucając oczyma w koło, w ławeczce swój klęczała panna Hortensya, zdając się mówić wzrokiem Adzie:

— Widzisz, że my na swojém postawimy.

Ze spokojem i rezygnacją modliła się piękna gospodyni, nie dając poznać po sobie, jak ją wzruszało przybycie kanonika, z którym nieuniknioną się zdawała (potém co zaszło) rozmowa i rodzaj przejednania.

Jak zwykle za dawnych czasów, na kawę przyszedł ksiądz kanonik do salonu, w którym nań już czekała gospodyni, gotując się na rozmowę. Panna Hortensya pośpieszyła także; jakby z rozkazu, znalazł się i pan Karol. Kanonik wszedł z twarzą wypogodzoną, jak gdyby nic nie zaszło i nic się nie zmieniło, powitał i o zdrowie spytał gospodynię, zaczął mówić o swych zatrudnieniach, o nowinach z sąsiedztwa — i pierwsza chwila przeszła bez najmniejszej alluzji do tego co go poróżniło z panną Adą.

Panna Hortensya i Karol dosiedzieli tak długo, iż w końcu gospodyni wyjść musiała, zostawiając ich z kanonikiem. Samo z siebie wynikało, że miał pozostać na obiedzie. Tu znowu osób było tyle, iż do żadnych tłumaczeń przyjść nie mogło, bo teby tylko na cztery oczy odbyć się musiały. Ada sama

się w duchu zapytywała: — czy się to może obejść bez poufnéj rozmowy i zatrzeć — jakby nie było?

Ku wieczorowi, kanonik zajmwszy swoje mieszkanie zwyczajne w oficynie, nie odjechał. Trochę niespokojna Ada wyszła nieco wcześniej do salonu, ale tu już zastała na czatach pannę Hortensyę, i Karolinę, przy której siedział cicho rozmawiając Karol, kanonik chodził po pokoju, z dawną poufałością przyjaciela domu. Powitał wesoło przybywającą i rozpoczął rozmowę zajmującą od nowin, jakie odebrał z Rzymu, z Francyi i z Belgii, tyczących się ogólnych interesów kościoła. Zajmowała go także missya przedsięwzięta do Chin, na którą zbierano składki po całym świecie katolickim. Był to przedmiot, który zawsze gorąco obchodził Adę, gorliwą o to, aby katoliccy misyonarze protestanckim się wyprzedzać nie dali. I tym razem poczęła się rozpytywać pilno.... Ksiądz kanonik opowiadał wiele, czytał odebrane listy i okólniki.... Pozostali tak zajęci tym przedmiotem, zupełnie odosobnieni, i ksiądz hrabia, gdyby był chciał, mógłby był łatwo coś powiedzieć o swoim przybyciu, wytłómaczyć je — słówko jakieś napomknąć. A że tego nie uczynił, wniosła Ada, że chciał, aby to było zapomniane. Sama nie miała też ochoty wznowiać nic, ani się okazywać obrażoną.

Puszczono więc w zapomnienie owo nieszczęśliwe znalezienie się dyrektora sumienia, który zupełnie

był teraz takim jak niegdyś, i zdawał się też chcieć zatrzeć wspomnienie o niewłaściwém swém znalezieniu się. Ada była rada, że się to tak skończyło, że nadto bijącego w oczy zerwania stosunków mogła uniknąć.

Jednak nie uległa — i jój dawne uczucia dla kanonika nie powróciły; stała mocno przy swoim, aby się nie dać zawojować; nie dozwolić nikomu kierować sobą. Wszystko się składało na to, aby w niej wzmódz to postanowienie.

Zostawiona sama sobie, gdyby nie się nie sprzeciwiało jój skłonności — byłaby może walczyła z nią i pokonała; znalazłszy opór i zawady — czuła się niemi do walki zagrzaną.

Któż wie? może nareszcie to długo zamknięte serce, raz się otwarło! Ona sama wcale tego nie przypuszczała. Oburzało ją tylko, że chciano swobodę jój ograniczyć, kierować nią, która dla téj samotności poświęciła wszystko. Myśli podobnego zuchwalstwa ścierpieć nie mogła....

Z każdym dniem więcej — niecierpliwiło ją też, że Robert nie powracał. Miała mu to za złe, i tłómaczyła sama przed sobą. W końcu gdy Karol nie odjeżdżał, prawie rada była, iż Robert się nie zjawiał. Ale i to nie trwało długo — powiedziała sobie, że powinien był wracać, aby jój dać zrzeczność pokazać jawnie światu całemu, iż wcale nie myśli zważać na to, co on mówi i sądzi.... Chcia-

ła znów tego powrotu dla Karola, dla kanonika—
lękała się, aby jój nie posądzono, że uległa im i
odpawiła go.

Tymczasem Robert, wstrzymywany przez ojca,
siedział w Żabliszkach. Pierwszy raz w życiu
Ada doświadczała niepokoju, który ją dręczył
bezustannie. Nawykła panować nad sobą, otoczona
posłusznymi, szczęśliwa w tém co się do niej
ściągało, dawniej miewała fantazyę, nudziła się,
nie doznając téj gorączki niepewności i oczekiwa-
nia, która ją niemal upokarzała, stawiając na równi
z resztą ludzi.

Dręczyło ją to. Kilkakroć namyślała się, czy
nie lepiejby było — nagle, tak jak to już nieraz
bywało — wybrać się na jakąś wycieczkę za gra-
nicę, wprzódby nawet niżby Robert powrócił — za-
bawić długo, przemódz się, zapomnieć....

Przychodziło do tego, że chwytala prawie za
dzwonek, aby do niej proszono pułkownika, które-
mu miała dać polecenie do wyboru w drogę; parę
razy już na ustach to miała i wymówić — nie
mogła.

Łzy jój stawały w oczach nad tą słabością wła-
sną, chociaż natury jój przyznać nie chciała....
Była to jeszcze fantazyja jak inne, żywsza tylko
trochę, bo ją dłuższe i silniejsze poprzedziły
nudy....

Tak się to ciągnęło bez zmiany, kanonik wyraźnie do dłuższego pobytu był przygotowany, pan Karol ani mówił o wyjeździe, choć łatwo było dostrzedz, że ręką na temblaku spoczywającą robił wszystko jak zdrową. Panna Hortensya egzaminowała twarz kuzynki, próbowała ją badać — dobyć z niej nic nie mogła, oprócz wielkiego chłodu i obojętności dla siebie.

Częste narady odbywały się z kanonikiem i panem Karolem, którego choć lekceważono — lecz przypuszczano go do nich... bo się umiał uczynić potulnym....

Jednego wieczoru, właśnie pod pozorem przechadzki wszyscy troje byli w parku — i panna Hortensya zagaiła zwykłą rozmowę.

— Radabym, rzekła — ażeby mi kto tę kobietę wytłómaczył — ja, wyznaję w pokorze — ja jój nie rozumiem. Dawnom się wyrzekła nawet nadziei, żebym kiedy dostąpiła tego szczęścia....

— Ja zaś pani dawno mówiłem — odezwał się kanonik poważnie, — że dla mnie jój postępowanie zupełnie jest zrozumiałe. Pan Bóg dał jój powołanie do klasztoru — co jawnie się okazuje z jój wstrętu do małżeństwa; — nie usłuchała głosu z góry — wszystko złe z tego pochodzi. W klasztorze nie potrzebowalaby własnej woli, której użyć nie umie. Gdyby była nawet przełożoną, reguła panowałaby nad nią.... Na świecie ona

nigdy ani szczęśliwą nie będzie, ani w zgodzie sama z sobą.

Karol się uśmiechnął.

— Nie wytrzymałaby nawet.... zostawszy kanoniczką — odezwał się — nadto nawykła do pańskiego życia....

— A! ale ona gdy chce — zawołała Hortensya — obchodzi się najprostszemi rzeczami.

— W ten tylko jeden sposób możecie ją państwo zrozumieć — potwierdził kanonik.

— Mnie się zdaje, że zamążpójście równieby na to pomogło, jak klasztor — rzekł pan Karol. W niém także swojej woliby nie potrzebowała.

— Zapominasz pan, rzekł ksiądz — że taki charakter mógłby uczynić ofiarę na ołtarzu, ale nie przed ołtarzem, dla Boga nie dla.... kogoś tam....

Hortensya zwróciła rozmowę na inny nieco przedmiot.

— Mnie się znów zdaje, że się wyczerpały zabawki. Jój potrzeba czegoś nowego.... Uczyć się rzeźby — bodajby nagle zająć gorąco fotografią.... albo chemicznemi doświadczeniami.... Toby ją uleczyło.

— Tak, na chwilę — to są palliatywa — mówił kanonik. Bądź co bądź, to kobieta z umysłem niepospolitym i niepospolitą też ambicyą. Ona powinna założyć instytucję jakąś, stanąć na jój czele, kierować — toby ją tylko mogło pochłonać

i dostarczyć pokarmu na całe życie dla téj duszy spragnionéj czynu, a obumierającéj w beczynności.

Hortensya się nie śmiała sprzeciwiać.

— Ja tam w głębokie analizy się nie wdaję — odezwał się Karol z pół uśmieszkiem. Od niedawna mam szczęście znać bliżej pannę Adę — ale to dla mnie pewnikiem, że ona się nudzi, a my jéj zabawić nie umiemy.

— *Mais elle est inamusable!* przerwała panna Hortensya — to co ją wczoraj uszczęśliwiało, jutro w kął rzuca....

Kanonik szedł z głową podniesioną patrząc po drzewach, i nie chcąc się już więcej mieszać do tych rozpraw....

— Jabym miał prawo — mówił Karol — szczególniej się na szanowną kuzynkę uskarżać. Jest dla mnie grzeczna, ale nie miałem szczęścia nawet na kwadrans uwagi jéj zwrócić na siebie. Zaledwie mówić zacznę, już myśli o czém inném i patrzy gdzieindziej.... Do rozpaczyny mnie to przyprowadza. Traktuje mnie jakbym nie był go-dzien rozmowy....

— *Parti pris!* szepnęła Hortensya — udawanie — nic więcej. Gdy chce, tak gra komedye — jak wszystkie kobiety....

— I pani? podchwycił Karol.

— I ja — wszystkieśmy zmuszone na tym świecie, pod panowaniem waszém, przebiegłością brak siły wypełniać!

Kanonik nawet, słysząc to wyznanie uśmiechnął się nieznacznie. Zbliżali się tak z wolna ku pałacowi, i przedmiot się wyczerpywał, gdy panna Hortensya, której oczy biegające, zawsze najpierwsze dostrzegły każde nowe zjawisko — zobaczyła na werandzie pannę Adę rozmawiającą z jakimś.... mężczyzną.

Drgnęła cała, i ręce jéj mimowolnie klasnęły.... stanęła.... Spojrzeli na nią.

— Jestem pewna, że Robert przyjechał! krzyknęła — nie kto inny — to on — poznaję go po figurze.... Tak! on! on — niezawodnie! Patrzcie — patrzcie — jak się pochyla ku niemu, co za ruchy ożywione!... A! on!! Śmieją się.... zapomnieli nawet, że na nich ludzie patrzeć mogą.... Ale to.... *mais cela n'a pas de nom!*

Ks. kanonik zaciąwszy usta patrzył z daleka. Karol chciwie wyciągał szyję i posługiwał się lornetką, aby przyjrzeć się lepiej, będąc pewien, że gdy się zbliżą, spłoszą tę czułą parę. W istocie Ada i tylko co przybyły Robert tak sobą byli zajęci — iż nie widzieli nic więcej nad siebie — a może i wśród tłumu, w téj chwili zazdrosne oczy nie wieleby dla nich ważyły.... Hortensya, kanonik, Karol, zakryci byli gałęzmi staréj lipy, przez

której liście mogli się przypatrywać, nie będąc widziani. Stali tam jak przykuci, ksiądz kanonik z wyrazem politowania, Karol szyderskiej ciekawości, Hortensya gniewu prawie. Ona pierwsza, widząc jak Robert poruszony, szczęśliwy opowiadał coś śmiejącej się i rozpromienionej Adzie, ruszyła się z miejsca.

— Ale chodźmyż! zawołała — czyż damy im tak tandressy sobie prawić!... Chodźmy....

Ruszyła się pierwsza, kanonik po pewnym namyśle, dobył z kieszeni małego brewiarzyka i uszedł w boczną ulicę. Karol zaciekawiony mocno szedł w ślad za niepiękną kuzynką, z którą samotny spacer ani jój ani jego kompromitować nie mógł....

Zdawało się, że rzutem oka byстрыm Ada spostrzegła nadchodzących z daleka — lecz ani się ruszyła z miejsca, ani zmieniła postawy — głośniej tylko nieco mówić i śmiać się poczęła, usiłując dobry humor, którego od dawna nie okazywała, uczynić jak najjawniejszym, niewątpliwym.

Można sobie wystawić — jak to gniewało pannę Hortensyę, która prawie do krwi zagryzała usta. Karol się śmiał, lecz kwaśno....

Zbliżyli się do werandy, i Ada dopiero teraz niby ich spostrzegła.... Zwróciła się do Hortensyi wesoło.

— Widzisz kochana kuzynko, odzyskaliśmy dezertera.... pan Robert z powrotem. Pomimo różnych przypuszczeń pułkownika, ja nigdy wierzyć nie chciałam, żeby nas p. Jazyga się wyrzekł....

To mówiąc, zaprezentowała nie Roberta panu Karolowi, lecz przeciwnie. Wprawdzie jako kuzyna domu należało go przedstawić — lecz.... kuzyn miał się za coś tak wyższego.... iż go to dotknęło. Zmierzył oczyma ciekawemi Roberta, który grzecznie i uprzejmie mu się uklonił. Stojąca z boku Ada pilnie to pierwsze spotkanie badała.... zdało się, że chciała wzajemne ich myśli odgadnąć.

Karol nasłuchiwał się był tyle i tak różnych rzeczy o tym parobczaku od panny Hortensyi — iż pod wpływem ich miał o nim wyobrażenie, którego pierwszy rzut oka wcale nie potwierdził.

Wystawiał go sobie niezgrabnym i ograniczonym, a znalazł naturalnym, — i same oczy, czoło, wyraz twarzy o pojętności świadczyły. Przytém Karol nie mógł zaprzeczyć, że chłopak był bardzo piękny, świeży i miał w sobie wszystko co się kobiecie podobać mogło.... Znać było przy nieśmiałości pewnej, która mu wdzięk dawała — wyraz siły i energii, nie popisującej się z sobą, ale siebie świadomej.

Pan major nie bardzo go napędzał do książek, ale to męzkie wychowanie, które na nabyciu

zręczności do jazdy, strzelby, pływania.... zależy — doprowadził do najwyższego stopnia doskonałości. Na Robercie widać to było, że się niczego nie zleknie. Pan Karol zrozumiał to — i uczuł dlań — uszanowanie.

Doznał zupełnego zawodu — i to go w pierwszej chwili zmieszało.

Ada, jakby umyślnie, nietylko się nie taila z tém, że gość jój był miły i pożądaný, ale ze szczególną troskliwością ciągle się ku niemu zwracała.... Zaledwie przerwana rozmowę z nim, rozpoczęła znowu, — a co gorsza, nie dając się do niej wmieszać drugim, poczęła się z nim przechadzać po werandzie.

Oczy panny Hortensyi rzucały pioruny, Karol szydersko popatrzywszy na tę parę, siadł i zaczął jakieś album przeglądać, ale więcej patrzył na przechadzających się niż na nie.

— Mówiłam panu — odezwiała się Ada, gdy w przechadzce zbliżyła się ku stolikowi, przy którym siadł pan Karol — mówiłam, zdaje mi się panu, że pan Jazyga jest moim najmiłszym sąsiadem.... Nie wątpię, że przy bliższém poznaniu, kuzyn podzielisz moje zdanie....

Karol się kłaniał uśmiechając — a choć nie mówił nic, patrząca nań Ada mogła szyderską odpowiedź wyczytać. Lecz brawowała widocznie —

wzrok jój się nie cofnął.... stała śmiała.... wyzywając cały świat do wojny....

Że panna Hortensya nie omdlała — stało się chyba cudem wielkiej potęgi jój nad sobą. Weszła panna Karolina, przywitał się z zarumienioną Robert, zaczęli się inni schodzić na herbatę i gospodyni miłego gościa musiała opuścić. Ścisnął go radując mu się pułkownik, cieszył się nim Oblęcki, witali wszyscy.... nawet słudzy — serdecznie i przyjacielsko, Kanonik tylko wszedłszy, zatrzymał się z dala i skłonił, trzymając w tój odległości, z wyraźnym, odstręczającym chłodem.... nie dając do siebie przystąpić bliżej.

Robert też nie miał do tego najmniejszej pretensyi.... Przy herbacie zwykle po prawej stronie gospodyni siadał kanonik, po lewej panna Hortensya.... zaraz za nią pan Karol. Gospodyni przeprosiwszy kuzyna, miejsce jego oddała gościowi. Wszystko to drażniło.... Po twarzach przytomnych, widać było przelatujące płomienie i bladeść.... spoglądali ku sobie sprzysiężeni, oczyma sobie dając znać có się to działy za okropności.

Najokropniejszém było podobno to, że gospodyni wcale się nie mieszała, nie troszczyła o nikogo, rozpytywała o majora, o Żabliszki, o okolice, o zajęcia jakie tam miał, o to jak znalazł Zahaje, — słowem mówiła z nim, o nim i zajęta była nim tylko.

Oprócz pułkownika, który się ochoczo mieszał do téj rozmowy i pomagał do niej — reszta towarzystwa niema, pomieszana, przybita, nieśmiała ust otworzyć. Nigdy nie przypuszczano, aby poscienie z kanonikiem, w obec Karola, Ada się dopuściła takiego otwartego buntu....

Było to prawie przyznanie się do słabości — do stosunków, które — na sąsiedzkiej przyjaźni ograniczyć się nie mogły.... Jawne to było.

Przy herbacie panowała zawsze swoboda zupełna, siadał i wstawał kto kiedy chciał. Nie mogąc wytrzymać, pierwsza pierzchnęła panna Hortensya, a Ada znak dała Jazydze, ażeby zajął jéj miejsce, bliżej jéj krzesła!

Zobaczywszy to kanonik, z powagą wielką, z wolna, w okno się popatrzywszy, wstał także i wyszedł na werandę.

Pośpieszyła za nim panna Trocka.

— A co? a co? zawołała — ślicznie! Nie ma co mówić — przynajmniej *elle a le courage de son opinion!* Nie kryje się, nie tai.... Cóż tu dodać? Nie jestże to jawne, oczywiste? Miałam ja rację czy nie?

— W istocie — odezwał się kanonik cicho z wyrazem smutku — tegom się nie spodziewał....

— Nie ma najmniejszej wątpliwości! myśli się wydać za niego! Ciągnie go sama! *Elle fait des avances!* Żadnego wstydu, najmniejszego pomiar-

kowania!! Przy księdzu kanoniku, o którego wiezdaniu, przy Karolu, który tu reprezentuje familię — w obec ludzi dworskich.... kompromituje się rozmyślnie.... chłodno....

— Przyznaję — odparł ks. de Bello — że i ja zaczynam wierzyć, iż to jest rzecz seryo!

— Tak seryo — że jeśli familia nie chce, aby się stało nieszczęście, upokorzenie, — powinna wcześniej starać się zapobiedz.... W tém usposobieniu jak ona jest, możemy jednego pięknego poranku posłyszeć, że się zaręczyli, albo dowiedzieć, że im kto dał ślub.... A cóż? Indult sobie wyrobiją....

Żywo, zakaszliwając się, krztusząc mówiła panna Hortensya. Ksiądz zadumany słuchał.

— Ale przecież mamy niby opiekuna? — dodała....

Ksiądz ramionami poruszył.

Panna Pretwiczówna miała rzeczywiście przydanego jój prawem opiekuna, ale ten się nigdy do niczego nie mieszał. Raz w rok przyjeżdżał do Ruszkowa, bawił dni kilka, polował z półkownikiem, rozmawiał z pupilką i do swój rezydencyi powracał. Tym opiekunem był pan radca tajny, którego niekiedy z powodu rangi i generałem nazywano, choć nigdy w wojsku nie służył. Część znaczną życia spędził on w Petersburgu, teraz odpoczywał na wsi. Człowiek to był wielkiego świata, ogłady wielkiej, w towarzystwie bardzo miły,

lubiący życie i umiejący je sobie urządzić, majątny bardzo. Krewny matki panny Ady, z prawa krwi na opiekuna był najwłaściwszym. Nie narzykował się wcale wtrącaniem do interesów, lecz znano go z wielkiej dumy rodowej, której nie tail. Arystokratą był w całym znaczeniu wyrazu i wyznawcą téj zasady, że są uprzywilejowane rody, które stanowisko w społeczeństwie wyjątkowe zajmować muszą.

Wspomnienie o opiece, z razu przyjęte obojętnie przez kanonika, dało mu do myślenia — znał go niewiele.

— Czy pani sądzisz, że opiekun mógłby tu coś — znaczyć? że jego słowoby ważyło?

— Jeżeli czyje to jego! odparła panna Hortensya.... Ja tam nie wiem czy się on prawnie sprzeciwić może, ale Ada go szanuje.... ma powagę.... Gdybyś kanonik napisał do niego!

— Ja? wstrząsając się zawołał ksiądz — ja! — ale proszę mi dać pokój! Ja się tu do niczego mieszać nie chcę. Proszę pani, niech pisze szambelanowa. Kto się podoba — ja! nigdy w świecie!

Hortensya popatrzała nań z gniewem prawie.

— Naturalnie — odezwała się — na mnie spada wszystko, i gniew też na mnie spadnie. Nikt się nie chce mieszać, wszyscy umywają ręce....

Kanonik począł się przechadzać po werandzie, nie odpowiadając wcale.... Przez okna salonu wi-

dać było, jak wstający od herbaty weszli do niego, a na przedzie Ada wiodąca za sobą Roberta.

Szedł za nią z twarzą, na której szczęście się malowało — zapomniawszy o Bożym świecie.

Być może, iż na przyjęcie jego tak nadzwyczaj serdeczne wpłynęło to, że pani domu okazać chciała, iż się niczyich oczu nie lęka; — lecz i to pewna, że ujrzawszy go zapomniała się — nie była panią siebie. Gdy wszedł do salonu, była sama, zarumieniona postąpiła parę kroków, i bez myśli wyciągnęła mu ręce obie. Było to poruszenie serca. Robert chwycił je całując, tak — że mu je wyrwać musiała....

— Tak bawiłeś pan długo! — szepnęła — a ja — a my.... Ale cóż pana wstrzymywało?

— Ojciec — rzekł Robert — musiałem być posłuszny.

— I zmizerniałeś pan....

— Bom tęsknił...

Spójrzała mu w oczy.

— Tęskniłeś pan?

— A! pani — czyżbym mógł nie tęsknić do Ruszkowa....

— A — a Ruszków — wierz mi — dodała cicho — tęsknił także do pana....

Dopiero tych słów domówiwszy, powstrzymała się Ada — i zwróciła....

— Mam bardzo nudnego gościa, rzekła żywo. Jest-to kuzyn mój — miły bardzo człowiek, ale jak piórko lekki.... jak osa złośliwy.... z którym proszę pana być — grzecznym, ale ostróznym. Gdyby chciał być bardzo serdecznym, co być może — nie dawaj się chwycić za serce. W progu przestrzegam pana.... ale.... tak wypadło.... Radam, że to uczynić mogę.

— Jak się ma ojciec?

— Zdrow! dziękuję.

— Przecież nie myśli *mi* pana ztąd odebrać? przesadzić do Żabliszek?...

— Zdaje się, że projekt na teraz zaniechany....

Ada odetchnęła, i poważniej, jakby z obowiązku zaczęła ucznia słuchać egzaminu z książek, które mu dała na drogę, wywołując jego zdania.... badając myśli. Kilka razy widocznie się ucieszyła trafnością sądu — a była tak usposobiona, że wszystko widziała jasno i różowo.

Robert chciał po herbacie odjechać — zatrzymano go koniecznie na wieczerzę — musiał pozostać.... Nie zmienił się humor gospodyni, owszem zdawał się podbudzonym więcej. Mówiła wiele z upodobaniem, jakby dopiero teraz zyskała słuchacza — godnego, by mu swe myśli zwierzyła. Pan Karol, który ją widział dotąd milczącą, pogardliwą, ze zdumieniem słuchał. Zmiana była dla wszystkich jawna....

Robert unikał objawiania się ze zdaniem,— obawiając się Karola, który siedział jak zaczajony. Parę razy tylko coś szyderskiego pół głosem wtrącił.

Dosyć późno rozeszli się wszyscy.... Półkownik zabrał jeszcze z sobą do dworu Roberta, chcąc z nim pomówić o majorze, gdy niespodzianie przypłatał się do nich pan Karol.... Chciał bliższą zrobić znajomość z Jazygą i siedł z wesołym humorem, udając dobrego koleżkę.

Robert był przestrzeżony,— grzecznie, ale ostróżnie się stawiał.

Półkownik, który dosyć lubił gościa kuzyna, na próżno chciał ich zbliżyć do siebie. Na folwarku po kieliszku wina wypiwszy.... rozeszli się, bo Robert, jak mówił— do gospodarstwa pośpieszał....

Gdy tego wieczoru Ada usiadła w swoim pokoju— z płonąca twarzą, z bijącymi u skroni pulsami, poruszona, niespokojna — oczy jój skierowały się na portret matki.... i oderwać się od niego nie mogły....

Wizerunek ten dotąd dla niój był przestrogą — tego wieczoru stał się groźbą.... Łzy zakreśliły się w oczach, które otarła co prędzej, otworzyła dziennik swój, wzięła pióro, chciała coś pisać — nie mogła. To co się z nią działo, było zbyt dla niój samém niezrozumiałém, aby sprawę ze stanu ducha zdać mogła.

Przychodził jój na myśl ten moment, gdy zobaczywszy go, wyciągnęła doń ręce obie, gdy mu się przyznała, że tęskniła do niego. Zarumieniła się ze wstydu przed sobą — zakryła oczy.

— Co on pomyśli o mnie? rzekła w duchu — pomyśli, że ja go kocham! Nie — nie! ja go nie kocham — nie mogę, nie będę kochała nikogo! O matko moja! jam ci to przyrzekła i dotrzymam, ale — nie mogęż mieć nawet ucznia — nawet przyjaciela! Nic! nikogo! Jestże w tém niebezpieczeństwo...?

On wie, że ma przyjaciółkę, siostrę we mnie — nic więcéj... Nic!...

Wstała uspokoiwszy się trochę, zadzwoniła na sługę, która wchodząc rzuciła na nią wejrzenie, jakieś ciekawe, niedyskretne, rozebrała się prędko i książkę wzięła do ręki.

Na stoliku leżała jedna z pierwszych powieści p. Sand, w których ona tak gorącemi barwami maluje uczucia, że się namiętnościami wydają...

Zaledwie przeczytawszy kartkę, odrzuciła powieść ze strachem... W obrazie rodzącego się uczucia poznawała tak dobitnie swe własne, iż ją to przeraziło.

Z bolem głowy położyła się do łóżka, nie mogąc zasnąć. Gniewała się na siebie i płakała. Czuliła się nieszczęśliwą, sama nie wiedząc czemu.

Nareszcie sen zamknął powieki, ale marzenie na jawie przedłużało się we śnie.... Widziała się w swoim ogrodzie sama z nim. Robert ją prowadził pod rękę.... przypadkiem głowę złożyła na jego ramieniu, i było jój niewysłowienie błogo.... tak, że milcząc szła dalej, pragnąc z nim iść choćby na koniec świata....

Czuła jak ją objął w pól — pochylił się ku niój i szeptał coś co tak dźwięczało jak muzyka, a słodkie było jak śpiew rajski aniołów.

Drżała obawiając się obudzić, że to był sen — to znowu — jakby było na jawie — lękała się, aby ich nie podpatrzono idących razem....

Z za liści błyskały oczy Hortensyi; — w cieniu stał blady ksiądz i śmiał się okropném szyderstwem. Szczęście obracało się w męczarnię, pierś wzbierała....

Sen się przedłużał, zmieniał.... przechodził jakby przez jasne jakieś strefy i czarne otchłanie.... Robert znikł, była sama, szukała drogi; do koła otwierały się przepaście.... suche gałęzie łamały się pod jój stopami.... Nad brzegiem urwiska uczuła znowu jego przy sobie — i całą siłą chwyciła się ramion jego, zawisła na nich płacząc....

Usta jój przez sen wymówiły:

— Tyś mój!

Obudziła się — dzień był biały....

Siadła znękana na łóżku, z bijącym jeszcze sercem. Sen ten zdawało się uczynił go jęj droższym.... wypowiedział jęj samęj, czego ona na jawie wyrzec nie śmiała.

— Tak — ja go kocham! — zawołała ręce łamiąc kocham go. Broniłabym się na próżno, kłamałabym daremnie. Kochać muszę, choćbym cierpieć miała. Takie przeznaczenie nasze. Droga matko moja! i ty miałaś chwile szczęścia w życiu.... i ty musiałaś kochać — bo człowiek umrzeć albo miłować powinien....

Ranek był jeszcze tak wczesny, że wszystko spało we dworze.... ptaszki świergotały pod oknem. Ada już zasnąć nie mogła — wstała, ubrała się, otworzyła okno i na świeżem powietrzu chłodziła skronie.

Z tym snem wstąpiło w nią jakby życie nowe.... Wszystkie dawne postanowienia złamane, zapomniane zostały.... «Powinnam kochać — będę go kochała! niech się dzieje co chce! Niech ludzie mówią co się im podoba....»

Wśród tego rozgorączkowania — nagle wstyd opanowywał jakiś i trwoga.... cofała się.... Chciała pozostawić wszystko jak było.... nie mówić nic, nie okazywać co czuła.... Dosyć było jęj sercu, że pozwoliło sobie kochać i przyznać do tego uczucia....

Oddychała swobodniej....

Sługa przechodząca pod oknem, przelekła się zobaczywszy je otwarte tak wcześnie, — i wbiegła spytać czy pani nie chora, lub czy jój czego nie trzeba?

Zawstydzona nieco, Ada powiedziała jój, że w istocie spać nie mogła.... ale się chorą nie czuje — posłała po śniadanie i usiadła do dziennika.... Wielkim pióra-pociągiem oddzieliła jego poprzedzające karty od następnych, i poczęła od opisu tego snu, który ją do życia obudził....

We dworze, jak zwyczajnie, przez sługi wiadano z rana, że pani całą noc nie spała.... wstała o świcie, pisała coś, twarz miała niezwykle zarumienioną, oczy płonące.... była czegoś niespokojna. Wiadomość ta doszła ledwie późno przebudzoną pannę Hortensyę, która z niej wnioski sobie właściwe wyciągnęła. Pilno jój było udzielić ich swoim sprzymierzeńcom....

Tymczasem, we wczorajszej rozmowie wpadłszy na myśl uwiadomienia radcy tajnego o tém co się tu zapowiadało — oprzeć się już nie mogła chęćce, intrygantom właściwój, spróbowania jeszcze tego kroku. Wiedziała dobrze, że opiekun-jój nie zdradzi, a przyjazd też jego po roku niebytności niktogo nie zadziwi.

Co najprędzej więc siadła do stylizowania listu, który wymagał staranniejszej niż zwykle redakcyi....

O téjże godzinie przebudzony pan Karol, nie śpiesząc wstawać, bo nie miał po co, rozmyślał dosyć poważnie co mu dalej poczynąć wypadało.

Z całą swą lekkomyślnością, nie był to zły człowiek — a miał to w charakterze, że ani w złém, ani w dobrém długo wytrwać nie umiał. Nudy, na jakie tu był narażony, które zaledwie osładzała nie tyle uboga rozmowa z Sensytywą, ile patrzanie na świeżą jój buzię — pobyt przeciągający się bez żadnego innego widoku prócz satysfakcyi, że dokucza — wprawiły go w usposobienie podobne do zgryzot sumienia.

Zaczynał sobie wymawiać całe postępowanie swoje — a bolało go to, że mógł się wydawać śmiesznym. Koniec końcem miał tego dosyć.... Hortensya poila go octem i żółcią — kanonik go męczył — Oblęckiego znał już na wylot.... jedna pan-na Karolina go tu trzymała....

Nie był to jednak węzeł, któryby go mógł przykuć na długo.

Gdy przyszło wstawać, służący pana Karola Paweł, postrzegł pierwszy, że pan był w złym humorze, a że z nim był otwarty, powiedział mu to....

— Coś pan dziś kwaśny?

— Tak jest, mój kochany — ale też nie na różach tu jesteśmy....

— A to czegoż siedzimy? mruknął sługa — słowo daję, żeby się pan kochał czy co — ale podobno

nie.... A tu na nas patrzą tak, jakby się jednéj godziny zbyć chcieli.

— Jak ci się zdaje? zapytał Karol — co? pakować się? he?

— A! jak Bóg miły — żwawo podchwycił sługa, któremu tęskno było do kawiarki w Warszawie, bo się w niéj kochał mocno, a nie dowierzał, by nieobecnemu dotrzymała wiary. Co może być lepszego? pakować się i jechać!

Pocałował pana w rękę....

— Jedźmy panie! Tu człowiek uschnie z nudy i utrapienia.

— Jutro! rzekł pan Karol — sam nie wiedząc dla czego. Ale u niego to tak szło od fantazyi.

Lżej mu się zrobiło, gdy się zebrał na to postanowienie, czarną chustkę za temblak służącą odrzucił, uśmiechnął się do siebie w zwierciadle i szepnął:

— Jedziemy do Warszawy. Dość tego — to nie ma sensu.

Nic nie mówiąc pannie Hortensyi wprzód, Karol się zjawił przy śniadaniu z ręką zdrową i czołem jasnym.

— Nareszcie, rzekł witając Adę, która wyszła nieco blada, skarżąc się na głowę — ręka moja zupełnie zdrowa, pozwala mi kuzynkę od nieznośnej uwolnić załogi. Jutro jadę i proszę o rozkazy do Warszawy. Rozmyśliłem się, że do majątku nie

mam po co jechać — tam plenipotent sobie da rady lub nikt już jej nie znajdzie. Co się mam nudzić, wrócę do Warszawy.

Mówił to jakoś tak z prosta i bez złośliwości, że Ada z podziwieniem nań spojrzała.

Rezygnacya, z jaką się odezwał o majątku — obudziła w niej współczucie. Była po śnie téj nocy skłonna do miłosierdzia. Karol też odjeżdżając czynił ją swobodniejszą, czuła się dlań do wdzięczności.

— Jakto? jutro chcesz pan jechać? spytała.

— Niezawodnie — potwierdził Karol — czuję, żem był niezdolnie natrętnym, a zabawnym być nie potrafiłem....

Ada zbliżyła się ku niemu z wyrazem życzliwości.

— Powiedz mi prawdę — odezwała się po cichu,... Jakże stoją twoje interesa...? Jesteśmy krewni — możebym ci jaką pomocą być potrafiła...?

Zarumienił się mocno Karol.

— Jesteś doprawdy za nadto łaskawa dla takiego jak ja niegodziwca. Serdecznie wdzięczny jestem za tę myśl samą — ale — niestety! moje interesa to beczka Danaid.... Nic i nikt ich nie poratuje — bom ja wcześniej temu zapobiegł i starał się je tak pięknie urządzić! Zatem — nie mówmy o tém.

— Żał mi cię — rzekła Ada z serca, bo serce

dnia tego miała otwarte. Żal mi cię szczerze....
Tys trochę lekkomyślny.

— A! trochę! Jesteś grzeczna bardzo — ja jestem okrutnie lekkomyślny — znam to do siebie — poprawić się za późno....

— Nigdy późno, panie Karolu....

— Bóg zapłać! całując ją w rękę odezwał się Karol. — Wierz mi — że mnie ratować nie warto.... Nadto długo się gubiłem.... Jestem otwarty.... to jedno co mi jeszcze zostało....

Wchodząca panna Hortensya przerwała rozmowę i Karol odezwał się do niej witając:

— Proszę o listy do Warszawy — jutro jadę.

— A toż co znowu?

— Okrutna tęsknota do billardu.... Śni mi się... marzę o nim.... Stukot kul, chrzęst kijów.... zapach sali.... nie dają mi spoczynku! Zwycięzonym jestem.... powracam!

Skłonił się komicznie. Z kątką spojrzała nań panna Karolina i zbladła. Bładość tę dostrzegli wszyscy, choć pochyliła się zaraz do kłębuszków i zaczerwieniła jak wiśnia.

— Otoż — pomyślała oburzona Hortensya — cośmy zyskali.... Dziewczyne zbałamucił, nic nam tu nie poradził, i właśnie kiedy parobczak powraca, on się cofa, jakby mu z placu chciał ustąpić.

Gniewna zmierzyła go wzrokiem pogardliwym.

Karol już na to nie zważał; rad był, że poczciwy sługa poddał mu myśl tak szczęśliwą.

Kuzynka zaczęła się o zdrowie Ady dowiadywać dokuczliwie: znajdowała ją mizerną.... radziła wezwać doktora; ale gospośia, uśmiechnąwszy się smutnie i podziękowawszy jój — oświadczyła, że jest jój lepiej, i że o tak małej niedyspozycji mówić nawet nie warto....

Ze szczególną grzecznością i współczuciem była dnia tego dla Karola, który mimowolnie musiał to przypisywać temu, że ją uwalnia. Prosiła go nawet, ażeby pozostał, ale się na to nie chciał zgodzić. Dzień ten, osobliwszym sposobem, zbliżył ich po długim nieznośnym stosunku. Karol był wdzięczny. Ada miała nad nim politowanie. Pierwszy raz zawiązała z nim dłuższą rozmowę, a że Karol był w mniej złośliwem usposobieniu — więcej się jój podobał. W końcu — odezwała się do niego:

— Gdybyś potrzebował pomocy jakiej, a nie miał nikogo.... daj mi ten dowód zaufania, byś jój żądał odemnie.....

Mam na sumieniu, że cię może nie przyjęła tak, jak grzeczna i dobra gospodyni powinna.... Przypisz to nie złemu sercu, ale biednej fantazyi, humorom kobiecym.... bo choć ja się wydaję swobodna i niby szczęśliwa....

Nie dokończyła — Karol był poruszony.

— Nie ty, kochana kuzynko, mnie, ale ja ciebie powinienem przeprosić. Znalazłem się tu nie w porę natrętnym.... Ja całe życie robię niedorzeczności, za które żałuję i — poprawę obiecuję.

Podali sobie ręce przyjaźnie.... Jak nigdy nie było, — i Karol odszedł poruszony, wyrzucając sobie, że się na nią poznać nie umiał.

Czekała na niego już Hortensya, niespokojna, gniewna, nierozumiejąca tego, jakim sposobem stać się tu coś mogło ważnego bez jej rady. Karol, którego ona sprowadziła, wyjeżdżał nic jej o tém wprzód nie powiedziawszy. Zaledwie mogąc pohamować się, panna Hortensya powołała go za sobą, a że na werandzie obawiała się być podsłuchaną, zeszła wiodąc za sobą delikwenta przed pałac do parku.

— Racyszże mi pan wytłómaczyć, co to wszystko znaczy? Nagle objawiasz pan postanowienie wyjazdu. Zkąd? co? dla czego? właśnie w chwili gdy Robert przybywa? Ułakleś się go pan czy co?

— Nie, szanowna kuzynko, rzekł żartobliwym tonem Karol: dałem dowody mężstwa siedząc tu tak długo z wami, o tchórzowstwo nie godzi się mnie posądzać — a no — dłużej, dłużej mi już wytrwać niepodobna.... Nad siły!

— Cóż się stało?

— Nic nowego! Piłem te nudy dopóki mogłem, naostatek miara się przebrała....

— I rzucasz nas tak — nagle....

— Ale raczże mi powiedzieć, na co ja tu jestem potrzebny? pytał Karol.

— Na co? pan się pytasz o to? Gdyby nic więcéj toś mógł, ją przytomnością swoją powstrzymać od skompromitowania się. Widziałeś jak go wczoraj przyjęła!

— Widziałem i właśnie to mnie przekonało że nie jestem hamulcem, bo panna Ada na mnie uwagi nie zwraca. Po cóż ją i siebie mam męczyć!

Hortensya rzuciła mu piorunujące wejrzenie.

— Otoż to jest nagroda — zawołała — gdy kto, jak ja, poświęca się dla dobra rodziny. Zostawiacie mnie samą, opuszczacie! Nikt nie chce robić nic. Nawet kanonik się uchyla! Zatém chcecie, ażeby Ada sobie ten kamień do szyi przywiązała?

— Szanowna kuzynko — to pewna, że ja wolałbym sam być tym kamieniem, niż inny widzieć u jej szyi. Coż na to poradzić, kiedy Ada ma swą wolę.... i — nikogo słuchać nie myśli!

Nie tyle mowa co ton szyderski i obojętny, w rozpacz wprawiły Hortensyę.

— Zatém pamiętajcie co ja wam mówię — pamiętajcie. Wszystkie nadzieje jakie rodzina pokładała na niej, są stracone. Pójdzie za mąż! pójdzie. A wy, wy jedni temu winni będziecie. Piszę do szambelanowej, która mogła przyjechać tu sama i wpłynąć na nią; ta woli grać w wista spokojnie,

i nie raczy się ruszyć.... a wyprawia mi tu.... kogo?? — Nie dokończyła.

— Tak, masz kuzynko słuszość, przerwał Karol: najnieudolniejszego, najniezgrabniejszego z ludzi, który do téj roli wcale nie był stworzony!! — Mówimy otwarcie, bądźmyż całkiem szczerzy:— ja więcéj mam sympatyi dla Ady, niż jéj mam za złe to co czyni.... Na jéj miejscu postąpiłbym sobie podobnie.

— A! a! pan! pogardliwie odparła Hortensya — pan!

— Ciekawość mnie tu ściągnęła — a wyczerpanie cierpliwości odpędza — mówił Karol. Widziałas kochana kuzynko, jak mnie tu przyjęto, *comme un chien dans un jeu des quilles*.... Uśmiechałem się, udając, że to mi wszystko jedno — w końcu....

— No, to jedź, jedź pan sobie — bośmy tu z niego wielkiej pociechy nie mieli. A możebyś i Karolinę z sobą zabrał, która ci się tak podobała! dodała ramionami ruszając....

Prawdziwie terażniejszego świata zrozumieć trudno! mówiła szydersko. Ada, osoba wykształcona, rozmiłowuje się w parobczaku.... a pan Karol, ozdoba salonów warszawskich, człowiek dowcipny, rozumny.... lubuje się w towarzystwie jednéj gąski jak Karusia!!

— Pani — zawołał śmiejąc się Karol — głębokie uczyniłaś postrzeżenie: *les extrêmes se touchent, les contraires s'attirent*.

— Zakochałeś się w Karolinie?

— Pokochałem ją — poprawił Karol — i gdybym.... ale nie mówmy o tém.

Złośliwie rozśmiała się raz jeszcze panna Hortensya, szarpnęła chusteczkę, którą w ręku trzymała — ukłoniła mu się z powagą przesadzoną, i — odeszła. — Karol śmiejąc się skierował w drugą stronę. Tego dnia jakoś lekko i wesoło mu było.

Nazajutrz po śniadaniu, konie stały przed ganikiem do odjazdu gotowe, a pan Karol, dowcipny jak nigdy, serdecznie żegnał się ze wszystkimi. Ada sama pamiętała o wyprawieniu go w drogę; poleciła także pułkownikowi, aby pamiętał o jego potrzebach, i wyprowadziła go wesoło na ganek, polecając mu ukłony dla szambelanowój....

W Ruszkowie pozostał znowu dwór tylko po dawnemu, domowi sami, i życie weszło w karby zwyczajne.

Ada była wesoła, ożywiona i czynna.... Dawno jój taką nie widziano. Ze wszystkiego nawet była kontenta i chwaliła wszystkich, co się trafiało rzadko. Pogoda jakaś i jasność patrzyły z jój oczu i czułą młodością nową odżyła. Humor ten budził w kuzynce najokropniejszy gniew i oburzenie. Patrzyła ruszając ramionami i — z dala tylko przycinając.

— Prawdziwie, żem cię dawno nie widziała tak ożywioną — mówiła.... zazdroszczę ci.

Ada spojrzała z politowaniem na nią.

— Znajdujesz? rzekła.

— Znajduję, że od dwóch dni nadzwyczajnie jesteś zmieniona, i cieszyłabym się, gdybym wierzyła, że to trwać może....

— A dla czegożby nie miało trwać? spytała Ada.

— Dla tego, że u drogiej mojej pani nigdy żadne usposobienie długo nie trwa, a tém mniej tak szczęśliwe.

Gospodyni westchnęła z lekka, ale uśmiezek błędził po jej ustach, oczy miała pełne wyrazu czułości jakiegoś niezwykłej, wahała urwaną gałązkę jaśminu i.... dumiała. Postać jej nawet dla tego wdzięk miała szczególny.... Hortensya ścigała ją oczyma....

— Czemuż to przypisać tę zmianę tak szczęśliwą? szepnęła.

— Nie wiem — żartobliwie dodała Ada — pogodzie może....

— Odjazdowi Karola?

— Wątpię.

— Powrotowi pana Roberta? wtrąciła złośliwa....

— Dla czegoż nie? to mogło wpłynąć także.... Nawykłam do jego towarzystwa — miłe mi jest.... Czy pragnęłaś, bym to wyznała?? nie taję.

— Ale, gdybyś się zaparła nawet — dorzuciła śmiejąc się sucho Hortensya — cóżby to pomogło? Wszyscy to widzą.... Nie umiesz się ukryć z niczém.

— Powiedz, że z niczém ukrywać się nie chcę — i nic nie mam do ukrywania — śmiało odezwała się Ada. Cóż komu do tego!...

— A! *pardon!* — gwałtownie zaprzeczyła Hortensya — nam, co ciebie kochamy.... bardzo — do tego!!

— Kochacie mnie? powolnie, szydersko powtórzyła Ada.... Kochacie!! A! bardzom wam wdzięczna za to; ale, proszę was, niech się ta miłość nie opiekuje mną! Dzieckiem nie jestem, wiem co czynię.... no — i lubię być swobodną!

— A! któżby śmiał na twą swobodę się rzucać — i zaprzeczać ci jój? — ale kochające serca....

Ada skłoniła się, gałązkę jaśminu przyłożyła do twarzy, i nagle obejrzawszy się, uchylając zasłone werandy, po niebiosach — odezwała:

— Pogoda — śliczna! mam wielką ochotę do samotnej przechadzki!! Gdybym się miała opóźnić na herbatę, nie czekajcie na mnie....

Hortensya nic nie odpowiedziała, Ada po cichu nócąc piosenkę jakąś Mendelssohn'a — oddaliła się z wolna. Przyszło jój na myśl odwiedzić jeszcze raz Kasię. Chciała się przekonać, czy teraz to szczęście w chatce, z którego się śmiała, które-

mu się dziwiła — równie śmieszném i dziwném wydawać się będzie....

W dziedzińcu na psy swoje zawołała, które się zerwały wesoło jak pierwszym razem... Oblęcki wyglądał oknem z oficyny.

— Pani sobie może komu każe towarzyszyć? spytał.

— Tak! żebym w ciągu przechadzki musiała go bawić rozmową, a on mnie! Ja właśnie chce myśleć, milczeć i być sama z sobą. Panie Mirosławie, jeśli się opóźnię — pijcie bezemnie herbatę.

To mówiąc ruszyła krokiem szybkim ku lasowi....

Wrażenia pierwszej przechadzki jeszcze były świeże.... a teraz — inaczej się jój przedstawiał krajobraz, natura.... inaczej śpiewały ptaki, kwitły dzikie rośliny nad drogą.... Coś dziwnie wesołego, zachęcającego do życia, upajającego było w woni tego powietrza. Nigdy tak pięknych roślin nie widziała w polu, poczęła je zrywać z przyjemnością, bawiąc się niemi.... Koniki przelatujące, motyle, muszki miały barwy złociste, jakich u nich nigdy nie widziała.... niebo stroiło się w barwy włoskiego zachodu słońca.... Gdy weszła w las — stanęła zdumiona pięknością tój świątyni, której słupy wysmukłe trzymały w górze zielone sklepienia.... Szła żywo, psy przybiegały do niej, łaśliły się i uciekały wyprzedzając i kołując,

naszukując i sprzecząc się z sobą. Czasem z krzaku lub z pod kamienia zrywał się ptaszek, za którym gonili, póki im nie znikł z oczu....

Gdzieś daleko w lesie brzmiała przez echo powtarzana piosenka dziewczęcia, co grzyby zbierało.... Łagodziło dźwięki oddalenie, i rozchodziła się, rozpływała wdzięcznie, miękko, tęskno, tak, że Ada stanęła się jej przysłuchiwać, ażeby motyw jej pochwycić....

Tak doszła do domku leśnika.... ale przed dworciem nie było nikogo.... Kilkę kur chodziło szukając ziarna.... para gołębi dreptała także trzepocząc skrzydłami, to podlatując nieco, to spadając na ziemię....

Okno dworku stało otworem, wiatr powiewał białą jego firaneczką, a z głębi cicha wylatywała pieśń nad kołyską nucona tak, jakby matka razem z dziecięciem usnąć miała.... Prosta to była melodia — ale dziś i ta, jak piosenka w lesie, robiła na niej wrażenie toż samo co dziko rosnące kwiatki nad drogą.... pełna była tego soku życia, co wprost z łona ziemi płynie.... sztuką nie wywoływany, nie podżywiany sztucznie. Słuchała stojąc, nim podeszła do okna....

W izbie siedziała z dziecięciem na ręku Kasia, na pół drzemiąca, pół zamyślona.... Oczy miała spuszczone na swojego „robaczka;” cień w oknie spostrzegłszy, podniosła je.... Poznała panią swą

kochaną — ale dziecko usypiało, „róbaczka” obudzić się nie godziło, palec położyła na ustach... potem łagodnie, ostrożnie dziecko złożyła w prostą kołyskę, obrzuciła je zasłonką od much, i dopiero wyszła rzucić się do nóg Adzie....

— A! paniuńcia moja droga! przepraszam sto-krotnie — poczęła — musiałam chłopaka położyć, bo tak mi długo wrzeszczał.... Zębów dostaje.... proszę pani. Co to za bieda z temi zębami! Niedługo człowiek niemi gryzie chleb, a z taką to boleścią przychodzi....

Ada.... słuchała z zajęciem, patrzyła na Kasię, rada była wniknąć w jej duszę, aby zrozumieć to życie, to szczęście.... Nie dziwiła się już tak Kasi jak wprzód — ale pragnęła wiedzieć, czy istotnie tak była szczęśliwa.

Tuż pod oknem w rogu dworku była bardzo prosta altanka, którą sam Stach dla Kasi wieczorami zbudował.... Lato ją obwinęło fasolami kwitnącemi ponsowo, powojem i sycyosem wziętym z Ruszkowa.... Siadły tam obie.... Kasia ją całowała po rękach.

— Jaka pani dobra! jaka łaskawa! że tak o swój starą nie zapominasz słudze....

— Chciałam się dowiedzieć — może ci czego brak? mów? Zawsze twój Stach tak poczciwy i dobry — zawsze jesteś szczęśliwa??

Rozśmiała się Kasia, ocierając twarz i oczy... poprawiając włosy....

— A! dzięki Najwyższemu — nic się u nas nie zmieniło.... Stach.... pocciwy i przywiązany, nie sędzę, aby się mógł nawet zmienić. Człek prosty a serdeczny. Czegoż chcieć? A uchowaj Chryste Jezu! bałamuctwa jakiego — o! droga pani moja! czyż ja nie mam szczęścia w téj kołysce?

Odwróciła się ku domkowi....

Kasia nawet o tém dłużej mówić nie chciała, i zagaiła o mleku, ofiarując się go przynieść. A że osy i muchy pod altanką dokuczały, wprowadziła Adę do domku.... Siadła właśnie naprzeciw kolebki, i matka nie mogła wytrzymać, ażeby podniosłszy nieco zasłony, nie pokazała jój śmiejąc się swojego puciołowatego chłopaka, który spał, obie pięści trzymając przy twarzy, ze spokojem pieszczonego jedynaka, wiedzącego, że nad snem jego ktoś czuwa....

Zostawiając Adę przy kolebce, z prośbą, aby na wypadek odezwania się dziecka, z lekka ją nogą poruszyła (była to kołyska na biegunach), Kasia pobięła do obórki po mleko.... Zadumana, rozglądając się w tém szczęściu sprowadzoném do najprostszego niemal wyrazu — pozostała Ada.... pojmując je teraz lepiej, czując mocniej.... Jakaś tęsknota i rozrzewnienie towarzyszyły jój myślom, i miło jój było w téj ciszy, w chatce — u koleb-

ki — miléj niż w salonie, gdzie ją ścigał złośliwy uśmiech Hortensyi i niespokojne wejrzenia jéj dworu....

Dwa psy, które jéj towarzyszyły, przez otwarte drzwi wśliznęły się do izby, pokładły głowy z obu stron przy jéj kolanach i patrzyły jéj w oczy....

Kasia nie nadeszła jakoś prędko z mlekiem: miała czas tak pozostać z ciszą, myślami i tym widokiem małego szczęścia w chatce, którego tajemnice rada była przeniknąć. Przyszła wreszcie gosposia.... zniżając głos, by dziecka nie przebudzić. Ada zaczęła z nią rozmowę o jéj gospodarstwie.... rozpytywała o szczegóły; ani się postrzegły, gdy zmierzchać zaczęło. Wtém przed dworkiem zatętniało, ktoś jechał konno.... stanął.

— Czy to twój mąż? spytała Ada.

— A! nie, mąż ze strzelbą poszedł pieszo.... zawołała Kasia do okna śpiesząc. Ale nim doszła do niego, głos bardzo znany, odezwał się:

— Panie Stanisławie! héj! panie Stachu!...

— To młody pan z Zahajów, zawołała Kasia, odwracając się, i postrzegła nagle, że Ada zbłądła i jakby przelekniona zadrżała....

— A! niech się pani nie lęka! ja go odprawię!

To mówiąc gosposia wyszła z dworka na próg, ale za nią wysunęły się dwa psy ruszkowskie,

które Robert znał dobrze i wiedział, że one się bez pani swój nigdzie nie ruszały.

— Dobry wieczór panu — poczęła Kasia — mojego w domu nie ma — poszedł las obchodzić!

— A! a cóż tu psy robią z Ruszkowa? odezwał się zdziwiony Jazyga....

Psy właśnie łasząc się i podskakując ku dobrze znajomemu, zbliżyły się do niego.

Zapytanie to tak zmieszało Kasię, że zakrywwszy się końcem fartuszka, nie wiedziała co odpowiedzieć. Zarumieniła się mocno, skłopotana, oczy spuściła.... Szczęściem Ada, której mężstwo wróciło, namyśliwszy się w téj chwili oknem wyjrzała....

Robert się uklonił i zsiadł z konia.

— A! pani tu! co za szczęście! odezwał się — zarumieniony.... Przyjechałem na polowanie prosić pana Rybackiego....

Ada patrzała milcząca, wsparta na oknie. Kasia widząc, że Robert stoi w niepewności co począć z sobą, gościnną być zapragnęła.

— Niechże pan mnie da konia — zawołam dziewczynki, to koń spokojny, ona go potrzyzyma.... a proszę wejść i choć mleka się napić....

Robert nie wiedział jeszcze czy mu wypadało przyjąć zaproszenie, gdy Ada się odezwała także:

— Nie odmawiajże pan Kasi!...

Przyszło jój wprowadzić na myśl, że z tego spotkania łatwo może urosnąć bajka o schadzках umówionych, rumieniec przebiegł jój po licu — lecz, miała mocne postanowienie nic nie poświęcać dla świata....

Robert od tego snu — rzecz dziwna — czynił na niej inne zupełnie, daleko silniejsze wrażenie, jakby owo marzenie węzłem jakimś tajemniczym ją z nim połączyło....

Jazyga też nie wahając się oddał konia nadbiegającej dziewczynce, i — wszedł do izdebki.

— Cóż pani tu robi?

— Widzisz pan — przyszedłam moją starą przyjaciółkę odwiedzić.... I to — nie pierwszy już raz.... Robię studia nad jój szczęściem, nad którymbym czuć chciała, aby trwało.... a ja się niem mogła napawać....

Położyła palec na ustach, wskazując na kolebkę....

— Tylko proszę mówić cicho — dziecko śpi, a gdy się przebudzi — nie da ani matce, ani nam spokoju.... Dzieci są despotyczne....

Robert usiadł trochę z dala — Ada zajęła swe miejsce u kolebki.... Cały on jeszcze był przejęty szczęściem tego spotkania, obawą jakąś.... nie śmiał się odezwać, patrzył, aby z jój oczu wyczytać rozkaz co ma robić z sobą.

— Pani tak sama.... rzekł w końcu — odbywa dość odległe przechadzki.... Kawałek drogi przez las!

— Ale nie sama! odparła Ada.... widziałeś pan moich wiernych towarzyszków — coby mię obronili w przypadku, gdybym potrzebowała obrony, co być wcale nie może.... A wieczór był tak piękny, że się pokusie przechadzki oprzeć nie mogła. W towarzystwie musi się mówić, chciałam być sama, ażeby myśleć.

Zaczynało zmierzchać. Kasia przybyła z mlekiem, Ada wstała wybierając się już z powrotem. Robert też ruszył się.

— Nie śmiem być tak zuchwałym, aby się narzucać pani za obrońcę.... w dodatku do psów — przez las.... ale — moja droga właśnie wtedy prowadzi....

Ada się uśmiechnęła....

— Wyobraź pan sobie, że panna Hortensya lub ksiądz kanonik spotykają nas w drodze, zaczęła mówić wesoło.... Byłbyś pan najokropniej skompromitowany....

— Ja! zawołał Robert....

— O! ja! nie — a potem cóż mnie to obchodzi!... Bądź zdrowa Kasiu.... Zatem rzekła odwracając się do Roberta — pan mi w przyzwoitem oddaleniu, towarzyszu na koniu, jako moja gwardya.... Siedaj pan!

— Pani mi pozwoli, ażebym konia prowadził w rękę?

— I na to zgoda! Widzisz pan, jestem grzeczna....

Jeszcze raz uściskawszy Kasię, która trochę zdumiona patrzyła na tę parę oddalającą się — szepnęła jej Ada:

— Niechże z tego plotek nie będzie!

— A! proszę pani — odparła cicho Kasia — nawet mężowi nie powiem!!

Ale sama się zapłonęła mocno.... i Boże przepuść — pomyślała sobie:

— Kto ich wie — może to nie był przypadek!? Ale co mnie do tego!...

Ada z początku zmieszana, była mocno, biło jej serce, gdy się wśród téj ciszy lasu i mroku wieczoru nadchodzącego znalazła sam na sam z Robertem. Położenie było ekscentryczne. Z dumą jakąś powiedziała sobie:

— Cóż mi tam! w duszy jestem wyższą nad to wszystko....

Bojaźliwie Jazyga szedł w pewném oddaleniu, nie śmiejąc się odezwać, lub raczej nie wiedząc co mówić. Drżał upojony szczęściem i trwogą. Ada nań śmiało patrzyła.

— A! rzekła — bawi mnie to, żeśmy się tak spotkali, właśnie gdy chciałam go widzieć i mówić z nim. Mam dobrą nowinę do zwiastowania.

Nudny, ale biedny mój kuzynek Karol, nagle wyjechał. Ruszków jest znowu jak był... i czeka, żebyś pan po dawnemu często go, często odwiedzał....

— A! pani, drżącym nieco głosem począł Robert, mimowolnie się zbliżając ku niej — jabym nigdy nie wyjeżdżał z Ruszkowa, gdyby... gdyby się to godziło.... Wyjechawszy, czuję zawsze tyle rzeczy niewypowiedzianych....

— Wracaj pan! o! nie zważaj wcale na nic.... Jeśli się to komu niepodoba lub dziwić będzie, że bywasz często i masz dla mnie trochę przyjaźni.... cóż to nas ma obchodzić?....

Spójrzała nań podając mu rękę.

— Mówiłam panu:— bądźmy sobie siostrą i bratem.... Jam brata nie miała nigdy, nie miałam siostry.... matka mnie dawno osierociła. Serce moje potrzebowało przywiązać się do kogoś....

Robert okrywał rękę pocałunkami.

— Ale.... rzekła Ada.... pamiętaj pan, ma to być czyste, święte — przywiązanie siostry i brata.... Żadnej namiętności gwałtownej, żadnych burz i walk serdecznych — brat i siostra!!

Stała powtarzając te słowa, gdy Robert wzruszony przykląkł przed nią na jedno kolano.... Nie mógł mówić w pierwszej chwili.

— A! tak — zawołał nareszcie podnosząc się — na wszystko co pani nakazujesz, zgodzę się, —

lecz pozwól mi być swym sługą na życie całe — bratem....

— Bratem! powtórzyła Ada, wskazując mu aby wstał, na pół łzawym, pół żartobliwym głosem. Na zawsze siostrą i bratem. Zrozumiej mnie dobrze.... niczego nie żądam więcej. Czyż nie dosyć takiego serdecznego dwojga istot związku...?

— Pani! przebaczył Robert....

— Do siostry nie mówi się już pani — dodała Ada — ani pan do brata. Przy tych ludziach co nas mają i mieć powinni za obcych sobie.... mówmy jak zwykle; gdyśmy sami.... nazywaj mnie Adą, ja cię bratem, Robertem nazywać będę....

Szczęście, którem był przejęty Robert — mówić mu nie dawało. Gwałtowne to wzruszenie przestraszyło nieco Adę.

— Uspokójże się — rzekła sama siląc się, aby nie okazać własnego wzruszenia.... Podaj mi rękę, chodźmy razem. Las się kończy wkrótce — tam rozstać się musimy....

Od dawna chciałam z wami zawrzeć to braterskie przymierze — cieszę się, że dziś miałam na to odwagę, i — że zrzuciliśmy okowy, jakie na nas ciążyły.... Jesteśmy od dziś siostrą i bratem....

— Ado! siostro! po raz pierwszy tych imion używając i upajając się nimi zawołał Robert — ty jesteś wyższą istotą — tyś aniołem. Tyś to rozumiała i uczuła, że taki człowiek jak ja, czcząc

cię i wielbiąc wieki, nigdy ci nie mógł się przyznać do czei.... Byłaś dobrą jak anioł rozbijając te więzy, które mi słowo w piersi zakuły.... Oddycham teraz.... ale szaleję ze szczęścia....

— Siostrą i bratem, Robercie! siostrą i bratem! Jak brat i siostra kochać się mamy, pamiętaj — zatém bez szału, upojenia — spokojnie — jak w Niebie....

W téj chwili ów sen przyszedł jój na myśl.... oczy mgłą zasłzy, pochyliła głowę na jego ramię.... i szła milcząca... zamknawszy powieki. Zapomniawszy o świecie całym. Ręka brata z lekka objęła ją.... stanęli....

Szczeknięcie psa wywołało krzyk z ich piersi, ale Ada nie opuściła go, otworzyła śmiało oczy.... Mrok padał, nie było nikogo prócz nich.... stali na wybrzeżu lasu.... w dali Ruszków widać było.... Pies z radości zapewne szczeknął, bo na drodze nikogo dostrzedz nie mogli.

Cichym głosem Ada pożegnała go....

— Jedź — rzekła — do zobaczenia — u mnie — albo w téj chatce.... gdzie chcesz, bracie.... bracie!!

Kilka razy powtórzyła ten wyraz....

Ale na czole czuła długo pocałunek braterski. Wyrwała się żywo śpiesząc... Robert skoczył na konia i pędził boczną drożyną ku Zahajom, szalony.... bezprzytomny....

Nie wiedział ani którędy koń go niósł, ani jak dobiegł do domu, stanął u wrót, i dopiero rzenie konia, dopominającego się aby mu otworzono, zbudziło go z tego stanu oczarowania.... który się snem wydawał.

Chłopak otwierający mu wrota, uderzony był dziwnym stanem młodego pana.... Nie odpowiadał na pytania — nie słyszał ich, wszedł do dworku, padł na sofkę i tak pozostał w jakimś odrętwieniu. Prawdą to było — czy złudzeniem — ona jego siostrą? on jój bratem? Czuł jeszcze na ramieniu dotknięcie jój skroni.... tą ręką ośmielił się ją do piersi przycisnąć. Siostra nie broniła mu braterskiego pocałunku.... Był szczęśliwy! Mógł umrzeć....

— Nic więcej nie chcę — będę jój bratem, posłusznym, pokornym, wiernym jój całe życie.... Dwie dusze nasze w jedną się zleją.... Niech ludzie.... potwarzają nas obrzucają, niech cierpię.... dla niój cierpieć będzie rozkoszą....

Przez cały wieczór, noc całą dumał, myślał, a gdy mu na myśl przyszedł ojciec — bladł i drżał....

Ten braterski związek nuż ojciec zechce zerwać? Co począć wówczas? Odpędził myśl natrętną. Było mu błogo.... choćby jutro umierać, życie nad tę czystą szczęścia chwilę więcej już nie mu dać nie mogło....

Służba naprzeciwno mówiła:

— Pan gdzieś musiał być na winie?

Ada śpiesznym krokiem z początku biedz zaczęła ku parkowi.... strach ją ogarniał jakiś. W pół drogi ochłonęła nieco, westchnęła.

— Stało się co było nieuniknioném, rzekła. Nie wiem jak wyszły mi z ust te wyrazy, zkad się znalazło męztwo. O! sen, kusiciel przekłety.... wrażenie tego snu rzuciło mnie na jego ramię.... kazało nazwać bratem.... Wstydzę się — a gdybym wróciła na tę ścieżkę i ujrzała go przy sobie — jutrobym mu powtórzyła to samo.... Siła jakaś władała mną, mówiła przezemnie.... Stało się. Ani się tego rumienię! Tak leplęj....

Ada sama się starając wytłómaczyć i ukoić, weszła do parku najprzód, od którego furtki klucz miała, chodziła po nim długo, zdawała się lękać, aby jój z twarzy szczęścia nie przeczytano, którego doznała.... Paliły skronie, gorzała twarz, drżały jeszcze usta, a serce na wspomnienie chwili tój biło jakby pęknąć miało.

Już ciemno było zupełnie, gdy po długim wahaniu, zbliżyła się do werandy, po której Hortensya chodziła niespokojna. Dalej siedział kanonik, półkownik i Karolina w kątku.

Gdy weszła na wschodki, półkownik Brandys zerwał się z okrzykiem radosnym.

— A! dziękiż Bogu! myśmy już za panią rozesłali na wszystkie strony.... Takeśmy się lękali, czy się co nie stało.

— Ja od godziny jestem w parku! odpowiedziała Ada starając okazać się spokojną— odpoczywałam.... Wieczór tak śliczny....

— Ale godziź się tak trwożyć przyjaciół — odezwał się kanonik — temi samotnemi przechadzkami?

— Miałam dwa psy z sobą.... dodała Ada.... a cóż mi się stać mogło!

— Ja sama, wtrąciła Hortensya, przed godziną wyszłam na spotkanie kuzynki aż pod las.... ale nigdzie jój dojrzec nie mogłam.

Ada drgnęła, lecz rozśmiała się zaraz....

— Przecież jedna jest droga ztąd do lasu i leśniczówki.... Ja nie lubię chodzić w towarzystwie, wolę być sama....

— To choć służący mógłby z daleka.... rzekł pułkownik.

— A! to niewola — przerwała Ada. Pułkownik wiesz, dla czego ja na organach grać nie mogę: bo czuję tego kogoś, co kalikując mi nudzi się — tak samo-przechadzałbym się nie mogła, w ślad idącego mając owego znudzonego stróża....

Hortensya słuchała nic nie mówiąc, lecz w oczach jój było coś strasznego, jakby uciecha mściwej istoty, która nieprzyjaciela dostała w rękę.

Wzrok ten szatański, ile razy go spotkała, bolał Adę — powtarzała sobie mimowolnie, że Hortensya chodziła na jój spotkanie — i mogła okiem swém bazyliuszka sprofanować scenę.... dla niej niewy-

tlómaczoną, gorszącą.... zbrodniczą. „Jeżeli tak było, mówiła sobie w duchu, — naówczas.... będę na łasce téj istoty. Któż uwierzy w brata i siostrę? Powiedzą, żeśmy dwojgiem kochanków.... okryją mnie sromem, który tylko związek pobłogosławiony zmyć może...?

Ada nie przypuszczała jeszcze téj myśli, by matce dane słowo złamać miała! Chciała mieć tylko brata — nie męża....

Lecz — mogła być — zmuszona?? Opanowana myślami temi, zatopiona w sobie — gospodyni nie dobrze słyszała jakieś opowiadanie kanonika, jakieś pytania pułkownika — coś o co się jój chciał radzić Oblęcki.... Wszystkim im odpowiadała łagodnie, iż była zmęczona dzisiaj, że jutro pomyśli.... Pułkownik też pierwszy postrzegłszy tę zadumę, przestał ją męczyć.... Do wieczery poszła jeszcze niezbyt przytomna — lecz tu.... zawstydzona stanem tym bezsilności, otrzęsła się z niego nagle — i zaczęła rozmowę swobodną i żywą. Było w niej tylko nadto jakiś gorączki — niepokoju.

Hortensya oczyma jak pijawka się w nią wpiła, na chwilę ich z niej nie spuszczał.... Zwykle rozmowna, tego wieczoru milczała osłupiała niemal. Inni za to zastępowali ją opowiadaniem, a Oblęcki szczególnież ożywiony był, bo nowy karton miał na myśli.

Było to coś nakształt Bitwy Hunnów Kaulbacha, scena w pół na ziemi, na pół w obłokach, ale z motywu, którego dostarczyły mu dzieje: owa bitwa z Tatary, co nieśli chorągiew z głową potworną, ziejącą dymem i płomieniem. Malarz całe wojsko piekielnych zjawisk chciał zawiesić nad pobojuwiskiem krwawém, marzył o najdziwniejszych postaciach szatanów unoszących się z żagwiami i oszczepami nad bohaterskimi szeregami obrońców krzyża.... Oblęcki, jak zawsze, dopóki marzył o obrazie, miał pomysły mistrzowskie, czuł w sobie siłę dać im ciało i barwę.... lecz przy płótnie ogień natchnienia, którego nie był panem, gorzał prędko.... i ręka opadała zdrętwiała.

Słuchając go opowiadającego, wszyscy czuli piękność obrazu, nikt nie wierzył już, ażeby się on mógł narodzić. Gdyby artysta tchem jednym był go w stanie stworzyć — niechybnie byłoby to arcydzieło — rozdzielić sił, oszczędzić ich, wytrwać z nimi nie umiał. Iluż jemu podobnych skazanych jest na wiekuistą walkę z własną naturą, co ich na widzenie tylko z dala ziemi obiecanéj skazała!!

Oblęcki już miał karton rozpięty.... załedwie na chwilę mógł się oderwać od niego, nie pił, nie jadł, nie mówił, tylko o nim.... Ada słuchała go z politowaniem i zajęciem.

— Biedny marzycielu — rzekła w końcu — a! psuj płótna i kartony, — maluj i niszc.... może

nareszcie kiedy zlituje się nad tobą geniusz sztuki i cugle twój fantazyi narzuciwszy, pokieruje tobą? Ja nie rozpaczam.... Ostygnąć musisz jeszcze, abyś się stał tak dobrym rzemieślnikiem, jak jesteś genialnym artystą.... Niestety — w tobie poeta zabija rękodzielnika — a trzeba, by oni dwaj jak bracia szli razem ręka w rękę....

— Jak brat z siostrą? dodała złośliwie Hortensya.

Ada zbladła na chwilę, przez źrenicę jój przeleciało jakby płomie — była pewna, że kuzynka podpatrzyła ich i podsłuchiwała.... Była chwila milczenia, lecz po niej Ada z chłodną krwią zwracając się ku pannie Hortensyi rzekła:

— Tak jest — jak brat z siostrą! wyraziłaś się lepiej odemnie....

Wstali od stołu, i wkrótce potem Ada wymknęła się do swojego pokoju. Nie było w tém nic nadzwyczajnego, gdyż często bardzo szła spocząć, pisać swój dziennik, lub czytać u siebie.

Nazajutrz przy śniadaniu, do którego późno dosyć przyszła panna Hortensya, wszystkich uderzyła jój postać sztywniejsza niż zwykle, usta zacisnięte, zmarszczone brwi, milczenie uparte i zadumienie. Ada zapytała jój grzecznie czy nie ma bólu głowy, który ją często napadał? — Zaprzeczyła temu sucho. Śniadanie zostało nietknięte, ser-

wety nawet nie zdjęła z talerza. Przez cały czas z rękami złożonemi, patrzała na ścianę przeciwną, gdzie wisiał portret stary jednego z Boguszków, w karmazynowej delii z wyrazem twarzy wyzywającym i niemiłym. Zdaje się, że i tego kasztelana, i nic nie widziała, tak była w sobie zatopiona. Kanonik także siedział poważniejszy niż zwykle, blade, mało co się odzywając. Pułkownik jeden był w zwykłym swobodnym humorze, wesół, gadatliwy.... Oblęcki się nie pokazał, rysował Tatarów swych i duchy piekielne nad wojskiem się unoszące.

Ada była już zupełnie uspokojona, pani siebie, bledsza tylko nieco, twarz miała jakby zmęczoną, a oczy niemal łzawe.... Cierpienie jakieś i ubłogosławienie razem mieszało się na twarzy.

Gdy wszyscy wstali, ks. kanonik prędzej niż zwykle się wysunął. Pułkownika powoływały zajęcia do folwarku, panna Karolina wyszła na werandę, Hortensya została sama z gospodynią, która zabierała się także odejść do siebie, gdy ją kuzynka zatrzymała, dziwnie usta sznurując i mierząc ją wzrokiem, który niby łagodnym starała się uczynić.

— Pozwolisz mi słóweczko....

— Proszę bardzo.... odpowiedziała Ada wracając.... Co każesz?

— Prosiłabym cię o konie.... rzekła panna Hortensya — o konie!

— Są zawsze na two rozkazy....

— Od niejakiego czasu czuję się jakoś nie dobrze, doktor Weller mi nie pomaga.... Mam myśl.... nie wiem, zdaje mi się, że — dla zdrowia — osiade w Wilnie. Tam łatwiej jest o radę lekarską....

Ada zarumieniona, z razu nie umiała odpowiedzieć.

— A! jeśli ci z tém ma być dogodniej — nie śmiałabym wstrzymywać — rzekła po namyśle....

Hortensya zdawała się czego innego czekać i spodziewać, jakiegoś pytania, któreby jój więcej powiedzieć dozwoliło. Gospodyni stała przed nią spokojnie czekając na dalsze żądania.

— Tak jest — mówiła Hortensya po pewnym namyśle. Zdrowie moje coraz jest gorsze. Sama nie wiem czemu to przypisać — ale są w życiu, nieoddzielne od niego wrażenia, wzruszenia, a ja mam nieszczęśliwą taką naturę, że nic obojętnie znieść nie umiem.... Cudze nieszczęście dotyka mnie....

— Nie rozumiem coby w tych czasach szczególniej mogło cię tak dotknąć, przemówiła Ada powolnie. Nie chcę w to wchodzić....

Hortensya zdawała się wahać i walczyć z sobą.... Twarz jój przybrała wyraz, który chciał być pełnym litości i współczucia, ale ta maska przywdziana źle pokrywała złośliwość. Grymas był

niezrozumiały jakiś a wstrętliwy. Usta się ścigały, jakby płacz powstrzymywała, a oczy iskrzyły się gniewem i złością.

— Nie wszystko się daje wypowiedzieć — rzekła przerywanym głosem. Są rzeczy, o którychby się chciało zapomnieć.... które przez usta nie przejdą nigdy....

— Nie rozumiem, droga Hortensyo — mówisz mi zagadki, których ja rozwiązywać nie mam prawa ani ochoty. Widzę tylko, że ci tu u mnie źle.... i z prawdziwym bolem serca, muszę siebie o to obwinić — choć — pragnęłam z duszy, aby ci było jak we własnym domu....

— Umiem za to być wdzięczną — syknęła panna Hortensya — wiem, że mogłam być ciężarem....

— Nigdy.... przerwała Ada.

— Potrzebuję się oddalić — tak jest.... choć z bolem serca.... Nawykłam, przywiązałam się do ciebie — kochałam cię....

— Wierz mi, żem się wzajemnością odpłacała....

— Ale nigdy, nigdy mojej rady serdecznej.... nie chciałaś usłuchać!

— Twojej rady? podchwyciła Ada spokojnie. Znasz mnie Hortensyo — jest to, nie wiem, wadą mojego charakteru czy jego zaletą, że ja się powoduję tylko wolą własną. Nie zwykłam słuchać

nikogo, oprócz mego rozumu i natchnienia. Błądzą może.... ale....

— Tak — na to już nie ma ratunku! oczy sobie suche zasłaniając chustką mówiła panna Hortensya — rozstańmy się więc....

Mówiła z coraz większym poruszeniem, sądząc, że niém oddziała na kuzynkę, która coraz tylko bardziej stygła....

— Jeżeli to wola twoja.... rzekła....

Panna Hortensya padła na fotel płacząc. Scena cała była widać umówiona, obrachowana, przygotowana, aby wywarła wrażenie.

Blada — kryjąc w sobie co czuła — stała patrząc na płaczącą Adę — lecz nie odzywała się wcale. Czekiła....

— To wzruszenie — dodała w końcu — może ci więcej zaszkodzić jeszcze.... Uspokój się proszę.... Chcesz, bym cię odprowadziła?

Hortensya usłyszawszy to, zerwała się nagle, gwałtownie, i chustkę na oczach trzymając, uciekła....

Gonić za nią nie myślała Ada, wróciła do siebie. Były to następstwa wczorajszej nieostrożności.... Hortensya musiała być świadkiem sceny, i w skutek jój chciała zastraszyć Adę, aby ją opanować. Zdało się jój, że będąc w posiadaniu tajemnicy schadzek w lesie i czułych zbliżeń, potrafi groźbą rozerwać te stosunki.

Omyliła się, gdyż Ada, choć cierpiała — nie myślała uleść nikomu, znieść choćby potwarz, walczyć choćby z całym światem. Uczucie, które nią władało, było czyste, nie czuła się winną, a gardziła tém, że mogła być obwiniona.

— Moje postępowanie całe przekona ludzi, że — nie jestem dlań tylko siostrą — ale nadto go kochać, bym dla głupich ludzi, jego się wyrzec miała!

Wszedłszy do siebie, zadzwoniła natychmiast prosząc, aby do niej wezwano pułkownika. Chodziła po pokoju niespokojna, gdy Brandys, zawsze biegiem na zawołanie śpieszący, zjawił się.

— Co moja dobrodziejka rozkaże? zapytał.

— Nie wiem co się stało Hortensyi, nie wcho-
dę w to — musi jój być u mnie źle — na to już
poradzić nie mogę — słowem — rzekła Ada — chce
wyjeżdżać.

— Jak to? zupełnie?

— Zdaje się — rzekła Ada.

Pułkownik głową pokiwał, nie okazując nadzwyczajnego zmartwienia.

— Bądź łaskaw pułkowniku — dokończyła gospo-
dyni — wyręcz mnie w tém, jak wyręczasz we
wszystkiém. Pójdź do niej, bądź bardzo grze-
cznym — o to cię nawet prosić nie trzeba, bo nie
umiesz być innym — rozpytaj jak chce się urzą-
dzić z podróżą, i czémbyśmy ją mogli ułatwić....

— Czy mam perswadować, ażeby została? zapytał stłumionym głosem, jakby z obowiązku Brandys.

— Mnie się zdaje, że... toby było zbytęczném— rzekła pani; — możesz ubolewać, że ją tracimy— ale nie zadawajmy jęj gwałtu...

— A! pewno! Jeśli chce, niech z Bogiem jędzie — pośpieszył poprawiając się pułkownik. Jeżeli już u mojęj dobrodziejki jest źle... no!...

— To osoba.... chora.... podrażniona swém położeniem.... szanujmy niedolę....

— To się rozumie! stwierdził pułkownik.... Zatem, mam się udać do nięj, po rozkazy?

— Tak, kochany pułkowniku — i czegokolwiek wymagać będzie — proszę cię, spełnijmy....

— Naturalnie....

Brandys pocałował w rękę dobrodziejkę, zwrócił ku nięj oczy pełne uwielbienia i wyszedł śpiesznie....

W chwilę potém pukał do drzwi.... Nie zastał jęj samą, w fotelu siedział zasępiiony kanonik.... Żywa, krzykliwa nawet rozmowa została przzerwana. Przytomność księdza hrabiego nieco utrudniała posłannictwo — choć Brandys umiał zawsze sobie dać rady. Nie dārmo pół wieku żył na świecie....

Wszedł z uśmiechem grzecznym, ale smutnym. Hortensya była prawie pewna, że przychodzi z perswazyami.

— Z prawdziwą boleścią — co to ja się dowiaduję, że pani nas chce opuścić! osierocić! Możesz to być?...

— Musi być — niestety — sucho odparła panna Hortensya.

— A! to nam wszystkim przykro — westchnął pułkownik — ale — kiedy takie jest jój postanowienie.... trudna rada....

Tu spoczął nieco....

— Pani nasza, dobrodziejka moja, przysyła mnie tu właśnie po rozkazy.... Radzibyśmy przynajmniej w téj chwili rozstania, dowieść jak zawsze gotowiśmy byli — we wszystkiém.... tego....

Brandys połknął resztę. Błada twarz panny poczerwieniała — wzrok się zwrócił na księdza. Mówiła mu oczyma:

— Kontenci, że się mnie pozbędą — patrz!

Brandys stał na rozkazy oczekując.

— Ja jeszcze sama nie wiem — jak się zdecyduję — rzekła dumnie Hortensya. W każdym razie kuzynce jak starałam się tu nie być ciężarem, tak i odjeżdżając postaram się — jak najmniej wymagać. Może pan być pewnym.

— Ale my gotowiśmy, z duszy — serca — zawołał pułkownik — wszelkie ułatwienia — dogodności....

— Ma to minę, pułkowniku — rozśmiała się złośliwie panna, — jakbyście gotowi na największe ofiary, byle się mnie pozbyć.

— A! pani dobrodziejko! Godziż się to?

— Żartuję, panie Brandys — oczywiście żartuję, nic więcej.... Jeszcze nie wiem sama. Zaledwie powiedziałam o tém kuzynce.... nadto jest troskliwa.... Widzi pan — dodała wskazując sprzęty do koła — niełatwo to z mojami gratami się wywieźć....

Brandys głową potrząsał.

— Ja tylko czułem w obowiązku stawić się po rozkazy, rzekł — rozporządzenie wszelkie należy do pani.... Sługą jój jestem....

To mówiąc skłonił się i wyszedł, nie pytając więcej.

Po jego wyjściu zerwała się impetycznie z krzesła Hortensya, załamując ręce.

— Słyszałeś, hrabio, widziałeś! — krzyknęła. Otoż to jest wdzięczność za moje poświęcenie się dla niej, za serce, za miłość, za te rady i czuwanie, któremi lat tyle ją chroniłam od zguby.... aż do téj nieszczęsnej godziny.... Bez serca....

— Dowodzi, że go ma może nadto, rzekł kanonik cicho — choć niém źle rozporządza....

Hortensya przechadzała się, rzucała raczej po pokoju....

— Juściż mnie wypędzić tak nie może.... Chcę jechać — wyjadę! Pozostać tu, patrzeć na te skandale, na te amory nie mogę. Sumienie mi nie pozwala.... Lecz jednej godziny wylecieć niepodobna.... Chciałabym doczekać radcy tajnego przy-
najmniéj.

— Nie pisał, kiedy będzie? spytał kanonik.

— Czas nieoznaczony.... Trzeba koniecznie, abyś hrabia widział się z nim wprzód, przygotował go.... objaśnił, naradził się z nim o wspólne działanie. Duszę jéj ratować trzeba, cześć, sławę.... imię rodziny....

Załamala ręce nad głową.

— Z radcą się widzieć będę — rzekł uspakajając kanonik. W istocie.... to potrzebne.... Wierz mi pani wszakże, że z tą kobietą, znając jéj charakter, trzeba umieć postępować....

Tu siłą i groźbą nic się nie zrobi, tylko się umocni w uporze....

— A więc?....

— Są inne środki — kończył kanonik.... Miłość własna.... miłość własna, niestety! — to zawsze sprężyna jedyna, za której poruszeniem zegar człowieka się nakierowuje i nastawia.... Do niéj umiejętnie trzeba przemówić. I — kanonik chciał mówić więcej, lecz zmiarkował, że całego planu swojego nie powinien był odkrywać przed Hortensyą; więc zamilkł, kończąc poruszeniem ręki.

— Nadewszystko chłodno, rozważnie, powoli — rzekł po chwili; gdy się na drogę gorącą wprowadzi sprawę, wzmoże się gorączkę w naszej biednej choréj.... bo jéj inaczej nazwać nie mogę.... To-by było najszkodliwsze.... I tak choroba jéj jest już gorączką.

— A zatem — cóż? proszę mną kierować! proszę mi powiedzieć co mam czynić? spytała Hortensya.

— Ponieważ pani oznajmiłaś swój wyjazd.... należy trwać w postanowieniu, ale się nie śpieszyć.... a nie okazywać gniewu i rozdrażnienia, smutek byłby właściwszy, byłby nawet skuteczniejszy.

To mówiąc ksiądz de Bello, jakby już miał odrazę do dalszej w tym przedmiocie rozmowy, wstał i wolnym krokiem wyszedł z pokoju....

Wieczorem tegoż dnia nadjechał Robert.... Pilno mu było do Ruszkowa, a lękał się ją widzieć, znaleźć inną, zmienioną, nie tą, jaką ją pamiętał. Przy obcych musiała być zimną, jak była zawsze. Ada zarówno lękała się tego spotkania, aby się nie wydać ze zmianą, która w jéj sercu zaszła.... Znalezienie się Hortensyi nakazywało ostrożność, a nie chciała dla niego być znowu odstręczającą i inną, niż serce kazało. Była to chwila dla obojga straszna do przebycia — pierwsze widzenie się po tém zbliżeniu serdeczném, kiedy wrócić musieli do dawnego stosunku. Robert daleko mniej znajdował

w sobie siły i mniej się obrachowywał — uczucie nim rządziło. U Ady rozum, do którego panowania nawykła brał górę....

Powiedziała sobie zawczasu: — Będę taką jaką byłam dawniej — a nagrodzę mu to, gdy się znajdziemy sami. Ludzie — niech mówią co chcą. — Przez okna wychodzące na ogród zobaczyła Roberta idącego z pułkownikiem, przywitała go mile i pośpieszyła na werandę, sądząc, że tam jeszcze nie znajdzie nikogo. W kątku siedziała nad robotą zamyślona panna Karolina, której może trochę tęskno było po odjeździe Karola.... Spotkali się na wschodkach, Ada mu podała rękę jak zwykle, ale oczy jój śmiejące się, jasne, kazały pamiętać na wieczór wczorajszy.

— Dobrześ pan zrobił, że przyjechałeś rzekła. — Ruszków coraz puściejszy się robi. Wiesz pan, że Hortensya nas chce opuścić?

— Właśnie słyszałem o tém od pułkownika — odezwał się Robert....

— Zdaje się jój, że jest chorą — rzekła pani domu.... My wszystkie stare panny, mamy takie przywidzenia i fantazyje!!

Zaledwie domówiła tych wyrazów, gdy kanonik razem z Hortensyą nadszedł. Był wielce tego dnia chmurny i poważny, a milczący. Z dala, z widoczném lekceważeniem zaledwie głową poruszył, odpowiadając na przywitanie Roberta, i siadł z daleka.

Panna Hortensya nawet się nie witając z przybyłym, poszła szukać roboty. Ada umyślnie przystąpiła do Jazygi i głośną z nim zaczęła rozmowę, podżartowując z jego niezmiernie gorliwego gospodarstwa i z robienia fortuny na Zahajach.

Ośmielony Robert także mówił wesoło, przyznając się, że miłość własna, więcej niż chciwość zarobku, dodawała mu zapału — aby pokazał, że przecie potrafi coś na pierwszém swém gospodarstwie....

Ani kanonik, który książkę jakąś wzięwszy ze stołu, przewracał ją od niechcenia, ani Hortensya zajęta robotą — nie mieszała się do głośnej rozmowy. Pomagał tylko pułkownik. Gospodyni dopypywała potém, co się z malarzem dzieje i czy już podarł swoją bitwę z Tatarami? Złośliwie nieco spytała Karoliny, czy ona o tém nie wie? Karusia oczy podniosła, nie umiała słowa powiedzieć, i spuściła je żywo na robotę swoją.

Właśnie dla tego, iż Hortensya tego dnia musiała na każdy krok jej pilniejszą zwracać uwagę, Ada, niepostrzeżenie dawszy znak oczyma Robertowi, powoli wyszła z nim rozmawiając do pustego salonu. Byli tu wprowadzić na oczach tym co zostali pod werandą, ale rozmowy ich nie mógł nikt posłyszeć....

— Zdaje mi się — odezwała się Ada po cichu — że naszego spotkania i rozmowy mieliśmy nieproszonego świadka....

Robert ręce załamał, ona się uśmiechnęła z odwagą i rezygnacją.

— Oprócz Boga, który był naszego ślubu braterskiego świadkiem — dodała — panna Hortensya.... chociaż to jeszcze trochę ciemne.... musiała tam być gdzieś ukryta.

— Ale — nie trwóźże się tak bardzo — wtrąciła, widząc, że Robert twarz zakrył rękami. Każdy ruch twój i mój jest widziany.... rejestrowany. Stało się — czyste mając sumienie — jak my — możemy znieść potwarze — i na nie uwagi nie zwracać. Podała mu rękę zręcznie tak, aby ruch ten nie mógł być postrzeżony....

— Trzeba mieć odwagę, choćby głośno wyznawać, to czém się żyje po cichu — rzekła. Ty bracie — ja, musimy być przygotowani na zniesienie wielu przykrości na walkę niejedną. Mnie mężstwa nie brak....

— I mnie go nie zabraknie — odezwał się Robert stłumionym głosem, spoglądając ku werandzie. — Gdybym tylko ja miał cierpieć.... a! byłbym wesół i szczęśliwy boleścią, ale dzielić ją z tobą i nią płacić za twą anielską dobroć....

— Dobroć! jaką? ale ja jestem egoistka! potrzebowałam duszy bratniej, zdobyłam ją.... Skarb ten warto czémś opłacić....

Mówiła z takim mężstwem i zapałem, że Robert też uczuł się silniejszym.

— Chciałbym każdy wyraz twój wyryć w mój pamięci.... o moja siostro droga!

— Cyt — rzekła Ada — pomnijmy, że tym co na nas patrzą, winniśmy się wydawać obojętnie rozmawiającymi o literaturze.... Lepiej będzie może nawet na dziś.... gdy wrócimy pod werandę. Tych kilka słów ci tylko byłam winna, aby między naszym wieczorem a dniem dzisiejszym nie było przerwy i milczenia....

Pochyliła się ku oknu gospodyni i wezwała pułkownika.

— Chodźże pan do nas! rzekła — nie zostawiaj nas tak samych....

Brandys pośpieszył. Od rana nie miała zręczności mówić z nim Ada, i spytała go cicho, przy Robercie:

— Cóż Hortensya?

— Podziękowała mi, mówiąc, że jeszcze wiele ma do przygotowania.... Dzień nie oznaczony....

— To zupełnie od niej samą zależeć będzie....

Znowu o obojętnych rzeczach mówili we troje. Hortensya choć miała oczy spuszczone na robotę, zręcznie strzelała niemi na młodą parę, na pułkownika, niekiedy na kanonika który książkę przerzucał zawsze, choć widać było, że ona go nie zajmowała wcale....

Po chwili Ada wróciła na werandę. Zostawiła Roberta z pułkownikiem i zbliżyła się do kanonika, zapytując go, jaką książką tak pilnie się zajął?

— Jedną z tych, z którymi się nie zwykłem spotykać, odparł kanonik. Tu u pani czasem się wcale niespodziane robi znajomości. Do jednej z tych należy ten Żywot przez Renan'a.... Jestem zdumiony, że pani kłaść go możesz na stole....

— A! mój ojciec! odpowiedziała Ada spokojnie— dzieci u mnie nie ma, dla których mógłby być niebezpieczny — starszym dla ugruntuowania się w wierze nie ma pożyteczniejszego nad poznanie się z niedołęzną krytyką, która drobnostki kruszy — aby wielki gmach jeszcze potężniej wystąpił!!

— To bardzo szczęśliwie, iż pani tak pojmujesz bezbożne i bezsilne porywy mędrków — odparł kanonik, — ale nie wszystkie umysły tak są zbrójne....

— Zatem Renan'a.... wrzucimy do pieca — odparła Ada — choć za pannę Hortensyę ręczę, że go nie ruszyła — a (ciszej dodała) za Karusię, że go nie zrozumie.

Kanonik słuchał z twarzą surową.

— Pani bywasz tak bardzo tolerującą, rzekł, że to czasem na indyferentyzm zakrawa.

— Nie, mój ojciec — odezwała się Ada — tylko w mém przekonaniu — swoboda myśli nie może wierze być szkodliwa.... I ja wyznaję tę zasadę — że fałszom nie trzeba ust zamykać, aby się im nie zdawało, że dla nas są groźne.

— Pamiętać jednak i na to należy, dodał surowo kanonik — że kościół szerzenia fałszywych doktryn zabrania.

— Tak, palono książki na stosach, to wiemy — rzekła Ada — ale myśli w nich zawarte spalić się nie dały z niemi!.... Myśl tylko myślą, rozumowanie rozumowaniem zwalczyć się daje.... nie ogniem i nie zakazem....

— Nowe teorye i nie przeto lepsze, odparł kanonik.... Są ludzie, nie przeczę co jak Mitrydat nie lękają się trucizny, bo wzięli antydot zawczasu — ale iluż ich potruć się może!

Poważna ta rozmowa wstrzymała Adę przy kanoniku, który niechętnie ją prowadził, odpowiadając niemal pogardliwie.

— Mogę być w błędzie — zakończyła gospodyni.... może mam w sobie trochę buntowniczego ducha matki Ewy, której zakazany owoc smakował.... ale mi się zwyciężyć w tém trudno....

Westchnęła....

Służący, który oznajmiał herbatę, powołał wszystkich do pokoju jadalnego, gdzie już był dwór zgromadzony, oprócz Oblęckiego.

— Pana Mirosława nie ma? zapytała pani.

— Pukałem do drzwi jego — ozwał się Robert — nimeśmy tu przyszli; odpowiedział mi, że ani wyjść, ani przyjąć nikogo nie może....

— Karton jeszcze nie podarty? spytała Ada....

— Zdaje się, że dotąd pracuje nad nim, dołożył pułkownik. Wziął sobie do serca niedawną rozmowę.... chce zwyciężyć się i raz stworzyć coś takiego, coby dla niego samego było znośnem.

— Przyznam się, że jestem niezmiernie ciekawa — odezwała się Ada.... Karusia nam będzie przygotowywała herbatę, a my zrobmy wszyscy wyprawę pod drzwi artysty.... Otworzyć mi musi.... zobaczymy choć raz.... mistrza przy tworzeniu! Biedny mistrz! biedna twórczość!... Idziemy? spytała oglądając się Ada....

Pułkownik i Robert zameldowali się do towarzyszenia gospodyni. Kanonik podziękował, Hortensya nawet nie podniosła głowy....

We troje więc skierowali się ku drzwiom pracowni Mirosława w oficynie. Ada szła przodem zamysłona, poważna, niekiedy spoglądając na Roberta i rzucając mu słowo.... Gdy stanęli u progu, sama pani zapukała.

— Kto tam?

— Ja — w imię praw gospodyni i przyjaciołki, rozkazuję. Sezamie — otwórz się!

Wykrzyk słyhać było wewnątrz....

— Pani! litości....

— Nie mam jój — otwieraj drzwi — albo je wyłamiemy.... Pokory — artysto.... rezygnacyi.... Ja nie jestem surowym krytykiem.... Po raz pierwszy, drugi, trzeci.... Sezamie....

W téj chwili rygiel odsunął się. Oblęcki stał blady, z włosami straszliwie porozrzucanemi, z małsztokiem w ręku, z palcami węglem zamazanemi.... Ogromne ramy, które już nieraz do podobnych niefortunnych prób używane były, zajmowały niemal izbę całą....

— A! pani istotnie litości nie masz! więcéj ciekawości niż miłosierdzia....

— Ej, ale słuchaj — odpowiedziała Ada.... Oblęcki ze smutną twarzą patrzył na wkraczających za nią Brandysa i Jazygę. Był zmieszany, zdrętwiały — jak człowiek, którego po łaźni nagle zimną wodą oblano.... Nie ruszał się z miejsca — oczy wlepiwszy w ziemię....

Ada stała już przed kartonem, na którym pierwszym rzutem oka, nie nad chaos linii, mozaikę światel i cieni widać nie było. Tylko oko artysty mogło się znaleźć w tych ciemnościach, półcieniach, błyskach dziwnych.... i bezkształtnych kształtach.... Tam gdzie Oblęcki widział postacie oczyma duszy, — wzrok śmiertelnika spotykał kłęby nieforemne.... W tém wszystkiém jednak był szalony jakiś ogień i werwa.... Gdzie niegdzie twarz dziką patrzyła wykończona nieco więcéj, ówdzie tors, ręce konwulsyjnie podniesione.... ciała zgniecione na masę....

Ada rozczarowana patrzyła z razu....

— Tłómacz pan, rzekła do Oblęckiego.... jest to szkic, którego my bez objaśnienia nie ocenimy....

— A ja go sam jutro — może już dziś nie potrafię wytłómaczyć — smutnie rzekł Oblęcki.... Bitwa tak mi się we śnie gorączkowym przedstawiła przed oczyma duszy mojej.... Rysowałem w gorączce....

— Śniło się to panu? zapytała Ada, której własny sen na myśl przyszedł i zarumienił jej lice....

— Tak — pierwsza myśl obrazu przyszła mi — niestety — we śnie — rzekł artysta.... Chciałem ogólne jej najprzód wrażenie rzucić na karton — potem wyśnić na jawie szczegóły.... Ale między snem, w którym jakieś władze były spotężnione, a inne skrupowane, by im nie przeszkadzały — między marzeniem a człowiekiem przebudzonym — jakaż różnica!.... We śnie byłem może mistrzem — na jawie jestem niedołęgą....

Sen i jawa! co za zagadki! westchnął Oblęcki...

Czuła to piękna pani i oczy spuściła ku ziemi.... I jej sen w części się tylko dał wcielić... Także ze wszystkimi marzeniami byćby miało?...

— Panie Mirosławie — rzekła — wytrwajże raz i z natchnieniem połącz pracę.

— Aby ona pierwsze zabiła! uśmiechnął się smutno Oblęcki. Są natury tak harmonijne, tak

zgodne w sobie, że u nich w parze idzie jedno i drugie.... jak brat z siostrą....

Ada zarumieniła się, ale spojrzała na Roberta, który stał zmieszany....

— U mnie — kończył artysta — praca jest tą nieszczęśliwą matką, co dziecię tuląc, dusi je w swych objęciach....

— Niestety! dokończyła Ada.... Zlituj się jednak — raz, choćby coś niepełnego, nieodpowiadającego myśli — stwórz i daj mu życie....

— Na co? odparł Oblęcki — do życia mają prawo tylko arcydzieła.... Spartanie, czy nie wiem tam kto, kaleków topili — i mieli słuszość.

— Jak gdyby w kalece nie mógł mieszkać duch boży — i on nie miał prawa do życia!...

Pan Mirosław stał ze smutnie spuszczoną głową. Pułkownik z tyłu za nim wpatrywał się w karton zdumiony dziwnie.... Nie widział na nim nic, oprócz straszliwie poplątanych linii, — i z politowaniem rzucał czasem okiem na Oblęckiego....

Mirosław widząc zadumaną Adę przed obrazem, zaczynał się na nowo okazaniem mu zajęciem rozgrzewać....

— Pani nie widzi — zawołał — tu — ta plama.... to wódz tatarskiej dziczy — i jego orszak.... Nad nimi chorągiew piekielna, z której dym bucha i płomienie, jak olbrzymie rozplecione jęj warkocze.... Tam dalej.... dymy się mieniają w całe

wojsko zjawisk szatańskich.... Tu stoi heroiczny hetman i falanga wiernych z pobożną pieśnią na ustach....

Wszystkiego tego dojrzeć było trudno — ale Obłęcki to widział, i za nim idąc oczyma, widziano, jak wyłaniały się z chaosu jakby kształty jakieś senne....

Mówiąc to przystąpił do kartonu.... mimowolnie drżącą ręką począł dodawać rysy — lice mu się paliło.... zapomniiał o patrzących, o tłómaczeniu, o świecie, i zatopiony znów w kompozycji swój, już się od niej ani oderwał, ani odwrócił.

Milczeli wszyscy szanując to natchnienie. Ada odeszła na palcach, ciągnąc za sobą towarzyszków, przymknęto drzwi po cichu.... W pracowni słyszać tylko było szorstkie tarcie węgla po papierze....

Jednego dnia, o godzinie, w której zwykle pocztę przynoszono pannie Pretwiczównie, znalazło się wśród zwykłych dzienników więcej listów niż ich była zwykła odbierać. Ada nie lubiła ich pisać i nie miała tych licznych po świecie rozproszonych znajomości, którychby potrzebowała, jak panna Hortensya, obsyłać listami.

Zdziwiona mocno, sądziła z początku, iż przez

omyłkę przyniesiono jój korespondencyę kuzynki, która, pomimo zapowiedzianego wyjazdu i czynionych doń przygotowań, zwlekała z opuszczeniem Ruszkowa. Rozpatrzenie się w kopertach przekonało ją jednak, że pisma te wszystkie do niéj adresowane były.... Sama ich liczba musiała zadziwić — bo się dziwnie zeszły w dniu jednym, jak gdyby to było umówione. Zmarszczyła brwi i drgnęła niespokojna....

Po piśmie łatwo jój było poznać, od kogo pochodziły. Na jednej z kopert adres był znaną ręką pana radcy tajnego, na drugim panna Dyakowska wyręczyła szambelanową, w trzecim domysliła się pana Karola, czwarty był od hrabiego Hernasza, który należał też do rodziny....

Hrabia od bardzo dawna zaniedbał był wszelkie z Ruszkowem stosunki. Po śmierci matki, gdy się do niego udała Ada w początku o pomoc i opiekę, kuzyn bardzo grzecznie wymówił się własnymi interesami od udziału w opiece; później gdy zwyciężko wyszła Ada z zawikłań majątkowych, hrabia z żoną przybył do Ruszkowa, wioząc z sobą syna, z widocznym zamiarem przedstawienia go jako pretendenta do ręki i majątku kuzynki. Ada przyjęła ich tak chłodno, z tak wyszukaną a niedopuszczającą najmniejszego zbliżenia się grzecznością — iż po téj próbie hrabiowstwo już jój nie ponawiali.

Cztery listy!! mówiła do siebie, nie wiedząc który ma rozpieczętować pierwszy ... Przyszła jej myśl familijnego spisku.... którego sprężyny mogła się domyślać w kochanej pannie Hortensyi. Było to jasnowidzenie.... Z rezygnacją złożyła przed sobą korespondencyę: — zbliżała się chwila walki przewidywaney — czuła rodzina miała ją ratować od zguby na brzegu przepaści.

Ze czterech listów wybrała ten, w którym domyślała się ręki pana Karola.

Najmniej się go obawiała. W istocie pismo było od niego.... Dowcipny w rozmowie pan Karol, któremu nigdy na żywej odpowiedzi nie zbywało — wzięwszy pióro do ręki męczył się z niém i — pisać nie umiał. Mówcom zwykle brak tego talentu, tak jak tym co piszą, rzadko bywa dany dar żywego słowa.... List Karola był okrutnym wysiłkiem. Zaczynał się najprzód od wyznania nieudolności do pisania, długim wstępem, z nieskończonemi frazesami, pełnemi nawiasów i niepotrzebnych dodatków....

— «Gdym wyjeżdżał z Ruszkowa, mówił dalej — byłaś dla mnie tak łaskawa, tak dobra, żeś mi pozwoliła się uciec do siebie w potrzebie.... To mnie upoważnia do kroku śmiałego — do ucieczenia się ku tobie w sprawie twój własnej.... Są dusze gorliwe o cudze dobro i zbawienie, które lubią krzyczyć i hałasować, nawet gdy najmniejszego

nie ma niebezpieczeństwa.... Jedna z tych nieproszonych opiekunek upatrzyła, że ty, szanowna pani, znajdujesz się w takim straszhwym razie, potrzebując ratunku....

Cała rodzina wezwana jest podobno, aby ci go niosła.... Czuje się do obowiązku oznajmienia o tém, abyś się najazdem nie przestraszyła, ratunkiem nie była oburzona, aby cię nie napadnięto niespodzianie....

Miedzy innemi wezwana jest i szambelanowa, jak gdyby szło o renons w partyi wista.... jedyny wypadek, w którym ona powagą być może.... Szambelanowa, oprócz panny Dyakowskiej, może mnie wezwać, abym jęj towarzyszył w podróży. W takim razie i ja się muszę stawić, lecz chcę uprzedzić, że przyjadę jako sprzymierzeniec nie wróg... na twe rozkazy.»

List ten już prawie zbytecznym czynił rozpierzchowywanie pozostałych. Szambelanowa w wyrazach najczulszych, oznajmowała, że była stęskniona do drogiej Ady i — mimo wieku a odwyknęcia od podróży, odwiedzić ją postanowiła.... Prosiła, aby jęj tam kąciczek jaki przygotowano.... Panna Dyakowska i Karol towarzyszyć jęj mieli....

Hrabia Hernasz mówił w liście, iż miał sobie srodze do wyrzucenia, że mu domowe jego sprawy nie dozwoliły dotąd złożyć uszanowania w Ruszkowie.... Bolało go to tak, iż nareszcie postanowił

wszystko opuścić i stawieć się z żoną, aby się łaskawej pamięci i sercu kuzynki przypomnieć.

List pana radcy tajnego, w urzędowym stylu, oznajmował po prostu, iż tego a tego dnia będzie miał honor służyć w Ruszkowie....

Przebiegłszy oczyma pisma te — Ada odsunęła je i zadumała się mocno. Kuratela rozciągnięta nad nią oburzała ją tak mocno, że w początku pomyślała o wyjeździe za granicę.... Krótkie zastanowienie się zmieniło wprędce myśl natchnioną gniewem. Byłaby to ucieczka, odroczenie, ale nie rozwiązanie trudności — niegodne jęj.... niemal przyznanie się do winy i słabości. Wolała mężnie stawieć czoło.... a wyzwana nie odpychać walki.

Od owego pamiętnego wieczoru stosunki jęj z Robertem pozostały na tym stopniu, na jakim je chwila uniesienia, nierozważnego może, ale serdecznego postawiła. Ada była czułą siostrą, Robert bratem rozkochanym, lecz zawsze jeszcze o niczém więcej mowy nie było — prócz wiekulstego braterstwa.... Czy ono starczyło obojgu? czy wierzyli w to co mówili? czy to był tylko sposób, którym osładzali oczekiwanie?...

Robert nie śmiał przejść zakresłonej mu granicy. Ada, którą przerażało czasem wspomnienie tego wieczoru i rumieniec wstydu na twarz wywoływało — przysięgała sobie, iż nie da się opanować uczuciu!...

Jak dawniej będąc z sobą w salonie, czasem na krótką chwilę, mogli poufale mówić bez świadków—Ale Ada nie chodziła już Kasi odwiedzać.... Robert bywał u pólkownika, spotykali się przypadkiem w parku. Były to kradzione chwile, bo panna Hortensya szpiegowała....

Listy oznajmujące o najeździe familijnym, po chwili namysłu, znalazły ją przygotowaną na przyjęcie tych odwiedzin tak, jakby ich znaczenia nie rozumiała.... Drżącą nieco ręką zadzwoniła, aby poproszono pólkownika, bez którego rady nic zrobić nie chciała — ale zwierzyć mu się nie myślała....

Brandys już ubrany jak do obiadu, stawiał się z miną wesołą i podkreconym swym siwym wąsikiem. Ada przybrała wyraz obojętny, niemal wesoły....

— Półkowniku— spotkała go w progu— ciesz się! będziemy mieli miłych gości, Ruszków się ożywi. Wyrzucasz mi zawsze moje upodobanie w samotności. Tym razem kłopotu ci aż narobię.

— A! żadnego w świecie? Któż przyjeżdża? Chyba radca....

— Ale nie on jeden... Zjeżdża się niemal cała rodzina.... Złożyło się to dziwnie, lecz wolę, że razem będą, łatwiej mi ich będzie przyjąć i zabawić.

Brandys się nieco zafrasował.

— A dużoż to będzie osób?— spytał.

— Radca najprzód, szambelanowa z panna Dya-kowską i zapewne panem Karolem, naostatek — nie wiem już czy ich sobie przypominasz — hrabiowstwo Hernaszowie.

— Trochę — wybąknął półkownik, pocierając łysinę....

Gospodyni spójrzała na twarz jego, która zdradzała, że niezbyt był ucieszony liczbą gości.

— Nie frasuj się, półkowniku — rzekła: Szambelanowa stanie koło mnie, w dwóch pokojach gościnnych; radca na górze, jak zwykle; Hernaszowie w dworku ogrodowym, a pan Karol — a! gdziekolwiek! Z nim nie ma ceremonii.

— I kiedyż to się mamy ich spodziewać?— zapytał półkownik....

— Czuwajmy, bo nie wlemy ani dnia ani godziny — wesoło dokończyła Ada.... Przepraszam cię za kłopot.... ale cóż robić!

— A! kłopot podchwycił Brandys, gdyby on był tylko dla mnie — ale mi moją dobrodziejkę znudzą!

— Wszystkiego w świecie próbować potrzeba, nawet nudów.... westchnęła Ada.... ja heroicznie je zniosę....

Po krótkim jeszcze rozpytaniu się o szczegóły, wyszedł Brandys, lecz za progiem nie mógł się wstrzymać od: — A! niechże ich wszyscy.... Zatu-

lił sobie usta i pociągnął z głową zwieszoną — dysponować służbie przygotowania...

Panna Hortensya od zapowiedzianego wyjazdu, ciągle się z dala od Ady trzymała, mówiła mało, siedziała zadumana, patrzała po ścianach, pokazywała jawnie, iż ją smutek pożerał. Wszystko to obojętnie przyjmowała gospodyni.... Przygotowania do wyjazdu szły tak powolnie, jakby czekano, żeby je ktoś siłą zahamował i przeciw nim zaprotestował. Rolę tę podobno przeznaczono szambelanowej, która nie miała pozwolić, aby Hortensya opuściła osierociałą Adę.

Tego dnia wyszedłszy do salonu, gospodyni zwróciła się ku kuzynce....

— Będziemy mieli gości licznych i pożądaných, rzekła. — Nie wiesz o tém? czy ci nie donoszono?

— Mnie! mnie! a któż mi miał donosić, i dla czego? — Ja tu przecie nic nie znaczę i jestem rezydentką na łasce.... Cóż to do mnie należy! — zawołała opryskliwie Hortensya, cała wzburzona; bo zrozumiała dobrze cel i znaczenie tych wyrazów....

— No, więc ja pierwsza ci zwiastuję szambelanową z Dyakowską, i panem Karolem, radcę, a nawet hrabiowstwo Hernaszów....

Ze spuszczonemi oczyma wysłuchiwała panna Hortensya, nie odpowiadając nic. Ada udawała wesołość i obojętność.

— Niezmiernie rada temu zjazdowi familijnemu — rzekła — za rzadko się wiđujemy i w ważniejszych sprawach życia zwierzyć się nie mam nikomu.... Radzić się nie lubię — ale podzielić myślą — zwłaszcza gdy się coś stanowczego zamierza....

Wyrazy te ogólne, miały na celu nastraszyć Hortensyę, i dopeły tego. Zbladła, będąc pewna już, że Ada przeciw wszystkim gotowa podnieść buntu chorągiew.

Na tém się skończyło. Jak tylko się wymknąć mogła, poszła z kanonikiem podzielić się tą wiadomością kuzynki. Hrabia de Bello spytał chłodno, jak wiadomość przyjęła Ada?

— A! z zupełną obojętnością — wcale nie zmieszana.... Nie ma już ani wstydu, ani pomiarkowania....

Sądu tego nie potwierdził kanonik. W ciągu dnia gospodyni zajmowała się żywo urządzeniem mieszkań dla gości. Cały dom był już o ich przybyciu blizkiém uwiadomiony.... Robert, który czasem dzień po dniu, lub co najdalej przez dzień przyjeżdżał do Ruszkowa, co panna Hortensya nazywała «febrą» — przybył wieczorem. Przechadzka po sali przed werandą dozwoliła się rozmówić poufnie.

— Spisek na mnie uknuto — odezwała się Ada do niego. Ludzie, którzy czystego przywiązania,

związku serc zrozumieć nie chcą, i po swojemu każdy stosunek tłómaczą trywialnie, muszą mi przypisywać, że zamierzam wydać się za mąż za ciebie.... Zbuntowano całą moją rodzinę, ażeby przeciw kryminałowi temu protestowała, wstrzymała mnie na brzegu przepaści! Dziś — jutro, po jutrze, nie wiem kiedy, zjeżdża się tu co żyje.... aby mnie uczyć rozumu.... Mówiłam ci o moim opiekunie nominalnym, panu radcy, wiesz o szambelanowej, znasz pana Karola.... Do nich dodać trzeba hrabiowstwo Hernaszów....

Robert pobladł słuchając....

— Zaklinam cię na nasze przywiązanie braterskie — dodała, — abyś w trybie życia, w stosunkach ze mną, z powodu przybycia rodziny, nic — na włos nie odmieniał! Nakazuję ci powagą siostry, proszę — ażebyś przyjeżdżał jak zawsze.... nie rzadziej. Inaczéj myśleliby, że ja się ich lękam, i że ty się ich obawiasz. Skompromitowałbyś mnie i — pogniewał....

— Ale.... siostro kochana....

— Żadnego, żadnego ale.... to wola moja, a wiesz, że masz siostrę samowolną, despotyczną.... i że — musisz jéj słuchać, boby cię nie kochała.... Wyciągnęła ręce ku niemu.

— Myślisz, że mnie to nie zrobi przykrości — bólu? Cierp ze mną. Wiem, że nie jedno spójrze-

nie, wyraz cię nie jeden zadrasnie.... Uczyń ofiarę dla mnie.

— Nie ma którejbym odmówił, zawołał Robert— będę posłuszny.

— Zdaje mi się, że ta próba zaopiekowania się moją małoletnością będzie ostatnia— dodała Ada.... należy ją przetrwać mężnie, nie zmrużywszy oka.

A widząc, że Robert stał smutny i niemy, śmiejąc się wprowadziła go do drugiego pokoju, głowę złożyła na jego ramieniu, podniosła czoło ku jego ustom.... chłopak nie był już panem siebie, i chwyciwszy ją w pól— nie w czoło— pocałował ją gorączkowo w usta.... Ada odepchnęła go silnie.... i drżąc, na pól omdlała, natychmiast znów ręką go przyciągnęła ku sobie....

— To nie braterski pocałunek — rzekła głosem słabym.... Robercie — ja się gniewam....

Ale w głosie jój gniewu nie było, czuć było omdlenie, i uśmiechając się przeprowadziła go do salonu.... kończąc dawną rozmowę.

Robert zaklinał, aby mu przebaczyła zuchwalstwo; potrzasała głową groźnie ciągle.... lecz o gniewie mowy nie było, tylko o tém, ażeby Jazyga nie zapomniał co mu przepisano....

Epizodu tego w bocznym pokoju, który nie trwał nad oka mgnienie, nikt nie widział z ludzi — lecz oko panny Hortensyi mogło się niemal domyślać jakiegoś namiętniejszego zbliżenia, tak Ada dziwnie

była poruszona, złagodniała, podrażniona przez wieczór cały.... Robert też miał fizyognomię winowajcy zawstydzonego, upokorzonego — nieszczęśliwego szczęściem skradzioném. Kanonika, co czytał w ludzkich twarzach spokojném okiem wyższego nad namiętności człowieka, nie było tego wieczoru. Wyjechał pod jakimś pozorem dla spotkania się w umówionéj miejscinie z radcą i dla ustnéj z nim narady....

Dwa dni minęły.... drugiego Robert był znowu.... o gościach nie było słyhu. Ada unikała teraz oddalenia się z Robertem od towarzystwa.

— Nie zasługujesz na zaufanie, rzekła mu na wpół żartobliwie. To nie po bratersku.... Boję się ciebie....

Jazyga brał to ściśle jak było powiedziano, wyrzucał sobie swą zbrodnię, martwił się tém i zaręczał, że na przyszłość będzie panem siebie....

Ada miała mu wprowadzić za złe ten poryw namiętny — gniewała się niby — lecz — dla czego teraz stał się jój jeszcze droższym, miłszym jeszcze...? nie wiedziała. Był to może skutek litości nad słabością jego....

Łudziła sama siebie tém braterstwem, które ją uspakało na dziś....

Jutro? nie patrzała w przepaści jutra! Każda miłość dniem dzisiejszym żyje, a któraż ma jutro??

Z rana dnia trzeciego, gdy wszyscy byli w kaplicy, bo przejeżdżający Bernardyn wstąpił ze mszą świętą, zajechała stara karetą szambelanowej i kocyk, w którym siedział pan Karol. Służba stojąca w ganku, wiedząc już o mieszkaniu, wskazała je natychmiast, oznajmując, że pani jest na mszy.

Zmęczona drogą staruszka poszła spocząć w swoich pokojach, a pan Karol skierował się ku kaplicy. Gdy po nabożeństwie wstała od klęcznika swojego Ada, pierwszą twarzą, którą zobaczyła we drzwiach, była Karola. Wolą na ten raz, że od niego się zaczynało, i powitała wesoło....

— Jest szambelanowa?

— Przywiozłem ją czy ona mnie — rzekł Karol, — bo to pytanie nie rozstrzygnięte.... Musiałem jechać, bo na noclegach, ja i panna Dyakowska, mogliśmy sformować wista z dziadkiem, inaczej nie dojechałaby pewnie i umarła z tęsknoty do niego!

Ada poszła natychmiast do szambelanowej, a tuż w ślad za nią biegła Hortensya, która tylko bolała, że pierwszą tam być nie mogła.

Im przybycie groźniejszém się obiecywało, tém Ada musiała być weselsza i szczęśliwsza.... Szambelanowa też nienawidząca kwasów, rada była, że na nie nie trafiła. Ścisnęła — śmiała się i z góry już sobie zapowiedziała, że dopóki inni nie zagają sprawy, ona jej pewno nie rozpocznie. Gospodyni

wyszła, zostawiając Hortensyę... która zaledwie się drzwi za nią zamknęły, rzuciła się w objęcia szambelanowej.

— A! złota moja! wołała — dobrze, prawdziwie po chrześcijańsku postąpiliście przybywając ją ratować! Włosy na głowie powstają co się tu dzieje. Wy nie macie o tém wyobrażenia. Jest to bezwstyd — roznamiętnienie, zapomnienie się, brawowanie!... Na to wyrazu nie ma....

— Ale, zmiłuj się — przerwała Dyakowska.

— Za mało mówię — dodała Hortensya — za mało.... nie chcę powiedzieć więcej, aby ust sobie nie walać. To kobieta zgubiona....

— Ja bo zawsze mówiłam, przebaknęła szambelanowa: nie ma nic niebezpieczniejszego nąd takie zakonserwowane stare panieństwo.

Zapomniała staruszka, że mówiła to w obec dwóch panien dobrze niemłodych. Hortensya zaprotestowała. Dyakowska się obruszyła. Szambelanowa ramionami rzuciła.

— A! nie bierzcie tego do siebie, moja Hortensyo.... hm! (schyliła się jój do ucha, a panna odskoczyła zmieszana)... Spójrzała na Dyakowską zarumienioną — i dodała: To wcale co innego!

— E, o was to się ja już nie boję! — szepnęła szambelanowa, i zmieniając rozmowę, zwróciła się do swój towarzyszki.

— Dyakosiu, serce moje, aniele opiekuńczy, zrób, żebym ja dziś śliczna była! Ty to umiesz! Ubierz mnie do twarzy.... moja droga.... Jak ty zechcesz, będę piękna.

Rozśmiała się.... i na tém przerwano, choć Hortensya miała ochotę na ucho opowiadać o tych okropnościach, jakie się tu działy, za które ona się rumienić musiała....

— To potem, moje serce — potem... zakończyła staruszka.... teraz toaleta.... Dyakosiu! zaklinam cię. Jak ty zechcesz — będę ładna....

Uśmiechnięta, pomarszczona twarzyczka pani szambelanowej, choć już, niestety! piękną nie była, ale miała właściwy wdzięk owęj starości która życie trzyma i ślady rysów jak w mumii zachowuje. Szambelanowa winna to była temu, że się zestarzeć — nie chciała.

Pan Karol siedział u Oblęckiego i dopytywał o Karolinę, potem powędrował do półkownika....

Ada przeczuwała, że przybycie staruszki będzie zapowiedzią innych. Zaturkotało w istocie — ale to był kanonik, przybywający niby z dekanatu swojego, a poprzedzający tajnego radcę. Ten, dla niepoznaki, zatrzymał się był jeszcze w sąsiedniem miasteczku.... Hrabiowstwo także się opóźnił.

Rodzina niby się dopiero teraz dowiadywała o sobie.... Szambelanową cieszyło, że wist był zapewniony, bo i radca grał chętnie — i Brandys nie był od tego — i Karol się dawał zaciągnąć — chociaż robił omyłki i miewał dystrakcye nie do przebaczenia.

Ada, odstępując nieco od zwyczaju, dnia tego wyszła do salonu, ubrana w ciężką suknię koronkami obszytą, piękna, świeża, odmłodzona, z wyrazem takiej pańskości na twarzy, iż postrzegłszy ją szambelanowa, która lubiła piękność we wszystkich jéj objawach, zawołała zachwycona:

— A! Królowa!

W istocie — znać w niej było panią swéj woli, nawykłą słuchać tylko natchnień własnych.

W pierwszej rozmowie ze staruszką o swém życiu, zajęciach, sąsiedztwie, Ada się odezwała.

— Sąsiedztwo nieliczne.... U mnie mało kto bywa, oprócz jednego młodego człowieka, który, choć młody — ma powagę i takt dojrzałości.

Lubię go bardzo, to mój partner, niemal codzienny do rozmowy.... Zobaczycie go tu państwo....

Hortensya zbladła jak ściana. Szambelanowa spójrzała na Adę i nie umiała dobrać słowa na odpowiedź. Karol tylko dodał:

— Ja go tu poznałem. Wszak mowa o panu Robercie? Bardzo miły młodzieniec....

W ten sposób odważnie, zuchwale prawie rzucawszy sama to słowo — zamknęła niém usta drugim. Hortensyi z gniewu łzy stanęły w oczach.... Wejrzenie Dyakowskiej ze współczuciem spoczęło na mężnej niewieście.... Szambelanowa odwróciła wnet mowę do Warszawy i powszednich plotek.... była zakłopotana. Mówiła sobie w duchu:— Sekretu z tego nie robi. Po cóż myśmy tu przyjechali? Nie już nie poradzimy.

Spojrzała na Karola, ten dał jój znak, że ją rozumie. Gospodyni była w najświetniejszym humorze....

Dzień przeszedł niepostrzeżony. Na wieczór starszka sobie zawczasu zamówiła do wista pułkownika, Karola i — gdyby nikt inny nie chciał, zapraszała Dyakowską, która w ostateczności tylko grywała.

Lecz przed wieczerzą jeszcze zjawił się we fraku, w białym krawacie, z gwiazdą u boku, wyświeżony radca — który pomimo wieku ruchy miał młodzińcze, żywość nadzwyczajną, a formy aż do przesady ceremonialne, etykietalne, pełne słodyczy i grzeczności wyszukanej. Chłód jednak wiał z pod tych błyszczących osłonek.

Ada powitała go z radością wielką, z temi samemi formami etykietalnemi, jakie on zachowywał.... Czułe było przywitanie, potem przypominanie się szambelanowej, poznanie się z panem Ka-

rolem, protekcyonalnie dobrotliwe spotkanie z pułkownikiem.... Reszta dworu zaprezentowana na nowo, z dala skłonieniem głowy była przyjęta. Radca miał postawę wielce znaczącą, pierś wypukłą, już dla samej gwiazdy, — głowę trzymał do góry, chodził wyprostowany, jednej rękawiczki nigdy prawie nie zdejmował.

Z dala woń paczuli, lekka, delikatna, stłumiona zalatywała od niego. Nie było nic piękniejszego nad jego ręce — nic gładszego nad jego świecą wygoloną brodę.

Była to postać, którą mógł los postawić gdzieby chciał, a nigdzieby nie raziła niczém — aleby się też niczém nie oznaczała. Twarz gładka, przyzwyczajona narysowana, nie miała rysów klasycznych (nos był nawet nieco kartoflowaty), lecz nie była karykaturą, a nadewszystko nie miała wyrazu. Była to maska posłuszna, gotowa nasrożyć się, uśmiechnąć, być groźną i dobrotliwą, oburzoną i łaskawą, pod wrażeniem wiatru jakiby powiał na nią — maska z gummy elastycznej, giętka, wygodna — a w stanie przejścia będąca nieokreślonym typem ludzkiej nicości.... Tak samo rozmowa radcy nie mówiła nic — śmiech się nie śmiał, smutku jego nie można było brać na seryo, nie był żarzący. Z tém wszystkiém mógł uchodzić za wzór najprzyzwoitszego z ludzi — lub automatów.

Radcy w życiu wiodło się, dzięki charakterowi

temu giętkiemu, nadzwyczaj szczęśliwie.... płynął z prądem w wygodnej łódce, otulony, nie będąc zmuszony robić wiosłem własnoręcznie — wody go niosły, wiatry mu dęły w żagle.... Opatrzność nie mogła tak zacnym człowiekiem nie zajmować się z troskliwością szczególną.

We wszystkich innych życia zadaniach, radca, jak jego twarz, był nadzyczaj — podatny; nie sprzeczał się nigdy, nie upierał przy niczem, w ostatecznym razie uśmiechał się dwuznacznie i milczał. Jedno tylko mogło mu na twarz rumieniec wywołać i oburzenie z piersi. Każdy człowiek ma swą Achillesową piętę. Uradcy były nią zasady zachowawcze i arystokratyczne. Wierzył w ród i krew, nie tłumacząc sobie tego ani systemem Darwina, ani żadnym politycznym — tak — z nawyknięcia.... Na ludzi małego pochodzenia patrzył z góry, wahał się jak hrabia Henryk R.... czy z niemi mu się godziło siąść do stołu, nie podawał im ręki.... a o połączeniu się — mowy dlań być nie mogło.

W towarzystwie równych sobie był to człowiek miły, bo mówił z łatwością o niczem, nicości przyzwyczajony, nigdy słowem ostrym i jaskrawym uszu niczyich nie obraził — i nie brakło mu na wspomnieniach zajmujących.... Sięgał niemi naturalnie szczególnie tych chwil swojego życia, w których dotknąć się mu trafiło znakomitości; — a z temi był w szczególnie dobrych stosunkach. Kochali go ksią-

żęta udzielní, czcili dygnitarze, ze łąą woku rozstawali się z nim ludzie wielcy i sławni, wysoko położeni. O skromnie pomieszczonych na drabinie społecznej wiedzieć nie chciał.... Z radcą wszedł do salonu żywiól ceremonialny, który się odbił zaraz we wszystkiém. Spoważniała szambelanowa. Karol się odprostował, wszyscy mieli na siebie baczenie, aby téj gwiazdy promienie nie padały na niegodnych jój światłości.

Mówiono żywo bardzo — a gdyby się kto był spytał o czém — w kwadrans niktby tego nie umiał powtórzyć. To było wielką zaletą téj konwersacyi salonowój, podobnej do czystej wody krynicznej, która nikogo nie upoi, nikomu nie zaszkodzi. Kanonik miał wprawę do wtórowania z tego tonu. Karol milczał, gospodyni jedna z nieco wyższego się odzywała, i niemal za każdym jój słowem radca się oglądał nieco nastraszony. Koloryt ten żywy, pół tonami starano się zharmonizować z ogólnym.

Wist szambelanowój przyszedł do skutku, i uszczęśliwił ją — była zgłodniała. Siedli doń: radca, pan Karol i pułkownik.... Radca nieco się od stołu odsunawszy, wsparty na łokciu, majestatyczny, widać było, że grał — przez grzeczność. Choć Brandys szlachcicem był i miał tytuł pułkownika, stanowisko jego dwuznaczne w hierarchii społecznej, jako rządcy — raziło radcę.... Czasem się trzeba dla rodziny poświęcić.

Wieczór ten zszedł bez najmniejszego fałszywego dźwięku. Ada swe obowiązki gospodyni pełniła ochotczo, zręcznie i z powagą, która kazała zapominać, że była panną tylko....

Nazajutrz rano, przede mszą jeszcze, powóz czterokonny stanął u ganku, a z kozła zeskoczył najprzód kamerdyner, po którym bardzo żywo z powozu samego dobył się niespokojnie oglądając, mężczyzna małego wzrostu, twarzy gąbkowatej, nieznaczącej, z oczyma niespokojnemi.... Z pod kapelusza miękkiego podróżnego widać było peruczkę ryżawą. Począł się zaraz gorączkowo informować o mieszkaniu, gdy nadchodzący kamerdyner zaofiarował się prowadzić państwa do dworku w parku.... dokąd powóz boczną ulicą pociągnął.

Byli to hrabiowstwo Hernaszowie. W chwili gdy on sam wyskoczył pośpiesznie z powozu, za nim wychyliła się instrukcye mu jeszcze dając kobiety nie młodej twarzy.... czerwona, niemal sina, ostra i niemila. Mąż ciągle się ku niej zwracał, biorąc rozkazy; ona gderała ciągle, okazując srogie nieukontentowanie, którego wyraz mąż oddawał zaraz służącemu... Tak marszcząc się i kwasząc wszyscy znikli w alei wiodącej do dworku....

Stał on niedaleko, ukryty w drzewach, i stanowił sam piękny apartament gościnny. Niegdyś mieszkał w nim ojciec Ady, którego obyczaje i nawyki w pałacu mu wytrwać nie dawały. On to

sobie pobudował to cacko, które stało teraz puste, zaludnione bardzo niemiłemi wspomnieniami. Ada pomijała ten dworek, w ostateczności tylko mieszczono w nim kogoś — co o przeszłości nie wiedział. Utrzymywany był mimo to opuszczenie w porządku, i z niego powziąć było można wyobrażenie o sybarytyzmie nieboszczyka.

Dworek ten wygodniejszy był od pałacu, miał salon prześliczny, wybity skórami złożonemi, billardowy pokój, jadalny, łazienkę, sypialnię w kształcie namiotu wytworną, i co tylko dla wygody wymyślić się dało. Nieboszczyk Pretwicz nie zapominał o sobie....

Ada, pomimo wstrętu do tego dworku, poszła, przemogłszy się, odwiedzić pierwsza hrabiowstwo. Zastała już ich w jednej z tych wiecznych kłótni, które stanowiły chroniczną formę ich pożycia.... Mały pękaty hrabia stał i słuchał, żona mu wyrzucała wszystkie jego przestępstwa w podróży, zapomnienia, omyłki, co cierpiała z jego powodu i t. p. Z obowiązku musiał to przyjmować małżonek, bo opuszczenie stanowiska liczyło mu się za zbrodnię.

Hrabina była zawsze kwaśną, całe życie chorą — a po podróży wszystkie te symptomata jeszcze wybitniej występowały. Nad zdrowiem jój małżonek czuwać był zmuszony ciągle — czuwał. Żona jego Madame la Comtesse Euphemie — przyniosła mu

do tytułu — szkatułę, — cała świetność domu z niej płynęła; mąż czuł się do obowiązków wypłacania za dobrodziejstwo. Hrabia też nie miał ani własnego zdania, ani myśli, ani woli... Nie ważył się czynić nic, nie wzięwszy rozkazów, i nigdy żonie samowolnością nie uchybił. Posuwała się ona czasem, jakby próbując swęj potęgi, tak daleko — że u stołu zabraniała mu jeść, zakazywała pić... słowem wchodziła w najmniejsze drobnostki. Mogło to ująć za dowód troskliwości o zdrowie hrabiego, ale go czyniło śmiesznym.

Hrabina, której pochodzenie oryentalne jakieś, nieoznaczonej narodowości, nie dawało praw do arystokracji — tém silniej stała przy jęj poszanowaniu. Na jęj biletach stało: *née Comtesse de Henrici-Commoduro da Trento...* Wyglądało to tak zamasyście że nikt już głębiej nie zaglądał.

Hrabia miał lat ze sześćdziesiąt — od dziesięciu nosił, za pozwoleniem żony, perukę; hrabina musiała mieć lat pięćdziesiąt, choć twarz jęj należała do tych, co nigdy młodemi nie były i nigdy bardzo staremi się nie wydają. Skutkiem choroby jakiegś — barwa jęj lica była czerwona, a niekiedy przechodziła w siną. Koloryt najsilniejszy skupiał się na nosie dużym i w dwóch podłużnych plamach na policzkach. Usiłowano go złagodzić, gdy *poudre de riz* został wynaleziony — lecz puder ten, dla zbytnej gładkości skóry, nie trzy-

mał się i opadał. O piękność swą zresztą hrabina mało dbała — o strój niewiele. Oboje byli skąpi i chciwi, a pyszni.... Ada powitała ich przyszedłszy twarzą jak mogła najweselszą, przeprosiła, że ich umieszcza we dworku dla tego, aby im było jak najwygodniej, dodała służącego, aby czekał na ich rozkazy, i dowiedziawszy się, że hrabina miała ból głowy, ból prawego boku, kolkę w piersiach, palenie dłoni, rwanie w stawach.... nie licząc tego o czém nie mówiła — odeszła....

Dzwoniono na mszę. Kaplica tego ranka wyglądała wspaniale.... Ołtarz otaczali goście dostojni. Kanonik celebrował. Na przedzie face à face z wielkim ołtarzem, wsparty na lasce stał w całym majestacie swym radca. Z rana jednak gwiazdy nie włożył, pęczek różnych wstążeczek w dziurce od guzika skromnie ją zastępował.... Stał, jak dlań przystało, najbliżej Pana Boga.... bo nikt nadeń nie miał tu większego prawa zbliżać się ku ołtarzowi. Radca był przekonany, że w ciągu życia Panu Bogu oddał znakomite usługi — bez których.... a ba! kto wie jakby boże interesa na ziemi się obróciły. Modlił się po cichu i skromnie.

Szambelanowa modliła się z książki, a że okularów jako godła starości nie lubiła, przez lornetkę. Hrabiorstwo Hernaszowie nie mogli przybyć na nabożeństwo.

Na śniadanie urzędowe, które wkrótce potem podano, zebrali się już wszyscy.... Hrabina trochę pobielona w pomiętej sukni, hrabia w surducie trochę ciasnym.... Mówiono wiele i głośno...

Nie mogło dla Ady, nawykłej do cichego życia, rozmyślań, marzeń, studyów nic w świecie być przykrzejszém może nad ten tłum różnorodny, co ją otaczał. Musiała się jednak uśmiechać mu twarzą wdzięcznej gospodyni.... Rzucano na nią oczyma badającemi, upatrując trwogi lub pomieszanія — tego jednak nikt nie dopatrzył. Dziwiło to i niepokoiło zgromadzonych, którzy w zbiorową siłę areopagu ufali....

Radca szczególnież zamyślony był.... Jeszcze znaczniejsza część gości u stołu siedziała, gdy on skinąwszy na prałata, cicho się z nim wyniósł na werandę. Tu obejrzawszy się i nie widząc nikogo, szepnął mu do ucha:

— Cher Comte! Jakiż jest plan działania? Kiedy i jak mamy wystąpić.... Uroczyście? Zbiorowo? Pojedynczo?... Ja, nie mam zbyt wiele czasu.

— Panie generale, odparł kanonik, wiedząc, że tytuł ten brzmiał miliej jeszcze w uszach radcy, niż zwykły — najprzód należy dać — nieprzyjacielowi — *puisque, malheureusement, c'en est un*, — ubezpieczyć się. Dziś — ani słowa. Obserwujcie.... Sławmy głośno swobodę i szczęście pani domu, która nie nakładając na się jarzma małżeńskie-

go, umiała tak mile sobie urządzić życie.... *et caetera!!*

Zobaczmy.... Hasłem jest: jój szczęście obecne.

— A! a! dajcież hrabio to hasło wszystkim, proszę.... ja będę się do niego stosował.... Państwu Hernaszom trzeba to też powiedzieć.

Skłonił się kanonik. Radca stał czekając czy się czego więcej nie dowie — potem jakby sobie przypomniał coś, przystąpił do księdza....

— Szlachcic to jest? spytał.

— Kto?

— A.... ów wybrany mojej pupilli....

— *C'est douteux!* odparł ksiądz — Jazyga! nieznane nazwisko.... Szlachetka może, choć równie może być.... nie wiem kim. W wojsku się dorabiano stopni od gemejna.... Co do mnie, nie znam szlachty polskiej ani litewskiej tego nazwiska..

— W to bić! podchwycił radca. To punkt kapitalny! *voilà!*

— Żadnego wychowania.... dodał kanonik — surowy, nieotarty, gburowaty....

Mówili jeszcze, gdy nadszedł Hernasz odkomenderowany przez żonę.

— A — cóż? cóż? rzekł wciskając się — co? jak to będzie?...

Kanonik go wziął na bok i dobitnie mu znowu program postępowania wyłożył. Hernasz nawykły do biernego posłuszeństwa, przejmował się niém

pilno słuchając, niekiedy tylko dorzucając: — A! rozumiem! a!....

Hasło musiało być z pomocą panny Hortensyi rzucone we wszystkie uszy, gdyby nikt przeciwnemu nie wykroczył. Od śniadania zaraz rozpoczęły się głosy uwielbienia i zazdrości.

— Kochaneczko! mówiła szambelanowa, słowo ci daję — tyś rozumniejsza od nas wszystkich bab.... ty jedna pojęłaś jak się urządzić niezależnie, swobodnie — wedle swych upodobań.... Jesteś najszczęśliwsza między niewiastami! Słowo ci daję! Ptasięgo mleka chyba u ciebie brak.... I — pani w domu! i nudnego męża, którego pilnować trzeba.... nie ma....

Hrabina Hernaszowa nie wahała się kilku dobitnemi słowy potwierdzić zdania szambelanowej. Ada miała wielką ochotę na przekorę im się sprzeciwić — lecz wstrzymała się.... Uśmiech dwuznaczny przebiegł po jej ustach, westchnęła tęskno....

Radca, który właśnie z werandy powracał, z ławością sobie właściwą temat podany do rozwodnienia pochwycił.

— Tak jest, szanowna pupilla moja — rzekł — fenomenalną może się nazwać istotą! Lecz jakże mało na świecie kobiet, któreby ją naśladować potrafiły! Nie uledz chwilowej słabostce, zawsze być panią siebie, miłować tylko sztukę i naukę,

stać wyżej po nad zmysłowe fantazy.... i wszystko poświęcić dla swobody, dla niezależności!

Karol, który słuchał uśmiechając się — zwrócił się do Ady.

— Mamże słaby mój głos przyłączyć do tego uwielbień chóru?— rzekł na pół szydersko.... Lękam się! Nie umiałbym mu wtórować — bo ja — sceptyk, zepsuty.... Nie wierzę, aby w téj swobodzie — bez towarzysza, w osamotnieniu — bez drugiego serca.... wielkie szczęście mieszkało. Co najwięcej, to szczęście bierne tylko.... Pół światła — pół cienia, jak mówił poeta.... i — pół zbawienia.

Oczyma czarnemi, wdzięcznemi spojrzała nań Ada....

— Masz może słuszość — to co we mnie zowią meztwem, mogłoby być tchórzowstwem i słabością.— Któż wie?

Wszyscy umilkli i oczy krzywe zwróciły się ku Karolowi, który jak nożem uciął naciągnięte pasma do rozmowy. Radca nie mógł się wdawać w polemikę. Kanonik nie raczył, szambelanowa nie chciała, Hernasz nie umiał. Ostatni spojrzał na sine lica żony, oczekiwał znaku, — dano mu sygnał, aby się wstrzymywał, założył ręce w tył i pozostał w niewielkiej odległości od swojego dowódcy.

Dopiero po upływie kwadransa i nowém preludjum radcy, niekoniecznie zręczném — wzięto się znowu do sławienia rezydencyi, żywota i spraw panny Ady....

— Gdybyś kuzynka miała nie wiem jakiego męża — no — ideał, a tych ideałów na świecie nie ma — słowo daję — z żadnymbyś tak nie była szczęśliwą, swobodną — królową, jak oto dziś, rzekła pani Hernaszowa. Tak samo i z dziećmi! choćby najlepsze były.... A nie ma jak być panią w domu.... i nikomu sprawy nie zdawać.... i na nikogo się nie oglądać! Słowo daję!

Hernasz patrzył na żonę spokojnie, bynajmniej tego nie biorąc do siebie. Wykałał zęby ze stoicyzmem męża, który już nic do stracenia nie ma....

Wspomnieliśmy o tém, iż Ada w swym domu wiodła życie, które się nigdy dla gości nie stroiło i nie zmieniało. Tym razem jednak pewny wyjątek nakazywało jakieś uczucie dumy — jakaś chęć pokazania swojego dostatku. Chciała może nieco upokorzyć tych, co ją przyjechali bardzo udęczać, pod pozorem ratunku....

Obiad w tym dniu uroczystym był wykwintniejszy niż zwykle, a radca będący smakoszem, nie mógł się go odchwalić.

— Pani jesteś doskonałością we wszystkim — mówił — nawet kuchnia i piwnica, niezrównane....

Oboje państwo Hernaszowie oczyma zazdrosnymi pożerali wspaniałe srebra, starą porcellanę, złote sztucce do desseru, wszystek ten przyrząd pański, który Ada ocaliła lub dopełniła sama, mając pewne upodobanie w pięknych przyborach do życia. Czego nikt pewnie ocenić nie umiał, te drobne rzeczy miały wszystkie artystyczną wartość i były istotnie piękne...

Ada nigdy nie kupowała nic takiego, coby się wszędzie spotykało, było pospolite i spowszedniałe — dobijała się wzorów nowych i umiała je wskazywać.

Szambelanowa łakoma, jadła z zapamiętałością, wdzięczna będąc téj pocziwój Adzie za przysmaki. Miała ten chciwy apetyt starych ludzi, nie-nasycony, który zwiastuje naturę osłabłą — ratującą się od zagłady.... tém co zabija nawet.... Podawano jój po dwa razy z półmisków, a troskliwa Dyakowska próżno ją reflektowała. Odpowiadała jój gniewna prawie: A! dajże mi pokój, to mi smakuje!

Radca lubował się też, ale z ostrożnością człowieka, który wie jak niestrawność niebezpieczną być może; pani Hernaszowa kaprysiła z jadłem, a mąż jój nie wiedział co połykał. Karol pił i wesół był, a dowcipny tak, że wszystkich do śmiechu

pobudzał. Panna Hortensya siedziała rzucając oczyma, niespokojna. Nic nie szło po jój myśli, zdaniem jój zbyt zwlekano, zbyt łagodnie brali się wszyscy do dzieła.

Kanonik grał rolę bierną — mówił o rzeczach obojętnych — był miłym, i chciał pokazać, że się do niczego nie miesza.... Mówił nawet o potrzebie wyjazdu....

Obiad ten, jak się można było spodziewać, wprowadził towarzystwo w usposobienie pojednawcze, łagodne.... Nikomu się nie chciało zatruwać sobie chwili miłej wystąpieniem jakimś niewczesnym.... Radca nieco zarumieniony, błogością okryte miał oblicze wstając.... Karol był w nadto różowym humorze. Szambelanowa czuła skłonność do drzemki, którą czarna kawa, oczekiwana rozproszyć miała. Spodziewała się potém małego wischka, jeden tur przed herbata — któryby ją orzeźwił. Zamówiła też sobie wodę sodową....

Wśród tego towarzystwa, gospodyni męczeństwo swe zносиła z heroizmem prawdziwym; odkryć nie było można na jój licu, że cierpiała. Gniewało to Hortensyę.... która śledziła wrażeń i złapać nie mogła.

Dla Ady zbliżał się moment, w którym, całych swych sił miała wezwać, aby podolać położeniu, w jakim się znajdowała. Sama ona nakazała Robertowi, ażeby przybył do Ruszkowa; wiedziała,

czuła, że dnia tego przyjedzie nieochybnie. Co chwila można się go było spodziewać.

Panna Hortensya nietylko tego zuchwalstwa nie przewidywała, lecz przypuszczała, iż sekretnie zawiadomiony będzie, ażeby się nie pokazywał.... Zdania tego był i ksiądz kanonik.... Nikt zresztą z gości nie wpadł na tę myśl, że ów — ów pan.... o którego chodziło, może nadjechać....

W miarę jak godzina przyjazdu się zbliżała, gospodyni stawiała się coraz niespokojniejsza, ale szafowała tę gorączkę w przyjęciu gości, tak, że natury jój nikt rozeznąć nie mógł, a ukradkowe wejrzenia na drzwi rzucane nie były dla nikogo zrozumiałe. Serce jój biło....

„Męztwa!” mówiła sobie.... Gdyby nie duma, zapłakałaby może....

Gorsze jeszcze było położenie nieszczęśliwego Roberta. Posłusznym jój być musiał, wiedząc co go tam czekało, co miał do zniesienia. Nie zbywało mu na odwadze — lecz może na umiejętném władaniu nią i sobą. Lękał się być śmiesznym, nie miał wprawy — nie znał tego towarzystwa, w które wejść musiał, aby je brawować.

Miłość tylko młodzieńcza, gorąca, mogła osłodzić utrapioną chwilę, jaka dlań była zgotowana w Ruszkowie....

Właśnie szambelanowej udało się jakoś złożyć pożądany tur wiszcza.... W salce bawialnej po-

stawiono stolik — przy którym zajęła miejsce wystrojona staruszka, radca rumiany, pułkownik grzeczny.... Na czwartego przewidziany był Hernasz — lecz składał się roztargnieniem, kazano więc się Karolowi.... Na kanapie w tym samym salonie hrabinę chorą bawiła Ada, do czego jej pomagała Dyakowska. Hortensya z kanonikiem prowadziła rozmowę na werandzie. Panna Karolina dała się pochwycić Oblęckiemu na coś — nakształt rozmowy, w której ona pół słówkami tylko udział brała nieśmiały.

Muzyk i sekretarz wnet po obiedzie się absentowali....

Cisza panowała w salonie, a że od południa chmury gęste przechodziły po niebie i na burzę się zbierało.... w pokojach też nie było bardzo jasno. Stolik wista dla tego ustawiono bliżej okna....

Ada pierwsza posłyszała i poznała kroki Roberta w przedpokoju, ale nie przerwała rozmowy z hrabiną Hernaszową....

Drzwi się otwarły od niechcienia, powoli, i Robert, ubrany jak na codzień, wcale nie wykwinł, wszedł skierowując się ku kanapie i gospodyni.

Oczy wszystkich z wyrazem przerażenia skierowały się na niego i na nią. Ada zwróciła się te-

raz dopiero z uśmiechem ku niemu, podała mu rękę i zaprezentowała go hrabinie:

— Miły i dobry mój sąsiad, pan Robert Jazyga....

Co się stało z fizyognomiami przytomnych, opisać trudno. Hrabina, której go zaprezentowano, zmieszana, pobladła, spuściła oczy, zaledwie skinęła głową. Twarz jej rumiano sina; stała się jakby marmurową, wystąpiły na niej plamy białe.

Gdy się to działo, radca siedzący przy stoliku wista zdrętwiał, — ręka, w której trzymał rozdane karty, konwulsyjnie mu drżeć zaczęła, usta się ścięły — postawa cała zeszytniała, jakby jeszcze w kancelaryi ministerjum, stawiał się przed nim obżałowany registrator kollegialny.... Szambelanową taka opanowała ciekawość, że zapomniawszy o gniewie, co prędzej porwała lornetkę i zaczęła się wpatrywać.... Hrabia Hernasz asystujący grającym, zobaczywszy znaki niebezpieczne na twarzy żony, był w drodze ku niej, gdy Jemu zaprezentowała Ada sąsiada. Nie zważając nań, biegł na ratunek hrabiny Eufemii.

Gdy siedzącym u kart, Ada głosem spokojnym, dźwięcznym zaprezentowała z kolei sąsiada — nie podniósł się nikt — osłupieli i siedzieli wszyscy, milczenie złowrogie panowało, tak, że wiatr w parku szumiący i grzmot oddalony słyhać było....

Na werandzie zerwała się z siedzenia Hortensya, z załamanemi rękami, i padła wnet na krzesło.... Oczyma szukała ktoby tu był na wysokości zadania stanowczej chwili. Kanonik siedział wsparty na łokciu i poglądał na chmury....

Tém przyjęciem więcej niż zimném gościa swego wcale nie zmieszana Ada, podwoiła dlań grzeczności, uśmiechnęła się, poczęła rozmowę poufałą i cichą, z której wnet przeszła w głośniejszą, i zwracając się ku kanapie i hrabinie, miejsce Robertowi wskazała przy sobie....

Milczenie panowało ciągle; troskliwy tylko mąż, hrabia Hernasz, na ucho coś szepecząc żonie, zapytywał coby mogło ulżyć jej cierpieniom?

Nikt się nie odzywał słowa. Wist został przerywany na chwilkę. Szambelanowa ze swobodą, jaką daje starość, przypatrywała się przez lornetkę—temu jegomości.

— Ładny chłopiec — nie ma co mówić! szeptała w duchu — gust ma dobry.... bardzo przy stojny....

Nieśmiało kierowały się też nań oczy panny Dyakowskiej, której usta uśmiech politowania nieco poruszał, choć się chciała utrzymać obojętną. Pierwszy pan Karol od stolika odezwał się do Roberta....

— Przepraszam pana, rzekł — jestem mu dłużny.... Tak jest — dodał widząc podziwienie. Prze-

szłym razem tu będąc, miałem stałe postanowienie go odwiedzić. Zmuszony byłem potem tak nagle wyjechać, że chyba to teraz nagrodzę.

Radca spojrzał z wysokości na Karola, zżymnął się i uroczyście rzekł — przyprowadzając go do opamiętania:

— Pan zadaje — panie Karolu....

Ada z dala wzrokiem serdecznym podziękowała kuzynowi, który zamiast zadać, odezwał się do staruszki:

— Pani szambelanowa oczy sobie psuje? nie trzeba się tak młodym jasnym twarzom przypa-trywać.

Radca tak na to głową pokręcił, jakby rzec chciał, że się niepotrzebnie wdał w towarzystwo—niewłaściwe.

Robert przeszedłszy przez pierwszy ogień, podtrzymywany rozmową, którą z nim prowadziła Ada — był już panem siebie. Przestały go boleć wejrzenia, jakie nań rzucano — uspokoił się. Położenie z tragicznego w przedpokoju, w salonie stawało się niemal komiczném.

Hrabina Hernaszowa nie znalazła sposobu innego wyjścia z przykrój konjunktury — niż ucieczka z pokoju — mąż ją przeprowadzał.... Była to migrena z tykiem nerwowym. Ada się nie sprzeciwiała, nie wstrzymywała, poradziła tylko wyjść wprost przez werandę do parku, dopóki by nie na-

deszła burza i ulewa, która się grozić zdawała.... Hrabina zaś nadzwyczajnie obawiając się grzmotów i piorunów, gdy spostrzegła, że nadciągnąć mogą, zawahała się z wyjściem.... bo — pewnie na dworku nie było konduktora. Wybierając jednak z dwojga złego, — Jazygi lub piorunów.... oparta na rękę najczulszego z mężów wyszła.

Była to już wyraźna manifestacya — lecz Ada przedsięwziąwszy z góry nie tłómaczyć sobie objawów podobnych, i nie zważać na nie — nie okazała, ażeby ją to obeszło. Zywiiej tylko rozmawiała, śmiejąc się z Robertem.

Śmiały postępek hrabiny napełnił radością serce panny Hortensyi.

— Otoż to mi kobieta! szepnęła kanonikowi. Karol jest niegodziwy zdrajca....

— Pan Karol, rzekł kanonik — jest po prostu przekora....

— O! ja mu powiem słowa prawdy! zamruczała stara panna; należą mu się one!!

Wist szedł bardzo źle — w żadnym robrze tyle nie było omyłek, pozabijanych renonsów, potraczonych lew, baków niedarowanych. Radca grał niegodziwie, Karol okropnie, pułkownik miał dystrakcye, miała je i szambelanowa, ale ona najwięcej łajała i hałasowała — choć i sama była winna.

Radca okrył się dumnym milczeniem, wsparł na rękę, nieco tyłem zwracając do Roberta, i dumiał. W istocie było nad czém....

Ada przyjmowała tego młodzieńca, przeciw któremu krucyatę ogłoszono, z niewypowiedzianą, nie kryjącą się sympatyą i uprzejmością. Nie można było wątpić, iż przybycie jego miało znaczenie odpowiedzi familii na jój gromadne wystąpienie.

Było to wypowiedzenie wojny, otwarte, niepojęte wyzwanie.

Radca przemyślał: co teraz czynić mu należało? wist mu nie był w głowie. Czuł na swych barkach całe brzemie sytuacji, szukał środków, aby z niej wyjść bez sromu. Panna była pełnoletnią.... mogła wyśmienicie rozporządzać sobą; mogła im odpowiedzieć: — Co wam do tego! Dziękuję za troskliwość i dowody przywiązania — ale postąpię jak mi wskaże serce.

Miał za złe, że go tu wezwano — za późno!!

Szambelanowa w obec téj śmiałości Ady, straciła odwagę — trochę jój nawet żal było. Chłopak ładny, jużci ona wie co robi i lepiej od nas go znać musi! mówiła cicho.

Na kanoniku to wystąpienie nie uczyniło wielkiego wrażenia na pozór — czoło miał trochę zmarszczone. Panna Hortensya konwulsyjnie się rzucała.... świerzbiała jój wargi, a mówić nie mo-

gła.... oczyma tylko okazywała oburzenie i wściekłość.

Przez cały ten czas aż do ukończenia wista, Ada umyślnie trzymała przy sobie Roberta, szeptała z nim po cichu, śmiała się głośno, okazywała mu względy szczególne....

Tur się skończył, zmierzchno, i choć chmury się rozeszły, a burza bokiem na lasy się posunęła — bez świec grać było trudno — nikt też nie miał ochoty. Radca nie czekając rozrachunku, wyniósł się na naradę do kanonika. Szambelanowa poszła na kanapę, Ada zbliżyła się ku niej, a pan Karol wprost udał się do Roberta.

— Chodź pan ze mną na cygaro do ogrodu — rzekł — wist mnie ten zmęczył.... parno jak w łaźni. Nim dadzą herbatę, przejdziemy się.

— Bardzo chętnie....

Robertowi też pilno było wyjść z téj dusznej atmosfery salonu.... Karol przechodząc z nim przez werandę, popatrzył szydersko na zbitych w kupkę kanonika, radcę i Hortensyę, i posunął się ku wschodkom....

— Trafieś pan szczęśliwie na zjazd familijny — ódezwał się. Bardzo przyjemne towarzystwo — ale — wolał byłbyś Adę zastać samą? przyznaj się?

Robert zarumieniony, przeczyć nie śmiał.

— Hrabiewstwo Hernaszowie — są to ci państwo co z placu boju dezertowali, mówił Karol....

Pani zawsze chora, dla tego jéj wiele, nawet tego męża nudnego, którego sobie wzięła, przebaczyć potrzeba. Ten wspaniały egzemplarz człowieka *Homo curialis*, wedle Linneusza, który już stoi o dwadzieścia kilka wieków od jego *Homo troglodytes*, jest radca tajny i kawaler. Wyśmienity człowiek do reprezentowania nicości w mundurze... Pani szambelanowa, najczcigodniejsza matrona, której wiekuistego wista trzeba darować dla tego, że była niegdyś bardzo piękna i — ludzie mówią, że piękność tę łączyła z nader miłym charakterem.... Ma ten defekt tylko, że wista gra całe życie.... i pana do niego wciągnie....

Ta blada panna z lokami długimi, JMPanna Dyakowska, najlepsza z istot na ziemi, serce brylantowe — ale — nieładna! Zdaje mi się, że panu zaprezentował wszystkich — dodał Karol — a wątpię, żeby moja kuzynka, dopełniając obowiązku gospodyni, z równą szczerością to jak ja.... wykonała....

Robert słuchał pół uśmiechnięty — Karol mu woczy patrzył.... Gotówby był wywołać zwierzenie.... i miał ochotę przyjść w pomoc prześladowanej parze — lecz Jazyga był milczący.

— Mam od pana przyrzeczenie, że mnie odwiedzić raczysz — rzekł — jesteś pan myśliwy?

— Ja w potrzebie — odezwał się Karol — staje się wszystkiém, co potrzeba! Chcesz mi sprawić

polowanie?? A! daj pokój! przyjadę pośmiać się i pogawędzić — to lepiej. Zrobiłem się leniwym....

— Ale mnie pan odwiedzisz? powtórzył Robert.

— Niechybnie — jeżeli znowu burza jaka i kaktizm familijny, nie wygna mnie ztąd nagle. Tego się nie spodziewam....

Zapalono cygara pod drzewami; po chwilce przyłączył się do nich pułkownik. Nie był on w tak dobrym humorze jak zwykle, skłopotany nieco, zmęczony, wąsa kręcił niespokojnie.

— Pułkowniku — z dala zaczepił go Karol — zaleliśmy ci za skórę. Przyznaj się.

— A to czém?...

— Jakże? najazd taki!

— Nader miły! kłaniając się odezwał Brandys....

— Żartuj zdrów.... I jeszcze w wista ci z szambelanową i radcą grać każą.

Pułkownik zwyciężony śmiał się.

— Facetus z pana!...

— Tém życie słodzę — odparł Karol. Wiesz pułkowniku póki byłem w dobrych interesach, chodziłem jak mruk.... Gdym się zrujnował — dostałem humoru, jakiegom nigdy nie miał. Kompensata Opatrzności. Nic bezpieczniejszego niż być gołym, obawa wszelkiej straty znika — pozycya się wyjaśnia, spokój i apetyt powracają.

Brandys śmiał się. Robert pomagał trochę, lecz oczyma rzucał ku werandzie, przez którą cień Ady

się przesuwiał. Zdawało mu się, że oczy jój go szukały.... Była ożywiona i jakby tryumfująca....

Radca, kanonik i panna Hortensya, gdy się zaczęło wyjaśniać, zeszli także z ganku w ulicę boczną ogrodu.... Opiekun zwłaszcza potrzebował na nowo pomówić o planie postępowania....

— Księżę prałacie — odezwał się — widziałeś co się stało.... to zmienia nasze położenie. Tolerancya, ignorowanie staje się nadal niepodobieństwem....

— Tak jest! tak jest! wybuchnęła Hortensya. Radca ma zupełną słuszość.... Doszło zuchwalstwo, cynizm do ostatecznego kresu.... Familia się zjechała, ona wie dobrze w jakim celu, i — prezentuje go familii....

To ma znaczyć, dobrą polszczyzną: Protestujecie przeciw niemu — a ja wam powiadam, żem go wybrała.... Jestem panią mojej woli.

— Tak i ja to rozumiem, ozwał się poważny mąż, prostując się i piersi nadstawiając, jakby ciosy niemi chciał odierać — i ja.... Cóż nam czynić pozostaje...?

Wyrazy te zwrócone były do zamyszonego kanonika — ale panna Hortensya nie dała się wyprzedzić i podchwyciła:

— Co pozostaje? jedno tylko. Wystąpiła ona śmiało.... niech familia wystąpi uroczyście, cała, razem, jako jedno spójne ciało.... Niech objawi jój stanowczo swe — veto! Nie pozwalam! Tak!

nie damy ci niedorzeczności dokonać, którąbyś później łzami oblewać musiała... Prosimy cię... żądamy, domagamy się — rozkazujemy.

— A! zawołał radca. A!!

— Jakiem prawem? wtrącił kanonik.

— Jakto? jakim prawem? poczęła ujadać panna Hortensya — familia zastępuje rodziców — a kto rozumu nie ma, tym kieruje.... To jój obowiązek.... to prawo!

Radca był ujęty elokwencją i zapalem kuzynki, twarz mu się wypogadzała.

— Zbyt gorąco to pani bierzesz....

— Bo jój dobra pragnę! bo ją widzę nad przepaścią! Proszę panów, panna milionowa, piękna, stara nie jest, imię starożytne, kolligacye świętne.... i ma iść za takiego przybłędę.... za jakiegoś majorowicza.... za pana Jazygę! Zostać panią Jazygową czy Jazyżyną! A! toby było skończenie świata! Cóż on przynosi? Nic — goły, jedna wioszczyna, zadłużona pewnie! bez wychowania prostack.... przystojny parobczak! nic więcéj.

— Nie bierz pani tak gorąco! powtórzył uroczyście radca.

— Państwo to bierzecie na zimno — i to jest nieszczęście! Należy brać upokorzenie rodziny, zmarnowanie się kobiety — gorąco.... Zapobiedz wszelkimi środkami.

W czasie tych peror konwulsyjnych, radca i kanonik spoglądali na siebie, jakby się pozbyć chcieli panny Hortensyi.

Nikt jój nie odpowiedział. Radca obrócił się do prałata :

— Cóż ksiądz hrabia na to?

— Panie generale — odparł kanonik — w istocie położenie krytyczne. Familia zgromadzona tu musi wystąpić zbiorowo.... jutro czy kiedy się to ułoży.... uroczyscie, bez świadków — otwarcie.... Ale trzeba to uczynić spokojnie, poważnie, łagodnie. Prosić, demonstrować, reflektować.... wlećć nic....

— I ja jestem tego zdania — rzekł radca — zupełnie! To była myśl moja....

— Hortensya chciała coś wtrącić, radca się skłonił.

— Przepraszam, daj mi pani skończyć. To była myśl moja. Lecz, księżę kanoniku, hrabio — dodał radca — bądź ty naszym tłumaczem, przemów w imieniu naszym.... my cię wybieramy.... Jako duchowny, jako dyrektor sumienia masz prawo.... a nie powiesz ani za nadto, ani za mało, gdy każdy z nas.... może.... unieść się.... lub uledz.... albo....

Hortensya ramionami ruszyła.

— Nie — panie generale — odparł ksiądz, dziękuję za zaufanie — ale się tego podjąć nie mogę.

— Dla czego?

— Dla tego, że raz już wystąpiłem z uwagami, które nie były przyjęte.... Jako duchowny do trwam na stanowisku do końca, niezrażony — ale muszę stać osobno.... W imieniu rodziny, komuż właściwiej mówić, niż powadze waszój.... wam, panie generale.

Hortensya zrażona milczała długo — chociaż nie-pohamowaną miała chęć wtrącenia się.

— Proszę mi pozwolić — słówko....

— Proszę.... odparł radca.

— Niechże to wystąpienie przybierze istotnie uroczyste formy — rzekła. To podziiała na nią. Tak — wszyscy razem, ile nas jest, przyjdziemy do niej, z prośbą i refleksją.... Jabym była za tém, ażebyśmy się ubrały czarno....

Kanonik się rzucił.

— Po cóż te komedye?

— Ażeby wywołać wrażenie....

Zmilczał radca....

— Kiedyż to ma się odbyć? pytała Hortensya.

— Nie wiem — o to się trzeba naradzić — przemówił opiekun, — nie wiem.... wybór chwili, nie jest rzeczą obojętną. — Stali tak rozmawiając i radząc, gdy się niepostrzeżony zbliżył Karol i słuchał. Porzucił on był Roberta, oddawszy go pułkownikowi, nie mogąc się oprzeć chęci podpatrzenia, nad czém się tak gorąco naradzano. Domyślał się, że tu idzie zapewne o wystąpienie zbiorowe....

Z ostatnich wyrazów, które doszły uszu jego, przekonał się, iż go nie myliły domysły, i przystąpił z przybraną powagą. Zobaczywszy go panna Hortensya, nie mogła się wstrzymać od wybuchu.

— Ja pana nie rozumiem! — zawołała zwracając się ku niemu.... Cóż za czułość jakaś dla pana Roberta? Zkąd nad nim ta troskliwa opieka? Nawczas kiedy cała familia chce mu okazać pogardę i wstręt, jako człowiekowi co spekuluje na majątek — pan ...

— Właśnie, usłużyłem familii — rzekł na pół żartobliwie Karol, — odciągnąłem go, dając jój czas naradzić się jak ma począć sobie.... Widziałem zdumienie i niepewność, jakie państwa ogarnęły!

Panna nie miała mu czasu odpowiedzieć, gdy Karol ciągnął dalej:

— Wie pani — idea zbiorowego wystąpienia jest genialną!! Ksiądz kanonik na czele *in pontificalibus*....

Ksiądz rzucił nań piorunujące wejrzenie. Radca się zmarszczył.

— Myśl jest dobra, i ja przy niej obstaję — dodał radca chłodno — pan się do niej przyłączysz czy nie, to zależeć będzie od jego woli, ale my — postąpimy jak nam dyktuje sumienie.

— Ja się bynajmniej nie myślę sprzeciwiać — rzekł Karol zawsze z udaném poszanowaniem a

żartobliwie — znam respekt dla starszych.... Co do mnie, przybyłem tu z szambelanową, dla zastąpienia dziadka w wiście, reszta mnie się nie tycze....

— Ale mógłbyś się pan powstrzymać od okazywania szczególnego affektu temu jegomości — dodała Hortensya.

— Przyznaję się, że radbym mu los jego osłodzić.... odparł Karol. Gdyby nie uprzejmość Ady — położenie jego byłoby nieznośne.

Ani radca, ani kanonik nie mogli dłużej się naradzać przy tym szydercy, który ich podsłuchiwał, i mógł dla splewania figla, zdradzić. Karol postrzegłszy to, zapalił drugie cygaro i z wolna się oddalił.

— Ja idę do dworku do Hernaszów, odezwał się radca, ażeby ich zawiadomić. Ksiądz kanonik pomów z szambelanową. Zdaje mi się, że najwłaściwiejby było jutro po śniadaniu, gdy się obcy oddalą — wystąpić jakeśmy uradzili.

— Niech ksiądz kanonik idzie ze mną, dodała żywo Hortensya — ja ułatwię mu rozmowę z szambelanową. Chodźmy....

Radca lekko się skłoniwszy z tą uroczystą miną wyższego urzędnika, która go nigdy nie opuszczała, wyprostowany, sztywny — z wolna się skierował ku dworkowi.

W przedpokoju drzemał służący na straży, z salonu dochodziły przerywane, jękliwe głosy, w których można było poznać, żałobliwe skargi hrabiny.... nad dolegliwościami, które jęj nie dawały pokoju.

Radca uważał za uwłaczające godności swój, by się meldować; zakaszał i wszedł. Hrabina Hernaszowa leżała na kanapie, i ujrawszy go, z wolna się podniosła. Mąż jęj stał przed nią w pewnej odległości, służąc za *receptaculum* skarg i ubolewań. To był jego obowiązek. Gdy radca się ukazał, spójrzał najprzód na żonę, aby wiedzieć jak go przyjąć, potem dopiero się posunął ku niemu z wyszukanym gestem ręki ukazując mu krzesło przy kanapie.

— Nieskończenie przepraszam za natrętność moją — począł radca — ale przychodzę w ważnej okoliczności, nie cierpiącój zwłoki.

Westchnął mocno.

— Widzieliście państwo do czego to doszło. Nieszczęśliwa moja pupilka, wiedząc i domysłając się po co my tu jesteśmy, umyślnie nam, brawując, prezentuje tego jegomości....

— Ja — przerwała ręką czoło cisnąc pani Hernaszowa — ledwie mogłam stłumić wyraz oburzenia. Widzieliście państwo.... uczyniłam demonstracyę — niech się gniewa, nie gniewa — okazałam, że nam się takich paniczów nie prezentuje.

— Wszyscyśmy admirowali takt i znalezienie się hrabiny — odparł radca — to pierwszy krok! Logicznie trzeba postępować, idziemy dalej za przykładem szanownej pani....

Urządziliśmy jutro....

Tu zaciekawiony mocno Hernasz po cichu się na palcach przybliżać zaczął nasłuchując, hrabina uroczyście patrzała na podłogę.

— Urządziliśmy jutro wystąpić wszyscy.... Po śniadaniu, gdy obcy odejdą — uczynimy otwarte przedstawienie Adzie, jak się kompromituje.... a w ostatku w imieniu rodziny zaprotestujemy przeciw projektowanemu małżeństwu.

— Czyż już wiadomo, że jest pewny projekt małżeństwa?— spytała hrabina.

— Wynika to samo z siebie, gdy nam go prezentuje.... Gdyby to była jakaś fantazya.... schowanoby go raczej.

— Jest racya! słowo honoru!— przerwał hrabia, zażywając prędko tabakę, której żona nie lubiła. Korzystał zawsze z gości, z silnego jój zajęcia innym przedmiotem, by sięgnąć do zakazanej mu tabakierki.

Epizod ten przerwał na chwilę naradę, bo hrabina właśnie oczy podniosła i chwyciła męża prawie na gorącym uczynku.... z tabakierką w ręku.... Pogroziła mu. Hrabia się oburzył.

— Nie zażywałem nawet! Tylko tak! tylko tak!! Wziąłem przez dystrakcyę w rękę.

— Proszę!! bardzo proszę — odezwała się hrabina.

— Kiedy mówię, żem nie zażył! — odezwał się mąż....

— Przepraszam, ciągnęła hrabina zwracając się do radcy — mój mąż mnie nie słucha.... Cóż tedy?

— Jutro więc po śniadaniu wystąpimy uroczystie.... Łagodnie ma się rozumieć — ale stanowczo.... Nie wiem kto zabierze głos.... państwo poprzecie.

— A! a! pan radca! głos! pan radca! — pośpieszył Hernasz — to się rozumie.

— Tak — dodała hrabina....

— Z obowiązku opiekuna będę musiał zapewne przemówić.... potwierdził wydymając pierś pan radca....

— Poprzemy.... odezwała się hrabina.

— A! poprzemy! powtórzył za nią hrabia....

Na tém się skończyło.

— Uważał pan radca jak ordynaryjnie wyglądał westchnęła hrabina.

— Extra-ordynaryjnie — rzekł hrabia.

— Minę ma leśniczego lub prowentowego pisarza — odezwał się radca. Że mógł się podobać garderobianie panny Ady, to pojmuję; ale po niej wytworniejszego się spodziewałem gustu.... Pamięta-

my, że się o nią starał książę Włodzimierz.... hrabia Teodozy.... odmówiła im.... nawet księciu Heliodorowi....

— Niepojęta rzecz!

Unisono, chórem, wyrwało się westchnienie z piersi wszystkich.

W tym samym czasie panna Hortensya torowała drogę kanonikowi do rozmowy z szambelanową. Szczęśliwie się to udało, i wsparta na rękę panny wyszła staruszka na ganek, gdzie na nią prałat oczekiwał. Prawdą a Bogiem w sercu jęj budziło się politowanie dla Ady, sympatya dla Roberta. Szambelanowa zawsze dla czułych serc bywała połażająca...

Prałat się zbliżył do nięj, i razem odeszli nieco dalej w koniec werandy.

— Macie hrabio coś do rozkazania mi, jak mówi Hortensya?— spytała staruszka.

— Radca mi polecił, bo ja nie mogę i nie życzę sobie mieszać się do spraw familijnych. Powszechne zdumienie i oburzenie wywołało przybycie, przyjęcie, zaprezentowanie się tego pana — pani dobrodziejka wie.

— Tak, tak, chłopak bardzo przystojny — szepnęła staruszka....

— Familia postanowiła wystąpić cała, aby uczynić refleksye.... Radca poszedł z tém do Her-

naszów — ja jestem wysłany do pani szambelanowej....

— A kiedyż to?— kiedy? niespokojnie dopytywała stara.

— Zapewne jutro — rzekł prałat; panna Hortensya o tém panią zawiadomi. Pani naturalnie nie odmówi.... poparcia.

Ze spuszczonemi oczyma słuchała staruszka....

— Naturalnie — muszę.... rzekła cicho.... a czy to pomoże?

— Prawdopodobnie — odparł kanonik. Głos rodziny ma swe znaczenie.... Może to być chwilowe.... upodobanie, zapomnienie się....

— Tak! tak... mówiła cicho staruszka.... Ja pójdę gdzie mi każecie.... prosić ją będę.... Szkoda by jój było.... takie piękne imię, majątek.... mogłaby się wydać bardzo świetnie!.... kiedy zmieniła postanowienie i za mąż iść myśli...

— Lecz po cóż ma tak piękne, święte zmieniać postanowienie!— mówił kanonik. Był czas, gdy zagrzana prawdziwą gorliwością religijną, miała zamiar cały majątek, lub część jego znaczniejszą, obrócić na wiekopomną fundacyę.... To był cel godny takięj jak ona osoby.... Chciała się mu poświęcić! Niech państwo przypomną jój—jakięj pociechy dusznęj doznawała, gdy była myślą tą ożywiona....

Szambelanowa, której огоłozenie familii nie здавало się najpożądańszym celem, nic na to nie odpowiedziała. Ks. hrabia de Bello, dalej ciągnął z zapalem:

— Jest-to tak piękna, czysta, zdolna do pojęcia i uczucia najszlachetniejszych idei dusza — iż nie wątpię, że łatwoby znowu weszła na dawną drogę, gdyby do niej silnie przemówić umiano....

— Ale któż lepiej nad księdza kanonika to potrafi?

Ks. de Bello ręce szeroko rozpostarł.

— Jam swoje spełnił, kolój na państwa! Głos krwi, pani dobrodziejko....

Zbyt chłodném znajdowała panna Hortensya znalezienie się szambelanowój.

— Pani też przemówi — dodała — ona panią szanuje i kocha.... trzeba koniecznie.

— Dobrze, dobrze, ale niech radca lub Hernaszowa zaczynają — ja nie mogę! Ale poprę — poprę....

— I niech pani będzie łaskawa — śpiesznie szepnęła stara panna — zreflektować też pana Karola.... Postępuje sobie jakby na przekorę, przyjaźni się z tym jegomością, żartów sobie pozwala — słowem, znajduje się najniewłaściwiej.

— A gdzież on jest? — zapytała staruszka, rada wyrwać się z objęć Hortensyi i księdza.

Karol właśnie przechodził przez werandę, powołano go przed sąd szambelanowej. Ta, że długo stać nie mogła siadła na ławeczce, kazała mu usiąść przy sobie.... a kanonik odszedł z nieodstępną towarzyszką.

— Co ty tam dokazujesz? poczęła się rozmowa.

— Ja? na przykład?

— Skarżę się na ciebie, że wszystkim szyki mieszasz. Cóż za nagła przyjaźń dla tego jegomości?? he?

Karol wiedział jak z babunią mówić, pochylił się jej do ucha.

— Babciu najukochańsza — co bo ty słuchasz téj beczałki octu.... Hortensyi! Sama widziałaś — ładny chłopiec? no — i do rzeczy.... Co nam do tego, żebyśmy my dla wspomnienia pradziadków mieli pra-prawnuczce szczęście zatruwać??

Szambelanowa poczęła się uśmiechać.

— Przystojny chłopiec, rzekła cicho — nie ma słowa — ale kto go wie nawet czy szlachcic...

— Karmazyn! zawołał wesoło Karol, szkarłat najczystszy! Jazyga! wie babcia co to znaczy?... Jazygowie był to naród bitny, tak bitny, że go w pień wycięto.... a książęta ich par excellences zwali się Jazygami. Są to potomkowie książąt udzielných.

— Pleciesz.

— Słowo daję! rzekł Karol: chłopak zdrów, młody, ładny, do rzeczy, książęcego rodu.... nie ze wszystkiém ubogi — czegoż my chcemy od niej i od niego?

— Ale — oni to inaczej widzą.... rzekła stara....

— Niechże oni, babciu kochana, widzą jak chcą i robią co się im podoba — a babci nie przystało się w to mieszać. Zostańmy neutralnymi.... Babcia — miała zawsze serce złote, dla młodych i czułych istot pełne miłosierdzia.... sama podobno nie była bez litości dla tych co się w niej kochali....

Staruszka niby gniewna, chustką go uderzyła po twarzy.

— Będiesz ty mi plótl.... paskudniku!

Śmiejąc się Karol ją pocałował w rękę.

— Babciu, dodał schylając się do jej ucha: uczyniłaś dla familli ofiarę, żeś tu przyjechała.... staniesz w szeregach zapaśników, ale biec się! babciu, tobie.... gdy przeciwna strona tylko sympatyę obudzać powinna.... biec się przeciw zakochanym! Czy się godzi?...

— No, już daj pokój — dosyć — dosyć — a nie wygaduj się z tém, że mnie nawracałeś.... Oni na ciebie i tak niedobrze patrzą. Hortensya....

— Babciu.... Hortensya — to wcielona pokrzywa.... czyż masz iść za nią, ty — co masz serce anielskie? mnie.... com zawsze swobodę w mi-

łości wyznawał i raz kochałem się w kawiarni tak....

— No — nie pleć!

Szambelanowa śmiała się, była rozbrojona, Karol umiał ją zawsze ubawić, pochlebić i przekonać.... Bądź co bądź, był pewien, że ostro przeciwko Adzie występować nie będzie.

Szło mu teraz tylko o to — pocziwcowi, ażeby gospodynię o uknutym spisku mógł uwiadomić. Oddawszy szambelanową zbliżającej się pannie Dyakowskiej, której szepnął słów kilka — a która nań spojrzała z politowaniem i współczuciem — poszedł na podsłuchy.

Radca właśnie wracał z Hernaszami na herbatę, gdy ich na ścieżce spotkał Karol. Minę przybrał seryo.

— Mówiłem z panią szambelanową — odezwał się — kazała mi się zapytać, na kiedy oznaczone wystąpienie nasze?

Radca zapomniawszy, że Karol na zaufanie nie zasługiwał, schylił mu się do ucha i szepnął:

— Jutro — po śniadaniu!

O tém tylko potrzebował wiedzieć pan Karol — skłonił się, i idąc obok Hernasza, który osłabłężonie rękę podawał, postępował z wolna i bardzo poważnie razem z nimi ku pałacowi.

Ze zgrozą ujrzano naówczas, że Ada znowu rozmawiała z bannitą, że raz mu rękę podała tak.

iż wszyscy to widzieli, śmiała się — słowem postępowała z nim, jakby już było po przyrzeczeniu i po zaręczynach.

Radca ujrzawszy to, miał wstręt iść dalej, aby nie spotkać — tego jegomości. Hernaszowie wstrzymali się też za jego przykładem, udając, że się kwiatkom na grządkach przyglądają — a żadne z nich nie znało z roślin więcej pono — nad kapustę, pietruszkę.... sałatę i tytuń może. Dopóki Robert stał z Adą, nie ruszył się nikt naprzód, aby nie sankcyonować przytomnością swą — téj, jak mówiła Hortensya — impudencji.

Wreszcie pułkownik wziął Roberta. Ada sama wyszła naprzeciw hrabiowstwu, i — wszystko zostało do czasu — w zawieszeniu....

Karol czatował na kuzynkę.

— Prosiłbym o posłuchanie — rzekł do niéj, w chwili gdy weszli do salonu, aby przejść na herbatę.

— Pilne? spytała Ada wesoło.

— Dosyc.

— Odstąpimy parę kroków. Rozmowy się toczą żywo i głośno.... Mów pan....

— Bez przedmowy czy z introdukcyą...?

— Nie wiem czy na nią czas mamy.

— Niewiele — rzekł Karol — motywowanie więc odkładam na potém.... Oznajmuję tylko fakt. Ju-

tro familia ma wystąpić zbiorowo, uroczyście, z radcą na czele.... aby....

— Rozumiem — przerwała nieco zarumieniona gospodyni.

— Ja — będę towarzyszył wojsku sprzymierzonemu jak ciura, bić się nie będę.... Bądź więc kuzynka zbrojna, gotowa do odparcia napaści!!

Spojrzawszy na Karola, nieznacznie mu rękę podała Ada.

— Dziękuję, rzekła chłodno — bądź spokojny — moja zbroja czyste sumienie, wola niezłomna.... Zobaczysz mnie jutro. Trwogi nie mam najmniejszej. Jeszcze raz dziękuję. A teraz — na herbatę.

Spojrzała w przelocie na Roberta, wzrokiem mu dodając odwagi — i poszła rozsadzać swych gości.... Karolowi Jazyga dostał się za sąsiada — wesoło zaczęli rozmowę. Naprzeciw nich siedziała piękna Sensytywa, a kuzynek lubił się w nią wpatrywać. Dalej — nieco chmurny — miejsce zajmował Obłęcki.

— A cóż — Tatarowie? spytał Robert.

— Jużem ich pokonał — westchnął malarz.... Karton spalony — a słowo panu daję, były tam niegorsze rzeczy.... Cóż z tego! Jabym obrazu tego nie mógł tu wykonać. Wzorów mi brakło.... imaginacya na zastąpienie ich nie starczy...

Ręką machnął: — Bogom podziemnym na ofiarę! rzekł z rezygnacją.

U stołu nastrój panował uroczysty — jedna Ada i Karol okazywali twarze weselsze.... Mówiono tak, aby się obcy i niepowołani nie mogli wmieścić do rozmowy.... Radca opowiadał o stolicach i dyplomatach. Szambelanowa ogadywała dawno umarłych — panna Hortensya egzaminowała kanonika z życiorysu Fenelona, pomówionego o zbytnią tolerancyę, przeciw czemu świadczył duchowny, powołując się na to, iż był z innymi za odwołaniem edyktu nantejskiego....

Karol rzucał słowami jak rakietami, które pękały, strasząc ciągle ludzi....

Nadszedł dzień ten uroczysty. Po wczorajszych groźbach burzy, niebo się wypogodziło, wietrzyk powiewał chłodzący, prześlicznie zwiastował się poranek letni. Pogoda na niebiosach zawsze się odbija w duszy człowieka, rażniej się żyje — lżej oddycha.... humor jak niebo się wyjaśnia. Pomimo tak szczęśliwych warunków atmosferycznych, całe towarzystwo w Ruszkowie zebrane, dziwnie tego dnia twarze miało zafrasowane, wejrzenia niespokojne. Ciężyc się zdawało na wszystkich jakby wspomnienie wczorajszej niedoszlęj burzy.

Szambelanowa ubierając się, odezwiała do swój Dyakosi:

— Dałabym.... kilka czerwonych złotych, żeby już ten dzień mieć za sobą.... Co to będzie! co to będzie!

Radca, choć człowiek wielkiego mężstwa, co nie-raz z raportem stawał przed ministrami, co czoło stawiał burzy — czuł się podrażnionym i niemal żałował, że.... przyszło do téj ostateczności. Państwo Hernaszowie nie domagali. Ona czuła, że będzie skwar, który jój zawsze sprawiał migrenę, on przez sympatyę bolał i ramionami ruszał.... Sięgał czasem do kieszeni po tabakierkę i nie mógł jój dobyć ani razu.... To go wprowadzało w zły humor.

Panna Hortensya nie spała prawie noc całą, wstała do dnia, nie mogła usiedzieć na miejscu, co chwila patrzyła na kameryzowany zegarek, i nie pojmowała, dla czego czas się włókł tak nieznośnie. Nie miała nawet z kim rozmową go zabić — bo wszyscy byli zajęci.

Pan Karol, często zaniedbujący się w ubraniu, na ten dzień wystąpił świetnie. Krawat włożył jasny, tużurek nowy.... Śmiała mu się twarz na wspomnienie dramatu, do którego i on choć jako kompars miał należeć. Ciekawy był niesłychanie znalezienia się Ady.... którą spotkał przechodzącą i tak, na pozór przynajmniej, spokojną i obojętną, jakby nie wiedziała o burzy gromadzącej się nad jój głową....

Na wszystkich, nawet na najwytrawniejszym, nawykłym do panowania nad sobą kanoniku — zapowiedziana demonstracya familijna czyniła wrażenie. Każdy się pytał w duchu — jak się to skończy? co z tego będzie?

Pessymiści mówili sobie: A nuż oświadczy wbrew wszystkim, że bierze za męża nieszczęśliwego młodzieńca — i to co było niepewnością, stanie się nieodwołalnym faktem??

Panna Hortensya, która całego tego piwa nawarzyła, uspakajała się uczuciem obowiązku i tém, że przecież głos krwi, perswazyje i prośby rodziny poskutkować, opamiętać muszą....

Zadzwoniono na mszę do kaplicy, i nawet hrabiowstwo Hernaszowie dnia tego znaleźli się u ołtarza.... Radca zajął zwykle swe stanowisko naprzeciw cymboryum, w téj postawie jaką wlecie....

Po mszy następowało wkrótce śniadanie, a po nim — jakby się tylko obcy oddalili, miała wystąpić familia cała....

— Jak najłagodniej — ale stanowczo — mówił radca.... Zachować miarę potrafię.

Wcześniej był sobie ułożył wstęp do przemówienia swego, i główne punkta jego. A mimo to dosyć był niespokojny. Z panną Adą, wiedział to dobrze, w najprostszej rozmowie trzeba się było mieć na baczności, — takie się trafiały w niej niespodzianki — cóż dopiero w tak ważnej sprawie!

Hernasz z rana mówił żonie :

— Panu Bogu dziękuję — że tu zesłał pana radcę — nużby na mnie był spadł ciężar.... przemawiania.... Toby dopiero było !!

Hrabina głową pokręciła tylko.

— Co mówisz duszko ?

— Nic nie mówię. Ty nie do tego....

— Słowo daję nie do tego.... o! pewno!

Podano śniadanie, zeszli się wszyscy domownicy, zjawił się wesoły marszałkujący pułkownik. Kucharz wystąpił co się zowie, a nikt nie mógł jeść, oprócz szambelanowej, która skosztowała pasztetu z kuropatw, i już się od niego, mimo uwag Dyakowskiej, oderwać nie mogła. Radca wypił parę kieliszków wina — czuł potrzebę — dodania sobie — tonu.... Ada zapraszała, gospodarowała, humor jej nie dawał poznać, że była do katastrofy przygotowana.

Radca spoglądał niekiedy na nią i myślał:

— Gdyby wiedziała co ją czeka !!

Nie wiedzieć jak i dla czego, nadzwyczaj się przeciągnęło śniadanie, zdawało się jakby umyślnie każdy się starał chwilę stanowczą oddalić. W ostatku ruszyła się gospodyni — nie było sposobu, podała rękę radcy, Karol poprowadził przodem szambelanową, wszyscy się potoczyli do bawialni.... Jak zwykle weszli tu i domowi, pułkownik, muzyk, malarz, nawet sekretarz. Odraczało to nieco mó-

ment, którego się obawiali wszyscy.... i radzi byli, że.... mogli oddychać swobodniej. Szambelanowa w duchu prosiła Boga, aby zesłał czy jakiego gościa, czy przeszkodę....

Nie pomogło to.... Wymknął się najpierwszy kanonik, który wymówił się od współudziału.... wyszedł pułkownik.... Musiatowski i muzyk wysunęli się niepostrzeżeni. Oblęcki siedział najdłużej wpatrzony w pannę Karolinę, ale gdy z nią Karol rozpoczął rozmowę — z rozpaczą — uciekł....

Radca, który się gorączkowo przechadzał po pokoju — pierwszy zobaczył, że już obcego nie było nikogo, że — pozostali sami.... Oczyma począł ścigać wszystkich, aby nieznacznie ustawili się jakoś w sposób odpowiadający uroczystości tego kroku....

Na kanapie siedziały hrabina i szambelanowa, Hortensya nie odstępowała ich.... Chociaż licząca się do rodziny, Karolina, której coś szepnęła Dyakowska, jak mogła najprędzej opuściła salon, idąc się zamknąć w swoim pokoju....

Radca zmierzył raz i drugi oczyma wszystkich, i w chwili gdy Ada opowiadała coś o podróży swęj do Włoch, z żywością wielką — przystąpił do niej, ujmując ją za rękę....

Nie było chwili czasu do stracenia — nużby kto nadszedł!

— Kochana pupilka moja pozwoli — odezwał się kłaniając....

Ada z uśmiechem jakby nie rozumiejąc, dygnęła mu....

— Co kochany opiekun każe?

— Pozwolisz — odchrząknął radca — że zabiorę tu głos w imieniu naszej całej rodziny....

Tu ręką, ruchem nader pięknym, zatoczył, ukazał rozpięchłych po salonie.

— A! a! coś tak strasznie uroczystego! rozśmiała się gospoia. Cóż tedy? co? Jestem na rozkazy!

Ton, jakim to wymówiła, tak nieprzystający do tego, jaki chciał przybrać radca, zmieszał go i zamknął mu usta....

— Proszę cię, droga pupilko — rzecz jest seryo.... racz mnie posłuchać! dodał trochę się jękając i płacząc.

— Aż tak bardzo seryo! o mój Boże! cóż to być może? ciągle wesoło ciągnęła.... Seryo?

Zmieszany orator znowu się zaciął....

Karol stojący w kącie, widząc jak mu pot kropli sty występuje na czoło, ledwie się mógł wstrzymać od śmiechu. Inni świadkowie podzielali zakłopotanie radcy, patrzali po sobie — nie wiedzieli wistocie teraz już nie jak się to skończy, ale jak się to zacznie. Radca zbił się widocznie z tonu, z drogi, trzymał rękę Ady, patrzył na jej uśmiech, cze-

kał ażby się poważniejszą stała — i — sam nie wiedział co począć.

— Pozwolisz mi — rzekł wyczekawszy znowu, że zabiorę tu głos w imieniu naszej całej rodziny...

Ada, która już raz słyszała to słowo w słowo, uśmiechnęła się mile....

— Mówcie proszę, rzekła — wiem, że od mojej kochanej i miłej rodziny nic niemiłego usłyszeć nie mogę....

Spojrzeni po sobie. Radca rękę jój puścił z lekka....

— Kochana Ado, rzekł siląc się, aby wyjść z przykrego położenia — nawykliśmy w tobie widzieć wzór i ideał niewiasty....

— O! kochany radco — przerwała — prawdziwie, że na to nie zasłużyłam.... abyście mnie upokarzali tak pochlebnemi słowy, których przyjąć nie mogę, chyba za dowód pobłażliwości waszej.

— Nawykliśmy — chciał ciągnąć radca — wielbić cię i czcić.... prawdziwie.... (tu się splątał i powtórzył) — czcić.... prawdziwie....

Tu musiał uczynić pauzę.... głosu mu nie stawało, w ustach zaschło. Ada się jeszcze uśmiechała wesoło....

— Rodzina troskliwa — rzekł po długim przestanku mówca, już nie patrząc na Adę, aby nie mieć dystrakcyi, ale na ścianę — rodzina troskliwa — i kochająca.... i kochająca (powtórzył) — zatrwo-

żona została wieścią — która.... przyznajemy ci się, zgromadziła nas tu wkoło ciebie....

— A! a! przerwała Ada — cóżby to takiego być mogło.... Doprawdy? zaostrzacie ciekawość moją.

— Pozwól mi być otwartym, rzekł, pot z czoła ocierając, radca.

— I obowiązek i prawo do tego macie — zawołała Ada patrząc mu w oczy — bądź radca jak najszczerszym. O cóż to idzie?...

— Wiedzieliśmy — począł na nowo opiekun — o stałym postanowieniu twem, iż za mąż wychodzić nie życzyłaś sobie. Poszanowaliśmy w tém wolę twoją, zamiłowanie niezależności.... uczucie godności....

— I spodziewam się, wtrąciła Ada, że mnie od tego stałego postanowienia nie zechcecie odwodzić??

Radca zamilkł — już nie wiedział co miał dalej i jak wyłuszczać.... Odchrząknął. Ada stała w oczekiwaniu, mierząc go oczyma, — a patrzący na nich nie poznałby w radcy groźnego opiekuna, ale upokorzonego delikwenta, którego surowy sędzia trzymał wzrokiem na uwięzi....

— Doszły nas wieści — kochana Ado.... smutne....

— Jakież? zapytała spokojnie.

— Że ty sama zmieniasz to postanowienie — i to na korzyść człowieka — chcę mówić osoby czyli — kogoś, który ze wszech miar nie jest ciębie godzien....

Nastąpiło milczenie, wśród którego zamiast odpowiedzi, rozległ się uśmiech Ady, taki swobodny, tak jasny, niewymuszony, wesoly.... że radca od niego struchlał.... Hortensya blizka była omdlenia....

— Ale któż wam mógł spleść niedorzeczność taką! radco kochany! — zawołała Ada — a wy, jakżeście mogli czemu podobnemu uwierzyć? Za kogoż mnie wydają? Za pułkownika Brandysa, za Obłęckiego, którego bardzo kocham, za Musiatowskiego, czy może za młodego Jazygę, który tu tak często bywa u mnie, czy za Rubaszka, nad którego grą czasem się rozplywam!!

Mój radco — dodała biorąc go za rękę — i wy dobrzy, kochani krewni moi, coście mi dali dowód takiej troskliwości — uspokojcie się, proszę.... nie idę jeszcze za męża.... nie myślę wychodzić — ale, jak byłam swobodną panią moich czynności, chcę nią pozostać.

Zbliżyła się do zmieszanego radcy, całując go w ramię.

— Dzeciństwo! rzekła — nie mówmy o tém....

Opiekun stał jeszcze jakby chciał ciągnąć dalej, lecz — jakże jęj miał zadać kłamstwo, po tak wyraźném zaprzeczeniu?...

Panna Hortensya, którą niedołężność radcy do ostatniej doprowadziła niecierpliwości, zdecydowana już na opuszczenie Ruszkowa, nie mogła się od

wystąpienia powstrzymać. Głos jednak osłodziła, zniżyła i poczęła, cicho....

— *Mais, chère cousine* — chociaż to może być potwarz — wyznaj, że częstokroć mogłaś dać powód do niej.

— Ale bardzo być może — odparła Ada śmiejąc się ciągle — ja tak mało ważę potwarz, iż dla uniknięcia jéj, żadnej méj fantazyi nie poświęcę! Masz słusność, kochana Hortensyo! Chodziłam na spacer, mogłam się z kimś spotkać.... długo samotne wiodłam rozmowy.... To prawda. Wszystkie garderobiane nasze, wyjąwszy moją pocziwą Kasię — wyciągają z tego najokropniejsze wnioski, bo czują biedaczki.... że dla nich byłoby w tém niebezpieczeństwo.... co dla nas.... jest obojętném.

— To przyjmowanie pana Roberta.... szepnęła Hortensya.

— Myślisz, że to o niego chodzi? rozśmiała się Ada.... Być może — ja go bardzo lubię — ale mogli mnie równie posądzić o Oblęckiego.... bo i do niego do oficyny, sama jedna wieczorami....

Zaczęła się śmiać klaszcząc w ręce.

Hortensya spuściła głowę. Radca zupełnie zwątpił, ażeby dalej mógł już przeciągnąć akt oskarżenia.

— Mój opiekunie kochany, podbiegając do niego i ręce mu kładnąc na ramionach, zawołała Ada:— niepotrzebnie was strwożono i rodzinę.... Nie ma

nie, bądźcie spokojni, prócz fantazyi staréj panny, która z tego co o niéj mówią, nie a nie sobie nie robi....

Ale — kochany opiekunie.... Zbliżam się do trzydziestki! Straszny wiek krytyczny.... Jeżeli, po tylu innych, przyjdzie mi fantazyja wydać się za mąż — przypuśćmy naprzykład za wójta z Ruszkowa, albo za parobczaka ze Zgorzewa.... lub za chłopaka z Morawiec — czyż myślicie, że familia cała, ty mój opiekunie kochany, wy moi najdrożsi — potraficie mnie wstrzymać gdy postanowię?

Wesoło pokręciła główką.

— O! nigdy w świecie!

— Przecież meżaliansem nie uczyniłabyś rodzinie wstydu — rzekł radca.... Wiesz coś winna przodkom swoim....

— Mój radco, a rozpatrywałeś się w naszej genealogii? Pewno nie! odezwała się Ada. Pradziadek żonaty był z panną Natanowiczówną, wnuczką Natana, arendarza w Błotkowie. Stryj się ożenił z garderobianą swéj pierwszój żony po jéj śmierci, a była to poczeiwa dziewczyna ze wsi wzięta. Czekał — dziadek stryjeczny wziął kamienicę w Brześciu po Bałabanowiczównie mieszczance, córce kupca....

Oniemieli wszyscy.... radca był oburzony.

— Uspokój się, kochany opiekunie — dodała — ja też jestem arystokratka okrutna.... piękną

krewność wysoko szacuję, piękną duszę i wychowanie.... Widzicie więc, że niebezpieczeństwa nie ma.... Gdybym za mąż wyjść miała, daję wam słowo, nie będziecie się wstydzili mojego małżonka.... Tymczasem mowy o tém nie ma. Ulubieńcem moim kunszt — kochanką moją swoboda!

Podniosła rękę w górę i pobięła rzucić się na szyję szambelanowej, która w uniesieniu ręce ku niej wyciągała.... Zaczęła ją całować śmiejąc się.... żartując i wypieczone tylko rumieńce świadczyły o wzruszeniu. Reszta towarzystwa zaniebiała, pomieszana, strwożona, kwaśna — nie wiedziała co zrobić z sobą. Ada nie dała nikomu, nawet Hortensyi, uczuć urazy, ani złego humoru...

— Skończmyż tę niemiłą rozmowę; rzekła.... i chodźmy na werandę — świeżego użyć powietrza.

Mówiąc to podała rękę radcy i spytała go:

— Nie prawdaż, że park mój niezmiernie z każdym rokiem zyskuje? Co to za drzewa! co za urocze kształty tych gałęzi! Proszę, patrzcie jak się tam czarny młody buk na tle zielonych akacyj wydaje! Co za rysunek téj wierzby babilońskiej, ale jaka z nią bieda w zimie! Dęby piramidalne powoli mi bardzo rosną.... a pragnęłam ich dla kontrastu z temi okrągło pozataczanemi krzewami.... Na przyszły rok przetnę tu cokolwiek, — i wzrok będzie się mógł wyśliznąć daleko.... przez siny otwór, który w te masy gęste wpuści powietrze!

Mówiąc z wielkim zapalem, ściągnęła za sobą radcę, aż ku parkowi, a reszta rodziny długo się nie mogła poruszyć z miejsca, przybita jój przytomnością umysłu, swobodą i odwagą.

— Babciu! zawołał Karol w uniesieniu, podbiegając do szambelanowej, tyś ją potrzebowała uściśnąć, a mnie się chciało paść jój do nóg, taka była piękna i.... wielka. My przy niej wydawaliśmy się robakami.

— O! o! przerwała panna Hortensya — dla pana to cudowne — ale dla nas okropne — ohydne.... Cynizm ubrany w róże....

To mówiąc zerwała się z miejsca i uciekła, trzaskając drzwiami. Hernaszowie nie ruszali się, on sam nie śmiał się poddać żadnemu wrażeniu, nie spytawszy żony, a na jój kwaśnej twarzy nic nie widać było oprócz podrażnienia...

Zwróciła się wreszcie do męża, popatrzała na niego — i najprzód groźnie zawołała:

— Znowu zażywałeś tabakę?

— Ja? tabakę! ale gdzież? gdzie?

— Jutro rano wyjeżdżamy — dodała hrabina — podaj mi rękę. Od tych scen głowa mi pęka. Radca bez taktu.

— Najmniejszego taktu....

— Familia wychodzi.... pięknie.... Było nas po co sprowadzać.... koszta....

— Ja mówiłem — szepnął hrabia....

Z tém wyszli.... W salonie została szambelapowa. Dyakowska i Karol rozmawiali jeszcze o tém co zaszło, gdy wszedł kanonik blady, z twarzą, na której się malowała ciekawość niespokojna.

— Czy mi też państwo z łaski swój nie objaśnią, co i jak tu zaszło?... Od panny Hortensyi, która dostała płaczu i śmiechu konwulsyjnego, nic się dowiedzieć nie mogę....

Karol się przybliżył.

— Panna Ada wyszła z tryumfem, rzekł. Oświadczyła nam, że za mąż iść nie myśli, a razem, że gdyby co podobnego przyszło jój kiedy do głowy, naówczas cała rodzina, ani nikt w świecie nie mógłby jój od spełnienia swój woli odciągnąć.

— *Ah! c'est bien clair!* rzekł kanonik z pewnym przekazem.

— Tymczasem zaś — za mąż iść nie myśli.

— *Cela n'est pas bien clair!* ciszej odezwał się kanonik....

— Ale cudowna była, powiadam hrabiemu — odezwała się szambelapowa — cudowna, gdy nam to mówiła! Z takim umysłem spokojnym, z taką werwą.... taka była śliczna, żem ją uściskać musiała!

— A inny przed nią chciał ukłęknać — dodał Karol.

Kanonik zwrócił się ku pannie Dyakowskiej sztydersko nieco :

— A pani ?

— Ja wysoki dla jej charakteru powzięłam szacunek — odpowiedziała spytana cicho....

— Wszystko więc jak najszczęśliwiej się składa na tym najlepszym ze światów — zakończył hrabia — a hrabiowstwo Hernaszowie ?

— Poszli spocząć....

— A nasza gospodyni ?

— Oprowadza go po swym parku, pana radcę....

— Ale — możebym ja mogła być w czém pomocą pannie Hortensyi? — rzekła ruszając się i prosząc o pozwolenie szambelanowej Dyakowska.... Zastębia.... nie ma może nikogo przy sobie.

— Owszem, rzekł kanonik.... panna Karolina jest przy niej ... i służąca....

Prałat siedział długo niemy, nie pytając już więcej.

Zbliżała się godzina obiadu — i salon powoli się znówu napelniał. Przybył pułkownik naprzód, potem Obłęcki, za nimi reszta....

Przykrój sceny nie pozostało innego śladu, tylko na twarzach tych co jej byli uczestnikami. Wkrótce też Ada z radcą powróciła z parku, i opiekun uwolniony, po odejściu jej do salonu, mógł otrzeć

pot z uznojonego czoła, zebrać myśli, zrobić obrachunek sumienia.

Był najpewniejszy, że całe jego wystąpienie najtrafniejsze było, że nie popełnił najmniejszej omyłki, rozwinął energię, dowiódł taktu i spełnił swą misję znakomicie. Czekał tylko, aby mu kto z rodziny uczynił zarzut, gotów się bronić i dowodzić, iż bezskuteczności zabiegów, oni nie on byli winni. Usiłował być rad z siebie i wmówić to sobie — chociaż w duszy czuł, że postąpił niezgrabnie i nieudolnie....

Zbliżył się do niego kanonik z wyrazem twarzy politowania pełnym.

— Słyszeliście? zapytał radca — wystąpiłem energicznie co się zowie — i mogę sobie oddać tę sprawiedliwość, z takim taktem, że nawet chmurki na jej czoło nie wywołałem. Wszystko bajki, jako żywo, plotki, przywidzenia Hortensyi, kobieta ani myśli o niczem! Śmieje się z tej suppozycji.

— Tak? spytał kanonik.

— Najniezawodniej. Najszczerzą, najotwartszą była ze mną. Kobieta z charakterem i — uwielbienia godna.

Spojrząwszy na kanonika i widząc uśmiech na jego twarzy niedowierzający, radca dodał:

— Cóż? nie?

— Charakter istotnie godzien podziwu — energią wielką.... Co się tycze jej myśli, zamiarów i przy-

szłości.... za nicbym nie ręczył! Polećmy ją opiece bożej....

— E! za mąż nie pójdzie! rzekł radca — nie — ceni swą niepodległość. Nie może to być.... Spokojny jestem....

Kanonik się znowu uśmiechnął.

— Zresztą — zakończył opiekun, familia! familia spełniła swój obowiązek.... uczyniliśmy co mogli i byli powinni. Trudno.... Gwałtu jój zadać nie możemy. Co będzie, to będzie — a ja wierzę w nią i ufam, że niedorzeczności nie popełni.

— Co, daj Boże — Amen! westchnął kanonik....

— Proszę panów do stołu! odezwał się głos Ady.... do stołu! Gdzież panna Hortensya?...

— Zdaje mi się, że nie przyjdzie, bo się czuje niedobrze — rzekła panna Dyakowska wracająca od niej....

— Poszlemy jój obiad do pokoju — odparła Ada — ale, przecież doktora nie potrzebuje?

— O! nie — jest już lepiej.... Karusia siedzi przy niej.

Dwa więc miejsca zostały opróżnione.... Hrabówstwo, na których poczekać musiano, zjawili się wkrótce. Sama była milcząca bardzo. W czasie obiadu wpatrywała się w rodzinne portrety, i mało co jadła. W rozmowie od niechcenia napomknęła, że interesa męża zmuszają ich naza-

jutrz Ruszków opuścić, przeciw czemu opozycji nie było.... Ubolewała Ada, że bawili tak krótko — ale interesa są tyraniczne....

Szambelanowa, której ciężar spadł z bark, odzyskała apetyt przy obiedzie i wesołość. Mniej obojga miał radca, który czuł się zmęczony po niezmiernym wysiłku porannym.... I on także dawał do zrozumienia, że się obiecał wkrótce z powrotem na pewny zjazd obywatelski, dotyczący się dróg, które należało ulepszyć....

Wpadł na tę kwestyę komunikacyi, i mówił o niej rzeczy wielce zajmujące, których nikt nie słuchał.... Pułkownik niekiedy dawał mu potwierdzające znaki głową i po słówku dorzucał. Karol zajęty podróżowaniem po twarzach, szyderskim wyrazem ust niemych niepokoił.... Dzień to był dla niego wielkiej uciechy.... *Bona causa triumphat!* powtarzał.... i ręce zacierał. Każdy dobry figiel, nazywał się u niego *bona causa*. Pospuszczane na kwintę nosy familijne, kwaśne humory, które starano się połatać na pozór wesołemi fizyognomiami — choroba nawet panny Hortensyi, o której głośno mówił z wielką powagą, że się lęka, aby żółtaczką nie była — bawiły go i rozochocały tak, że i sam pił więcej niż zwykle, i radcę, i sąsiadów w imieniu gospodyni poił — za każdym razem pytał jęj o pozwolenie działania

w jęj imieniu i marszałkowania, na co mu nieograniczone dano pełnomocnictwo.

Pił zdrowie radcy, który bladł z gniewu, zdrowie gospodyni, zdrowie swoje, kanonika, i w miarę jak inni dąsali się coraz bardziej, on stawał się coraz więcej roztrzepany. Szambelanowa, choć głową kiwając, dawała mu znaki aby nie szalał—śmiała się z conceptów i nie gniewała za nie.

Ada utrzymała się w zwykłym swym tonie, ze swobodą umysłu, która się żadnego przejścia domyślać nawet nie dawała. Chciała okazać, że na niej to nie uczyniło najmniejszego wrażenia....

Poobiedni czas zszedł zwykłym trybem, gdyż goście mieli zawsze swobodę rozporządzania nim, jak się im podobało. Radca, rzuciwszy okiem gniewném na pana Karola, ale zaczepiać go nie śmiejąc zniknął, wynieśli się hrabiowstwo dla przygotowań do podróży, kanonik poszedł do siebie, a Karol babuni zaproponował wieszczka (aby czasu nie tracić), wciągnąwszy doń pułkownika i pannę Dyakowską, która mu się oprzeć nie umiała.... Ada przechadzała się, gospodarowała, zajmowała domem i gośćmi—będąc ciągle czynną.

Nie zaszło już tego dnia nic takiego, coby uwagi było godne. U panny Hortensyi tylko odegrywała się ostatnia scena tego małego dramatu....

prawie bez świadków.... Wróciwszy z salonu, zaczęła płakać, dostała serdecznego śmiechu, mdłości, musiano jęj rękę związywać, dawać krople uspakajające, rozebrano i położono do łóżka. Po krótkim spoczynku wstała, osłabiona, lecz z gniewem większym — może niż przed spazmami. Nie chciała sprawy tęg dać za przegraną.... W jęj przekonaniu kanonik, który od wszystkiego ręce umył, radca, nie mający ani energii, ani taktu, Hernaszowie milczący gdy wystąpić należało, szambelanowa bezsilna i dająca się powodować Karolowi, nakoniec zdrajca niecny — Karol, byli winni upokarzającej tęg przegranęj.... Ada tryumfowała.... Dla panny Hortensyi, której nienawiść ku niej tęg się więcej wzmacniała, że była bezsilną — zwycięztwo znienawidzonej największą stawało się klęską!! Nie mogła dozwolić.... zawsze z przywiązania wrzekomego — w interesie moralności, aby ten romans ciągnął się tak dalej bezkarnie i skończył u ołtarza....

Bądź co bądź — musiała coś przedsiębrać. Szukała tylko środka, którymby działać mogła...

Zwlokłszy się z łóżka, odprawiła służącą, sła-
dła w fotelu przy stoliczku, u którego pisywała
korrespondencye — i zadumana spędziła tak całe
poobiedzie, przemyślając coby mogła zrobić, aby
szyki pomieszać i rozerwać ten gorszący zwią-
zek... .

Mrok już padał — gdy nagle panna Hortensya, jakby uderzona szczęśliwym pomysłem, rzuciła się, uderzając w chude ręce.

Było to archimedesowe — *Eureka!* Twarz się jej wyjaśniła, palce zadrgały, fotel zwróciła ku stolikowi, chwyciła papier i pióro.... siadła pisać....

Nim jednak rozpoczęła.... poszła wprzódzy zaryglować drzwi, aby jej nie przeszkadzano.... Po gwałtownym paroksyzmie, zamknięte podwoje mogły znaczyć, że znużona potrzebowała spoczynku.... W téjże chwili siadła do roboty. Oczy jej znowu się zaiskrzyły, usta uśmiechnęły.... Wypracowanie dwa razy przepisywane, przekreślane, poprawiane, a po raz wtóry charakterem zmienionym skopiowane, tak aby ręki poznać nie było można — następującą było treść:

„Chodzą tu wieści u nas, że pewny młodzieniec z Grodzieńskiego, któremu imię Robert, mocno zabiega i stara się o pozyskanie rączki dojrzałej panny milionowej. Nie kosztuje go nic ani upodlenie, ani pochlebstwo, ani płaszczenie się, byle się udało fortunę zagarnąć. Pannę potrafił pono omamić na chwilę — lecz czy to potrwa aż do kobierca? wątpliwa rzecz. To pewna, że młodzieniec postępowaniem swém familii własnej zaszczytu nie robi. Nie chce mu się pracować na chleb

uczciwie, woli gotową chwycić własność cudzą, zapisując się w niewolę....

„Praktycznego tego rozumu syna, czujemy się w obowiązku ojcu powinszować!! Zawsze to piękna rzecz i dowodzi sprytu, przyjść tak do gotowego i przy spódniczce pokorne zajmąwszy miejsce.... wygodne sobie życie prowadzić. Choćby się nie udało.... popробować warto....

„Drudzy mówią: — srom i hańba — a ja chwałę młodzieńca — rozum ma.... wie co grósz wart.... Honor fraszka, fortuna to grunt.”

Może tam było i co więcej jeszcze — bo panna Hortensya raz zasiadłszy do pisania, nie łatwo rzucała pióro, i wstrzemięźliwości nie znała ani w gniewie, ani w korespondencji....

Gdy kartka ta była gotowa, spaliła starannie brulion u świecy, oryginał włożyła w kopertę, dobyła jakąś pieczętkę tajemniczą z szufladki, która już zapewne nieraz do podobnego użytku służyła.... Iak nawet dobrała dziwnego koloru niezwyčajny, i przygotowała list, położywszy adres na nim.... Oddawać go jednak wprost na pocztę było niebezpiecznie — ukryła więc pismo w drugiej kopercie, dodając do niej słów kilka, i do jakiegoś zaufanej osoby zaadresowała....

Wieczorny posłaniec mógł go już wziąć na pocztę, a nazajutrz miał biedz do miejsca swego przeznaczenia.

Dopełniwszy tego panna Hortensya odetchnęła, uspokoiła się, obejrzała weselęj po świecie, odryglowała drzwi.... Twarz jęj wróciła do tego powszedniego wyrazu z umiarkowaną złośliwością znośną, do której wszyscy byli przywykli....

Gdy później nieco weszła panna Karolina, aby się o jęj zdrowie dowiedzieć, znalazła ją, jak to się nerwowym osobom trafia — zupełnie ozdrowiałą.... prawie uśmiechniętą.

— Przepraszam was za kłopot, któryście miały ze mną, rzekła do Sensytywy, taką mam niegodziwą naturę, że mnie każda rzecz zbyt obchodzi. Biorę wszystko niepotrzebnie do serca.... Teraz to już przeszło — sen mnie orzeźwił....

Ale, moja Karusiu kochana! zapomniałam wiecznie listu do mojęj pocziwęj Rabskięj oddać na pocztę. Leży od rana.... Gdybyś też była łaskawa go teraz choć wysłać!

— Bardzo chętnie — proszę dać — biegnę.... odezwała się Karusia, rada że się wyrwie ze szpon kuzynki, która ją nieznośnie musztrowała....

Przez pannę Karolinę dowiedziano się w pałacu, iż panna Hortensya już zupełnie przyszła do siebie. Troskliwi o nią, chcieli ją odwiedzić, okazując współczucie, ale — obawiali się wymówek.... i pojedynczo nikt się nie odważył. Wzięto dla obrony szambelanową po skończeniu wischka.... i ceremonialnie odbyła się wizyta kondolencyjna,

przy której mowy o niczem nie było. Wszyscy się wynieśli prędko....

Nazajutrz rano, po bardzo chłodném pożegnaniu, hrabiowstwo wyruszyli w podróż. Radca miał się wybrać po śniadaniu. Szambelanowa chciała wypocząć jeszcze, a gospodyni mocno ją prosiła o to.... Dobry stół, wesołe towarzystwo, swoboda wiejska, uśmiechały się staruszce. Nie miała wprowadzić swych partnerów zwykłych do wista—ale grać zawsze było z kim, choć przy pomocy dziadka.... Karol nie nudził się także i przysiadł do Sensytywy, z którą, z tytułu kuzynowstwa, bardzo a nawet trochę nadto był poufały — a biedna istota z bojaźni i nieśmiałości, opierać się jego czułościom nie mogła.

W pół żartem, powiadał, że się kocha w panie Karolinie. Szambelanowa wierzyć nie chciała: — Gdzie tobie się kochać w tym fijołku — co trzech zliczyć nie umie! Bałamut jesteś jak zawsze — i po wszystkiém....

Zaraz po wyjeździe głównych filarów familii, przybył Robert, którego wezwano, aby się stawił. Ada przyjęła go jako dobrego sąsiada, poufale, serdecznie, ośmieliła, zbliżyła do szambelanowej, a tak ciągle okazywała umysł swobodny, że staruszka, jak nie wierzyła w miłość Karola dla Sensytywy — tak zwątpiła też o miłości Ady dla Roberta.

— Ładny chłopak, miły, rozsądny. Innaby się pewnie mogła takim mężem uszczęśliwić — ale dla Ady!! Ho! ho! téj potrzeba czego innego. Wyimaginowali sobie i po wszystkiém. Ona artystka, patrzy na niego jak na ładny obrazek — bo chłopiec co się zowie piękny, — ale żeby tam co więcej było! — dalipan, nie wierzę.

Mówiła to przed Dyakowską, powtarzała przed Karolem, który słuchał, uśmiechał się, nie przeczył....

W ciągu pobytu szambelanowej, który trwał jeszcze dni dziesiątek, Robert był bardzo częstym gościem w Ruszkowie. Ze śmiałością, na którą tylko kobiety się zdobyć umieją, Ada czasem przechodziła z nim do drugiego pokoju, aby móżdż mu kilku słowami poufałemi osłodzić oczekiwanie rozmowy sam na sam.... Stawała tylko z daleka i nie dopuściła więcej, aby się brat zapomniał, że był — tylko bratem.

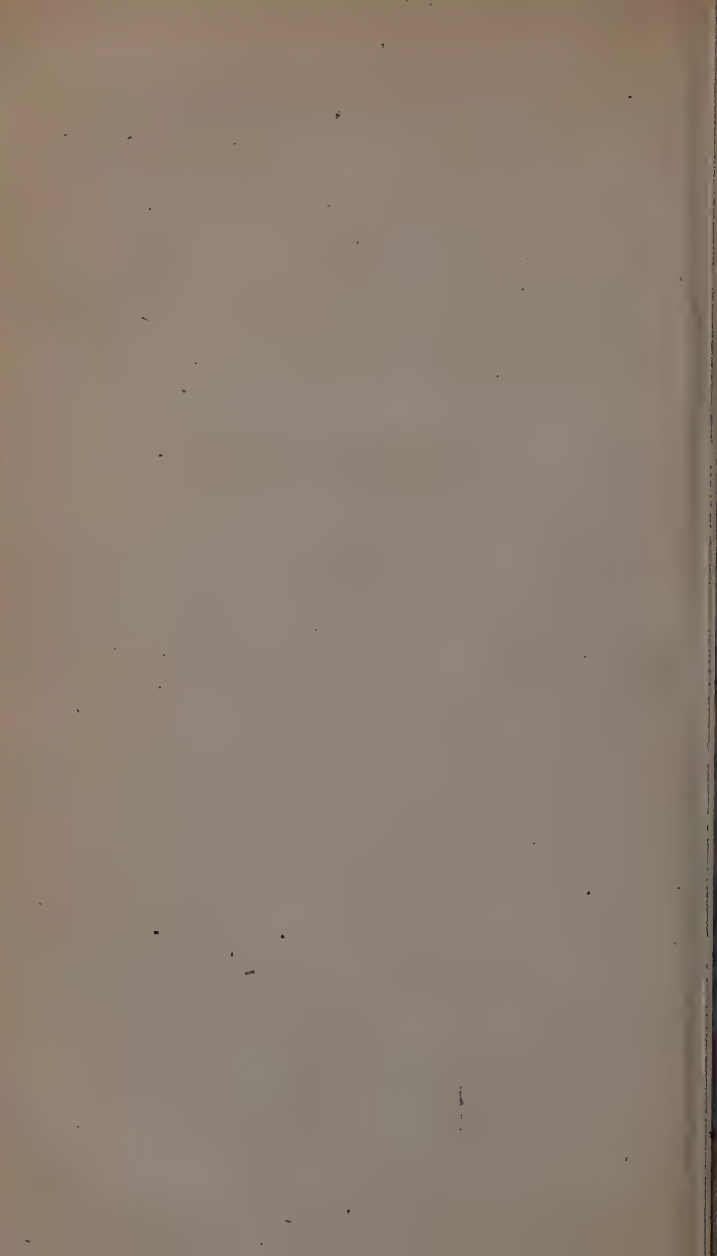
Ze staruszką przyjaźń się zawiązała równie dobra jak z panem Karolem. Gdy nadeszła chwila wyjazdu, Ada ją odprowadzała o dwie mile powozem, Robert konno.... A pięknie mu było tak, na dziarskim koniu, że szambelanowej przypominało to bardzo dawne czasy, pewnych ułanów.... jak on pięknych i młodych — i łyzy jój w oczach stawały. Robert dokazywał ze swym siwkim co chciał — sadił przez rowy, przeskakiwał płoty....

uganiał się po polach.... powracał.... Ada z dumą na niego patrzyła.... a szambelanowa żegnając go, zapomniała się i pocałowała w głowę....

Karol ściskając go po bratersku, tak szybko mu w ucho rzucił: — Proś mnie na wesele! — że Robert nie miał czasu odpowiedzieć.... Koczyk ruszył z miejsca, i tumany kurzu tylko widać było na gościńcu.

Koniec Tomu II-go.





NÓWSZE DZIEŁA

wydane Nakładem i Drukiem Księgarni pod firmą:

JÓZEFA ZAWADZKIEGO
w Wilnie.

**Zdanowicz Aleksander i Leonard So-
wiński**, RYS DZIEJÓW LITERATURY
POLSKIEJ: Tom I. 1874. Str. nieliczb. XI i
760; Tom II. 1875. Str. VIII i 501; Tom III.
1876. Str. IV i 791; Tom IV. 1877. Str. XI i
837; Tom V. 1878. Str. X i 322. W ogóle Str.
3,345 w wielkiej ósemce. Cena 5 Tomów rs. 12.
Z przesyłką rs. 13.

Baliński Michał, PAMIĘTNIKI O JANIE
ŚNIADECKIM jego życiu prywatnem i publi-
cznem i dziełach jego, (treść ich dotyczy głównie
Historyj b. Uniwersytetu Wileńskiego), ozdobione
1 litografią i 2ma drzeworytami. 2 Tomy in 8vo,
1420 str. ścisłego druku. 1864. Cena zniżona
z 6 rs. na rs. 3.

Chodźko Ignacy, DZIEŁA KOMPLETNE

11 Tomów in 12. Cena Katalogowa rs. 12 k. 50.

Osoby nabywające cały komplet otrzymują 11 Tomów za rs. 5.

**Gołuchowski Józef, DUMANIA NAD
NAJWYŻSZEMI ZAGADNIENIAMI CZŁO-**

WIEKA, poprzedzone historycznem rozwinięciem głównych systematów filozoficznych, od Kanta do najnowszych czasów. 2 Tomy. 8. T. I. Str. 643.

T. II. Str. 480. 1861. (Cn. dawna 5 rs.) Cn. zn.

na rs. 2 k. 50.

Kraszewski J. I., WILNO, od początków

jego do roku 1750. Historyja tego miasta, zawierająca szereg wypadków, jakich ten starożytny gród Litewski w ciągu kilku wieków doznał; kolei, przez jakie przeszedł; i wszystkich najdrobniejszych szczegółów pod jakimkolwiek względem go dotyczących.— Całe dzieło składa się z 4-ch tomów, in 8vo, około 110 ark. druku obejmujących, z dawnym herbem miasta, i portretami Królów polskich—Wielkich Książąt Litewskich, widokami Świątyń, bram miejskich, grobowców, krajobrazów, w liczbie 20, i 2ma planami, jeden z r. 1560, drugi w arkuszowym formacie zrobiony z roku 1840. Z rycinami litogr. i portretem Witolda na stali. 1840—42. (Cena dawna 8 rs.)

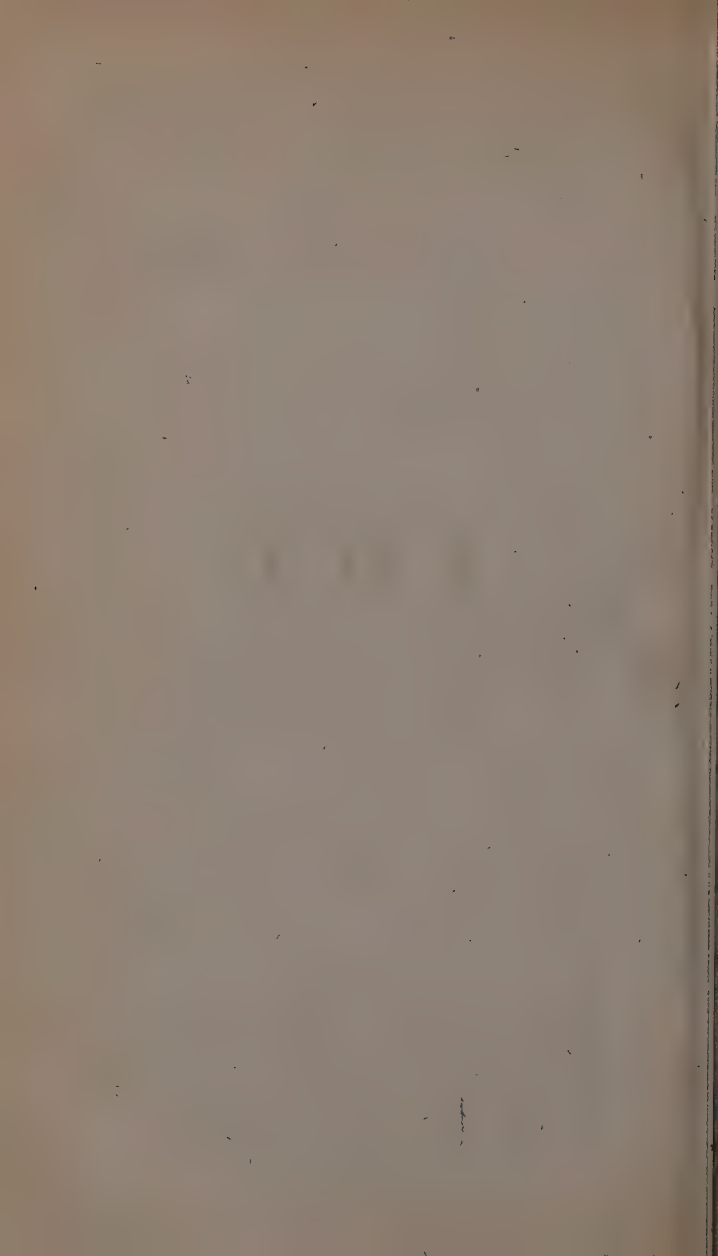
Cn. zn. na rs. 4.

— **PAMIĘTNIKI JANA DUKLANA OCHOCKIEGO**, z pozostałych po nim rękopismów przepisane i wydane. 4 tomy 12. 1857. (Cn d. 6 r.)

Cn. zn. na 4 r.



A D A.



A D A.

**SCENY I CHARAKTERY
Z ŻYCIA POWSZEDNIEGO.**

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Tom III.



WILNO.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

1878.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 11-го Января
1878 года.

ВИЛЬНА. Въ Типографіи п. ф. Осипа Завадзкаго.
* (Замковый переулочъ, N. 149).

Smutne się stały Żabliszki po odjeździe Roberta. Major powróciwszy do domu, siedział w sypialnym pokoju u kominka wygasłego po całych dniach z fajką, nakładał coraz nową, stękał, zapatrywał się w ściany i okna — stracił do życia i zajęcia wszelkiego ochotę.

Gdy Burakowski przyszedł po dyspozycję, słuchał go nie słysząc, odprawiał najczęściej z tém:— Rób tam sobie co chcesz....

Po kilku dniach takich rekolekcyj, jakoś zmęczony się major bezczynnością, wyszedł niby do gospodarstwa, naburczał, nagderał — siadł w ganuku tak samo jak wprzód siadał u komina, i fajkę palił zamyślony.

Książek próbował, ale ani ekonomia polityczna, ani historia.... w smak mu nie szły. Zdawało mu się, że pierwsza nauka niedojrzałą była, a

przejrzała druga.... Rzucił w ręce wzięte tomy i znowu tak dumiał smętnie — co domowników martwiło.

Burakowski raz bąknął nawet:

— Żeby się też pan przejechał, czy co?

— O! dajże ty mi pokój! Przejedź się sobie sam! ofuknął go major....

Przywiązany do starego pana jak do ojca, pan Ernest Burakowski, ciągle przemyślał czém przerwać te myśli smutne — ale trudno było. Raz w polu będąc spotkał kałamaszkę Erdziwiłła.

— A cóż tam wasz pan porabia? spytał sędzia.

Burakowski przyskoczył do niego z koniem, objeżdżał właśnie orkę....

— To dobrze, zawołał, żem ja sędziego spotkał! A na miłość Boga — pojedźcie do dworu, może się wam go uda rozerwać! Od wyjazdu syna — jak mruk chodzi.... Zmizerniał. Kucharz powiada, że nic nie je. Postawią przed nim i nietknięte odnoszą. Dawniej miał apetyt, czasem zaśpiewał starą piosnkę.... pan wie, tę, — a teraz.... tylko wzdycha i fajkę ćmi.... Jedź bo pan do niego....

— Cóż ty chcesz, żebym ja przed nim kozaka skakał, czy sztuki mu łamane pokazywał? rozśmiał się sędzia. Starego człowieka, gdy mu co na serce padnie, nie łatwo rozkomosić....

— A cóż mu na serce paść mogło? zawołał Burakowski. Dzięki miłosierdziu bożemu, nic złego

nie ma — a że panicz odjechał!! toż on go sam tam posadził — i dobrze mu się dzieje. A tęskni po nim, toby pojechał do niego — i kwita....

— Dobry ty jesteś, mój Burakowski — odparł Erdziwił. Kto to może wiedzieć co u człowieka w sercu? A no — pojedę — dodał trącając furmana. — Nawracaj do Żabliszek!

Przejechawszy, Erdziwił cały dom obszedł, nim majora znalazł gdzieś z fajką w kącie. Służba, której nie potrzebował, porozbiegała się, stary siedział sam i kwasiał się.

Erdziwił zawsze z sobą zapas dobrej myśli przywoził.

— Co ty tak się po kątach na jakieś medytacye zaszywasz! — rzekł witając się. To nic do rzeczy! Nam starszym wątroba się od tego psuje — trzeba — jak o to ja, nie przymierzając — choć bieda to hoc. — A u ciebie bo i biedy nie ma....

Major stał nic nie odpowiadając.

Włosy zwykłe na łysinie przylepione, poopadały mu na tył, co u niego najgorszym było znakiem.... Chustkę miał zawiązaną tak, że groziła opadnięciem także.... surdut zapięty krzywo.

— Nudzę się — rzekł po chwili.

— Bo siedzisz w domu jak zakuty — zawołał Erdziwił — przetrząść się trzeba....

— Nie mam ochoty — niedomagam z téj nudy.... W kościach łamie.... Wszak to jeszcze nie zima, pogoda ładna, a wszystkie rany stare bolą i swędzą, nawet te, o których pozapominałem....

Poskrobał się po nodze....

Erdziwiłł gdy wpadł na smutnego człowieka, podwajał dozę wesołości. Ujął go wpół śmiejąc się.

— Co pleciesz! gnuśnik z ciebie i po wszystkim. Z sedenteryi téj choroba. Mnie żebyś przykuł na powrozie, tobym się odgryzł; na łańcuchu, tobym się urwał — a w końcubym i zdechł..., gdybym musiał siedzieć w miejscu. Człowiek do tego nie stworzony.... Dalipan, bratku — to zabija....

Wyszli w ganek, bo trzeba było kogoś zawołać dla podwieczorku.

— Mnie nie to zabija — rzekł major — tęsknota do syna. Mam go i nie mam. Głupi byłem, żem rafinował jak będzie najlepiej dla niego, a zrobiłem najgorzej dla siebie, i dla niego niedobrze.

— Alboś to nie ojciec? To się popraw! Co masz jak baba stękać — rób....

— Cóż? co? he? począł major.... he! Pani stara.... to szyje, to rozpara.... Albo to tak można z dnia na dzień....

Dobrze tobie mówić.

— A tobie dobrze stękać! odparł Erdziwiłł — jeśli ci z tém dobrze.... co nam do tego!! My jednak co cię kochamy — ja.... mój majorze, aż mi się serce kraje.... Niebabym ci przychylił.

Uściskali się. Major siadł smutny....

— Powiadam ci — począł czując potrzebę wywnętrzenia się — od mojego pobytu u syna, pokoju nie mam.... Jakieś mnie fatalne przeczucia opanowały....

— Toś mi mówił — ale imaginacya! pluń na to — bratku! zawołał sędzia. Nie ma tam niebezpieczeństwa.

— Jak to nie ma? co mówisz? Robert chłopak jak malowany.... głowa otwarta — aż do zbytku.... ta stara panna gotowa mi się w nim zakochać; on też, bo to niedoświadczony, niewinny, a krew moja — gorąca.... i....

— No — i co? i co? przerwał sędzia.... Niech się sobie — z lichem, pokochają. Cóż znowu tak okropnego....

— Jakto? porwał się major — a to co może być najokropniejszego — ona go do ołtarza poprowadzi! A ja na takie małżeństwo — nie pozwolę! Nie! nigdy....

Wszystko w świecie coś warto, ale godność osobista.... honor, mosanie! wyżej stoi.... Chłopak na jednej wioszczynie, żeby się z taką mi-

lionową, niezbyt młodą panną żenił — powiedz mi — jakby to wyglądało? he?...

Dla pieniędzy! Jazyga, mój syn, dla marnego grosza się ma sprzedąć! On! Robert! I na fartuszkusiedzieć, albo pod pantoflem!....

Nigdy w świecie! nigdy!

Rozognił się major, rozsierdził, a Erdziwiłł nań patrząc minkę zrobił szyderską.

— Nie bój się! mówię ci — panna wysokiego rodu.... milionowa!.... ho! ho! pokochać nie może.... (chrząknął).... bywają różne wypadki — ale za niego nie pójdzie!

Dziwnym sposobem, major co się na samą myśl małżeństwa tego burzył, oburzył się znów na wyrażenie sędziego.

— Ho! a dla czegożby pójść nie miała? — szlachcica na zagrodzie....

— Ale — ale.... tak mówi przysłowie — począł Erdziwiłł — a no przysłowie, jak im się to często zdarza, *pia desideria* za fakt podaje. Nigdy to nie bywało.... Wojewoda nawet kropił w skórę szlachcica na zagrodzie. Dziś zaś wojewodów nie ma, szlachty co się zowie także niewiele.... a co «Mosiu le kąt» to nie szlagon...

— Szlagon? ofuknął major — he?

— A cóż? my w ich języku wszyseśmy szlagony.... ciągnął dalej Erdziwiłł. Nie bój się! Syn się trochę pobałamuci — a gdyby mu andaraczek

zasmakował? to po ludziach chodzi! poromansuje z atlasami — i — nie mu nie będzie.

Major fajkę zapalając, zadumał się i już jakby nie słuchał. Rad był nawet rozmowę odwrócić.

— Sam nie wiem co począć, tak mi tęskno i niepokój mam taki na duszy.... jakby mi co groziło.....

— Jedź do niego — rzekł Erdziwiłł....

— Nie mogę. Półkownik Brandys mieszka u tej panny i rządzi, musiałbym u niego bywać, a u niego będąc i u niej. Nie chcę.

— Syna sprowadź....

— Może to i zrobię — a tu, znowu....

Major potarł rozrzucone włosy.

— Chłopca mi żal.... no — i kaduk wie — ni wprzód, ni w zad.... Sam nie wiem co począć.

— Stary wojskowy, człowiek silnej woli, żeby sobie w palce stukał co ma poczynąć! Wstydz się — mówił Erdziwiłł — na twém miejscu, zrobiłbym jedno czy drugie, alebym się tak nie wędził.

— Chodźmy na kawę! — przerwał major siląc się na swobodniejszy umysł.

Poszli tedy. Erdziwiłł począł opowiadać swe dykteryjki, które każdy z sąsiadów umiał na pamięć, ale to mu, jak panu Jowiałskiemu, nie przeszkadzało powtarzać ich przy każdej, piérwszej lepszej, zręczności. Rad nie rad, ożywił się nieco Jazyga.

Przebałakali tak do późna. Sędzia na noc pozostał — i gdy nazajutrz odjeżdżał, miał tę pociechę, że majora rzucił w daleko lepszym usposobieniu.

Nie trwało to jednak, drugiego dnia siedział z fajką w kącie.

Robert zwykle co tydzień pisywał. Listy to były, w których niewiele mieścić się mogło. Donosił o swym zdrowiu, gospodarstwie, czasem dodał ukłon od Brandysa, lub jakąś wiadomość. O Ruszkowie i pannie Adzie nigdy tam ani słowa nie było — wiedział bowiem, że ojca by to mogło niepokoić.

Mimo, że pisma te nie zawierały nic ciekawego — ojciec na nie oczekiwał zawsze z niecierpliwością, a jeśli się który opóźnił — rady sobie dać nie mógł. Rzadko bardzo pisywał Brandys, po wyjeździe majora jednak parę razy mu się zebrało na korespondencję. Nie było też i w niej żadnych szczegółów — ale że pólkownik dodawał jako Roberta widział zdrowym.... że często z sobą bywali — już to majora niepokoiło.

— Włóczy się więc tam, nie wiedzieć po co! Ciągnie go ta królowa! ciągnie....

I stękał i wzdychał.

Czas tak upływał....

Jednego wieczoru zmierzchało już gdy posłany na pocztę fernal przybył z listami i gazetami.

Właśnie jakoś się trafiło, że i od Roberta i od półkownika były pisma, które poznał po kopertach.... Rozpieczętował synowskie — rzucił okiem.... Zbiory się kończą, kóp w polu tyle, w stodole tyle.... i t. p. Brandysa list był żartobliwy i pełen wspomnień żołnierskich.... Major go odłożył na swobodną chwilę. Zostawał jeszcze jeden list, nieznaną zaadresowany ręką. Co to mogło być? Major się ani domyślał.

Rozpieczętował — rzucił okiem na podpis — nie było podpisu....

Jak wszyscy uczciwi ludzie, major się brzydził anonimami — zawahał się czy w piec wrzucić, czy czytać.

Ciekawość przemogła....

Począł czytanie.... Była to okropna chwila, ręce mu się trząść zaczęły jak w febrze, twarz krwią nabiegła cała — oczy zaszły łzami od gniewu....

— Infamia! podłość! — zawołał ciskając papier na ziemię.

Wnet jednak podniósł go i zaczął czytać na nowo....

Stał zdrętwiały — czytał i odczytywał.... aż mu się zaćmił wzrok.... padł na ławę....

Była to owa śliczna kartka panny Hortensyi. Na majorze zrobiła piorunujące wrażenie. Ludzie więc wiedzieli, widzieli, szydzili, urągali się. Rzecz była jawna.... nieulegająca już wątpliwości. Robert był

pochwycony, a na odwrót obwiniano go o nikczemne ubieganie się za groszem!!

— Poczciwe imię moje w błocie! nieszczęśliwy Robert obryzgany potwarzą!!

Major zniósłby wszystkie losy pociski; tylko nie ten, który go ranił w serce samo—odbierał mu to co miał najdroższego, cześć i syna!

Z ganku wbiegł do dworku — powtarzając: Infamia! podłość!

Nie było już tu co myśleć długo.

Chciał Jazyga jechać sam natychmiast po syna—rozmyślił się — było to niepodobieństwem. Półkownik stał na zawadzie — przyszłoby do tłumaczeń, wymówek. Wszystko to było niepotrzebne.... Starczył jeden, stanowczy rozkaz rodzicielski:— Powracać!

Nie zwlekając major siadł do stolika.... rzucił ową kartkę do szuflady, bo chciał ją zachować — choć sam nie dobrze wiedział dla czego — i począł pisać do Roberta.

Pierwszy, list gorączkowo nakreślony podarł, drugi zmiażdżył i odrzucił. Nie chciał, aby się Robert domyślał rozdrażnienia przyczyny. Jednak w ostatnim nie uniknął tego, by się coś niezwykłego nie przebijało....

„Kochany Robercie! Proszę cię po odebraniu listu tego, jak możesz najprędzej, przyjeżdżaj do Żabli-szek. Jest tego wielka, największa potrzeba. Wy-

mówki żadnej nie przyjmuje. Nakazuje przyjechać *pod błogosławieństwem.*»

Ostatnie słowa dwa razy podkreślił stary.... W kwadrans potem fornał siadał na koń i pośpieszał na pocztę.

Major liczył dni — ile ich miało iść pismo, ile mogły zabrać przygotowania — jak długo podróż trwać mogła. Rad był Roberta widzieć już przy sobie. Każda chwila zwłoki wiekiem mu się stawała.... Trawiła go gorączka, pił wodę — chodził — jeść ani spać nie było sposobu.... Całą noc strawił w ogródku z fajką, chłodząc się na powietrzu wolnym, i nad ranem dopiero, usnął wsparty o drzewo.

Służba zaniepokojona, Burakowski, klucznica, kucharz, dowiedziawszy się, że pan w łóżku nie nocował, pobiegli go szukać przerażeni...

Major sfukał ich obudziwszy się, i poprzepędzał, łajając i krzycząc, że mu przecie wolno było spać gdzie się podoba.

Nigdy go jeszcze takim nie widzieli. W całym dworze panował niepokój największy.

Około południa major się opamiętał i złagodniał.— Miał najmocniejsze postanowienie Roberta już więcej nie puścić do Zahajów, osadzić tam Burakowskiego, i nie pozwolić synowi ani na jeden dzień tam powrócić. Rozmyślając jak się miał znaleźć, chciał się przemódz, aby Robertowi nie mówić

ani słowa, nie czynić wymówek żadnych — przyczyn nawet nie wyjaśniać — wprost powiedzieć, że po nim tęsknił — chce go mieć przy sobie — nic więcej.

Roberta mu żal było — wiedział, że odboleć musi, a powtarzał w duszy: — Niechaj boli jako chce....

Jemu samemu łyzy się w oczach kręciły, przypominał sobie co wycierpiał dla żony.... stawiał się w miejscu syna — lecz dla jego szczęścia — kończył zawsze tą zwrótką: — Niechaj boli jako chce — inaczej być nie może.

Już tego dnia poszedł sam dla syna przygotowywać mieszkanie. To, które dawniej zajmował, było za szczupłe na dłuższy pobyt. Major dla siebie przeznaczył jedną izdebkę, resztę pokoiów jakiego miał — dla Roberta. Najlepszy sprzęt kazał tam zanieść, pomyślał o wszelkich wygodach.... To go rozerwało.

Kilka razy jednak powracał do stolika i brał w rękę list ów nieszczęsny.... czytał, opatrywał — egzaminował. Znalazł kopertę, rozpatrzył się w pieczętce.... Chciał odgadnąć z kąd ta nikczemna, zabójcza pochodziła przestroga niby — w istocie sztylet i trucizna.... Zgadywał, że familia panny musiała wysłać tę kartkę — ale kto?

W tym stanie rozgorączkowania znalazł go nazajutrz przybywający sędzia, który miał sobie za

obowiązek go nie mijać, wiedząc, że zawsze go trochę rozrusza i ożywi.

Jedno spójrzenie na twarz dało mu poznać, że major musiał mieć jakiś nowy powód zmartwienia. Błady był, policzki mu nagle wpadły — oczy się powiększyły.... usta miał spalone. Jazydze zachować w sobie tajemnicę było niepodobieństwem, potrzebował się wylać, uskarżyć, podzielić z kimś tym bolem.

— Co ci jest? czyś chory? — spytał.

Nikogo nie było przy nich.

— Zabity jestem, nie chory — zawołał major — chodź....

Chwycił go za rękę i przestraszonego pociągnął do swojego pokoju; tu odemknął stolik, wyjął kartkę, i trzymając mu ją przed oczyma — krzyknął:

— Czytaj — czytaj tę infamię!...

Erdziwił niedowidzący nos prawie na kartce położywszy — począł syllabizować — lecz mniej okazał wzruszenia, niż się major spodziewał.

— Cóż ty na to? infamia!

— Infamię jest dla tego co to pisał.... rzekł sędzia — potwarz — zazdrość. Jakiś odpalony mści się pretendent....

— Myślisz że pretendent?

— A któżby?

— Familia!

— Nie — familiaby tych środków nie użyła, bo to jój srom czyni.... Nie — to pretendent. Śmiać się z tego!

— A! śmiać się! śmiać! zaryczał major. Śmiać gdy idzie o honor, o cześć — o pocziwe imię, o przyszłość Roberta! Ja szaleję!...

— Kiedyż to odebrałeś? dziś?

— Nie — już dzień trzeci....

— A jeszcze się nie wyburzył! człowiecze! co za natura żelazna! — rzekł Erdziwiłł. A wiesz ty, że gdybym jak trucizny téj podłości do trzeciego dnia nie.... zrzucił — tobym ja od niej umarł. Ty chodzisz z nią we wnętrznościach....

— I konam! dodał major....

Chwycił go za rękę Erdziwiłł....

— Człowiecze, upamiętaj się. Błaznom wszystko pisać wolno, ale uczciwym ludziom błazeństw do serca brać się nie godzi. Tfu! pluń na marę!

— Nie uspokoję się aż Robert tu będzie — rzekł major.

— Posłałeś po niego?

— Napisałem, aby wracał *pod błogostawieństwem*....

Smutnie głową pokręciwszy, Erdziwiłł siadł w krześle.

— Stary jesteś — a gorączka! odezwał się. Należało się rozmyślić. No — ale nie powiem już nic. Ojciec jesteś, masz prawo — rób co chcesz....

Chmurny, założywszy w tył ręce major chodził po izdebce — nogą strącając co mu stawało na drodze....

— Liczę dni i godziny.... Robert powinien wedle mojego rozkazu stawić się tu natychmiast.... bez zwłoki.... List doszedł go....

— Pozwól jedno powiedzieć — przerwał Erdziwiłł. W roku przeszłym pisał do mnie marszałek, wzywając do komissyi, było to w lutym...

W lipcu przybywam do miasta, i przychodzę do niego. Napada na mnie z góry. A czemuś to się nie stawił? czemuś ani słowa nie odpisał?...

Człowiecze, o niczem nie wiem! — Jak to nie wiesz? — Nic nie odebrałem....

Nie może być! — Poswarzyliśmy się. W październiku dochodzi mnie list marszałka, który chodził po wszystkich Radziwiłłach, i chudy pacholek, wszędzie odpychany, nakoniec się do mnie dostał. Więc — nim się zaczniesz na syna niecierpliwić i wymyślać, kalkuluj co z twém pismem się stać mogło. A nuż na: *yga* kończy się jaki znany magnat.... Poszłą mu twe pismo....

Major się zniecierpliwił.

— Zawsze cię się dykteryjki trzymają! Dajże pokój....

— Poczty chodzą różnie, a na pocztach siedzą ludzie. *Errare humanum est*. Bratku — cierpliwości.... mówił sędzia....

Nieproszony już Erdziwiłł pozostał na noc. Zdało mu się rzeczą sumienia nie opuszczać przyjaciela w takim stanie ducha. Major nie bardzo był rad gościowi i jego dykteryjkom — porzucał go nawet chwilami samego; nie to nie pomogło. Erdziwiłł się uparł siedzieć.

— Bratku — rzekł — rób ty sobie co chcesz, choćbyś mnie miotłą pędził, nie wyjadę teraz od ciebie — samego cię nie zostawię.

Milczał major.

— Przyznam ci się, że w tém rozdrażnieniu, nawet gdy syn przyjedzie, wolę być świadkiem...

Jazyga się rzucił.

— Za kogoż mnie masz! synowi nie powiem słowa! Postanowiłem najmocniej.... ale go na krok od siebie nie puszczę.

— A jeżeli zakochany w istocie? zapytał sędzia.

— Niech się przekocha—zawołał major, niech.... niech....

Nie mógł dokończyć i uciekł, aby skryć łzy, które mu się z oczu potoczyły.

— Oryginalny człek, tak mi Boże dopomóż! rzekł w duchu sędzia — drugiby rękami i nogami chwycił taką żonę dla syna — on — broni się jak od nieszczęścia!! Harda dusza w ubogiem ciele.... A co z tego wszystkiego jeszcze może być??

Nie wyjechał Erdziwiłł.... Unikał rozmowy o Robercie, major ją sam rozpoczynał.... Zaczynał

się już niecierpliwić, że syna nie było dotąd; sędzia mu ledwie obliczywszy dni, dowiedział, że niepodobieństwem było przybycie tak rychłe — choćby zaraz siadł na bryczkę, a dzień i noc jechał. Uspokoił się nieco Jazyga.... W miarę jednak jak czas upływał, znowu ta niecierpliwość się zwiększała i nabierała już podobieństwa do gniewu. Sędzia dosiadywał uparcie. Konie, ażeby nie objadały majora, cichaczem wyprawił do domu, kazawszy im przyjść po siebie za dwa dni — sam się nie ruszał. W istocie był tu potrzebny, bo jego przytomność nie dawała Jazydze zbyt się zagryzać myślami własnymi. Sędzia mu przeszkadzał gwałtem, gniewał go — ale — jak mówił — robił dywersję.

Następnego dnia rano wstawszy, gdy nigdzie majora nie znalazł, u ludzi dopytując o niego, musiał za nim gonić aż pod kościółek, na cmentarz, i tu zastał go u grobu żony z głową w dłoniach — zapłakanego.... Jazyga miał tu ławkę, na której często przesiadywał.... Sędzia umieścił się w drugim jój końcu, i czekał....

Gdy po długim za myśleniu Jazyga głowę podniósł i zobaczył siedzącego przyjaciela, wzruszyło go to — poszedł uściskać starego.

— Chodźmy do domu — lada chwila Robert przybyć powinien....

— Są rzeczy nieobrachowane — rzekł sędzia — kochany bratku — nie kwap się z nadzieją przybycia, abys się nie zawiódł. Bądź cierpliwy. Przybędzie, boś nakazał *pod błogostawieństwem*, ale — na Boga, nie miej mu za złe, że się choć pożegna.... Gdyby tego nie zrobił, miałbym go za cztery litery. W twoją rachubę nie wchodziło pożegnanie.... A — jeśli się istotnie kochają, majorze, bratku — ty wiesz co to takie pożegnanie!! Jazyga się wzdrygnął.

— Ani o kochaniu, ani o żegnaniu wiedzieć nie chcę. Kazałem mu się stawić, powinien być — natychmiast....

— Przyjedzie! bądź spokojny....

Cały dzień Jazyga się z ganku nie ruszył wyglądając. Nie było nikogo.

Po południu zwykle posyłano na pocztę.... fornal pojechał i wrócił wioząc list.... Rzucił się major poznając rękę syna.... płomienie oblały mu twarz.... List — nie on? gdym przykazałjechać? ja! ojciec!

Sędzia przytomny za rękę go pochwycił.

— Bratku — rozumu i cierpliwości.

Ten szarpał już kopertę, którą podarł w kawałki.... List był krótki.

„Kochany ojczel!... Wyjeżdżam natychmiast — śpieszyć będę dniem i nocą — muszę jednak zosta-

wieć kogoś na mojem miejscu.... co wyjazd trochę zwlecze.... Nie stracę napróżno ani chwili....”

— Cóż ty chcesz? począł przeczytawszy z ramienia ojca pismo.... On przecie wiedzieć nie może dla czegoś mu się kazał tak śpieszyć?

Napróżno jednak starał się ułagodzić majora, który pozostał gniewnym i niecierpliwym.... lecz ust nie otwierał i wstrzymał się od narzekania.

— Cierpliwym muszę być! bąknął po długim milczeniu — potem kolój na niego tak cierpieć jak ja!!

Po wyjeździe szambelanowej — wrócił Ruszków do dawnego swego jednostajnego życia, Ada do zatrudnień zwyczajnych. Kilka razy chciała coś pisać w swoim dzienniku, nie mogła.... To co czuła nazbyt się sprzeczało z tém co pisała niegdyś — znajdowała dziwném i niemal śmieszném to, co niegdyś kreśliła z najgłębszego przekonania.... Walka wewnętrzna zastępowała spowiedź dawną, która ją przygotowywała. Walka ta rozpoczęta wprzód daleko, teraz weszła w nowe stadyum.... Nie szło już o wyrzeczenie się wszelkiego uczucia i przywiązania, ale o położenie mu granic.... Chciała jeszcze być panią, choć się mu poddała — kochając pragnęła zakreślić linię, za którą przejść nie miała. Czyste przywiązanie bra-

terskie — miłość siostry.... coś idealnego, poetycznego, nie ziemskiego, anielskiego....

Nie tylko siebie należało powstrzymać w téj roli siostry, ale jego zmusić, by nie chciał być więcej niż bratem.

Wspomnienie tego ukradzionego jéj tak zuchwale pocałunku, okrywało ją rumieńcem, napełniało trwogą. Nie spodziewała się tego zuchwalstwa, po nim, co zawsze był tak pokornym i posłusznym — gniewała się — a jednak wspomnienie było jéj miłe. Oburzało ją to samą na siebie. Obawiała się okazać słabą — złamać dane sobie słowo....

Niepokój panował w jéj duszy, a zamiast ją dręczyć, stawał się niemal potrzebą. Pokój i cisza po tych wzruszeniach — śmierciaby były.

Ada jednak walczyła mężnie....

Wróciły dawne rozmowy, lecz w salonie i zawsze na oczach ludzi.... Robert nieznacznie napomknął o Kasi, o chatce leśnika — potrząsała głową.

— Czyż nie dosyć tu mamy swobody? czyż nie możemy wypowiedzieć sobie myśli, ręki ścisnąć? być z sobą jak siostrze i bratu przystało?

Robert też nie śmiał więcej pożądać; — starczyło mu to — byle go nie wygnano z raju.

Szły tak szczęśliwie dni jedne do drugich podobne, chociaż przyjaźń ta coraz się stawała ści-

ślejsza, poufalsza, i granica, której nie wolno było przestąpić — coraz bliższa.

W duchu zapytywała sama siebie Ada: czy taki związek dusz, żadnym ściślejszym, uprawnionym nie poparty, mógł trwać, czy w końcu nie zwracałby oczu, nie wywoływał podejrzeń, a wreszcie czy mógł mieć rękojmię trwałości? Przychodziło jej na myśl, że ojciec mógł zażądać ożenić Roberta, a ten oprzećby się nie umiał. Naówczas to, co się stało potrzebą jej duszy — musiałyby być poświęcone — zerwałyby się stosunki, wróciła owa czczość zabójcza.... i nudy śmiertelne??

Na to nie dawała sobie odpowiedzi, a bardziej odkładała pytania natrętne do jutra.

Tymczasem starała się podnosić Roberta ku sobie, zachęcając go do pracy, poddając mu myśli, wskazując cele; a nigdy staranie lepiej i prędziej szczęśliwym skutkiem uwieńczone nie było. Robert chwycił z jej ust wskazówki chciwie, a miłość pomagała mu do nauki. Był to najposłuszniejszy, najzdolniejszy uczeń, jakiego kiedykolwiek miała zakochana nauczycielka. Zmienił się też znacznie, wiele dawnych swych upodobań zbrzydził sobie, mniej go obchodziło polowanie, zaniebyszał nawet po trosze gospodarstwo.

Poezya, sztuka, marzenia zajmowały go coraz mocniej — tam to była kuchnia życia, to jego kwiat najświętniejszy....

Ale i on wśród tego szczęśliwego snu niekiedy trwożył się następstwami, obawiał przebudzenia. Ojciec, jak groźne widmo stał mu na oczach.... Był zależnym od niego, nie władał sobą.... jedno skinienie majora mogło ten gmach w gruzy obrócić....

Jak zwykle ludzie szczęśliwi, a szczęścia trwałości niepewni, odpychał te myśli i trwogi — mówiąc sobie:

— Po co napróżno kielich zatrzuwać?... Pijmy z niego póki można.

Po odjeździe gości, znajdowały się niemal codzień jakieś ważne przyczyny, dla których to na obiad, to na herbatę, to na wieczór Robert przybywać musiał do Ruszkowa. Ada, nie zważając na — *qu'en dira t'on*, przynaglała, przypominała, wymagała.... Wreszcie poczynano to być uderzającym nawet dla ludzi obojętnych, nie mówiąc już o Hortensyi, która często nie wychodziła gdy Robert przybywał, a gdy się jęj pytała Ada o przyczynę, mówiła z przekąsem po cichu:

— Po cóż mam tak miłe towarzystwo, moją smutną figurą zachmurzać. Nie jestem potrzebna.

Ada zwykle na to odpowiadać nie raczyła.

Pułkownik, który z razu w téj uprzejmości dla Roberta nie widział nic nadzwyczajnego, tylko potrzebę rozrywki — naostatek zamyslać się począł, widząc go codzień przybywającego i długie godzi-

ny spędzającego z dobrodziejką, prawie sam na sam. Nie chciało mu się uwierzyć, aby tam coś w tém być mogło. Ada mu się wydawała zbyt wysoko stojącym ideałem, a pocziwy Robert nazbyt pospolitą istotą. Zwał go — dobrém chłopczykiem. Gdy jednak to dobre chłopczyśko tak się wkradło w łaski pani. Brandys zamyślał się nie dowierzając, lękając.... trwożąc prawie.

— Ale to nie może być! powtarzał — to nie może być!

Coraz ciekawszém okiem mierzył Roberta.... coraz się zwiększały podejrzenia.... Parę razy zastał ich w drugim pokoju na rozmowie cichéj, odosobnionych, — i chodzenie jego po sali nie potrafiło oderwać od tego *tête à tête*. Czasem widział ich w parku, wprowadzie w szerokiéj ulicy na oczach, ale tak do siebie zbliżonych, iż można było przysiądz, że on ją trzymał pod rękę, a jéj głowa prawie na jego ramieniu spoczywała.

Było mu to rzeczą przykrą, niepokojącą, bo na myśl przychodził major, i lękał się go.

— Ba! ba! mówił sobie — dla chłopca byłoby to najwyższe szczęście, ale ten utrapiony pan Piotr ze swemi dzikimi wyobrażeniami! Dajże tu sobie z nim rady.... Tylko — to nie może być!

Kończył zawsze tém samém: Nie może być, — a codzien niemożność ta wydawała się mniejszą,

możność prawdopodobniejszą.... Zamyślał się Brandys....

Oprócz niego, paplali już słudzy, skorzy zawsze do wyciągania ostatecznych wniosków. Oblęcki nie mówił nic — ale domyślał się wiele. Reszta dworu była pewna, że panna za męża wychodzi. Niektórzy oficjaliści, skarbiąc sobie łaski i względy przyszłego pana, już teraz mu nadskakiwać zaczęli — co Roberta nieco oburzało i gniewało....

Ada nie czyniła nic ze swój strony, coby mogło zapobiedz tym domysłom, owszem zdawała się sama naprowadzać na nie. Przypominała ciągle co chciała, aby dla pana Jazygi było przygotowane, schowane lub zrobione....

Od sług wieść się rozeszła z wolna po sąsiedztwie, jako rzecz pewna, niezawodna, najmniej już kwestyi nieulegająca. Wiedziano, że cała rodzina zjechała się do Ruszkowa, iż klękano i padano przed Adą, błagając jęj, aby się wyrzekła tego związku, że ze stałością niepokonaną obstala przy swoim.... i miała bardzo wkrótce wyjść za męża.

Uwierzono w to tak święcie, iż Zarznicki z rubaszością sobie właściwą przybył Robertowi winszować. Jazyga porwał się jak oparzony, zaprzysięgając, że to nie jest prawdą, że ktoś zmyślił bajkę wierutną, prosząc sąsiada, ażeby się starał

zbić te plotki nedorzeczne.... Zarznicki począł się śmiać.

— Dobrze — dobrze! odparł — niech i tak będzie! Ale po co te tajemnice, kiedy już cały świat wie o tém! a nadewszystko dla czego przed dobrym przyjacielem robicie z tego sekreta?

Robert się przysięgał, gniewał, prosił, nic nie mogło Zarznickiego przekonać.... Śmiał się.

Panna Hortensya wybierała się ciągle w podróż — pakowała powoli — w istocie czekała, ażeby ta bomba, którą rzuciła po cichu, pękła i — sprowadziła spodziewaną przez nią katastrofę.

Rachowała na nią wiele — i nie napróżno — tym razem rachuba nie miała jój omylić.

Wśród różowych marzeń o przyszłości, jednego ranka, Robert odebrał list od ojca.... Było to owo pismo, które mu natychmiast nakazywało, *pod błogosławieństwem*, przyjeżdżać do Żabliszek. Różniło się ono tak bardzo stylem i treścią, zwiększonością swą od zwykłych listów majora rozwlekłych a serdecznych, że choć nic nie zawierało w sobie groźnego, oprócz wyrażenia: *pod błogosławieństwem*, — Robert się przestraszył....

Widocznie coś zająść musiało — jakaś denuncyacya.... podszept.... Major musiał wiedzieć o częstych odwiedzinach w Ruszkowie. Zadrżał biedny Robert....

Nawykły do posłuszeństwa ojcu, musiał się niezwłocznie w podróż wybierać, to nie ulegało wątpliwości — ale mógłże wyjechać bez zawiadomienia, bez pożegnania, bez umówienia się z siostrą?... Lękał się, aby ojciec go nie zatrzymał zbyt długo.... by.... Różne a różne myśli straszne przychodziły mu do głowy, energia, jaką miał, złamana została tym despotycznym rozkazem, któremu oprzeć się nie było podobna....

List położywszy na stole — siedział tak przybity, gdy dziwnym wypadkiem, pułkownik przejeżdżający pod wrotami dworu, zapytawszy czy pan w domu? i odebrawszy odpowiedź potwierdzającą, przybył go odwiedzić.

Robert tak był pogrążony w myślach, że nic nie słyszał, i nie wiedział o przybyciu Brandysa, aż się ten ukazał na progu.

Wstał zmieszany, i pułkownik poznał natychmiast po twarzy jego, że w jakąś złą trafił chwilę. Rzuciwszy okiem na stół, dostrzegł list; zobaczył znane pismo majora — domyślił się po części.... co zająć mogło. Ścisnęli sobie ręce, Jazyga stał długo, słowa nie mogąc wymówić.

— Jesteś czegoś skłopotany? spytał Brandys.

— W istocie, kochany pułkowniku — ja dla ciebie nie mogę mieć tajemnic. Patrz — jaki list odebrałem od ojca!... Nie mogę pojąć co się stało. Jestem w rozpacz!

Brandys siadł czytać i głową potrząsł.

— W liście nie ma nic tak strasznego, rzekł — tylko po cóż ta groźba, *pod błogosławieństwem*, jakby wątpił, że go posłuchasz?

Spojrzał na zarumienionego Roberta, który ruszył ramionami.

— Wiecie, kochany pułkowniku, rzekł Jazyga, jak ja kocham ojca, jak go szanuję. Każe, jadę natychmiast — ale.... ale mi to serce rozdziera. Nawykłem do.... was, do tego życia, towarzystwa. Stało mi się ono potrzebą....

Brandys patrzył nań ze współczuciem, jaśniej coraz widział co się święciło.

— To jakaś fantazyja starego pana Piotra — rzekł — pojedziecie, powrócicie.... No — i my do was zatęsknimy. W Ruszkowie po was pustki zostaną. Moja dobrodziejka lubi wasze towarzystwo.

— A ja bez jój towarzystwa — zawołał Robert żywo — ja nie wiem — czy wyżyć potrafię....

Brandys brwi podniósł do góry i usta wydał — nie rzekł nic....

Robert przeszedł się parę razy po pokoju, mając na ustach jakieś wyznanie, i nie śmiejąc go uczynić.

— Coś tedy jest! mówił w duchu pułkownik — coś jest....

— Według ojcowskiego przykazania muszę wyjeżdżać — natychmiast, odezwał się Robert wzruszo-

ny. Wy znacie ojcia, nie cierpi on, aby nie usłuchano komendy. Powinienbym téjże godziny kazać zaprzęgać, ale to nad moje siły.... Nie mogę wyjechać nie pożegnawszy *jéj*.

To na prędce wyrzeczone „*jéj*,“ pułkownik zanotował sobie i w duchu powtórzył:

— O! coś jest!

— Gdybyś mnie pułkownik zabrał na bryczkę, jeżeli jedziesz do Ruskowa? dodał Jazyga.

Brandys wstał zaraz.

— A z największą chęcią — zawołał — siadajmy i jedźmy.

Robert pochwycił kapelusz tylko — i oba siedzieli na bryczce. Podróż upłynęła w milczeniu, bo Jazyga był zamyślony, a Brandys oczy miał w niego wlepione — i mocno też zmieszanym się czuł całym téj sprawy obrotem.

— Kaszy się nawarzyło.... mruczał sam do siebie — major pocziwy — ale uparty jak.... Chłopca mi żal....

Nie spodziewano się w Ruskowie pana Roberta, a choć go zawsze serdecznie witała Ada, gdy przez okno zobaczyła prawie biegnącego, bladego i widocznie pomieszanego, a na ukłon *jéj* od ust odpowiadającego smutném głowy skinieniem — wybiegła zaniepokojona. Spotkali się w salce.... Nie było tu nikogo. Robert chwycił *jéj* rękę....

— Ado kochana — nieszczęście mnie spotkało. Ojciec mi, *pod błogostawieństwem*, natychmiast wracać każe.... Jest w tém coś groźnego.... dla mnie — dla nas.... Patrz, czytaj, oto list jego.

Ada, która pobladła i zachwiała się niemal z jakiegoś niewytlómaczonego przestachu list chwyciła żywo, przeczytała go, stała czas jakiś zadumana, i wzięwszy go za rękę, poprowadziła za sobą, nie do przyległego pokoju — ale — po raz pierwszy — do tego swojego przybytku — do tajemniczych kryjówki, w której panowała Luiniego Madona i wizerunek jój matki.

Nie pomyślała nawet, jak w oczach ludzi to przypuszczenie Roberta do niedostępnego mieszkania jój dziewiczego, mogło mieć wielkie znaczenie. Ogarniała ją trwoga, nie zważałaby była na nic. Stracić go! nie widzieć się — rozstać — być zagrożoną, znowu serdeczném osamotnieniem — równało się śmierci....

Ada upadła na kanapę, wskazując Robertowi krzesło przy sobie....

— Co to jest? co to może być? zawołała — domyślasz się?

— Nic nie wiem — ale wszystkiego się boję — westchnął Robert....

— Musisz jechać? nie możesz się wymówić?

List leżał otwarty na stoliku. Robert wskazał

na nim podkreślone wyrazy — *pod błogosławieństwem.*

— A! tak! przerwała Ada — błogosławieństwo ojca, matki — ma siłę potężną.... musisz być posłusznym.... Musisz jechać.... ale powrócić musisz.

— O! jakżebym wyżył bez téj myśli, bez téj pewności! począł Robert chwytając ręce, których mu nie wrywała, i okrywając je pocałunkami gorącemi.

Nie mówiła nic, lecz spojrzawszy na nią, ujrzał dwa ciche strumienie łez, które po jéj twarzy spływały....

— A! tak! powrócić musisz — do mnie — do siostry....

— Powrócę lub — umrę....

— Nie umieraj — powracaj! zawołała Ada — ty musisz żyć dla mnie, ja na całym świecie mam tylko jednego ciebie. Rodzina! któż mnie z nich kocha, kto mnie zrozumie, przed kim ja mogę tak się odkryć z całą duszą jak przed tobą?... Ty mój dobry, kochany.... bracie....

Ada zapominała się mówiąc; uczucie, któremu do siebie broniła przystępu, ogarniało ją, opanowywało.... Robert przyklęknął przed nią.... i wburzony szalał, nie mogąc przemówić słowa.

— A! wróć — choćbym się był zmuszonym urwać z łańcucha! wołał.... Choćbym ojcu miał

być nieposłusznym.... Sama myśl rozstania mnie zabija....

— Ten list — nagle podchwyciła Ada, biorąc go do rąk — ten list ma w sobie jakąś groźbę okropną.... Czujesz ty to.... Tam cię coś czeka....

— Ja wiem — ja przeczuwam — ja widzę, wołała Ada — tam doniesiono nas, oskarżono.... on cię gwałtem tam ożeni, a naówczas tyś dla mnie stracony na zawsze....

Jestem siostrą tylko — ale jak kochanka zazdrosną.... Nie mogę cię oddać nikomu....

— A sama nie możesz być moją! szepnął tęskno Robert.

Ada wyrwała się z za stolika i głowę a twarz zakrywszy rękami, biegła po pokoju, jakby sama uciec chciała od siebie. Walczyła....

— Co począć? — zawołała stanawszy przed nim.... Powiedz mi Robercie.... mów....

Jazyga zbliżył się do niej nieśmiało.

— Ty wyrokuj, rzekł — gdybym ja mógł powiedzieć czego pragnę, gniewałabyś się na mnie. Ja cię kocham nie jak brat.... a! nie — jak szaleniec, co pragnie mieć cię całą, swoją — kochanką i żoną.... Naówczas nie na świecie rozdzielić nas nie potrafi. Moją bądź....

Ada spuściła oczy — odwaga ją opuściła, czuła się zwyciężoną — wyciągnęła ręce....

— Będę twoją... rzekła słabym głosem. Muszę...

Głowa jej opadła na jego piersi — ale wnet podniosła się mężnie. Zdjęła z ręki pierścionek.... Robert miał prostą obrączkę jakąś na palcu, machinalnie nie mówiąc nic — ściągnął ją i włożył Adzie na rękę, przyjmując pierścień, który mu dała.

— W obliczu Boga — odezwała się Ada — przysięgnijmy sobie — połączeni jesteśmy na wieki. Błogosławieństwo kapłana przyjdzie gdy będziemy je mogli pozyskać.... ale od dziś — tyś mój — jam twoja....

I stali tak chwilę, jakby przerażeni uroczystością téj godziny życia stanowczej — wzywając z Niebios błogosławieństwa. Pierwsza Ada uśmiechnęła mu się z za łez....

— Chodź, rzekła, siadaj — mówmy co nas czeka.... Bądź otwartym — ojciec twój będzie przeciwny?

— Sądzę.... odparł cicho Robert....

— Czy będziesz miał odwagę wyznać mu co się stało?

— Nie w pierwszej chwili — rzekł Robert — ale będę miał mężtwo wytrwać, oprzeć się i pozostać ci wiernym. Ojciec mi zapowiedział, że na małżeństwo z kim innym niż z ubogą szlachcianką nie pozwoli.

— Miał już wówczas mnie na myśli? zapytała Ada.

— Być bardzo może. Ja stałem mu się nieposłusznym.... inaczéj być nie mogło.... Będziemy przecierpieć musieli... Ado — miej wiarę we mnie.

Przysięgłeś mi ją dobrowolnie — nic nas rozewrać nie może! zawołała Ada. Wierzę ci. Ojciec ma prawa.... Uczynisz tak jak jesteś obowiązany.... Będę cierpiała i pozostanę ci wierna. Potrzeba mężstwa, mieć będę mężtwo — a o twojem nie wątpię....

Ty zdradziłeś ojca dla mnie, ja (wskazała na portret matki) cieniem méj drogiéj rodzicielki stałam się niewierna.... Wiarołomni oboje.... sobie pozostaniemy wierni! Drogośmy to okupili!

Ada oczy sobie zakryła i płakała.

— A! w co się obróciły wszystkie postanowienia moje, walka tak długa!... mówiła cicho — serce zwyciężyło....

— Niewymawiaj mi tego — odezwał się Robert....

Wśród téj rozmowy czas uchodził tak niepostrzeżony, że godzina obiadu zwykła zbliżyła się. W pałacu wiedziano, że Robert przyjechał. Pułkownik chodził po salce blady, i domyśliwszy się, że Ada wprowadziła Jazygę do siebie — zbity z tropu, pomieszany.... nie wiedział co począć, aby.... zapobiedz kompromitacyi.

Dwór cały oczekiwał w sali jadalnéj, szeptano dziwiąc się opóźnieniu, Brandys nareszcie odważył się podejść do drzwi i odkaszlnąć.

Ada go po głosie poznała, spojrzała na zegar i trochę się zmieszała.

— Idź — rzekła do Roberta — wyprzedź mnie.... ja nie mogę się jeszcze pokazać. Mam zapłakane oczy, włosy stargane.... Przyjdę za chwilę....

Robert wysunął się cicho, obawiając się być spostrzeżonym, lecz pułkownik już był powrócił do salki, a gdy Jazyga wszedł, udał, że nie widział z kąd wraca i nie spytał go o to.... Rzekł tylko zimno:

— Obiad się dziś przypóźni....

Zaczęli potem mówić o pogodzie. Pułkownik niechcący spojrzał na rękę Roberta i poznał pierścio- nek, który widział na palcu swój dobrodziejki.... Przerażony tém odkryciem, wpół rozpoczętego fra- zesu dokończyć nie umiał. Zakaszał się....

W kilka minut wyszła Ada ze swojego pokoju.... Stał się cud, który ona tylko na sobie dokonać mogła.

Ta kobieta, przed chwilą nieprzytomna, złamana, płacząca — wracała z czołem jasnym, spokojna, we- soła, zimna na pozór, pani siebie, tak, że nikt nie wtajemniczony poznaćby po niej nie mógł, że nie- dawno z oczu tych łzy płynęły, ręce te drżały — i los się jój rozstrzygnął. Nawykła długie lata pa- nować nad sobą, miała jeszcze tę władzę, że po wybuchu, który ją zwyciężył — odzyskiwała siły i

nakazywała sobie ten uroczysty spokój, który był zwykłym wyrazem jój twarzy....

Półkownik uląkł się zobaczywszy ją, Robert był zdziwiony i oniemiały. Na nim scena ta zostawiła ślady, poznać było łatwo, że cierpiał i był szczęśliwy, że gorączka nim owładała. Ada starała się mu dodać swojej zimnej odwagi.

— Wiesz, kochany półkowniku? poczęła niby obojętnie — słyszałeś? Tracimy na jakiś czas pana Roberta.... Major się do niego zatęsknił i powracać mu każe....

Brandys smutną twarz przybrał.

— A i mnie to bardzo przykro było posłyszeć — rzekł, — pocziwy major, ma także swoje kaprysy czasem....

— Byleby nam nie trzymał kochanego naszego sąsiada — ciągnęła dalej gospodyni, prowadząc ich do stołu — będzie nam po nim tęskno i pusto — nie prawdaż?

— Jeśli komu to mnie! — rzekł Brandys — bom się ja do niego, mogę powiedzieć śmiało, przywiązał jak do syna....

U stołu nie było szczęściem tego dnia kanonika, którego przytomność zawsze chłodem wiała na wszystkich — ale przyszła, może umyślnie, panna Hortensya. Służąca jój, starająca się plotkami przypodobać pani, doniosła jój, że Brandys przywiózł pana Roberta, który bardzo śpiesznie wbiegł blady

i pomieszany, i pani się z nim w swoim pokoju od godziny zamknęła.

— W swoim pokoju? — zapytała stara panna — to nie może być!

— Słowo pani daję — wszyscy widzieli. Przeszło godzinę tam siedzą.

— A! no — tego tylko brakło! uśmiechnęła się szydersko panna. Mówisz — że pomieszany przy-leciał?

— Jagusia go widziała gdy biegł do pałacu, jak śmiec blady.... Pani go z okna zobaczyła, zaraz wyszła naprzeciw niemu, i jak się zamknęli, tak do téj pory....

Hortensya domyśliła się skutku swojego listu.... Zaledwie usiedli do stołu, zmierzyła oczyma złośliwemi Adę spokojną i Roberta, który był pomieszany i roztargniony.... uchem pochwyciła coś o wyjeździe — i spytała:

— Cóż to pan ucieka od nas?

— Jadę do ojca! — wybąknął Robert....

— Na długo? badała Hortensya.... ciągle mu w oczy patrząc.

— Nie wiem jeszcze....

Ada przerwała:

— Nic dziwnego, że stary ojciec zażądał bytności syna....

Hortensya dwuznacznie wahała głową. Nie mogła się wstrzymać od tego, by jój tłumiona radość

nie wytrysnęła na żółtą twarz. Usta się krzywiły do przykrego śmiechu.

— Prawda — odezwała się Ada, umyślnie zwracając do Hortensyi — szkoda nam będzie miłego sąsiada?....

— A, bardzo — bardzo — szepnęła panna: tém więcej, że gdy go ojciec pochwyci, pewnie nam go nie rychło powróci. Któż wie? może mu tam przygotował niespodziankę w postaci ładnej panienki... i kawaler powróci nam żonatym.... A! toby było zabawne....

Mówiąc spójrzała Adzie w oczy, a ta wytrzymała wzrok, odpowiedziała nań nawet pół uśmiechem, i zwracając się do Roberta, powtórzyła....

— Prawda! toby było bardzo zabawne?

— Zdaje mi się, że téj zabawy pozbawiona będzie panna Hortensya i pani — rzekł Robert — nie myślę się z tém śpieszyć....

— Jak to? nawet gdybyś pan znalazł drogą sercu bohdankę? — spytała Ada.

— A! pani, bohdankę! — zawołał Robert — bohdankę.... taką coby była w istocie od Boga zesłaną.... to wcale co innego! Aleśmy takiéj łaski Bożéj nie warci!

— Któż wie? — złośliwie dorzuciła Hortensya.... Bóg czasem daje nad zasługi....

Hortensya rada się była dowiedzieć coś więcej od Roberta, mieć jakąś wskazówkę. Spytała więc zaraz:

— Prędko pan wyjeżdża?

— Zapewne jutro.... rzekł Robert.

— Mówiłeś mi pan, że *po jutrze*?—odezwiała się znaczące zwracając nań spójrzenie Ada.... Tak? nie prawdaż — po jutrze?

— Zapewne, bo jutroby mi się wybrać było trudno — odparł Robert, nie wiedząc co znaczyło pytanie, ale chcąc być posłusznym.

— Śliczną będziesz miał pan podróż, dołożyła Hortensya — a nasze życzenia najlepsze towarzyszyć mu w niej będą.

— Pani — nie mogąc się wstrzymać już, żywo odpowiedział Jazyga — że na podróż mieć będę życzenia pani — o tém — nie wątpię!!

Skłonił się — Hortensya się zarumieniła nieco.

— Czy to złośliwie, czy naiwnie pan powiedziałeś? — nie mogę rozpoznać, odstrzeliła — pan bywasz tak naiwnym!

— Ja w zrozumieniu znaczenia słów pani nie mylę się nigdy. — rzekł Robert trochę rozdrażniony — ale też pani naiwną nie bywasz nigdy.

— Pan czasem bywasz i — niegrzeczny — zakończyła urażona. Wsparła się o poręcz krzesła, założyła ręce na piersiach i w sufit się zapatrzyła.

Epizod się na tém zakończył. Po ustach Ady uśmiech przelatywał.

— Najłagodniejszych istot, rzekła schylając się do kuzynki — nigdy drażnić nie potrzeba.

Hortensya poruszyła ramionami. Obiad skończył się wreszcie, a panna natychmiast odeszła do swego pokoju. Robert chciał też odjeżdżać, dano mu znak, aby pozostał chwilę....

Ada wywiodła go z sobą do drugiego pokoju.

— Nie — dziś — ja się tak pożegnać z tobą nie mogę. Daruj mi dzień jutrzejszy — napisz do ojca, że przybywasz.... Po południu będę u Kasi.... Znajdziesz się tam przypadkiem.... Choćby mnie szpiegowano! cóż mi tam!... Jestem od dziś dnia twoją żoną. ..

Nie miał czasu odpowiedzieć Jazyga, bo Ada powróciła do sali — gdzie półkownik pił kawę, przypatrując się obrazom.... od zobaczenia tego pierścionka był jak osłupiały....

Myślał i przemyślał o majorze, czasem mu do głowy przychodziło samemu jechać z Robertem — lecz musiał ignorować to, z czém się mu nie zwierzano. Mógłby był wprowadzić jedném słowem powiedzianém o pierścionku, który widział na palcu u Jazygi, zmusić go niejako do wyświadczenia się — lecz środka takiego użyć mu się nie godziło....

— Czy sobie chłopak da radę z ojcem? mówił w duchu — Jaby'm przecie mógł mu być pomocą — ale mnie się nie zwierzą.

Trwała jeszcze jakiś czas rozmowa obojętna, i Robert pożegnał gospodynię. Półkownik mu towarzyszył przez park do swojego dworku, gdzie nań konie czekały. Nie mógł się wstrzymać, aby choć słówkiem nie przyszedł w pomoc Jazydze....

— Jedziesz do ojca — rzekł — może się tam na ciebie za co dąsa? Stary ma fonfry czasem — ja go dobrze znam. Znam go dawniej i z innéj niż ty strony — posłuchaj rady mojej. Z nim nigdy na ostro walczyć i ucierać się o nic nie można. Bie-rze na kiel. Powoli i łagodnie — to zmięknie.... Powiadam ci, że go znam....

— Dziękuję kochanemu półkownikowi, odparł Robert rumieniąc się, że jego położenie odgadnięto — ja też kochanego ojca znam dobrze — a nie sądzę, żebyśmy z nim przejście jakie mieć mogli. Nie ma do tego powodu.

— Nie ma powodu? a — to chwała Bogu! odparł ściskając go pułkownik — i daj Boże, aby go nie było....

Robert siedział już na bryczce....

Brandys się pochylił mu do ucha....

— Nieostrożny jesteś — szepnął: pierścionka na palcu nie noś — włóż go na sznurku na szyję....

To mówiąc, zawołał na furmana:

— Ruszaj!

I konie od ganku pokłusowały, a pułkownik mu się jeszcze śmiejąc uklonił: — Do zobaczenia....

Radzie téj był posłuszny Robert, bo zaledwie dojechawszy do domu, zawiesił Ady pierścioneł razem z medalikiem, który miał po matce, a który go nigdy nie opuszczał.... Powrot do domu — uspokoił go nieco. Czuł się mężnym, zbrojnym przeciwko wszystkiemu co go mogło czekać — był szczęśliwszy nad wyraz wszelki — dopiął tego o czém nawet wczoraj jeszcze nie śmiał marzyć....

Stało się to niespodzianie dlań — bo i w siebie nie wierzył, i ludzkiego nie znał serca.... Słowo Ady było dlań prawem — chciała być siostrą, miał pozostać bratem.... Ona sama skruszyła tę zaporę....

Nie tał przed sobą — iż z ojcem walka będzie straszliwa.... Nie wiedział nawet jak ją rozpocząć i prowadzić, lecz postanowiwszy wytrwać, lekce sobie ważył co cierpieć będzie musiał. Miłość ojca dla niego, wlewała otuchę.

— Zlituje się nademną! mówił w duchu....

W czasie rozmowy z Adą nie miał zręczności Robert umówić się z nią o listy. Teraz dopiero przyszło mu na myśl, iż bez nich wytrwałoby im obojgu było trudniej. Lecz ojciec mógł pilnować

korrespondencyi, przed czasem wydałaby się tajemnica.

Ernest Burakowski, towarzysz jego szkolny, przyjaciel od serca, zdał mu się najwłaściwszym pośrednikiem. Nie wiedział, że było postanowieniem majora wysłać go z Żabliszek do Zahajów i tam osadzić. Rachował więc, że przez niego listy od Ady będzie mógł odbierać....

Nazajutrz trudno mu było naznaczonej doczekać godziny, siadł na konia wcześniej i pojechał do Rybackich, aby tam czekać na Adę.

Pozorem podróży téj była prośba, aby mąż Kasi, w czasie jego niebytności, na las i gospodarstwo w Zahajach naglądał.... Trafiło się, że pana Stanisława znalazł w domu. Wyszedł naprzeciw niego z twarzą swobodną i chłopakiem na rękę, który mu wąsy chwycił i targał....

— Panie Stanisławie — odezwał się zsiadając z konia — bardzom rad, że zastałem was w domu — mam prośbę.

— A nu! kochany panie, — co każecie! gotowem....

I zawołał do żony:— Kasiu, weź ino chłopca!

Nabiegła zarumieniona jękność, która była około pieczywa w czeladnej izbie.

— A! to pan Robert.... Jakże się pan ma?...
A to gość!

Wzięła chłopca z rąk męża i całować go a ścisnąć począwszy — wesoło się odezwała:

— Patrzaj-no pan! Co za śliczny chłopak! Słowo daję! Aniołek! Jak się pan ożenisz, życzę panu takiego! I uciekła śmiejąc się. Stach go do dworku wprowadził.

— No — co tak? na pańskie usługi!

— Muszę odjechać gospodarstwo, ojciec mnie do siebie wzywa — począł Robert — przyjechałem cię prosić — abyś tam czasem i na pole i na lasy zajrzał. Bądź łaskaw. . .

— Z duszy serca! Ale po cóż pan odjeżdżasz?

— Muszę! rzekł Robert smutnie....

Wszczęła się tedy rozmowa o lasach, o gospodarstwie, o ludziach, których zostawiał w Zahajach — o zasiewach.... o różnych sprawach.... Szło Robertowi o to, aby Ady się doczekać. Jakóż posłyszał naszczekiwanie jej psów, a Kasia wybiegła w ganek, klaszcząc w dłonie.... Chłopak już siedział na ziemi....

— To mnie Bóg dziś miłemi gośćmi obdarzył, szczebiotała leśniczyna. Słowo daję — niech to będzie bez urazy mojej drogiej paniuńci — ale to w tém jakieś przeznaczenie. Prawie zawsze ile razy pani u nas — tak i pan Robert albo jest, albo go tylko co nie widzi!

Zaczerwieniła się Ada i Kasia coś się domyślić mogła.

— A może pani to niemiło? szepnęła — poszlibyśmy do altanki!

— Ale nie — cóż mi tam! rzekła Ada. Wiesz, że to mój dobry przyjaciel i sąsiad....

— I słowo pani daję — co to za człowiek dobry, serdeczny, ludzki — a taki nie dumny.... a miły z każdym! mówiła Kasia.... no — i chłopak śliczny!!

Nic na te pochwały nie odpowiadając, Ada weszła do dworku....

— Jak się pan masz.... i pan! odezwała się witając. Zwróciła się do Roberta.

— Nie pojechałeś więc jeszcze?

— Troszczę się o moje gospodarstwo, odpowiedział Jazyga — właśnie przybył prosić pana Stanisława, aby mi na nie nagiądał....

— Bardzo się cieszę, że się z panem spotkała jeszcze — odezwała się Ada głośno. Po pożegnaniu naszym przyszedł mi na myśl interes jeden, który chcę mu powierzyć. Tam w Grodzieńskiem....

— Co pani każe?

— Powiem później — wszak wracamy kawałek drogi razem? Zaczekasz pan na mnie....

Skłonił się Robert tylko. Ada mówiła to tak swobodnie, swym królewskim tonem, że niktby się nie śmiał domyślać innego wyrazów znaczenia....

Kasia nakrywała stół do podwieczorku; chwaliła się postęпами swojego chłopaka, jego zębami i wymawianemi wyrazy, ojciec milczał. Robert spoglądał na Adę, przez której przybraną wesołość smutek przeglądał dzisiaj....

Przebyli tak godzinę, więcej patrząc na siebie niż mówiąc, żegnając się oczyma tylko.

Wstała nakoniec Ada, pożegnała Kasię i gospodarza.... Robert konia prowadząc za sobą, pieszo jęj towarzyszył.

Z chłopcem na ręku stojąc w ganku i spoglądając na nich, Kasia głową poruszała....

— Coś mi się zdaje — mruknęła do męża — coś mi się widzi! Stach — co ty myślisz? he?

— Ja? odparł śmiejąc się Rybacki — nasza panna za mąż pono się wybierze....

— A toś zgadł, bo i mnie to było na myśli. Uważałeś jak to na siebie patrzyło? Zerknie jedno, spojrzy drugie, i oczy wnet pospuszczali. Oj! że tam coś jest to jest....

Schyliła mu się do ucha....

— Już on ją drugi raz ztąd odprowadza....

Stach się śmiał....

Ada i Robert szli długo, długo w milczeniu.... Gdy dworek leśnika z oczu im zniknął, ręce sobie podali....

— Żegnać się — żegnać — odezwiała Ada — wczoraj dopiero połączywszy dłonie — mój Robercie —

jakże to smutno.... Jak ja tu zostanę bez ciebie! Jak ty tam będziesz bezemnie? Kiedy powrócisz?... Czas ten — niegodziwy czas co pożera wszystko, nawet serca — nie odmienił mnie i ciebie? nie ostudził?

— Ado droga.... ja się lękam tylko, ażeby mnie nie rozplomienił więcej — rzekł Robert. Nie lękam się czasu, ani wrażeń od ludzi — boję się tylko ciebie jednéj.

— Mnie? podchwyciła Ada — chyba dla tego, że mnie znasz mało! Jam sierocém życiem, męką, przeboleła lata długie.... ciebie jednego mam.... Zmienić się nie mogę — chyba umrzeć....

Zaczęła go wypytywać o ojca — Robert talć nie nie chciał, opisał go z miłością dziecka, ale z trwogą, jaką czasem go napełniał.... Umówiono się o listy.... lecz Ada czekać miała, aby jój adres nadesłał....

— Tymczasem pisać będę — rzekła — potém wyszłę ci razem myśli moje. Dawniej nawykłam była pisać dziennik, teraz go znowu dla ciebie rozpocznę, abys mi ciągle był przytomny.

Szli tak rozmawiając, ona się znowu wsparła na jego ramieniu, on objął ją jak wówczas gdy z ludzi obcych sobie stali się naprzód siostrą i bratem. Żywe było przypomnienie téj chwili — która już teraz w dalekiej leżała przeszłości.... Szli, a zbliżając się do kraju lasu, zwalniaли kro-

ku, jak gdyby to rozstanie miało być wiecznóm — jakby dla serc niemożliwém było....

Drzewa się przerzedzały coraz, z po za nich Ruszków, park i w zieleni klombów pałacu kominy widać było. Tu się rozstać musieli. Słowa zamierały na ustach. Wieczór teraz nadchodzący przedź, mrokiem swym poczynął okrywać kraj — obraz dokoła....

Ada się zatrzymała....

— A! nie! zawołała — niech będzie co chce — chodźmy dalej.... Odprowadź mnie do ogrodu. Spotka nas kto? Mniejsza o to, okupię tém chwilę dla mnie drogą.... Nie wiem czemu to rozstanie serce mi rozdziera.... Lękam się go!! Chodźmy! Daj mi rękę....

Szli razem ku ogrodowi.... Okolica była pusta, nie spotkali nikogo, nic nie przerwało téj przechadzki, której smutek towarzyszył jak przeczu- cie....

Ada się kilka razy spytała go:

— Kochasz mnie?

Musiał powtórzyć i powtórzyć jeszcze.... i poprzysiądz.... że jój wiernym zostanie....

— Mój drogi — odezwiała się już zbliżając ku parkowi, nie śmiej się ze mnie — nie dziwuj się niedowiarstwu i trwodze.... Jam się wychowała we wstręcie tego uczucia, które mnie dziś pochłoneło całą — jam go była pozbawiona od śmierci

matki. Ta biedna męczennica, co tyle przez miłość cierpiała, zakazała mi kochać, serce mi zamknęła swemi łzami. Ja jestem jak podróżny co szedł długo przez pustynię i nie ośmielił się pragnienia gasić, bo go przestrzeżono, że źródła były zatrute.... aż przypadł do żywego źródła.... i boi się odejść od niego, aby go pustynne piaski nie wypłyły! Jam biedna! Dla tego tak śmiała, zuchwała, bezwstydną może.... Żałuj mnie.... proszę....

Mówiła tak jedną już rękę trzymając na kłamce od furtki ogrodu, drugą ściskając dłoń jego — chcąc iść i nie mogąc odejść.

Cichym nareszcie głosem — rzekła:

— Bądź zdrow, miły mój — idź, niech cię Bóg prowadzi — powracaj!! powracaj....

Cichym pocałunkiem skończyła się smutna rozmowa. Robert był upojony. Ada weszła do parku.

O trzy kroki od wniścia stała otulona chustką czarną panna Hortensya. Ada przeszła koło niej dumnie podniosłszy głowę, nie mówiąc do niej słowa.... Na pozdrowienie nawet nie odpowiedziała....

Gdy znikła wśród klombów, stara panna uśmiechnęła się złośliwie patrząc w tę stronę, w którą poszła....

— Macie słusność państwo moje — rzekła do siebie — że nawet tak małych bezbronnych jak

ja istot nie należy drażnić. Mszczą się. Małeńki skorpionik śmiertelnie kąsa. Mnie kiedyś nazwałś skorpionem, muszę to nazwisko usprawiedliwić!...

Pojechał miły! Co za czułe było pożegnanie!... W chatce, w lesie.... potem drogą aż do ogrodu.... potem u furtki.... Rozstać się nie mogli.... Ada wyraźnie czas stracony cnotliwie — chce odzyskać! Pojechał biedaczek — i bardzo wątpię czy powróci.... Pan major, człowiek honorowy, nie dopuści, aby syn jego u wielkiej pani, pod pozorem męża, został oficjalistą!! Rozchwije się ten romans tak śliczny.... daj Boże tylko, by bez następstw....

Zaczęła się śmiać konwulsyjnie.... sucho.... gniewnie — strasznie....

Szła tak otulona chustką do werandy, pod którą się już świeciło.... Z dała widać było żywo po niej przechadzające się osoby, zajęte jakąś gorącą rozmową, którą okrzyki przerywały....

Panna Hortensya była zawsze bardzo ciekawa. W tym spokojnym Ruszkowie — coś takiego, ruch niezwykły.... zwiastował wypadek, którego ona — pierwociny straciła. Przyspieszyła kroku co żywo....

Pułkownik, Musiatowski, Rubaszek, kamerdyner i Ada stali rozmawiając głośno. Ada miała ręce załamane....

— Cóż to się stało? zapytała podchodząc Hortensya....

— Pani nie wie! krzyknął pułkownik — wszak to ten niewdzięcznik, ten okryty łaskami pani.... ten....

— Ale któż? -kto?

— A Oblęcki! wykradł pannę Karolinę! Ktoby się był tego spodziewał!...

— Jakim sposobem? kiedy?

— Karoliny od rana nikt nie widział, ale mówiono, że chora.... Oblęcki zamykał się nie raz w pracowni i wszyscy nawykli nie dobijać się, gdy nie otwierał.... A tu dopiero teraz okazuje się z listu panny Karoliny do pani, znalezionej w jej pokoju.... że z Oblęckim uciekła!

Pułkownik ręce załamywał. Ada stała odrętwiała, list trzymając w ręku.... Hortensya śmiała się złośliwie.

— Wątpię, żeby bardzo daleko uszli, rzekła — łatwoby ich było dogonić — a potem co zaszło, naturalnie ślub jest koniecznością.... Prawdziwie.... z tego co się tu u nas dzieje.... wnosząc — dodała ciszej, — zaczynam się obawiać, aby i mnie kto nie porwał! Jest coś w powietrzu!

Ada więcej się domyślając niż posłyszawszy te wyrazy, pogardliwe rzuciła na nią wejrzenie.

— Biedne dziecko — biedna Karolina! szepnęła.... Nie mam gniewu, mam litość nad nią. Oblęcki

nigdy nie był przy zdrowych zmysłach.... Jakże mogła mu się dać omamić, jemu co sam sobie w życiu drogi i chleba znaleźć nie może! Biedne dziecko!...

— Ja nie mam żadnej litości nad nią— przerwała Hortensya. Zawsze była płochą, choć udawała skromną. O! oczkami strzelała doskonale!... Jak sobie pościele tak się wyśpi.... Skarał ją Pan Bóg za hypokryzyę.... Niewiniątko....

— Nielitościwa! zamruczała Ada, oddalając się....

Półkownik za pierwszą wieścią wysłał był pogonę — lecz czy ludzie nie bardzo śpieszyli, czy kochankowie o wiele ich wyprzedzili, nigdzie nawet języka o nich nie mogli dostać. I nie dziw, okazało się bowiem, że panna Karolina za poradą malarza przebrała się po mężku, a w tym stroju młodzi dwaj ichmość niczyjój nie zwracali na siebie uwagi.

Boleśnie dotknął ten wypadek Adę. Zdawało jej się, że część winy za nieszczęśliwy los jaki spotkał Sensytywę spadał na nią, choć miała ją na oku, choć surową była dla niej. Lecz może właśnie ten chłód i nauki dawane odstręczały biedną, i ufność jej odejmowały. Wstydziła się zwierzyć, nie śmiała prosić.... Osamotniona, milcząca, padła ofiarą tego samego instynktu, któremu uległa dumna i niepodległa Ada....

— A więc wszystkie my, oprócz takich Hortensyj — co nie kwitły nigdy, skazane jesteśmy, aby paść serca ofiarą — prędzej czy później? — mówiła Ada. Wszystkie.... Biedna Karusia! Oblęcki — co za życie!... Dni kilka szalu — a lata pokuty!! Przeznaczenie....

Łza się jęj potoczyła z oczu, dla Karusi, czy dla siebie — któż odgadnie?

— No — na ten raz — odezwał się siedzący w ganku Erdziwiłł, naprzeciw majora, który już na gościniec nie patrząc fajkę palił — na ten raz — kochany panie Pietrze — to on!! Słowo daję.

Zerwał się major — drżącą rękę przyłożył do czoła — milczący....

— Tak — to on! powtórzył.

Czuć było w głosie wzruszenie, nie widać było radości.

— Panie Pietrze — rzekł całując go w ramię sędzia — jakieś pocziw — nie łajże chłopca.... nie męcz go....

Odwrócił się major opryskliwie.

— Czyś oszalał? *skrutywsia*? co tobie?

— A no!

Jazyga ramionami ruszył.

Na gościńcu widać było tuman kurzu tylko, ale wprawne oczy wiejskich mieszkańców umieją na-

wet z takiego obłoku wywrożyć co on w sobie mieści — stado owiec, czy wóz chłopski, czy bryczkę sąsiada. Serce było majorowi, i to mu było najlepszą wróżbą, że syn jechał nareszcie. Czas też było — czekał nań długo, a dni mu się dłuższymi jeszcze wydawały, bo się niecierpliwił.

Erdziwiłłowi, który przykutą siedział przy Jazydze jak na straży, oczy poweselały, bo na jednym miejscu długo trwać nie był nawykły i do domu się już zatęsknił.

W tumanie kurzu postrzegł konie i bryczkę, — służba też z kuchni zobaczywszy ją, a wiedząc jak pan niespokojny był, biegła z oznajmieniem.

— Panicz jedzie!

Burakowski bez czapki wyleciał ze stodoły do pana z tém samém oznajmieniem.

— Pan Robert jedzie!

On to był w istocie — jechał blady i jakby przełękły, nie wiedząc co go tu czeka, a jak tylko bryczka u ganku stanęła, skoczył całować ojca w ramię.

Stary go uścisnął serdecznie i w głowę kilka razy pocałował.

Przyszła kolej na Erdziwiłła, który przywitaniu chciał nadać ton wesół.

— O! urwis z waszeci, bałamut, bratku! Jużemy tu z ojcem oczy wypatrzyli!

— Pisałem — rzekł Robert.

— Ale już po pisaniu czas było przybyć samemu! — rzekł Erdziwiłł. Koń ci chyba zakulał w drodze.

— Nie — odparł Robert, psuła mi się bryczka tylko, i dwa razy po kilka godzin dla niej straciłem.

— Dajmy temu pokój! — przerwał major — co było a nie jest, nie pisze się w registr. Chodźmy do pokoju — głodny jesteś?

— Nie — dziękuję.

— Jak to? z drogi, i nie głodny? zaśmiał się sędzia — to przeciw rzeczy naturze. Każ dawać jeść majorze. Nie wierz gębie, połóż na zębie.

I jeden i drugi, nadrabiając wesołością, z ukosa spoglądali na przybyłego, znajdowali go zmizerowanym, bladym, zmienionym. Ojciec tém czulszym się chciał okazać. O powodzie powołania, o niczem nie wspominał. Robert to sobie tłómaczył przytomnością obcego — i trwoga go nie opuszczała. Erdziwiłł też znajdując się potrzebnym, dla złagodzenia pierwszego starcia, którego się zawsze obawiał — dosiadywał, choć konie miał już i na ochotę wyrwania się nie zbywało.

Major ażeby uniknąć wszelkiego wspomnienia Ruszkowa, nawet o pólkownika się nie zapytał.... Mówiono o niczem.... o pogodzie — o polach, a Erdziwiłł wesołe koncepta wtrącał.

Pomimo to czuć było coś ciężącego nad nimi, jak zwykle gdy się otwarcie nie można wytłómaczyć— a lęka się chwili ostatecznej rozprawy, która nadejść musi. Każdemu z nich jakiś wzgląd mowę tamował....

Robert więcj słuchał niż się odzywał, milczący był — odpowiadał zaledwie krótko. Przyniesiono jedzenie, ledwie go dotknął.

Uwolnił się potém natychmiast dla urzãdzenia w mieszkaniu, a postrzegłszy, że ojciec mu inne i obszerniejsze przeznaczył, zawahał się z przyjęciem. Widać było, że to go przeraziło. Przy Erdziwille jednak mówić nie wypadało. Robert się tymczasowo tylko w dawnym pokoiku, jak na popasie, rozlokował.

Tak dotrwali jakoś do późnego wieczoru, a sędzia, którego konie od dawna drzemały stojąc z spuszczanemi głowami — pożegnał się w końcu i odjechał, w ganku jeszcze szepnąwszy przyjacielowi na ucho:

— Nie napadaj na niego.... nie łaj proszę!

Troskliwość to była zbyt uczynna, bo major najmniejszej nie miał ochoty uczynienia przykrości dziecku. Żał mu go było. Wierny swym przekonaniom nie mógł dozwolić na to co według niego nieszczęście sprowadzić musiało — ale gotów był surowość złagodzić wszelkiemi sposoby. Ustąpić nie

mógł — a znęcać się nie było w jego charakterze. Przemyślał owszem jakby najmniej dać uczuć Robertowi przykrość, którą wyrządzać musiał. Okazywał mu czułość nadzwyczajną....

Nie bąknawszy słowa, major dał dobranoc i poszedł do siebie. Tu chodził długo, modlił się, ogień na kominku podsycił, fajkę palił, i nie rychło się mógł położyć.

Potrzeba się było z synem rozmówić—to jak kamień leżało mu na piersi. Z rana nie miał Jazyga siły rozpocząć, odłożył na poobiedzie. Po południu rad był, że mu coś przeszkodziło. Zwlekło się do drugiego wieczoru. Stary czuł rodzaj gorączki i powiedział sobie, że—odkładanie nie zdało się na nic, trzeba było mieć mężstwo i raz skończyć wszystko.

Siedzieli na ławce w ganku, gdy po milczeniu dosyć długiém, major wstał.

— Mój Robercie,—rzekł—przekonałem się w czasie twój niebytności, że my rozdzieleni żyć nie możemy. Ja się zatęskniam i niepokoję. Gotowem ci oddać Żabliszki, sam się wynieść choć na folwark.... a dłużej w tych Zahajach, za światem ci siedzieć nie dozwolę...

Kazałem ci przyjechać—i nie pozwolę tam wrócić. Robert się zerwał z ławy.

— Ojcie kochany....

— Nie przerywaj mi — rzekł major stanowczo. Tak, nie wrócisz więcej do Zahajów. Burakow-

skiego tam jutro wysyłam, aby je objął i gospodarował. O żadną stratę mi nie idzie... choćby wszystko z kretesem lichu wzięło... Pal ich kaci!...

Nie pozwolę ci tam siedzieć — jest-to moja wola niezłomna. Wiesz, że ja co raz powiem, dotrzymuję....

Zostaniesz ze mną.

Tu zamilkł nieco major, spodziewając się odpowiedzi jakiegós — Robert siedział ze spuszczoną głową niemy, słuchał jak zdრtwiały — i gdy ojciec mówić przestał, nie odezwał się wcale.

— Tak będzie?— powtórzył major.

Robert nie odpowiedział nic.

— Cóż ty na to?— zawołał stary trochę zniecierpliwiony.

— Jak skoro ojciec rozkazuje, nie mam nic do odpowiedzenia — odezwał się Robert głosem złamanym.

— Ja wiem, że ci to nie w smak, mówił dalej major — odwykłeś od naszego towarzystwa i obyczaju — państwo ci zasmakowało. Ten nieszczęsny Ruszków cię popsuł. My chwala Bogu, do tych ludzi i świata nie należymy i należeć nie będziemy. Wrócić trzeba do własnej chaty i w niej szczęścia szukać.

Czując jak niewłaściwie byłoby bronić się od zarzutów i spór wieść z ojcem, Robert wszystko przyjmował milczący. Twarz mu się tylko paliła.

Majora więcj milczenie niecierpliwiło, niżby go opozycja gniewała.

— Nie jestemże wart odpowiedzi?— zawołał gniewnie prawie.

— Ja nic nie mam do odpowiedzenia— rzekł Robert z pokorą. Ojciec mi rozkazuje— słucham.... Wszak rozkaz przyjmuję posłuszny!

— Tak! posłuszny! podchwycił major — ja chcę wiedzieć co myślisz....

— Nie mogę walczyć z przekonaniem ojca — mówił Robert, — bobym ich nie zmienił... Nie godzi mi się opierać.... pozostaje tylko milczenie....

Zżymnął się stary....

— Milcz więc jeśli ci z tém lepiej — odezwał się — milcz. Moje rozporządzenie nieodwołalne. Burakowskiemu wydasz instrukcyę co do gospodarstwa i wysłania ci tu twych rzeczy, które zostawiłeś w Zahajach. Pojutrze wyprawić go trzeba. Naznaczyłem ci obszerniejsze mieszkanie, bo chcę, byś był panem w Żabliszkach.

— Mnie starczy mojej izdebki — odparł Robert — a w Żabliszkach, dopóki ojciec zdrow i żyw, ja gospodarować nie potrzebuję.

— A cóż będziesz robił?

— Choćbym na miejscu Burakowskiego ekonomował, wszystko mi jedno, obojętnie dodał Robert.

To mówiąc wstał.... skłonił się i unikając rozpraw dalszych — odszedł.

Major pozostał sam. Bierne to posłuszeństwo syna nie podobało mu się. Widział w niém opór i energię skrytą, większą, niż się spodziewał. Zgryzło go to, — lecz nie zламаło.

Posłał po Ernesta, który się natychmiast znalazł, bo był na folwarku, zajęty zapisywaniem robotnika.

— Panie Burakowski — rzekł major, — niespodziana zmiana zachodzi, z której spodziewam się kontent będziesz. Masz u mnie pięćset złotych, wygody i utrzymanie pary koni.... daję waćpanu tysiąc z temi samemi dodatkami, abys jechał gospodarować do Zahajów, na miejscu Roberta. Syn mój tam już nie powróci. Odeszlesz mu ztamtąd jego rzeczy. Proszę wziąć instrukcyę u niego. Cóż? kontent jesteś?

Major nie spodziewał się tu także przeciw woli swój buntu, ani nawet protestacyi. Ernest był wychowany z Robertem, prawie dziecięciem domu. Jazyga nim rozporządzał jak swoim. Spojrzał tylko nań — czekając na podziękowanie, a ujrzał wahanie się i niepewność.

— Spodziewam się, żeś waćpan z warunków kontent? dodał.

— A!, pewno, panie majorze dobrodzieju — kłaniając się rzekł Burakowski — ale czy ja tam sobie dam radę? A — odpowiedzialność!

— Dasz sobie radę jak będziesz mógł — zawołał major — nie jestem wymagający. Proszę wziąć instrukcję od Roberta.... Pojutrze nieodmiennie wyjedziesz....

Odwrócił się stary i zostawił go tak samego w ganku. Uszom swym nie wierząc, a domysławając się w téj nagłej zmianie coś dla Roberta przykrego, Ernest niezbyt uradowany, z wolna obszedł dom, aby się dostać do panicza....

Stosunki ich od pierwszych lat dzieciństwa łączyły z sobą. Chłopcami bawili się razem w dziedzińcu, wkradali do ogrodów, dokazywali z końmi — razem bywali karani.... Kochali się jak bracia. Gdy Roberta do szkół oddano, towarzyszył mu Ernest, na wpół jako sługa, pół kolega. Siedzieli w jednej klassie, obok siebie — aż do ukończenia gimnazyum. Nie mieli dla siebie tajemnic — a w młodszym nawet wieku nie pokłócili się nigdy. Ernest był z miłością i poświęceniem dla panicza.... poufały z nim, a pełen uszanowania. Kochał go tak że choć ubogi i nie mający nic nad to miejsce, jakie mu po ojcu dał major, chętnieby je poświęcił, byle się nie narazić Robertowi. Szedł więc do niego smutny.... Śmiało mu się to co przyrzeczone było w Zahajach, ale mógłże przyjąć? A gdyby zmuszony był odmówić — majorby go z pewnością nie trzymał dłużej w Żabliszkach.

Wsunął się trwożnie spoglądając przed siebie

do izby, w której Robert siedział w ciemnym kącie — podparty na łokciu.... Na widok Ernesta wstał. Ten podszedł.

— Cóż się to stało? zapytał Burakowski — pan mi każe jechać gospodarować do Zahajów?

Robert jakby chciał mówić i nie śmiał. Obejrzał się, zawahał. Noc już była, księżyc się z wolna podnosił po nad sine lasów ściany.

— Chodźmyż się przejść ku figurze — szepnął Robert....

— Dobrze — odparł Burakowski....

Droga ku figurze brzozaami wysadzana, szła od ogrodu do jednej ze wsi sąsiednich. Na granicy Żabliszek stał wielki krzyż czarny, niegdyś przez matkę Roberta wystawiony. Mało jeżdżono tamtędy, ale przechadzka była miłą. Stare brzozy z powieszanemi gałęzmi, powyginane dziwnie, osłaniały nieszeroką drożynę.... W prawo ciągnął się gaj brzozowy białemi wysokimi pniami świecący. Ci-cho było i pusto w téj stronie....

Wyszli w ulicę razem.

— Słuchaj Erneście — odezwał się stając Jazyga — tyś tak jak mój brat — ufam ci — nie chcę kryć przed tobą tego, co ci mogę powierzyć. Ojciec się gniewa na mnie za zawiązane stosunki z pewnym domem — stosunki, których więcej się domyśla, niż wie o nich. Dla zerwania ich kazał mi tu powrócić....

— A pan? spytał Ernest.

— Muszę być posłuszny — rzekł Robert — ale —
Erneście mój — prawda jest.... ja się kocham, ko-
cham się szalenie.... Wytrwam z tém lub umrę,
a nie zmienię się.

Załamawszy ręce słuchał Burakowski.

— Ale czyż nasz stary pan tyran taki, żeby....
zmuszał! To nie może być!

— Znasz go — mówił Robert. Kocha mnie, chce
mojego szczęścia, robi to w przekonaniu, iż mnie
ratuje.... Trzeba cierpieć.

Tu zbliżył się do Ernesta i całując go w twarz,
szepnął po cichu:

— Weźmiesz list.... do niej — oddasz go jój —
do rąk własnych! rozumiesz....

— Rozumiem — odparł Ernest.

— Przez ciebie iść będą odpowiedzi.... ja do
ciebie pisać będę....

Głos mu drżał gdy mówił.

— Któż to jest? czy uchowaj Boże, nie zameżna?
spytał z trwogą Burakowski.

— Wolną jest — mówił Jazyga — panią swój
woli — ale miliony ma i arystokratką ją ojciec
nazywa.... a wiesz jak się tém brzydzi....

Stał zamyślony Burakowski, głowę spuściwszy
jak przybity.

— Otożeśmy się nieszczęścia doczekali! rzekł
w końcu. Co to teraz będzie z nami.... z wami,

ze starym panem?... A wszystkiego jedna narobiła kobieta. O! już to ja zawsze powiadałem i mówię:— od kobiety jak od ognia....

Mam jechać? dodał.

— Musisz jechać — potwierdził Robert — dziś ty nawet mnie jesteś potrzebny....

Uściskał go.... poszli dalej smutni drogą, nie zważając, że po za brzozaami przesunął się major, który chwilami stał, nasłuchiwał, mógł jakie słowo pochwycić — ale nagle splunawszy, jakby się zawstydzil własnej ciekawości, pośpiesznie do dworku powrócił.

Robert z Ernestem chodzili tak długo jeszcze; a gdy Burakowski na folwark powrócił, on, co zawsze wyświstywał piosenki i był wesół jak ptaszę, nie otworzywszy ust rzucił się na łóżko. Twarz miał zasepioną.

Następnego dnia gdy się zeszli ojciec z synem, major, który zrzucił z serca ciężar, najczulój, uściskał go — chciał być wesół, proponował polowanie, potem przejażdżkę w sąsiedztwo.... ale Robert nie miał do tego ochoty.... wymówił się. Potrzeba było Ernesta wyprawić....

Nie nalegał stary, nieustannie tylko zachodził do Roberta, pytał czy mu czego nie potrzeba? troszczył się, niepokoił i sługom kazał brać rozkazy u niego. Czulszym był niż kiedykolwiek — syn też

nie mógł tego nie czuć, ale chodził zasepiony i blady, z przymusem się uśmiechając.

Erdziwiłł, który był niezmiernie ciekawy jak się rzeczy między nimi obróca, nadjechał dnia tego — po drodze do Żabliszek. Majora samego zastawszy w ganku, obejrzał się i napadł nań zaraz z pytaniem:

— A cóż? a syn?

— Czegożeś się ty obawiał? żebym ja własnego dziecka nie zjadł? odparł major z uśmiechem niewesołym. Wszystko dobrze.... Rozporządziłem jak było postanowiono — Burakowski jutro jedzie do Zahajów, Robert ze mną zostanie tu — no — i koniec.

— I koniec!! powtórzył Erdziwiłł. Otoż to tylko kwestya, czy to koniec, czy początek?

— Jakiś ty śmieszny! a czegoż to ma być początek? Myślisz że ja będę z dzieckiem wojnę prowadził, albo on ze mną? Robert mój wychowany pocziwie, dobry, posłuszny....

— Ale.... o babę chodzi! skrobiąc się w głowę rzekł cicho Erdziwiłł.... Gdyby szło o cokolwiek innego, ani bym wątpił! Jak tylko podwika na placu.... wszystkie rachuby chybiają.

Major ręką machnął.

— Stary bałamucie — tobie tylko to na myśli!

— A tyś zapomniał, gdy byłeś młodym! rzekł Erdziwiłł.

— Właśnie dla tego, żem nie zapomniał, chcę dziecko ustrzedz od tego co ja wycierpiałem — gwałtownie wybuchnął major. Dajmy pokój....

Sędzia się obejrzał do koła.

— Dalipan, rzekł z nienacka — ślicznie tu u was w tych Żabliszkach. Wesoło, cicho, zamożno.... Nigdzie tak nie czuję błogosławieństwa życia wiejskiego jak u siebie i u was. Zaczęliście siejbe?

Major jakby nie zrozumiał.

— Wiesz — począł z drugiej beczki Erdziwiłł — marszałkówna starsza za mąż wychodzi... Partya co się nazywa, radca izby skarbowej.

— Winszuję.... krótko rzekł gospodarz.

— Nie dosyć na tém, i młodsza, która miała konkurenta, będzie już mogła go uszczęśliwić. Nie wydaliby byli nigdy młodszej przed starszą. Ale ta, filut dziewczyna, chcąc sobie otworzyć drogę, siostrze się postarała o pretendenta, i tak zręcznie, słyszę, około sprawy chodziła, że dwie na raz sprawy ubiła!

To mi dziewczyna!!

— Są też posłuchy i o innych gotujących się na zapusty weselach! mówił Erdziwiłł; byle się sprawdziły, będziemy się mieli gdzie zabawić, podochoć, i zażyć dobrej myśli.

— Bardzo się cieszę ... dodał major....

Przechodzącemu chłopcu kazał prosić Roberta.

— Powiedz paniczowi, że gościa mamy; niechże on, jako gospodarz, wyjdzie. W prędkę potem ukazał się Robert. Sędzia go ścisnąć zaczął.

— A co? rzekł — nie prawda? wszędzie dobrze, a najlepiej w domu? To złote jabłko te wasze Żabliński.... Cacko, słowo daję.... Tylko nam ciebie brakło, ażeby się ożywiły....

— O! ja ich ożywić nie potrafię — smutnie się uśmiechnął Robert, — bo lubię samotność i ciszę....

— To nie potem dla młodego — wtrącił major. Młody być młodym powinien.... Nam starym co innego....

— I widzisz pan, że ja — niby nie tak to młody — dodał Erdziwiłł, a ruszam się, śmieję i drugich pobudzam do śmiechu....

Baraszkując tak sędzia badał twarze obu — chciał się przekonać, jak tu rzeczy stały? i wyniósł tę pewność, że jak powiedział, nie był to koniec, ale początek....

Rozmowa się wlekła, podskakiwała, rwała wiązała — nie szła. — Erdziwiłł się zmęczył chcąc obu pochmurnych rozruszać, siadł na bryczkę i pojechał do domu zafrasowany.

Tegoż wieczoru Jazyga stary poszedł na folwark do Burakowskiego, który się już do wyjazdu gotował. Znalazł go gospodarzącego około starego tłomoka spoconego i zakłopotanego.

— Mój Erneście, rzekł — jedną ci rzecz chciałem powiedzieć jeszcze....

Tłómaczyć ci się nie będę — jak — co, dla czego.... przestrzegam tylko, abyś w żadnej korespondencyi nie pośredniczył, listów nie posyłał i nie woził. Najprzód że to nie twoja rzecz — a powtóre, że tu do Żabliszek, bez mojej wiadomości, list się żaden nie dostanie i ztąd nie wyjdzie.

Więc to zachód stracony....

Trzasnął major drzwiami i wyszedł. Burakowski jak stał nad tłumokiem otwartym, tak został długo, nie wiedząc już co począć....

Na myśl mu przyszło z razu, rzucić służbę tę, pójść inną szukać, wyrzec się tysiąca złotych — a palca nie kłaść między drzwi. Gdy jednak rozważył potem, iż Roberta opuści, że go zdradzi i bez pomocy zda na to prześladowanie ojcowskie — westchnął: Dzień się wola Boża!

Dla Roberta miał miłość, a dla jego sprawy większe współczucie niż dla tyranii ojcowskiej. Trochę nawet serca stracił dla majora.... W młodości więcej ku sobie pociąga miłość niż zimny rozsądek...

Położenie jednak było trudne.

Zdradzać starego, dobrego opiekuna, także się nie godziło.

— Otom wpadł w kleszcze! mówił chodząc po izbie Burakowski. Dałbym na trzy Msze Święte do

Ostrój Bramy, żeby mnie Matka Najświętsza całego z téj biedy wyprowadziła....

Trzeba było pójść o tém Robertowi oznajmić, lecz nim się wybrał Ernest, ujrzał go wchodzącego.

Podbiegł ku niemu i szepnął z czém stary pan przychodził, powtarzając niemal słowo w słowo.

— Ani chybi, gdyśmy szli pod figurę, ojciec musiał tam być i posłyszał o co cię prosiłem... Bądź spokojny, narażać cię nie mogę i nie będę. Listy pójdą inną drogą.

Ernest chciał uprosić — nadaremnie.

— Nie przyjmuję twojej ofiary, bo się nie godzi — odparł. Jedź spokojny. Poradzę sobie inaczej....

Poszeptali jeszcze trochę i rozeszli się ...

Na wyjezdném major śledzić się zdawał Burakowskiego ruchy, ale nie odezwał się już więcej. Robert się z nim pożegnał publicznie w dziedzińcu, umyślnie, aby okazać, że żadnych do powierzenia nie ma tajemnic.

— Wszystkie rzeczy pana Roberta — rzekł stary — proszę zaraz popakować i wyprawić furmankami przy dozorze. Jeżelibyś tam acindziej pułkownika Brandysa widział, kłaniaj mu się ode mnie, i powiedz, że pisać nie miałem czasu. Napiszę później. Oznajm mu tylko, że Robert mnie tu potrzebny, i do Zahajów już nie wróci. Słyszysz? — nie wróci!

Robert, który już był w ganku, słyszał też to dobrze, — wiedząc, że ta zapowiedź więcej może dla niego niż dla pułkownika była tak dobitnie wygłoszona. Odbiło mu się w sercu, to — straszno: — Nie wróć!

Kto kiedykolwiek kochał, a padło mu na rozżarzone serce jak zimnej wody kropla takie słowo straszne.... zamykające na wieki wrota do szczęścia — ten wie — jaka z niego się boleść rodzi. Wszystko człowiek przecierpieć może, oprócz tego jednego — „na wieki,” które jest jego przeznaczeniem zawsze i wszędzie. Dusza nieśmiertelna oburza się na wyrok niepowrotny.... na żelazne prawo — zniszczenia, rozstania, zapomnienia....

W ostygniętych latach, pod siwym włosem przyjmuje się straty chłodniej, — w młodości rwą serce z piersi — mogą z niej wyrwać i życie.

Od wyjazdu z Zahajów, od rozstania przy furcie ogrodowej, Robert był w stanie jakimś, którego sam nie pojmował. Dodawał sobie męztwa, pocieszał nadziejami, które nie wiedział na czém oprzeć — a ból nim owładynał do szaleństwa. Całe to życie teraźniejsze wydawało mu się nieznośnem.... mrocznem.... trywialnem — strasznem jak więzienie ciemne. Nie zajmowało go nic oprócz kilku książek, które miał od niej, i kilku małych pamiątek, co ją przypominały. W nocy kładł pier-

ścionek jój na palec, na dzień zdejmował — do dzieciństwa posuwał to pieszczenie się ze wspomnieniami.

Milczenie go zabijało.... Trzeciego dnia napisał długi list, nie w nim nie mówiąc ani o ojcu, ani o tém co przetrwał, oznajmując tylko, że mu powracać nie wolno, że musi milczeć i cierpieć.

Po wyjeździe Burakowskiego potrzeba było myśleć o oddaniu listu, o urządzeniu za czyjémś pośrednictwem korespondencyi. Z początku chciał o to prosić Erdziwiłła, lecz przeczuwał, że tenby się nie podjął może.... Najbliższa poczta była o dobre mili półtoręj. Z rana wstawszy, pod pozorem konnej przejażdżki, można było tam i nazad przebiec drogę we dwie godziny.... Lękał się Robert, aby go nie śledzono. Wszystko było możliwe. Do kogo się udać, próżno sobie łamał głowę. Listu napisanego oddać nie mógł, bo chciał w nim adres swój pomieścić — w ostatku zapisawszy go na ręce pułkownika, i dołożywszy, że drogi, któryby korespondować mogli, nie znalazł jeszcze — postanowił nazajutrz do dnia dobiec z nim sam na pocztę.

Major wstawał bardzo rano, Robert chciał go uprzedzić, szarzało jeszcze gdy się zerwał, poszedł do stajni, sam sobie konia osiodłał, wyprowadził po cichu, i popędził do miasteczka.

Gdy Jazyga obudził się i jak zwykle o syna zapytał, chłopak mu powiedział, że panicz gdzieś do dnia wyjechał. Wyjechał? nie opowiedziawszy się! — tknęło to starego.... Zląkł się i błyskawicą przez myśl przeszło mu, iż Robert mógł uciec z rodzicielskiego domu. Nie dając jednak poznać po sobie niepokoju, siadł w ganku oczekując powrotu.

Robert, który za młodu pieszo i konno tylekroć przebiegał okolicę, znał doskonale wszystkie jej drogi i przesmyki.... Puścił się przez lasy na prost, i do miasteczka zdążył tak wcześnie, że poczta była zamknięta. Musiał tu jeszcze czekać chwilę nim się pocztmajster obudził, wdział szlafrok i zebrał do biura....

Nie mając co robić — wiodąc konia zmęczonego za sobą — Robert się przechadzał po na wpół uśpionej mieścinie, w której tylko kilku staroza-konnych się ruszało, gdy u wrót austeryi stanąwszy, zobaczył przygotowany już do wyjazdu wózek i przy nim dwie kobiety.

Jedna z nich była niemłoda i otyła, druga młodziuchna, przystojna, żywa. Rysy obu mówiły, że to była matka i córka. Starsza, która coś do wozu pakowała i gderała na towarzyszkę, nagle zwróciła oczy ciekawe ku Robertowi, upuściła zawiniątko, które w ręku trzymała i krzyknęła głośno:

— A! jak Boga kocham — pan Robert czy co? Słyszając wymówione imię swoje, Jazyga się zbliżył ciekawie. Jéjmość ręce obie otwarła jak do uścisku, i powtórzyła:

— Pan Robert! miły Boże — co za szczęście!...

Była to dawna sługa wyprawna matki jego, niegdy panna Zenobia Arwentowiczówna, dziś pani Żebrzyńska, która dosyć długo w domu Jazygów przebywała, dopóki ubogi szlachcic na trzech chatach nie wystarał się o nią w święty stan małżeński.

Staraniu temu i wyjściu za mąż sługi, która żonie jego ulubioną była i potrzebną, mocno się sprzeciwiał stary Jazyga. Rozgniewało go to tak, że niewdzięczna istota wołała ubogiego szlachetkę, niż los jaki on jéj chciał zapewnić, gdyby przy majorowej pozostała, że zapowiedział jéj w końcu, aby mu się nigdy na oczy nie pokazywała.

Matka Roberta, kochając ją, pomagała jéj w sekrecie, nie chcąc drażnić męża, pani Żebrzyńska nie pokazywała się w Żabłiszkach aż do śmierci pani. Na pogrzebie zobaczywszy ją major, zapomniał o dawnéj urazie, przejednał się, widząc płacz i żal jéj po zmarłej. Mimo to Żebrzyńska, której mąż był obrażony, i zakazywał jéj jeździć do Jazygów, rzadko ich widywała. Dawna jéj miłość dla pani zlała się na dziecko — kochała Ro-

berta jak własnego syna — a nie widziała go tak dawno. Znał to przywiązanie Jazyga, i ucieszył się widząc pocziwą twarz, rozjaśnioną razem uśmiechem i oblaną łzami.

— Moja dobra, kochana pani Żebrzyńska! jak-żem rad że was widzę! zawołał.

Jéjmość odwróciła się do córki....

— A uklonźe się — toż to pan Robert — a dygnij mi ślicznie!

Dziewczę się po uszy zarumieniło.

— Wystaw sobie, mój złoty panie, poczęła Żebrzyńska — jak to człowiek nigdy nie wie co błogosławić, a co przeklinać... Wczoraj jak mi się Kondrat bestya spił, żem o pół mili od domu musiała tu w tém karczmisku nocować i za owies płacić, a tam mi się mężysko turbowało co się zemną dzieje — ani mi się śniło, żeby mnie tu dziś takie szczęście czekało... O Jezu mój miły! Ale jak pan mi wyglądasz mizernie!

Popatrzała nań Żebrzyńska, odwróciła się do córki, której coś szepnęła, a ta natychmiast odeszła i zbliżyła się szybko do Roberta, odprowadzając go nieco na stronę.

— Mój złoty panie — zaczęła — ja bo was i nie śmiem za język ciągnąć — a tak mi się chce prawdy dowiedzieć? Pan mnie znasz, jam cię na ręku nosiła.... możesz mi zaufać. Powiedz, czy to prawda co tu ludzie plotą? Po całym sąsiedztwie

rozeszła się wieść — jakoby pan tam z jakąś bogatą dziedziczką się pokochał, zaręczył.... a major, jak to on zawsze despota — o! jak mi Bóg miły, że prawda — gwałtem go tu odciągnął, nie chcąc pozwolić na małżeństwo...

Patrzała mu w oczy badając.

— Ale któż mógł tu to rozpuścić? zawołał Robert.

— Albo to można dójść, proszę pana? — mówiła Żebrzyńska — to tak wiatry niosą. Bóg wie. Ale, czyż prawda?

Zaparłby się był może Robert, gdyby mu na myśl nie przyszło, że pocziwa, kochająca go Żebrzyńska, może mu być pomocą do korespondencyi.

— Moja droga Żebrzyńska — rzekł — jest w tém trochę prawdy i trochę dodatku.... A! tak! zakochałem się — ale ojciec zaledwie się tego domyśla, nie wie o niczem. Kazał mi powrócić do Żabliszek z tego powodu, a ja tu usycham i umieram....

— Listu nawet do niej posłać, ani odebrać od niej nie mogę....

— Mój złoty, mój drogi — a to ja i mąż mój ci pomożemy — krzyknęła uradowana kobiecina... Albo to ja nie znam majora, coby wszystkich chciał prowadzić po komendzie? Mieszkamy o milkę od Żabliszek, czy przyjedziesz, czy przyszlesz,

czy ja ci list przywiozę.... Z duszy i serca! Ja się majora nie boję — a jak mu zrobię na przekór — to i owszem. Małom ja z jego przyczyny cierpiała?

— Nie mówcie nic na ojca! rzekł Robert — ja go kocham, cóż winien że mnie nie rozumie.

— Jeszcze go bronisz, pocziwe dziecko! odparła całując go w ramię jéjmość.

Po tym wstępie umowa o listy poszła już łatwo, a nic nie wyrówna radości, z jaką się usługi podjęła Żebrzyńska. Miała przyjemność figla wypłatać majorowi, dziecku kochanemu dać dowód przywiązania i nosić się z sekretem, który kobiety lubią. To życie przyjemnie zaprawia.... Nie czekając już otwarcia poczty, Robert wbiegł tylko do austeryi, aby tam adres Żebrzyńskiej dopisać i list na nowo zapieczętowawszy, oddał go jéj dziękując serdecznie.

Stanęła umowa, że gdy ona odbierze odpowiedź, sama ją pod jakimś pozorem przywiezie do Żabliszek.

Siadł potém na konia Robert i co tchu do domu popędził. W drodze namyslał się co odpowie ojcu, jeśliby go spytał, dokąd jeździł?— Kłamstwo przykre mu było, postanowił powiedzieć, że jeździł do miasteczka. Nie spodziewał się, aby go ojciec ściślej miał badać o cel podróży.

Major, oczekujący powrotu w ganku, z którego się nie ruszył od rana — tak był szczęśliwy zobaczywszy syna.... iż ledwie się spytał gdzie jeździł?... Dręczył go niepokój i przeczucia....

— Chciałem się przejechać — rzekł Robert.

— Bardzo to dobrze — odparł major, — ale mnie zostawiłeś w takiej niepewności....

— Ojciec spał gdym wyjeżdżał, a posadzić mnie nie mógł, że ucieknę! dodał syn z uśmiechem bolesnym.

Zarumienił się Jazyga....

— Obawiałem się, aby się co nie trafiło! Kasztana wzięłeś — nogi ma złe.... Na takim koniu najlepszy jeździec niepewny.... Potrzeba ci wierzchowca. Ten twój co go z Zahajów przyprowadzą, choć niezły, ale nie starczy.... Muszę ci się postarać o innego. Trzeba żebyś miał dwa co najmniej.

Skłonił się Robert. Ojciec był tego dnia w czułościach ciągłych, które nie mogły nie wzbudzić w synu wdzięczności. Wszystkiego mu dla Roberta było mało, chciał dom mu urządzić na nowo, sprowadzać meble.... Koczyk lekki sprawić.... myśliwstwo staranniej urządzić. Syn się wymawiał, ale on tego nie słuchał....

W kilka dni potem major zaproponował wycieczkę do Tarajewa, do państwa Ochmańskich....

Spojrzał w oczy synowi — mówiąc to — i postrzegł pewny wyraz wstrętu na twarzy.

— Nie chcesz! dla czego? poczeiwi ludzie. Leokadya piękna i miła dziewczyna. Rozerwałbyś się....

— Jeżeli to ma dla ojca stanowić rozrywkę — odezwał się Robert, — służę mu; jeżeli dla mnie, proszę o uwolnienie....

— Dla czego?

— Do odwiedzin nie mam najmniejszej ochoty.... rzekł Robert.

— Niepodobna nie żyć z ludźmi.... no — a koniec końców — ja ciebie ożenić muszę. Powiem szczerze, Leokadya mi się podoba....

Jakiś czas milczał Robert.

— Mam przyrzeczenie kochanego ojca, że mi w tém gwałtu zadawać nie będziesz, a oświadczam mu otwarcie, że o małżeństwie dla mnie mowy być nie może.

— Gwałtu ci zadawać nie myślę, mówiłem to i powtarzam, — przecież cię ani Ochmańscy, ani panna Leokadya nie zmuszą, abys się swatał.... Co ci szkodzi pojechać?

— Kochany ojczy, rozumiecie to dobrze, rzekł Robert, że gdy młody człowiek parę razy odwiedzi dom, w którym jest panna na wydaniu, i rodzicom i pannie może to dać do myślenia.... Tego ja sobie nie życzę.

— Dziwactwo! śmieszność! — mruknął major. Nie trzeba się zarzekać nic i wyrokować na-przód.... Rozpatrz się, poznaj, co ci się dziś nie podobało, może jutro przypaść do smaku.

— Nigdy — zamknął Robert.

— Nie pojedziesz?...

— Proszę mnie uwolnić!

Major odszedł mocno nadąsany, ale zmuszać nie chciał; przemyślał nad środkami wyciągnięcia syna z téj samotności, którą uważał za szkodliwą, znaleźć ich nie mógł.

Tymczasem jednego poobiedzia, gdy stary Jazyga wyszedł do pasieki, zjawił się wózek z panią Żebrzyńską. Wybiegł naprzeciw niéj do wrot Robert, był to ten list oczekiwany — pożądaný, który jak manna spadł na pustynię zgłodzonemu. Posadziwszy Żebrzyńską w ganku, poleciał z nim do swojego pokoju.... począł czytać, nie zrozumiał nic,— pismo latało mu przed oczyma, wyrazy wydawały jakieś dźwięki niepojęte, pocałował papier, wsunął go na pierś i pobiegł przyjmować swą dobrą opiekunkę, której ogromny pakiet powierzył, korzystając z ojca niebytności. Jéjmość schowała go jak najstaranniej za gors, gdzie był od wszelkiej napaści bezpieczny. Napoiwszy ją kawą, nakarmiwszy sucharkami, obdarzywszy czém mógł i miał, Robert odprowadził za wrota, a sam, lękając się drogi ów list czytać w domu, aby go

ojciec nie zaskoczył — poszedł z nim do blizkiego lasu....

I tu jeszcze w początku czytanie było trudne.... Sam widok listu poruszał go tak mocno, iż mu władzę pojmowania odbierał.... Zrozumiał tylko początek listu: — „Mój drogi” — i koniec jego — „Twoja.” Tego prawie mu starczyło.... Z wolna dopiero, przychodząc do siebie, mógł długie pismo to, przynoszące mu pociechę.... po wierszu, po słowie przelać do stęsknionej duszy....

— „Mój drogi, pisała Ada, siadam pisać do ciebie, sama nie wiedząc czy mam się z tobą dzielić bolem, który mnie uciska — czy pocieszać cię i dodawać męztwa.... Chciałabym odgadnąć co się z tobą dzieje, co ty cierpisz? czyś tak zbrojny i zrezygnowany jak my oboje być powinniśmy? Pamiętaj jedno: — nasze szczęście od nas samych zależy. Przeszkody, jakie stanęły na drodze, nie mogą być wieczne — a miłość powinna być wiekuistą. Ojciec twój ulegnie, gdy będzie widział stałe przywiązanie twoje, znajdziemy środki wpły-
nięcia na niego. Zmieni się wszystko.... Kochaj mnie tylko.... Kochaj tak jak ja kocham ciebie i pragnę być kochaną....

„Ale któż nam stracone godziny powróci?? Ja liczę je od wyjazdu twego, i wiekami się mi zdają.

„Chciałabym oszukać sama siebie — wyszukuję pracy, gorączkowego zajęcia — a pracować nie

umiem, tylko marzyć; to co we mnie budziło gorączkę, zimném jak lód mi się wydaje. Szukam ciebie myślami po szerokim świecie.... widzę cię, a siłą ser a magnetyczną pociągnąć ku sobie nie mogę.... Czujesz ty to, że ja wyteżam całą potęgę tajemniczą.... aby cię zbliżyć — porwać — zmusić powrócić do mnie.... Mnie się czasem zdaje, że ja czuję jak ty ciągniesz mnie wolą swą.... i zrywam się iść — i padam.... bezsilna. Nie można!!

.....„Wieszże ty o tém, że Oblęcki i Karolina, wzięwszy się za ręce, poszli w świat odemnie?... Uciekli.... Serce mi się ściska — ale oni choć godzinę byli może szczęśliwi. Czasem im szczęścia ich i nieszczęścia zazdroszczę. Nie mogliżbyśmy my uciec tak we dwoje i skryć się gdzieś na końcu świata...?

„Nie — nie! Ja nie chcę kradzionego szczęścia, gdy zdobyte mieć mogę....

„Chcę, byś był wesół i swobodny — proszę cię o to.... Ból to trwoga, my powinniśmy być mężni, bo wierzymy w siebie. Nie prawdaż? Bądź uśmiechnięty, wesół, niech nikt nie pozna, że cierpisz.... Ja się zmuszam, aby mi nikt z twarzy nie wyczytał bólu i nie litował się nademną. Nie cierpię litości....

„Karolina pisała do mnie przepraszając.... nie gniewam się, żałuję jój tylko! Nie wiem co się

z nimi stało, ani gdzie są nawet. Obojga odważa budził we mnie podziwienie, cześć niemal; ona uwierzyła w niego, on — gotów jest wyrzec się ideału artystycznego i zostać rzemieślnikiem dla niej. Nie jestże to godne uwielbienia poświęcenie?....”

Za czasów gdy Karol Marya Weber pisał Freyschütza, żyła w Dreźnie niemłoda panna, która pisywała do ówczesnych dzienników i miała pewną wziętość.

Gdy odegrano pierwszą operę jego, wystąpiła z krytyką straszną.... Spymano potem Webera o zdanie, jak pannę literatkę znajdował?

— Wyśmienita osoba, rzekł, ale nieszczęśliwa, cierpi brzydką chorobę, atramentu upływu powstrzymać nie może....

Na tę samą atramentową chorobę cierpiała panna Hortensya, nie mogła się powstrzymać od pisania listów. Stało się to dla niej nałogiem.... Wypadki zaszły w Ruszkowie, porwanie panny Karoliny — gwałtowny wyjazd przymusowy Roberta — pobudzały jeszcze do pisania.... Więc choć do szambelanowej, od ostatniej jej bytności, nie czuła szczególnego affektu, byłaby jej przynajmniej o wszystkiém doniosła, gdyby nie miała panny Dyakowskiej.

Na jój łono potrzebowała wylać wszystko co czuła i widziała. Nie wydając tajemnicy swój, w liście jednak dawała do zrozumienia, że do oddalenia Jazygi.... mogła się nieco przyczynić. Uważała to za rzecz sumienia....

List obszerny, złośliwemi uwagami i przypuszczeniami przeplatany, wyprawiony został na pocztę. Szambelanowa przynajmniej tak była plotek ciekawa, jak Hortensya do udzielania ich hojna. Panna Dyakowska przyszła do niej z tym listem.... i czytać go po dwakroć musiała — a wykrzyknikom nie było końca. Pełna zawsze sympatyi dla serc kochających się, staruszka losem panny Karoliny i Oblęckiego niezmiernie była wzruszona. Ale niemniej zajmowało ją nagle powołanie Roberta i to co Ada cierpiała. Hortensya nad tém cierpieniem z przyjemnością rozwodziła się w liście. Było ono jój dziełem — jój cichem zwycięstwem...

Sądzić było można chwilę, że szambelanowa tego dnia do wista nie siądzie, tak była poruszona i przejęta. Jednak gdy partnerowie nadeszli, nie mogła się wstrzymać, i to jój w smutku uczyniło niejaką dystrakcyę.

Drugiego dnia odwiedził ją Karol. Udzielenie tych wiadomości jemu, zajęło godzin parę. Rozprawiano, zastanawiano się, ubolewano.

Karol, który się nie krył ze szczególną sympatyą dla Sensytywy, nie mógł pojąć jak się ona

na taki krok ódważyć mogła. Żał mu jój było, gotów ją był ratować! ale gdzie i jak szukać tych zbiegów?....

Zarówno uczuł wyrządzoną Adzie boleść — przez oddalenie Roberta....

— Przynajmniej na to cośby radzić można! zawołał — Ada jest dumna — będzie wolała cierpieć niż krok jakikolwiek uczynić stanowczy.... Wie babcia co? Przedemną się ona tać nie będzie. Wie dobrze, że ją odgadłem.... Z duszy serca-bym pojechał.... i mógłbym jakimkolwiek sposobem.... może Roberta nazad ściągnąć. Żał mi jój....

Szambelanowa ani za tém, ani przeciw temu nie była. Karol się zapalił do téj myśli służenia kuzynce....

W przededniu wygrał był paręset rubli.... miał niezmierną ochotę na tę podróż je poświęcić — pojechać z kondolencją przynajmniej, a jeśliby się przydał.... puścić się na awanturniczą wyprawę za Jazygą.

Znudzonemu człowiekowi, który wrażeń szukał chciwie, była to pożądana gratka.

— Pojadę — słowo daję — pojadę — zawołał — nie wytrzymam. Przynajmniej, jeśli nic więcej, téj obrzydłej Hortensyi będę miał przyjemność do-jeść moją figurą.

Szambelanowa czyniła uwagi....

Panna Dyakowska z cicha pozwoliła sobie żartu, że może pan Karol opróżnione miejsce po panu Robercie zająćby sobie życzył.

— A! czemuż nie? odparł Karol — jako małżeństwo *rozumne*, nie mogłoby być lepsze nad to dla mnie — ale *rozumne* śluby są przekłęcie nudne, a zakochać się nie mam sposobu inaczej, chyba.... w piętnastoletnim podlotku!

Nazajutrz po téj rozmowie, bardzo rano wpadł Karol do babci, prawie po podróżnemu ubrany.

Pocałował ją w rękę.

— Wie, babcia — nie mogę wysiedzieć, jadę na parę dni do Ruszkowa. To rzecz postanowiona.

— Proszę o listy i rozkazy.

— Otoż masz! gorąco kapany — kiedyż?

— Dziś wieczorem.

Weszła panna Dyakowska usłyszawszy to.... Czyż być może?

— Słowo pani daję! Ada była dla mnie bardzo dobrą. Chcę się poświęcić na jej usługi. Familia jej dokuczyla, ja zmażę grzechy familii.... Dawajcie panie listy....

Szambelanowa zapytała zdziwiona:

— A zkadże pieniądze?

— W przeznaczenia wyrokach stało, abym je-chał.... rzekł Karol. Dla tego pozawczoraj Fortuna, która się zwykle niegrzecznie do mnie obra-ca, jakby mi za sobą zablocony ogon nosić kaza-

ła, tym razem zwróciła się do mnie twarzą... Twarz jój ma fizyognomię hollenderskiego dukata! Ładna bardo. Wygrałem trochę... i nie wątpię, że los to mi dał, abym mógł się dla Ady poświęcić...

Śmiały się obie panie słuchając, Karol się kręcił niecierpliwie i powtarzał:

— Jadę — jadę — jadę!

Trzeba było uwierzyć.

Szambelanowa mająca słabość do niego, znajdowała, że miał złote serce; a panna Dyakowska nie zaprzeczała temu, ubolewając, że głowa nie była z tego samego kruszcu.

Zasiadły do listów, a wieczorem przed herbatą zaszedł Karol po listy. Był niecierpliwy, tak pilno chciał już ruszać w pomoc pięknej kuzynce...

Ada rozrywała się jak mogła, najwięcej muzyką, aby czas skrócić nieznośnie długi, i pozbyć się Hortensyi, która muzyki znieść nie mogła. Właśnie Rubaszek grał jój coś wielce poważnego w poobiedniej godzinie, gdy kamerdyner wszedł oznajmując o przyjeździe pana Karola i zapytując gdzie go ma postawić? Przybycie to zdziwiło mocno Adę, ale miłe jój było — przerywało nudę, odrywało od Hortensyi.

Kazała w dawném jego mieszkaniu postawić kuzyna, i powiedzieć mu, że na niego czeka w sa-

lonie. Karol ledwie się trochę przebrawszy, pośpieszył.

Nikogo nie było. Ada podeszła ku niemu poważnie, ale z uśmiechem.

— Jakiż to wiatr szczęśliwy was tu przygnał?

— Moja dobra wola — odparł Karol — przybyłem umyślnie....

— Doprawdy!

— Tak jest — skłonił się Karol — najprzód z kondolencją nad stratą dwojga takich istot w salonie potrzebnych, jeśli nie w sercu — jak biedna Karusia i Mirosław — powtóre....

Tu zawahał się.

— Powiem odważnie — dodał — pan Robert odjechał!

Ada się zarumieniła.

— Tak, odpowiedziała chłodno — odjechał. Wezwał go ojciec.... Dziwniejsza rzecz, że podobno wracać mu tu zabroniono, tak pan major nasze sąsiedztwo uważa za niewłaściwe dla syna towarzysztwo....

— Czyż być może?

— Zdaje się, że tak jest!

Spojrzał na nią pan Karol wzrokiem pełnym współczucia....

— Niezmiernie mi żal tego pocziwego Roberta — on tam się zatęskni, zamrze, zameczy...

Ada spoglądała w okno.

Szelest sukni oznajmował nadejście panny Hortensyi, która śpieszyła dowiedziawszy się o Karolu, wyciągnąć coś z niego, dowiedzieć się, a choćby przeszkodzić rozmowie.

— Cóż pan tu robi? zawołała zdumiona — oczom nie wierzę!

— Puściłem się w pogoń za panną Karoliną, którą mi porwał ten niegodziwy Oblęcki — rzekł Karol śmiejąc się.... Jestem w rozpaczach....

— Myślę, żeś pan powinien być szczęśliwy — wtrąciła Hortensya, — bo panu oszczędził próżnego bałamuctwa.... i może go wyręczył....

— Ale — masz pan listy?

— Mam, rzekł Karol — bo jadę wprost od stolika wista babci — która zasłała najpiękniejsze ukłony....

— Jakże przyjęła wiadomość o nieszczęściu Karusi? pytała Hortensya.

— Z prawdziwem współczuciem. Któżby mógł inaczej!...

— To szczęśliwie dla niej — dorzuciła Hortensya — bo przynajmniej w krótkim czasie, gdy będzie szukać musiała schronienia, znajdzie je u rodziny.

— U mnie pierwszego! zawołał Karol pół żartem — przebaczę jej przeniewierstwo i przyjmę jak marnotrawną synowicę....

Mimowolnie Ada się uśmiechnęła.

Przy tém smutném jój usposobieniu, Karol był doprawdy pożądanym. Szczebiotał, żartował, nie dawał się zamyślać — ostudzał....

Wszyscy go tu witali przyjacielsko, a pułkownik szczególnie. I on rachował na to, że dystrakcyja się przyda.

Karol z czém inném przybył i dalej sięgał śmiałemi myślami. Chciał służyć czynnie Adzie, nie wiedział tylko jak ma do tego przystąpić, jak się jój narzucić.

Wieczorem, znowu Rubaszek grać musiał, Ada siedziała milcząca, z rękami założonemi, — i prosiła coraz o coś nowego, aby mówić nie być zmuszoną.... Rozeszli się dnia tego bez poufnój rozmowy — a z salonu pod rękę ujawszy pułkownika, Karol go na folwark odprowadził.

— Co to się tu u was porobiło? spytał — co się z Robertem stało?

— Major dziwak — rzekł Brandys. W głowie mu się coś ubrdało.... nie wiem, i syna ztąd wyrwał....

— Przywidziało mu się — co? zapytał Karol — mów otwarcie — pułkowniku....

Brandys spojrzał.

— Jakby to panu mówić potrzeba!

— Masz słuszość — rozśmiał się Karol — wiem o co mu chodziło — ale — przepraszam cię za kolegę twojego pułkownika — to człek postrzelony!

Wydało mu się, że Robert kocha się w kuzynce—
mogło być coś dlań szczęśliwszego niż pozyskać
serce, a może i rękę takiej kobiety?

— Prawda? podchwycił Brandys — prawda? i jać
to mówię. Szalony człek, duma szlachecka!

— Między nami pułkowniku.... jak ci się zda-
je? miało to podstawę??

Zagadnięty poezął cygaro ogryzać....

— A panu jak się zdaje? szepnął cicho: he?—co?

— Szczerze i otwarcie — zdaje mi się, że oni się
chyba kochają — i że Ada pierwszy raz w życiu....
biedaczka, uległa uczuciu, któremu się broniła
długo.

— No, to ja powiem panu teraz — że — i ja
tak myślę....

— A no — kochany pułkowniku! oni sobie rady
nie dadzą! Słowo ci daję. I ona ma swą dumę, i
major swoją. Może trwać wieki ten upór, a gdy
się będą mogli pobrać, nie będzie już po co. My,
ich przyjaciele — radźmy!

Pułkownikowi aż oczy zajaśniały.

— *Crè nom d'un nom!* zawołał — to mi z was
człek. Jabym za moją dobrodziejkę, i dla jój szczę-
ścia, życie dał, ale cóż tu począć? co?

— Zmiluj się — jasna jak na dłoni — krzyknął
Karol. Oni będą z sobą szczęśliwi, możemy z czy-
stém sumieniem działać.... Jam gotów — nic nie
mam lepszego do roboty....

— No — ale cóż? ale jak? Nawracać majora?

— A! ktoby go tam próbował nawet przedysputować!... zawołał przybyły. Tu jedna jest rada — jechać, Roberta zbuntować, zbałamucić, ślub przygotować, a gdy we dwoje potem do ojca przyjadą — byłby kamiennym gdyby się oparł....

Brandys począł ścisnąć Karola, tak był ucieszony jego pomysłem.

— Tak — ale na ślepo, bez jój woli.... a nuż? a któż ją wie?

— Spenetrujemy jój wolę. — rzekł Karol — a to wiem, że działać trzeba.... Ja się poświęcam — choćby mi się z majorem strzelać przyszło....

— A! strzela jak sztukmistrz! zawołał pułkownik. Na ostrzu noża kule przecina....

— A no — ja też nieźle — spróbujemy się gdy będzie potrzeba.... śmiejąc się odparł Karol....

Tak się zaczęła rozmowa, która trwała do późnej nocy. Brandys dał się przekonać — jednak raz dził wprzód próbować rozmowy z Adą.

Na śniadanie przybył kanonik — o rozmowie téj więc myśleć nie było można. Ksiądz hrabia korzystał z oddalenia Roberta, usiłując dawną przewagę odzyskać nad umysłem gospodyni. Mówiła z nim chętnie po całych godzinach o sprawach kościoła, o potrzebie niezmiernéj rozbudzenia uczucia religijnego, które gasło pod wpływem sceptycyzmu przerodzonego w obojętność i zastygnięcie. Brała

do serca tę sprawę, gotowa była zawsze do ofiar dla niej, ale kanonik mógł dostrzedz, że nie tak jak dawniej — gdy sama czynną być chciała i poświęcić się — teraz środkami tylko, jakie miała do rozporządzenia, działać była gotowa. Szczytne owo powołanie mistrzyni jakiej wielkiej instytucji, mającej kształcić niewiasty na przyszłych pokoleń matki — już się jej nie uśmiechało. Mówiła, że sił nie czuje w sobie ku temu.... Kanonik z wielkim taktem, działał powoli, wiedząc z dawnego doświadczenia, czém i jak na umysł jej żywy mógł wpłynąć. Pamiętał o tém, że i dawniej, gdy się wszelkiego wypierała uczucia, więcej na nią działały wrażenia niż rozumowania — że na imaginacyę więcej niż na przekonywające argumenta mógł rachować.

Z cierpliwością też i umiarkowaniem, szedł powoli, krok za krokiem, zdobywając na nowo, co utracił w ostatnich czasach — a przekonywając się codziennie, że łatwiej jest na świeży umysł wpływ wywrzeć, niż raz z drogi zbity i emancypowany odzyskać powtórnie.

Przyjazd Karola, który wioził z sobą płochą rozrywkę, lekkie rozmowy, cały szereg innych pojęć — nie był na rękę duchownemu. Panna Hortensya tylko się pocieszała, że on tu długo wytrwać w surowej, chłodnej atmosferze nie może, że nie należało mu ustępować — ale go zmusić do ustąpienia.

Trafiwszy na rozmowę poważną, Karol dowiedział, że z poszanowaniem słuchać umiał — doszedział przy niej cierpliwy, aż zlitowawszy się nad nim Ada, zwróciła się ku niemu. Kanonik kilku słowy dokończył — i oddalił się nieznacznie.

— Niezmiernie mnie to obeszło — odezwał się Karol, gdy sami zostali — żem pana Roberta nie znalazł. Cóż to za kaprys?...

— Mówiłam wam — ojciec go powołał.

— Nieznośny ojciec! *Ils n'en font jamais d'autres!* odezwał się Karol. Pusto bez niego... ot tak, jakoś się nawykło było widzieć go tu, że mi braknie téj pocziwój, uśmiechniętej jego twarzy młodzieńczej.

Ada zmllezała, spuściła oczy — potem je śmielej podniosła na Karola....

— Dla czego o tém wspominaleś? spytała — mów szczerze....

— Szczerze! to będzie trudno — śmiał się Karol; ale — na pół — tak....

— Nie, całkiem.... dodała Ada, nie lubię żadnych półśrodków i półsłówek....

— Ja także. A więc, szczerze? rzekł kuzyn.... Mówiłem to dla tego, że mi się zdaje, iż i pannie Adzie po nim tęskno...?

— Czy panna Ada, ma także być szczerą? uśmiechając się rzekła gospodyni.

— Sądzę, żem do tego zyskał prawo.

— A więc — ta Ada przyzna się panu Karolowi, że jój nietylko tęskno — ale nawet bardzo przykro....

Trochę oczy spuściwszy, trochę zawstydzwszy się, podniosła je.

— Cóż chcesz? mówiła dalej. I ja nawykłam widzieć tę pocziwą twarz uśmiechniętą przy sobie. Był to mój wychowaniec niemal.... Lubiałam go bardzo — odebrano mi go tak bez litości.... i tak bez nadziei, że mi go powrócą.

Karol ciągle patrzył jój w oczy i dumał.

— Kochana kuzynko — odezwał się, gdy ciszej coraz wymawiane słowa jój na ustach zamarły — trochę bo mam za złe pocziwemu nad to może Robertowi, że tak strasznie jest ojcu posłuszny.

— A! mój panie Karolu — przerwała, ty dawno straciłeś ojca, ty nie pamiętasz matki, ty nie wiesz co to jest węzeł ten święty, który dzieci z nimi łączy. Ja mu tego za złe nie mam....

— Ale to ojciec.... ślepy i....

— Jest ojcem, darujmy mu — dodała Ada, chcąc wstać, aby trudną przerwać rozmowę. Karol ją wstrzymał.

— Mnie się zdaje — odezwał się — że sam ojciec kiedyś byłby za to wdzięczny, gdyby dziś — trochę mu syna zbuntowano.... Ja taki jestem Don Kiszot w tych sprawach, że gotówbym się porwać.... jechać....

Szybkim krokiem jakby go słuchać nie chciała, oddaliła się z razu Ada, potem powróciła milcząca, stanęła przed nim, czekając co powie. Rumieniec wystąpił jój na twarz, czuć było, że serce biło, że się obawiała zuchwalstwa Karola i wdzięczna mu była za nie....

— Nigdy nie byłem w tamtych stronach, koło tych Żabliszek — odezwał się niby obojętnie Karol — mam wielką ochotę odbyć małą wycieczkę w te nieznane kraje! Któż wie! Spotkałbym się może z Robertem.... Ręczę, że byłby mi rad.... Mam taką odwagę Livingstonowską, że nie wahałbym się w oczy spojrzeć dzikiemu majorowi. Gdybyś mi kuzyneczko dała jeszcze jaki list introdukcyjny!

— Ja! a toby ci pięknie posłużyło! rozśmiała się Ada....

— Do Roberta nie do majora! poprawił się Karol. Ada zarumieniła się znowu.

— Co wygadujesz? Co ci się śni, panie Karolu....

— Mówię co myślę — mam ochotę jechać do Żabliszek — a — co więcéj — sędzę, że gdybym się tam dostał, Roberta przywiózłbym z sobą.

Zadrgała Ada i odwróciwszy się znowu poszła parę razy przejść po salonie.... z głową spuszczoną.

— Nie rób proszę cię awanturniczych projektów, rzekła głosem słabym — to tylko drażni.... A z tego nic być nie może.

— Jakto nie może? podchwycił Karol gorąco — ja za skutek ręczę.... ale, trzebaby mi dać pełnomocnictwo, i — zaufać....

Ada odeszła zniecierpliwiona....

— To są żarty, rzekła po przestanku — a mnie żarty kołają jak pokrzywa. Nie lubię ich....

— Nie chcesz być ze mną otwartą i szczerą, — odezwał się Karol — nie będę się narzucał; powiem ci tylko na prędce, bo słyszę nadchodzącą pannę Hortensyę, że przybyłem tu umyślnie, aby ci służyć — i gotowem.... choćby się zaawanturować.

Na odpowiedź nie było już czasu, w istocie panna Hortensya nadchodziła. Pomimo całej swój przenikliwości, nie mogła się ona domyślić planów pana Karola, posądzała go o wcale inne — o próbkę wkupienia się w serce i łaski pięknej Ady, a temu sobie z całych sił obiecywała przeszkadzać....

Zwrócono rozmowę na państwa Oblęckich, domyślając się, wnioskując gdzie oni podziąć się mogli, kto im mógł ślub dać i jak sobie radzili. Panna Karolina miała po prawdzie parę tysięcy złotych, darowanych jój przez Adę, Oblęcki zaledwie drugie tyle.... Z tém można było wyżyć kilka miesięcy — lecz, dalej?

— Jestem prawie pewna — odezwała się Ada: że Oblęcki teraz dopiero zostanie artystą, będąc zmuszony trzymać się na wodzy.... Miłość dla Karusi uczyni go takim....

— Rzemieślnikiem! — zawołała Hortensya....

— Nie — dosyć jest wykształcony i ma talent.... trochę rzemiosła mu nie zaszkodzi, mówiła Ada — miał go dotąd za mało.

Karol także tak myślał, Kassandra Hortensya prorokowała najokropniejsze następstwa i zaręczała, że widzi już jak po roku Oblęcka z dzieckiem na ręku powróci do Ruszkowa.

— Przyjęłabym ją całym sercem! zawołała Ada — i może być pewną, że we mnie zawsze znajdzie siostrę....

— Ty bo lubisz być siostrą! z przekąsem, ledwie dosłyszonym głosem, szepnęła złośliwie Hortensya. Nie byłaś dla niej dawniej zbyt czułą.

— Tak — bom chciała zbytnie jój rozczulanie się pohamować. Teraz! znalazłaby we mnie współczucie....

— Znajduję, że w tém i w wielu innych twych przekonaniach i zapatrywaniach się — jesteś od niejakiego czasu wielce zmienioną.

— Bardzo być może — potwierdziła Ada.

— Kanonik to także znajduje — domówiła Hortensya.

— I ma słuszość — spokojnie rzekła Ada — bo ja to czuję sama....

Na to niepodobna już odpowiedzieć było, a Karol, chcąc weselój to obrócić, dodał:

— Żeby panna Hortensya wiedziała — jak ja — ja nawet — zmieniłem się nadzwyczajnie. Teraz kołój na panią, abys w nowój metamorfozie ukazała się nam świetnym motylem.

— Dziękuję — zawołała Hortensya — byłam więc poczwarką?

Karol się po ustach uderzył i wyciągnął rękę, domagając się jój dłoni, aby na nią złożył przeproszenie. Nie dała mu jój obrażona... lecz rzut oka groźny przybiecywał zapłatę.

Ada, aby się nie śmiać, usta ścinała i chodziła po pokoju....

I znowu dzień tak do wieczoru przeszedł zwykłym trybem; nowy tylko żywioł przyniósł z sobą Karol, który przy każdej zręczności coś wesołego i płochego umiał wtrącić.

Następnego dnia, gdy dla braku zajęcia Karol wdał się z Habichtem w rozprawę o roślinach, dowodząc mu, że można było drzewa sadzić do góry korzeniami, a w ziemię gałęźmi, i że w takim razie następowała metamorfoza jednych na drugie — przeciw czemu ogrodnik się oburzał — nadeszła panna Ada.... Ożywiona była bardzo.... Kwiatki ją zajmowały, przysiadła do nich, chwytając doniczki, kazała sobie niektóre przysłać do pokoju. Karol postrzegł, że niezwykle była rozgorączkowana. Nie domyślał się, że tego ranka właśnie półkownik jój list Roberta drugi czy trzeci odesłał.

Brandys pośredniczył w téj korespondencyi w sposób nader delikatny. Listy odsyłał, nigdy o nich nie mówiąc nic — jakby nie wiedział od kogo są i z kąd się wzięły. Ada mu o nich też nie wspominała — i była wdzięczna, że jój oszczędzał rumieńca.

List Roberta wlał w nią to życie nowe. Z niego się trudno było dowiedzieć co więcej nad to, że kochał i tęsknił. Strzegł się o ojcu pisać, obwiniać go, narzekać nań.... O sobie mówił mało, serce tylko wylewało się w liście i tęsknota.... i nadzieje. Ada zaraz po odebraniu go z rana, siadła odpisać — dodając mu meztwa.... Chciała być prawie wesolą w téj odpowiedzi, ale tęskne to były dowcipy.... Żądała od niego opisu wioski, domu, pokoju.... i całego dnia jednego od rana do wieczoru.... Mówiła mu, że chciała być myślą z nim, a nie umiała odgadnąć co go otaczało....

List ten za ledwie wyprawiła na pocztę, pobiegła do ogrodu, weselsza daleko niż wczoraj. Karol był rad bardzo, że ją spotkał samą, chcąc na nowo przerwanaą zawiązać rozmowę. Z razu było to niepodobieństwem. Habicht i kwiatki zajmowały ją całą.

— A pan lubisz kwiaty?— spytała....

— Ja? właściwie — jakby to powiedzieć — rzekł Karol — ani ich lubię, ani się niemi brzydzę. Wolę owoce! Kwiatki szanuję jako ich obietnicę....

— Prozą jesteś — uśmiechnęła się Ada....

— Proza, kochana kuzynko — mówił Karol — potrzebna jest na świecie dla równowagi. Gdyby saméj poezyi świat był pełen, wywróciłby się.... My, proza, stworzeni jesteśmy na to, aby nami poezya żyła.... Skromna rola — ale potrzebna....

Tak rozmawiając wyszli z inspektów i skierowali się ku pałacowi.

— Zwiedzałem dziś pustą pracownię Oblęckiego — począł Karol.... została ona w tym stanie, w jakim ją biedny artysta osierocił.... Na jednej ścianie ogromna ośła głowa będąca jego własnym wizerunkiem.... na drugiej anioł lecący z osłoniętą twarzą.... Przez zasłonę poznać w nim można niby rysy Karoliny.... Zgrozą mnie przejęło jedno — dodał Karol — wizerunek niezmiernie przypominający pannę Hortensyę, którą artysta pojął jako — Harpię....

— A!! rozśmiała się Ada....

— Musiał te nowe dodatki w pracowni na murze w ostatnich dniach chyba, silnie rozdrażniony porysować, bo dawniej ich nie było....

— A mnie tam nie znalazłeś pod jaką postacią? — spytała Ada....

— Nie — Oblęcki miał cześć dla was.... i wątplię, żeby śmiał tknąć ideał....

— O! ideał! — trochę nachmurzona rzekła Ada: wiesz dobrze jak mało nim jestem.... Czuję się wielce śmiertelną i ułomną istotą!

— Sąd nam zostaw — przerwał wesoło Karol. Ale ja — korzystam z tego, że zdajemy się być sami....

Obejrzał się do koła.... w istocie nie było nikogo.

— Chciałbym uparcie wczorajszą moją na nowo począć rozmowę. Myślę jechać do tych Żabliszek.... możebyście mi dali jakie polecenia?

— Piękne ukłony....

— Jestem ciekawy majora — stosunku jego do syna, Robertowego oblicza.... i będę go srodze buntował! Z góry to zapowiadam.... Tak ufam sile méj wymowy, potędze argumentów — iż mi się zdaje, że Roberta tu nazad przywiozę — ale żeby nam znowu nie uciekł, proponuję środek niechybny. Ożenił go tu — choćby z panną Hortensyą.

— A! to uciekłby niezawodnie! śmiejąc się rzekła Ada....

— Ożenimy go z kim innym — słowo daję....

Ruszając ramionami, przodem iść zaczęła ku pałacowi gospodyni.

— Jak już jesień czuć w powietrzu! — odezwała się.

— Jesień — to właśnie pora, gdy się nasi poczciwi kmiotkowie, którzy teraz są bardzo w modzie — żenić zwykli....

Po długim dosyć milczeniu, Ada odwróciła głowę ku idącemu za nią Karolowi; nie widać było gniewu na jej twarzy.... Karol rwał liście z drzew i bawił się niemi.

— Jak się kuzynce mój projekt podoba? — zapytał....

— Jaki projekt?

— Ażeby go tu przywieźć i — ożenić.

Ruszyła ramiona i szła dalej.

— Mówię seryo — kończył Karol. Mnie się to uśmiecha. Raz w życiu zrobiłbym coś dobrego — miałbym dużo krzątaniny, trochę intrygowania.... nieco komedyi do odegrania. Wszystko to są pożądane *intermezza* w takim nudnym życiu jak moje....

— Więc to tylko przez egoizm.... dla zabawy rzuciłbyś się w tę kąpiel gorącą? — zapytała Ada....

— We wszystkich uczynkach ludzkich jest to ingrediencya *sine qua non*. Czy czuć ją czy nie — a jest. Ale mam szlachetniejszą pobudkę do obszycia po wierzchu egoizmu — miłość dla Roberta — i jeszcze może dla kogoś....

— I przez tę miłość — chciałbyś go uwikłać w położenie fałszywe — narażać na nieobrachowane skutki....

— Skutki są obrachowane jak dwa a dwa cztery, kochana kuzynko. Zwykle się to odbywa takim trybem. Syn żeni się wbrew woli ojca.... potem z synową jedzie go pięknie przeprosić — ojciec się rozczula, błogosławi, dają do stołu.... i wszystko się kończy zdrowiem państwa młodych.

— W komedjach — odpowiedziała Ada — ale w rzeczywistości kończy się czasem wyparciem dziecięcia, długą męczarnią i złośliwem ludzi potępieniem.

— To się trafia kochana kuzynko — ja ci powiem kiedy — rzekł Karol idąc za nią ciągle: — na-przód kiedy szanowny ojciec ma kilkoro dzieci — powtóre, kiedy syn żeni się z ekonomówną, mającą w posagu krowę i kuferek...

Ada zaczęła się śmiać.... Byli już w progu pałacu, na wschodkach do werandy wiodących.... Stała na niej panna Hortensya, poprawiając czarne mitenki.

— Jakże mnie to cieszy — zawołała — że widzę Adę, po raz pierwszy — od — od — jakby to powiedzieć — ha! od ucieczki Karoliny — w tak dobrym humorze.... Zawdzięczamy to Karolowi.

— Tak jest — potwierdziła Ada.... gość to bardzo miły, przynosi z sobą choć trochę wesela....

— Myślę też, że pan Karol — nie bez pewnych idei weselnych tu pośpieszył — cicho do przechodzącego szepnęła Hortensya, — ale mogę mu zaręczyć — że z tego nic nie będzie!

— A! rzekł zatrzymując się z ukłonem Karol — podziwiam przenikliwość pani! Odgadujesz tajemne myśli.... dobywasz z piersi mych tajemnic! Co za cudowna siła!

Rozśmiał się dziwnie, tak, że panna Hortensya się zmieszała, i odszedł w ślad za Adą.

Od tego momentu, powziąwszy jakieś podejrzenia, panna Hortensya pilniej zaczęła go szpiegować, usiłowała podsłuchiwać — lecz mimo wielkiej w tej sztuce biegłości, ani słówką pochwycić nie mogła. Słyszała tylko niezmiernie ożywione rozmowy między Adą a Karolem, tak że z dala się jej sprzeczkami wydawały, potem ciche narady, czasem śmiechy....

Przeczuwała, że coś się tam osnuwało, działo, czego ona dojść nie mogła. Niekiedy posądzała już kuzynkę o niestałość, o zmianę uczuć, zajęcie się Karolem — lecz choć byli z sobą bardzo dobrze i poufale, tych znaków, po których rodząca się i rozwijająca, choćby tajona miłość poznać się daje — nie pochwyciła. Ze swój strony, ile razy się znalazła sam na sam z Adą, nie omieszkiwała okrywać Karola to śmieszością, to pogardą, szeroko

się rozwodząc nad jego płochą przeszłością i brakiem charakteru...

Kuzynka ujmowała się za nim, ale w tych sporach nie było żywego zajęcia, jakie sprawa wybranego obudza. Ada zbijała chłodno zarzuty, lub milczała roztargniona.

Hortensya malowała go jako wielce niebezpiecznego człowieka, z czego tamta uśmiechała się tylko. Wszystko to gniewało intrygantkę i pobudzało do nowych a coraz nieszczęśliwszych kroków.

Rozgniewana powiedziała raz wręcz Karolowi: — Wiem, z jaką myślą tu przybyłeś — ale mogę ci zaręczyć, że z nią sobie i z harbuzem odjedziesz nazad.... Przez samą miłość dla Ady, po świeżej kompromitacyi jój — nie godzi się na to pozwolić! Miałoby to minę, że potrzebowała się wydać gwałtownie i wzięła.... takiego pana Karola....

Rumieniec wytrysnął na twarz rozgniewanemu, który o mało nie wybuchnął, — po namyśle jednak rozśmiał się, popatrzał na nią, ruszył ramionami — i odszedł.

Pobyt pana Karola w Ruszkowie trwał tydzień z okładem. Jednego dnia po rozmowie dłuższej z Adą, pan Karol oświadczył przy obiedzie, że nazajutrz wyjeżdżać musi.

Hortensya się zdziwiła, nie wiedząc czy to było skutkiem jój zabiegów i zwątpienia, czy — jakimś

podstępem. Nie umiała też sobie wytłómaczyć dobrego nadzwyczaj humoru Karola — czy był udanym dla pokrycia klęski, czy prawdziwym.... Na twarzy Ady widziała jakby zamyślenie, wahanie się, niepewność, obawę.... równie trudne do zrozumienia. Tajemnica ją gniewała. Wyrzucała sobie samą, że nieostrożnym postępowaniem była jej przyczyną. Widziała teraz, że należało jej nie wypowiadać Karolowi wojny, a szkodzić mu potajemnie. Poprawić się było za późno.

Przez cały czas pobytu Karola, kanonik był na czatach — ale trochę z daleka. Wyjeżdżał do dekanatu, wracał, przypatrywał się, czasem przysiadł do rozmowy, i pilno obserwował wszystko.

Zdaje się, że równie jak panna Hortensya — mało mógł rozumieć. Był tego zdania w końcu, iż przybycie pana Karola było prostą próbą nieudaną, do której żadnego nie można było przywiązywać znaczenia.

— Ja się nie obawiam dla niej pana Karola — uspokajał Hortensyę — *elle à l'esprit trop élevé*, aby w nim zasmakować mogła. Nie ma też powierchowności, któraby niebezpieczną była dla instynktów zmysłowych. Wierz mi pani — w tém wszystkiém nie ma nic, coby zastraszać mogło.

— A te długie na osobności poufne rozmowy?

— O! szukanie dystrakcyi! nic więcej. Widzisz pani sama, że sentymentu śladu nie ma....

Panna Hortensya szła w swych domysłach tak daleko, iż prawie ich nie śmiała kanonikowi powierzyć.... Kazała mu je odgadywać.... Kanonik na to z oburzeniem i ruchem ręki odtrącającym odpowiadał, nie chcąc tych przypuszczeń ani nawet uwzględnić....

Na to panna Hortensya z pokorą schylała głowę.

Dnia, na który podróż pana Karola była zapowiedziana, znowu długa jakaś rozmowa w pokoju przytykającym do apartamentu pani, zwróciła uwagę i ciekawość Hortensyi. Wyszli z niej poważniejsi niż zwykle, Ada prawie zasepiona — lecz dla Karola okazywała nadzwyczajną uprzejmość. Nie pogniewali się to pewna — a rozstawali jednak podrażnieni. Co to znaczyć miało? Karol był wesół i wcale nie zakłopotany.... Napróżno sobie kuzynka głowę łamała....

Na drogę z nadzwyczajnem staraniem wyprawiono gościa, jakby kogo z domowych.... Uderzyło i to pannę Hortensyę, że zamiast jechać do Warszawy wprost, Karol z pułkownikiem gdzieś jeszcze w bok się udał, a dokąd? dowiedzieć się nie było podobna....

Dopiero w kilka dni badając ludzi, doszła panna Hortensya, że Brandys zawiózł pana Karola na polowanie do Zahajów, gdzie w towarzystwie nowego ekonoma spędzili godzin kilka.

Trudne i to było do zrozumienia, bo w Ruszkowie o polowanie łatwiej było, niż na małym folwarku, a towarzystwo jakiegoś pana Burakowskiego — tak dalece pojętném nie było. Tymczasem ludzie zapewnili ją, że z tym ekonomem pół dnia po lesie chodzili....

Po wyjeździe Karola — zwróciła kuzynka pilne oko na Adę.... Znała ją dość dobrze, by z niej wyczytać, po za tém co było przybrane — rzeczywiste jej usposobienie. W milczeniu przypatrując się jej — znajdowała smutną, zadumaną, podrażnioną, lecz w inny sposób niż wprzód. Tam była rezygnacya, teraz się przebijała niecierpliwość trwożliwa.... Co kilka dni następował rodzaj paroksyzmu i rozweselenia — tak regularnie, iż przebiegła panna Hortensya przyczyn się jakichś musiała domyślać. Zaczęła śledzić. Dni te ożywieńsze przypadały na pocztowe!!

Idąc dalej — doszła kuzynka, iż od pułkownika, jego ręką adresowany zwykle przynoszono list jakiś spory, który odebrawszy Ada się zamykała, a gdy potem wyszła, oczy miała pełne blasku i twarz zarumienioną. Domyśliła się, że Brandys być musiał pośrednikiem korespondencyi. Doszedłszy do tego, panna Hortensya, przy pierwszej zręczności, udając wtajemniczoną, dała mu uczuć, że wie o tém. Rachowała na dobroduszość Brandysa, lecz zawiodła się na niej, bo ostrożny sta-

ry wiarus nadzwyczaj naiwnie udał, że nie wie o co chodzi.

— Jakie listy? co? posyłam pani dwa razy na tydzień rachunek kassowy.... zapieczętowany, boć nie trzeba, aby tam każdy nosa wtykał...

Odprawiona z niczém, panna Hortensya, przez służące starała się — niby dla marek pocztowych — o koperty, które Ada wyrzucała.

Są takie stany ducha — w których intryga, szpiegowstwo, stają się pokarmem, co jedynie nasycić może. Odpowiadają one tym nienaturalnym guśtom dzieci, które jedzą lak i krede. Panna Hortensya miała właśnie tę chorobę, że brzydkimi rzeczami żyć była zmuszona....

Koperty.... które przyniesiono jój na żądanie.... były zupełnie niewinne.... Na żadnej z nich nie znalazła ręki Roberta, którą znała.... Lecz jak sobie wyobrazić mogła, że ktoś zakochany, kawałek papieru, który ręka droga dotknęła, wyrzuci do koszyka, na śmieciisko? Panna Hortensya, choć miała może doświadczenie dawne — zbyt już daleko znajdowała się od tych lat młodości.... by symptomata wszystkie przebytej choroby mogła zapamiętać.

Smutno jój było biedaczce! Chciała wyjeżdżać — i nie miała odwagi....

— Jak się to wszystko skończy? mówiła do siebie — jestem niezmiernie ciekawa....

Kanonik miał nadzieje najlepsze. Mimo wielkiego rozumu, doświadczenia, znajomości ludzi — nie był w stanie walczyć z kobietą i zrozumieć jej. Spokój, z jakim Ada długie godziny spędzała z nim na rozmowie o najpoważniejszych przedmiotach, był dlań rękojmią serca już rozkutego z więzów i przywróconego pod panowanie rozumu.

Niecierpliwił się podejrzeniami Hortensyi, a niekiedy przestrzegał ją, że mogła zawinąć zbyt złém wyobrażeniem o bliźnim. Naówczas panna Trocka milczała pokornie, słuchała nauki — ale jej to wcale nie uspakajało. Ada była dla niej zagadką. Wiedziała o jej fantazyi dla Roberta.... naocznie się przekonała o blizkich stosunkach — nie mogła zbadać ich natury.... Raz obawiała się, aby przed ołtarz nie zaprowadziły, to znowu pewna była, że dumna i nawykła do niepodległości Ada, rozmyśli się i — skosztowawszy zakazanego owocu — odrzuci go ze wstrętem — powracając do dawnego życia. Z sobą były zawsze jednakowo. Ada okazywała się dla niej łagodną, powolną, przebaczącą aż do zbytku, co upokarzało i gniewało Hortensyę.... Nie mogła jej niczem doprowadzić do sporu, do jawnego okazania sobie niechęci....

Chciała wyjeżdżać — ofiarowano się jej podróż ułatwić; namyśliła się pozostać — przyjęto ją chętnie. Dogadzano jej kaprysom — a Ada nawet, gdy złośliwe przycinki doprowadziłyby każdą inną do

niecierpliwości, ledwie zarumieniona odpowiadała na nie milczeniem.

Wszystkie usiłowania majora, aby syna wyprowadzić z tego stanu odrętwiałości, który jego wiekowi nie był właściwy i kazał się domyślać cierpienia — nie powodziły się. Okazywane przywiązanie najczulsze, znajdowało go wdzięcznym, czułym, ale milczącym i zamkniętym.

Major się więcéj gniewał na siebie niż na syna. Rachował na czas, dni upływały bez zmiany najmniejszéj, tyle tylko, że Robert coraz bardziéj pogrążony był w zadumie i smutny.

Jazyga pojechał do Erdziwiłła.

— Słuchaj ty stary — rzekł siadłszy pod kasztanami — a żebyś ty jego wziął na spytki? Możeby się on wypowiedał przed tobą? he?

— Wątpię — ale popróbować mogę! bąknął sędzia.... Tandem to zła zawsze droga, do własnéj stodoły przez cudze jechać podwórze....

— Otwarcie z nim mów!

— Czegoż ja się od niego dowiem? że się kocha? a daléj?

— Powiesz mu, że do trzystu fur, z tego nie być nigdy nie może. Nie dopuszczę mu na fartuszkę siedzieć i w pana się bawić cudzym kosztem. To dobre dla gołych książąt, dla tych

pseudo-hrabiów i hrabiczów, co za konfitury godność ludzką oddają — ale nie dla nas, drobnój szlachty.... Nie! My wolimy razowy chleb i rzepe a.... z honorem.

— Ja mu tego nie powiem, bratku, tak ładnie jak ty — począł Erdziwiłł ruszając ramionami. Posłuchaj ty mnie i łaj potém.... Ja przekonanie od twojego mam odmienne. Supponuję, że się dwoje ludzi co się zowie tego kocha.... i duszą i ciałem.... Jedno gołe, a drugie złotolite.... Więc dla tego, że tam kupka złota koło niej leży.... to mi się zbliżyć nie wolno?

— A! nie wolno! nie! krzyknął major — wara!

— No.... lepiej, żeby skiśli oboje, poschli, pomarli...?

— E! e! z kochania! kto to widział?

— Ja! zawołał Erdziwiłł.

— Gdzie...?

— Niedaleko, w Żabliszkach, znałem pewnego majora, co gdyby się był z familiantką, której mu nie dawano, nie ożenił gwałtem, byłby sobie w łeb palnął. Sam mi to mówił!

Major się rzucił.

— To co innego było!... Tam.... widzisz.... tam nie szło o pieniądze....

— A ty myślisz, że tu o nie idzie? Twój syn ani myśli o nich....

— Ale go ludzie posądzają.

— A! jechał ich sześć! bratku — porwał się sędzia — a niech sądzą! A jabym miał dla ludzkiego sądu głodem mrzeć i z pragnienia umierać?

— Tu nie o to idzie — przerwał major zbity i gniewny — ale mi dziecko z mojego świata, od mojego serca, z obyczaju pocziwego wyrwą w świat fałszu, obludy.... komedyi.... Arystokracja patrzeć nań będzie jak na intruza.... a szlachta plunie na apostatę.

— O ho! ho! fiu! Daleko jedziesz, a zmyliłeś drogę — począł Erdziwił. Obluda — fałsz — komedia.... prawda — a my to aniołowie? a u nas niema za to gburowstwa, pychy, zarozumiałości i głupoty? Kwita byka za indyka.... W jednym świecie garbaci, w drugim kulawi, dobrego żadnego nie ma.

— A ja mój wolę — krzyknął impetycznie major.

— I ja wolę — co prawda to prawda.... dodał sędzia.

Zadychali się oba krzycząc — aż wypocząć musieli nieco.

— Lampkę wiszniaku? majorze? — rzekł gospodarz.

— Niech cię tam i z wiszniakiem.... wszystko się we mnie poruszyło!

— I we mnie! odparł sędzia — właśnie dla tego wiszniak proponuję, aby to osadził. Nie ma na taki wypadek jak czegoś wytrawnego się napić.

Ale major chodził nadąsany po małej izdebce.

— Kawy? zapytał gospodarz.

Jazyga ręką rzucił.

— Co tam chcesz.

— No — to wiszniak.... odparł sędzia idąc do szafy. Nie gniewaj się, nie bundziucz się.... To nic nie pomoże.... Z synem pogadam — ale to się na nic nie zdało.

Major się nieco uspokoił.

— Ja bo więcej nic nie chcę — tylko żebyś go wybadał — żebyś wiedział jak on tam w to błoto głęboko zapadł. Mnie to życie zatruje i ze świata zgładzi! ja ci powiadam.... Ja go kocham nad życie — i dla tego mu się utopić nie dam. Lepiej, by przecierpiał, niż zginął.

Po gwałtowném wyszamotaniu się w pierwszym rozmowy początku, Erdziwiłł wszystkie swe argumenta wyszafowawszy, milczał teraz. Sędzia coraz to się obracał ku niemu, wyzywając go do dalszej rozprawy — a stary w wiszniak patrzył, smakował w nim i słuchał jakby nie słyszał, niekiedy głową potrząsając to na bok, to w tył, to naprzód — a nie odzywając się wcale.

— Więc cóż? spytał major — czy już i gadać ze mną nie raczysz?

— Gadać — chętnie; Ale z tobą rozmowa przechodzi zaraz w spór, — ja ciebie nie przekonam, ty mnie nie nawrócisz — po co się to zdało?

— Tak uważasz?... bąknął major.

— Sam się zastanów.

Major tedy z lampką poszedł wzdychając do okna. Sędzia ze swoją pozostał przy stoliku, i minut kilka zeszło na skupieniu ducha.

— Pogadasz z Robertem? wyegzaminujesz go? he? — wracając do pierwszego przedmiotu spytał major.

— Chętnie bratku — choć — to się ci na nic nie zda...,

— Ale bo — niech się wygada raz.... począł stary Jazyga, niech mi serce otworzy.... Ja go o to zaczepiać nie mogę — ignoruję też jego miłość, on mi się nie zwierza, — cierpimy oba.... Raz się trzeba wyrębać i skończyć.

Sędzia się zaśmiał.

— To znaczy, że ty jego chcesz porębać — be syn ci się bronić nie będzie....

— Nie — ale żeby choć się poskarżył, choć piśnął — a to chodzi jak zabity, milczy, blednieje, nie je — i — jeszcze mi gotów w suchoty wpaść. Matka miała do nich usposobienie — kto wie czy nie z tego umarła....

— To go nie męcz.... Daj mu własną wolę! rzekł sędzia.

— Nie mogę. Ma wolę we wszystkiém co chce, tylko nie cò do tego ożenienia, na które ja nigdy

w życiu nie pozwolę. Jeżeli o nie chodzi.... daremna rzecz.... Nie może to być.

Sędzia dziwnie już głową i ramionami ruszał.

— Sam nie wiesz czego chcesz — rzekł....

— Ale wiem czego nie chcę — dodał major. Nie-woli i upokorzenia — tego ja nie chcę....

W ten sposób kilka razy się starłszy z Erdzi-willem, a w końcu ucałowawszy serdecznie i po-żegnawszy jak najczuliej, major powrócił. W progu zapytał, co panicz robił? Odpowiedziano mu, że jak zawsze, 'coś czytał.... chodził po alei ku fi-gurze.... więcéj nic.

Poszedł do niego i znalazł siedzącego w oknie, patrzącego w ogród, smutnego, bladego.

W istocie saméj, wszystkie te wzruszenia, wstrząśnienia, niepokoje, ciągle go trawiąca go-rączka — zaczynały na silną i zdrową naturę Ro-berta oddziaływać powoli. Czuł się chorym, osłab-łym — brakło mu ochoty do czegokolwiek bądź.... Nic go nie zajmowało. Zdrowie, na które wpły-wał stan ducha — cierpiało.

— Że też się ani przejdiesz, ani przejedziesz.... ani do gospodarstwa nie zajrzysz! rzekł major.

— Czy ojciec ma co do rozkazania?

— A! nic — ale chciałbym, abys ty sam o czém pomyślał....

Drugiego dnia z obiadkiem czekano na Erdziwil-ia; stary przybył zawczasu z apetytem i humorem

należytym. Dwa te przymioty, któremi się gość powinien odznaczać, miał sędzia w wysokim stopniu rozwinięte — na zawołanie. Przy obiedzie Jazyga stary, choć napił się wina — choć się ruszał i gadał, pozostał kwaśny i zamyślony.

Gdy od stołu wstali, zmyślił jakąś potrzebę gospodarską, nie dając się w niej wyręczyć nikomu, i zostawił syna z Erdziwilłem.

— Co ty mi jesteś tak smutny? zadumany? posępny? spytał kładnąc mu rękę na kolanie sędzia.

— Ja? ale mnie się zdaje, że jestem jak zwykle....

— A! nie — od powrotu z Zahajów, mówił sędzia — jesteś okrutnie zmieniony. Coś ci jest.... Mógłbyś się wypowiadać przed starym przyjacielem...? a możeby się on na co przydał?

Robert serdecznie go uścisnął, wstał z ławki, przybrał weselszą twarz — i zawołał:

— Ale, niech mi sędzia wierzy.... nie mam się z czego spowiadać! Grzechu żadnego na sumieniu nie czuję....

Nigdy nie miałem zbyt wesołego temperamentu... tak jestem jak zwykle....

— Ojciec się kłopotuje, żeś mu nie wesół, i że ci w Żabliskach nie tak może dobrze i wygodnie, jakby on pragnął.

— Ale doskonale mi jest — prędko odparł Robert;

na czemże mi zbywać może? Ojciec mnie aż nadto pieści...

— Możesz tam w Zahajach, albo koło nich kogo zostawił, po kim ci tęskno? — dodał sędzia.

Robert ramionami ruszył nic nie odpowiadając.

— To prawda, dodał po przestanku, że mnie tam gospodarstwo pierwsze jakie w życiu miałem, mocno zajmowało. Sąsiedztwo było miłe — ale ojcu się podobało odwołać mnie — wolę jego spełniam. Cóż robić?

— Co robić? Nie milczeć, ale się z ojcem rozmówić otwarcie — to człek poczciwy, kocha cię.

— Dla tego mu się sprzeciwiać nie chcę — zamknął Robert — i wnet usiłując zmienić przedmiot, zapytał sędziego o konia, którego miał na przyprzążce. Erdziwił mu w oczy popatrzał tylko.

Nie było sposobu dostać się do wnętrza zamkniętego człowieka. Erdziwił próbował kilkakrotnie i zawsze grzecznie został odprawiony z niczem. Więc i otwarcie mówić nie chciał i w końcu dał pokój.

Major powrócił w godzinę i zaraz wziął przyjaciela na stronę.

— Mówiłeś z nim?

— Próbowałem po razy kilka — milczy, nie chce się przyznać do niczego....

— Było go przecież nacisnąć!

— Robiłem co mogłem — odpowiada na wszystko, że mu dobrze, że nic nie braknie, na nic się nie skarży. Przyznał mi się, że mu żal było gospodarstwa w Zahajach.... boć to jego pierwsze pole.... więcéj nic....

— Gospodarstwa! ale! przebaknął major. Piękne tam było gospodarstwo....

Namarszczył się stary.

— A no — jak sobie chce musimy kwasić się i cierpieć oba.... na to nie ma rady....

Sędzia zmilczał i począł się brać do czapki.

— Nie znajdujesz że zmizerniał? zapytał major.

— I bardzo.... Dzisiajem się mu przypatrzył szczególnie. Żle wygląda.

— Możeby Paciorkiewicza sprowadzić? dodał major — jak myślisz?

Erdziwiłł wása wydał.

— Jak chcesz.

Wspomniany tu Paciorkiewicz był doktorem powiatowym, i w dodatku niegdyś kolegą Roberta w szkołach. Był to młody syn Eskulapa, cały rozmilowany w swój nauce — ale dla niego pacyenci byli przedmiotem doświadczeń, a choroba — piękna i rzadka — w dobrym egzemplarzu, największym szczęściem! Nikt nad niego pilniej z większym zapalem i poświęceniem nie doglądał tyfusów, karbunkulów, difteritis i okazów chorób wyższej rangi — ale nikt nie lekceważył bardziej małych nie-

dyspozycyji i powszednich choróbek. Znano też jego naturę. Żwawy był, gorączka i chorych nie oszczędzał. Piękne panie spazmatyczne i kapryśne skarżyły się na niego, bo się z niemi obchodził niełitościwie.

— Co to za choroba? mówił śmiejąc się do nich.... To imaginacya! Pani jesteś zdrowiuteńka. Trzeba się czém zająć.... nie myśleć o sobie! Mieć więcej ruchu, a przybędzie apetyt.... i.... doktor nie będzie potrzebny....

— Przywieź Paciorkiewicza, mój sędzio, dodał major, ale jako przyjaciela i kolegę — i zapowiedz mu, że nie powinien okazywać tu, że go sprowadzono do chorego....

Posłuszny Erdziwiłł wprost z Żabłszek pojechał do miasteczka, i trafił na to, gdy po szczęśliwój amputacyi nogi, która mu się udała nadspodzianie, Paciorkiewicz gwiżdżąc mył ręce.... Zobaczywszy sędziego przeze drzwi z drugiego pokoju, począł się śmiać.

— Czyż i pan sędzia chory jesteś?... Zlituj się! cóż to? niestrawność?

— A! na tém mnie nie złapiesz! Stary jestem i jem tylko to, czemu wiem że dam radę. Ja ci za kuracyę płacić nie będę.

— Cóż? czy nie chora piękna gosposia pańska?

— Samo zdrowie! rozśmiał się Erdziwiłł, i z téj pociechy mieć nie będziesz....

— A wiesz pan, że jabym ją chętnie wziął w kurację, żartobliwie paplał Paciorkiewicz, który na przywitanie wyszedł z ręcznikiem w ręku.

— Obejdzie się bez téj łaski! do nóg upadam.... odparł sędzia. Ja tu w innym bardzo delikatnym przybywam interesie....

Paciorkiewicz ogromny, rozrosły, zdrowy, mężczyzna olbrzymiej siły, wesołej twarzy, oczu rozumnych — ocierając ręce stał ciągle przed gościem.

— Słucham!

— W krótkich słowach. Major Jazyga syna, który gospodarzył w Brzeskiem i pono się tam w bogatej jakiejś pannie zakochał gwałtem ztamtąd wyciągnął, obawiając się, aby broń Boże, za nadto bogato i arystokratycznie się nie ożenił.

— Oryginał! szepnął doktor.

— Syn — waćpan znasz Roberta...?

— Kolega szkolny....

— Syn nadto potulny i posłuszny, ani słowa nie rzekłszy przybył, siedzi, ale wymizerniał, schudł — Major mówi, że pokaszluje.... Matka jego pono z suchot umarła. Ojciec w strachu. Chciałby, ażebyś go wybadał, ale.... przybywszy nie jako doktor, tylko jako przyjaciel i kolega....

Z góry ci jednak muszę powiedzieć, że major uparty, i że na kurację z pomocą matrymonium nie pozwoli....

Paciorkiewicz słuchając, kończył staranną ręktoaletę....

— Co tam doktor pomoże! rzekł obojętnie.... U państwa lekarz do wszystkiego służyć musi.... nawet na choroby duszy i imaginację.... na kaprysy ojcowskie i na zakochania...

— A no, tak — odparł sędzia — bo my doktora mamy w istocie za lekarza w najobszerniejszym znaczeniu wyrazu; a waćpan — z przeproszeniem — ogranicza go niemal do funkcyi cyrulika.

Paciorkiewicz podniósł głowę, popatrzał na zuchwalca i zaświstał.

— Fiu! fiu! fiu! jaki mi pan tegi jesteś! Doktorowi w jego domu prawić takie impertynencye! A niech-no dostaniesz gastryty.... zobaczymy jak będziesz śpiewał....

— Nie myślę jój dostać, rzekł Erdziwiłł — dla tego jestem taki zuch.... No — cóż mam odnieść majorowi?

Paciorkiewicz poszedł do ściany, na której czarna wisiała tabliczka, zapisana jakimiś hieroglifami. Począł ją pilno przepatrywać milcząc....

— Możesz pan sędzia upewnić go, że niespodzianie do niego jutro przyjadę na obiad, i odegram moją rolę jak należy. Kochałem niegdy Roberta, chcę zobaczyć co się z niego zrobiło.

Konsultacya skończyła się na tém.

Paciorkiewicz prosił na herbatę.

— Daj ty mi pokój — rzekł wstając sędzia, — jeszczebys do niej jakiego dyweldreku namieszał.... mszcząc się za verba veritatis.... Przybywaj jutro na obiad....

Paciorkiewicz słowa dotrzymał, i drugiego dnia bryczka jego ze dzwonkami, bo zawsze pocztą jeździł, zatrzymała się przed gankiem w Żabliszkach. Powitanie z Robertem było bardzo serdeczne. Doktor oświadczył, że dowiedziawszy się o jego powrocie, nie mógł się oprzeć chęci odwiedzenia dawnego towarzysza zabaw szkolnych, palanta i śnieżek.... Oko jego tymczasem, nawykłe do szukania wszędzie oznak charakterystycznych chorób, badało Roberta, ucho chwyciło intonację głosu.... Mimowolnie biorąc go za rękę, trzymał ją więcéj jako lekarz, niż jak przyjaciel. Nie przeszkadzało mu to być wesołym, żartować z majorem, opowiadać anegdotki i śmiać się z chorych, którym do zdrowia brakło tylko, aby je mieć chcieli. Robert z nim trochę poufalszy niż z innymi, nie otworzył mu się jednak z niczém. Trochę cyniczne pytania, zadawane na osobności, gdy poszli we dwóch do mieszkania jego, tylko kwaśnemi zbywał półuśmieshami.

Paciorkiewicz zabawił tu dłużej niżeli zwykł był u chorych; przyjęty po przyjacielsku, wypoczął wygodnie, i dopiero po kawie poobiedniej, spójrzawszy na zegarek, ruszył się wołając o konie. Major

nie miał zręczności z nim na osobności pomówić, a z twarzy nic poznać nie mógł. Lekarz nawykły mieć zawsze jedno dla wszystkich, nie zmieniające się oblicze, nic niém nie mówił nikomu, chyba to jedno, że był na wszystko obojętny.

Po wyjeździe jego Jazyga nie wytrzymawszy długo, nazajutrz sam niby do asesora pojechał do miasteczka. Nie znalazł go w domu, wynudził się godzin kilka, i wracającego dopiero złapał w rynku.

— Jak znalazłeś Roberta?— zapytał major.

— Niebezpiecznego nie ma nic— odparł doktor;— zdrow jest — ale to natura, na którą wrażenia działają silnie. Gwałtowne zmartwienie mogłoby, mimo jego dobrej budowy, podrażnić i wywołać familijne usposobienie do choroby piersiowej. Suchoty spadkowe mogą się wywinąć pod dziwnym czasem pretekstem.... trzeba unikać wszystkiego, co może organizm wstrząsnąć....

Paciorkiewicz mówił to więcej z przyjaźni dla Roberta, któremu pragnął usłużyć, choć ten mu się nie zwierzył wcale — niż jako lekarz.

— Cóż mam robić?— spytał zakłopotany major....

— Trochę go trzeba pieścić i nie dać mu się gryźć niczém — to moja rada — dodał Paciorkiewicz. A — jeżeliby się przypadkiem zakochał — niech mu major da tę, którą sobie wybierze.... a będzie zdrow.

To mówiąc skłonił się doktor i pośpieszył do domu. Major był najmocniej przekonany, iż przyjaciel Roberta działał w jego sprawie — i uspokoił się.

— Namówili się, filuty! ale i jam nie głupi!

Z tém wrócił do domu.... Nie trwało jednak długo uspokojenie — dość było spojrzeć na twarz Roberta, ażeby dostrzedz cierpienie....

Przed sędzią Erdziwiłłem w trochę inny sposób, otwarciej się Pacłorkiewicz wyraził: — że istotnie Robert nie jest dobrze — gorączki ma trochę, należałoby nie zwiększać jój niczém. Major posłyszawszy to, machnął ręką.

— Wszyscy się spiknęli jemu pomagać, a mnie straszyć....

Sam jednak coraz spoglądając na syna — chwilami lękać się znowu zaczynał. Milczenie i zaspienie jego było mu nieznośne.

Tak stały rzeczy w Żabliszkach, gdy jednego rana, przybył posłaniec z miasteczka z listem.... Major z fajką siedział w ganku; oddano mu list. Był ręką nieznaną adresowany do Roberta.... Ojciec mu go zaraz zaniósł.... Ciekawy był, lecz nie nastawał na poznanie treści. Syn z niej tajemnicy nie czynił i podał ojcu....

List brzmiał jak następuje:

— «Miałem przyjemność poznać pana dobrodzieja w Ruszkowie; przypominam się pamięci Jego....

Najdziwniejszy skład okoliczności w przejeździe przez tę okolicę zatrzymał mnie w zupełnie nieznajomej stronie, i zmusza w karczmie odbywać rekolekcyę.... Wywrot z powozem i potłuczenie najmniej dni kilka jeszcze uwięził mnie w śród tych piasków i borów litewskich. Przypadkiem dowiaduję się, że pan mieszka w tych stronach. Ratuń mnie! nudzę się tak, że gangreny dostanę z tych nudów.... Gdybyś był łaskaw mnie odwiedzić.... a jeśli masz — przywieźć z sobą kilka książek! Byłbym mu nieskończenie, niewymownie wdzięczny i t. d. Karol....»

Major przeczytał list — i niemal się nim uradował, nie pytając już kto był ten pan Karol.... Starodawna gościnność w takim wypadku nakazywała nieprzyjacielowi nawet służyć, a Jazyga nie podejrzewał wcale ani podróżnego, ani opisu.... Dla Roberta była to rozrywka....

Oddał mu pismo żywo, mówiąc:

— Konie ci każę zaprządz, jedź zaraz, weź z sobą co mu tam w karczmie braknąć może.... Przyjajmniej cię to trochę rozrusza.

W istocie z dawno już niepraktykowaną żywością skoczył Robert, wybierając się natychmiast do miasteczka. Major w bryczkę kazał włożyć — i to co w istocie potrzebném być mogło, i co się na nic nie zdało.

W niespełna pół godziny Robert był już na drodze, i choć nie mógł przypuścić nawet, ażeby przybycie pana Karola było w jakim związku z jego osobistemi stosunkami, cieszył się, że z kimś będzie mógł o Ruszkowie pomówić. Karol okazał mu tyle życzliwości, że zyskał sobie przyjaźń jego. Śpieszył poruszony mocno, konie kazał popędzać, i wpadł do austeryi, będąc pewien, że podróżnego zastanie w łóżku, gdy—ujrzał go w szlafroku wprawdzie, ale wcale nieuszkodzonego, i z twarzą, na której samo malowało się zdrowie.

— Cóż się to panu stało?— zawołał.... Czy poyślał pan po doktora?... Mamy tu właśnie pocztowego kolegę mojego, którego natychmiast sprowadzić mogę....

— Ale to nic! nic! wywróciłem się—potłukłem, rzekł Karol szybko. Nie mam zwyczaju żadnego nigdy używać lekarza — leczę się sam zimnemi okładami. Już mi jest lepiej znacznie.... Nakuliwam tylko trochę na nogę. Serdecznie wdzięczem, że pan przybyłeś....

I ścisnął go, prosząc siedzieć....

Robert nalegał o Paciorkiewicza, Karol się bronił.

— Uchowaj mnie Boże! woda zimna i homeopatya!

Ani jednego, ani drugiego nie był w istocie zwolennikiem pan Karol, ale w ten tylko sposób mógł

tajemnicę zachować i nie wydać się z tém, że potłuczony nie był....

Natychmiast zwracając rozmowę, sam począł mówić o Ruszkowie.

— Wiesz pan, że byłem tam niedawno—rzekł,— już po jego wyjeździe! Zastałem tę biedną, kochaną Adę jakoś dziwnie smutną i przybitą. Dotknęła ją ta historia z Karusią, którą porwał niepoczciwy Oblęcki—ale i pan masz jój tęsknotę na sumieniu.

— Ja!!—zawołał zarumieniony Robert.

— Sama mi to mówiła, że jój bardzo towarzysztwa pańskiego braknie.... Ale pan przecież powrócisz do Zahajów?

Robert się zmieszał, nie chcąc tłumaczyć jaśniej.

— Prawdziwie, nie wiem kiedy—rzekł;— ojciec sobie życzy, abym był przy nim.

— Trzeba się starać powrócić—dodał Karol. Tymczasem mogę panu o znajomych jego i przyjaciółach wiadomości udzielić.... Półkownik zdrów.... panna Hortensya zawsze się wybiera w podróż, która zapewne nie przyjdzie—na nieszczęście—do skutku.... Kanonik miewa konferencye w salonie, których w skupieniu ducha słuchamy, ziewając po cichu.... Rubaszek gra fugi.... Habicht przesadza kwiatki i ziemię przesiewa—a nieszczęśliwa Ada chodzi po salonie, i sędzę, że nieraz

wygląda czy się gość z Zahajów nie zjawi.... Mówię panu, jest bardzo smutna ...

Jazyga ciągle się rumienił słuchając.... nie umiał zebrać na słowo odpowiedzi.... Karol zapomniawszy się, że powinien był nakuliwać na nogę, chodził żywo po izbie, na co Robert nie zwracał uwagi, chwytając każde jego słowo....

Ile razy sobie przypomniawszy Karol, że powinien być potłuczony, sykał i po trosze nalegał to na jedną, to na drugą nogę, lecz wnet zajęty opowiadaniem, poruszał się jakby się do skoków zabierał....

— Daleko pan ztąd mieszka? mówiono mi, że o półtorą godzinę drogi?

— Dobrze jadąc i tego nie ma — odparł Robert. Dopóki pan tu spoczywać jesteś zmuszony, ja i nasz dom jesteśmy na jego usługi. Cokolwiekby mu było potrzeba....

— Nic a nic — zawołał Karol — oprócz towarzystwa pańskiego. Wiesz pan, jak ja samotności nie lubię; spodziewam się, że mnie zechcesz odwiedzić....

Robert gotów był nawet nie odjeżdżać od chorego, ale na to on nie pozwalał; stanęło na tém, że obiecał się codzień dowiadywać. Rozmowa o Ruszkowie rozpoczęta na nowo ciągnęła się już bez przerwy do wieczoru.... Bardzo zręcznie mówiąc niby o czém inném, kuzynek malował położenie

Ady, jój nudy i osamotnienie.... Wyrzywały mu się słówka dwuznaczne, które Robert mógł na swą korzyść tłómaczyć. Kilka godzin zbiegło im tak niepostrzeżenie, i Karol, który już wprzód był dobrze z Robertem, zbliżył się doń i spoufalił prędko. Umiał pozyskiwać serca, gdy chciał, a to było bardzo łatwe do zdobycia. Rozstali się do jutra, i Jazyga z głową pełną myśli i wspomnień, ożywiony jak już od dawna nie był, powrócił do ojca, który postrzegłszy w nim tak szczęśliwą zmianę, niewymownie się nią uradował. Nie miał żadnego podejrzenia, aby gość ten w jakimś celu zdradzieckim przybywał,— cieszył się, że ta dystrakcyja rozproszy posępność Roberta.

Zaczął się pilno rozpytywać o Karola, którego Robert z najlepszej odmalował strony.

— Ale bo wiesz co!— przerwał major nagle — jeżeli tak bardzo potłuczony nie jest, a idzie mu tylko o wypoczynek.... możeby go ostróźnie, noga za nogą, przywieźć do Żabliszek.... Pokójbyśmy mu tu dali, miałby wygody wszelkie, wydobrałby.... a dla mnie miłymby był gościem, boby mi może ciebie rozbawił. Proś go tu jutro — a nie, to ja sam z tobą pojedę — zabierzemy go do siebie....

Myśl ta opañowała majora, rano ubrał się staranniej, konie zadysponował do kocza i sam napędził syna, aby jechać co prędzej.

— Co ma tam w tém karczmisku śmierdzącém siedzieć! — czyż mu nie lepiej będzie tu odpocząć z nami?

Przez całą drogę na tę myśl nawracając syna, przejęty nią stary Jazyga stawiał się przed panem Karolem, wesół, serdeczny, — od razu napadając nań, aby jego chatą nie gardził.

Karol miał talent nastrajania się wybornego do ludzi, majora wnet poznał i ocenił, przemówić do niego umiał i od pierwszych słów go sobie pozyskał. Zaproszenie było dlań najpożądanejsze, jednak musiał się z początku wymawiać i tém, że nie chciał robić subiekty, i pośpiechem w podróży tém i owém....

Major go musiał przekonywać, namawiać, prosić, lecz w końcu jakoś, kazawszy synowi prośby swe przyłączyć, udało się im pana Karola nakłonić do Żabliszek.

Tego dnia, więcej na siebie dając baczenia, chory dobrze na nogę kulał, podpierał się na lasce i rolę chorego odegrywał z naturalnością i talentem. Tylko ile razy go na Paciorkiewicza namawiać próbowano, chronił się za zimną wodę i homeopatyę.

Parę godzin spędziwszy z nim major, niezmiernie go pokochał....

Karol w potrzebie równie rubasznym umiał być szlachcicem, jak niezdolnym i ceremonialnym lwem salonowym. Nie kosztowała go nic zmiana roli.

Z majorem zarywał czasem nawet na wysłużonego podporucznika....

— Ale to bo wyśmienity człek! — mówił stary w duchu. To mi go tu Opatrzność zesłała żeby Roberta rozruszać — chłopiec jakby odżył od wczora....

Spakowano tłumoki gościa, którego major zabrać chciał koniecznie z sobą. Gdy przyszło siadać do powozu, o lasce wyszedł Karol, nakuliwając mocno, krzywiąc się; dwóch ludzi go wsadziło z wielkimi ostrożnościami, nogę mu podesłano.... a woźnicy zalecono, aby jechał jak najwolniej i z uwagą....

Śmiać się musiał w duchu pan Karol, lecz podał się téj troskliwości o zdrowie swoje.... Przez drogę admiirował okolicę, położenie, pola, łąki, wiedząc że tém się więcej wkupi w łaski majora, któremu Żabliszki rajem ziemskim się wydawały. Tak się dostali do dworku.... i z pomocą majora, Roberta, sługi wydobyto z koczka mniemanego chorego, któremu się bardzo wyskoczyć chciało. Najlepszy pokój obok Roberta przeznaczono dla niego — wszystko było na zawołanie. Może być, że przyjmowany tak gościnnie uczuł niejaką zgryzotę sumienia — ale się mógł przed sobą wytłómaczyć, iż to była *pia fraus*.

Major w domu, zestawując młodzież z sobą, sam marszałkował, bo mu bardzo szło o to, aby przed obcym nie powstydził się swego gospodarstwa. Czasem zachodził do gościa na gawędkę, i pociągnio-

ny jego dobrym humorem, swobodą i uprzejmością w obejściu, zasiadywał się przy nim dłużej niż chciał....

Nazajutrz zaraz, gdy sami pozostali, tak się jakoś złożyło, że pan Karol, niby od niechcienia, szepnął staremu:

— Proszę pana majora — czy też pan nie zauważał zmiany w synu moim? Ja od czasu jak miałem przyjemność go widzieć — może mnie oczy mylą.... ale upatruję bardzo znaczną....

— Jak to? jak? — podchwycił major poruszony — w czym?

— Mizernie wygląda.... i posępny jest jakiś — odezwał się Karol. Pan nie postrzegł tego?....

Uwaga ta mocno uderzyła starego.

— Pan dobrodziej to widzisz?

— Może się mylę....

— Na nieszczęście zdaje się, iż nie mylisz się pan — ja widzę toż samo.... Radbym był, żeby mnie myliły oczy.

— Widocznie na zdrowie cierpi — dodał Karol....

— Sądzisz pan??

— Tak mi się zdaje....

— Ja nawet już po cichu pytałem doktora — westchnął Jazyga — doktor plecie trzy po trzy....

Zadumał się smutnie....

Karol starał się zaraz czém inném zagadać, i na chwilę o tém zapomniano, ale w majorze postrzeżenie to utkwiło mocno.

Powróciwszy do swojego pokoju, siadł z fajką u komina i wzdychał ciężko.

— Co tu począć? Z miłości nikt nie umiera — ale z tęsknoty się inne choróbsko gotowe przyczepić — i bieda!!

Następnych dni ciągle się wpatrywał w twarz syna, a wyobraźnia podrażniona zwiększała jeszcze oznaki cierpienia, jakie widział na niej. Karol ciągle kulał jeszcze, a gospodarz prawie rad był temu, bo z nim jakoś tak dobrze było w Żabłiszkach, iż mu o jego odjeździe pomyśleć było smutno.

Wieczorem siadali ze starym do maryasza lub ékarté, Robert albo im się przypatrywał, albo wychodził dla pisania listów, które codziennie jak dziennik przygotowywał na pocztę.

Naówczas gość puszczał się w opowiadania rozmaite, szczególniej historyi nieszczęśliwych miłości i ich fatalnych skutków. Major przeplatał je wspomnieniami pólkowemi.... Karol umiał te powieści, które improwizował dla starego Jazygi, tak przybrać dobrze, iż się rzeczywistemi wydawały.... Major dziwił się im, ale przeczyć nie śmiał. Czyliły one na nim wrażenie, o które opowiadający się starał.

Działanie to jednak było tak powolne i nieznaczne, a ilekroć przyszło mówić o arystokracji i o małżeństwach, major tak energicznie wyrażał swe przekonania, i stał przy nich tak uparcie, iż po kilku dniach Karol się wyrzec musiał niemal nadziei nawrócenia go, którą miał w początkach.... Zaczynało go męczyć udawanie kulawego, a nawet pobyt w Żabliżkach — przywykły był bowiem do zmian, do innego życia, i koniec końców, wszelkie poświęcenie się ma granice.

— Wdałem się podobno nie w swoją rzecz — mówił wzdykając położywszy się spać. Majora ani ukąsić, tak twardy.... Trzeba zmienić plan i zacząć z innéj beczki....

Znowu tedy zwróciwszy uwagę ojca na stan zdrowia syna — rzucił myśl, że młodzieniec potrzebował rozrywki, że byłoby lekarstwem gdzieś go wyprawić — naprzykład do Warszawy....

Major prychnął tylko.

— Gdybym wiedział, że mu to pomoże?

— Nie zaszkodzi pewnie. Ja i tak powracać muszę do Warszawy, niech mnie odprowadzi, zapoznam go z młodzieżą.

Zmarszczył się major....

— Ale bo to ta terazniejsza młodzież!

— Mogę go wprowadzić między młodzież nie terazniejszą — dodał Karol, — ale słowo panu daję, gorzejby to jeszcze było.... Terazniejsza uczyła

się ekonomii politycznej i po trosze medycyny.... a dawna o obu wyobrażenia nie ma.

Rzuciwszy tę myśl, Karol dał jęj kielkować... Po południu major go o to sam zaczepił. Gdyby tak na niedługi czas pojechał, przewietrzył, rozruszał, możeby to i dobrze było.

— Jaby'm służył za stróża i przewodnika — dodał Karol. Lepszego mieć nie może. Przeszedłem przez szkołę doświadczenia.... wierz mi pan....

Następnego dnia major na osobności zapytał syna, czyby nie chciał pana Karola odprowadzić do Warszawy, i trochę się rozerwać? Robert, któremu ta myśl nie przypadała do jego planów, lękając się przerwania korespondencji — nie widział ani potrzeby podróży, ani w niej przyjemności.

Właśnie ten mały opór ze strony syna, majora skłonił do popierania projektu Karola.

— Namawiaj go pan na to — szepnął, — ja mu wspomniałem — przyjął to jakoś niechętnie, a tu mi się zawędzi.

— Masz pan słuszność, niech się rozerwie, dla młodego to najlepsze lekarstwo.

Tegoż dnia Karol zszedłszy się z Robertem, szepnął mu na ucho:

— Ale jedźże pan ze mną do Warszawy! Jestem prawie pewien, że tambyśmy się z Adą spotkali....

— Sądziysz pan? zawołał chwytając go za rękę Robert.... czyżby to być mogło?

— Jestem pewien, że ją tam ściagniemy. Spuść się pan na mnie — i jedźmy....

— A noga pańska i potłuczenie?

— Nie czuję go już! Nie ma jak homeopatya!

— Rzeczywiście? zawołał zdumiony Jazyga.

— Skutek bywa cudowny — powiadam ci, mógłbym dziś na konia skoczyć. Jedziesz ze mną?...

Zarumieniony Robert uścisnął go tylko....

— Ale ojciec?

— Nie mamy najmniejszego obowiązku spowiadać się przed nim z naszych nadziei.... szepnął Karol....

Cudowne uzdrowienie z pomocą homeopatyi o mało nie nawróciło na nią majora; a przynajmniej zachwiało silnie wyobrażeniem jego o skuteczności doz końskich, które sam sobie zwykł był administrować....

Gdy jeszcze raz major się odezwał do syna, podając myśl jechania do Warszawy, ze zdumieniem znalazł go usposobionym do podróży. Ten skutek przypisał, równie jak homeopatya silnie działającym, argumentom nieoszacowanego pana Karola.... Podziękował mu za to z serca. Karol westchnął, wstyd mu było trochę.

Zarządzono natychmiast przygotowania do podróży. Karol wysłał na ręce pułkownika list do

Ruszkowa razem z korespondencyą obszerną Roberta.

Od czasu cudownego uzdrowienia pędził i przynaglał do podróży. Major też, lękając się, aby syn się nie rozmyślił — rad był go natychmiast wyprawić.... I tak jednego poranku konie zaprzężone stanęły przed dworkiem, Karol począł dziękować za gościnność, Robert żegnać się z ojcem. Major wesół i rozpromieniony wyprawiał i błogosławił....

— Polecam panu syna.... pamiętaj! Jest to co mam na świecie najdroższego, nie popsujcie mi go bardzo, a wróćcie mi zdrowym, wesółym, odmłodzonym....

Konie parskając ruszyły, a gdy za wrota odjechali, Robert rzucił się ścisnąć Karola.

— Spełni się wasza obietnica? zawołał — możeż to być?

— Bądź spokojny — odparł Karol — a jeśli mi nie ufasz, wiesz co?... jedźmy na Ruszków do Warszawy? Myśl jest niezła....

— To być nie może — rzekł Robert — ojciec dowiedziałby się — nie kuś mnie pan tém nieposłuszeństwem....

Karol ruszył ramionami.

— Tak być może lepiej! wprost więc do Warszawy.... ale ty, kochany mój Robertcie — zbyt jesteś posłuszném dzieckiem.... Chciałbym cię

zbuntować dla własnego szczęścia. Zaczny i kochany ojciec twój widzi wszystko swojemi oczyma.... nawet przyszłość twoją. Tam gdzie idzie o szczęście, o serce.... trzeba mieć mężtwo....

— Mam je — przerwał Robert — widzicie, że cierpię mężnie....

Był to początek nawracania, z pomocą mniej więcej subtelnych argumentów, które skróciły drogę do Warszawy. Karol używał i poważnych i dowcipnych, aby przekonać towarzysza podróży, że miał prawo sobą rozporządzać, a nie miał prawa szczęścia dwojga poświęcać fantazyi niczém nieusprawiedliwionój pocziwego staruszka.

Skutkiem tych rozpraw było, że Robert zamyślał się mocno. Pokusa była straszliwa.... nieprzemóżona, — czuł, że teraz jedno wejrzenie, jedno słowo szale na stronę buntu przeważyc może!!

Major następnego dnia pojechał do Erdziwiłła się chwalić.

— Wiesz, syna wyprawilem do Warszawy, będzie to podobno najlepsze lekarstwo....

— I ja tak myślę — odezwał się sędzia — może się tam spotkać z Dulcyneą i chłopak poweseleje....

Usłyszawszy to major, w czoło się uderzył.

— Jak Boga kocham.... *Sacré matin!* co za myśl!... Wiesz, że to może być!! Tom się wystrychnął!

Erdziwiłł śmiał się....

— Na wiatr rzuciłem słowo....

— Tak, ale mi jak kulą trafiłeś w serce. Ci panowie nasi, to się to rade włóczy po miastach, szczególniej ku ziemie. Nuż jój przyjdzie fantazyja do Warszawy, nuż on się tam z nią spotka....

— *Prapau Sauka z dudami!* zawołał zanosząc się od śmiechu Erdziwiłł. Ja ci więcj powiem.... tam są tacy księża, że ślub im dać gotowi....

— Nie dokuczaj mi! człowiecze nielitościwy! krzyknął major.... Sama myśl, żem takie głupstwo popełnił, narażając go na niebezpieczeństwo—przeraża mnie....

— Siadaj i jedź za nim w pogoń! dodał sędzia—ale wnet zmieniając głos, rzekł poważniej: Dajże pokój tym troskom!! Żartowałem aby cię podrażnić! Nie ma najmniejszego podobieństwa.... Bądź spokojny....

Majorowi już tego dnia spokój i wesołość nie wróciły....

List pana Karola do kuzynki wysłany z Żabli-szek, następującej był treści:

„Jutro ztąd wyjeżdżamy do Warszawy.... Zważ proszę, że mówię w liczbie mnogiej, i że moim towarzyszem jest Robert. Oblicz potém ile mefi-stofelowstwa potrzeba było, aby to świetne wy-

walczyć zwycięstwo. Czei najgodniejsza kuzynko, wiele się czyni dla pięknych oczu niewiasty — ale, nie chwając się, nie wiem czy kto dla oczu, co tak nań obojętnie patrzą jak twoje na sługę swego — nie wiem czy kto od początku świata, tak się znamienicie poświęcił jak ja!! Udawałem potłuczonego i okulawiałego, kłamałem wszetecznie, starałem się najnikczemniejszymi pochlebstwy wkraść w serce i zaufanie pana majora, słuchałem jego powieści o pękających o trzy kroki kartaczach, grałem z nim w maryasza, spędziłem nie wiem ile dni (lękam się ich liczyć) na wsi, oko w oko z majorem, z pocziwym, ale zacho-
chanym Robertem, który dla mnie był bardzo nudny.....

„Mamże liczyć ofiary moje? Nie, będę wspaniałomyślny — zostawuję ci odgadnienie ich, obrachowanie i ocenienie. To wiem, że gdybym po raz drugi miał to spełnić — brrr... nawet dla miłości twój, szanowna kuzynko, nie byłbym w stanie.... Gdym tę wyprawę przedsiębrał, wyobrażnia mi jój w tak strasznych nie malowała kolorach — uśmiechały mi się epizody spodziewane — a te chybiły wszystkie.... Nie obrachowałem sił moich.... lecz — wyszedłem zwycięsko.... To jedno mnie pociesza. Wiozę ci Roberta do Warszawy, do miejsca neutralnego, w którym nie nie broni znaleźć się *przypadkiem*, ani pańnię Adzie, ani

pannie Hortensyi nawet, jeřliby uczuła wielką tęsknotę do widzenia się ze mną....

„P. Jazyga *junior*, jadący ze mną, przejęty jest tą myślą, że w wielkich miastach szczęśliwym trafem spotyka się czasem najniespodziewaniej znajomych, którychby się bardzo widzieć pragnęło. Ja, nietylko mu nie przeczę, ale niemal go zapewniam, że ze wsi jesienią mnóztwo osób wyjeżdża, bo nie ma nic smutniejszego na świecie, niż w czasie wichrów i śloty, siedzieć nawet w najwygodniejszym domu, choćby takim jak Ruszkowski.... W parku drzewa szumią straszliwie w tej porze....

„Jak długo p. Robert zabawić zechce w Warszawie, nie wiem prawdziwie.... ale że ja do Żablszek odprowadzać nie będę, że mnie nic w świecie nie skłoni do drugiego pobytu w tej rozkosznej ustroni, stworzonej dla niewinnych gęsi i zamysłonych kaczek — a! na to przysięgam....

„Powiesz, kuzyneczko, żem płochy i niepoprawiony.... Mów co chcesz — skłaniam głowę w pokorze, gotów znieść najstraszniejsze zarzuty, ale do Żablszek nie wrócę. Tu nabrałem przekonania, że najczcigodniejsi ludzie bywają ludźmi najnudniejszymi.... Maryasz od rana do wieczoru, choć gra ta ma swe wdzięki — w końcu się staje zabójczym. Na polskie karty patrzeć nie mogę i z rozkoszą siadę do francuzkich...

„Nie miéj mi proszę za złe, że tak mało piszę o tém, o czémby w właściwie powinien był list napisać cały — a tak wiele o własnych męczarniach. W skutek niepomiernego szafunku poświęcenia, wyczerpało się do dna — egoizm widać kamienny na spodzie....

„W ciągu podróży, użyję pozostałości sił mych intelektualnych na nawrócenie towarzysza podróży ku zdrowszym pojęciom o życiu, szczęściu, miłości i innych kwestyach zasadniczych naszej egzystencji na tym padole płaczu i fortepianów.... Zacořany jest bardzo i czasem dziwnie naiwny.... a chociaż mianuje się uczniem bardzo pięknego profesora — nie czyni mu chluby.

„Do nóg twych upadając, piękna kuzynko, proszę, abym miał szczęście, w nagrodę mych trudów herkulesowych, rychło cię powitać w Warszawie.”

List ten, razem z ogromnym pakietem, zawierającym dziennik, niestety! bardzo monotony, myśli i uczuć Roberta — doszedł jakoś wieczorem do Ruszkowa. Pułkownik sam go odniósł do pałacu, idąc na wieczerzę, i wręczył swojej dobrodziejce, która go zręcznie w szeroką kieszeń sukni wpuściła, poczem Brandys się śpiesznie oddalił. Czytać go, mimo najgorętszej chęci, Ada nie miała czasu, policzki jój tylko okrył rumieniec,

który zaraz znikł i ustąpił miejsca powszedniemu wyrazowi twarzy, zamysłonéj a dumnéj.

Od wyjazdu p. Karola towarzystwo się powiększyło, a gospodyni, zdawała się nawet temu rada. Potrzebowała ludzi, rozmowy, zajęcia, aby nie być nieustannie sam na sam z myślami swemi.

Przypadek zrządził, iż p. Wacław Rubaszek dowiedział się o przejeżdżającej przez okolice tę i mającej się w Brześciu zatrzymać znakomitości panu Czeladinku, współziomku swym, który słynął jako uczeń Liszta (wszyscy dzisiejsi fortepianści są uczniami jego) — wirtuoz, kompozytor, improwizator. Była to jedna z tych gwiazd pierwszego rzędu na niebiosach kunsztu, które jak proste meteory z ogonami, błyszczą świetnie, a prędko gdzieś za piecem znikają. Rubaszek, który był jego stryjeczno-stryjecznym jakimś powinowatym, wypraszał się dla widzenia z nim do Brześcia. Ada zasłyszawszy o tém, kazała go prosić do Ruszkowa na kilka dni spoczynku.

Czeladinek, mimo że nań z gorączką i z fortepianami nastrojonemi na nowo oczekiwano w Grodnie, Wilnie, Rydze i nie wiem ilu miastach gubernialnych, zgodził się zaszczycić swą wizytą dostojną panią, protektorkę jego starego krewnego.

Czeladinek był typem kunsztmistrza koncertanta, nawykłego do oklasków, do występów, estrady, wieńców i pełnych entuzjazmu okrzyków. Nie był

to człowiek bez talentu, miał chwilami poczucie piękna, ale się zmarŃował jeżdżąc i grając dla pieniędzy. Wyrobiło to w nim pychę nie mniejszą od talentu, manieri artysty małego prowincjonalnego teatru.... elegancję złego smaku, wiarę w geniusz, którego nie posiadał.

Improwizował wprawdzie, ale to były w jednej zawsze formie bezmyślne łataniny reminiscencyj. Za to czytał nuty wyśmienicie i repertuar swój koncertowy odegrywał z wykończeniem, które łudziło tak, że w natchnienie i intelligencję wyższą można było uwierzyć.

Piękny mężczyzna, z włosami długimi (lisztowska tradycja tego wymaga), pozował na nieśmiertelnego. Rubaszek miał dlań cześć posuniętą do roznamiętnienia. Sam muzyk dobry, unosił się do spazmów nad Czeladinkiem, który starego sobie lekceważył.

Przybycie Czeladinka muzyką napełniło Ruszków.... był to koncert nieustanny, przed którym panna Hortensya nie wiedziała gdzie uciekać. Ada była ożywiona, zajęta, i bawiła się tém widocznie....

Czeladinka przyjmowano tak po pańsku, karmiono i pojono, chwalono, i tyle mu okazywano współczucia, iż z dnia na dzień dozwał się coraz dłużej zatrzymywać. Może, jak wielu artystów, muzyk entuzjazm dla sztuki brał mylnie za rozmiło-

wanie się w swój osobie.... może mu się przyśniło, że piękne, ciemne oczy gospodyni coś mu więcej mówiły, niż o jego talencie niepospolitym....

Dziwnym trafem, ksiądz kanonik de Bello, jakby chciał brak rozrywki i niedostatek Obłęckiego czémś wynagrodzić, schwytał gdzieś znowu malarza artystę, cudzoziemca pana barona von Pavianer, Austriaka.... który mimo tytułu, był wędrownym portrecistą, podejmował się kościelnych obrazów, malował bitwy, zdejmował widoki, i oprócz tego był miłym bardzo w salonie.

Ten baron zamówiony był właśnie do pokrycia freskami nowo budującego się kościoła, przez książąt XX., a że tynki jeszcze nie były gotowe, rusztowania się dopiero kleciły, miał czas poświęcić się poznaniu kraju i społeczeństwa. Wiedeńczyk, *sztucer* niegdyś naddunajskiej stolicy, elegant, brunet, pięknej twarzy, słusznego wzrostu, baron von Pavianer mówił z równą łatwością po niemiecku, po włosku, po francuzku i łamanym jakimś austriacko-słowiańskim językiem.... Obeznany był z literaturą artystyczną, pamięć miał ogromną i powtarzał śliczne rzeczy w ciągu życia czytane i słyszane, trafnie je zastosowując do potrzeby.

Nudzącego się na wsi kanonik prosił do Ruszkowa, i uczynił tém istotną przyjemność Adzie, któ-

ra ile razy Czeladinek znużony siadł odpoczywać, miała z kim szeroko, długo rozprawać o szkołach malarstwa, o mistrzach, nawet o technice.... Baron von Pavianer od pierwszego dnia powziął admiracyę prawdziwą dla pięknej gospodyni, tak uczonej, mówił, iż równiej jęj w życiu nie spotkał. Kanonik poddał myśl malowania wielkiego portretu *grandeur naturelle*.

Ada opierała się temu jeszcze, lecz było prawdopodobieństwo, iż da się na to nakłonić.

Pavianer i Ada całemi godzinami mówili o sztuce, — a ona znajdowała też, że baron miał ogrom wiadomości i talent niepospolity. W istocie rysował na prędcie rzeczy bardzo ładne, ręką niezmiernie wprawną; brakło temu tylko jednego charakteru, wybitności — natchnienia. Były to jakieś ogólniki, w których niemal kalligraficzny kunszt podziwiać było trzeba.... ale to mówiło tylko do zdziwionego oka.

Czeladinek i baron Pavianer oba z pod berła austriackiego, współziomkowie, mimo to mieli tylko towarzyskimi względy hamowaną ku sobie wzgardę i nienawiść. Baron po cichu zwał wirtuoza, jako Czecha, pogardliwém przezwiskiem, które Niemcy im nadają wszystkim — nazywał go *Powidl*. Czech nie mógł patrzeć na barona i nie odpowiadał mu na pytania. W salonie jednak mieszcili się oba jakoś, nie potracając o siebie....

Tylko gdy Ada jednemu z nich okazywała trochę współczucia, drugi się wykrzywiał i ruszał ramionami. Gdy Czeladinek grał, baron wychodził na cygaro — nie znosił muzyki; gdy baron rozprawiał, Czech przerzucał nuty lub odciągał Rubaszka do drugiego pokoju....

Baron z tytułu swego i jako polecony przez kanonika szedł przodem — miał też ogólnego wykształcenia znacznie więcej, i widać było, że w salonach wiedeńskich, choć przy drzwiach czasami stać musiał.

Ci dwaj przybysze znacznie ożywili posępny dwór ruszkowski. Obu im ksiądz kanonik był przychylny; zdaje się, że znając dobrze charakter gospodyni, obrachował, iż ją zajęcie sztuką, od innych marzeń i myśli odwiedzie. Nie omylił się całkowicie.... Powierzchnownie przynajmniej Ada była weselsza — zносиła lepiej tęsknotę swą i niepewność przyszłości. Wśród tych chwil wielkiego ożywienia, zaprzątnięcia sztuką, — po rozprawach o kolorycie, po wysłuchaniu fugi Bacha, napadały ją zadumy, chroniła się i zamykała w swoim pokoju — lecz w salonie przynajmniej zdawała się wracać do tego usposobienia, jakie ksiądz kanonik pamiętał — *ante bellum*.

Panna Hortensya widząc skutki, acz powolne, tego lekarstwa derywacyjnego, tak umiejętnie zastosowanego przez kanonika, z uwielbieniem dlań,

w duchu mu przyklaskiwała.... Skutki to były w istocie bardzo jeszcze maluczkie i nieznaczne— lecz zawsze był to choć początek jakiejś reakcyi.

Ksiądz hrabia, który teraz dosiadywał tu i prawie nie wyjeżdżał, często miał zrzeczność wracać do dawnych rozmów poważnych — i sławić w nich niezależność, a wystawiać wszystkie ciężary i niebezpieczeństwa, na jakie małżeństwa narażają. Przywodził przykłady znaczące.... w których mimo najszcześliwszego doboru małżonków — rodziny ich stawały się szkopułem, o który szczęście się domowe rozbijało. Przypominał, że bądź co bądź, biorąc męża czy żonę, zaślubia się ich rodzinę....

W polemikę nie wdawała się Ada, słuchała milcząca, lecz już to coś znaczyło, iż słuchać chciała i nie stawiała opozycji.

Zajęcie sztuką, szczególnież religijną, bardzo też pochwalał kanonik....

Na nieszczęście baron von Pavianer, choć widywał Führich'a, choć sam malował do kościołów, miał pojęcia o religijnej sztuce nader powierzchowne i błędne; hołdował tej szkole konwencyonalnej, która gotowa była z jednej figury, na rozkaz, zrobić Junonę, lub N. Pannę.

Mimo to z baronem mówić było można wiele, czas jakiś przebywał w Rzymie, pracował w Wenecyi za czasów, gdy ona jeszcze pod berłem Austrii zostawała, podróżował po Włoszech ca-

łych, miał szczęście widywać z daleka Overbeck'a, Cornelius'a, Veit'a, — mnóstwo o nich opowiadał anegdot....

Czas więc teraz schodził w salonie przyjemnie daleko, i w humorze Ady widać było acz lekką zmianę ku lepszemu. Kanonik szczególnie się cieszył, gdy nad tekami przyniesionemi z biblioteki, Ada godzinami przesiadywała z baronem.

Wśród takiego to ożywionego towarzystwa, list pana Karola z ręki pułkownika przeszedł do kieszonki pani. Wieczór cały zajęty był naprzód popisem Czeladinka, który tego dnia cudownie odegrywał różne stare ułamki „Wołowy Menuet” Hajdna, przez się ułożony na fortepian, parę gawotów i tym podobne fraszki, nie licząc dwóch sonatek Scarlattego, które czarująco wycieniał.... Ada przyklaskiwała mu, kilka razy się zbliżyła do fortepianu — widocznie zachwycała się grą wirtuoza.... która Rubaszka przyprowadzała do szału.... Nie odzywając się ani słowa, stary to ręce podnosił ku niebu, to włosy targał, to oczy zakrywał, to przysiadł jakby zgnieciony tą doskonałością, której się nigdy skostniałemi palcami dosiędz już nie spodziewał.

W końcu zagrali na cztery ręce fugę Bacha, od której wszyscy, oprócz kanonika i Ady, pouciekali....

Gdy się ta produkcya skończyła, baron wszczął rozmowę o sztuce, a ta, pod wrażeniem świeżych jeszcze muzykalnych upojeń, poszła żywo bardzo. Ada utrzymywała stronę „szkoły nazareńskiej,” której baron nigdy nie mógł pojąć ani zrozumieć, rzucając się na jej technikę, a ślepym będąc na ducha....

Przyniesiono z biblioteki Fra Angelica i kilku mistrzów pierwotnych, ale nad tych baron przenosił Corregia i manierystów.... Wolał z biedą Carla Dolcego....

Przy rozmowie, ponieważ był zwyczaj dla Pavianer'a kłaść zawsze ołówki i papier, baron ciągle rysował i zręcznie rzucał jedno przy drugim, madonny, konie, karykatury, drzewa i architektoniczne ozdoby, wszystko to było w jednym stylu, jednym sposobem, z równą lekkością i lekkomyślnością naszkicowane.... Wszyscy nie wyjmując kanonika zdumiewali się temu niesłychanemu talentowi — bezmyślnemu. Baron odrzucał potem te arkusze, wiedząc, że będą pochwycone i przechowywane, jakby do nich najmniejszej nie przywiązywał wagi.

Dosyć późno wieczór się skończył. Ada weszła do swojego mieszkania, w ręku trzymając list.... Pilno jej było go przeczytać, spojrzeć przynajmniej. Jednak, gdyby nie owi artyści — trochę dawniej, zaraz po wyjeździe Roberta, pewnieby

takięj cierpliwości nie miała, i uciekłaby z salonu rzucić okiem na pismo ukochanego. Zbliżyła się do swojego stolika, i rozerwała kopertę. Wyszedł z niej dziennik przestraszających rozmiarów.... Spojrzała nań z czułością.... Jak on ją kochał!

Na wierzchu był ów niby humorystyczny list Karola; nie dziw, że chwyciła go naprzód. Spodziewała się w nim znaleźć fakta — gdy w dzienniku bywały westchnienia tylko i inwokacye.... Z początku uśmiech na usta zaczął wywoływać list Karola, lecz z wolna wyraz ten zmienił się, czoło zasepiło — twarz oblekła zadumą przykrą — niesmakiem.

Dokończywszy, rzuciła go na stół, i nie biorąc w rękę dziennika, usiadła zamyślona....

Tak ją w pół godziny później nadchodząca znalazła sługa, której się rozebrać kazała. Nie tknęła jeszcze listów Roberta.... Dopiero po wyjściu sługi — przerzuciła je z roztargnieniem, w kilku miejscach czytając po słów kilka tylko — jakby reszty domyślała się łatwo. Uśmiech prawie bolesny zjawił się i znikł wprędce, razy parę.... Wróciła do listu Karola.... odczytała go i rzuciła z wyraźnym wstrętem....

Chodziła po pokoju — a ktoby ją był widział przechadzającą się tak, poznałby, że znowu wal-

czyła z sobą, że sobie czyniła wymówki, że się niemal wstydziła siebie.

Siadła pisać.... lecz jeszcze pióra nie przyłożyła do papieru, gdy je odrzuciła nagle zniecierpliwiona.... Jeszcze raz zajrzała do listu Roberta....

Był to wylew czułości młodzieńczej, to świeże tchnienie uczucia, które zimny oddech zabija, spojrzenie chłodne śmieszném czyni. Z miłością i wiarą czytają się takie listy — lub nielitościwie wyśmiewają, bo są śmieszne w istocie dla tych, którym nie idą do serca.

Pierwsze listy Roberta.... były dla niej hymnami.... z którymi żadna w świecie poezya równać się nie mogła.... Ta sama świeżość wiała od nowych — a jednak.... czegoś się jój wydały — długie.... Powtarzał ciągle jedno....

Zbliżyła do ust jedną z tych ćwiartek, lecz całowała ją jak ranę Samarytanina — z politowaniem. Serce jój nie biło.

Gniewała się sama na siebie. Kochała go, obraz jego uśmiechał się jój anielsko wdzięczny — a — nie ciągnął jój już ku sobie. Przestрах ogarnął Adę, załamała ręce....

List Karola niedorzeczny, śmieszny, niezgrabne jego postępowanie było wszystkiego przyczyną. Proza majora wtargnęła w tę krainę zaczarowaną, i urok jój cały się rozprysnął. Widziała ciągle sta-

rego Jazygę z jego łysiną, na której sterczał węzelek, z fajką, z chustką podpiętą wysoko — wzdrygała się. Robert bladł jak widmo przy tym wizerunku jaskrawym.... Ideał nie dawał się rozdzielić od karykatury... Wstrząsła się....

Karol ją ciągnął do Warszawy! Co za myśl! Ona — owa niewiasta, co swą niepodległość tak ceniła wysoko, miała by w oczach całego świata upokorzyć się, poniżyć do tego stopnia, by leciała na spotkanie zwycięzcy.

— Ja tego nigdy w życiu nie zrobię — mówiła rumieniąc się. Karol jest szalony! ma mnie za najślabszą z istot.... za.... ja niewiem. Jak on mógł pomyśleć co podobnego? Przypuścić, abym ja zebrała szczęścia! To niemal obrażające!...

Jaka lekkość nieżnośna.... co za igraszka z uczuć najświętszych!... Jam go o nic nie prosiła! ja go do niczego nie upoważniałam...

Łamała ręce chodząc....

— Jak on się mógł tego dopuścić!

Myśl jęj wracała potem do biednego Roberta, który dla niej się narażał ojcu.... gotów był wypowiedzieć mu posłuszeństwo. Przypominała sobie, że ona sama go ośmieliła, pociągnęła, rozbudziła w nim te uczucia, których następstwa przyjąć teraz musiała!

Zdawało jęj się, gdy myślała o nim, że gotowa

jest jechać dlań na kraj świata.... i wnet cofała się oburzona na siebie.

— Będę czekała! cierpiała — ale się tak poniżyć?...

A! nigdy! nigdy!

Zaprawdę walka to była straszna i krwawa — łzy wytrysły jój z oczu, ze łzami rzuciła się tak nie rozbierając na łóżko, i we łzach usnęła, trapiąca snami straszliwemi.

Z rana zdziwiona sługa znalazła na stole dogorywającą lampę, której zgasić zapomniano, i panią jakby złamaną chorobą, — bladą, znękaną; jak nigdy nie widziała....

Już chciała biedz przestraszona, aby po doktora posłano, gdy Ada wstała i nakazała jój milczenie.

Światło dnia wróciło jój całą energię dawną — ochłoneła z marzeń, wszystko jak na skinienie rószcзки czarodziejskiej wróciło do zwykłego stanu i porządku.... Kazała tylko powiedzieć, że na Mszy być nie może, bo ma pilne listy do pisania, i siadła do nich natychmiast....

Odpowiedź Karolowi, pomimo wielkiego umiarkowania do którego się zmuszała — chłodna była i surowa. Wyrzucała mu dziwny pomysł jego.... zapraszania jój do Warszawy.... gdy ona zwykła tych, których chciała widzieć, czekać u siebie....

List był pisany ogłędnie, trzymany w ogólnikach, grzeczny zresztą, ale odejmujący wszelką nadzieję.

aby życzenia jego spełnić mogła. Miejscami nawet przybierał ton szyderski. Dziwiła się, iż Karol przypuścić mógł nawet myśl podobną?

— „Jakkolwiek miłoby mi było widzieć osoby do rodziny należące, i te, które mi życzliwość okazywały, oddalić się z Ruszkowa nie mogę.... nie chcę.“

Do Roberta odpisać nie mogła, nie mając jego adresu, a nie chcąc powierzać listu Karolowi, któremu dozwalała się wiele domyślać wprawdzie, lecz do niczego się nie przyznała. Dwuznacznikami zawsze wiodła z nim rozmowę.... Karol więcéj sam sobie wmówił, niż mu polecono.... Ada nie sprzeciwiała się — ale nie wymagała nic.... Gniewało ją śmiałe postępowanie Karola i narzucanie jéj nedorzecznych pomysłów....

Parę razy przeczytawszy swą odpowiedź, kazała ją odwieźć na pocztę....

Uspokojona nieco — przejrzała się w zwierciadle, by się przekonać, czy noc na twarzy śladów nie zostawiła, i z przybraną pogodą wyszła do salonu. Całe towarzystwo oczekiwało tu na nią. Obcy nie zobaczyli nic oprócz trochy znużenia, ale oko kanonika odkryło łatwo ślady walki świeżej jeszcze, a panna Hortensya wytlómaczyć ją sobie nawet mogła, bo spostrzegła jak pułkownik list oddawał.

Cierpienie Ady dla niéj było pociechą.

— Dobrze jój tak! niech cierpi! o! to jeszcze nie konieci mówiła w duchu Hortensya. Zbliżyła się nawet z kondolencją, pytając Ady, czy nie chora? aby jój dać uczuć, że czytała na twarzy....

Nie chcąc sobą przynieść uciechy złośliwej kuzynce, Ada właśnie dla tego wysiliła się na nadzwyczajną wesołość i roztrzpiotanie. Zaczepiła najprzód Czeladinka, zaręczając mu, że Gawot, który grał, śnił się jój przez noc całą....

Przy śniadaniu zawiązała rozmowę z Pavianerem o muzeum wiedeńskim, którego okazała doskonałą znajomość. Rafaelowska Madonna w zieleni, była potem przedmiotem długich rozpraw o wszystkich dziełach mistrza poczynawszy od Sposalizio do Transfiguracyi. Pavianer, który kopiował we Florencyi portret Urbinat'a — rozwiódł się nad jego techniką.... Mówiono o Peruginie, a po śniadaniu przyniesiono na stół Łoże, w przepyszném wydaniu, którym się wszyscy oprócz Czeladinka przyglądali. Wirtuoz siadł do fortepianu i zagrał Gawota.

Ada z daleka podziękowała mu wejrzeniem. Poszła potem z kanonikiem zasiąść do przerwanój wczoraj polemiki, w której brała obronę Lamennais'a, co księdza zgorszyło i oburzyło.... Nazwał go kacerzem po prostu.... Od Lamennais'a przeszli do De Maistre'a.... a Ada tak zdawała tém wszystkim zajętą i przejętą, jakby nic więcej na sercu

nie miała. Oszukała tém może księdza — ale nie Hortensyę, która z niej oka nie spuszczała.

— Niezmiernie ożywiona, mówiła uśmiechając się — ale to pokrywka! udanie! Cierpi! cierpi!

W istocie biedna gospodyni cierpiała okrutnie — wczorajsze myśli wracały, przychodziły nowe. Żal jój było Roberta. Cóż mu się stanie? pocieszała się — powróci do ojca! Karol powinien pokutować za swe niesłychane zuchwalstwo....

Umyślnie dnia tego nie oddaliła się na chwilę od gości, wstrzymała ich przy sobie. Kanonik nawet nie wyszedł, czując, że tego dnia skutecznie może do niej przemówić.... Na poruszoną duszę, jak na świeżo zoraną rolę, rzucone ziarno prędkiej i pewnoj wschodzi.

Gdy znużona muzyką i baronem Pavianerem ku wieczorowi siadła Ada zawiązując znowu z księdzem przerwana rozmowę ranną, kanonik skierował ją ku różności charakterów i temperamentów, które też, jak rośliny, różnej uprawy i pielęgnowania wymagają.

— Instynkta czysto ludzkie, powszechne, nam wszystkim wspólne, odzywają się wprawdzie w każdym, ale indywidualne usposobienie przemaga. Żywoty Świętych mówią nam o kuszonych mężach na pustyni.... Tak każdego z nas kusi świat — lecz łaska nam pomaga do zwyciężenia tych pokus natury.... Dla jednych klasztor jest konieczno-

ścią — dla drugich małżeństwo — dla innych wędrownie misyonarstwo.... Szczęśliwy kto się w chwili obłędu nie rozminie ze swém przeznaczeniem....

Uśmiechnął się kanonik łagodnie.

— Przyznam się drogiej pani, że nieraz mnie trwoga porywała o nią! Ja, co ją tak znam, co tak rozumiem jakiego jój życia potrzeba.... ileż razy lękałem się, aby chwilowe wrażenie nie sprowadziło z drogi!...

Dzięki Bogu, trwoga ta przeszła! Wystawić sobie nie mogę nawykłej do téj swobody, jakieś umysł jój potrzebuje — nagle związkiem z osobą coby jój pojąć nie umiała.... zakutęj w rodzaj niewoli. Wlec za sobą jak kulę, choćby najlepszą, ale po ziemi zmuszoną, stąpać istotę — mając skrzydła i ducha do lotu.... a! — co za męczarnia!...

Westchnął kanonik i Ada mu odpowiedziała westchnieniem. Pokorny, dobry, rozkochany Robert wydał jój się jakby ta kula, co ją do ziemi przykuwać miała....

Wysnuła z tego potem cały szereg sytuacji wyobraźnia.... wszystkie prozaicznego życia trywialności.... Majora zapomnieć nie mogła....

Dnia tego znużona wyszła wcześniej spocząć do siebie; dawny dziennik wpadł jój do ręki, i rozbudził myśli, z którymi się rozbratała. Spojrzała na obraz matki.

Ta miłość, dla której wszystko miała poświęcić — upokorzająca w oczach świata, odejmująca jój aureolę — byłaż warta takiej ofiary? Serce biło na wspomnienie chwili niemego zachwycenia w lesie, pożegnania u furtki. W tém szczęściu widziała teraz niemal coś upokarzającego.... Wstydziła się go teraz.

Dźwigała ciężar, który na nią ściągnęła jedna chwila — zapomnienia się, słabości....

Byłaż nią związana? Wszak nie ona zrywała — ale sam los ich rozdzielał....

W długim dumaniu widziała już, że się to rozchwiać.... mogło — przeciągając.... i zerwać tak samo, choćby nikt nie potargał więzów....

— Zostawmy to jak jest mówiła; będzie co los przeznaczy.... walczyć z nim byłoby świętokradztwem.... jest w nim wola boża....

Obok tych myśli — przychodziły przypomnienia swobody, jaką miała w Ruszkowie, będąc sama. Nowe życie musiałoby zburzyć całą starą budowę.... A płynęły te dni często nudnie i leniwo, ale fantazyja jój miała prawo czynić z niemi co zamarzyła. Jutro — we dwojgu, trzebaby posłuszną być cudzym zachceniom.... wolę poświęcić, spokoju się wyrzec.... Ruszków zmieniony, przerobiony — stanął w oczach i zadrgała....

Marzyła i o nim, o biednym Robercie, lecz z politowaniem tylko.

Ponieważ Czeladinek nie mógł się obejść bez popisów i występowania — kilkakroć przez Rubaszka poddając tę myśl, że mógłby przed szerszém kołem słuchaczy odegrać koncert, któryby nawet był czémś jedyném w swym rodzaju, — Ada się zgodziła, zaprosić na wieczór sąsiadów....

Było to w istocie coś zupełnie nowego. Pulkownik miał rozesłać listy zapraszające. Kanonik, widocznie, popierający wszelkie rozrywki, wszystko co mogło odciągnąć od marzeń — obiecał także pomoc swoją. Niesłychana więc w dziejach Ruszkowa rzecz się dokonała: zjechało się około czterdziestu osób, a gospodyni, której znaczniejsza ich część ledwie z widzenia była znana, z nadzwyczajną uprzejmością i pańską wspaniałością przyjęła to różnobarwne towarzystwo. Czeladinek w białym krawacie ufryzowany, odegrał nieuniknioną rapsodyę Liszta i mnóstwo ślicznych rzeczy. Panny mu bukiet ofiarowały, a jedna z nich mocno się nim nawet zajęła.

Szczęściem dla niej czekano nań w Rydze, i — musiał w końcu odjechać....

Wynagrodzony wspaniale, ruszył unosząc z sobą najmiłsze wspomnienia, a Rubaszek przy rozstaniu z nim spłakał się jak bóbr i upił jak nie boże stworzenie.

Zostawał baron von Pavianer, który namawiał przez kanonika do portretu.... Mógł on być zawle-

szony w sali jadalnej, gdzie miejsce dlań jakby uumyślnie było zostawione.... Ada zgodziła się na malowanie.... Nastąpiły narady nad ubraniem, tłem, oświetleniem, pozą, a baren poddawał się rozkazom, powtarzając, iż jakkolwiek artysta z powołania, nie ma ani setnej części nauki i smaku pięknej pani. Zwał ją wyrocznią w rzeczach sztuki.

Bawić to zdawało się piękną Adę. Baron miał ją przedstawić stojącą, z głową i wzrokiem zwróconym ku patrzącym, z rękami spokojnie założonemi, trzymającemi niedbale wachlarz i chustkę — w sukni aksamitnej, z koronkami. We włosach nie prócz jednej brylantowej gwiazdki, którą Ada czasem nosiła....

Portret ten, doskonale pomysłany, był rozrywką najskuteczniejszą — Ada poddawała myśli, kierowała wykonaniem, zdawało jej się czasem, że go malowała sama. Ponieważ manekinu nie było, a do draperyi stać sama pani nie mogła — uradzono jedną z panien służących ubrać, — z tém, że suknię ową aksamitną miała sobie zatrzymać. Panna Julia, bardzo ładna panienka, tego wzrostu co pani, stawiała więc do akcesoryów, a Ada mogła swobodnie, po wykonaniu twarzy i karnacyi przypatrywać się robocie.... Zajmowało ją to niekiedy tak, że całemi godzinami stała za baronem, który tak był posłuszny, iż psuł co zrobił często idąc za rozkazami mistrzyni.

Nie przeszkadzało mu to uwielbienie dla niej, w godzinach gdy sam na sam z piękną panną Julią zostawał, przemawiać do niej po austriacku i powoli serce jój podbijać. Zaszło to tak daleko, że później panna Julia za baronem pojechała, służyć za wzór do aniołów na freskach kościelnych. W czasie malowania nikt się tego stosunku nie domyślał, bo panna Julia narzekała na nieznosnego malarza i krzywiła się na niego....

W tym czasie także kanonik poddał myśl szczęśliwą, żeby kilkoro dzieci wiejskich wyuczyć do śpiewania w kaplicy. Rubaszek się tego podejmował chętnie. Rozpoczęły się próby i studia, którym często pani bywała przytomna. Na przemiany więc mogła przypatrywać się postępowi portretu, przysluchiwać małemu chórowi głosków dziecinnych, i z Habichtem troszczyć o ogród.

Nabrała bowiem, nagle przypomniawszy sobie dawną miłość dla ogrodu — chęci podniesienia swych cieplarni i trebhauzów do najwyższego stopnia doskonałości i bogactwa.

W tém wszystkiém czuć było gorączkowe pragnienie zapomnienia przeszłości, zagojenia ran, dania sercu sztucznego pokarmu. Kanonik jak lekarz troskliwy, dopomagał.... Ada wróciła z zapalem do ksiąg, które przez czas jakiś zaniedbywała.... zatapiała się w nich długo, ale często też książka z ręką bezsilną opadała na kolana, oczy

wlepiała w ziemię i tak zamyślona — nieprzytomna, pozostawała długo ze wspomnieniami z żalem — ze zgryzotą czy z nadzieją — któż to zgadnie??

Z Warszawy przyszedł list od Roberta. Biedne chłopię, któremu Karol nie śmiał wyznać, że dostał burę, że się omylił i zawód mu uczynił — czekało z oczyma zwróconemi w tę stronę z kądem szczęście przybyć miało! List jego poruszył Adę, wróciła miłość cała — serce uderzyło.... ale nim siadła odpisywać, oczy jój padły na obraz matki, na wszystko co ją otaczało — i — ostygła znacznie....

Odpowiedziała nazajutrz tęsknie i czule, wyznając mu, że nie miała odwagi do kroku stanowczego.... Zaklinała go, aby był mężny i cierpliwy. Nie chciała — dla własnego szczęścia zatruwać życia ojcu jego, rozrywać węzła świętego, który go łączył z dziećciem.

Było to piękne, wymowne — i Robert w prostocie ducha mógł w tém widzieć miłość najgorętszą — a przecież było to ostygnięcie już — było to złudzenie tylko, w które sama pisząca nie wierzyła.... Dawne jój listy dziwnie kreślone były, bezładnie, nieforemnie, niezrozumiale czasem; ten był jasny, brylantowy, stylem najśliczniejszym, poezyi pełen.... a chłodny...

Szczęście, pisała mu, trzeba było zdać przeznaczaniu, woli Boga.... Ona miała mu pozostać

wierną na wieki.... on powinien był ufać jój i być spokojnym....

Karol odebrawszy odpowiedź, już się nie odzywał. Gniewał się trochę na nią, mocno na samego siebie. Nie przyznał się do zawodu przed babunią — zmilczał, powiadając sobie, że już się więcej ani w te interesa sercowe, ani w żadne inne wdawać nie będzie....

Napisawszy spokojnie do Roberta, Ada odetchnęła.... wróciła jój wesołość — zdawało się, że odzyskała swobodę. Nie tęskniła do szczęścia; wolała, aby się ono przeciągnęło.... odsunęło.... lękała się go prawie.... To życie nowe, co się jój uśmiechało, gdy czuła przy sobie bijące serce jego — życie nieznane, pełne niezbadanych tajemnic.... przerażało ją.

A nuż nazajutrz przebudzona z tego szalu, ostygła miała w ideale swym znaleźć poziomą istotę, niezdolną, jak mówił kanonik, podnieść się i ulecieć z nią w wyższe światy...? Nuż niesmak i wstręt miały pieszczoty zostawić na ustach...? Nuż namiętność zmieniałaby się w politowanie — które trzebaby było dźwigać aż do śmierci... znosząc uwielbienia sercem ostygłym?... Tysiąc myśli krzyżowało się w jój głowie.... a gdy jak rój dokuczliwy owadów naprzykrzyły się — biegła do portretu, do śpiewaków małych, do ogrodu, do książek, aby upiwszy się wrażeniami, zapomnieć o sobie samém....

Tę walkę, którą raz już przebywała zaczynając kochać — musiała na nowo podjąć z sobą, aby zaprzestać.... Zagłuszała uczucie, a na dnie serca pozostawało zawsze widmo ukochanego, które się mówić zdawało do niej: Litości!

Odwracała oczy, czuła się winną, gardziła niemal sobą — ale zmienić nic nie mogła.

Jednego jesiennego wieczoru, z myślami temi wyszła Ada do parku, do pamiętnéj furtki.... która na niej przykre i miłe zarazem uczyniła wrażenie. Ani ona, ani by nikt wytłómaczyć tego nie potrafił, dla czego ztąd, wolnym krokiem posunęła się dalej, szukać wspomnień bolesnych. Sama nie wiedziała jak się znalazła w tym lesie, w którym niegdyś tak była śmiała i wyzywająca, a teraz tak zawstydzona i strwożona. Niedaleko już było do Kasi.... chciała zajrzeć i do niej — i tam były niedogaste krótkiego marzenia pamiątki. Zbliżając się ku dworcowi, posłyszała w nim żywą rozmowę; głos Kasi podnosił się coraz i zagłuszał drugi, w którym rozpoznać było można męża.... Ada stanęła strwożona.... byłże to już spór co wyrósł na tém szczęściu, jak oset na polu zbyt żyzném?

Wyrazów nie można było pochwycić, ale dźwięki dowodziły silnego rozdrażnienia. Ada stała jeszcze rozmyślając, czy ma wniknąć, czy niepostrzeżona usunąć, aby nie być świadkiem sceny małżeńskieję, gdy Kasia wybiegła na próg, dziecko trzyma-

jąc na rękę, z twarzą zaognioną, z włosami potarganemi, w ubraniu dosyć zaniedbaném.... Dawniej elegantka i tak dbała o swą twarzyczkę, piękna jeszcze Kasia., zabrukana była i do niepoznania zmieniona. Wyraz nawet śmiejącego się zawsze jej lica, zmienił się na jakiś groźny i nadąsany. Nagle spostrzegła dawną swą panią — i zdumiona, zatrzymawszy się chwilę w niepewności, podbiegła ku niej żywo, starając się zachmurzoną twarz rozjaśnić.

— Na Boga! cóż ci się to stało, Kasiu moja! co ci jest?

— A nic! paniuńciu kochana! a nic! ot — tak, zwyczajnie — nasze gospodarskie sprawy.... Pani tu dawno?...

— Nie bardzo! alem się obawiała wnijsć, słysząc jakąś bardzo żywą rozmowę. Cóż to było?

— A! proszęż pani kochanój! To i mówić o tém nie warto!

— Któż to był?

— A, to ja się z mężem, z pozwoleniem pani, ujadalam.... za dziecko....

Pocałowała swojego Stacha, który tulił do niej głowę, krzywiąc się i oczy sobie wycierając kałaczkiem.

— Jakto? zlituj się! z mężem mogłaś się.... poróżnić!

— A! uchołwaj ręka Bozka! poczęła żywo Kasia. Cóż bo pani myśli! My się tak kochamy, że jednoby za drugie życie dało — ale — jak się żyje razem, to trudno, czasem trzeba ząb za ząb się wyklócić! to nie nie pomoże.... boby zahukali i zgniętli.... Najlepszy mąż, ale zawsze chce na swoim postawić, a to nie może być....

Kasia mówiąc chciała wprowadzić panią do dworku. Ada wołała zostać pod altanką z fasoli. Pan Rybacki, jakby się wstydził, nie pokazał się.

Z ciekawością Ada spoglądała na swą dawną sługę, tak świeżą, ładniuchną, rozkwitłą. Dziwna w niej zaszła zmiana. Kasia rozrosła się, utyła, straciła wdzięk, była rumiana, zdrowa; ale wiosenne puchy, co ją czyniły tak wdzięczną, starły się z twarzyczki pulchnej, ceglasto-czerwonej i opalonej. Ładne jej rączki pogrubiały od pracy, i nie były już tak starannie utrzymywane jak dawniej. W ubraniu nie było najmniejszej oznaki troskliwości o wdzięk niewieści. Słowem Kasia się stała Kachną.... a — któż wie czy była szczęśliwą! Umysł jej nawet dawniej przystępny marzeniom i tęskniący do poezyi, zwracał się teraz tylko do dziecięcia, do trosk domowych, do chleba powszedniego.

— Kasiu moja — odezwiała się Ada przypatrując się jej pilnie — jakżeś ty się zaniedbała! Czy tak ci ciężko? Czy jesteś przynajmniej szczęśliwa?

Zarumieniła się kobiecina, a za całą odpowiedź pocałowała Staszka w czoło — i westchnęła.

— Co to mówić! proszę kochanej pani — poczęła. Życie to życie! Nie mogę ja powiedzieć, żebym nieszczęśliwa była; człeczysko dobre, pocziwe, ale trochę gburowaty i uparty. Toć się czasem potrzeba z nim wyklócić, aby nie zawojował....

Pani na mnie patrzy, żem ja taka brudna.... A! to prawda, mnie czasem samój wstyd gdy się w lusterku na siebie popatrzę — ale gdzie to nam biednym o elegancyi myśleć! Ledwie człek wstanie, trzeba pamiętać o dziecku, i o nim, i o krowie, i o wszystkim. .. Na mojej to głowie.... caluśki dom.... (Westchnęła). Ledwie czas się przeżegnać i Zdrowaśkę zmówić. Dawniej człek poczytał.... teraz nie ma czasu. Jeszcze póki nie było tego robaka.... (Pocałowała chłopca). Co pani chce! A no, za to co jest, Panu Bogu niech będą dzięki.... Adzie żal było serdecznie ślicznego dziecięcia, co się tak goniąc za jakimś szczęściem śnioném zmarnowało.

— A! widzisz — rzekła smutnie: nie odradzałam ja ci? nie prosiłam, abys za mąż nie szła? Nie chciałaś mnie słuchać — a dziś....

Kasi lzy w oczach stanęły....

— Paniuńciu droga, rzekła, takie już było moje przeznaczenie! Albo to mnie tak, bardzo źle?....

A miałażbym ja taką pociechę jako oto...? (Schyliła się do usypiającego chłopaka). A ktoby mi oczy zamknął, ząplakał po mnie, pamiętał i usypał mogiłę! Co tam mówić! Co Bóg dał — to dobre....

Mąż nie tak zły jak się zdaje.... Oni to tacy wszyscy, moja paniuńciu droga! (mówiła ciszéj). Dopóki się stara, póki nie wystara, na kolanachby całe dni modlił się jak przed obrazem.... całuje palców końce.... a potém.... potém.... na nas kolój klęczeć przed nimi i po rękach całować.

Ada się zerwała oburzona.

— Co ty pleciesz! — zawołała: to nigdy w świecie być nie powinno i nie może. Kobieta godność swoją uszanować powinna.

Zarumieniona Kasia, dziwnie, trochę szydersko spójrzała na dawną panią.

— Paniuńciu kochana — szepnęła — co to o tém mówić, czego człowiek nie doświadczał! O! zobaczy pani, jeśli kiedy za mąż pójdzie, jak to się wiele rzeczy w oczach i w sercu odmieni.... Człowiek śpiewa jak ptaszę, póki wolny.... i marzy.... a po ślubie.... trzeba oczy spuścić w ziemię.... i myśl ku ziemi....

Kasia też mówiąc to główkę spuszciała.

— Jeśli ci tak źle — odezwała się Ada.... jeśli Rybacki tak niewdzięczny — to go porzuć.... przenieś się do mnie z dzieckiem....

Kasia się zerwała z siedzenia.

— Mnie źle! A! Panie Jezu Chryste! Zgrzeszyłabym, gdybym to mówiła.... Żebym ja miała męża porzucać, dla tego że się czasem z nim pokłóczę.... a brońcie mnie Święci Pańscy! Co też pani mówi! Mnie z nim jak w raju....

— No — to nie mówmy o tém....

Kasia podniosłszy się, zawołała, jakby wzywając męża na świadectwo.

— A chodź-ino tu! słyszysz!

Ruszyło się coś zaraz we dworku, i Rybacki w nowój taratatce, widocznie na prędcie chwyconej, stawiał się u progu altany. Ada go dosyć surowym zmierzyła okiem.... Wydawał się łagodnym i potulnym.... ale powabnym nie był. Toż samo co w Kasi i w nim było widać: zaniedbanie. Młode małżeństwo już się dosyć znało, by się nie potrzebować stroić do siebie i chcieć sobie przypodobać....

— Pokłonię się pani, że taka łaskawa a o nas pamięta! rzekła Kasia, i rozkaz jój został spełniony.

Ada obojętnych kilka słów rzuciła i zapytań o lasach. Z postawy, z odpowiedzi, z mowy Rybackiego widziała, że wykształceniem daleko stał od żony.... i nie był może jój godzien.... A jednak — spójrzienia Kasi nań rzucane dowodziły, że go kochała — że jój z nim było dobrze....

Wszystko to — tajemnice były dla Ady, których odgadnienia szukała i dla téj pary i dla siebie. Stosunkowo była niemal w położeniu podobném. Miałaż i ją spotkać ta metamorfoza, to przeistoczenie motyla na robaka pełzającego po ziemi? to zaparcie się piękna, poezyi, wdzięku dla powszednich życia zaprzątnień...? Miałaż i ona z Robertem przechodzić przez waśnie i spory — i podbijać być zmuszona, aby nie być podbitą?

Kasia szczebiotała już wesoło, przyszedłszy zupełnie do siebie, Rybacki śmiał się i białe zęby pokazywał z pod czarnego wąsika.... odprowadzali ją tak oboje na drogę.... a Ada szła zamyślona, smutna, rozczarowana.... i wzdrygała się ciągle.

— Maż i moja przyszłość być tak rozczarowana?... Dziecię — rodzina — kolebka.... troski!! Ani chwili czasu, ani myślą polecieć w błękity i przepaść! O Boże mój! toż to los nas wszystkich wątłych kwiatków? Serce nas wabi jak wąż w raju do zguby — na śmierć naszą.... Z dziewczą zasłoną spada korona nasza z czoła.... Królowa staje się niewolnicą!

Okropnie!!

Mieszkaniec pana Karola zachował jeszcze pewne pozory zamożności, pozostałej z dawnych czasów. Najmował on na Nowym Świecie obszerny

lokal na drugiem piętrze, za który już od półtora roku nie płacił. Właściciel kamienicy, dobry człek, umiejący w lokatorze poszanować niegdy zamożnego człowieka i kolligata, któremu wrócić mogły dostatki — nie bardzo się naprzykrzał o zaległość. Karol umiał go sobie zjednać grzecznością i serdecznością, która rosła razem z długiem. Mieszkał więc w daleko droższym appartamencie niż był powinien, lecz wynieść się z niego nie było sposobu.... Mebelki pozostały z epoki świetnej, mocno tylko przeszarzane, ale zawsze znać było na nich pochodzenie arystokratyczne od Simmlera.... Mnóstwo drobnych sprzętów, jak zwykle u marnotrawnych ludzi, łądziło pewną elegancją, należącą do przeszłości, ale pokrywającą teraźniejszość smutną, tak, że się jój na pierwszy rzut oka domyślić nie było można.

Z przeszłości także został kamerdyner Paweł, który się do pana przywiązał, miał u niego też zaległości, i dzieląc złe i dobre jego losy, był z nim na pewnym stopniu przyjacielskiej poufałości. Prowadzili oba życie, na różne skale, w gruncie jednakowe. Paweł nawet dowcipów się od pana ponauczał, i sływał niemi między swymi. Jak w starej komedyi Molierowskiej, był to przewyborny Scapin.... Dwór pana Karola składał się teraz z jego jednego, resztę posług spełniali przychodzący i najmowani ludzie....

Mieszkanie pana Karola, mające dwa salony i kilka pokoiów, mogło wybornie służyć Robertowi, przynajmniej dopókiby sobie stosowniejszego nie znalazł. Karol ani mówić nie pozwalał, aby się gdzieindziej mógł umieścić.

Ponieważ Paweł towarzyszył panu w drodze, lokal tymczasowo był na łasce i dozorze właściciela kamienicy.... Zastali go więc z powietrzem zatęchłym, z grubemi pyłu warstwami, i w nienajlepszym porządku, bo na wyjezdném nie czas go robić było. Robertowi dostał się pokój, w którym acz łóżka nie było, znajdowała się sofa, mogąca być posądzoną, iż je już nieraz komuś zastępowała.

Był wieczór, gdy zmęczeni tu stanęli, a że w domu nawet wody do umycia trudno było dostać, zaproponował Karol pójść się pokrzepić w restauracyi. Poszli tedy do Heurteux'a, gdzie Warszawiak miał kredyt, bo był już winien dosyć dużo....

Tu był jak w domu, garsonowie witali go z licem rozradowaném, dowiadując się o zdrowie, kłaniano mu się od wszystkich stołów, znał go cały świat.

Robert, który mało bywał w większych miastach, czuł się obcym, i poznać w nim było można parafianina. Nic go nie obchodziło zresztą, że patrząc nań, uśmiechano się — cały był w szczęściu swojém i w obawie, jak się to wszystko rozwiąże.

Na smutnej, zamysłonej jego twarzy widać było, że go marzenia daleko ztąd niosły.

Z wąsami do góry podkreconemi i zafarbowaną na barwę kasztanową czupryną, obok Roberta i Karola, stolik zajmował niemłody mężczyzna, wojskowo się trzymający. Przywitał się on z Karolem, zmierzył oczyma jego towarzysza, i pochyliwszy się do ucha, zapytał pół-głosem:

— Kto taki?

— Pan Robert Jazyga.

— He? czy nie syn majora?...

— Jedyńy!

Mężczyzna wstał i podniósł ręce do góry....

— Pan Robert Jazyga, syn majora! Pójdź, kochany mój, niech cię uścisknę. Z ojcem razem służyliśmy.... Jakże mi przyjemnie!... Może kiedy o mnie wspominał — kapitan Sroczyński.

— W istocie, słyszałem nieraz nazwisko pańskie z ust ojca....

Uścisknęli się tedy serdecznie i usiedli, a tuż pospały się pytania — o zdrowie majora, o powód przybycia do Warszawy i t. p.

Kapitan był gaduła — Karol mu pomagał. Robert, który nie miał ochoty do gawędy, mógł słuchać, odpowiadając to uśmiechem, to jakimś poruszeniem.

— Ale zkądże to panu kapitanowi się wzięło stłować w restauracyi? zapytał Karol.... wszakże....

— Tst! to jest tajemnica! pochylając się niby do ucha — ale nie zniżając głosu począł pan Sro-

czyński. Widzisz, kochany panie, dziś piątek.... Nie chcę dzieciom dawać zgorszenia jedząc z mięsem, a z postem jeść nie mogę. Rozumiesz!

Chrząknął. — Dla tego idę pod jakimś pozorem z domu precz, bo mi kapitanowa z mięsem nie da — za nic!

Śmieli się.... Kapitan wesa pokręcał.

— Widzicie, *chytro, mudro*, trzeba ażeby był wilk syty — (to ja) i koza cała (to jejmość moja). Wilk na starość głodu nie cierpi, a koza! ho! ho! żartować z nią nie można? szanować trzeba.... Rozumiecie!

Gdy tak zajadali, a Sroczyński zabawić się ich starał — spójrzył nagle na zegarek....

— Trzy kroki ztąd, rzekł — gdybyście byli łaskawi do mnie na herbatę? co? Pan Robert poniekąd obowiązany jest, ojcowskiego towarzysza broni odwiedzić, a pan Karol nadto jest grzeczny, by mu nie towarzyszył. He? zobaczycie.... moją magnifikę i pięć ślicznych panien, jak jedna. Jest ich pięć! — dodał kapitan — pięć jak oko.... Prawdziwe Warszawianki, poczciwe, wesołe i ładne.... Nie posądzajcie mnie, żebym dla nich tak kawalerów łapał! ho! ho! dadzą one sobie same rady.... A magnifika od czego? To nie moja rzecz.... ale byście się pośmieli i poweselili.... He?

Karol patrzył na Roberta, ten na niego.

— Kapitanie kochany, rzekł pierwszy — chyba to odłożmy *ad feliciora*. Jesteśmy z drogi, pomęczeni — i widzisz sam — nie ubrani.

— Co? jak to? nie ubrani?

— W surdutach, po obiedzie! wieczorem!

— Przeżegnaj się! u mnie frak jest zakazany! Chodźcie jak stoicie.... Herbata, ręczę wam, doskonała. Misia ją robi tak, że chińskiego cesarza mógłbym na nią prosić....

Wahał się Karol. Kapitan widział, że na niego powinien być głównie nalegać, i pochwycił go za rękę....

— Chodźcie — co za ceremonie! Nie ma „ale” — aresztuję i pod szupasem prowadzę!

Wstał kapitan, a za nim wszyscy, opierać się zbytnio nie było powodu.

W istocie, mieszkanie Sroczyńskiego było o kroków kilkanaście, zajmował pierwsze piętro świadczące, że mu się nieźle dźiać musiało. U drzwi zadzwonił silnie, i wnet z za nich dały się słyszeć śmiechy, głosy i tupanie pośpieszne, a gdy się otworzyły, widok bardzo przyjemny oczom przybyłych się przedstawił — ślicznych pięć panien, w jednakowych białych sukienkach, z różowymi kokardami w blond włosach. Wszystkie były jakby jednego wzrostu i jednego wieku, i trudno było starszą od młodziej rozróżnić. Typ jeden pięciorako się w nich przedstawił z odcieniami,

jakie natura nadawać umie dziewczętom i kwiatkom. Z dala były niezmiernie do siebie podobne, z bliska każda z nich miała cechę inną, sobie właściwą...

Zobaczywszy dwóch obcych młodych panów, jak stado kuropátw spłoszone, nagle furknęły wszystkie, trzepiocząc się, śmiejąc, wyprzedzając i znikły.... Kapitan śmiał się także.

— Myślały, że wracam sam jeden!

W salonie zastali tylko — magnifikę. Zasługiwała ona na to imię, była bowiem poważna, otyła, hoża jeszcze i rumiana niewiasta.... ale twarz jej dosyć pięknych rysów wyraz miała surowy i nakazujący poszanowanie. Ceremonialnie przyjęła zaprezentowanych przez męża panów: Karola z pełnym chłodem i obawą, jakby coś o nim już zasłyszała, Roberta trochę uprzejmiej. Choć kapitan baraszkował i rozmowę starał się swobodną uczynić, pani ją wstrzymywała i nie dawała wyjść z powszednich, oklepanych frazesów. Dopiero po dobrej chwili oczekiwania, z przybraną powagą, w porządku wedle starszeństwa, wytoczyły się panny, które przed chwilą wydawały się tak wesole, z oczkami pospuszczanemi skromnie. Matka je zaprezentowała, i nieco z dala zabrały miejsca, nie łącząc się z towarzystwem.

Kapitan poszedł im tam coś szeptać i kilka śmieszków tłumionych, ozwało się, ale surowe spoj-

rzenie mamy, wnet je zmusiło do schowania się w chusteczki. Groźno nawet na męża popatrzała magnifika, karcąc go za to, że dziewczętom ich rolę skromną, utrudniał.

— Słyszysz Misiu — odezwał się kapitan, do drugieję z rzędu, — zapraszając tu tych panów, zapewniłem ich o twym talencie do robienia herbaty — nie uczyniże mi wstydu!

Przestroga ta w porę przychodziła, gdyż w drugim pokoju słyhać było brzęk przygotowawczy filiżanek.... i chodzenie około stołu.... Misia wstała, i jedna z siostr poszła w pomoc jęj do drugiego pokoju, a trzy zostało, przysłuchując się rozmowie i prowadząc drugą po cichu.

Oczy Karola z wielką ciekawością i zajęciem ciągle się ku panienkom zwracały. Trzy pozostałe miały właśnie wszystkie warunki potrzebne, aby mu się podobać — młodziutkie były.... Ostatnia liczyła zaledwie wiosen piętnaście, a najstarsza przyznawała się do dwudziestego lata.... Świeże były jak pączki, różowe, białe, i oczy miały figlarne, zaczepiające po młodemu, bez złej myśli, tak — z obowiązku młodości!

Karol byłby z wielką przyjemnością przeniósł się do panien i zabawiał się z niemi, ale surowe oko magnifiki pomyśleć o tém nie dawało. Z macierzyńską strategią, natychmiast, odgadłszy intencję — odciągała go zadając mu pytania.

Robert choć patrzył, daleko obojętniej zwracał ku nim oczy. Dla niego nie było na świecie kobiety, tylko ta jedna, której obrączkę miał na palcu, którą wielbił jak ideał. Wszystkie mu się wydawały pospolitemi przy niej i tak ubogo siedzącymi przy ziemi....

Ani nawet przy herbacie, gdy go posadzono obok najstarszej, z którą coś mówić musiał, choć ona nań zdumione, piękne zwracała oczy, nie rozbudził się do życia.... Nie zabawiał też jej pewnie. Za to Karol najmłodszą mając przy sobie, pobudzał ją do nieustannego śmiechu i swawolił — przyzwolicie bardzo, ale może za młodo dla swój łysiny....

W tém towarzystwie zszedł im wieczór dosyć przyjemnie.

Kapitan odprowadził na stronę Roberta po herbatę.

— Kochany mój — jeśli w Warszawie zostaniesz dłużej, masz mój dom otwarty.... Proszę cię, bez ceremonii. Wieczorami zawsze prawie jesteśmy w domu.... Rozumiesz, pana Karola ja nie inwituję, bo to panicz, z innego świata — jemu tu nie w smakby u nas było....

Kapitan zażył tabaki.... i nachylił się do ucha Jazydze.

— Ojca jestem przyjacielem. Nie bardzo tam w te towarzystwa się daj uplatać. Ja cię tu dla

łatwiejszego przestrzeżenia przyprowadziłem. Rozumiesz! sza! Są to mili ludzie, ale.... płochy.... pstro w głowach.... Rozumiesz?....

— Ja tu nie na długo przybyłem, odparł dziękując Robert — mało w towarzystwach będę.... wolę samotność.... Nie nawykłem do nich.

— He? — ale u nas będziesz jak w domu.... A teraz.... sza!

I kapitan z Robertem wszedł w koło ogólne, przyłączając się do rozmowy, którą żona jego, jak biegły sternik kierowała, raś unikając.

Toż samo zaproszenie, pośpiesznie i niewyraźnie wymówione, zapewne z obawy, aby go Karol nie usłyszał, odebrał Robert i od magnifiki.

Gdy wyszli — przewodnik rozśmiał się głośno, zwracając do Roberta.

— A co? *aussitôt arrivé — aussitôt pendu!* Ledwieś wysiadł już cię niewiasty opanowały! Masz pięć do wyboru, a śliczne dzierlatki.... Pilnuj serca!

Robert zapewnił, że nie było w niebezpieczeństwie.

— Ja, przyznaję się — odparł Karol — ja zarazbym się zakochać gotów — i to w najmłodszej. Taka gaska wesola! takie to dziecinne, a w oczach już tyle sprytu!

Robert nie odpowiadał, czuł się nad wyraz zmęczony i smutny. Zaledwie się dostali do mie-

szkania, które Paweł z cygarem w ustach, otworzył im — poszedł do swego pokoju i padł na łóżko....

Myśl ta, że ona, że Ada przybyć miała, że ją miał widzieć, że znowu mógł z nią swobodnieć niż kiedy przeżyć godzin parę — a może?? (myśl nie śmiała już pójść dalej) wprowadzała go w gorączkę.... Znużenie tylko podróżą uspić go potrafiło.... a gdy się zbudził nazajutrz, późno już było, i starszy pan Karol, co nie tyle snu potrzebował — ubrany chodził oczekując na niego.... Śniadanie już jakieś Paweł przygotował.... Po niém zaraz Karol chciał go prowadzić dla pokazania mu miasta.

— Nie dam ci się zasiadywać i zamarzać! Trzeba być wesołym, słowo daję — być takim powinienś....

Nie sprzeciwiał się Jazyga, i zaraz też po śniadaniu wyszli. Ale były to dni niespodzianek. Jak wczoraj złapał ich kapitan, tak tego ranka wpadli na najmniej spodziewane zjawisko, które im wszystkie plany ich pokrzyżowało....

Szli Krakowskim - Przedmieściem, kierując się ku Zjazdowi, gdy na przeciwległym trotuarze Karol zobaczył jakąś postać, żywym uchodzącą krokiem, i nagle krzyknął:

— Oblęcki!

Robert zwrócił oczy ciekawie, i w istocie ujrzał pana Mirosława, który słysząc wymówione nazwisko swoje, stanął, jakby nie wiedział co począć, uchodzić lub dać się pochwycić.

Karol przyskoczył, i rękę mu położył na ramieniu....

— Stój, na Boga! przecież my oba jesteśmy twoi starzy przyjaciele! Nic ci się złego nie stanie.... Po całym świecie szukaliśmy cię myśłami.... rychlój ci się na co przydamy, niż zaszkodzimy. Ja, chciałem się kochać w twój.... ale jakże? ożeniłeś się już? czy?...

— Wzięliśmy ślub nazajutrz....

Karol ramionami ruszył....

— Szczęśliwy! Miesiące miodowe!

Oblecki spuścił głowę i zapatrzył się w bruk....

— Słuchaj, Oblęcki — ciągnął dalej napastliwie Karol, chwytając go za rękę — myśmy stawali w twój obronie — nawet ja.... Byliśmy i jesteśmy przyjaciółmi. Ja mam tu kupę znajomości — prowadź nas zaraz do siebie.... Pokłonimy się twój żonie — pogadamy....

— Ale.... wybaknął Oblęcki — ale — najchętniej — tylko, że my tak dalece mieszkania do przyjęcia gości nie mamy....

— Alboż to my goście! odparł Robert rad ze spotkania, które mu Ruszków przypominało — myśmy przyjaciele....

— Spodziewam się! potwierdził Karol.... Chodźmy....

— Mieszkam na Dziekance — stłumionym głosem zawstydzony rzekł Oblęcki.

— Ale — choćby na Solcu! co u licha! grzechu w tém nie ma — dodał Karol — chodźmy — jakże ci się powodzi?

Oblęcki podniósł twarz bladą, oczy wielkie wlepił w mówiącego i nie odpowiedział nic....

— Kochany mój — wszyscyśmy twój heroizm i męztwo — ciągnął dalej pan Karol — admirowali! W uniesieniu byliśmy nad poświęceniem się panny Karoliny....

— To anioł! krzyknął malarz z zapalem — a ja — ja byłem i jestem najnikczemniejszą istotą! Teraz mi się dopiero otwarły oczy! Egoizm.... szal.... Uczyniłem ją ofiarą méj namiętności....

— Zgryzoty sumienia przyszły ci, jak zwykle, musztardą po obiedzie, mój drogi — rozśmiał się Karol. Nic nie pomoże skrucha, trzeba myśleć, aby było co jeść....

— Dziś — jeszcze jeść co się znajdzie — rzekł Oblęcki.... Cóż potem! Ten anioł nawykł do życia pańskiego, do wygod. Do tego ażeby ją otaczały blaski, cisza.... spokój — a teraz.... teraz? A! mam sobie do wyrzucenia....

Karol się rozśmiał.

— Kochany mój, nawet w gospodarstwie życia u ciebie nie ma kalkulacyi i porządku. Uważasz.... trzy albo cztery miesiące potrzeba się poić szczęściem i nie zatruwać go sobie, bo potem ci one nigdy nie wrócą. Na zgryzoty, rozpacz, owe wyrzucania naprzód sobie, potem jój — czas będzie! Wierzaj mi — na to macie życie całe, a szczęścia tylko te mizerne sto kilkadziesiąt dni. Sam uważ!

Pod chłostą tego szyderstwa umilkł Oblęcki. Zbliżali się ku Dziekance.... Malarz ukazał dom, bardzo niepoczesny, zabrukany, z szeroką bramą obitą u dołu, na którego drugiem piętrze usiał gniazdo....

— Niech panowie będą łaskawi idą powoli, ja pośpieszę przodem i zawiadomię żonę; myśmy do gości nieprzygotowani. Drugie piętro — drzwi na lewo....

To mówiąc Oblęcki pobiegł szybko na wschody, z którymi się oswoić było potrzeba, aby je tak przebywać w skokach. Drewniane, zabłocone, stare — trochę ciemne, ku górze stawały się coraz mniej bezpiecznemi. Chwiały się z nich niektóre jak zęby w starój szczęcie.... Malowniczy mrok panował w tém wnijściu.... Zapach kamienicy różnie dozwalał wnioskować o jój mieszkańcach. Wiadomo to wszystkim nosom, iż każdy dom, jak każdy człowiek, ma swą woń właściwą. Nietylko fiolki pachną.... śmierdzą kamienice....

Ta miała zapach mdły, nieokreślony, dziwny zmieszanej stęchlizny, wilgoci, muru mokrego, tłustości przyskwarzonej, dymu, który się zabłąkał i uwięził.... a wszystko to razem połączone dusiło i oddech utrudniało. Takiem to wszakże powietrzem żywić się musi znaczniejsza część ludności miejskich....

Cóż dopiero powiedzieć o zakątkach, do których nawet dobroczynny wicher nigdy nie zagląda, aby je z miazmatów oczyścić!

Pan Karol, nawykły do wygod — musiał sobie chustką usta i nos osłonić; Robert, świeżo ze wsi, czuł, że nicby go nie zmusiło zakopać się w takim grobie smrodliwym.... Doszli do drugiego płętra.... We drzwiach czekał na nich, w aksamitnym surduciku Mirosław.... Drzwi te prowadziły do rodzaju ciasnego korytarzyka, jedném okienkiem oświeconego.... z którego kilkoro wnijsć widać było do pokojów. Jedno z nich stało otworem.... W kąciку zabrukana służąca, tuliła swe odrapane ubranie, zasłaniając się fartuchem i chcąc widzieć nie będąc widzianą. W korytarzyku czuć było silną woń wychodzącej nań kuchenki, a w niej przemagała kapusta kwaszona.... W bigosie ma ona swe zalety, zdaniem myśliwych; lecz jako perfuma, wiele zostawia do życzenia. Szczęście z kapustą tak się wydawało p.

Karolowi czémś anormalném, iż prawie osłupiał. Po namysle jednak śmiało się posunął dalej.

Weszli do szczupłego pokoju, umeblowanego ubogo. Nie było tu nic, coby nęciło oko, coby artystę mogło pociągnąć.... rozerwać. Nawet żadnego szkicu na ścianie. Mieszkanie odnajęte od kogoś jak stało — przerażało niemal nędzą. Dwa żółkłe sztychy za szkłem rozbitém, wyobrażały historię Korteza, przez jakiegoś Anglika pojętą tak tragicznie, że pobudzała do śmiechu. Kanapka, kilka krzeseł, stoliczek chwiejący się.... na kominku zegar dawno umarły.... nic więcej. Dwoje drzwi zamkniętych wiodło dalej. Spuszczony stor w jedném oknie — szczęściem nie dawał się bardzo rozpatrywać w ubóstwie — w nędzy raczej tego nieszczęśliwego mieszkania.

Oblęcki wprowadziwszy swych gości, poprosił ich siedzieć — sam, jakby zawstydzony, oparł się o ścianę i nie mówił słowa. Karol zawsze wesoły, tu stracił zwykłe usposobienie płoche — dla niego nawet miała swą uroczystość i powagę ta nędza dobrowolna, dla serca, dla miłości podjęta przez dwoje ludzi — co pragnęli być z sobą i żyć dla siebie.

Robert osowiałemi rozpatrywał się oczyma. Znał on ubóstwo i niedostatek wiejski, łachmany żebracze, chatę zadymioną zagrodników — nie miał wyobrażenia o téj nędzy miejskiej, co niby jest

zamożnością, a pod bielidłem trupiém kryje rany i niewysłowione bóleści. To było coś niemal straszniejszego nad chatę walącą się, z której wyjść było można, odetchnąć czystém powietrzem.... Z za drzwi zamkniętych nie słyhać nie było. Oblęcki poszedł do jednych z nich zapukać z lekka. Szelest sukni dał się słyszeć.... Karol stał naprzeciw nich smutny i prawie gniewny na tego człowieka, co śmiał los taki zgctować nieopatrznej kobiecie. Powoli otwarły się one, i w skromném bardzo ubraniu, w dużej chustce podpiętej na szyi, ukazała się pani Karolina.... trochę mniej różowa, ze śmielszém niż dawniej wejrzeniem, lecz bez tego wyrazu smutku i zwątpienia, jakich się było można spodziewać.

Zachowała całą swą piękność i prawie świeżość swą dawną — a jednak zmieniona była do niepoznania.

To dziewczę nieśmiałe stało się dojrzałą i męzną niewiastą — z uśmiechem na ustach, rumieniąc się już mniej daleko, niż za owych dobrych czasów, wyszła spokojnie witając dawnych znajomych.

— Jacyż to mili, a tak niespodziani goście! odezwiała się po cichu — mogliżeśmy nawet zamarzyć o tém? Ale jakże się to stało? Mirosław niemal czasu mi powiedzieć.

Karol odzyskał trochę śmiałości....

— Spotkaliśmy się na ulicy — rzekł. Myśmy tu dopiero od wczora, ja przez czas jakiś nie byłem w mieście. Ale jakże....

Nie mógł dokończyć.... Oblęcka podniosła oczy — spojrzała na męża, który wejrzenie miał w nią wlepione ciągle.

— Jak się to stało? — dodała głosem zniżonym.... Któż to dziś opowie!... A! panie, wśród największych pieczęt można być bardzo nieszczęśliwą — pod najtroskliwszą opieką, w której czuć serce, mogą ciężać kajdany.... Przychodzi chwila.... i.... spełnia się przeznaczenie.... Cóż pan chcesz? Ja jestem szczęśliwa.... Mirosława mi tylko żal.... bom ja dla niego kamieniem u szyi.

— Karusiu! zlituj się! krzyknął Oblęcki — ty jesteś moim aniołem stróżem....

— Gdybyś mu się dał prowadzić! dodała pani....

— Alboż nie jestem posłuszny...?

— Nie dosyć — odpowiedziała spokojnie ciągle Karolina. Sądźcie panowie sami. Mirosław jest geniuszem, ja to mu przyznaję. A! tak! ale i geniusz musi się poddać konieczności, a robić to.... co mu los w ręce poda.... Czyż mu to uwłacza? W duszy może tulić i pieścić swe ideały, a ciężkim życia wymaganiom trzeba coś poświęcić. Czyż jeden malarz szyldy był zmuszony robić?

To mówiąc wstała z kanapki.

— Już choćby się Mirosław gniewał — ja go zdradzę.... rzekła; — pójdźcie panowie zobaczcie co maluje. Są to rzeczy tanie, małe, zamówień trudno dostać — ale on we wszystko umie tchnąć ducha....

Mirosław chciał protestować — z lekka go odtrąciła Karolina i otworzyła drzwi drugie.... Była to.... niby pracownia.... Okno duże, u dołu ściereczkami zawieszone, blade światło dawało....

Na bardzo lichéj sztaludze stał obraz niewielki. Kilka szkiców i poczętych płócien wisiało na ścianach. Były to obrazki do wiejskich kościołów i ołtarzyków, wedle wymagań i tradycji malowane.... Karolina miała słuszość — bo Matka Bożka Częstochowska nawet, będąca kopią setną bizantyjskiego wizerunku pod penzlem Mirosława nabrała wyrazu, który z tego złoczonego i na pozór pospolitego płótna czynił dzieło wysokiej wartości.

Karol patrzył milczący....

Jaskrawy Ś-ty Mikołaj z dziatkami, którego sobie z poblizkiej wsi zamówiła gromada, prosząc aby im pięknych farb nie żałował — miał naiwny wdzięk Peruginowski....

Oblecki wstydząc się tych robot, krył się za sztalugami i wzdychał. Karolina w Ruszkowie nabrawszy smaku i pojęcia sztuki, ocenić umiała roboty męża....

— To nam da chleb, a my dużo jeść nie potrzebujemy — odezwała się łagodnie. Mirosław tymczasem coś obmyśli, na pomysłach mu nie zbywa — ja zaś dosiedzę, dopilnuję — przymuszę, aby cierpliwie wykonał, i nie zrażał się, gdy to co miał w duszy, całe na płótno nie wyszło!

— Wiesz pani?— odezwał się w téj chwili Karol— słyszałem to od Ady, że małżeństwo i pani dopiero z Mirosława uczynisz prawdziwego artystę. Miała słuszność.

Na wspomnienie Ady zarumieniała się mocniej Karolina i — zamilkła.

— Łajano mnie tam bardzo? spytała.

— Żałowano tylko — rzekł Robert; słyszałem z ust pani Ady tylko wyrazy współczucia.... Powtarzała nie wiem ilekroć, że z otwartemi rękami przyjąłaby ją....

Pani Oblęcka wstrząsła się dziwnie....

— Bardzom wdzięczna — rzekła zimno.... My sobie damy jakoś rady na świecie, nikomu nie będąc ciężarem.... Prawda, Mirosławie?

Oblęcki popatrzał na nią, składając ręce jak do modlitwy; nie rzekł nic.... Oczy jego chodziły za spojrzeniami gości: widać było, że go oglądanie tych płócien bolało....

Po chwili — wyszli nazad do pierwszego pokoju.... Karolowi widok téj biednej Sensytywy w szarej chustce grubéj, w perkalowej sukience, z twa-

rzą smętną, tak był przykry, iż chciał ich co rychlój pożegnać.... Karolina wstrzymała Roberta.

— Posiedź pan choć, jeśli masz czas....

Jazyga został — ciągnęło go tu, że mógł mówić o niój, o Ruszkowie.... Pożegnali się więc z Karolem, który interes pilny zmyśliwszy, uciekał.... i Robert wrócił z Mirosławem do ubogiej izdebki....

Zaledwie usiadł, pani Oblęcka pochyliła się ku niemu, i z wyrazem życzliwości odezwała się:

— Umyślniem pana zatrzymała.... Jestem ciekawa.... Daruj pan.... Ja wiem wszystko.... To niedyskrecya? Dla czego pan oddaliłeś się od Ruszkowa.... Cóż pańskie.... nadzieje?

Jazyga się zmieszał nieco....

— Jam panu była i jestem życzliwa — dodała Karolina, z wielką powagą i pokojem — mówmy otwarcie, gdyśmy się tu raz spotkali. Wielebym panu miała do powiedzenia.... a! bardzo wiele!

— A ja — odparł Robert — choćbym chciał, nie mówić nie mogę.

— Tak — ja to rozumiem.... Panie.... jak mi go żal!

Złożyła ręce białe, na których Jazyga dostrzegł śladów już widocznych pracowitej igły, która je grubą skórą okryła....

— Mnie? — żal pani? odezwał się Robert....

— To pana dziwi? — rzekła Oblęcka.... Mnie pana żal.... bo — bo.... ja ją znam. W niój duma

zabija serce.... w niej ona zabije nawet miłość prawdziwą. Ona się urodziła i umrze królową.... Krystyną szwedzką, królową Elżbietą angielską.

Z oburzeniem porwał się Jazyga.

— Pani jesteś niesprawiedliwą dla niej — zawołał. Nie godzi mi się brać w obronę pani Ady, nie mam do tego prawa.... ale — protestuję.

Widząc oburzenie, uśmiechnęła się Karolina.

— Myślisz pan, że ja jej nie szanuję, i nie uwielbiam nieraz? rzekła. — Jest to istota wybrana.... a! ja temu nie przeczę.... lecz kto myśli, że to bóstwo, co na ołtarzu stanęło, ściągnie ku sobie na ziemię — a! panie — ten się omyli...

— Pozwól mi pani powiedzieć, żeście się nigdy nie rozumiały — odpowiedział Robert — dla tego może obie widziałyście w sobie tylko to, co wzajemne niechęci usprawiedliwiał.

— Ale ja ją kocham, szanuję, i jestem jej wdzięczna, choć mnie uczyniła męczennicą przez swe dobre serce, a niezdolny despotyzm — mówiła Karolina. Wierz mi pan! Tylko — nie wierzę, aby kiedy kochać mogła i przestała być — królową....

Robert się uśmiechnął trochę szydersko i zmilczał.

— Jeżeli pan nadzieje szczęścia swojego złożył w jej ręce.... a! panie! żal mi go z duszy!

I na to nie odpowiedział Jazygą....

— Przepraszam pana — zakończyła Karolina — tak mi się to wyrwało.... Sama nie wiem czemu. Miałam potrzebę to mu powiedzieć.... byłam zmuszona — przebacz!

I podała mu rękę drżącą, powtarzając:

— Nie gniewasz się pan?

— Jam pani wdzięczny za dowód jój przyjaźni — a choćbym na moment ucierpiał....

— Cóż robisz w Warszawie? wtrącił w téj chwili Oblęcki, który przez cały czas rozmowy kręcił się i wił jak na mękach.... napróżno żonie dając znaki, aby ją przerwała.

— Ja? ja? podchwycił Robert — przyjechałem z panem Karolem, z którym spotkaliśmy się na Litwie.

— Na długo?

— Nie wiem. Ojciec sobie życzył, abym się trochę przejechał....

— Ojciec pański miał wielką słuszość, dodała Karolina — panu potrzeba było wyrwać się z téj atmosfery....

— Która mi była najmiłsza.... rzekł Robert.

— Ale którą nie mogąc oddychać zawsze, nie dobrze się do niej przyzwyczajać — dokończyła Karolina z uporem, ale ze spokojem, który jój nie opuszczał.

Ja mam nadzieję — dorzuciła, że choć pan się może pogniewał na mnie — ale dla tego nie

zapomnisz o starych znajomych.... Mirosław nie ma do kogo przemówić słowa — ja go musiałam znudzić jak pana.... Dla niego dobrodziejstwem będą odwiedziny — a ja — zaprzysięgam, że już nic — nic — nie powiem nigdy!...

Wypowiedziałam wszystko — resztę powie.... czas za mnie.

Tak się skończyła ta rozmowa, po której Robert spodziewał się pociechy, a znalazł w niej tylko najprzykrzejsze wrażenie. Wyszedł z niém, rozdrażniony, niespokojny, gniewny może dla tego, że mimo całego uwielbienia ku Adzie, które go ślepym czyniło — uczuł, iż Karolina trochę może słuszności mieć mogła....

— Jest niesprawiedliwa! niewdzięczna! mówił w sobie....

Chciał myśli te rozpedzić — a trwoga go ogarniała coraz większa.... To proroctwo, które mu szczęściem zachwiało, niepokoiło go — nie wiedzieć dla czego.... Śmieszném to znajdował.... Właśnie ona przybyć miała, dla niego.... a on — on — śmiał wątpić o jój sercu! To co Karolina mówiła, tłómaczyło się jasno aż nadto — osobistemi jój urazami.... Odepcznąwszy złe przeczucia, Robert pośpieszył do Karola który mu godzinę i miejsce schadzki nazначzył u Bouquerel'a. Wymówił sobie Jazyga tylko, że tego dnia on przyjmuje, na co chętna nastąpiła zgoda. Szlachcic potrzebował wy-

stąpić, i wołał przybyć trochę wcześniej, aby obiad zamówić jak najwytworniejszy. Jemu to było rzeczą dośc obojętną — ale wiedział, że Karol jest smakoszem.... Zabrał się więc do konferencji z głównym garsonem, poddającym mu co było najkosztowniejszego, gdy — ledwie *menu* umówione było, ukazał się pan Karol.

Już mieli wejść do gabinetu osobnego, gdy w progu zatrzymał ich, a raczej Karola, bardzo piękny, wysokiego wzrostu, pańskiej postawy mężczyzna, nader starannie ubrany, choć nie nazbyt już młody.

— *Charles!* jak się masz! zawołał — czekaj! I wstał z za stolika wykałając zęby....

— Cóż to ciebie nie widać! co się z tobą stało? — mówił wesoło.... Czy i ty z kolei, nie wiem który, kochasz się w téj bozkiej Adzie, co pozwala sobie palić kadzidla, wielbić się — padać przed sobą — aż póki jój to nie znudzi?

Karol chcąc powstrzymać mówiącego, syknął — ale — to było niepodobieństwem.

— Cóż ty mi jój będziesz bronił! — rzekł piękny mężczyzna.... Jać przecie należę do téj legii odprawionych, co przez kilka tygodni najświetniejsze mieli nadzieje.... Wzdychaliśmy do siebie.... o włos żeśmy się nie zaręczyli. Nagle! jak to u niój zwykle bywa.... fantazyja wzięła nad sercem górę.... i — precz!

— Ale, mości książe.... cóż bo!...

— Bronisz jój — *eh bien*.... ja ci powiem, pod słowem honoru, że dwa tygodnie nosiłem jój pierścionek, niby żartem dany, niby doprawdy.... Jednego poranku czy wieczoru, zlekła się mnie i małżeństwa.— *Adieu! c'est comme celà!*...

Ale jest, mimo to.... ideałem....

Słyszałem — ciągnął dalej, nie zważając na skrzywionego Karola — słyszałem, żeś tam już jeździł, podobno dwa razy. Sumienie mi cię ostrzedz każe, ażebyś się nie łudził. Jest to znakomita ze wszech miar pani.... lecz.... nie miała serca nigdy.

— Chyba dla tego, że dla was, mości książe — rzekł Karol — nie....

Książę się rozśmiał.

— Nie dla mnie jednego! wierzaj mi — prób było wiele — a ja do mojej, wielkiej nie przywiązywałem wagi.... Być może, iż ty będziesz szczęśliwszy.... powinszuję ci; ale tymczasem nie wierzę i nie uwierzę póki nie pójdziecie do ołtarza.... I tak nawet.... lękałbym się nazajutrz rozwodu!

Książę śmiać się począł, Karol popatrzał nań, odpowiedział pół słowem tylko, i pożegnawszy wszedł z Robertem do gabinetu. Tu spojrzawszy na twarz bladą, żal mu się go zrobiło....

— Słyszałeś? spytał.

— Niestety! — odparł Robert — nie mam prawa

ust. zamykać nikomu, alem miał wielką ochotę rękawiczką go zadławić....

Drżał cały.

— Nie bierz tego na seryo — rozśmiał się Karol. Książę jest odpalonym konkurentem. Cóż dziwnego! Co się tycze tego co plótl, powiem tylko, że znamy go z kłamstwa i blagi. Do słów jego, zapewnień, opowiadań, nikt najmniejszej nie przywiązuje wagi.... Wszystko co mówił, wierutny fałsz.... Nie wiem czy kiedy dwa tygodnie był w Ruszkowie, a ręczę, że nigdy żadnego nie otrzymał pierścionka, chyba go sam podchwycił....

Robert nie mógł jeszcze przyjść do siebie.... Po głowie chodziły mu razem i przestrogi Karoliny, i szyderstwa tego księcia — bolało go.... Pragnął, aby co rychłej rozwiązały się wątpliwości — aby Ada napisała stanowczo. Lękać się zaczynał.... choć nie miał najmniejszej przyczyny....

To usposobienie smętne w chwili gdy obiad podawać miano, bardzo obeszło Karola, więc z całych sił starał się oddziaływać przeciw niemu. Obrócił w śmiech trwogi.... Księcia odmalował w najdziwniejszych barwach, jako człowieka, na którego nawet się gniewać nie było warto.... Niewiele to pomogło. Robert siadł do stołu wzburzony i nieprzytomny.... Nie pozostawało Karolowi nic, tylko biorąc na siebie rolę gospodarza, poić towarzysza i siebie.... Dał sobie nalewać Jazyga, spełniał ma-

chinalnie, i skutkiem administrowanych mu leków poweselał trochę. Wesołość to była sztuczna, zaprawna żółcią — niezdrowa. Przetrwali u stołu długo, — obiad był dobry, a Karol się nim rozkoszował.... Zmierzchało już, gdy się ruszyli. Dokąd? Jeden tylko teatr pozostawał.... Był on niemal nowością dla wieśniaka, a nic jednak nie widział.... Oczyma błdził po scenie i łóżach, myślą będąc gdzieindziej....

Następny dzień zszedł na rozmaitych rozrywkach. Wieczorem Jazyga wyprosił się od nich i zasiadł do książki. Karol nic mu nie mówiąc, oczekiwał co chwila listu z Ruszkowa. Spodziewał się tryumfu, chciał nim go nagle uszczęśliwić, obiecując przybycie Ady. Jakim sposobem mógł się pomylić tak okrutnie i ufać, że przybędzie, to chyba na karb jego lekomyślności złożyć potrzeba. Trzeciego dnia rano przyniesiono mu list Ady.... Szczerście odebrał go, gdy był sam.... Z początku nie mógł zrozumieć, usiłował sobie tłómaczyć — ale odpowiedź była tak kategoryczna, że łudzić się nie mógł.....

Pomyślał co ma czynić?

Postanowił nie mówić nic Robertowi, połknąć cicho, i czekać jakiegoś samego z siebie przyjsć mającego końca.... W duszy pogniewał się mocno na Adę; żał mu było Jazygi.

Przecież on do niej, ona do niego napisze.... wytłomaczają się.... porozumieją — a ja.... póki życia w cudze sprawy serdeczne wdawać się nie będę.... Głupia rzecz.... Ksiązę, który zawsze kłamie.... na ten raz mógł może prawdę powiedzieć. Któż kiedy kobietę zrozumie!

Płacąc Robertowi za zawód, którego miał doznać, Karol starał się go rozerwać, i czuwał nad nim z troskliwością braterską. Robert się po trosze usuwał — wolał być sam.... Tak więc w parę dni poczęli się tylko spotykać z rana i wieczorem. Robert czytał lub błądził po ulicach bez celu: raz zaszedł do Oblęckich na chwilę.... Ada nie dawała znaku życia.... Czekał listu — nie nadchodził.... Niecierpliwość i niepokój rosły. Jednego wieczoru wreszcie, wracając do domu, na stoliku znalazł list Ady. Pochwycił go z niecierpliwością gorączkową.

Karol, który go przeprowadzał i zobaczył z dala kopertę — usunął się natychmiast....

Rzuciwszy się na łóżko, Robert czytać zaczął.... Czytał.... w oczach mu się émiło.... List był czuły, był pelen na pozór tęsknoty i miłości, a czytając go czuł Jazyga, jakby go inna ręka, inne serce pisało. Było w nim nie to ciepło co w dawnych, ale jasny, świetny chłód, który mrozem go przejmował. W pół listu — przerwał go.... Zdało mu się jakby to było nie jój pisanie, jakby ktoś obcy dyktował. Nawet charakter ręki był zmieniony,

staranniejszy.... Spójrział, potrzebował odetchnąć, opamiętać się.... Dusilo go coś w piersi, tchnąć nie mógł.... Rozumiał, że Ada nie przyjedzie, że nadto jest dumną, aby wbrew woli ojca, syna mu odebrać miała.... że mu kazano czekać i cierpieć.... Wszystko to byłby zniósł i poddał się wyrokowi.... lecz list ów mówił więcej niż chciał, znaczył coś innego.... zapowiadał niemal zerwanie....

Z przed oczu jego bliskość szczęścia nagle usunęła się, uciekła, znikła w jakiejś dali niepochwyconej.

Wszystko z téj ćwiartki papieru tajemniczej mówiło o ostygnięciu i zerwaniu. Miała fizyognomię ceremonialną, styl urzędowy — mówiła tak, jakby już nic do powiedzenia nie miała, i z obowiązku tylko — przez grzeczność chciała ranę zagoić.... Nawet czulsze wyrażenia strzegły się zbyt dobitnej frazeologii.... Była w niej już i przyjaźń, i szacunek, i pamięć życzliwa — ale miłości nie było.

Robert, proste chłopię, nie pojmował jak serce mogło się tak nagle zmienić i zestarzeć.... Było to dlań nierozwikłaną zagadką. On, co nie znał życia, zdumiewał się temu bardzo prostemu fenomenowi, jak czemuś nadzwyczajnemu.... Czytał i odczytywał, mróz mu przechodził po ciele.... po-

czuł się osamotnionym, nieszczęśliwym, zgubionym.... list schował do kieszeni i wstał.

Nie miał już tu co robić! Zostawał mu ojciec, przeciw którego sercu przewinił.... trzeba było powracać do niego.

Karol chodził po swoim pokoju, domyślając się poniekąd co się stało, obawiając się żalów, wyrzutów i ciężaru, jaki mógł spaść na niego.

Wszystkiego tego—Ady, Roberta, Ruszkowa.... miał dosyć i aż nadto. Myślał tylko, jak się pozbyć ich wszystkich.... Ady obiecywał sobie nie widzieć tak rychło.... Zostawał mu Jazyga, który go nudził; nie przypadał mu ani do jego wyobrażeń, ani do obyczaju — a wisiał na karku.... Rad był w jakikolwiek sposób zrzec się téj opieki i wrócić do dawnéj swobody.

Dumał nad tém kręcąc w palcach cygaretkę, gdy Robert blady, pomieszany wszedł do pokoju. Jemu także ciążyło to, że był na łasce czyjéjs i z życiem swém musiał się do gospodarza stosować.

— Chciałbym, rzekł—przenieść się do hotelu.... Niedługo tu już zabawię, mam jeszcze trochę zajęcia....

Splątał się, nie wiedział jak się tłómaczyć.

— Ja — odparł Karol roztargniony — ja także prawdopodobnie wyjechać będę musiał na dni kilka i Pawłā zabrać z sobą.

— Więc to się bardzo dobrze składa, rzekł Robert — ja natychmiast się wybieram. Nie wiem, być może, iż jutro lub po jutrze.... wyjadę do Żabliszek.

— Jak to! już? — spytał trochę zmieszany Karol — i — nie będziesz czekał?...

— Wątpię, bym się mógł czegokolwiek tu doczekać — rzekł Jazyga — ale też nie spodziewałem się....

Karol, który tak wprzód upewniał i zaręczał, zmilczał teraz i dodał:

— Z temi kobietami nigdy być niczego pewnym nie można....

Tak, chłodno, przyjaźnie, ale obojętnie się rozstali. Robert nazajutrz raniutko posłał po dorózkę i kazał się zawieźć do Angielskiego hotelu, gdzie uczuwszy się jakoś niedobrze, ubrany w łóżko się położył.

Bolała go głowa, miał pragnienie, był senny — dziwnie jakoś nie swoim się czuł i osłabłym. Nie nawykły jednak zważać na małe dolegliwości.... postanowił jeszcze dnia tego odwiedzić Oblęckich, aby móżdż potem wyjechać gdy zechce....

Na gwałt więc wstał z łóżka, ubrał się, i choć czuł, że mu się trochę w głowie kręciło, a dreszcze po plecach przechodziły — poszedł na Dziekankę. Mirosława i jego żonę zawsze w domu zastać było można. Gdy zapukał, ponieważ służącój nie było,

a Oblęcki siedział jeszcze przy robocie, Karolina, w téj saméj chustce szaréj, z pończochą w ręku, drzwi mu otworzyła. Spójrzała mu na twarz.

— Nie chory pan jesteś?— zapytała.

— Tak, trochę mi nie dobrze — odparł Robert, zmuszając się do uśmiechu. Przyszedłem pożegnać państwa.... prawdopodobnie wyjadę wkrótce.... Nie wiem — może jutro....

— Miałeś pan zabawić dłużej?

— Tak się złożyło — rzekł smutnie Robert, który wszedł był do saloniku i siadł, bo czuł, że mu po przejściu wschodów słabo się zrobiło.

Wstydził się sam przed sobą tych symptomów choroby, którój ani pojmował, ani przypuszczał, ażeby od silnego wrażenia pochodzić mogła. Walczył z nią mężnie. Piérwszy raz w życiu był tak przybity jedném uderzeniem.... nie umiał mu się nawet obronić.

Karolina raczój się domyśliła, niż zrozumieć mogła co to było — tknęło ją, że Jazyga musiał doznać jakiegoś niespodzianego zawodu. Przeczucie jój wskazywało Adę.

— Pan zupełnie dziś wyglądasz.... jakbyś był bardzo nieszczęśliwy!— rzekła. Co panu jest?

Zmęczony jakiś jestem — ożywiając się gwałtem odparł Jazyga — może ten rodzaj życia nowy, do którego nie nawykłem... Ale chodźmy do Mirosława....

Weszli do pracowni, Oblęcki stał przy obrazku, cały nim zajęty; odwrócił głowę.

— Jak się pan masz? pozwól — muszę tu coś dokończyć.

— Kończ.... przyszedłem tylko pożegnać.

Oboje Oblęccy uderzeni byli i wyrazem twarzy, i głosem zmienionym Roberta.... Mirosław pośpieszał z robotą, aby przyjmować gościa, którego Karolina z oczu nie spuszczała.

— Nie powiesz mi pan co mu jest?

— Mnie? uśmiechnął się Robert — nic a nic — oprócz żem zmęczony Warszawą. Nawykłem do wiejskiej ciszy, do życia spokojnego....

— Cóż się dzieje z panem Karolem?

— Nie wiem — wyniosłem się od niego. Myślę, że musiał do swojego trybu życia powrócić, do którego lękam się, czy mu nie zawadzałem....

Odpowiedzi te nie mogły zaspokoić Karoliny, która czuła pod niemi kryjącą się jakąś tajemnicę; ale już badać więcej nie śmiała....

Robert zabawił chwilę jeszcze z Oblęckimi i pożegnał ich ze smutkiem jakimś niezwykłym mu.

— Kiedy i jak się zobaczymy na tym świecie — wie Bóg jeden — rzekł do Karoliny; — zachowajcie mnie państwo w dobrej pamięci....

Wychodził już, gdy żona szepnęła Mirosławowi:

— Odprowadź go, jemu coś jest — on może nie dojść do domu....

Oblecki, choć tego niebezpieczeństwa nie widział, posłuszny wziął kapelusz i towarzyszył pod jakimś pozorem odchodzącemu. Na dole Jazyga musiał się zatrzymać nieco, miał zawrót głowy, robiło mu się słabo. Nie chciał się do tego przyznać. Wstyd mu było samego siebie.

— To się trafia i mnie, rzekł Obłęcki—doświadczam czasem takich zawrotów.... daj mi pan rękę — pójdziemy razem....

Robert opierał się, że natychmiast będzie mógł iść o swój sile — poszedł w istocie, lecz Mirosław widząc, że się chwieje, nieznacznie rękę mu wziął i poszli razem....

Zbliżali się już do hotelu.... gdy Robert o ścianę oprzeć się musiał. Właśnie w téj chwili przechodzący kapitan Sroczyński poznał go i przybiegł.

— Co to mu jest?— spytał niespokojny.

— Nie wiem — rzekł malarz. Jesteśmy dawni znajomi, był łaskaw nas odwiedzić. W drodze mu się źle zrobiło....

Kapitan posłyszawszy to, natychmiast dotarł do chorego i do ściany.

— Jak się masz? co to? słabo ci? Do stu fur—syn żołnierza — chłop jak dąb.... czy z obiadu?

— Nic nie miałem w ustach prócz wody—odparł Robert — ale to nic.... zmęczenie....

— Gdzie mieszkasz? z panem Karolem?

— Nie — w hotelu....

— Chodźmy do hotelu!— zawołał kapitan.... i podał mu rękę, a widząc, że Mirosław stał niepewien co robić z sobą, dodał:— Bądź pan spokojny, ja go biorę w opiekę, to dosyć....

Ścisnąwszy rękę Jazygi, malarz odszedł—w istocie najniepraktyczniejszy z ludzi z chorymby był sobie rady dać nie mógł. Przeciwnie kapitan czynny, żywy, bywały, żadnego się nie uląkł wypadku, a lubił gospodarować.

Poszedł więc na górę do pokoju Roberta — i tu sam najprzód starał się poznać co mu było....

— Piérwsza rzecz — rzekł — rozbieraj się i do łóżka! Doktor nie pilny, bo on tu tyle zrozumie co i my oba. Nie ma nic jeszcze zdeklarowanego. Ja po trosze doktor jestem, trochę konowałem. W półku kurowałem konie regularnie, a ludzi czasami, i nieźle mi się udawało. Masz gorączkę— ale gorączka to oznaka, że coś idzie.... a nie wiadomo co!...

Napij się co gorącego. Gdyby tak ze mną, grokubym palnął.... ale nie namawiam....

Robert się zgodził na herbatę z cytryną i — starał się wmówić w kapitana, żeby go własnemu losowi zostawił.

— Ale! co zaś!— zawołał Sroczyński—nie mam nic do roboty.... posiedzę.... a ty śpij.... lub.... pójdę na dół i wrócę za godzin parę. Drzwi mi nie zamykaj, bo wybiję.... Ja jestem starego autora-

mentu człek! Pan Karol nie przyjdzie do chorego.... co innego my....

Wyszedł na palcach Sroczyński.... Robert zaczął marzyć — gorączka mu odjęła przytomność. W parę godzin wcale już nie wiedział co się z nim działo. Szczęściem.... czuwał pocziwy Sroczyński....

Wieczorem już nieprzytomnego rozebrano, okryto.... ułożono do łóżka.... Lekarz przybyły widział w tém gorączkę, która niedobry przybierała charakter.... Posadzono u łóża staruszkę, mającą pilnować chorego.... Sroczyński też nie odstępował go, przebiegając tylko z Krakowskiego na Wierzbową....

Rano na drodze spotkał się z panem Karolem — i będąc pewien, że on także wraca od chorego, rzekł mu:

— Jak sądzicie? nie ma niebezpieczeństwa?

— Gdzie? jakiego? — spytał zdumiony pan Karol....

— A — z Jazygą?

— Cóż się z nim stało?

— Od wczoraj — dostał gorączki, nie wiadomo co to jest....

Pan Karol, który jak każdy zdrowy człek lubiący życie, miał wstręt do chorych — przeraził się. Czuł, że mu wypadało.... okazać jakąś troskliwość.

— Cóż to za niespodziane nieszczęście!— zawołał.... Poszedłbym do niego.... a tu właśnie na wyjeźdném jestem w pilnej sprawie. Konie zaprzężone na mnie czekają.

— To trzeba jechać!— odczwał się kapitan. My go tu dopilnujemy.... Jak myślicie, daćby znać ojcu??

— Sądzę, że na to czas będzie.... gdy—gdy się okaże.... Pan kapitan mówi, że to jest...?

— Gorączka, decyduje lekarz.... ale jaka, Bóg wie....

Karol przemówił jeszcze słów kilka i pierzchnął.

— A toby było pięknie, gdyby go ta choroba u mnie była zaskoczyła! Nuż tyfus! ja się tak lękam tyfusu....

Pobiegł do mieszkania, aby je co najprędzej kazać przewietrzyć. Któż wie? mógł tam zostać jakiś miazmat chorobliwy.... Wbiegłszy tu.... na myśl mu przyszło.... pomścić się trochę....

Niedługo się zastanawiając usiadł do stolika.

„*Chere cousine!*“ począł — list ten kreślę na prędce.... Pan Jazyga wczoraj rano, jakiś list odebrawszy, wyniósł się odemnie.... Mówią mi dziś, że leży chory na gorączkę, której natury lekarz nie oznaczył.... Zawsze to coś niedobrego.... Lękając się, abyś zmieniwszy postanowienie, nie pomyślała czasem o przyjeździe do Warszawy, czuję się w obowiązku oznajmić o tém.... Sądzę, że towarzysz broni jego ojca, zapewne tu

go sprowadzi.... a rodzicielska opieka rychło mu zdrowie przywróci....“

Bilecik ten na prędce nakreślony, natychmiast rzucić kazał pan Karol na pocztę—mówiąc w duchu:

— *Une fois pour toutes, je m'en lave les mains!* Szczęście jeszcze, że z téj galery, choć wplaw się wyratowałem!!

Ażeby przykre zatrząść wrażenie, dobry, serdeczny, poczciwy Karol poszedł wieczór spędzić w popularnym towarzystwie kobiecym.... i wrócić późno do domu — zupełnie uspokojony....

— Nic na świecie na sumieniu nie mam.... To się każdemu trafić mogło! Chodził do Oblęckich.... męśliczne powietrze! Dosyć tego jednego, aby dostać nie jedną, ale kilku szkaradnych gorączek....

Kapitan Sroczyński, który gorliwie się krzątał około chorego — na trzeci dzień nie doczekawszy się przesilenia, zdecydował się napisać do ojca.... Ułożył list jak mógł najłagodniej, najostrożniej, ażeby go nie przerazić zbyt. Choroba przybierała groźne symptomy, rozwinęła się jako tyfus niedobrego charakteru, lekarz jednak nie rozpaczał. Robert był młody, zdrowy i sił miał wiele.... Należało się spodziewać, że kryzys szczęśliwie przejdzie....

Magnifika, przed którą kapitan nie tał natury choroby i nazwiska, chciała mu zabronić bywania u Roberta, ażeby uchronić Boże „nie naniósł” nie-

szczęścia do domu; lecz Sroczyński, zgodziwszy się na desinfekcyę w sieniach — stanowczo się oparł żądaniu kapitanowój.

— A co to ja — taki pan Karol jestem czy co? co do zabawy kolega, a w chorobie dezertuje! To się po mnie nie pokaże.... Octem się będę nacierał — a chodzić muszę....

Ledwie Sroczyńskiego list wyprawiony został, gdy tegoż samego dnia, jakby cudem — major Jazyga zjawił się w Warszawie.

Owo niedorzeczne, na żart rzucone, przypuszczenie Erdziwiłła, że się może Robert spotkać w mieście z panną Adą, tak utkwilo w umyśle majora, że kilka dni z niēm walcząc, w ostatku wziął pocztę i poleciał w ślad za syniem....

Nie wiedząc gdzie go szukać, dopytał się do pana Karola naprzód. Było to rano jeszcze, a po nocy dosyć dramatycznie spędzonej zasypiał gospodarz, gdy Paweł zbudzić go przyszedł, oznajmując przybycie majora.... Z razu nie mógł zrozumieć Karol co się stało — jeszcze oczy przecierał, gdy ze śmiechem i wesołą miną wszedł Jazyga....

Widmoby było nie przeraziło bardziej pana Karola. Chciał go się na wszelki sposób zbyć co najprędzej.

— Syn pański leży — trochę chory — w hotelu

Angielskim.... pod opieką kapitana Sroczyńskiego — rzekł żywo.

Zaledwie uszom wierząc, major przyskoczył do łóżka....

— Robert — chory? gdzie — chory? Cóż mu się stało? Przypadek?

— Jakaś febra — nie ma nic strasznego — odparł Karol. Pan mi daruje — ja sam zdrów nie jestem. Niech pan raczy, niedaleko, stąd do kapitana Sroczyńskiego się udać — Paweł mój zaprowadzi — kapitan jest o wszystkiém lepiej odemnie uwiadomiony....

Uderzony raptowną tą wiadomością i zmienioném jakiéś obejściem się z sobą, major słowa już nie mówiąc wyszedł, wzywając Pawła.... który mu miał pokazać mieszkanie Sroczyńskiego.... Chwiał się na nogach.... a oczy miał pełne łez....

— Robert!... co się mogło stać Robertowi! O przekłete miasto!

Sroczyński był właśnie we drzwiach, bo miał wychodzić do pacyenta, gdy major znalazł się na górze.... Oba nie widzieli się lat trzydzieści... Długo patrzali na siebie, nie mogąc się poznać — niedowierzając oczom własnym....

— Sroczyński?

— Jazyga?

Po głosie więcej niż z twarzy przypomnieli się sobie....

— Kapitanie — na miłość Boga! — zawołał major — co się dzieje z moim Robertem?... Na progu spotyka mnie wiadomość, że chory?

— Odebrałeś mój list? zdumiony spytał Sroczyński — jakim sposobem?

— Żadnego listu nie odebrałem. Byłem niespokojny — miałem przeczucie — przywlokłem się. Prowadź mnie, gdzie on jest? Zaklinam cię!

Głos jego tak był przenikniony boleścią, tak błagający, że z mieszkania Sroczyńskich wywołał przestraszoną magnifikę i dwie córki....

— Prowadź mnie.... na Boga! Cóż to za choroba? czy jest niebezpieczeństwo?

Major łamał ręce, a rozpacz téj twarzy marsowej, w męzkich rysach jeszcze się straszniejszą wydawała — i była gwałtowniejsza, więcej naprężona niż gdy się w słabszych objawia istotach....

— Chodź najprzód do mnie, spocznij — zawołał za rękę go chwytając Sroczyński; nie puszcze cię, póki nie ochłoniesz.... Gdybyś tak wpadł do syna, któremu spokojność doktor zalecił jak największą — kto wie jakiejbyś narobił biedy....

Syn chory — ale nie ma nic jeszcze groźnego, ma gorączkę....

To mówiąc kapitan, który wołał od razu nie tając wypowiedzieć wszystko, wciągnął Jazygę osłabłego do przedpokoju. Stary nie idąc dalej,

padł tu na krzesło. Łzy mu się toczyły po twarzy. Nie widział już stojących nieznajomych kobiet, zapomniał o świecie całym.

Jedna z panienek, ulitowawszy się nad nim, nie mówiąc, przyniosła mu i podała szklanę wody. Podniósł oczy, i zobaczywszy dopiero te twarze kobiece, nieznane — przyszedł do siebie.... Chwycił dziewczę strwożone za rękę i pocałował.... Drżącemi palcami poniósł do ust napój i wypił go....

— Darujcie państwo — rzekł — jednego mam syna!!

Nie powiedział więcej, słowa te proste starczyły, zrozumiano go.

Sroczyński tymczasem krzątał się około niego....

— Bóg da — nie nie będzie chłopcu.... ale naturze, która walczy z chorobą nie trzeba przeszkadzać! Pójdziemy, gdy się uspokoisz....

Takie było przybycie majora Jazygi do Warszawy.... Stary, silny jeszcze i nawykły do walki z życiem, niespodzianą wieścią z nóg był zwalony. Długo i kapitanowa i córki jój musiały go uspakajać, pocieszać, zagadywać, nim trochę sił odzyskał. Prosił się, błagał Sroczyńskiego, zaręczał go, że się zachowa spokojnie, byle do syna zaprowadził. Kapitan wyczekawszy dobrą chwilę, nakoniec zgodził się iść z nim razem.... Poszli.... więc.... ale doktor, który był właśnie przy cho-

rym, w przedpokoju ich spotkał i wnijsia zabronił. Major usadowił się u drzwi.... I jemu prawie lekarz był potrzebny....

Upłynęły dwa długie tygodnie — przesilenie przyszło i przeszło szczęśliwie.... Robert odzyskał przytomność, lekarz ręczył za życie.... Z wypełzłą głową, blady, zmieniony do niepoznania, cień tylko pięknego chłopaka, z oczyma osowiałemi, ze spalonemi usty leżał na pościeli.... Ojciec milczący siedział u łóża, tak prawie wychudły i zbolęły jak on....

W czasie choroby Roberta, wszystkie papiery, które on na piersiach nosił, odjęto mu.... Major je czytał. Wiedział o wszystkiém — znał stosunek cały, miał w ręku i gorączkowe listy pierwsze Ady, i ostatni, który o mało mu nie zabił syna.

Nie czas było robić wyrzutów, ani nawet wspominać o tém.... Jazyga, któremu ta korespondencya żywo przypomniła jego własną z żoną nieboszczką, więcej miał litości nad synem niż żalu do niego.

Wina w jego oczach cała spadała na kobietę, na uwodzicielkę....

Ostatni list i dla niego nie był dwuznacznym — widział w nim rozbrat i zdradę.... Choroba Roberta, niebezpieczeństwo, w którym długo zostawał — złamały najsilniejsze postanowienia starego.

Teraz gotów się był już zgodzić na wszystko, dumę swą szlachecką poświęcić... byle życie Roberta ocalić...

Lecz w ciągu długiej słabości Jazygi nie przyszedł list żaden, nikt nie dał życia znaku, pan Karol jakby naumyślnie wyjechał — nie dowiadywano się wcale....

Sroczyński tylko, który się znał z partnerami szambelanowej, mógł im powiedzieć coś o stanie Roberta, a przez nich, szambelanową i pannę Dyakowską wiadomość mogła dojść do Ruszkowa....

Czy doszła tam? wątpić było można, gdyż ztamtąd nie odezwał się nikt, nie dowiedział, nie spytał.... Przychodzący do siebie Robert — słabym głosem dowiadywał się pilno, błagalnie, czy do niego nie było jakich listów? Ojciec, który to z dala usłyszał, przyszedł — dając mu żołnierskie słowo honoru, że żadnego listu nie było....

— W życiu mojem — rzekł do syna — nigdy, choćby do dziecka pisanego listu nie rozpieczętowałem — nie przywłaszczyłem sobie. Wierzyć możesz słowu mojemu.... Nie było nic.

Zmilczał Robert.

Na drugi dzień prosił ojca, aby się kazał dowiedzieć o pana Karola. Przyniesiono mu oznajmienie, że od tygodnia przeszło wyjechał, i nie wiadomo kiedy powróci...

Wtém głuchém milczeniu — przebył Robert kilka tygodni powolnego do zdrowia powrotu. Gdy chodzić już mógł, jednego rana odezwał się do ojca:

— Jedźmy do domu — ojcie....

Major popatrzał na niego z politowaniem.

— Chcesz tego? jedźmy do domu!!

Lekarz sprzeciwił się temu i zalecił jeszcze pozostać dni kilka w Warszawie, zwolna się osuwając z powietrzem, ruchem i życiem zwykłym zdrowych ludzi....

Jazyga, który wiele miał dowodów przyjaźni od kapitana — do niego najprzód zaprowadził syna.... Posłuszny Robert poszedł.... Wesole twarzyczki panien uśmiechały mu się jak pierwszego wieczoru — ale on do tamtego dawnego nie był podobny.... Wszyscy, choć mówić mu tego nie śmieli, przerażeni byli śladami, jakie na nim choroba zostawiła. Z łoża wstał jakby inny człowiek, odrodzony do nowego życia — z twarzą odmienną, z charakterem nawet zmienionym, z obojętnością dziwną i stępieniem umysłu i czucia. Wiele rzeczy nie przypominał sobie dobrze — wiele gdy o nich mówiono, nie zdawał się rozumieć — może nie chciał.... Uśmiech po ustach bładził zbladły i nienaturalny, w oczach zgasły dawne blaski.... Posłuszny jak dziecko, robił co mu kazano.... Gdy Misia raz chciała nań popatrzeć, jak pierwszego

wieczoru, zaledwie wzrok jój spotkawszy, Robert się zmieszał, poruszył niespokojnie, zarumienił, pobladł, i więcéj nie podniósł już oczu....

Gdy raz jeszcze powtórzył: „Ojcie — jedźmy do domu!” major musiał pożegnać kapitana, i syna otuliwszy w powozie, posępny, prawie łzawy.... pojechał z nim do Żabliszek.

E p i l o g.

Potrzebujęż epilogu to proste bardzo opowiadanie, a raczéj studyum charakteru? Czytelnik z tego cośmy mu wiernie zrysowali z natury, mógłby dosnuć wątku powieści.... Czujemy się jednak w obowiązku mu to ułatwić — i dosyć będzie może, gdy jedną jeszcze sceną, *w lat dziesiątek potém*, dopełnimy obrazu.... W życiu nie ma nigdzie końca, jak nie ma początku.... splata się ono jednym ciągiem kolebek i trumien, i wije, wije bez ustanku.

W jednym z najpiękniejszych domów przy ulicy Senatorskiej, przechodzący wieczorem, około dziewiątej godziny, mogli się domyślać jakiegoś świetnego balu, rautu lub przyjęcia — tak wszystkie okna pierwszego piętra, z za storów i firanek, rześnistém światłem pałyły.

Było to późną jesienią, gdy miasto już się wracającymi ze wsi i przenoszącymi na zimę zapelnia — gdy teatru z odświeżonym występującym repertuarem — sklepy z nowo udrapowanymi wystawami, handle delikatesów z transportami ostryg — a złota młodzież z nowiuteńką garderobą.... W mieście to właśnie pora uciech, zabawy ruchu i wrzawy....

Przed ów dom od godziny dziewiątej zaczynały zajeżdżać powozy, wysiadać panie, ciągnęli piesi.... stawały dorożki, a ubodzy mieszkańcy i przekupnie sąsiedni rzucali wzrokiem ku szybom.... jakby je ciekawymi oczyma przebieć chcieli.... Świeciło z za szyb, to prawda, lecz zresztą dźwięki muzyki nie dawały się słyszeć i kamienica stała poważna a cicha.

O parę domów dalej, w otwartej cukierni, mężczyzna ni młody, ni stary, ubrany jak na wieczór, w białym krawacie, z parą rękawiczek, które dopiero miał wciągnąć, stojąc — na prędcie pił szklankę herbaty z cytryną. Z pod kapelusza, którego nie zdjął, widać było głowę przez dobrego fryzjera, wedle prawideł sztuki wygładzoną, wypomadowaną i podkreconą gdzieniegdzie. Twarz miał ogoloną tak pięknie, iż połyskiwała miejscami.... Z pod krótkiego lekkiego futerka, wyglądały bućki lakierowane zachwycającego kształtu.... Słowem jednem dziwić się tylko było potrzeba, że

taki elegant pił herbatę w tak skromnym lokalu. Są czasem w życiu konieczności nieuniknione — gdy się idzie na wieczór na którym się z herbatą spotkać ma po dziesiątej.... a pragnienie dopieka! Mężczyzna też, czując się tu może nie na swém miejscu, nie przysiadł nawet, stał, rad był widzieć co najrychlej dokończyć herbaty.... Niekiedy przez okno wyglądał ku oświeconemu domowi, jakby się chciał przekonać, czy tam już wieczorne rozpoczęło się życie.

Herbata była gorąca.... musiał się więc zrezygnować na trochę cierpliwości, aby nie poparzyć. Właśnie ją postawił na stoliku, chcąc czas ten zużytkować i naciągnąć rękawiczki, które miały piękne kształty ręki jego uwydatnić, gdy drzwi cukierni od ulicy się otworzyły, zadzwoniły i — wszedł niemi mężczyzna siwy, z wąsami poczernionemi, twarzą pomarszczoną...

Był to dawny nasz znajomy kapitan Sroczyński, o tyle tylko zmieniony, że włosów już nie malował i siwiznę odważnie nosił, wąsy tylko czémś ciemniejszym szwarcując na pamiątkę, że niegdyś czarne były. Wszedłszy kapitan odwrócił się spojrzeć ku stojącemu, chwilkę się wahał i uchylił nieco kapelusza, na co mu też ukłonem śpiesznym odpowiedziano....

— Pan... Karol.... jeśli się nie mylę?

— Kapitan Sroczyński?

— Tak jest.

— Bardzo mi miło....

Moment jakiś stali tak, niby nie wiedząc co dalej z sobą poczynać mieli.

— Garson! szklankę groku.... chłodny wieczorek....

— Mrozu tylko co nie widać.

— Kapitan zawsze w Warszawie?

— A gdzieżbym się ja podział? Jeśli wyjadę, to chyba na Powązki — rzekł Sroczyński — a do téj podróży jeszcze ochoty nie mam, choć — wielu mnie tam towarzyszków broni wyprzedziło! He! kwatermistrze!! Cha! cha! No — a pan dobrodziój?

— Ja? najczęściej w Warszawie, zimą przynajmniej zawsze.... Pan wie, ja jestem stary bruksowiec.... Teraz mi jeszcze przybył dom tutaj mojej kuzynki.... panny Ady Pretwiczówny, który mnie jeszcze bardziej przywiązuje do miasta....

— Słyszałem! słyszałem! dom, w którym się literaci, artyści, muzycy, malarze i piękny świat gromadzi co czwartki.... czy co piątki....

— We czwartki! poprawił pan Karol. W piątek dla postu, który surowo się w tym domu zachowuje gospodyni by przyjmować nie mogła.

— A to właśnie dziś czwartek.... rzekł Sroczyński.

— I ja też, jak pan widzi, rękawiczki naciągam. A że tam herbata późno.... a mnie się pić okru-

tnie chciało... No (tu dobył zegarka) i czas jeszcze.... Nie lubię być z najpierwszych....

Sroczyńskiemu przyniesiono grok, z którym usiadł naprzeciw naciągającego mozolnie rękawiczki. On co nosił zawsze dostatnie i przepierane, przypatrywał się z zajęciem temu kunsztowi, z jakim pan Karol, którego wielki palec sterczał nie obuty, wyczekując kolei — naciągał ciasne Jouvain'y....

— Dalipan! sztuka rzekł kapitan — jabym to podarł w szmaty.

Karol minami i różnemi grymasami twarzy pomagając sobie — nareszcie jedną rękę dokończył....

— Tak tedy — odezwał się Sroczyński — owa piękna niegdyś, dowcipna, rozumna, bogata panna Ada.... kuzynka pańska.... w stanie panińskim zdaje się już chcieć pozostać?

— Zdaje się — rozśmiał się Karol. Jezusowe latka minęły! Miała osobliwy wstręt do małżeństwa.... Kilka razy już, już zdała się blizką.... nie! strach ją porwał nagły i salwowała się ucieczką.

— A tak! tak! westchnął Sroczyński, wiem ci to ja tak pewnie dobrze jak acan dobrodziej, z powodu historyi mojego zięcia, który téj fantazyi jój o mało życiem nie przypłacił....

— A tak! rzekł obojętnie Karol — Jazyga! pamiętam....-Z którąż się z córek pańskich ożenił...?

— Drugą z porządku — odparł Sroczyński — pierwszą wydałem za referendarza X.... drugą za niego, trzecią za kontrollera izby skarbowej, czwartą za obywatela ziemskiego Promczyńskiego.... mają wieś niezgorszą, — a piątą się uparła i poszła za literata.... Panie Boże odpuść! Jeszcze w dodatku mąż jej ma manię zbierania starych rupiści....

— A Jazyga? zapytał Karol....

— Albo to acindziej nie wiesz jako i ja? rzekł kapitan. Wówczas kiedy go to pono pan sam tu przywiózłeś w nadziei, że panna zjedzie.... jak mu palnęła list.... dostał tyfusu....

Na tém się skończyło — on tu o mało nie umarł, a ona się na rok do Włoch wybrała.... Podobno mu wyjeżdżając jeszcze coś napisała....

— Mój kapitanie — słowo ci daję, to kobieta sumienna: miała być sama nieszczęśliwa i jego uczynić męczennikiem, lepiej że się w czas opamiętała....

— Tak, w czas! mruknął kapitan — po zamienieniu pierścionków.... a może i....

— Kapitanie!!

— Nie mówię nic, — wszak to kuzynka pańska. Robert że nie umarł, to łaska boża.

— A jednak się później ożenił?

— On ożenił?? Ojciec i ja ożeniliśmy go.... niemal gwałtem ... rzekł kapitan. Ja tego nie żałuję,

mąż najlepszy w świecie. Misia go kocha do szaleństwa — ale on!!...

Od téj choroby — zdaje się, że mu i mózg i serce wyschło. Biedne, schorzałe człeczysko. Trzeba koło niego jak w szpitalu koło chorych chodzić. Szczęście, że dwoje dzieci jest przynajmniej: uchowaj Boże co na niego, bieda — Misia pociechę z nich mieć będzie...

Pan Karol słuchał ciekawie....

— Od téj pory go nie widziałem! rzekł cicho.

— Nie wyjeżdża prawie ze wsi — ojca stracił....

Westchnął Sroczyński.

— No — a pan, rzekł po pauzie — nie ożeniłeś się?

— A! chwala Bogu, nie — wesoło odpowiedział Karol. Powołania do tego stanu nie miałem nigdy. Trudne zadanie na świecie samemu jednemu być szczęśliwym, co dopiero we dwoje!

Śmiał się Sroczyński.

— Słowo daję, to doskonale powiedziane. Powtórzę to magnifice....

— Ja i moja kuzynka Ada — choć różnimy się wielce od siebie — mamy w tym jednym punkcie zupełnie jedno zapatrywanie się. To kobieta!!

— Słyszałem! słyszałem! ależ to przecie jedna ze znakomitości naszych. — dodał Sroczyński — prawią o niej ludzie dużo.... Ma być utalentowana....

— A! głowa!!— dodał Karol — przy niej gasną i maleją najznakomitsi — czego ona nie umie!

Sroczyński dopiwszy groku, zabierał się do wyjścia — pan Karol nałożył rękawieczkę drugą i także miał wychodzić, wysunęli się więc razem na ulicę, a kapitan przez ciekawość odprowadził Karola do bramy, w której ścisk był, bo właśnie najwięcej przybywało gości. Szwajcar paradny stał na straży, a w głębi widać było oświecone wschody, po których zaproszeni i mający wniśćcie zawsze, śpieszyli na górę....

Po większej części byli to ludzie poważni, dużo głów łysych, dużo włosów siwych, ale gdzieś tam przemykał się i ufryzowany blondynek, i taki niepewnego wieku pan Karol, który starym być nie chciał, a młodym nie mógł. Właśnie na tych oświetlonych wschodach spotkały się dwa egzemplarze tego jednego typu, ów książę, któregośmy tak wyrzekającego na Adę widzieli u Bouquerella i kuzyn gospodyni.

— I książę tu? ha! ha!

— A jakże? Cóż to dziwnego!— rzekł spytany....

— Myślałem, że jeszcze się daszasz!

— Dawno zapomniałem o przeszłości — odparł książę — dom bardzo miły.... Ludzi dużo ciekawych, wieczerza i wino wyborne....

— Co to — to prawda!— rzekł Karol; co do ludzi — niemal same sucharki i niedogryzki przeszło-

ści.... Wszystko to rozumne, stęchłe, już trochę jedno powtarza jak pozytywki — a no.... kiedy pani domu to lubi....

— Przecież i młodzieży coś widać! dodał księżę....

— To znowu zielone nadzieje przyszłości, które często zawodzą — rzekł kwaśno Karol.... Ona i to lubi — tylko nas, cośmy wystali i dojrzali w samą miarę....

— Znosi i nas! rozśmiał się księżę....

Byli już w przedpokoju ozdobionym wielkiem zwierciadłem, i jak tylko od niego odstąpiła niemłoda już pani, która poprawiała nieświeży na włosach ubiorek, z kolei księżę i pan Karol poszli do zwierciadła skontrolować swe toalety.... U drzwi stało dwóch pięknych lokajów w liberyi aksamitnej — otwarli je i księżę wszedł pierwszy do salonu jaśniejącego światłem, pełnego już kobiet i mężczyzn....

Pierwsze prawie wszystkie były w wieku gospodyni domu, niezbyt młode, niektóre jak ona piękne jeszcze.... Na dwóch ogromnych stołach widać było stosy albumów i książek, dalej fortepian Erarda, orgue Aleksandra, a w świetle umyślnie skierowaném, na sztaludze z drzewa dębowego, obraz w rzeźbionych ramach weneckich.... Był to niedawno zdobyty mały Perugino, którym się jeszcze gospodyni nacieszyć nie mogła.

W niewielkiej odległości od stolika, stała piękna, ale nieco zolbrzymiałych kształtów Ada, w sukni aksamitnej z koronkami, z ową symboliczną gwiazdką na czole, tak jak ją malował baron von Pavianer.... Twarz jej nie straciła była jeszcze wdzięku, oczy blasku, ale ideał stał się pięknością ziemską zupełnie, której usta teraz więcej do bifsztyku niż do pocałunków zdawały się stworzone.... Kwitło zdrowie na tém spokojném, ale nie wesołym obliczu. Wpatrzywszy się, mimo jego czerstwości i świeżości, można było dojrzeć marszczków, które po sobie zostawiły wezbrane a niezaspokojone namiętności czy uczucia — gorejące myśli, z których żadna nie rozwinęła się w pełni — pragnienia niezaspokojone, marzenia nie domarzone.... Widać było, że jej całe szczęście ograniczyło się tém, by nie być bardzo nieszczęśliwą — a światu nie pokazać bólu.

Na szerokim czole za to błyszczała inteligencya i odbijała się w oczach rozumnych.... I tu jednak zajrzawszy głębiej, dostrzegłby badacz sceptycyzmu, który z rozpaczy dla świata, ubrał się ortodoksyą nieprzebitą.... Usta były pobożne — oczy czasem ateizmem się śmiały.... Jak w głębi niewiara godziła się z fanatyzmem, któż to zrozumie...??

Ada przyjmowała właśnie swych gości, dla każdego z nich mając słówko, które świadczyło, że

stała na wysokości jego i nie była w niczém profanem.... Z muzykiem mówiła o muzyce, z malarzem o sztuce, z doktorem o fizyologii, z finansistą o giełdach.... umiając pokryć płytkość swą świetnemi wyrazy, za któremi jéj widać nie było. Małeńkie te tryumfy.... karmiły ją.

Nazywano ją czasem encyklopedyą w aksamit oprawną — w istocie była to encyklopedya, w której o wszystkiém bywa po trosze, o niczém dosyć, by się nauczyć można....

W kątku kanapy, z rękami na piersiach.... przerażająco żółta, siedziała panna Hortensya.... W większém świetle, na fotelu, z łańcuchem i krzyżem na piersi, ksiądz hrabia de Bello... Szambelanowa chodziła z podwiązaną brodą, podtrzymywana przez pannę Dyakowską, szukając rozpierzechłych partnerów do wista.... Ta postarzała mocno.... okularów już nie zrzucała, ręce się jéj trzęsły.... ale uśmieszek młody i wdzięczący się, jeszcze dawną piękność przypominał....

Przy Peruginie, z kapeluszem pod pachą, stał baron von Pavianer, którego zwano nadwornym malarzem Ady.... ale był też w kątku i Oblęcki, którego poznać było trudno, tak utył i zaokrąglął.... Zwano go professorem.... Zdaje się, że ten tytuł i zajęcie uwalniały go od malowania, co mu było rzeczą bardzo przyjemną... W skromném ubraniu, z daleka stała rozmawiając z jakąś pa-

nią, blada, chuda, zestarzała pani Karolina Oblęka.... Rumieńce jój dawno znikły.... oczy miała zmęczone.... ślad piękności ledwie na zwiędłej twarzy się błakał....

W salonie i dwóch sąsiednich pokojach osób już było pełno — gdy na progu ukazał się młody mężczyzna, dziwnie twarzą klassycznie piękną przypominający Rafaela, nie takim jak go sztychował Marc Antoine, ale jakim on sam odmalował się w Szkole Ateńskiej.

Młodzieniec musiał wiedzieć o tém podobieństwie, bo i włosy miał ułożone podobnie, i usta układał do wyrazu, jaki ma piękna głowa w Uffizi. Strój jego skromny, odznaczał się wielkim smakiem i elegancją. Gdy wszedł, oczy wszystkich zwróciły się ku niemu, a gospodyni rozmawiając z łysym, niskiego wzrostu referendarzem, drgnęła, jakby naprzeciw chciała pośpieszyć. Twarz jój nawet, w miarę jak się zbliżał, rozjaśniała się, traciła prozaiczną swą cechę, niby ogniem jakimś wewnętrznym płonęła. Rzekłbyś, że w tém naczyniu marmurowém ktoś lampę postawił....

Mężczyzna szedł wprost ku niej. Z dala już wyciągnęła mu rękę. Referendarz i ci, co ją otaczali.... jakby wiedzieli, że ustąpić byli powinni, — pousuwali się wszyscy. Zostało ich dwoje wśród tych grupp patrzących na nich z ukosa.

Osobliwie ostre wejrzenie skierowała na Rafaela panna Hortensya, a było w niém szyderstwo, wzgarda, oburzenie.... Zdała się mówić oczyma:

— Półgłówek jesteś!

Kanonik, który raz tylko popatrzał na gościa tego, także dziwnie usta zacisnął. Gospodyni na nie i na nikogo nie zdawała się uważać, uśmiechała mu się wdzięcznie, chciała być dlań piękną, była taką prawie na jedno oka mgnienie.

Choć wiedziała i czuć musiała, że oczy wszystkich zwrócone na nią były — nie zmieszała się tém bynajmniej, nie wstrzymało jój to od bardzo jawnego okazania przybyłemu, jak mu była rada, jak mocno ją zajmował.

Pomówiwszy z nim pół głosem i cicho, zaprowadziła go przed Perugina, przy którym stali długo dość, aż przybywający nowi goście, którzy gospodynię powitać chcieli, przerwali tę zajmującą rozmowę.

Krótko i chłodno przyjąwszy ich pani Ada, wróciła do Rafaela, i dopiero skończywszy z nim rozmowę, w której on, z poszanowaniem przysłuchując się jój, mały miał udział — odeszła do innych gości.

Rafaël został trochę osamotniony, zadumany, i nie wiedząc co zrobić z sobą, poszedł jakieś album na stoliku przerzucać. Patrzano nań z dala, tro-

chę zazdrośnie, w pół szydersko. Ada też, choć zajęta innymi, nie spuszczała go z oka.

— Proszę cię, odezwał się książę do pana Karola, ty co tu jesteś jak domowy, czy nie raczysz mnie objaśnić, kto jest ten młodzieniec długowłosey, którego gospodyni zaszczycić raczyła tak szczególnie łaskawém przyjęciem?

— To jest — malarz wielkich nadziei! rzekł Karol, który w téj chwili usposobiony był złośliwie, bo Ada zaledwie mu głową kiwnęła. Mamy tu takich geniuszów *en herbe* kilku... w różnych rodzajach. Pani nasza, która umie pielęgnować rośliny, lubi też zajmować się wychowaniem młodzieży. Czuje się do tego powołaną. Nie trzeba tylko brać tego *en mauvaise part*; jest to kobieta, na którą najzłośliwsza potwarz nawet nie wymyślić nie zdoła. Dała dowody w ciągu życia, że żadnym tentacyom nie jest przystępna.

— A mimo to.... uśmiechnął się książę.

— Mimo to, dodał Karol — lubi studia.... nad ludźmi i charakterami! Każdy taki młodzieniec obudza w niej zajęcie.... bada go, pomaga pączkowi, aby się mógł rozwinąć....

— Lubi pączki! szepnął złośliwie książę....

— Powiadam W. Ks. Mości — z powagą odrzekł Karol, że w tém nie ma nic zdrożnego, nie nad psychologiczną ciekawość. Spytajcie panny Hortensyi.... ta, gdyby mogła.... pewnieby na nią coś

wymyśliła.... Jak wiele naszych pań, i ta kochana Ada — daje częstokroć powody do posądzeń, zupełnie nadaremne! Przyznaję się, że co do mnie, sympatyczniejsząbym ją znajdował, gdyby więcej w sobie miała niewieściej słabości.... gdyby była ułomną istotą.

Wejrzeniem, którego znaczenie trudno określić, zmierzył książę pana Karola, zamilkł, i lornetkę przystawiwszy do oka, począł się przypatrywać towarzystwu....

Czy go istotnie gospodyni interesowała, czy drastycznój tylko szukając rozrywki, książę po chwili zbliżył się do panny Hortensyi. Była to jego dobra znajoma i przyjaciółka z tych czasów, gdy się jeszcze starał o Adę — okazywała mu nawet wówczas wiele sympatii, którą w części tytułowi swemu zawdzięczał. I teraz przywitała go panna Hortensya tém wdzięczniej, że siedziała osamotniona, bo wszyscy od niej uciekali.

— A! i książę tutaj! odezwała się szydersko. — *Et l'on revient toujours....* Uśmiechała się podnosząc oczy ku niemu.

Książę ramionami ruszył.

— Dawne to dzieje! rzekł — miałem czas ostygnąć i w piersi się uderzyć....

— Ale niechże książę siada — zawołała Hortensya, wskazując blizkie krzesło.

Gość skłonił się, i — rad nie rad, zajął miejsce przy niej; Hortensya pochyłona nieco ciągnęła dalej:

— Przypomnij sobie książę — owe czasy....
Sameś sobie winien... nie wytrwałeś, nie kuleś
żelaza póki gorące, nie znałeś Ady.... A! byłoby
wszystko inaczej, gdybyś mnie posłuchał....

— Ja już nie żałuję tego co się stało....

— Dla czego?

— Z trudnością byłbym się mógł zastosować do
życia i gustów pięknej Ady.... nadto lubi arty-
stów — rzekł książę.

— A! rozśmiała się panna Hortensya — wierz
mi *celà ne tire pas en consequence*.... fantazyę
ma, tak jak do kwiatków.... Potrzebuje dystrak-
cyi.... a że mówią, małżeństwo jest bardzo silną,
pochłaniającą — innychby już nie szukała....

— Teraz widzę malarz jakiś jest na placu —
rzekł książę....

— Wczoraj był poeta, jutro będzie rzeźbiarz....
a pojutrze — *que sais-je?* kaznodzieja.... mówiła
Hortensya. Raz tylko w życiu widziałam ją — w nie-
bezpieczeństwie!

— W niebezpieczeństwie? zapytał książę niedo-
wierzająco.

— Tak jest.... Było to przed laty dziesięciu,
mówiła cicho i poufnie panna Hortensya.... *Ca-
prices du sort!* na ten raz nie był to ani genialny
artysta, ani sławny poeta, ani znakomitość żadna,
ale prosty, prawda że bardzo przystojny, naiwny,
dobry sobie chłopak, nawet z niezbyt otwartą

głową.... Była to jój pierwsza i ostatnia miłość, od której cudem ocalona została.... Kochała się w nim — aż do kompromitowania.... drżałam o nią, — szczęściem młodzieniec był skromny, bojaźliwy i więcej miał poszanowania niż passyi.... Szczęściem też ojciec jego był przeciwny....

Cierpiała, walczyła z sobą, płakała.... Lecz wszystko się składało, aby ją ocalić.... niezgrabność tych, co jój pomagać chcieli, szczególnież. Duma właściwie ocaliła ją.... Pojechała na rok cały dla studyów artystycznych do Włoch.... i wróciła uleczona.... Została może tylko tęsknota po téj jedynéj w życiu miłości.

— A ów szczęśliwy młodzieniec?

— Prawdziwie dobrze nie wiem co się z nim stało. Słyszałam tylko, że odepchnięty, zachorował niebezpiecznie i ledwie mu życie ocalono.... Choroba miała go pozbawić całego młodzieńczego wdzięku — przybiła go na umyśle.... złamała. Ojciec go podobno ożenił z jakąś szlachcianeczką....

Księżę, który słuchał z zajęciem — zapytał ciekawie:

— Byłże tak piękny? czém się jój umiał podobać?

— To doprawdy tajemnica! Przystojnym był zapewne — mówiła Hortensya — lecz nie tak nadzwyczajnego nie miał w sobie. Odznaczała go tylko prawie dziecięca, niemal śmieszna prostota i

naïwność. Jak piesek się jój w oczy patrzył — milczący ją słuchał.... na kolanach. ..

Uśmiech przebiegł po ustach słuchającego.

— I doszło to tak dalekò, że aż do wyznań i przyrzeczeń? szepnął....

Panna Hortensya figlarnie głową pokręciła; chciała się może uśmiechnąć, lecz skrzywiła się tylko.... Schylona prawie do ucha księcia szepnęła mu:

— Doszło to tak daleko.... że chodzili z sobą sam na sam na spacer, bardzo czułą parą....

Brwi podniósł ksiązę....

— Ale Ada jest rozumną i panią siebie — dokończyła Hortensya; — z tego kielicha kwiatu spiła tylko woń wiosenną!...

Milczeli jakiś czas.... ksiązę patrzył przez lornetkę....

— I jakże się to skończy? rzekł od niechceńia — bo.... różne bywają epilogi takich dramatów dziewiczych. Czasem, niekiedy dziwaczne bardzo....

— Ja się żadnej już niespodzianki nie spodziewam. U Ady serce się do głowy przeniosło; będziemy zbierali dzieła sztuki, drukowali budujące książki, ufundujemy instytut wychowawczy.... Cóż ksiązę chcesz? nie lepiejże to niż pójść za mąż nic do rzeczy i kłopotać się z dzieciskami?

W ten sposób pozostajemy do końca w zaczarowanym kole poezji i ideałów.

— W każdym razie egzystencja to zupełnie wyjątkowa! ekscentryczna....

— Spodziewam się! potwierdziła Hortensya — a może też nam o to szło, abyśmy z pospolitych życia warunków się wybili.

Szmer otaczających nie dozwalał dalszej rozmowy.... Zamilkł książę, a panna Hortensya spoglądała po przepełnionym salonie, którego honory gospodyni robiła z wprawą i zręcznością niepospolitą. Wszystkie niemal powołania wyższe były tu reprezentowane.... Składały się grupy wedle powinowactw duchowych, i w każdej z nich żywa się toczyła rozmowa. Ada przechodziła z jednej do drugiej, nigdzie nie będąc obcą — wszędzie jej słowa słuchano z poszanowaniem, a umiała je zawsze uczynić zajmującym. Dziwowano się szczególnie, że najnowsze zdobycze naukowe, najświeższe dzieła, najzawilsze kwestye bieżące — znała, jakby się każdej z nich specjalnie poświęcała.

— Zadziwiająca kobieta! odezwał się po odejściu jej łysy referendarz do wykrygowanego szambelana — zacytowała mi prawo kanoniczne w kwestyi rozwodowej!

Szambelan kichnął — było to jakby potwierdzeniem uznania znakomitych zalet umysłu gospodyni.... Tymczasem Ada przesuwała się pomiędzy

gośćmi, zatrzymując tu i owdzie na chwilkę. Swobodę, z jaką poruszała najrozmaitsze przedmioty, nie okazując się znużoną, istotnie uwielbiać potrzeba było....

W drugim pokoju, w którym osób mniej było, towarzystwo składało się z takich szczególniej, co unikały stanąć na pierwszym planie, i wołały schować się do cichego kąta — siedziała na krześle przy kanapie, z bladą twarzą zadumaną Karolina. Widać było po niej, że przyszła tu z rozkazu nie dobrej woli, że jej było obco i nudno — że czekała może tylko przyzwoitej godziny, aby się oddalić mogła....

Ada obszedłszy gości, zbliżyła się nareszcie do niej i usiadła.

— Dziękuję ci — Karusiu moja — żeś przyszła choć raz — rzekła; — umiem to ocenić. Ty wolisz w domu i z dziećmi.... a tu, nic ciebie nie zabawi.

— Owszem — wszak samo widzenie ładnego starego obrazu....

Ada się uśmiechnęła....

— Zdaje mi się, że ciebie sztuka obchodzi dla tego tylko, że jest powołaniem męża twojego. Ty wszystko odnosisz do niego.... Szczęśliwa!

Szyderski niemal uśmiech pokazał się na twarzy Ady, która podparta na rękę, patrzyła z uwa-

gą na Karolinę, jakby tajemnicę jój życia i szczęścia dobyć z niej chciała....

— Tak.... jestem szczęśliwa — odpowiedziała jój Karolina, — szczęśliwa mimo ubóstwa, szczęśliwa mimo niepowodzeń wielu, szczęśliwa gdy płaczę nawet.... Kochałam raz w życiu, byłam i jestem kochana.... Dla tego, droga kuzynko — przebacz mi, że to powiem — ty wiecznie będziesz gonila za czémś, szukała czegoś, czuła się niespokojną i nieuspokojoną.... boś sercu swojemu nie pozwoliła się otworzyć — boś przeznaczeniu kobiety nie odpowiedziała! Będziesz znakomita, sławna, wielbiona — ale nie będziesz — szczęśliwa....

Ada obrażona poruszyła się żywo.

— Cóż to za szczęście wasze? pajęczyna, którą lada wiaterek zrywa; kwiatek, co kwitnie dzień jeden....

— Tak — ale woń jego zostaje na życie całe — dodała Karolina.... Miłość dla męża rozrosła się gałązkami zielonemi w macierzyńską dla dzieci.... Kocham.... żyję.... ty się bawisz i patrzysz na życie....

Spojrzała na Adę Karolina, i zobaczyła ją wspartą znowu na rękę, z głową spuszczoną, z brwią nachmurzoną — niby gniewną, a w istocie smutną i poruszoną. Nie mówiła już nic, w rę-

ku czarny wachlarz swój rozkładała i ściągała bezmyślnie.... Odwróciła oczy od Karoliny, i nagle zerwanej rozmowy już dalej ciągnąć nie chciała.

Oblęcka też nie odezwała się więcej; siedziały przy sobie czas jakiś tak, żywym kontrastem egoizmu i poświęcenia. Jedna różowa, pulchna, świeża jeszcze, choć znacznie starsza, druga na pół zwiędła, blada i zmęczona — jedna w dostatkach i świetnym otoczeniu czująca się osamotnioną bez węzła ze światem, druga spokojna mimo powszedniej troski i żywotem rodziny rozrosła na duchu....

W milczeniu podała jęj Ada rękę i ścisnęła dłoń Karoliny....

— Moja droga, rzekła głosem zmienionym — masz słuszność. Któż wie! źle może pojęłam życie.... a sama straciłam na tém najwięcej. Dziś już cofać się niepodobieństwo.... duma nie pozwala, serce pragnąć przestało.... Tą ciernistą drogą żywota trzeba iść do końca.... Inni mi będą zazdrościli — a ty — ty mnie pożaluj czasem!

Schyliła się, pocałowała ją w czoło, i wnet przybierając weselszą twarz, poszła znów między swych gości, roznosząc im słowa i myśli, tak jak jęj służba roznosiła chłodniki i ciasta....

— Szczęśliwa kobieta! słowo daję! mówił referendarz do szambelana. — Swobodę, rozum, dosta-

tki — miłość wszystkiego co piękne.... umysł sięgający wysoko.... szacunek ogółu.... wszystko ma.... Szczęśliwa kobieta!!

— Bez kwestyi — odparł szambelan, nie wiedząc o czém była mowa.... niezawodnie!!

Z drugiego pokoju oczy Karoliny szły za gwiazdą brylantową na czole Ady, a twarz wyrażała serdeczne politowanie — i w duszy mówiła sobie:

— Nieszczęśliwa kobieta!

Kto z nich miał słusność? osądźcie — ja, nie wiem.

Genua — Dreżno.

1876.

K o n i e c .

